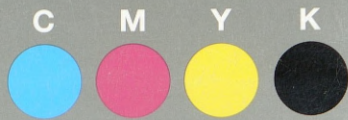
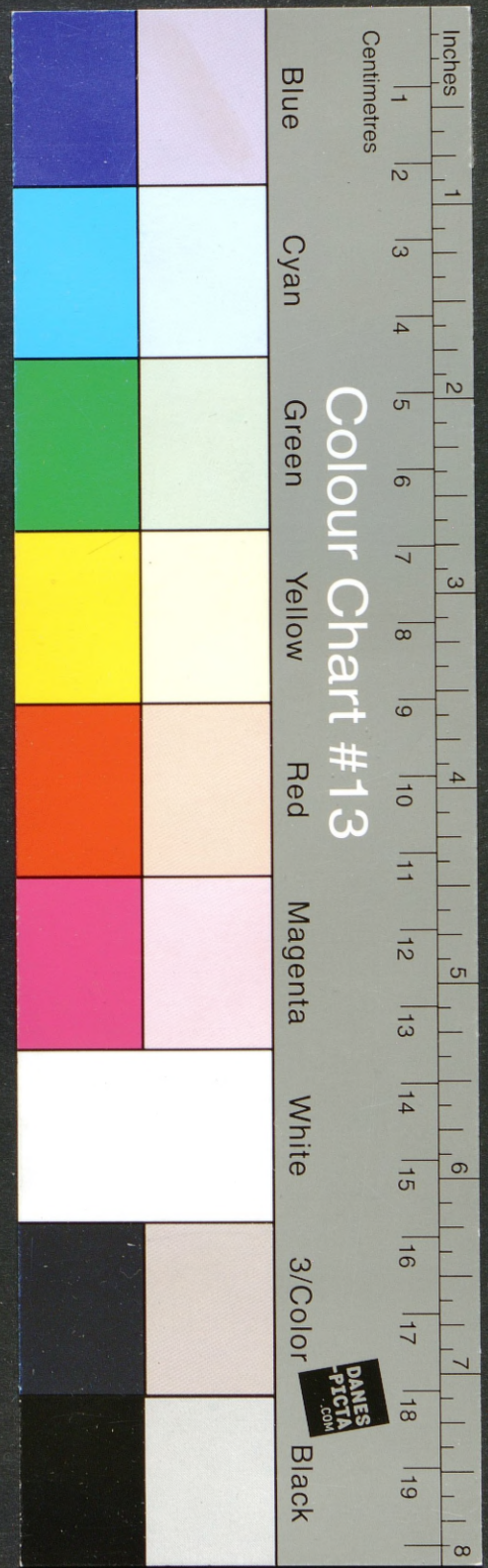
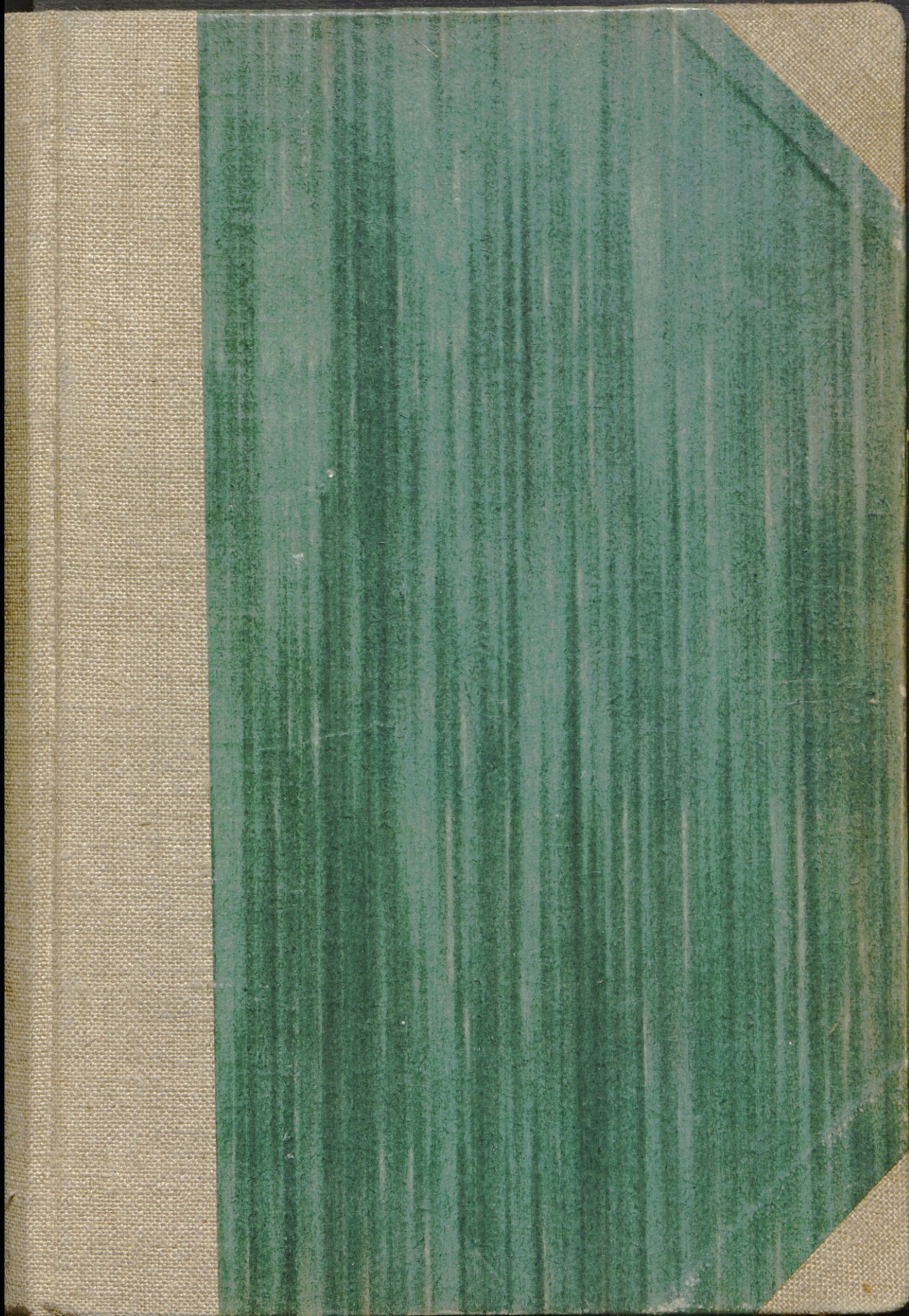
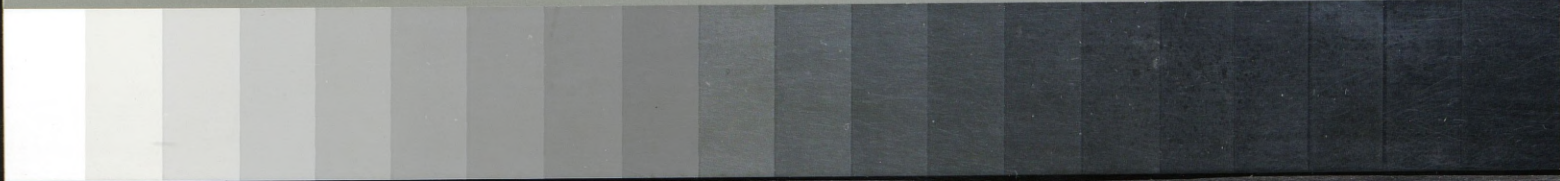


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

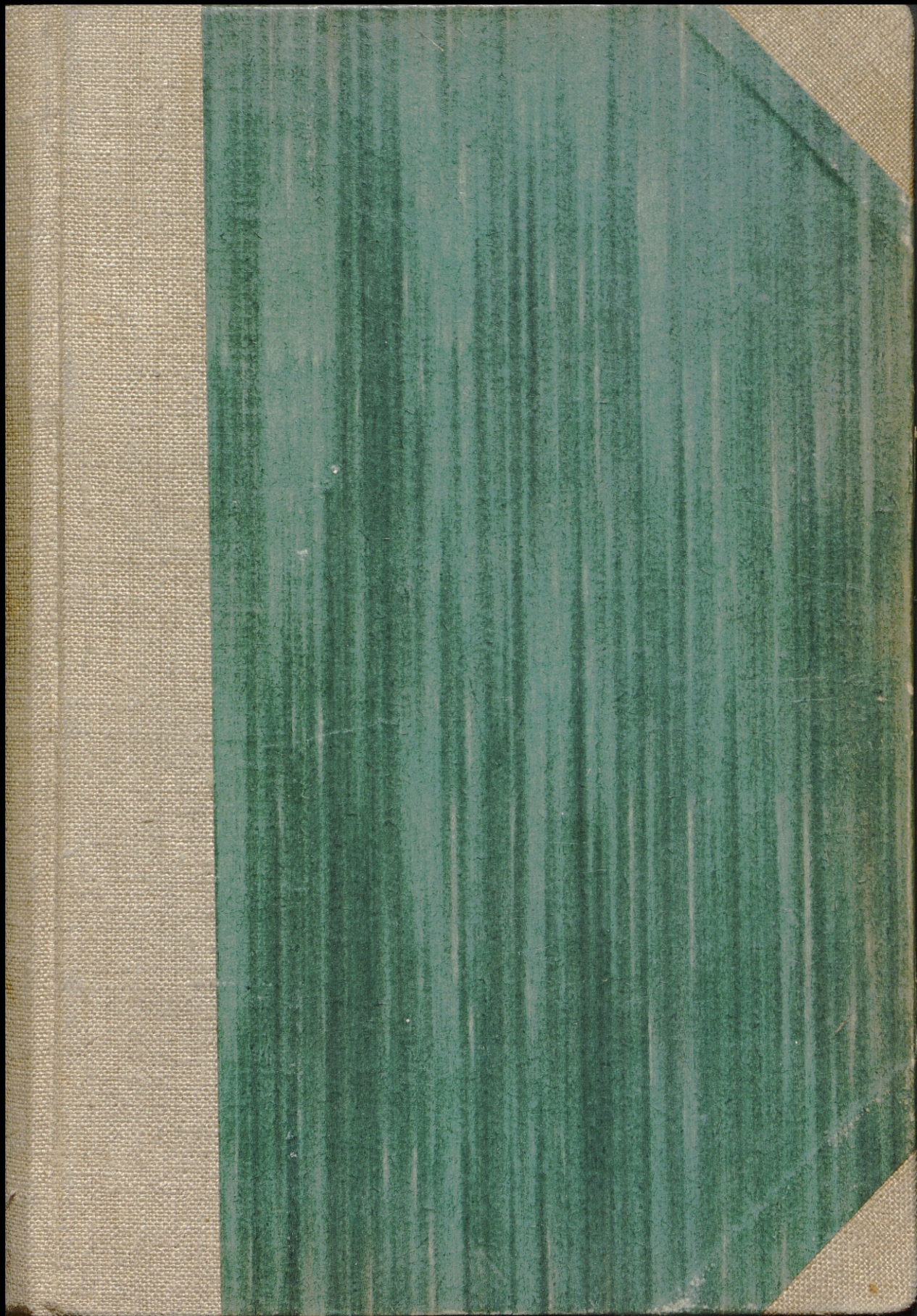


Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19





ROK 1846
KRONIKA DWORÓW SZLACHECKICH

ZEBRANA

NA PIĘCDZIESIĘCIOLETNIĄ ROCZNICĘ

SMUTNYCH WYPADKÓW LUTEGO

pizez

Księdza Stefana Dembińskiego.

Każdy umie powiedzieć o nich coś nawet si-
ła, lecz nie zna wszystkiego. Trentowski wizer.
duszy narodowej.

In der Regel gibt es in der That für eine
Regierung keine grössere Lebensgefahr, als ver-
schuldet oder unverschuldet in den Ruf gehei-
mer Verbrechen zu gerathen. — Galizien und
der Panславismus.

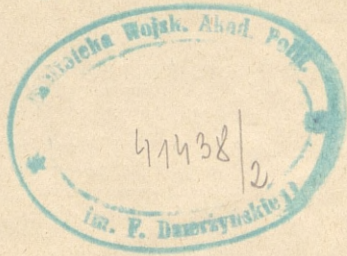
NAKŁADEM AUTORA.

JASŁO.

Z drukarni L. D. Stoegera

1896.

93/438/9



W DOWÓD WYSOKIEGO POWAŻANIA

zaczemu, gorącemu i światłemu

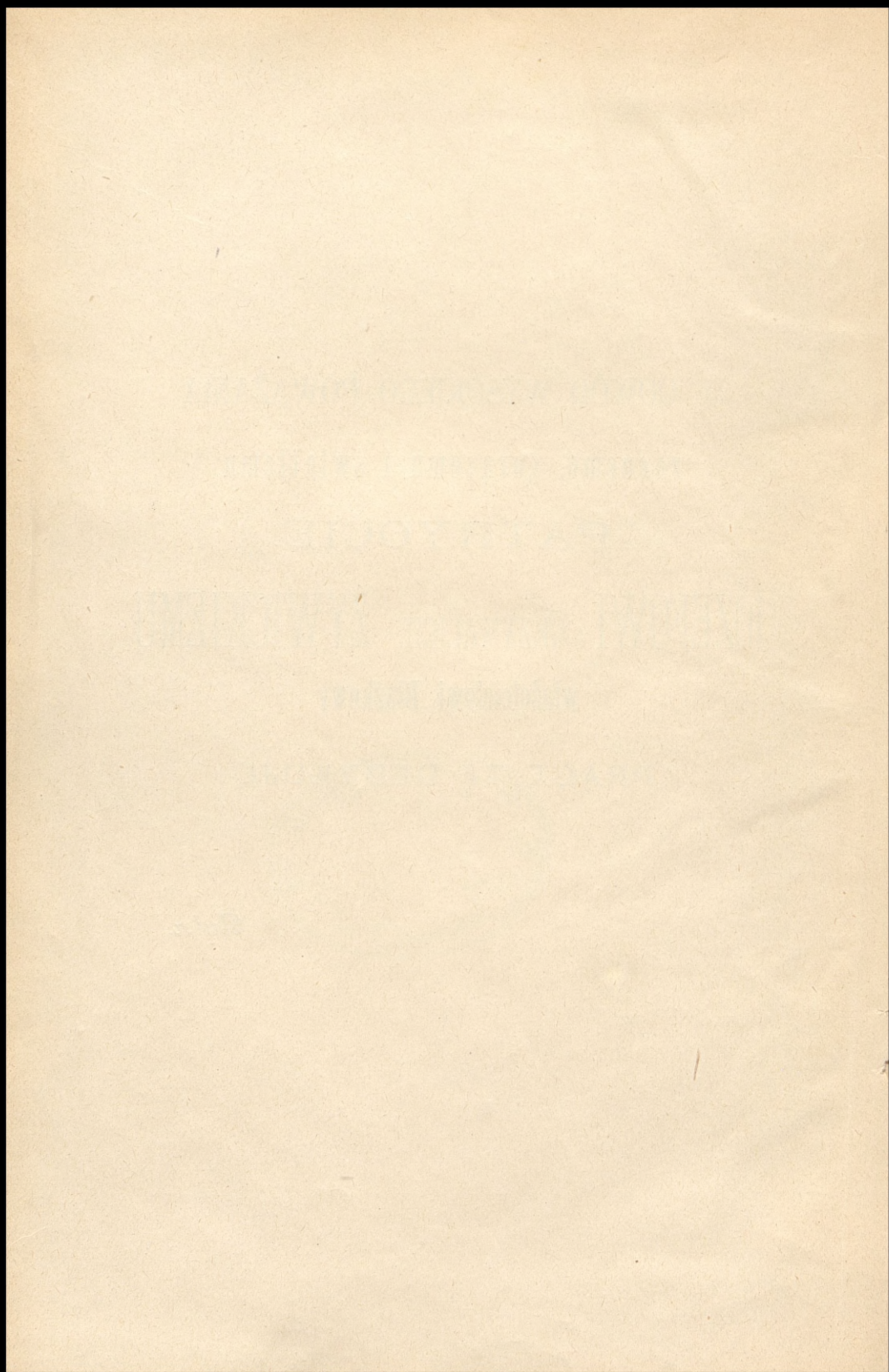
PATRYOCIE

JÓZEFOWI GRZYMALICIE ŻYWICKIEMU

właścicielowi Błażkowy

PRACĘ TĘ DEDYKUJE

Autoz.

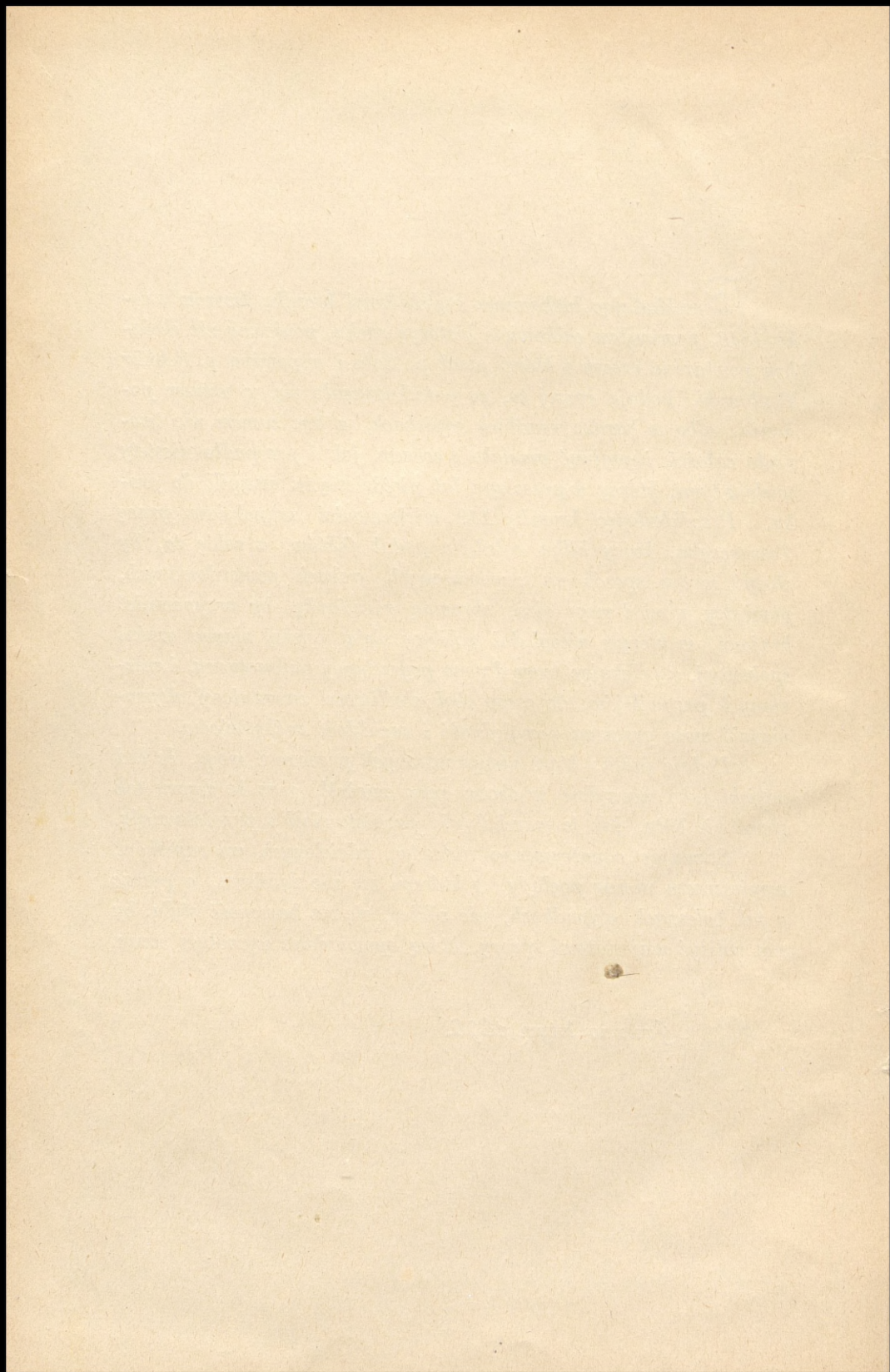


Przekładając łaskawemu czytelnikowi kronikę dworów z roku 1846, pominąłem całkowicie historię ruchu, ponieważ nie chciałem powtarzać rzeczy o której pisał p. Sala i wspomina p. Schnür Peplowski, podaję raczej to, co przechowywało się w ustnem podaniu, albo w bardzo rzadkich zapiskach, a tem samem nie tworzyło całości, i zaginać musiało z czasem, jak i przepadło niestety wiele z tymi, którzy w przeciągu lat pięćdziesięciu zstąpili do grobu. Przekładając kronikę 149 miejscowości uzupełniam pracę Tessarczyka, który kilka zaledwie podał faktów, a robię to, by złożyć w ten sposób na zapomnianych grobach pomordowanych, pomiędzy nimi i mego ojca, skromną równiankę, by przypomnieć krajowi, w którym nieogłędni politycy sieją dzisiaj ziarno waśni społecznej, wywlekając marę dawno pogrzebanej pańszczyzny, i zniszczonych przywilejów, do czego obok złościwości zasadniczej, doprowadzić może grzeszna nieogłędność i zaciętość zaślepienców.

Podaję fakta, które nieuprzedzonych przekonać mogą, że lud wiejski jako narzędzie w obcem ręku zawinił, oraz że dwory tak złemi nie były, jak je warchołowie przedstawiali i przedstawiają.

Szanując zapatrywania autorów, udzielonych mi zapisków, zamieszczam nieraz poglądy, z którymi się nie zgadzam, a pisząc o tak bolesnych wypadkach, nie sililem się na barwność stylu, by nie ubliżyć majestatowi zgrozy, którą opowiadane wywołują sceny.

Jasło w lutym 1896.



I.

Od czasu rewolucyi francuskiej wstrząsały Europą, i do dnia dzisiejszego nie przestają niepokoić ruchy, przybierające za naszych czasów coraz to wstrętniejsze, bezładnych zawichrzeń znamiona. Powstając przeciw despotyzmowi rządów, i przewadze tak zwanych uprzywilejowanych stanów, porzuciła rewolucya ziarno niepokojów, a splamiwszy się już za dni terroryzmu, wyrodziła się w prądy komunistyczno-anarchiczne.

Zebrani na kongresie wiedeńskim książęta, przerażeni ruchem, który jak burza zerwawszy się nad Atlantykiem, mógł wstrząsać całą Europą, i zachwiać jej tronami, postanowili chcąc zażegnać burzę nadać ludom prawa, przyznać pewne ulgi i konstytucyjne swobody. Lekkomyślne, a w wielu wypadkach zasadnicze łamanie danych przyrzeczeń, podtrzymywanie systemu rządu, który chwilowo zbankrutował, spowodowało rozgoryczenie, które w pojawiających uwydatniało się ruchach rewolucyjnych, a po kapitulacyi jaką następnie podpisać musiały rządy, do przesady rozbijały splotziło parlamentaryzm. Upominać się o pewne ulgi i swobody mogły wszakże tylko te ludy, które w normalnych do rządu chociażby despotycznego pozostawały stosunkach. W anormalnem, a zatem utrudniającem wszelkie targowanie się położeniu, były ziemie polskie. Uciskane, bez prawnej reprezentacyi, zaniepokojone o najdroższą po ojcach spuściznę, o religię i o język,

musiały drogą powstania — walki protestu — zwanej niewłaściwie rewolucją, dążyć do zrzucenia jarzma, do wywalenia niepodległości a przynajmniej pewnych ulg. Po poważnej manifestacyi roku 1830, mają późniejsze powstania aż do roku 1863 znamiona płodów poronionych, porywów podyktowanych rozpaczą, nie obmyślanych należycie. Pomimo tego ruchów tych potępić bezwzględnie nie można, tem więcej jeżeli się uwzględni okoliczności, wśród których powstały, ogniska z których wyszły.

Nie lekkomyślność o którą nas posadzają była powodem ruchów tych, ale smutna dola obywatelstwa wolnych niedawno ziemi. Gnębienie kościoła katolickiego, praca systematyczna nad wynarodowieniem, bądź to zapomocą języka narzuconego dziatwie szkolnej, bądź to za pomocą urzędników obeokrajowców, nienawidzących wszystkiego co polskie, mogły tak samo jak pamięć niedawnej przeszłości rozbudzić pragnienie niepodległości. Pomimo wad jakie zarzucano szlachcie, kochała ona kraj gorąco, i w każdej chwili gotową była stanąć pod bronią, tem więcej, jeżeli hasła te padały z miejsc takich jak Francya i emigracya.

Po rozczarowaniu jakie nastąpiło w ostatnich czasach tak co do Francyi, plugawiącej przeszłość swoją służalczem schlebianiem Rossyi, jako też i co do emigracyi po roku 1863, nie zrozumie niejeden tej czci, jaką otaczano napoleońską Francję deptającą wrogów naszych na tych polach bitew, nie zrozumie tego poszanowania dla emigracyi 31 roku, otoczonej aureolą męczeństwa, stojącej wobec tych co zostali w kraju, na równi z tymi, których Rossya na Sybir zesłała. Ci co w zaciszu dworków szlacheckich siedzieli, nie mieli dla braku dzienników w ogóle, i z powodu cenzury, niedozwalającej by na drodze legalnej, jakiegokolwiek, a tem mniej dokładne do kraju napływały wiadomości, wyobrażenia należytego o ruchach socyalnych we Francyi, tak samo jak nie mieli pojęcia dokładnego o tem, co się na łonie licznej za granicą przebywającej emigracyi działo.

Spółeczeństwo emigracyjne rozpadło się na stronnictwa i partye, które zarówno kochając kraj, różniły się co do sposobów, któremi go z upadku politycznego podźwignąć chciały. Obok obozu arystokratycznego, rozumiejącego że tylko z monarchią i całym aparatem tradycyi stanu, który niezaprzeczone miał zasługi, do odbudowania Polski przystępować można, był liczniejszy obóz demokratyczny, który z hasłami postępowemi, odrzucając rozwagę i spokój stronnictwa pierwszego, marzył o ogólno-europejskiej rewolucyi, o wyswobodzeniu Polski w imię braterstwa i równości.

Stronnicy obozu arystokratycznego łudzili się, że drogą dyplomatycznych układów da się cośkolwiek uzyskać, działali w najlepszej wierze, przekonani, że z ludźmi którzy wysokie zajmowali stanowiska, olbrzymie poświęcili fortuny, prędzej się rządu liczyć będą, jak z kimkolwiek innym.

Zapatrywanie to może dzisiaj razić tych, co zrywając ze wszelką tradycyą, od siebie nową rozpocząć zamierzają erę. Tradycya ma swoją wartość, a nawet postępowcy ci odwołują się bezwiednie do niej, wyszukując dla poparcia zapatrywań swoich, protoplastów idei czy to pomiędzy chorążymi sprawy z końcem ośmastoletniego stulecia, czy to pomiędzy szermierzami zapatrywań tych za dni naszych. Ludzie obozu Czartoryskich, w którym najgłośniejsze z czasów porozbiorowych spotykamy nazwiska, działali z planem, zaprowadzając w łonie emigracyi organizacyę, któraby karność tyle potrzebną wytworzyła, wychowała zarazem dzielnych wojskowych na których by kraj chroniąc się dyletantyzmu mógł się oprzeć. Myśl ta tak całkiem złą nie była, jeżeli sobie przypomniemy, ile to powstanie z r. 63 miało takich dyletantów, co od razu na pułkowników i szefów sztabu awansowali. Obóz Czartoryskich błędził łudząc się możliwością akcyi dyplomatycznej ze strony któregośkolwiek dworu, ale łudził się w dobrej wierze, a wiadomem z przeszłości naszej, żeśmy się nieraz na lep obietnic i dyplomatycznych kruczków wzięść dali. Trudno wobec niemocy, w której zostawaliśmy, potępiać usiłowania obozu tego, tem

więcej, że jeżeli siebie choć trochę szanujemy, przyznać musimy, że do obozu tego należeli ludzie kochający kraj, wielkie serca, co wiele poświęcić umiały, ludzie głośnych nazwisk, których bezkarnie poniewierać nie wolno, ludzie nauki przed którymi nieuprzedzeni czoła uchylić muszą. W tem co powiedziane mieści się zarazem odpowiedź, czemu obóz ten nie niósł dość rychło sztandaru powstania, w ziemie ucisku i niewoli.

Stronnictwo drugie w emigracyi składało się z ludzi młodszych, a zatem gorętszych, nie posiadających zasobów materialnych. Żołnierze niedawno, nie znający się na dyplomacyi patrzyli na świat przez szkła ostatnich wrażeń, otoczenia z którym się częściej stykali. Zbliżywszy się do ludzi obozu demokratycznego, przejęli się zasadami, które ówczesną nurtowały Francję, przyczem nie ustrzegli się wpływu ówczesnej demagogii.

Ponieważ w obozie demagogów francuskich nie rozumowano ściśle, i nad kierunkiem przeważała gorączka zapatrywań, konwulsyjne porywy do działania, udzieliła się gorączka ta również demokratom z emigracyi. Przejęci niechęcią dla obozu drugiego, z góry wytkniętą przezeń potępiają drogę, i sposoby działania, a nawet wtenczas, kiedy skutkiem ustępstw ze strony obozu Czartoryskich nastąpiła chwilowa fuzya obu stronnictw, wyłamują się by działać samodzielnie, w tem przekonaniu, że działają jak najlepiej. Że w stronnictwie tem nie było karności, systematycznie wytkniętego kierunku, dowodem tego, że co chwila zmieniali nazwy i miana działających komitetów, że działając bez nieodzownej ostrożności, narażali się na wykrycie planu, a tem samem na sparaliżowanie zamierzonego dzieła. Nie wierząc w możliwość akcji dyplomatycznej dworów rozporządzających siłą zbrojną, liczyli na gołosłowne obietnice w tajemniczość osłaniających się towarzystw, składających się przeważnie z ludzi pozbawionych środków materialnych, ze spiskowców, którzy oprócz nienawiści do istniejącego a skazanego na zagładę porządku, oprócz bałamutnej

idei przewrotu nie posiadali, a tem samem i dać nie mogli. Nie posądzając stronników obozu demokratycznego, by celem ich usiłowań miało być jak w ogóle spiskowców zagranicznych zrealizowanie zasady „Ote toi que je m'y mette“ powiem, że w żyłach konspiratorów naszego demokratycznego obozu grała krew przodków tych, co wstępny bojem, nie licząc się z czernią, rzucali się na zagony tatarskie, w środek armii tureckich. Liczenie się ze siłami przeciwnika i to z matematyczną ścisłością stało się dziś koniecznością, zarówno na polu walki, jak i w pracy konspiracyjnej, zmierzającej czy to do obalenia stronnictwa, ministeryum jakiego, lub też rządu.

Skrajność poglądów w obozie tym była powodem, że nie mogąc się pisać na program tego nowotworzącego się stronnictwa, wystąpiła zeń część szlachty. Pomimo gotowości do ofiar, pomimo że demokratycznym hołdowała zasadom, wzdygała się, wyzuta sama z własności, przed arbitralnem rozrządaniem tem, co wiekami uświęconą było własnością, bez uprzedniego przyzwolenia interesowanych. Pozostała w obozie demokratycznym część szlachty, i ta na równi z najskrajniejszymi demagogami gotową była kłaść podwaliny nowego porządku, za pomocą społecznego przewrotu. Stronnictwo to błędząc w zasadzie, łudziło się i pod tym względem, że wyobrażało sobie, iż na ludzie obietnicami zentuzyazmowanym oprzeć się będzie można. Powstanie ludu wywołane na całym obszarze ziem polskich, gdyby je rzeczywiście wywołać było można, mogło niemały kłopot sprawić rządowi zaboreczym wówczas, kiedy dla braku rozgałęzionej sieci kolei żelaznych, nie można było skoncentrować znaczniejszych sił na pewnym punkcie, i kiedy w czasie pokoju bardzo mała liczba żołnierza stała pod bronią. Na powstanie ludu liczył obóz demokratów, a liczył bo nie znał naszego ludu.

Lud nasz dzisiaj po tylu wysileniach, ofiarach, po zniesieniu pańszczyzny i poddaństwa, niema świadomości swej narodowości, nie poczuwa się do żadnych wobec kraju obowiązków, tem mniej mógł je pojmować przed rokiem 46. Wycho-

wany pod wpływem gniotących go zobowiązań, drażniących go nieprzyjaźnie dla szlachty usposobionych urzędników, nie pragnął odbudowania Polski. Chłop nasz który Polakami panów i inteligencję nazywał, nie dowierzał obietnicom nadania własności i zniesienia pańszczyzny, raczej gdy mu agenci biurokracyi podsuwali, iż zamierzonemu przez cesarza darowaniu pańszczyzny panowie przeszkadzali, gotów był rzucić się na własność dworów, bo mu więcej do smaku przypadały kumuniistyczne teorye, tak słodkie w praktyce, jak mrzonki o niepodległość kraju. Praktyczny chłopek chciał przedewszystkiem od własnej zacząć niepodległości, od zapewnienia własnego dobrobytu, a brał się do tego po swojemu. Odezwaniam się do ludu, którego spiskowcy nie znali, narazili sprawę na to, że do wiadomości doszła rządów. Wieśniak nasz większy konserwatysta jak najwięcej konserwatywni, nie łatwo się pisze na wszelkie zmiany i nowości, a podejrzliwy, co następstwem jest braku wyrobionego sądu i możności oryentowania się w sytuacji, nie mógł poddać się z ufnością bezgraniczną ludziom obcym, chociażby z obietnicą darowania ziemi do niego przychodzącym.

Podejrzewając, co zupełnie słuszne dobrą wiarę tych, co obcą własność w darze przynosili, szedł gdy i dworom niedowierzał do starostwa i zdradzał tajemne przygotowania. Nie chcąc darowizny ziemi zawdzięczać nikomu, wolał ją sam zabrać, skoro mu ją i tak obiecywano. Takim był lud, taka jego logika.

Obóz demokratyczny łudzący się srodze w kwestyi uzbrojenia powstania, raz że funduszków na zakupno broni nie miał, a znów że przy czujności rządów i systemie szpiegowania, nie tak łatwo było broń do kraju przemycić, nie łudził się pod jednym względem, t. j. w wyobrażeniu swem jakie miał o patriotyzmie szlachty, i szkolnej młodzieży.

Dwory szlacheckie przechowujące tradycyjną miłość i przywiązanie do kraju, były materiałem na który liczyć było można. Nie wielu zaledwie z tych co za granicą bywali, mogło mieć jakie takie o stosunkach w emigracyi panujących wyobrażenie;

nie mając dzienników, któreby wobec czujności rządu i argusowej cenzury wiadomości dokładniejsze z zagranicy przynosiły, chwytiała szlachta z zapalem każde słowo, które ztamtąd przychodziło, poddawała się kierownictwu ludzi, którzy ztamtąd przybywali z zupełnem zaufaniem, wyczekiwała hasła sądząc, że wobec tajemniczości spiskowych, tajników nakreślonego planu i istotnego stanu badać nie należy. Można by to nazwać brakiem rozważki, była to wszakże dobra wiara, płynąca z gotowości do poświęcenia, i z miłości kraju. Dziwna, ci właśnie, których wstecznikami patryoci miejscy, rozwalający się w wygodnych fotelach nazywają, gotowi byli na pierwsze hasło nieść życie i mienie!

Liczyć można było i na młodzież szkolną. Młodzież ta przed r. 46, przymuszana do obcego sobie języka, kształcąca się pod kierownictwem niechętnych krajowi cudzoziemców profesorów, pozbawiona nauki historyi kraju rodzinnego i nauki literatury ojczystej, krzepiła ducha odpisywaniem i śpiewaniem celniejszych utworów naszych narodowych bardów, śniła o chwili w którejby mogła za kraj i wolność ruszyć do obozu.

Nie wiele potrzeba było pracy, by młodzież szkolną wciągnąć do spisku, a jakkolwiek żarliwość dla sprawy narodowej i nieogłędność młodzieńczą przyplącało wielu pokutą w wstrętnych więzieniach Kufsteinu i Spilbergu, chrzest ten krwi i cierpienia wydał ludzi jakoby ze spiżu utoczonych, którzy na całe życie wynieśli z tej pierwszej szkoły hart niepospolity i spotęgowane, jeżeli się powiedzieć godzi, przywiązanie do kraju.

Czy się godziło narażać na eksperymenta, źle przygotowane, kwiat młodzieży, czy roztropnem było narażać na konfiskaty i zniszczenie na jakie lat kilkadziesiąt własność większą — odpowiadać zbyt uczynna.

Stronnictwo demokratyczne zrodzone w niechęci do komitetu arystokratycznego, nie mogło wiele dodatniego z siebie wydać, gdy jak Zienkiewicz o tem pisze. „Postawiony w miejsce zwalonego komitet nosił na sobie charakter nieszczęśliwej niemocy i zdawał się być rozmarzonym powszechną sympatją

ludów”, co u władzy biorącej w ręce kierunek sprawy niewłaściwym, gdyż naczelna władza całą świadomość środków i celów, obok spokoju zachować powinna. Nic więc dziwnego, że stronnictwo, które rozpraszało siły swe na walkę z arystokracją, „błądziło nie na jednym polu, jak n. p. upowszechnieniem radykalniejszych pojęć”, co dobrych żadną miarą owoców wydać nie mogło, kto bowiem wiać sieje, burzę zbiera, tem więcej, jeżeli jest gotów wchodzić w transakcyę, jak pisze o temże towarzystwie Peplowski n. s. 95, nawet z przesadami i słabościami.

Wśród takich stosunków zrodzona myśl powstania, przeniosła się do kraju z pomocą ludzi, którzy z wiarą w czystość zamiarów, choć bez dostatecznej rozważki rozpoczęli dzieło przygotowania ruchu, który we wszystkich wywołany dzielnicach, skończyć się miał wyswobodzeniem ziem pod trzema rządami zostających, a skończył się stłumieniem zawczasu w zaborze rosyjskim, procesem i skazaniem skompromitowanych w Prusiech a rzezią w Galicyi.

II.

Grzechy rządu.

Dzięki zmienionym stosunkom, wolno dziś o rządzie mówić i pisać, wytykać mu jego błędy, pociągać go nawet w Izbie do odpowiedzialności, a to tem snadniej, że wyrobiła się różnica między rządem a koroną, pomiędzy domem panującym a najwyższymi w państwie funkcjonaryuszami. Epoka prawdziwego sentymentalizmu dla korony, zawitała z nastaniem konstytucyjnych rządów cesarza Franciszka Józefa, przed tem było a szczególnie w Galicyi inaczej. Mówiąc o grzechach rządu wobec katastrofy roku 1846, mamy ministerjum i podległe temuż w Galicyi naczelne urzędy na myśli. Wina cała spada na ministerjum i urzędy, gdy za cesarza Ferdynanda polityką wewnętrzną kierował minister posiadający w całej pełni jego zaufanie,

a nadużywający tegoż ze szkodą dobrej reputacyi państwa. Ferdynand dźwigający koronę państwa rakuskiego, miękkiego charakteru człowiek, serce miał pocziwe, i nie darmo otrzymał przydomek dobrotliwego. Papiery, które wyszły z kancelaryi z jego podpisem, nigdy nie byłyby kompromitowały imienia tego władcy, gdyby miał być przy takiej ilości spraw jemu przedkładanych dość czasu, o ich się treści przekonać, gdyby nie był zbyt taktowi i uczciwości ufał swego ministra. Jako fakt świadczący o dobrem sercu cesarza Ferdynanda, podaję tu zdarzenie opowiedziane przez jednego z uwięzionych i trzymanyh w Wiedniu zaraz po wypadkach w r. 1846. Ferdynand przechadzając się w r. 1847 w południe po bulwarach, dostrzegł okna więzienia zastonięte kozkami, a dowiedziawszy się od zanegego adjutanta, że tam kilkudziesięciu siedzi od roku politycznych inkwizytów, powiedział: „Mój Boże, świat taki ładny (było to w kwietniu), słońce takie miłe, ptaszki tak lubo świegocą, a ci biedacy zamknięci siedzą”, kazał sobie adjutantowi przypomnieć sprawę tę, gdy wróćą do dworu, i istotnie dnia tego jeszcze kazał tych politycznych „zbrodniarzy” wypuścić. Dygressya ta była potrzebną, by przekonać, że dotknięci boleśnie i strasznie wypadkami roku 46., nie panującego podówczas, ale ministra jego i biurokracyę oskarżamy.

Dusza ówczesnych rządów księżę Metternich, człowiek niepospolitych zdolności, wywierał wpływ nielada, nie tylko na austryackie ale i na europejskie stosunki. Człowiek wedle dzisiejszych pojęć zasad wstecznych, przedstawiciel absolutyzmu, nie pojmował ustępstw, otwarcie wyznawał zasadę: „sic volo sic jubeo”; przemocą tłumił upominania się o prawa obywatelskie, jeżeli nie licowały z przyjętym przezeń systemem rządu. Księżę posługiwał się całą armią szpiegów i denuncyantów, kruszył każdy wolnomyślniejszy poryw i opór za pomocą okładów Haslingera, będącego wówczas w modzie, i kompresów żelaza w zakładach Kufsteinu, Szpilberga i rodzimych Karmelitów. Minister Metternich był głową sturamiennej hydry urzędniczej, która w Galicyi zgoniona ze wszystkich stron „austryackiej” ojezy-



zny, na każdym kroku goryczą zaprawiała życie poddanych, a przede wszystkim tych, co mieli odwagę myśleć i mówić po polsku, pod boki e. k. urzędników, nie rozumiejących tego języka, i nie pojmujących takich uczuć.

Rząd metternichowski, którego dewizą było: „divide et impera” w przeciwstawieniu do dzisiejszej pełnej znaczenia i prawdy „viribus unitis”, winien jest smutnych i nie przynoszących temuż rządowi zaszczytu wypadków roku 46. Rząd silny a uczciwy nie powinien był krzewić od pierwszej zaraz chwili objęcia ziem polskich rozdwójenia i nieufności, jak to robił, powierzając tak zwanej szlachcie ściąganie podatków, stawianie rekruta i wymiar sprawiedliwości. Warstwy najniższe ludności z racji podatków i rekruta, pałały niechęcią do dworów, nie rozumiejąc tego, że dawały takowe rządowi. Zarządzenie to dokonywało rozbratu pomiędzy dworem a włością, i dzięki temu osławionemu „divide”, stały przeciw sobie dwie te warstwy społeczeństwa naszego wrogo, lud wiejski mający z natury rzeczy żyć w zgodzie, z najbliższym swoim, więcej oświeconym sąsiadem, patrzył nań z niedowierzaniem i z żalem za wziętego w rekruty syna. Wytworzyła się wówczas dzięki tej polityce rządowej przepaść między dworem a włością, rozwierająca się jak dzisiaj skutkiem socjalistycznych podszeptów „Pszczółki” i „Wieńca”, skutkiem pokątnego działania nieuczciwych, dla dworów wrogo usposobionych urzędników.

Rząd posługujący się taką metodą, zawinił niemało, że nie postąpił otwarcie, choćby też i stanowczo, kiedy doszły go wieści i doniesienia z zagranicy o przygotowaniach do powstania, o rozgałęziającym się w kraju spisku. Wiedział o tem co się działo przez poselstwa, agentów policyi, a nawet od rządów dających emigracji przytułek, nadto napływanie do kraju, wówczas kiedy nikt bez opowiedzenia się policyi nie mógł dostać się do kraju, wiele nieznanych figur, mogło obudzić podejrzenie, tem więcej że nie brakło i dobrze widzianych denuncyacji.

W Galicyi przy boku podletniego arcyksięcia Ferdynanda Este, który firmą był tylko, był prezydentem gubernium baron Krieg, urzędnik zdolny, ale dla kraju najgorzej usposobiony. Trzymając się wiernie zasady „divide”, pracował nad porzuceniem ziarna niezgody pomiędzy stany i nad powaśnieniem tychże. Mając przy boku równie źle intencyonowanego starostę lwowskiego Kazimierza Milbachera (protoplastę Melbachowskich) i Sachera Masocha dyrektora policyi, niezgrabnego obrońcę taktyki rządu w r. 1846, wielbiciela lojalności i przymiotów Szeli, wiedział pan baron o przygotowaniach do powstania. Pan baron był świadom środków jakimi rząd skutecznie posługiwać się zamierzał, jeżeli pamiętne a tak znaczące wygłosić mógł zdanie: „w najgorszym razie zaburzenie nie potrwa dłużej nad trzy dni, potem będzie sto lat spokoju”. Słowa te będące zapowiedzią tego co się dzieć miało, zdradzające, że pan prezydent wiedział o przygotowaniach do rzezi, mogli rozumieć jedynie wtajemniczeni w to, co się w tajemnicy biur rządowych działo.

Godnymi zaufania Kriega i Milbachera na prowincyi byli starostowie Andrzejowski w Złoczowie, Przybylski w Jaśle, Lederer w Rzeszowie, Ostermann w Sanoku, którzy nieludzkim obchodzeniem się z pobitą srodze i dostawioną do cyrkulów szlachtą, zarówno jak wypędzaniem z miast chroniących się tamże, by co rychlej zostali wymordowani, zasłużyli sobie, by matki polskie niemi straszły dzieci. Najgorliwszymi wszakże obrońcami zagrożonej monarchii rakuskiej, byli Berndt starosta w Bochni i tygrysiej krwiożerezości tarnowski Breindl v. Wallerstem, ozdobiony za położone w tym roku zasługi orderem Leopolda.

Za nimi idzie cała plejada nikczemników, którzy na wyścięgi odznaczali się w poniewieraniu dogorywających do cyrkul przywiezionych panów, takich co z dziwną brutalnością lżyli biedne wdowy i sieroty, chcące raz jeszcze ujrzeć drogie sobie osoby, z niezwykłą powagą zamykali usta zacnym kapłanom jak n. p. ks. Waleremu Serwatowskiemu, gdy tenże roz-

szalałemu chłopstwu piąte przykazanie boskie przypominał. Niektórzy z nich wicherzyli pomiędzy chłopstwem, strasząc je jakimś urojonemi zastępami, a nie brakło i takich, co bohaterstwo swe do tego posuwali stopnia, że przebrani prowadzili bandy i mordami kierowali. Pomędzy tymi odznaczyli się: Leśniewicz, Trojanowski, Chomiński, Hoszard i Wizthum. Takich to ludzi nasefano do Galicyi, tacy byli powołani by porządkować stosunki zabranego kraju, by wyrównać pretensye, jakie pomiędzy szlachtą a włością były. Nie dziw, że pod ich kierunkiem Szela wyrósł na bohatera, że ich zabiegom zawdzięczał order, którym został ozdobiony.

Że w słowach barona Kriega: „trzy dni zaburzeń a potem sto lat pokoju”, przejawiał się plan uzbrojenia chłopów w cepy, widły i kosy, i by z nimi uderzyć na szlachtę, dowodem tego, że nie zażądano powiększenia siły zbrojnej w Galicyi, że owszem uznano takowe jako zbyt kosztowne i niepotrzebne. Po cóż w cyrkulach w których najwięcej mordowano panowie starostowie po stukilkudziesięciu chłopów na konferencye zwoływali?

Trudno nie obwinić ówczesnej biurokracyi o uczestnictwo w rzezi 46 roku, jeżeli się zważy, że pomimo ostrzegających głosów rząd austryacki nic nie zrobił, by powstaniu na drodze legalnej przeszkodzić, owszem wyglądał przystoniwszy oczy, by co rychlej te trzy dni zaburzeń nadeszły.

Czemuż to, i jakim dziwnym zbiegiem okoliczności, przez trzy dni właśnie osławione mordy trwały, już dla tego jedynie, że z góry na trzy dni pozwolenie było wydanem, co tak niefortunnie powiedzeniem swem pan prezydent baron Krieg zdradził. Austrya powinna była tak samo postąpić jak Prusy, jak zrobiła Rossya. Plan powstania obejmował i tamte ziemie, a przecież rzezi tam nie wywołano.

Sąd pruski wydał paraliżując zamierzone powstanie nie mało wryoków śmierci, a nikt o to nie podniósł okrzyku zgrozy, Metternich i Krieg woleli zamiast protokołów sumaryczne postępowanie, pozbywając się całkowicie niespokojnego żywiołu.

Słusznie też okrzyk oburzenia podniósł się w całej Europie na postępowanie rządu austriackiego. Izba francuska, w której przemawiało kilku świetnych mówców, napiętnowała postępek rządu austriackiego, jako ohydny i nie mający równego w dziejach, a także głosy spotykamy w dziennikarstwie zarówno francuskim jak angielskim. Ciekawa, że pomimo sukcesu księcia Metternicha i barona Kriega, nikt w Europie nie winszował im stu lat pokoju w ten sposób zapewnionego.

Starostowie metternichowscy mogli byli przy jakiej takiej energii wyłowić spiskowych, wysyłając zamiast chłopów po eskadronie kawalerii na punkta zborne, gdzie nie tłumnie ale pojedynczo spiskowi przybywali, woleli posługiwać się chłopem, by na zawsze z dworem dokonać rozbratu, upodlając w dodatku chłopca zapłatą za dostawionych, judaszowskich srebrników. Płacili panowie Breindl i Berndt rozmaicie, od paru do dwudziestu pięciu zł. od głowy. Płaceniem wyższej premii za pomordowanych sprawili to, że chłopci żywych pod oknami starostwa w obliczu tylu ciekawych dobijali, a panowie ze starostwa nie przeszkodzili temu. Byli tu i ówdzie zaćni w starostwach ludzie, ale jak komisarza Brzeżaniego w Tarnowie nie słuchano ich rady poczeiwej, bo więcej było Chomińskich, którzy to śmieszłą czułościwością nazywali. Fakta wymownie potępiają rządy Metternicha, Breindl za krew rozlaną dostał order, a Brzeżani jako nieżycziwy rządowi i podejrzany poszedł na pensję. Patrząc na te krwawe zapusty, krwi i trupów tyle, słuchając jęk i narzekanie sierot i wdów tylu, można było uwierzyć, że Niemcy poszalały, tak to było coś niezwykłego; tymczasem Breindl wiedział co robi. Breindl robił z wyższego polecenia, co stwierdzają słowa jego: „nie byłoby dla mnie dość wysokiej szubienicy, gdybym nie działał z wyższego polecenia”. Nareszcie po trzech dniach o których proroczo wspominał był p. prezydent baron Krieg, kiedy całkowicie rozegrał się straszliwy dramat, i głosem Racheli płaczącej synów rozbrzmiewała Polska cała, poruszyło się w p. Breindlu serce! zażył na czułość, kiedy już nie było kogo mordować i wydał odezwę, która

o uczuciach ojcowskiego rządu świadczyć miała. Oto co zbier ten pisze: „Zaburzenia w ostatnich upłynionych dniach (trzech) przez źle myślących wzniecone, namiętności na taki stopień gwałtowności posunęły, iż wewnętrzny spokój w najwyższym stopniu zniszczony, nie tylko niebezpiecznym, ale każde czułe serce do gruntu porusza” — dalej: „wzywamy obywateli (których już nie było), którym najostrzej posłuszeństwo zalecamy w spokoju i porządku się zachować”. Taką kartę pogrzebową wydrukował Breindl pomordowanym, takie łyzy krokodylowe leje po trzecim dniu mordów, śmie się odzywać do obywateli których niema, których w pierwszej chwili tyle wymordowano, że pierwszego dnia 144 na cmentarzu w Tarnowie zakopano, bo o pogrzebie mowy nie było. Jaką rolę cyrkuty w tej smutnej historii odegrały, zdradzali niezobowiązani do milczenia chłopci, powtarzając, że na trzy dni „befel” mieli, i że kobiety i dzieci które oszczędzano, rozkazem nie były objęte. Kiedy po wypadkach krwawych lutego, rząd dla świata począł wysłać gdzie tego żądano oddziały wojska, a oficerowie chłopów nie chcących zwracać zrabowanych rzeczy bić kazali, wówczas ślepe te Metternicha i Breindla polityki narzędzia, wyrzekając głośno wołali: „kazaliście rznąć ciarachów, obiecywaliście grunta, a teraz nas katujecie”. Metternich wierzył prawdopodobnie w godziwość użytego przez siebie środka, jeżeli w zamku swoim w gabinecie do pracy przeznaczonym miał zawieszony portret Szeli, co zarazem świadczy, że z tym rzezunem ściślejsze duchowe łączyło go pokrewieństwo. Portret Szeli spotkała zwiedzając zamek Metternicha jedna z pań polskich, dotkniętych nieszczęściami r. 1846.

Gdyby rząd nie był umaczał palców w wypadkach r. 46, gdyby nie był główną działającą sprężyną, byłby inne zajęł stanowisko wobec skarg jakie po rzezi wnoszono do rządu, tymczasem rządy Metternicha nie myślały o ukaraniu zbrodniarzy, o daniu jakiegokolwiek zadośćuczynienia tak srodze pokrzywdzonym, ale brał w obronę rozbójników, oburzające na

skargi wniesione dawał odpowiedzi, a w wielu wypadkach jakby na uragowisko zbrodnię wynagradzał.

W tem zachowaniu się rządu, oprócz przyznania się do współnictwa, szukać należy źródła socjalistycznych zachcianek ludu wiejskiego, w którym takie rozdmuchano, następnie niezaspokojone żądze.

Dziwna, jak można było popaść w takie zaślepienie, by nie rozumieć, że późniejsza egzegeza każdy krok i słowo rozbierać i tłómaczyć będzie. Oto co za odpowiedź dało c. k. starostwo w Jaśle na skargę dzierżawcy z Olszyn p. Niewiarowskiego. Do l. 1672 d. 6. czerwca pisze pan starosta: „Bei dieser Gelegenheit fordere ich Sie auf, jedes Rachegefühl gegen die vermeintlichen Urheber oder Theilnehmer Ihrer Verhaftung oder sonstigen Verunglimpfung zu unterdrücken und sich unter schwerer Verantwortung jeder Eigenmächtigkeit zu enthalten”. Przy sposobności tej wzywam Pana, ażebyś stłumił wszelkie uczucie zemsty przeciwko domniemywanym twórcom albo współnikom Pańskiego uwięzienia, lub innego niepowodzenia, również byś Pan pod surową odpowiedzialnością wstrzymał się od wszelkiej samowoli. W podobny sposób ale jeszcze wyraźniej pisze prezydium sądu krajowego dnia 11/12. 1846 do l. 1164: „werden Sie hiemit aufgefordert, mittelst eines Ausweises anher nachzuweisen, welche Effecten und bei wem sich solche befinden, da eine allgemeine Hausdurchsuchung bei den bestehenden Directiven nicht zulässig ist”, wzywa się Pana, ażebyś za pomocą nadesłanego tu wykazu dowiódł, jakie rzeczy i u kogo takowe się znajdują, gdyż ogólna rewizya wedle istniejących wskazówek nie może być dozwoloną.

Pisma te rządowe będące w rękach synów p. Niewiarowskiego, nie potrzebują zda się komentarza, zanadto bowiem widoczne kogo rząd brał w opiekę, a zarazem że istniały wskazówki, których starostwa i sądy trzymać się miały. Ustępy te z pism rządowych dowodzą, że słowa barona Kriega: „będzie trzy dni zaburzeń” nie były bezmyślnie rzucone, zdradzały one tajemnie naprzód obmyślany plan.

Takie same jak powyższe rozporządzenia starostwa jasielskiego i prezydyum sądu, wydało starostwo tarnowskie d. 10 maja 1846 do l. 1639 i samborskie d. 13 maja 1846 do l. 5569, zabraniając rewizyi za zrabowanemi rzeczami.

Panowie Moszczeński ze Zbyltowskiej Góry i p. Leśniowski z Ryglie uszli rzezi, zastaniając się wobec chłopów biletami c. k. starosty, polecającemi by ich oszczędzano, a zatem z rozkazu tegoż starosty nie mieli nikogo oszczędzać. Jak za czasów Sulli i Maryusza istniały zatem wykazy proskrybowanych, skazanych na zagładę, a mogli ocaleć ci tylko, których starostowie, będący panami życia i śmierci w nich nie umieścili. Że zaś instrukcye były jasne i wyraźne, dowodem tego, kiedy Leśniowskiego nie tknięto, rządząc jego z mieszkania wywleczono i zamordowano.

Ścisłość w wykonaniu z góry nakreślonego planu, obawa by nie brakło nikogo pomiędzy skazanymi na zagładę, były powodem, że starostowie chroniącym się do miast cyrkularnych odmawiali pozwolenia pobytu w nich, że ich poprostu wypędzali, by tem łatwiej w ręce oprawców wpadli. Tak zrobili starostowie jasielski, bocheński, rzeszowski i sądecki, w Tarnowie zbytecznem to było, bo tam już trupy i na wpół żywych zwożono.

Jakże sobie tłumaczyć zachowanie się komisarza jasielskiego p. Baunhölzla, który z Łużny ku Siedliskom wyjeżdża, by się dzieła zniszczenia przypatrzeć i cofa się nie przeszkadzając rabusiom, pomimo że asystencya wojskowa, którą miał, na rozbewstwione chłopstwo uderzyć chciała.

O winie rządu metternichowskiego przekonuje dowodnie postępowanie rządu z chłopami i z Szelą. Szela, który oprócz rodziny Boguszów tyle innych osób w okolicy Pilzna wymordować kazał, i tyle majątków szlacheckich zniszczył, a od którego rozkazy jako od głównodowodzącego na wszystkie strony latały, otrzymał *) złoty medal i zupełnie urządzone gospodar-

*) Wiedeń 5 sierpnia 1847. Pragnąc wyszczególnić dowody wierności złożone naszemu tronowi i wynagrodzić zachowanie się lojalne p. Jakóba Szeli w czasie ostatnich wypadków w Galicyi w roku ubiegłym, pragnąc nadto

stwo na Bukowinie, tak samo wynagrodzono pojedyncze osoby i gminy? za czyny, które się postępowania karne domagały.

Nietakt biurokracyi posunął się w tych czasach do tego stopnia, że wysoki urzędnik p. Łażański nie wstydził się chodzić publicznie z Szelą, że od biskupa zażądał, by zbójca ten krwią zboczony był na liście zaproszonych na obiad galowy z powodu urodzin cesarskich. Jak drogą rządowi była jego osoba, świadczy asystencya wojskowa dana mu w czasie podróży na Bukowinę.

Niegodziwy kanclerz państwa dopuściwszy się ohydnych czynów, akta powyżej wypisane podsunął cesarzowi do podpisu. Podpis dany nie krzywdzi Ferdynanda, gdy nie wiedział o co

obronić go przed ciężkimi potwarzami, które się nań posypały, nadajemy mu najlaskawiej wielki medal złoty noszący napis „Bena merenti”.

Wielki medal złoty Maciejowi Stankiewiczowi burmistrzowi w Wadowicach, Aloyzemu Templemu zarządcy dóbr Brześcia w obw. wadowickim, drugi mniejszy medal złoty Franciszkowi Stankiewiczowi w Brzesku, Franciszkowi Huszko syndykowi, Leopoldowi Loebensteinowi syndykowi w Skawinie, Michałowi Parylewiczowi zarządcy kamer. w Niepołomicach, Adolfovi Koszina burmistrzowi w Rzeszowie.

Wiedeń 24 czerwca 1846. Chcąc obdarzyć łaską ces. i królew. wyższych urzędników, gminy i pojedynczych za niezwykłe zachowanie się i skuteczną działalność, które w czasie ostatnich wypadków rozwinęli, wykonując swe obowiązki przynajemy:

Medal mały i 100 zł. każdemu: Józefowi Stelmachowi wójtowi w Lisiej Górze, Dymitrowi Kuchar wójtowi z Ryczychowa (Horożanna), Janowi Komperdzie wójtowi z Czarnego Dunajca, Jakóbowi Chlebkowi z Czar. Dunajca, Janowi Śmiałowskiemu wójtowi z Czudca, Jędrzejowi Sieniowskiemu wójtowi z Targowisk. 1000 zł. do podziału pomiędzy 6 gmin państwa Horożanny. 1000 zł. gminom Bażanówka, Stańkowa, Olszanica, Ustyanowa. Władze miejscowe odpowiednio do zasług rozdziela także sumy gminom Targowisko, Łężany, Widacz, Jaszczew, Jedlicze, Mencinek i Kożuchów.

Sumę 100 zł. Janowi Dusowiak wójtowi z Horoszowy, Hnatiowi Pałka wójtowi z Podwysokiego, sumę 60 zł. Iwanowi Niemika wójtowi z Bażanówki, Stefanowi Packo wójtowi z Stańkowy, Iwanowi Popiel wójtowi z Olszanicy, Iwanowi Cybakowi wójtowi z Ustyanowy. Nadto polecono władzom miejscowym, by dały też pewne sumy wdowom i sierotom tych co zginęli w Lisiej Górze i Horożannie, nadto zarządzono by pisemnie w mojem imieniu podziękowano gminom Czarny Dunajec i Podezerwone. S.

chodzi, lecz za to hańbą okrywa imię kanclerza, który potworne zbrodnie z ramienia rządu pochwałał i nagradzał.

Opinia, że nie dwór cesarski, lecz organa rządowe te krwawe wypadki wywołały, przejawia się za granicą, gdy lord Palmerston tak o tem w izbie angielskiej mówi: „Szczegóły okrucieństw popełnionych w tej prowincyi nie mają mogę powiedzieć nic podobnego w żadnym stuleciu, a bezsprzecznie w czasach nowszych. Nie mogę przypuścić, by okropności te przez rząd austriacki były postanowione, lub by mu były znane, ale nie mogę zaprzeczyć, i prawie pewny jestem, że okrucieństwa te zawdzięczyć należy władzom miejscowym tej prowincyi.

Wiedeń 11 lipca 1846. Chcąc wynagrodzić znakomite usługi oddane państwu w czasie ostatnich wypadków w Galicyi nadaję krzyż kawalerski orderu Leopolda p. Breindlowi de Wallerstem staroście w Tarnowie, p. Czeczowi de Lindenwald staroście w Przemyslu, nadto nadaje szlachectwo austriackie p. Loserthowi staroście w Wadowicach, p. Berndtowi staroście w Bochni, p. Bocheńskiemu staroście w Sączu, p. Przybylskiemu staroście w Jasle. S.

Wiedeń 18 sierpnia 1846. Chcąc wynagrodzić wierność, jaką okazali w usługach ważnych poniżej wymienieni urzędnicy, i znakomitą energią w czasie ostatnich wypadków w Galicyi, stając w obronie porządku publicznego, nadajemy najlaskawiej medal złoty Frydrykowi Koją, zarządcy w Mysłowicach i w Lanckoronie, Ignacemu Langerowi zarządcy w Makowie, mały medal złoty Jakóbowi Bargielowi wójtowi w Sułkowicach, sumę 50 zł. każdemu z niżej wymienionych: Janowi Klimasowi wójtowi w Lubieniu, Antoniemu Malinowskiemu wójtowi w Borkach, Piotrowi Maślance wójtowi w Woli Radziszowskiej, Norbertowi Klocowi wójtowi w Kobierzynie, Wojciechowi Łasce wójtowi w Ostrzeszy. S.

Wiedeń 30 sierpnia 1846. Pragnąc dać dowody nieustającej mej łaski i wynagrodzić dobre zachowanie się, wierność i sprężystość w obronie spokoju publicznego w czasie ostatnich wypadków w Galicyi rozporządzam, by wypłacono sumę 1000 zł. gminie Lisia Góra i 500 zł. gminie Odporyszów, dalej sumę 100 zł. Pawłowi Rozborskiemu wójtowi z Odporyszowa i Andrzejowi Tatarczykowi włościaninowi z Odporyszowa, sumę 50 zł. Łukaszowi Kostakowi rolnikowi również z tejże miejscowości.

Wiedeń 10 lipca 1847. Pragnąc wynagrodzić znakomite zasługi oddane w czasie wypadków r. 1846 w Galicyi, nadajemy mały medal wójtom w gminach pobliskich Tarnowa, a to Antoniemu Łazowskiemu z Grabówki, Józefowi Satlak z Zabłocia i Wojciechowi Figacz ze Strusiny.

Ze wina spada na goniących za orderami, przesadnie w gorliwości a niechętnych polskości, a temsamem szlachcie urzędników, to przyznaje bliżej przyglądający się wypadkowi sekretarz arcyksięcia Ferdynanda Este p. baron Sala, słowa bowiem jego: „dass eben diese Beamten in ihrem Eifer etwas zu weit gingen”, czyli że urzędnicy w gorliwości swej przeholowali, są jako zdanie obcokrajowca wtajemniczonego w sprawy dla stanowiska jakie zajmował wielkiej wagi.

Pan Sala w dziele swem o roku 1846 niedźwiedzią przysługę oddał też i arcyksięciu Ferdynandowi, pisze bowiem, że tenże tak się do Breindla odezwał: „dass die Regierung selbst eine blutige Catastrophe nicht scheuern darf, wenn es sich darum handelt die gesetzliche Ruhe und Ordnung zu erhalten”, czyli, że rząd nie powinien się wzdrygnąć nawet przed krwawymi zajściami, jeżeli chodzi o utrzymanie pokoju. Sapienci sat, mogło odezwanie to być dobrem dla komendy wojskowej, ale dla Braindla było jak czas pokazał niebezpiecznem, a Sala umieszczając odezwę tę z d. 17/2 1846 do l. 563, fatalną oddał przysługę arcyksięciu, robiąc go współwinnym wypadków 18 i 19 lutego i następnych.

Gadatliwy zbytnio pan Sala przyznaje w swojej historii powstania, że rząd stosunki z chłopstwem utrzymywał, że badał jego usposobienie, że obawiając się wybuchu gorączki, trzymał rękę na pulsie, by w razie potrzeby zarządzić upuszczenie krwi. Man hörte, mówi Sala, dieselben Urlauber von der vortrefflichen Stimmung und Haltung der Bauern mit so inniger Ueberzeugung erzählen, dass man unmöglich dem Gedanken Raum geben konnte, es werde den Rebellen ja gelingen die Massen auf ihre Seite zu bringen. Słyszano urlopników opowiadających z tak głębokiem przekonaniem o usposobieniu i o postawie wieśniaków, że niemożliwe przypuścić, by się powstańcom udać mogło, lud na swoją przeciągnąć stronę.

Pan Krieg i p. Sala nie uczęszczali prawdopodobnie do karczemu, by podsłuchiwać chłopów i urlopników, którzy wobec udzi zazwyczaj są małomowni, ale słuchali chłopów po biurach

Breindle i Berndty w czasie konferencji, które z nimi odbywali.

Konferencye z motłochem urlopników, najwstrętniejszą przemianą chłopą, badania o stosunkach szlachty i podejrzewanie, że może przeciw cesarzowi spiskować, było nieogłędnem i grzesznem, dawało bowiem dzikiemu chłopu pewną nad dworem kontrolę, uprawniało go by podejrzanego sobie pana pojmować. Jeżeli zaś konferencye z urlopnikami mogły co do zachowania się ludu u rządu jak Sala twierdzi zrodzić przekonanie, nasuwa się pytanie, czemu w tak okropny sposób pozbywano się szlachty, skoro nie mogła stać się niebezpieczną.

Wprowadzenie w grę takich żywiołów, użycie tak wstrętnej broni mogłaby tłumaczyć jedynie okoliczność, gdyby powstanie zaskoczyło rząd całkiem niespodziewanie, temczasem rząd we Lwowie uznawał za zbyt liczne pomnożenie siły zbrojnej, pan Krieg wspominał o trzech dniach zaburzeń, zatem wiedział co się przygotowuje, i wiedział jakiej przeciw spiskowym użyje broni. Zdradza to znowu p. baron Sala w historii powstania, na st. bowiem 179 tak pisze: *Dem Leser wird sich die Ueberzeugung aufgedrungen haben, dass die Provinzial-Regierung in Lemberg über den Charakter, Umfang und inneren Kern des beabsichtigten Aufstandes keineswegs wie später allgemein behauptet wurde, in arger Täuschung befangen war, und die Gefahr überschätze, czyli: „Czytelnik musiał sobie wyrobić przekonanie, że rząd prowincjonalny we Lwowie bynajmniej nie łudził się wcale, jak to później powszechnie utrzymywano co do istoty rozmiarów i ducha zamierzonego powstania, że też niebezpieczeństwa nie lekceważył.“*

Wielkiej doniosłości ze strony sekretarza arcyksięcia Ferdynanda Este zeznania, które same wystarczą by potępić rząd ówczesny, by sobie wyrobić przekonanie, że działał z całą świadomością, po zimnej rozwadze, wiedząc czego chce i w jaki sposób sobie jak p. Krieg twierdził, 100 lat pokoju zapewnić może. Nie można chyba wątpić, że wyrznięcie szla-

chty z pomocą chłopów było przez członków tego rządu postanowionem.

Pan baron Sala porobił pisząc w obronie rządu zeznania w wysokim stopniu obciążające rząd ten, jest klasycznym świadkiem w tej sprawie, łapie się bowiem i na innym miejscu. Oto twierdzi p. Sala, chcąc widocznie obronić cyrkuły, jako by one hasło do rzezi dały, iż wypadek jaki się wydarzył w Pilźnie zamordowania poczmistrza hasłem stał się do wystąpienia chłopstwa. Zapomina pan baron, że sieci wówczas jeszcze nie było telegrafów i kolei, by jakby za uderzeniem iskry elektrycznej po wypadku w Pilźnie na tyłu punktach odrazu, równocześnie oburzenie chłopów krwawą rozpalić się mogło łuną.

Konferencye Breindla i wskazówki przezeń dane chłopom, a nie zamordowanie Merkla, wywołały ruch na przestrzeni rozległego cyrkułu, i dziwnie śmieszną wydaje się obrona pana Sali po tem, co poprzednio z jego zeznań umieściłem.

Tak samo zdradza taktykę rządu autor pamfletu „das Polen-Attentat“ bolejąc nad tą okolicznością, że rząd do chłopów się uciekał, pisze on: Oesterreich musste was schlimmi genug ist, zum Bauer seine Zuflucht nehmen, w innym zaś miejscu posądza urzędników jakoby we własnym interesie ruch ten wywołali. „Verbreiten nicht selbst kaiserliche Beamten, da ihnen ein aufgeregter Zustand, den hohen Diäten halber nur sehr erwünscht sein muss, die absurdesten Gerüchte“.

Jak zaś upadło poczucie godności, powagi reprezentującego państwo urzędu, świadczy następujący wypadek. Obywatel pewien w Jasielskiem udał się do cyrkułu, żądając pomocy, by chłopów do roboty w polu nakłonić, gdyż należało się obawiać, że wiosenne zasiewy przepadną, po jednym roku głodu nastąpi drugi o wiele straszniejszy. Cyrkuł pod d. 28 marca 1846 odpowiedział na to, że na razie nie w tej mierze zarządzić nie może, i że skoro Szela wpływu swego użyć obiecał, by chłopci zasiewy wiosenne robili, powinien się ów właściciel udać do Szeli, by rozkaz wydał, jak się chłopci zachować mają.

Niepodobne do wiary — a przecież tak było! Skutkiem przewrotnej polityki powołującej chłopstwo do współdziałania, starostowie ze zdaniem i wpływem prostego liczyć się muszą zbrodniarza, rząd atrybucyje własne przyznaje Szeli! O ile zaś powoływanie do współdziałania chociażby w tłumieniu powstania mas ciemnych było ciężkim błędem politycznym, grzechem wobec ludności kraju pozbawionego niepodległości, niechaj na to odpowiedzią będą słowa księcia Emila Sayn Wittgenstein Berleburg, naczelnika wojennego okręgu kaliskiego, pisane d. 13 marca 1863 do naczelnika kancelaryi dyplomatycznej wielkiego księcia Konstantego. Oto słowa jego:

„Jesteśmy na prostej drodze, która doprowadziła w Galicyi do anarchii r. 1846, jeżeli się nie skierujemy na prawo o ile możności jak najprędzej“.

Rząd tak się ucieszył, słusznem zachowaniem się chłopów, że im cugle położył na karku. Zaczęli oni od rozumnego odmawiania udziału w powstaniu, następnie zatrzymywali uzbrojonych włóczęgów, chwalono ich za to, chwając zapomniano przedsięwzięcia środków, by przeszkodzić nadużyciom, koniecznym u ludzi niezdołnych utrzymania się bez zawrotu głowy na wysokości moralnej, na której ich postawiono. Pochwały, uprawniające ich działanie upoiły ich, sądzili że przysłuży im prawo wykonawczej sprawiedliwości i poszli dalej, więżą oni już ludzi bezbronnych, by z czasem więzić u siebie w domu właścicieli ziemskich, którym nie ufają. Dopuszczają się gwałtów na wszystkich którzy im się nie podobają, a wkrótce będą więzili osoby właścicieli ziemskich, z którymi mają proces, żydów którym winni są pieniądze. Nareszcie gdy to nie wystarczy, zaczną rzucać. Zrobią to z tem mniejszem wahaniem się, że im już włożono w głowę, że wszystkie majątki zaskwestrowane będą do nich należały... Powtarzam, że jest to taktyką, która nas zaprowadzi do anarchii, tak trudnej do zgniecenia jak sama rewolucya, anarchii która pozostawi za sobą ruiny i potoki krwi. Nie uspakaja się kraju, rozpasając jedną warstwę społeczeństwa przeciwko drugiej.

Pan baron Krieg, nie miał ani tyle serca, ani tyle rozumu co naczelnik wojenny w państwie, które jako szczyt barbarzy przedstawić nawykli ludzie, a przecież, gdyby baron mógł być sięgając o dwa stopnie wyżej, stanąć na równi z księciem, nie byłoby tyle w Galicyi wdów i sierot, tyle krwi przełanej, tyle zmarnowanego mienia.

Sz l a c h t a.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, była szlachta solą w oku zarówno partyi rządowej jak i frakcyi demagogów, których stosunki emigracyi z partyą przewrotu we Francyi wytworzyły. Kwas rewolucyjny zaraził słabsze głowy, i zrodził niechęć do szlachty, z tytułu że posiadała ziemię, że miała za sobą przeszłość, której zazdrościli ludzie bez przeszłości, przekonani że nową erę dziejów zerwaniem z przeszłością i z tradycją rozpoczynać należy. Rząd postanowił być pozbyć się szlachty, demagowie bez szlachty, kosztem jej praw i mienia do przewrotu dążyli, tak że na tym punkcie była pewna zgodność pomiędzy rządem, a pewną frakcją przygotowującą wypadki.

Przypatrzmy się teraz tej szlacheie.

Pomiędzy szlachtą w kraju zarówno jak w emigracyi były dwa odcienia, ludzi posiadających większe fortuny, rozleglejsze stosunki, patrzących spokojniej na świat, i drugich, mniej zamożnych umiejących rąbać, a nie lubiących politykować. Pierwsi dla stosunków rodzinnych i częstych z zagranicą relaacyi, łączyli się z obozem Czartoryskich, przeciwni byli zrywaniu się do walki nie obmyślanej należyście.

Dziwić się nie można, że lękając się sroższego pogńębienia kraju, obawiali się też by majątki nie przeszły w ręce obce. Ludzie tego stronnictwa za nadto wiele poświęcili, by wspomnieć tylko Czartoryskich i Leona Sapiechę, by wolno było o egoizm ich posądzać, i podejrzywać czystość ich poglądów.

Szlachta właściwa siedząca po dworkach własnych i na dzierzawach, więcej ruchliwa i skora do każdej imprezy, nie mająca żadnych prawie z zagranicą stosunków, gotową była w każdej chwili iść na linię bojową, chwycić za kord jeżeli odezwano się do jej patryotyzmu. Szlachta drobna przywykła trzymać się klamki pańskiej, iść pod sztandarem tego lub owego senatora, zdolną była opuścić tę chorągiew, skoro w imię patryotyzmu rzucono podejrzenie tak łatwo u nas się przyjmujące, że panowie dla sprawy zobojętnieli.

Tem zjawiskiem wytłómaczyć można zarzuty, które czerwono zabarwieni pisarze lub niemieccy autorowie robią, jakoby majątniejsza część narodu stojąc na uboczu o względy arcyksięcia się ubiegała i bawiła, tem zarzut drugi, jakoby niższe tylko warstwy społeczeństwa, dzierzawcy i oficyaliści do spisku należeli.

Panowie majątni żyli ze sferami wyższymi nie należącemu do kraju towarzystwa, bo było to wynikiem ich socyjalnej i majątkowej pozycji, mogli wprowadzić stosunków tych nie nawiązywać, lecz kto wie czy było by rozsądnem zrywać takowe, a że się bawili przed rokiem 46, trudno ich za to potępiać, jeżeli salony niearystokratyczne zupełnie, bawiły się i bawią w rocznice stuletnie rozbioru kraju.

Szlachta mniej zamożna, cała z bardzo małemi wyjątkami należała do ruchu, czego dowodem, że za ledwie dziesiąta część, w cyrkułach gdzie się rzeź srożyła, przy życiu została. Oficyaliści w większej części do tejże szlachty należeli, zmuszeni pracować jak tego coraz liczniejsze przykłady na kawałek chleba. Rok 46 jeszcze większą liczbę rodów i imion szlacheckich zepchnął w szeregi oficyalistów, a prosię spróbować chcieć im zaprzeczyć prawa przynależności do stanu szlacheckiego.

Że ta szlachta o której z przekąsem wspominają przecież coś była warta, dowodem tego, że się na liście proskrybowanych znalazła, że dziś po tylu dowodach niechęci dla niej w obozie naszych demagogów, po tak bolesnem zamanifesto-

waniu się ludu wiejskiego, nie cofa się od ofiar i poświęcenia dla ludu, by go podźwignąć, by dopomódz, by się co rychlej poczuł do obywatelstwa polskiego.

Niechętni szlachcie ludzie z obozu rządowego zarówno jak nowszej szkoły demagogowie zarzucali szlachcie, jakoby uciskała chłopów i źle się z nim obchodziła. Gdyby to i prawdą było, to winić należałoby rząd, a nie szlachtę i to ogół, tam gdzie odosobnione mogły być wypadki. Rząd nie od tego jest tylko by brał rekruta, by ściągał podatki, i nad nałożeniem nowych przemyślał, ale zadaniem rządu jako gospodarza, jest utrzymywać równowagę pomiędzy pojedynczemi warstwami społeczeństwa, bronić mądrymi ustawami by jedne drugich nie ugniatały, nie żyły jedne kosztem drugich. Rząd austriacki od zaboru ziem polskich do roku 46, zatem przez pół wieku miał dość czasu, by się rozglądnać w położeniu rządzonych, by wyrównać rzekome krzywdy, tak że jeżeli była możność wyrządzenia ich, na nim ciąży wina. Trudno przypuścić znając skład ówczesnych urzędów, że w nich sami nieżyczliwi szlachcie służyli Niemcy i Czesi, by panowie ci sadzający chłopów na kanapie w kancelaryi, na bezprawia ze strony szlachty pozwolić mogli. Trudno wierzyć tym zarzutom, jeżeli się uwzględni i to, że nigdzie prawie chłopów na własne dwory nie napadali, czego by sobie byli nie odmówili, gdyby tyle krzywd mieli do pomśzczenia. Że gminy nie zemsta ale rozkaz cyrkularny pchał do zbrodni bratobójstwa dowodem i to, że niektóre gminy jak n. p. Iskrzynia w Krośnieńskim naganę od c. k. urzędnika Schiffnera dostały za to, że w rzezi i rabunku udziału nie brały.

Kogo za możliwe tu i ówdzie nadużycia winić należy, wskazuje pan baron Sala, o którym mam przekonanie, że się w adresie odezwy którą przytoczę pomylić nie mógł i nie chciał. Es erschien, pisze on, ein Aufruf an die Wirthschaftsbeamten, worin denselben über die grausame Behandlung der Unterthanen Vorwürfe gemacht wurden, und sie aufgefordert werden, Bauern statt der Peitsche Worte des Trostes zu geben. Wy-

szła odezwa do urzędników gospodarczych, w której im okrutne obchodzenie się z poddanymi wyrzucano i wzywano, by chłopom zamiast batów nieśli słowa pociechy.

Winą szlachty było używanie odziedziczonego, lub nabytego drogą kupna prawa pańszczyzny, która przecież niezem innem nie była, jak czynszem dzierżawnym spłacanym robotniczą. Miasta pobierające kopytkowe, placowe, podatek konsumcyjny tej samej dopuszczają się lub bardzo podobnej niesprawiedliwości, a i dziś w erze swobód konstytucyjnych nikt zabronić nie może, by posiadający kilkanaście tysięcy morgów ziemi, parę tysięcy pomiędzy osadników rozdał, zastrzegając sobie obowiązek odrabiania pewnej ilości dni w roku, zamiast zwykłego czynszu. Pastwiska i zboże dawane na odrobek, mogą opiekunowie ludu nazwać pańszczyzną, nie pojmując że chłopu, który niema miesięcznej pensyi, którego nie płaci redakcyja, o pieniądź trudno, i że odrobkiem tylko może sobie zapewnić używanie łąki czy pastwiska.

Można było znieść, wykupić pańszczyznę, wiedziała o tem szlachta, usiłowała to zrobić, ale się nie spieszyła pomimo że to z materyalną dla niej było korzyścią. Pomnożenie liczby obywateli uprawnionych do nabywania ziemi, musiało wpłynąć na podniesienie się wartości ziemi, a przecież nie spieszyła się szlachta, bo jej nie o same korzyści materyalne chodziło. Zobaczcie zacni filantropowie moralność ludu po zniesieniu pańszczyzny, jak stał się gnuśnym, jak na pijatyki trwoni grunt, którego dawniej stracić nie mógł, jak walka o kawałek ziemi niszczy węzły rodzinne, zobaczcie jak brak temu ludowi opieki skutecznej, czy to w razie choroby czy na wypadek nieszczęścia, narażenie dzisiaj kmiotka na tyle szkodliwych wpływów, a może przyznacie, że była racya, by się z uwłaszczeniem nie spieszyć zbytnio, że wiele kwestyi inaczej w życiu wygląda, jak pod dobrze zaciętem piórem przy zielonym stole.

Spółeczeństwo polskie przedrozbiorowe nie takie złe i zaco-fane, jak je uprzedzeni do niego przedstawiają. Podczas kiedy u innych narodów, mających do wysokiej cywilizacyi

pretensję, jak n. p. we Francyi, Niemczech spotykamy krwawe wojny chłopskie, w czasie których płonęły zamki szlachty i krwi nie mało się polało, w Polsce do Metternicha i Breindla tego nie było, przeciwnie pomijając króla organizatora, któremu przydomek „króla chłopków” dano, spotykamy szlachetne usiłowania zmniejszenia dni pańszczyzny za Zygmunta Augusta, dążenia do całkowitego zniesienia za Stefana Bato-rego, za Jana Kazimierza.

Pomiędzy tem co dawniej przeprowadzić zamierzano, a tem co za dni naszych zrobiono, jest wszakże pewna różnica. Król Stefan tworząc piechotę wybraniecką, i inni królowie nadając całym gminom szlachectwo, chcieli by lud własną zasługą, poświęceniem się zdobywał sobie te prawa, gdy za dni naszych wszystko co się dla ludu robi, nã jałmużnę wygląda, i zamiast podnosić poczucie godności w ludzie, demoralizuje go, a często rozbudza szkodliwy apetyt.

Nie brak też przykładów, jak pojedynczy ludzie dokonywali u siebie, czego kraj cały przeprowadzić nie zdążył. Stanisław Karnkowski biskup kujawski w 1567, Wawrzyniec Świ-niarski kustosz poznański w 1702, znieśli pańszczyznę całkowicie, Andrzej Zamojski, księżna Jabłonowska w 1761, Chreptowicz, Poniatowski, Kościuszko ulżyli ciężarów włościanom.

W czasach porozbiorowych, w tych właśnie ziemiach, które krwią szlachty spłynęły, pragnęła szlachta znieść pańszczyznę, i kilkakrotnie na sejmach życzenie to objawiała, rząd wszakże niechętny rozwiązaniu sprawy nastroczającej możliwość mieszanja się, zwlekał, a w końcu oświadczył, że załatwienie sprawy pociąga za sobą znaczne koszta, których ponosić nie może. Wówczas postanowił kraj na zgromadzeniu stanów w r. 1845 przyjąć na siebie koszta te, lecz rząd stojąc uporeczywie na zajętem stanowisku, odrzucił dobre chęci. Sprawa ta załatwiona w r. 1845 była by przeszkodziła krwawej katastrofie. Trzeba też było istotnie złej woli, by urzędnicy cesarscy mogli nie spełna w rok głosić chłopom, że panowie cesarzowi w zniesieniu pańszczyzny przeszkodzili.

List podpisany przez 107 obywateli, wytykający rządowi niemądre i nieuczciwe postępowanie z ludem i ze szlachtą, doręczony Stadyonowi, dowodem jest najlepszych chęci, szczerych usiłowań kraju. Oto co pisali:

„Od dawna już pojęły stany, że obecny stan rzeczy był do niewytrzymania, i po wielekroć też żądały onego reformy. Tak jest, od dawna już wszyscy uważaliśmy taką reformę za niezbędną, która by położyła koniec temu niezmiernemu marnowaniu czasu i sił, jakie teraz ze szkoda obu stron mają miejsce, reformy, któraby ustaliła prawa włościan, zachowując wszakże prawa dziedziców. Po ostatnich wypadkach uważamy taką reformę za niezbędną i nie cierpiącą zwłoki, aby fakcyi zmierzającej do rewolucyi społecznej, wytrącić z rąk dźwignię, aby raz na zawsze zniszczyć wszystkie jej nadzieje, które pokłada w obecnem położeniu rzeczy. Lecz my żądamy wzięść udział w tej reformie, udział jaki się nam przynależy w sprawie, gdzie o naszej prywatnej własności ma się decydować... chcemy ponieść ofiary sami, nie aby nam je narzucano, przeciw prawu i słuszności. Trzeba koniecznie aby włościanie dobrze zrozumieli, iż dziedzice mają prawo niezaprzeczone do tych powinności, i wyprowadzić ich z błędu jakoby oni zatrzymać mogli grunta obecnie przez nich dzierżone, nie płacąc żadnej daniny, lub nie pełniąc żadnej powinności. Czyliż przyniesiono by chłopowi jaką pomoc tym sposobem? Sam on może odpowiedzieć co na tem zyskał, i czyli nie znajduje się dziś w zupełnem obałamuceniu, nie tylko już wobec rządu, ale nawet z samym sobą, dziś kiedy go kijami zmuszają do powrotu do karbów posłuszeństwa względem tych, których wczoraj jeszcze był upoważniony krzywdzić, kiedy dnia jednego odbiera podziękowanie za uratowanie monarchii, a na zajutrz kolbami dają mu do zrozumienia, że monarchia innych ma obrońców.

Obecny szafunek tysiącami i tysiącami kijów jeszcze gorzej usposobi włościan, przeciw rządowi i przeciw dziedzicom, tem bardziej, kiedy się im wystawia, iż to bicie kijami dzieje się tylko na żądanie panów“. Dzienn. narodowy z r. 1847.

Tak przemawiała szlachta po wypadkach 46 roku do absolutnego rządu. Przyzna każdy nieuprzedzony, że odzywała się z godnością, że uniała bronić praw swoich, a zarazem okazała więcej dla ludu wiejskiego serca i dobrej woli od tych, którzy hojnie szafowali kijami, a nawet więcej życzliwości od tych chłopomanów, co to hojni są dla ludu, dopóki szafunek z obcej odbywa się kieszeni. Jedni gotowi wystawiać patenta na cudzą własność, drudzy chcą się dzielić resztkami, które z poszarpanej zostały fortuny. Że zaś szlachta przy gotowości do ofiar pragnęła by włościanin wiedział komu je ma zawdzięczać, że chciała by uwłaszczenie nie odbyło się *jure caduco*, to zupełnie słuszna, wobec pogłosek jakie szerzono, iż cesarz darowuje, a szlachta przeszkadza, to uzasadnione obawą rozbudzenia w ludzie co raz większego apetytu, jak to się istotnie dzieje teraz, gdy wychowawcy Pszczółki i Wienca przymusowej się domagają parcelacyi. Nowocześni Grachowie zapominają o tem, że próby tego rodzaju powieść się nie mogą, bo są targaniem się na własność cudzą, bo są niemoralne i coraz to wstrętniejsze wywołać by musiały komplikacye. Z bolem serca powiedzieć trzeba, że dzisiejszy smutny stan rzeczy, postępowaniu niewłaściwemu rządu zawdzięczamy, i samowolnem załatwieniem sprawy poddaństwa, stworzył rząd *praecedens*, podstawę do dalszych ekonomicznych aspiracyi.

Zarzuty robione szlachcie jakoby srogo obchodziła się z ludem pomijam, odpowiada bowiem na nie baron Sala, okoliczność ta, że obce gminy rabunku i mordów dokonywały, wreszcie z uwagi, że z odosobnionych wypadków reguły tworzyć nie można. Przyjaciołom szlachty a adwokatom ludu przypomnieć się godzi, że ci co dla dogodności ludu fundowali parafie, tyle pobudowali świątyń, założyli domów kalek i starców, wyposażali dla biednej młodzieży bursy, do tego pod ciężkimi zarzutami upadającego stanu szlachty należeli. Żyjemy w wieku, w którym modą się stało z okrzykiem „hejże na Soplęcę”, uderzać na szlachtę, gnębić ją i niszczyć choćby nawet takimi środkami jak rzeź Breindłowska, a przecież hała-

śliwi ci demagogowie nie mają spokoju, dopóki nie dobiją się szlachectwa, choćby austriackiego.

Szlachcie która pełniła wszystkie obywatelskie posługi, która piersią własną kraj przed tyłoma najazdami zastaniała, trzeba było do całkowitej glorii palmy męczeństwa, i osiągnęła ją dzięki szatańskiej przewrotności Metternicha, Kriega i Breindla.

Niechże nie łączą się z tym zacnym zastępem nieogłędni, niestusznie uprzedzeni demagogowie.

Chłopi.

Chcąc wydać wyrok o chłopach, którzy w krwawych dniach lutego tak smutno się w pamięci naszej zapisali, musimy się przypatrzeć im jako takim i wpływom jakie na nich odziaływały.

Pomimo, że od roku 46. dzieli nas lat blisko pięćdziesiąt, a w tym razie nie tylko pańszczyzna i poddaństwo zniesione zostały, a powołanie włościanina do życia obywatelskiego, samorządu w gminie i w sejmie, tak samo jak i liczne od tego czasu założone szkoły na stan włościan wpłynąć były powinny; nie były stosunki materialne chłopca przed r. 46. gorsze od tych, w jakich teraz się znajduje, tak samo jak i pod względem umoralnienia i oświaty nie wielka jest różnica. Pomimo, że rzekomymi przyjaciółmi ludu gotowi do poświęceń dla niego z cudzej kieszeni, płakali nad ludem, i stan chłopka czarnymi kreślili barwami, nie było tak źle w rzeczywistości, bo chociaż chłop nie miał swobody rozporządzania mieniem a raczej ziemią, na której siedział, nie cierpiał on nędzy, gdyż dwór nim się opiekował, ratując go jeżeli nie z miłości, to z dobrze zrozumianego interesu, czy to w razie pogorzeń, czy pomoru na bydło, choroby lub głodu. Wolność rozporządzania ziemią, mianowicie od chwili, kiedy parcelowanie by w niezem wolności osobi-

stej nie krępować dozwołonem, zostało zrodziła nędzę i zubożenie chłopów, któremu emigracya do Ameryki nie zapobieże, wywołała rozluźnienie stosunków rodzinnych pomiędzy tymi, co o zagon przez całe nieraz ze sobą spierają się życie, i często przed zbrodnią się nie wzdrygną, by sobie posiadanie rozdrobnionej na atomy zapewnić ziemi. Przed rokiem 46. tego nie było, dla każdego dość było miejsca na roli, choć nie podzielnej i pod opieką dworu zostającej, mieszkający na niej tworzyli ściśle ze sobą związaną rodzinę, którą separatyzm interesów rozbija dziś i nieweczy.

Jeżeli chłop przed rokiem 46. odrabiał jako pańszczyznę pewną ilość dni w roku dworowi, to była robocizna ta czynszem z ziemi na której siedział, do którego dwór miał prawo. Gdyby to nie był stosunek dzierżawny, nie byłyby rządy opiekujące się zarówno co najjużej chłopem jak dworem, przyznały temu ostatniemu indemnizacyi za zniesienie tej pańszczyzny, a i dziś nikt nie zabroni, by bogaci farmerzy amerykańscy rozdzielając pomiędzy ręce do pracy potrzebne, a przybywające z państw gdzie pańszczyznę zniesiono, taką samą zaprowadzili pańszczyznę i poddaństwo, na co nasi osadnicy chętnie się zgodzą, sprzedając w ten sposób w drodze umowy swoją pracę.

Nie stykający się z ludem wiejskim, niepłatni tegoż adwokaci, podnoszą jako zarzut przeciw dworom, że wyzyskując lud wiejski zbyt lichy płaciły dwory robotnika. Nie da się zaprzeczyć, że ceny robocizny były niskie, ale też przypomnieć się godzi, że w tym samym stosunku niskimi były ceny zboża, ziemniaków i mięsa, że na wyższe ceny wpłynęła dziś konkurencya budzącego się przemysłu, zajęcia przy budowie kolei i w kopalniach nafty. Zapytać się godzi ekonomistów tych w obronie ludu stających, czy przy zastosowaniu maszyn rolniczych, zastępujących pracę rąk, przy ciągnięciu drożeniu artykułów spożywczych i przedmiotów co raz to wykwintniejszego ubrania, znać w stosunkach dobrobytu ludu wiejskiego, tem więcej gdy sam krowę żywicielkę kupić musi jak i było robocze, to stosunkowo nienaturalne wygórowanie cen robocizny.

Chłop nasz biedniejszym jest dziś, jak był przed rokiem 46, drogo opłaca rzekomą wolność i równouprawienie.

Pod względem umoralnienia i poziomu oświaty, powinny były zmienić się skutkiem ofiar jakie kraj poniósł i ponosi stosunki na lepsze, a przecież wolno twierdzić, że na lepsze stosunki się nie zmieniły. Poznała pewna liczba włościan nieznanym sobie przedtem alfabet, ale na to tylko, by zgubne dla siebie, zatruwające spokój i rodzące pragnienia czegoś nieuchwytnego czytywać mogła socyalistów naszych elukubracje, nauczyła się myśleć nie spokojnie i trzeźwo ale gorączkowo, by wydrzeć drugim to, co pracą sobie zdobyli lub prawem spadku posiadli. Umoralnienie zaś chłopka naszego cofnęło się a nie postąpiło naprzód. Po zerwaniu węzłów stosunku patryarchalnego łączącego gminę z dworami, i to w sposób niejako przymusowy, bez względu na okoliczność tę, że dwór sam zniesienia poddaństwa u rządu się domagał, rzuceni zostali włościanie na łup siedzącego po wsiach siejącego zepsucie żydostwa, oddani zostali w opiekę niewytrawnych, dworom niechętnych agitatorów, którzy sprawili, że chłop żyjący do niedawna z dworem w zgodzie, szukający u niego porady i znajdujący pomoc, stoi dziś odosobniony, dyszący niedowierzaniem, wyzyskiwany zazwyczaj przez tych, co go od dworu odciągnęli.

Twierdząc stanowczo, że dola ludu naszego przed r. 46. tak okropną nie była, twierdząc, że lud wiejski nie byłby się rzucił na dwory, nie byłby splamił się krwią bratnią, gdyby go wrogie nam nie były do zbrodni popchnęły wpływy i ręce. Zaślepieni w roznamiętnieniu demagogowie mogą chyba utrzymywać, że lud wiejski przez wieki i długie lata w konto „winien” zapisywał rzeczzone krzywdy swoje, by dopiero w roku 1846. pretensje swoje finansować. Ci co niechęć do szlachty zrodzoną w zawiści tego co więcej od nich posiadała wylać raz chcieli, i kaimowe dla niej żywili uczucia, niepotrzebnie podsuwają chłopu z roku 1846 zemstę. Chłop nasz jak dziś tak i przed r. 1846, jak wszystkie natury proste niezgangrenowane wyrażaniem, mścił się krzywd zwykłym na wsi sposobem, pod-

pałał stodoły lub stajnie, i czuł się zadowolonym i pomszczonym. Chłop nasz nie byłby rabował i krwi przelewał, gdyby go nie ośmielono i nie zachęceno.

Wszak ucisk pańszczyzniany tam był większy gdzie większe były łany, a przecież na wschodzie, na Podolu rzezi nie było, bo wyjątkowo źli ludzie znaleźli się na stanowiskach wpływowych w cyrkule tarnowskim i bocheńskim. Rzezi nie było w ziemiach zostających pod berłem rosyjskiem i w Prusiech, bo chłop nasz nie był zbrodniarzem z natury, nie mogły go żadne zbrodniarzem zrobić nienaturalne stosunki, ale zrobili go źli ludzie, czerni przewrotnej biurokracyi. Pomimo, że ojciec mój pod cepami chłopów zginął, bronię chłopów i winy im nie przypisuję, boć wiadomą jest rzeczą, stwierdzoną właśnie w r. 1846, że w bardzo wielu miejscach własna gmina dworu swego broniła, że nigdzie rabunku i mordów swoi nie rozpoczynali, że inne gminy i to pod wodzą Wizthumów Hoszardów na przeznaczone na rzeź ofiary napadały, i że widokiem krwi podrażnieni, wódką upojeni, szatańskimi namowami obalamuceni, brali z obcymi udział. Dużo wypadków przytoczyć można, w których chłopci własni dziedzicowi ułatwiali schronienie się, lub przechowywali rzeczy, by w obce dostawszy się ręce nie przepadły na zawsze. Można słusznie za wieszczem naszym powiedzieć: „Inne szatany były tam czynne, o rękę karaj nie ślepy miecz”. Pomimo to nie da się zaprzeczyć, że krew się poląta, że lud ręce krwią bratnią splamił, że się działy okropności na których opis ręka się wzdryga. — prawdą jest że chłopci mordowali! mordowali bo im kazano, bo ich do tego zachęceno.

Że rzecz ta możebną była u chłopca polskiego, dziwić się nie można było, jeżeli przypomnimy sobie, że tradycya niezadowolonia ze społecznego swego stanowiska greckich helotów, broczących we krwi rzymskich niewolników, zakeryi francuskiej, wojen chłopskich w Niemczech i ruchów chłopskich na Węgrzech, błąkała się i błąka po pustych głowach, pomiędzy ludami bez serca, i hasłem bojowem jest dla głupich i przewrotnych. Lud nasz wiejski mógł się dać porwać prądowi, bo był

ciemny, bo agitatorowie wzywali go w imię rzekomego ucisku i krzywd, bo mu jako nagrodę własność obrabianej ziemi, dworskich stawiali gruntów. Czyż można się dziwić, że chłop dał się obalamucić, jeżeli mu w dodatku prawiono, że aliańci szlachty z Francyi, Ameryki lub Anglii balonami przybyć mający, chłopów wyrzynać mają, jeżeli mu tłumaczono, że cesarzowi pierwszej po Bogu władzy usługę w ten sposób odda, jeżeli mu w dodatku dyety wypłacać obiecano. Nadzieja niezależności obietnica bytu opierającego się na posiadaniu ziemi, na którą chciwie przedtem spoglądał, zawrót głowy wywołany wódką której jako środka najskuteczniejszego używano, przykład i gorące słowa pacholków szatana, popchnęły lud do zbrodni. Że w zbrodni tej byli chłopci potworni, że przewyższali dzikie zwierzęta, to tłumaczy stan ciemnoty ludu, a że nie szedł lud ten za dzikiem uczuciem zemsty, ale spełniał rozkaz dany, plan przez innych ułożony, dowodem tego, że mało gdzie pali, że z małemi wyjątkami oszczędza kobiety i dzieci, bo tym co rzecz inscenowali zależało na wytępieniu szlachty, która pod bronią stanąć mogła. Gdyby uczucia zemsty wywołały były rzeź, byłiby chłopci wymordowali wszystkich co do dworu tego należeli!

Nie mordowali chłopci ze zemsty ale według uknutego planu, czego dowodem, że równocześnie w paru dniach rzeź się odbyła, stosownie do danego rozkazu, który podłe służalcy ówczesnego systemu roznosili po wsiach: mordowali chłopci, bo ich do tego popchnięto.

Dziwnym zbiegiem okoliczności ludzie dwóch obozów pracowali nad tem zezwierzęceniem chłopca. Z jednej strony popchnęli lud do zbrodni urzędnicy, którzy przerażeni widmem rewolucyi, widzieli w rzezi najpewniejszy środek zapewnienia pokoju i trwałości systemu który ich żywił, z drugiej strony rozbudzali w ludzie chciwość i srogość apostołowie z obozu socjalistycznego. Nie dziw zatem, że chłop, a szczególnie urlopnik przywykły do uginania karku przed uniformem i orzełkiem, ślepo słuchał rozkazów wydanych przez urzędnika, że nie ugrun-

towany w zasadach miłości bliźniego i nie mający poczucia moralności, szedł za głosem syrenim obiecujących mu grunta i lasy dworskie.

Zaprzeczyc się nie da, że pomimo iż chłopci nie okazali się tak złymi wobec własnych dworów, dużo się na to składało, by dworów nienawidzili. Winy tego szukać należy w systemie ówczesnego rządu. Rząd ówczesny powierzał dworowi czyli dominium spełnianie funkcji, które niechęć do tych, którzy je spełniać musieli rodzili. Ściąganie podatków tak samo jak pobór do wojska tak zwanych rekrutów, drażniły chłopca. Nie rozumiejąc, że dwór spełnia czynność powierzoną sobie przez rząd, żywił za ściągnięty z niego grosz, za wziętego w rekruty syna niechęć, i żal niesłuszny do dworu. Wymiar również sprawiedliwości będący w ręku urzędników dominikałnych, przyczyniał się również do wytworzenia kwasów przeciw dworom, jak żeby te dopuszczały się na ludzie aktów samowoli. Jeżeli gdzie była głębsza niechęć do dworu, to niezawodnie nie wywołały jej stosunki pańszczyźniane, niskie ceny robocizny, lecz właściwie powodem rozgoryczenia było wykonywanie tego poruczonego przez rząd działania, obejmującego ściąganie podatków, stawianie rekruta i wymiar sprawiedliwości, rzeczy, które dziś bardzo często ludzi spokojnych i inteligentnych podrażnić są w stanie.

Że zaś urzędnicy ówczesni jak nazwiska Breindlów, Berndtów, Losertów, Wizthumów, Ostermanów wskazują, byli nieżyczliwymi polskości obcokrajowcami, a w części austriackimi polakami spłodzonymi z ojczyzna rządu, i upodlającej niewoli, nie dziw że w kwestyach sporu pomiędzy dworem a chłopem, buntowano tego ostatniego, przedstawiając pana jako ciemiężcę. Urzędnicy nie mogli być lepsi, skoro dewizą ówczesnego rządu było „divide et impera”, skoro tenże nie uwzględniał życzeń szlachty zniesienia pańszczyzny i uregulowania stosunków poddańczych. Posunięto się wówczas w przewrotności iście szatańskiej do tego stopnia, iż nie sromano się kłamać ludowi, że cesarz pańszczyznę darować zamierzał, lecz że mu panowie

w tem przeszkodzili. Taka zła wiara nie mogła dobrych wydać owoców.

Że w tych warunkach lud wiejski w r. 46. się zapomniał, nie dziwnego.

Lud wiejski dzisiaj, w epoce poświęcenia i ofiarności dla niego, kiedy pod wpływem hasła „fiat lux” liczne dźwignęły się szkoły, kiedy widno pańszczyzny złożonem zostało do snu zapomnienia, kiedy nadanie własności ziemi, zrównało włościan z ich dawnymi panami, kiedy nie mija sesya sejmowa by znacznych sum na zapomogi nie uchwalono dla ludu wiejskiego, tą lub ową kłeską dotkniętego, kiedy kraj w tym kierunku istotnie więcej robi, jakby przy ubóstwie naszym należało, lud wiejski mówię, takim jest dziś, jakim był przed laty pięćdziesięciu. Frazesowicze nasi od zielonego stolika śpiewający na oklepaną nutę „ludek nasz kochany” ludzą siebie, a chcieliby okłamać drugich, utrzymując jakoby stosunki nasze na lepsze się zmieniły, jakoby dla tego że tam lub indziej zawiozą chłopów na jakiś obchód, włościanin nasz poczuwał się do narowości, zbliżył się do dworu i uwierzył w dobre dworu dla siebie intencye. Przykłady państw, które w warunkach o wiele korzystniejszych się rozwijały, pouczają nas, że masy ludu nigdy po nad pewną przeciętną miarę oświaty się nie wnoszą, że nawet na wielkich Aten ludność zarówno Alkibiades jak Aristides, Kleon jak Perikles działać byli w stanie. Do poczucia obywatelstwa pojmovanego idealniej nie wnoszą się masy, bo cywilizacya kraju i oświata nie na tem polega, by wszyscy zrównania drugiego rzędu rozwiązywali, jak dobrobytu i szczęścia, używanie jednakowych smokingów i mundurów nie zapewni. Oświata ludu, który pod wpływem doktryn apostołów przewrotu, na wiecach przymusowej parcelacyi się domaga, i obojętnie jeżeli nie niewdzięcznie ofiary szlachty na rzecz jego oświaty przyjmuje, nie postąpiła.

A przecież położenie ludu wiejskiego przed r. 46 było o wiele smutniejsze, tem smutniejsze, że w braku szkoły i obok niechęci zaszczipionej do dworu nie mogło na lud patryotyczne

i znaczne oddziaływać duchowieństwo, którego wpływ jak przy zaprowadzeniu towarzystwa wstrzeźliwości, tak na każdym innym polu paraliżowało działanie biurokracyi, która duchowieństwo zarówno jak szlachtę nienawiedziła.

Odciągani od dworów włościanie, obojętnie dla duchowieństwa, które im jako nieprzyjazne i chciwe zysków przedstawiano, ulegali podszeptom domokrażców socyalistów lub miejscowego arendarza. A przecież obywatele, którzy wiele przed 46. rokiem karczem z rąk żydowskich odebrali, by w ten sposób źródło usunąć zgorzenia, rozumiejąc na jakiej drodze lud najłatwiej umoralnić można, jaką drogą zawieść go do dobrobytu, starali się zarazem z duchowieństwem zaprowadzić wstrzeźliwość. Nieprzyjaciele spostrzegli się niebawem, i wstyd powiedzieć, rząd zakazał propagowania towarzystwa, rozumiejąc, że trudniej będzie poprowadzić do zbrodni umoralnionego i trzeźwego chłopca.

Zdejmując w ten sposób część winy z ludu wiejskiego, pragnęlibyśmy w imię słuszności, by przyjaciel ludu wychowywanych w mieście stosunki do ludu zbliżyły, by teoretycy ci przyglądający się bliżej stosunkom na wsi, nie ostygając w chęciach dla ludu, mniej winili dwory, przekonawszy się, że ludowi daleko do wymarzonych na bruku miejskim ideałów, że szlachta nie tak czarna jak ją dla popularności malują, że wszyscy ci opiekunowie i filantropowie z daleka i z pustą kieszenią razem wzięwszy, tyle dla chłopca nie zrobią, co jedna szlachcianka, spiesząca z pomocą lekarską do chorych, żywiąca sieroty przy dworze, opiekująca się starymi wdowami, rozdzielająca obok zboża, drzewo biednym na opał.

Duchowieństwo.

Duchowieństwu naszemu zarówno jak szlachcie wspaniała w wspomnieniach o roku 1846 należy się karta, wdzięczne uznanie za stanowisko, jakie zajęło wobec sprawy polskiej, za nieustraszoną wobec rozszalałego ludu.

Cześć i chwała jako męczennikowi sprawy narodowej należy się księdzu biskupowi tarnowskiemu Woytarowiczowi, który acz sam dziecko ludu, z miłością sługi Chrystusowego, karcąc zbrodnię ludu tak się biurokracyi naraził, iż zmuszony ustąpić ze stolicy biskupiej, w zaciszy prywatnej świątobliwego dokonał żywota, dając wymowne świadectwo prawdzie. Obok niego wspomnieć należy i księdza biskupa przemyskiego, księdza Ksawerego Wierzchlejskiego, który również narażając się na niemałe przykrości, z spostolską wymową i prawdziwie polskiem sercem karmił w czasie wizytacyi biskupiej gminy, które się splamiły udziałem w wypadkach r. 46.

Duchowieństwo ówczesne parafialne nie zarazem nurtującami dziś prądami socjalistycznymi więcej było polskiem, kochało kraj, gotowe do ofiar dla niego. Myśl odzyskania niepodległości znalazła posłuch u niego, i spotykamy jednych jak ks. Cieczkiewicza z Pleśny i ks. Kmietowicza z Chochołowa w rzędzie tych którzy powstanie organizują, innych, w czasie rozruchów wywołanych agitacją dążącą do sparaliżowania ruchu widzimy występujących nieustraszenie przeciwko zbrodni. Jedni szczęśliwsi dostają się w ręce rządu i przepłacają odwagę utratą posad i więzieniem, jak ks. Walery Serwatowski nawołujący w Tarnowie przed cyrkulem lud do opamiętania, ksiądz Gromadzki w Czeremny, ksiądz Józef Kitrys pleban w Dąbrowy, ksiądz Morgenstern z Lisiogóry, inni padają ofiarą rozwścieczonego tłumu, jak ksiądz Cieczkiewicz we własnej zabity parafii, i ksiądz Truty z Wadowic w czasie pogrzebu Brzeskiego zabity, ksiądz Gołęcki wikaryusz z Wolkowa, i Bazyljanin przebywający u Konopki.

Wielu z pomiędzy zacnych kapłanów karcących zbrodnie doznało obelg i sponiewierania, jak to spotkało księdza Kaznowskiego w Oleśnie, księdza Jurezaka w Siedliskach, księdza Antoniego Sapadę w Gromniku.

Duchowieństwo nie tylko w czasie rozruchów spełniało z narażeniem się obowiązki kapłana Polaka, ale i później z jednakową stanowczością. Ksiądz w Pilźnie nie chciał odbywać Bożego Ciała, by nie obnosić Sanctissimum po ulicach, które nie oschły jeszcze z krwi niewinnie tamże pomordowanych; ksiądz w Zasowie po wypadkach smutnych 46 roku, w których w tamtejszej parafii 71 osób zginęło, wziął za tekst do kazania słowa: „Szatan zabójcą był od początku wieków”, i tak dosadnie do sumienia zbójców przemówił, że mu skruszeni przerwali kazanie wołając: Zabijaliśmy, bo nam kazali.

Jeżeli wrogowie nasi cytują przeciwko nam i duchowieństwu odezwę papieża Grzegorza XVI., to nie ma powodu byśmy ztąd niechęć do stolicy apostolskiej żywić mieli, jeżeli bowiem cesarz Ferdynand bliżej bo we Wiedniu, nie miał wyobrażenia o tem co biurokracya zrobiła, i do tyle w błąd był wprowadzonym, że wdzięczność wyrażał sprawcom tych okropności, cóż dziwnego, że na podstawie przesłanej sobie przez rząd Metternicha relacyi, i na żądanie wysłania odezwy takową napisał. Otrzymawszy pismo z Wiednia w parę dni po rzezi, tyle wiedział o tem co się stało w Galicyi, co my wiemy o tem, co się w tej chwili dzieje w Tokio lub w Pekinie.

B a c z a l

(*Józef Miazga, Edward Zieliński — Opacie, Lipnica*)

(wieś w starostwie Jasielskiem o małą miłą od Jasła, na zachód).

Opowiadanie wyjęte z księgi parafialnej „liber memorabilium“:

„A gdy ludzie spali, przyszedł nieprzyjaciel jego i nasiał kąkolu między pszenicą i odszedł“ Mat. 13. Skutki najniepo-

myślniejsze niepokoju krajowego i w tej parafii dały się mocno w znaki. Dnia 20 i 21 lutego 1846 stało się wielkie zawichrzenie między ludem w całej parafii, dnia zaś 22 t. j. w niedzielę mięsopustną wściekłość rozhukanego ludu doszła do najwyższego stopnia.

Dwory Bączali dolnej, Opacia, Lipnicy dolnej zostały złupione i roztrzaskane. W Opaciu własni poddani przyłożyli rękę do zrabowania dworu swego. Obywatele doznali okropnego ciosu. Tego lata ziemniaki, cała nadzieja ludu nie udały się, inne zaś ziemiopłody bardzo nie dopisały.

Hersztowie czerniawy, w napadzie czerniawy na dwór w Bączali dolnej, byli chłopci Borsuk i Hare z Opacia. Pierwszy jeszcze żyje, drugi umarł. Tam to czerniawa po dokonany rabunku zbita okrutnie ówczesnego dziedzica Józefa Miazgę i syna jego Marcelego młodzieńca urodziwego, pełnego talentów i nadziei. Pobicie to musiało szkodliwie wpłynąć na umysł młodzieńca, bo cierpiał potem prawie ciągle na bole głowy, i w parę lat popadł nagle w obłęd, który go pchnął do samobójstwa.

Bączal górna nie splamiła się rabunkiem, przeciwnie właścianie bronili szczerze życia i mienia właściciela Edwarda Zielińskiego, który też wywzajemniając ich przychyłość i poczciwość, rozdał między nich zboże i ziemniaki, wiele pożądanego w głodnym roku.

Bez m i c h o w a

w Sanockiem.

Kiedy we wsi tej zabili chłopci dzierzawcę p. Kerna, i zapytali czy trupa mają do cyrkułu odstawić, otrzymali odpowiedź, że wystarczy przedstawić ręce i uszy. Potomkowie Tatarów którzy obcinali uszy, zupełnie jak z wilkami którym obrzynano w cyrkułach uszy, postępowali z biedną na zagłodę skazaną szlachcą.

Brzana i Bobowa,

(*Artur Rożen, Dreziński, Monkulski, Wojnarowicz Leon, Sadowski, Matner, Majchrowiczowie*)

(**Wymysłów, Jankowa, Jeżów**),

(pod Bobową na lewym brzegu Białej, wraz z Jankową i Lipniczką należała do pani Wojnarowiczowej 2-o voto Zarzyckiej).

Brzanę napadła banda też sama, która mordowała w Bruśniku, i tamże Artura Rożna, Drezińskiego i Monkulskiego z Jasienny zabiła. Pani Wojnarowiczowa z córkami za ledwo z życiem uszła, przy czem obraz którym się zasłaniała, a przedstawiający zdjęcie z krzyża, przez chłopów został podziurawiony. Syna pani Wojnarowiczowej Leona, który z akademii w Paryżu do domu powrócił, i na strychu w domu piastunki Smółkowskiej się ukrył, zdradziła też kobieta, tak że go tam chłopstwo odszukało. Zwlekli go z góry, a rozebrawszy do koszuli katowali tak, iż mu ręce i nogi połamali, poczem go na śniegu omdłego porzucili. Ze szpitalika który matka jego założyła, zabrali go mieszkający tamże biedni, i umieścili pod dachem. Znęcali się nad nieszczęśliwym Gucwa Jankowski, i Wawrzyniec Ligieza, ten ostatni wyciągnął za włosy nieszczęśliwego, dowiedziawszy się że żyje, sypał mu wgardło szkło tłuczone, w końcu mu głowę o kamień roztrzaskał. Trzy dni znęcali się nad nieszczęśliwą ofiarą, a że tak długo żył, przypisywali obrazkowi Matki Bożej, który miał na szyji zawieszony, którego zdjąć się nie ważyli, i który Smółkowska nieszczęśliwej matce odniosła. Do dziś dnia jest w Brzany pomnik postawiony męczennikowi przez matkę, przeniesiony tylko z Brzany dolnej gdzie mu rzeka zagrozała do Brzany górnej przez właściciela tejże p. Dunikowskiego.

Krewni Wojnarowiczów z Brzany, a mieszkający w Wymysłowie państwo Aleksandrowie Wojnarowiczowie, zostali przez tłumy rabusiów napadnięci w domu, w chwili, kiedy wraz z dziećmi modlili się klęcząco przed obrazem Ukrzyżo-

wanego, Wojnarowicz skonfundował zalegające w czapkach pokoje chłopstwo, każąc im by czapki przed obrazem Boga pozdejmowali, co też uczynili. Pomimo to zrabowali doszczętnie, odgrażając się że inni przyjdą ich wymordować, gdy taki od rządu nakaz mają. Byli to chłopci z Pławny i z Zimnowódki. Nie czekając przybycia zapowiedzianych gości, wybrał się p. Wojnarowicz z żoną do miasteczka Bobowy, zostawiając kufer z kosztownościami, który ukrył przed rabusiami, u chłopca Stanisława Nowaka. Rzeczy te nietknięte zwrócił Nowak panu W. Wjeżdżając konno do Bobowy, zetknął się p. W. z tłumem kilkatysięcznym wracającym z rabunku u p. Leona Dzwonkowskiego w sąsiednich Siedliskach. Wystrzałem z pistoletu utworował sobie p. W. drogę do miasta, gdzie się na strychu domu krawca Gondka w sianie ukrył. Chłopci wpadli za nim do domu, lecz zagrzebanego w sianie nie znaleźli, tak że cudem tylko ocalał. Żonę p. W. pojmali chłopci i zamierzali męczyć, a to, by im wydała gdzie się mąż, przy którym się pieniędzy spodziewali, znajduje. Już jej powrozem rękę po wyżej łokcia ścisnąć zaczęli, gdy ją chłop jakiś wybawił, przedstawiając reszcie, że to zacna kobieta.

Tłumy udały się na plebanią i zamordowały tam mandataryusza Sadowskiego, wyrzynając mu podgarle. W dominikałnej kancelaryi zastała zgraja pomocnika mandataryusza wiejskiego Matnera, nie pomogło wezwanie by się wytłomaczyli jakim prawem nań napadają. Wywleczony z izby został w okropny sposób zamordowany, poczem cała zgraja końmi po ciele jego przejechała, tak że kupka zeń tylko została błota.

Ztąd rozbiegli się, a towarzyszyli im też z mieszczan bobowskich Gajewscy i Ormiańscy po sąsiednich dworach, zrabowali Brzanę, Jankową i Jeźów, gdzie pani Majchrowiczowa jako wykupno za syna Aleksandra gotówkę znaczną oddać musiała. P. Wojnarowicz nie czując się tu dość bezpiecznym, przebierał się w ubraniu żydowskiem wikłami do Grybowa, a ztąd do Sącza, gdzie wraz z innymi dostał się do więzienia. Odwiedzające mężów i braci kobiety narażone były

na brutalne obchodzenie się ze sobą rewizora policyi Pizkozuba, który odwiedzając nieszczęśliwych więźniów strącał ze schodów, zabierając nadto dla siebie zapasy gotówki, które więźniom zносиły, by się za co lepiej żywić, i łaski cerbera tego kupić mogli, gdyż okropnie się z nimi obchodzono jak o tem pod rozdziałem Bruśnik wzmianka.

Autor zapisków tych wspomina o tem, jako w Grodkowicach u p. Żeleńskiego zamordowano kuzyna tegoż Walewskiego, jak wreszcie rozbastwione thuny pastwiąc się nad trupami, które do cyrkułu odstawiały, kilkadziesiąt kijów na mycie po drodze Żeleńskiemu wyliczyli. W rabunku w Grodkowicach odznaczyły się gromady z Kłaja i z Książnic.

Brzeziny

w Ropczyckiem.

Zginęli tam oprócz ociemniałego Ruckiego trzech Gulkowskich i Trompeter.

Binarowa

(Szerzyny, Święcany, Czermna).

należąca do majątku Trzcinica, leży na północny zachód od Biecza, graniczy z Bieczem, Rozenbarkiem, Olpinami i Szerzynami.

Opowiadanie odnośne wyjęte z księgi Memorabilium, umieszczone przez ks. Jana Mohara plebana, udzielone przez ks. Jakóba Białasa.

Dnia 20 lutego 1846 roku około wieczora stał się wielki rozruch we wsi Binarowy, do czego żydzi od Olpin ku Bieczowi z tłumoczkami uciekający, pierwsi dali powód głosząc, że panowie koło Tarnowa już ludzi wyrzynają. Na krzyk

i zbieg ludu Binarowskiego wyszedłem jako pleban miejscowy ku kościółowi, aby się dowiedzieć o prawdziwej przyczynie ruchu. Jakoż istotnie już kupę ludzi koło karczmy zgromadzonych zastałem, mówiących mi z przestraczem, że koło Tarnowa panowie już ludzi powyrzynali, i coraz się dalej posuwają, i niebawem do nas przyjdą aby nas tak samo wyrznąć i życia pozbawić. Wszelkiej użyłem wymowy, aby ten wymysł piekielny z głowy wybić, ale wszelkie starania moje, prośby i zaklinania były daremne. Kłamstwo przez niepocziwych ludzi rzucone odniosło zwycięstwo, głos sumienia, religii i rozumu umilkł, a wściekłość, brak wiary i zaufania wszystkich ogarnął. Rozejść się w żaden sposób nie chcieli. W nocy znagła dał się słyszeć głos dzwonów, na gwałt bijący. Krzyk hałas zamieszanie i rozruch jeszcze się bardziej powiększył, a to z tej przyczyny: Józef Matela, chłop Binarowski chodził ze szwagrem swoim Tomaszem Polakiem wójtem binarowskim od chałupy do chałupy, wyganiając każdego pod wielką odpowiedzialnością, bo 10 kijów i 10 reńskich strofu, do Szerzyn, zmyślając do tego, że tam już komisarz cyrkularny i sędzia dominikałny przyjechali, a to dla pojmania panów, którzy lud tamtejszy wyrznąć już poczęli. Dla pędszego więc zgromadzenia ludu rozkazał Matela na gwałt dzwonić. Jakoż udało się bezbożnemu Mateli do tego stopnia lud obalamucić, że się prawie cała wieś zgromadziła, której on się na herszta i przywódcę narzucił, i poprowadził lud zgromadzany do Szerzyn, gdzie dwór do szczętu zrabowali, zburzyli, wszystkie sprzęty połamali, spiżarnie i piwnicę zrabowali, wiele bardzo kosztownych rzeczy do domu poprzynosili, komisarza dóbr Szerzyn i sędziego powiązali, i ludziom Szerzyńskim tak związanych oddali z nakazem, aby ich do cyrkułu do Jasła odstawili. Po zrujnowaniu i zrabowaniu dworu Szerzyńskiego, rzucili się znowu chłopci Binarowscy na dwory w Święcanach i Czermny, które też do szczętu zrujnowali i zrabowali, a tych wszystkich okropności i bezprawiów przyczyną był Józef Ma-

tela, który zarówno z innymi kraść, ale nie zarówno z innymi zrabowane rzeczy oddał.

Kara boska idzie krok w krok za występkiem. W roku 1847 i 848 okropna panowała w tej parafii epidemia, zarówno jak w roku 1849 zaciekła cholera, na którą 340 ludzi ze wsi umarło. Pierwszą ofiarą epidemii był ówczesny wójt Tomasz Polak i syn jego Piotr, i wszyscy prawie którzy rabowali, jednego tylko Józefa Matełę Bóg na większą karę, albo na wzorową pokutę zostawił, z którymi się dotąd, tak z jedną jak z drugą ociąga.

Ze Binarowa prócz lasów żadnego dominikalnego gruntu nie posiadała, i właściciele Jabłonowscy i Stadniccy w niej nie mieszkali, bo i dworu żadnego nie było, zatem trudno by stosunek dworu do gminy mógł być powodem zdzieczenia i zachowania się, jak utrzymują zemstą spowodowanego. Jakież powody mogły skłonić Binarowian do napadu na Szerzyny, Święcany i odległą Czerumnę, z którymi żadne już nie łączyły ich stosunki. Teorye nieprzyjaciół szlachty okazują się bezpodstawnymi.

Bocheńskie

(Lipowski w Hucisku, Henryk Komar, Erazm Niedzielski, Maryan Żeliński, Kępiński, Stański).

Z dziennika narodowego z r. 1847 Nr. 348.

W listopadzie (1845) ksiądz Owsiniński pleban w Królówce, wsi o dwie mile od Bochni odległej, wybadał na spowiedzi z jednego młodzieńca, sekret o jakimś spisku, i natychmiast Berndta (starostę) uwiadomił. Młodzian wzięty w areszt dwudziestu wydał, wszyscy ściśle przyaresztowani zostali, szczególnie zaś Mizerski miał być między nimi skompromitowany. Zdarzenia tego Berndt umiał użyć do swego celu, puścić wieść między chłopami, że takich uwięził Polaków, którzy chłopów zabijać chcieli. Lud ciemny i obalamucony, wszystkim

wieściom z urzędu pochodzącym uwierzył, i wielką radość objawił, mnóstwo chodziło codziennie ze wsi nawet dalekich przypatrywać się oknom zabitym deskami, i wartom stojącym przy nieszczęśliwych, a że nie było gmachu pewnego na podobne więzienie, ale z domów mieszczan powyrugowano, obchodzili je chłopci po mieście jakoby jakie stacye, zlorzecząc Polakom, a policmajster utwierdzał ich w tym błędzie, i nieważnie do szlachty wpajał, niemniej urzędnik cyrkularny Daniec, wierny propagator zasad Berndta. Za każdą razą gdy chłopci z Bochni powracali, słyszałem ich radośne opowiadania i wdzięczność rządowi okazywaną, „gdyby nie cyrkuł, nie jednego z nas jużby robaki jadły” mówili.

Zyskawszy sobie chłopów podobnemi oszukaństwami, Berndt liczył z pewnością na ich współdziałanie na wypadek choćby najmniejszego objawienia się ducha polskiego. Jakoż dowiedziawszy się na początku lutego od Breindla, a może od Zajączkowskiego, natenczas będącego w Krakowie, że w Tarnowskim cyrkule i w Krakowie na rozruch się zanosi, postanowił swój cyrkuł od wszelkich niespokojności przez chłopów przychylnych zabezpieczyć, ale czy z początku zamiary jego względem mieszkańców, w dopełnieniu obowiązków urzędnika, były zgodne z ludzkością, czy też wiedząc o propozycji Breindla przesłanej do Lwowa do Ferdynanda d'Est, już wtenczas najokropniejszą zdradę na wygubienie Polaków uknuł, Bogu tylko wiadomo.

Z czynów zdaje się drugie przypuszczenie być prawdziwszem, albowiem wysłał kurendę do wszystkich gromad cyrkulu bocheńskiego, w następujących wyrazach: „Gdy do cyrkularnego urzędu wiadomość doszła, jako wiele podejrzanych osób w obrębie cyrkulu znajdujących się, publiczną spokojność i bezpieczeństwo majątku i życia wiernych cesarskich poddanych naruszyć usiłuje, niniejszem nakazuje się wszystkim gromadom, aby w każdej gminie wszystkie drogi i ścieżki obstawione były zdarnymi do warty ludźmi, i aby wszelkie osoby podejrzane, bez paszportów lub certyfikatów dominikalnych przejeżdżające

lub przechodzące aresztować, i do urzędu odstawić, a za każdego przyprowadzonego 2 zł. M. k. wypłaconem będzie". — Dan w Bochni 16 lutego 1846. Wangerman.

Ten rozkaz był jedynie do gromad w obieg puszczonej, z najsurowszym zakazem pokazywania go panom. Jakoż chłopci od wsi do wsi czytając i podpisując, przesetali sobie, a gdzie żaden chłop czytać i pisać nie umiał, udawano się po podpis do drugiej wsi, z poświadczeniem, jako kurenda tego dnia i miesiąca czytana była. Nigdzie we dworze nie widziano tego papieru, mnie jednemu przyniósł go pewien poczciwy chłopiec i pokazując zaklinał, abym to w sekrecie zachował, gdyż zabiliby go chłopci, gdyby się o zdradzie dowiedzieli. Było na odwrotnej stronie rozkazu powyższego w kolumnach podpisanych już wsi około stu, jeszcze kilkadziesiąt było próżnych. Ja podpisałem moją ręką jako we wsi nakaz był czytany, i odesłałem by do dalszej wsi odesłał. Miałem zamiar go zatrzymać, ale nie chciałem chłopka narażać na karę za zdradę, zresztą w wartach nie tak złego jeszcze dla kraju nie można było przewidzieć.

Wszędzie tego samego dnia po otrzymaniu tej kurendy rozpoczęły się i to tak mnogie warty, że nie tylko dostateczna liczba ludzi, ale połowy wsi na drogi wychodziły i z największą zabawą przejeżdżających zatrzymywały, i albo wracały, albo do cyrkułu odprowadzały.

W okolicach Wieliczki już od roku 1845 warty podobne były znane, w dalszych zaś cyrkułu stronach podziwienie sprawiły, że w czasie spokojnym, gdzie nikt o rozruchach nie myśli, nocne warty rozstawiono i to bez wiedzy dominium jako władzy właściwej. Nikt jednak nie mógł zdrady żadnej upatrywać, ale tylko dążność zachowania spokojności w kraju, a najwięcej tchórzostwo austriackie.

Jakkolwiek wielką przykrość wszystkim podobne rozporządzenie sprawiło, bo nawet do sąsiedniej wsi nie pozwolili chłopci wyjechać, a nie było poprzedniego nakazu, aby chcący w tych dniach jechać, zaopatrył się w jakiegokolwiek pisemne

dowody, każdy wszakże chętnie pozostał w domu, woląc raczej interesa opóźnić, niżli się narażać, czekając zresztą rozwiązania wart.

Od 20 lutego nikt już nie jeździł pobocznymi drogami, tylko po bitym gościńcu, gdzieniegdzie jeszcze kogoś zatrzymano. Szlachta w Bocheńskim niejako w więzieniu domowym siedząc, o rzezi w Lisiej górze pod Tarnowem 19. zaszłej, nie mogła się dowiedzieć, a ktoby nawet się dowiedział o tej strasznej klęsce, czując rozpacz w sercu i upokorzenie moralne, widział przynajmniej tą razą zabezpieczenie swe osobiste od śmierci w tem, że cyrkuł bocheński nie chcąc sam Polaków karać, i nie pozwalając aby ich chłopci wymordowali, za przedsięwzięty zamach rewolucyjny, postanowił raczej zawczasu zebrać się zapobiedz, i nie dopuścić do podobnych jak w Tarnowskiem okropności.

Cokolwiekby, gdyby wart tak ostrzych nie było, wszyscy byliby pewnie uwiadomieni zostali o rzezi w Lisiej górze, i byliby się przed czasem starali schronić do pierwszego miasta, ale właśnie to Berndt przewidział, i krokiem z dworu ruszyć się nie pozwolił, a chłopci tak dalece tajemnicę tego wypadku zachowali, że nawet do 26. najprzychelniejsi napozór dworacy nikogo nie ostrzegli.

Gdy o powstaniu wybuchłem w Krakowie 21 lutego, o ustąpieniu wojska austriackiego z tego miasta 22. a z Podgórze i Wieliczki 23. do Kalwaryi i Wadowic wieść się rozeszła, chłopci na wsiach bliższych miast tych, sami bez zasiągania rady z cyrkułu, warty czynić przestali, strachem przejęci, pokorniejszymi panom się okazywali, mówiąc: „Bądźmy już Polakami kiedy nas cesarscy opuścili.” Wielkie to na nich wywarło wrażenie, softysi nawet muzyki rozpędzali w dnie zapustne, „bo niema się czego teraz cieszyć, już pod Polaków będziemy należeć”. W dalszych jednak okolicach około Gdowa, i za Rabą, warty owszem sroższy charakter przybrały, kilka jadących osób zabito.

Chłopi Gorzkowscy, którzy wielką sympatyę dla rządu w r. 1845 okazali, teraz na wieść szerzenia się panowania Polaków, zaraz we wtorek 24. przyszli do Rylskiego z prośbą, by im przeszłoroczne awantury przebaczył, gdyż mówili „byliśmy od Niemców w cyrkule namawiani,” a Stachura i Paździór na klęczkach z żalem i pokorą oświadczyli, że aby dawne złe naprawić, pierwsi do Polaków pójdą i innych chłopów namówią. Rylski widząc ich szczerłość, rozdał kokardy i przemówił do nich stosownie, poczem tego samego dnia we wtorek wzięwszy 50 ludzi ze wsi z kosami do Krakowa udał się, przekonując po drodze wieś Bugaj, Koźmice i Sierzę o potrzebie łączenia się z Polakami.

Doszli tylko do Wieliczki, gdyż tego wieczoru to miasto przez rząd narodowy z Krakowa zajęte zostało, tu się poddali pod rozkazy komisarza powiatowego Siedmiogrodzkiego, a nazajutrz z trzech wsi powyższych znaczna ilość ludzi za ich przykładem w Wieliczce z kosami stanęła.

Środa popielcowa był to dzień, w którym Siedmiogrodzki otrzymał manifest i ustawy rewolucyjne, takowe po wsiach rozesłał. W czterech wsiach wzmiankowanych już były niepotrzebne, bo chęci dobre i zapal Stachury i Paździóra wszelki ruch uprzedzili, i dopiero po za Gorzkowem to wezwanie do broni było pierwszym.

Posłaniec noszący manifest minąwszy Gorzków, przeszedł Czachówkę i Stojowice, w Brzączowicach przez chłopów haniebnie zbity, do cyrkułu wadowskiego zawieszony i Stankiewiczowi burmistrzowi oddany został, który ściskając oprawców ręce, „dziękuję wam” wyrzekł, odbierecie za to nagrodę. Podobnie ten sam niegodziwiec za zwożoną szlachtę dziękował.

Berndt dowiedziawszy się o zranieniu syna swego, oficera przy szwoleżerach, który z oddziałem wysłany był do Krzeszowic, gdzie z okna oberży do powstańców strzelając, sam kulą ugodzony został, poprzysiągł zemstę na Polakach w swym cyrkule wyrzecz, i za przykładem Breindla przez lud wiejski szlachtę uwięzioną w własnych domach wymordował.

Wysłał 23 lutego kilku ludzi ze straży finansowej na zabicie Lipowskiego w Hucisku, Wizthuma koncepspraktykanta na zamordowanie Henryka Kępińskiego w Pierzechowie i Ferdynanda Hoszara kancelistę z tym samym rozkazem do Maryana Żeleńskiego w Grodkowicach. Pierwsi zastawszy u Lipowskiego dwu jego zięciów Henryka Komara i Frazma Niedzielskiego, wszystkich trzech okrutnie zbili, i z połamanemi rękoma i nogami zaledwie żywych do cyrkułu przywieźli.

Tamci dwaj delegowani mordercy dokładniej polecenie swe wykonali, nietylko bowiem Kępińskiego ale i żonę jego ciężarną, zasłaniającą go przed cepami napastników, chłopci w oczach Wizthuma zamordowali. Hoszar także wiernie rozkaz wykonał, zebrał tłum chłopów i zostawiwszy swe odzienie w Książnicach, wsi rządowej nad Rabą, napadł w bliskości w Grodkowicach Żeleńskiego, gdzie zastał także młodego Stańskiego, obydwóch nietylko zamordowali, ale ciała nieszczęśliwych ofiar na miazgę zdruzgotali.

Ci trzej obywatele szczególnie Berndtowi niespokójność sprawiali, Lipowski bowiem dawniej w pułku liniowym austriackim a Żeleński w artyleryi byli oficerami, obawiał się więc, aby w powstaniu jako znający sztukę wojenną, wyższych stanowisk nie zajęli, Kępiński zaś oddawna znany był w kraju z braterskiego i dobroczynnego obchodzenia się z ludem, mógłby był zatem podług myśli Berndta wielu za sobą pociągnąć.

Z drugiej strony Bochni komisarz cyrkularny Wajde pojechawszy do Radłowa, dla zabezpieczenia tej jedynej wsi od rabunków, w Dębnie chłopstwo zwołuje, i wyraźnie szlachtę 26. wyjąwszy kobiety i dzieci rżnąć nakazał, obiecując za to, że pańszczyzna, majątki i grunta dworskie darowane im będą, i za każdego zabitego szlachcica 10 zł., za żywego 5 zł. nagrody otrzymają, jako za ich fatygę i mozolę. Te same nakazy i obietnice i tamci szatańscy wysłańcy między ludem zostawili na 26, 27 i 28.

Oczywistą zatem zdaje się być rzeczą, że w r. 1845 mowy chłopów, które ks. Zbański słyszał i urzędownie doniósł, już

wtenczas z namowy Berndta pochodziły, i te same korzyści już im obiecano były, i dlatego tę skargę unieważniono. Złudzeni tak znacznemi korzyściami, przestraszeni wieścią coraz więcej szerzoną między nich przez Berndtowskich agentów o nastąpić mającej rzezi chłopów, co już w Lisiej górze niby zaczynać się miało, a do tego niektórzy osobistą do panów niechęć czując, przytem wiedząc z pewnością od świadków naocznych, że sami urzędnicy rzeź rozpoczęli i że w Tarnowie niedobitych przywiezionych, oficerowie szpadami dobijali, „żeby się nie męczyli!” żadnej kary za zabójstwa obawiać się nie mając, piekielny ten wynalazek za istotną potrzebę uznali, i po całym cyrkule siebie uwiadamiali, ściśle nakazu się trzymając, przed 26. żadnego dworu jeszcze nie napadli, ale za to zorza 26. była słowem Gonty w Humaniu: „Pochulajcie!”.

Ks. Zbański mieszkający w cyrkule wadowskim, jadąc w ostatni dzień Wielkanocy, pojmany przez chłopów i znieważony, skargę wniósł do cyrkułu, ale zamiast zadośćuczynienia dostał odpowiedź, że sam sobie winien, jeżeli przez podejrzaną rządowi wieś przejeżdżał (a zatem co go tam spotkało, spotkało go przez czuwające tam organa rządowe).

Zamarty w roku tym wszelkie uczucia ludzkości, skoro zwozonych do Bochni nietylko wojsko po drodze kolbami biło, oficerowie szpadami kłuli, ale chłopci nabijając na widły, jak snopki na ziemię zrucali z wozów. Starosta Berndt na wysokiem stanowisku jakie zajmował, nie lepiej od tej dziezy postępował, panią Fihauserową bowiem, która błagając litości do nóg mu się rzuciła, kopnął tak silnie w głowę, że zemdląła. Urzędnicy starościńscy dopomagali chłopom w rabunku, zabierając żyjącym więźniom gotówkę jaką mieli przy sobie, a zazwyczaj więcej już pieniędzy tych nie widzieli. W więzieniach wilgotnych, bo pomieszczonych w piwnicach, panował brud nie do opisania, wyziewy zabijające najsilniejszy organizm. Wyzykiwano nieszczęśliwych z prawdziwem mistrzostwem, właściwem rozbójnikom w Abruzach, kazano bowiem za konewkę

wody trzy ewancygiery, (33 kr. czyli 1 zł.) tyleż płacić za bochenek razowego chleba.

Boczów

(*Ignacy Dydyński*)

wioska w Bocheńskim własność ś. p. Ignacego Dydyńskiego, urodzonego z Sędzi-mirówny a ożenionego z Zenobią Szembekówną, zrabowaną została d. 24 lutego przez bandę, która poprzednio w Tarnawie Marynowskiego dokazywała. Szczegóły zawdzięczam wdowie ś. p. Ignacego, 2-voto p. Boguckiej.

Zaniepokojony dochodzącemi go wieściami, ciszą grobową, która przed burzą zaległa nad dworkami szlacheckimi, wybrał się p. Dydyński do sąsiedniego Łapanowa, spodziewając się, że się czegoś pewniejszego dowie od tamtejszego sędziego, czy wierzyć należy, jakoby szerzyły się groźne ruchy obałamuczonego chłopstwa. Pochwycony w drodze miał sposobność przekonać się o prawdziwości pogłosek. Nie wrócił już do domu, rozszalałe chłopstwo zamordowało go jak tylu innych, młóćąc go cepami, rozbijając w końcu głowę siekierą. Ciało nieszczęśliwej ofiary zawieźli chłopci do Bochni po obiecaną zapłatę, gdzie wszakże zostało pochowanem, wdowa dowiedzieć się nie mogła; spoczęło we wspólnym dole, do którego wszystkich pomordowanych rzucano. Pani Dydyńska obawiając się by jej nie zamordowano, ukryła się dzięki poczciwości lokaja i kucharza, w chałupie we wsi sąsiedniej Tarnawie. Powróciwszy nazajutrz do Boczowa, zastała obraz zniszczenia, wszystko bowiem unieśli chłopci ze sobą, niszcząc dom wybiciem okien, wyrąbaniem odrzwi i podłóg, rozburzeniem pieców. Wówczas dowiedziała się, że chłopci wszyscy wyruszyli pod Gdów, by łącznie z podpułkownikiem Benedekiem uderzyć na gromadzących się tamże powstańców. Ksiądz boczowski postarał się o to, że 2 landsdragonów ze starostwa przybyło, i że pod ich opieką mogła p. Dydyńska dojechać szczęśliwie do Bochni, spotykając po drodze tłuny pijanego zbrojnego w kosy, widły i cepy chłopstwa.

Brzostek i okolica

(Gorzejowa, Kopaliny, Kamienna, Klecie, Grudna, Jaworze,
Bączalka)

(wierny przekład raportu urzędowego p. Strzelbickiego, justycyaryusza i mandatyryusza kameralnego z Tesarczyka).

(Bogusze, Klein, Górcy, Zwoliński, Flaszkiewicz, Stokłosiński, Kłosiński Winc., Falkiewicz, Denker, Pierzchała, Michalski, Rozkoszny, Zabierzewski, Stradomski, Kalita, Biliński, Kaczkowski, Białobrzeski, Towarnicki, Pieściński, Pohorecki, Bobrownicki, Tabaczyński, Wasowicz, Słotwiński, Pietrzycki, Olszański, Nidecki, Stojowski, Rucki, Misiewicz, Łobarzewski.)

Wysokie c. k. Prezydium gubernii galicyjskiej.

Podpisany kameralny justycyaryusz i dominikalny reprezentant z Brzostku, ma zaszczyt przedstawić następujący stan rzeczy o najnowszych politycznych wypadkach:*)

W dniu 20 lutego b. r. wieśniak ze Smarzowy, nazwiskiem Jakób Szela, utworzył bandę z wielu wieśniaków, z różnych wsi cyrkułu tarnowskiego, aby z temiż rabować i mordować. W tymże dniu w Kamienicy dolnej cyrkułu jasielskiego, na głównym gościńcu, pięciu lub sześciu podróżnych ze szlachty przez poddanych z Kamienicy, jako podejrzanych o powstanie zatrzymano i powiązano, pomiędzy tymi był dziedzic z Siedlisk Wiktor Bogusz, z którym Szela od wielu lat proces prowadził, z przyczyny nieodrabiania pańszczyzny; pałający zemstą, przybył Szela z swoją bandą rabusiów i pomordował wszystkich tych powiązanych, poczem udał się do Gorzejowy na dalsze mordy. Wiadomość o tych morderstwach doszła do

*) Dobra Brzostek, Nawsie brzosteckie, Opacianka, sprzedane konsorcjum Rozwadowski-Paygert, były w administracyi rządu, zatem raport p. Strzelbickiego jest aktem urzędowym.

Brzostku przez Antoniego z Żmigroda, który z tutejszym raportem wysłany był do Prezydyum cyrkularnego, dla ustnego wyjaśnienia o stanie rzeczy, i z prośbą o asystencję wojskową. Szela tymczasem przybył do Gorzejowy w cyrkule tarnowskim, pół mili od Brzostku, i w tamtejszym szlacheckim dworze wymordował wszystko, co tylko nie było chłopem. Około 6 godziny wieczór, powrócił komisarz cyrkularny pan Heyrowski z komisji z Demborzyna z asystencją wojskową, i opowiedział w kancelaryi dominikalnej o tych wypadkach, że mianowicie wiele osób przez wieśniaków pomordowanych zostało, i że banda rabusiów w koło krąży, która rozżarta jest przeciwko podejrzanym o powstanie. Po odjeździe p. Heyrowskiego, widziano z Brzostku w oddalonym o pół ćwierci mili dworze szlacheckim w Kopalinach cyrkulu tarnowskiego, chodzących z światłem i słyszano krzyk, był to krzyk w tej shwili mordowanego dzierżawcy Kleina z Kopalin, całe miasto trwogą ogarnięte zostało, wszyscy bezbronni schronili się do kościoła, gdyż przekonano się z zamordowania Kleina, iż zażartymi są nietylko przeciw podejrzanym o powstanie, lecz przeciwko wszystkim ciarachom.

W tymże czasie zjawili się słudzy z gorzelni w Kamienicy górnej, dominium Klecie o $\frac{3}{4}$ mili od Brzostku oddalonej, i graniczącej z kameralną wsią Wolą, donosząc, że pisarz gorzelany Wiktor Górski i tegoż piętnastoletni brat przez chłopów w gorzelni zamordowani zostali, i że całe znajdujące się tam gospodarstwo, wraz z aparatem gorzelanym, zupełnie zrabowane i zniszczone zostało, a to przez tę Szeli bandę rabusiów, przy przyłączeniu się chłopów z Kamienicy; wtedy powtórnie przesłany został raport do c. k. urzędu cyrkularnego, z prośbą o asystencję wojskową.

W dniu 21 lutego widziano z kościoła, gdzie jak wyżej powiedziano, wszyscy bezbronni wraz z kobietami i dziećmi bezpieczeństwa szukali, jak banda rabusiów Szeli na zrabowanych koniach jeździła, i zrabowaną bronią uzbrojona, krążyła po górach wedle Brzostku, została jednak strzałami z palnej

broni mieszczan odpartą, przyczem zrabowano niektóre naczynia kotlarskie. O godzinie 3¹/₂ po południu Szela napadł z całą bandą na Brzostek, dzwoniono i bębnilo na gwałt, w tej chwili przybyło od opatrności zesłanych pięciu żołnierzy do Brzostku, którzy wraz z pięcioma ludźmi z straży finansowej, i uzbrojonymi mieszczanami sformowali szeregi, i maszerowali pod przywództwem kontrolującego pisarza urzędowego Stokłosińskiego przeciwko rabusiom, już konno wtargającym do miasta. Za zbliżeniem się tychże mieszczanie pięć razy wystrzelili, a rabusie nie spodziewając się zastać tam żołnierzy, przyjęci strzałami, cofnęli się i rozsypali. Przez całą noc patrole utrzymywano, a bezbroni w kościele byli zgromadzeni, z postanowieniem bronięcia się.

Jak długo podpisany mógł rachować na wierność, rzetelność i przychylność obywateli Brzostku i kameralnych poddanych z Nawsia, z pola nie ustąpił, lecz już 21. wieczór zaczęło się rozszerzać głuche szemranie mieszczan, i powyższych poddanych, a w nocy podniosły się nawet jawne głosy, że należy wydać rozjadłym chłopom podpisanego kameralnego justycyaryusza, kameralnego dzierżawcę dóbr Zwolińskiego i dziedzica z Zawadki Flaszkiwicza, którzy się do kościoła w Brzostku schronili, gdyż wydania ich żądała banda rabusiów Szeli, a gdyby to nastąpić nie miało, miasto może być zniszczone. Poddani z Nawsia, napadli na tamtejszy dwór kameralny, zostali jednak odpartymi od straży. Groźby przeciwko Zwolińskiemu, Flaszkiwiczowi, podpisanemu i pisarzowi urzędowemu Stokłosińskiemu stawały się coraz większemi, a tak zostawaliśmy wszyscy od mieszczan i kameralnych chłopów opuszczeni, a nawet słyszano, że i straż finansowa wymordowaną zostanie, gdyż strzedz nas odważyła się, nie pozostawiało przeto nic więcej, jak kazać zaprzędz i uciekać do Jasta. Ze świtem 22 lutego przybyli do podpisanego justycyaryusza zwierzchnicy miejscy z Brzostku, Leonard Łabudziński i Józef Nowak, donosząc, iż nie zaręczają dalej za moje życie, gdyż miasta i Nawsia mieszkańcy, żądają zamordowania mnie, dla

tego nie powiniennem się dłużej w mieście znajdować. Słuchając tego chciałem kazać zaprządzić konie, spostrzegłem jednak że poddani z Nawsia wysłali już posłańców do Kleci, żądając od tychże pomocy dla napadnięcia na nas, nie czekałem przeto dłużej, na pierwszy lepszy wóz aby tylko uciec jak najprędzej wziąłem żołnierza, strażnika finansowego i dwóch uzbrojonych mieszczan, inne wozy z strażą finansową i z uciekającymi mieszkańcami za nami postępowały. W Kleciach zaszli mi drogę poddani z Nawsia, mianowicie Chłopowiec i Warchoł z innymi tych wsi poddanymi, prawdopodobnie napaść usiłując; gdy ich jednak nie było wielu zgromadzonych, i nie mieli bynajmniej czasu zebrać się licznie do napadu, a zresztą obawiając się na moim wozie znajdujących się sześciu strażników, które przeciwko nim były wymierzone, powoli rozeszli się, udając się na rabunek do dworu w Kleciach. Na dowód rzetelności tych wypadków, powołuję na świadectwo c. k. straży finansowej respicienta Graffa, nadzorcę Fleischmana, dozorców Kippa, Przerosta i Thyrę, mieszczan Leonarda Łabudzińskiego, Józefa Nowaka, Białasiewicza, i całe miasto.

Przybywszy do Jasła, ustnie zameldowałem o położeniu rzeczy p. staroście cyrkularnemu i p. kameralnemu radcy, prosiłem zarazem o pomoc wojskową do przewiezienia kameralnej kasy, podatków i depozytów, która to pomoc dopiero w dniu następnym daną mi była; pod jej zastoną przewieziono też kasę do Jasła, i złożono w c. k. kasie cyrkularnej.

W dniu 22 lutego Szela, którego banda ciągle się powiększała, pisał do mieszczana z Brzostku, Jakóba Winiarskiego, iż mu ci, których chce wyszukać w Brzostku, wydanymi być muszą; odpisano mu napowrót, że wszyscy ci uszli, których on mieć chce. Syn tegoż Szeli przyjechał konno do Brzostku, do Białasiewicza, jako parlamentarz z pewnym żydem, obadwa zostali przez mieszczan zatrzymani, a nawet z rąz pobicí, z obawy atoli, aby Brzostek napadnięty nie został, prosili o przebaczenie i wolnego puścili. Wielka liczba mieszczan Brzostku i cała kameralna gmina Nawsie, przyłą-

czyły się do bandy rabusiów Szeli. Gromada kameralna z Nawsia, zrabowała Nawsie w dniu 22 lutego pod przywództwem wójta z Nawsia Antoniego Ziemy, który żądał pomocy od Szeli dla ukarania wójta z Woli Brzosteckiej Józefa Jantona, gdyż ten z swoją gminą chciał powściągnąć rabunek, i ustąpił jedynie przeważającej sile.

W Jaśle, a szczególnie od mieszczan z Brzostku i poddanych z Nawsia odzywały się pogrozki przeciw mnie, a Szela ciągle wzywał o wydanie mojej osoby. Łatwo tego znaleźć przyczynę, gdy wszyscy dziedzice, mandataryusze i wszyscy urzędnicy miejscowi w całej okolicy przez Szelę wymordowani zostali, podobało się to mieszczanom i chłopom, a przeto jedyną miejscową władzę na przestrzeni trzech mil w około, w osobie podpisanego, chcieli mieć w swej mocy, do tego przyłączyła się żądza zemsty pojedynczych osób, jaką w urzędowaniu w pierwszej instancji, przy postępowaniu politycznym i sądowym łatwo na siebie ściągnąć mogłem, a tak gdy ani mieszczenie ani chłopci bezpośrednio na mnie napaść nie chcieli, zawezwali w pomoc Szelę z jego bandą rabusiów.

Podpisany przerażony powyższymi okolicznościami, nie powrócił do Brzostku, lecz z Kołaczyc urzędował, Stokłosiński tylko w Brzostku pozostał, a gdy wszystko zdawało się uspokajać, wkroczył Szela w dniu 1 marca o godzinie 10-ej zrana do Brzostku przynajmniej w 500 ludzi konno i pieszo, wszyscy uzbrojeni po większej części w strzelby i szable, reszta zaś w widły i cepy, przyzwał do siebie władzę miejską, która w osobie Leonarda Łabudzińskiego do niego przybyła, i żądał od tegoż wolnego przez Brzostek przechodu, gdzie chce wybrać niektóre podejrzanе osoby; Łabudziński ustępując przeważającej sile, zezwolił na jego żądanie, poczem Szela oświadczył, iż obywatele Brzostku pomarliby z bojaźni, gdyby przez Brzostek przeciągnął, litując się przeto oddalił się napowrót.

Szela od 22 lutego aż do dnia dzisiejszego jest jedynym sędzią i władcą okolicznym, ulega mu więcej jak 15 wsi w około, pomiędzy temi także kameralna wieś Nawsie, i miasto Brzostek.

W dniu 1 marca jechał z Jasła cyrkularny aptekarz Palcha do Tarnowa, został od Szeli zatrzymany, który mu powiedział, iż każdego komisarza cyrkularnego z Jasła, któryby się odważył wstąpić w terytoryum cyrkułu tarnowskiego, każe związać i do Tarnowa odstawić, i prosił Palcha, aby o tem starostę zawiadomił. Szela według upodobania gospodaruje we wszystkich dworach, w których pomordował właścicieli, konie, żywność dla bydła i wszystko jeszcze nie zrabowane, jest do jego rozporządzenia. Aż dotąd utrzymuje on w nocy silne wełady we wszelkich kierunkach, które palą ognie, patrole jego dochodzą na pół ćwierci mili od Brzostku, na jego gwizdanie pospieszają z gór wszystkie gminy, któremi on wedle upodobania rozrządza.

O wszystkim tem c. k. urząd cyrkularny został zawiadomiony, i proszony o pomoc wojskową przynajmniej z 50 kawaleryi; wskutek tego wezwania został przysłany komisarz cyrkularny p. Poh w dniu 6 t. m. dla rozmówienia się z Szelą, nie odważył się jednak wstąpić w tarnowskie, a Szela wzywającemu go komisarzowi za granicę tegoż cyrkułu oświadczyć kazał, iż niema nic do czynienia z cyrkułem jasielskim, i dlatego wcale się nie pokazał, na wezwanie zaś pisemne odpowiedział, iż mu mieszczanin z Brzostku, Jakób Winiarski wskazał niektóre osoby jako podejrzane, o czem już doniósł do tarnowskiego cyrkułu.

Gminy okoliczne oświadczyły, że urząd cyrkularny jasielski w porozumieniu zostaje z ciarachami (?), a że w tarnowskim wszystkich wynordowano, urząd zaś cyrkularny jasielski takowych wypuścił, muszą przeto te ciaruchy być teraz wydanemi cyrkułowi tarnowskiemu. Pogrożki te wykonują, jakoż dziś posiadacz części wsi Czermny, milę od Brzostku, w cyrkułe jasielskim, Kłosiński przez chłopów związany, do Tarnowa odstawiony został.

W dniu 14 t. m. gminy kameralne, Nawsie i Wola, jako i wszystkie inne okoliczne dominia wyraźnie oświadczyły cyrkularnemu komisarzowi Poh, iż nigdy dziedzicom pańszczyzny odrabiać nie będą, dały się nawet głosy słyszeć, iż tem teraz

wojnę prowadzili, czem pierwiej dziedzicom pracowali, a nawet tak dalece do ostateczności doprowadzą, że i tych wymordują, którzy dotąd wymordowani nie zostali.

Ignacy Kapuściński został powołanym na świadectwo tej okoliczności. Na zapowiedzianą pańszczyznę w dniu 16 t. m. żaden z poddanych okolicznych nie przyszedł. Michał Przebięda, kameralny strażnik lasów publicznie oświadczył, iż nie uznaje żadnej miejscowej władzy ani państwa, o czem doniósł Mateusz Bara. Wszystkie gminy udają się teraz po radę do Szeli względem pańszczyzny, ten w obecności deputowanych z gromad, między którymi byli z Nawsia i Brzostku, oświadczył rewizorowi policyjnemu z Kołaczyce Jarzymowskiemu, że żaden z poddanych nie może się ważyć odrabiać pańszczyzny.

Szela rozdaje karty bezpieczeństwa życia i do podróży, jedną z pierwszych wydał Jakubowi Hićkiewiczowi z Brzostku, w której wspomina i o podpisanym, iż przeciwko mnie nic złego nie zamyśla, zdaje się jednak, że mnie chce zwabić do Brzostku a potem zamordować. Karta ta jest w rękach proboszcza z Brzostku, Mościckiego.

Kartę podróżną okazała żona ekonoma ze Smarzowy w przejeździe przez Kołaczyce, którą czytali podpisany, Józef Bochniewicz i Stanisław Krasuski, było na niej napisane: „poleca się wszystkim gminom panią tę przepuścić”.

Wiele pisemnych dokumentów przez Szelę wydawanych złożono w c. k. urzędzie cyrkularnym, między innemi kartkę, w której tenże pisze, że starosta tarnowski wyrzucał mu, iż cyrk. komisarza z Jasta, który odważył się przestąpić jego terytorium, nie kazał powiązać i do Tarnowa odstawić.

Szela ma wszystkie zrabowane rzeczy przy sobie, i według opowiadania takowe zwraca. Panie Klein, Michalska i Górńska otrzymały napowrót od Szeli niektóre z zrabowanych im rzeczy, po zamordowaniu osób do rodziny należących.

Na dniu 14 t. m. wezwano wszystkich poddanych na komisją przez cyrk. komisarza Poh przedsięwziąć się mającą; że zaś Szela zarządził w tymże dniu obławę w lasach, większa

przeto część poddanych kameralnych z Nawsia i Woli, poszedłszy na takowe, przy komisji obecna nie była. W bandzie tej, która na obławę wyszła, był Tomasz Szukała z Woli. Dziś doniósł ekonom z Bieździedzy, Brochowski, iż mu powiedział wójt tamtejszy, aby z domu uciekał, gdyż Szela wkrótce nadejdzie, a nawet już wójt z Sowiny wezwanym został, iżby najbliższe gromady były w pogotowiu. Cel tego zwołania nie był wiadomy, domyślano się tylko, iż Szela ma zamiar napaść z wszystkimi gromadami na wieś jeszcze nie zrabowane, a potem na Jasło. Wszystkie sąsiednie gminy uzuchwalone były postępkami Szeli; podczas gdy pozorną była spokojność.

Poddani z Bieździedzy milę od Brzostku w d. 8 marca napadli na mandataryusza Falkiewicza w Bieździatece, w kajdany okuli i zbili do kalectwa. Szela udawał jakoby na żadne gwałty więcej nie wpływał, i że już nie chce wejść do cyrkułu jasielskiego, jednak w dniu 1 marca jak już powiedziano, w kilkaset ludzi wtargnął do Brzostku, przy której to sposobności niektórzy z jego bandy zrabowali cały zapas tytoniu i wódki, z kameralnej oberży w Nawsiu.

Wszystkich poddanych tego cyrkułu podburza Szela przeciw odrabianiu pańszczyzny, za dowód posłużyć może, iż oddalone gminy, Warzyce, Birówka, Niepla i Chrzastówka pańszczyznę odrabiają, czego odmówiły: Nawsie, Wola i Opacianka, gdyż Szela pod karą 25 kijów zakazał odrabiania, o czem donieśli podpisanemu Andrzej Jajo i Ignacy Sapała. Szela jest dyktatorem tej okolicy.

Następujące osoby zamordowane zostały w swoich domach bez najmniejszej przyczyny, jedynie na jego rozkaz, a to w około na milę od Brzostku: Górski z swym bratem, u Denkera 5, u Pierzechały 2, Michalski z 12-letnim synem, Rozkoszny, Zabierzowski, Stradomski, Klein, Boguszów 6, Kalita mandataryusz z aktuaryuszem Bilińskim, Kaczkowski ekonom z Grudny, Białobrzeski ekonom z Jaworza, Towarnicki z Bączalki, Pieściński dzierżawca z Gorzejowy, Pohorecki z Gorzejowy, Bobrownicki z Dobrkowa wraz z trzema osobami i księdzem,

Łobarzewskich 3, Wasowicz, Słotwiński, Pietrzycki, Olszański, Nidecki, Stojowski, Rucki, Misiewicz, Tabaczyński. Ci tylko podpisanemu są wiadomi, przy bliższym jednak poszukiwaniu, jeszcze się więcej wynajdzie. Że wszystkie te osoby wymordowane zostały pod przewodnictwem Szeli, jest dowodem, iż on w największej części miejsc, w których morderstwa dokonane były, osobiście przewodził, a zresztą rzeczy należące do zamordowanych, krewni tychże od Szeli odbierali. Czternaście osób zamordowanych kazał on w jednym grobie pochować w Siedliskach, bez pomocy duchownego, a nawet porąbał zrobioną trumnę dla zamordowanego Kleina, o czym sam doniósł Michałowi Białasiewiczowi i Feliksowi Stokłosińskiemu.

Zdaje się, że było poleconem, iżby chłopci wszystkie podejrzane osoby odstawiali do urzędu cyrkularnego, Szela zaś nikogo z osób, które mu w ręce wpadały nie odstawił, lecz wymordował. O ile jest podpisanemu wiadomo, Szela sam przewodził rabunkom przynajmniej w 20 dworach szlacheckich.

Przeciw wszystkim tym gwałtom, gdy bezecny bandyta Szela z siłą przynajmniej 600 uzbrojonych, o pół ćwierci mili od Brzostku, dzień i noc przednie utrzymuje strażę, gdy miasto Brzostek, a szczególnie kameralna wieś Nawsie, z ludnością do 1500 osób przeciw podpisanemu, jako miejscowej władzy powstały, cyrkularny urząd jasielski wysłał do Brzostku 6 żołnierzy z pułku piechoty Kudelki; wszystkie węzły posuszeństwa, społeczności i uległości, bez których miejscowa władza istnieć nie może, są zerwane. Rabunek nie ustaje, dzierżawcom tych dóbr kameralnych, i innym w tejże okolicy codziennie są niszczone kopce z kartoflami, a nawet takowe pod przewodnictwem wójta rozdzielane bywają, zboże które w dworze za pieniądze młócić się zwykło, teraz chłopci bez wstydu zabierają.

W dniu 3 b. m. w południe, jeden z chłopów uderzył kijem w okno mieszkania podpisanego, i zawołał: „Patrzcie jak tu jest teraz spokojnie, gdzie pierwaj bez paszportu przyjsć nie można było”. Napadają chłopci na publicznych gościńcach i polach, Myszkowski i Włyński doświadczyli tego. Na jarmarku

w Brzostku zrabowane rzeczy, jako to: konie, bydło, srebra, odzież publicznie sprzedawano, temu wszystkiemu sprzeciwić się nie mogłem, nie posiadając żadnej władzy, gdyż nawet sługa policyjny Tomasz Wojnarowicz jest bandytą, a Szela z swoją siłą stoi tak blisko, zaś wszystkie otaczający go, są jego pomocnikami.

Co tylko żyje i nie jest chłopem, drży dzień i noc, a ta bojaźń na samo wspomnienie Szeli, lub otaczających go jest powszechną. Tutejsi poddani tak się rozzuchwalili, że gdy 14 b. m. w domach, w których z pewnością można było spodziewać się znaleźć zrabowane srebra i inne kosztowności, rewizję przedsięwziąć chciano, wprost oświadczyli, iż będą mordować gdyby to przedsięwzięto, tak powiedział Bartłomiej Leśniak jednogłównie z całą gminą, co słyszeli Jarzymowski, Kodulski i Kapuściński. Urząd cyrkularny nie uczynił zadość prośbie o nadesłanie do Brzostku przynajmniej 50 ludzi kawaleryi, gdy tymczasem szwadron huzarów w Jaśle z wielkim trudem i niewygoda pomieszczono, mogąc go w Brzostku zupełnie wygodnie pomieścić, a jeszcze by jeden dom zajezdny dla podróżnych pozostał. Co do zakwaterowania kawaleryi, na Brzostek pretensyę do tego, ile że polecono dominium przygotować się. Należy tu zrobić uwagę, iż dla tego żądano kawaleryi, że wszyscy urlopnicy z pułku piechoty br. Kudelki, czynnie udział brali w rabunkach i morderstwach, n. p. Matysik, który zabił Górskiego, Wójcik który przewodził rabunkom, o czem śledztwo przekona.

Za rzetelność przywiedzionych tu okoliczności, podpisany ręczy swoim służbowym charakterem.

Nawet straż z 50 kawaleryi, przy dłuższym trwaniu dyktatury Szeli jest niewystarczającą. Należałoby Szelę za tak wiele morderstw i rabunków uwięzić, a jego bandzie strzelby odebrać, niemniej zrabowane konie na których mnóstwo tych bandytów jarmarki w Brzostku odwiedza; należy przeciąć wszelkie związki wsi sąsiednich z Szelą, i jego kancelaryę składającą się z pisarzy Winiarskiego i Kroszkiewicza.

Gdy urząd cyrkularny tarnowski w rozbrojeniu Szeli, jasielski zaś co do wkwaterowania kawaleryi w Brzostku nie uczyniły, uprasza się wysokie c. k. prezydyum, by tak rozbrojenie bandy Szeli, jak zakwaterowanie kawaleryi w Brzostku zarządzić raczyło.

Brzostek 17 marca 1846.

Strzelbicki.

Bolesław i Dąbrowskie.

Lata 1844, 1845 i 1846 były przepelnione różnorodnemi klęskami, i w całej Galicyi, a w szczególności w powiecie Dąbrowskim. Powódzie w r. 1844 i 1845, w którym cały trójkąt położony pomiędzy ramionami Wisły i Dunajca, był pokryty falami tych rzek, nieurodzaj, głód zagrażający ludności, brak gotówki i kredytu i środków do życia wywołały.

Przyczyny te naturalną siłą popychały do przygotowującego się powstania, w którym za dobrowolne zrzeczenie się praw swoich, płynących z „pańszczyzny” spodziewano się wywalczyć wolność i niepodległość.

Organizacją powstania w powiecie Dąbrowskim zajmował się pomiędzy innemi i Michał Sroczyński z Bolesławia. Jako uczeń uniwersytecki w Warszawie, wstąpił on do powstania w r. 1831 i walczył aż do upadku powstania, wraz z Henrykiem Rogalińskim, kapitanem wojsk polskich z r. 1831, zajmował się gorliwie formowaniem oddziałów, do których również starano się wciągnąć i lud polski. Mówiono mu o równości, wolności, darowaniu gniotących ciężarów pańszczyzny, o patriotyzmie i ojezyźnie. Chłopi jednak nie rozumieli tych słów, głoszonych przez księdza Kleina z Bolesławia, Goslara i in-

nych apostołów spraw powstania i ludu. Były jednak jednostki, które słuchały, rozumiały, wierzyły i zdawały się nakłaniać.

Były jednak wprowadzone w ruch i przeciwne prądy. Rząd był o wszystkim dokładnie poznałomiony, znał całą organizację i przywódców jej. Ale o ile szlachta głośno i otwarcie mówiła o powstaniu, zupełnie lekceważąc szczupłe podówczas siły wojskowe Austrii, o tyle znów rządowi agenci, urlopnicy, komisarze Chomiński, Dobiaszek, Zminkowski, Nachlik, pod ręką starosty Breindla w Tarnowie, działali ostrożnie, cicho, ale tem skuteczniej, tłumacząc chłopom, że panowie zbroją się nie na wojnę o wolność, ale że chcą chłopów wyróżnić, że cesarz chce ich bronić, dla tego panowie zbroją się przeciw niemu. Pogłoski takie krążyły pomiędzy ludem napelniając go nieufnością, bojaźnią i niechęcią. Na to „bałamucenie” ludu nie zwracano wielkiej uwagi, i nie przypisywano mu większego znaczenia. Zdaje się, że umysły szlachty były tak podniecone i opanowane wyższą ideą walki o niepodległość, która cały kraj opanowała, że patrząc w szersze widnokregi z egzaltacją wrodzoną Polakom, również i sprawę ludu wiejskiego przedstawiano sobie w korzystnym świetle. Zapewne wierzono silnie w udział ludu w powstaniu, który jeżeli na razie będzie nie-liczny, to z czasem się przecież zwiększy, zwłaszcza za taką zapłatę, jak darowanie pańszczyzny.

Odbywały się zjazdy i narady w Tarnowie, w Bolesławiu u Michałów Sroczyńskich, w Konarach u Henryka Rogalińskiego, w Wojniczu u Władysława Dąbskiego, w Dąbrowy u Stanisława Stojowskiego, w Wojsławiu i Goleszowie u Wiesiołowskich, we Brniu i Woli Mieleckiej. Dzień 18 lutego oznaczono na rozpoczęcie powstania, a punkt zborny dla oddziałów w powiecie Dąbrowskim i w okolicznych powiatach przeznaczono Tarnów, do którego postanowiono wejść na umówiony znak spalenia karczmy na górze Ś-go Marcina pod Tarnowem. Jak się tylko dzień rozpoczął, ksiądz Witski z Bolesławia z obawy przed rozruchami chłopskimi wyjechał do Tarnowa. W drodze w Oleśnie spotkał go Karol Kotarski, wziął go do siebie

i obwoził po wsiach, ażeby uspokoić chłopów, że powstanie nie jest przeciwko nim skierowane.

W Bolesławiu sformował się oddział do którego wstąpili: Michał i Bogumił Sroczyńscy, ks. Klein, dr. Piotr Bartman z Mędrzechowa, Henryk Chwalibóg ze Szczucina, Kleczkowski, Feliks Wojciechowski, Machnicki, Głowacki, Smągłowski, Lisowski, straż pograniczna rządowa pod kierunkiem dwóch Czyżewskich, kilkunastu chłopów, Przetacznik, Socha, Skotnicki i inni, między którymi Jan Przewoźnik, który później do powstania w r. 1863 swojego syna i część majątku oddał i wielu innych razem około 100 ludzi. Oczekiwano przybycia Maryana Sroczyńskiego, który stał na czele legii akademickiej we Lwowie, a który wówczas wyjechał za interesami na Podole. Jak tylko jednakże powrócił, został natychmiast uwięziony.

Wieczorem wyszedł Michał Sroczyński z oddziałem pod Tarnów. W przejeździe przez Ówików spotkano gromady pijanych chłopów przed karczmą. Słysząc było pomiędzy niemi kłatwy i groźby: „na naszego Pana, na cesarza idziecie”, zachowali się jednak spokojnie widząc większą siłę jadących. Była to banda zebrana z okolicznych wsi, do napaści na sąsiednie dwory.

Wiara w powodzenie powstania, łatwowierność i ufność w lud wiejski była tak silna, że i te ostrzegające znaki nie robiły wrażenia na jadących.

Po drodze wstąpił oddział do Łukowej dla złączenia się z innymi oddziałami. Zastali tam Henryka Rogalińskiego z jego oddziałem, Prospera i Leona Konopków, Stojowskich, Starzyńskiego z Sieradzy i w. i.

O 9-ej wieczór wyszli wszyscy pod Tarnów, odprowadzeni za bramę dworu przez Władysława Wojciechowskiego, właściciela Łukowej, który będąc chorym na piersi nie mógł im towarzyszyć i skoro tylko się wydalił, kazał zaprządz 4 konie i wyjechał w Rzeszowskie, chcąc uniknąć odpowiedzialności przed sądem za udział w organizacyi, został jednak schwytany i do więzienia wtrącony. Stanęli na cmentarzu cholerycznym

w Tarnowie, szalona burza śnieżna miotła się wówczas nad całą Galicyą, drogi i pola wyrównała w jedną nieprzebytą płaszczyznę. Czekano noc całą nadaremnie na umówiony znak, t. j. spalenie karczmy na górze Ś-go Marcina. Nad ranem nadjechał konno major Czechowski z Tarnowa i oświadczył, że żaden oddział nie nadszedł. Zapewne burza śnieżna powstrzymała wielu, innych pomordowali chłopci.

Czechowski nalegał żeby się bezzwłocznie rozejść, bo tak szczupłemi siłami nie można było nic począć. Wobec tego nie wiedziano co robić, były różne zdania. Michał Sroczyński radził uderzyć na Tarnów, zdania jednak przeciwne przeważyły. Zaczęto się rozchodzić i rozjeżdżać, wiągnąć wśród zasp śnieżnych. Nie było wyboru. Każdy spieszył do domu w nadziei, że pod dachem swoim będzie bezpieczny.

Michał Sroczyński kazał się rozejść swoim ludziom i pojechał razem z Henrykiem Rogalińskim, Feliksem Wojciechowskim, Machnickim, Serafińskim i Janem Przewoźnikiem do Bolesławia. Po drodze spotykano znów gromady chłopów, ale ci widząc wracających do domów, nie robili żadnych przeszkód. W Oleśnie rozłączyli się, Rogaliński, Serafiński i Machnicki pojechali do Brnia, Sroczyński z Wojciechowskim i Przewoźnikiem do Bolesławia, zkąd Wojciechowski wyjechał bezzwłocznie do Lubasza. 19 lutego wieczorem tłumy chłopów z Sieradzy, Olesna, Łukowej obstały Bolesławski dwór. Służba która w większej części wyszła z oddziałem jeszcze nie wróciła, inni się rozbiegli i pokryli. We dworze był Michał Sroczyński ze swoją żoną, ojcem Ferdynandem i dwojgiem małych dzieci. Chłopi rzucili się do drzwi, okien, wyłamali i weszli do domu. Rzucili się na Michała Sroczyńskiego, który chciał strzelać z pistoletu, nie dopuścił jednak do tego ojciec jego. Otoczyli ich, związali, wrzucili na wóz, a następnie rozpoczęli rabunek. Porozbijali wszystkie sprzęty w domu, zwierciadła, fortepiany; ktoś z tłumu przegrał na fortepianie bardzo wprawnie parę pasaży — zapewne agent rządowy za chłopą przebrany — następnie podłożył pod struny cep i wyrwał je. Zrabowano

dom, spichlerze, stajnie i piwnice. Poodrywano podłogi szukając broni ukrytej. Póczas rabunku Madejski, nauczyciel dzieci Michałów Sroczyńskich schował się do komina, z kądem wyciągnęli go i zamordowali. Chłopa Przewoźnika zbili cepami i chcieli odstawić do Tarnowa, udało mu się jednak uwolnić. Następnie wywieźli Michała i Ferdynanda Sroczyńskich i po drodze zamordowali w Oleśnie. Żonę Michała Sroczyńskiego z dziećmi ocaliły kobiety wiejskie w Bolesławiu i potłuczone cepami wprowadziły do kościoła, a następnie do siebie, gdzie przez parę tygodni w domu Ankiewicza ukrywała się. Tak silnie wierzyli chłopci przyrzeczeniom agentów, że grunta po zamordowanych zostaną im darowane, że żonie Michała Franciszce Sroczyńskiej obiecywali dać z łaski dworskiego pola na Złotej górze, parę zagonów pod ziemniaki.

Wracających pojedynczo członków oddziału napadali chłopci po drodze i albo mordowali, albo do Tarnowa odstawiali. Dra Piotra Bartmana złapali w Lisiej Górze, i odstawili do Tarnowa, Smolińskiego zamordowali w Mędrzychowie, Starzyńskiego napadli we dworze w Sieradzy. Widząc nieprzeliczone tłumy z widłami i cepami, nie miał sposobu wyjścia, obrona była bezskuteczna. Nie chciał strzelać do chłopów i sam w oczach matki swojej zastrzelił się. Machnickiego zamordowali w Brniu. Henryk Rogaliński z Serafińskim dziwnym zrządzeniem Opatrzności uniknęli śmierci. Przewidując niebezpieczeństwo, nie dojechali do Brnia, ale schowali się w browarze w Oleśnie na strychu, i tam przez trzy dni siedzieli, dopokąd nie przyszło wojsko i nie wzięło ich do Tarnowa. Głowackiego, Kleczkowskiego, Feliksa Wojciechowskiego złapali w polu między Łukawą i Lisią Górą, i wrzucili do piwnicy w Lisiej Górze w karczmie, gdzie już cały oddział Wiesiołowskiego siedział uwięziony. W pół godziny nadjechał oddział szwoleżerów i odstawił ich do Tarnowa, (Bogumił Sroczyński siedział uwięziony w Tarnowie, Lwowie i Szpilbergu do 23 marca 1848). Prospera Kopkę ze Stojowskim i wielu innymi wymordowali w zamku w Dąbrowie (mylnie obacz Dąbrowa).

Czy chłopcy mieli jakie osobiste przyczyny podniecające ich do mordów? Prawdopodobnie nie. Mordowali zarówno tych którzy się z nimi łagodnie obchodzili, jak i ostrych i surowych.

Nie było więcej ludzkiego i szlachetnego jak Karol Kottarski, który opiekował się ludem jak ojciec, wspomagał zbożem i pieniędzmi, stawiał im domy, ratował w czasach nieurodzaju i głodu, a i on został zamordowany. Również i znany z ludzkości Ferdynand Sroczyński, który nigdy nikomu krzywdy nie wyrządził, którego sam wiek sędziwy powinien był zasłaniać, i on nie uszedł ich rąk.

20 lutego zewsząd przywożono do Tarnowa żywych i pomordowanych. Żywych umieszczano w więzieniach i budynkach rządowych. Pomordowanych układano w szeregi, w których Karol Polityński, dzierżawca hotelu Krakowskiego w Tarnowie, jako sądowy znawca rozpoznawał rysy dawnych swoich gości. Wielu jednak tak było pokaleczonych, że sprawdzenie to okazało się niemożliwym, i długo potem odbywały się poszukiwania po więzieniach, wywoływano różne nazwiska w niepewności, czy żyją czy zostali pomordowani.

Zmarłych pochowano w ogromnych mogiłach na cmentarzu wojskowym w Tarnowie. Nie wszystkich jednak przywieziono tutaj, są również mogiły w Trzcianie, Mielcu, Brniu osuchowskim i Radomyślu.

Zaciekłość chłopów dochodziła do obłądki. W Oleśnie ubrał się jeden w futro zamordowanego, inni zabili go cepami. Drugiego znów wrzucono do Wisły, że wdział czarny surdut zrabowany gdzieś we dworze. Karczmy były przepętnione, bo każdy szukał w wódce zapomnienia zbrodni swoich. Od czasu do czasu zjawiali się postaćnicy z krzykiem, że „panowie wychodzą rżnąć, tam od lasu ich widać”. Na to hasło uderzano na gwałt we dzwony, bębniiono w bęben wyciągnięty z kościoła, gromady chłopów zbiegały się zbrojne w widły i cepy do obrony przed urojonym strachem, który w wyobraźni ich powstawał, jako ciągły wyrzut sumienia za dokonane zbrodnie.

Księżdzia nie było, wszystkie obrządki religijne ustały. Tak było do jesieni r. 1846.

Nastały czasy bardzo ciężkie, choroby zaraźliwe, nieurodzaj, głód. Pola niezasiane nie wydały plonów, zresztą lud zawiedziony w swoich nadziejach rozszarpania gruntów dworskich, zdemoralizowany i zepsuty, nie chciał pracować w polu.

Całemi wozami przywozili na ementarz w Bolesławiu zmarłych na tyfus głodowy.

Wszyscy prawie mordercy zginęli w nędzy, wśród wyrzutów sumienia, które ciągle stawiały im przed oczy ich czyny i niejednokrotnie musieli prosić o pomoc i wsparcie tych, którym ojców i braci pomordowali.

Jako pamiątka z tych czasów pozostały pierścionki srebrne z czarną emalią i napisem w środku „r. 1846. cicha łza”.

Zresztą wszystko poszło w niepamięć.

Bruśnik i okolica.

(Jamna, Lipnica, Jasienna).

(*Gójski Leon, Dreziński Tomasz, Małkulski i 2 nieznanych, Zdzieński Stanisław, Rożen Artur, Józef Ziemia, Jędrzej Lampa*).

(Wyjątek z pamiętnika p. Nikołema Gójskiego).

Mieszkając w Bruśniku własności Fihauserów w górach, nie wiedział p. G. dokładnie co się dzieje w świecie, i pierwszych wiadomości o ruchu rewolucyjnym zasięgnął w Sączu, dokąd wezwanym był, by poświadczyć w cyrkule tożsamość osób braci Drezińskich, których dla podobieństwa z bratem ich Leonem przyaresztowano.

Wracając z Sącza, spotkał sanie wiozące rannych i pozabijanych z okolic Zakłuczyna i Czechowa. Wróciwszy do domu dowiedział się od gorzelnika Mikiewicza, że wystane do Tarnowa fury z okowitą wróciły od Dunajca, z powodu przerwa-

nia komunikacyi spowodowanej niebywałym ruchem, który pojawieniu się powstańców „Polaków” przypisywano. Miał też Mikiewicz wiadomości, że w Tarnowskim wiele dworów zrabowano, i ludzi pozabijano. Wieści te przemieniły się niebawem w rzeczywistość, kiedy pojawił się w domu p. Nikodema brat jego Leon bez surduta, ze zranioną ręką. Będąc w obowiązkach u pana Kantego Dobrzańskiego w Kaśny, opowiedział co tam zaszło. Na dwór w Kaśny, gdzie sama tylko była p. Dobrzańska, mąż bowiem wyjechał, napadło parę tysięcy chłopów pijanych, a jakkolwiek poddani z Kaśny bronić mieli dworu własnego, poczeli rabować i pochycili Leona G., który zostawiwszy napastnikom surdut w rękach, uszedł unosząc ze sobą pamiątkę tylko drobną tego spotkania, bo ranę w rękę zadał mu kosą. On to przybywszy do Bruśnika zaklinał brata, by co rychlej uciekał z rodziną. Pod wpływem brata i Tomaszka Drezińskiego miał p. Nikodem wybrać się w drogę do Sącza, by w cyrkule pomoc przeciw zbuntowanym chłopom wyjednać. Wahającego się, czy jako sędziemu wypada ustępować ze stanowiska, zdecydowała do powzięcia decyzji wiadomość, że chłopci na dworską o pół mili w Siekierzynie położoną gorzelnię napadli. Zabrawszy w pośpiechu nieubraną bo leżącą w łóżku żonę i dwoje dzieci, przytem kilka tysięcy procentowych i podatkowych pieniędzy, biorąc ze sobą policyanta Siekę, wyruszył p. z domu jadąc konno przed saniami. Obawa była, by dzieci wystraszone zbudzeniem ze snu nie zdradziły kwileniem uciekających. Pobocznymi jadąc drogami, przebijając się przez zasy dojechali do Lipnicy do p. Zdzieńskiej, która wstawszy rano ze służebnymi poranne odmawiała modlitwy.

Przerażona wizytą o tak niezwyklej porze, więcej jeszcze brakiem zupełnym ubrania u pani G., dowiedziała się ku niemałemu zdziwieniu o przyczynie tej wyprawy nocnej, poczem panią G. ubrała. Syn pani Z. 20-letni Stanisław kazał koniom p. G. wrócić do Bruśnika, sam zaś obiecał odwiedzić ich do Sącza, mając zamiar dojechać do Męciny, by się od dziadka swego

Foltyńskiego dowiedzieć, ile prawdy w tem co o ruchu powstańczym prawią.

Jadąc dalej z młodym Zdzieńskim wstąpili państwo G. do państwa Lissowskich w Jasienny. Po ich tamże przybyciu nadjechała pani Lissowska wracająca z Bruśnika, dokąd do pani G. się wybrała i opowiedziała Gójskim, że dziedziniec w Bruśniku zawalony chłopstwem zastała, że od bramy wezwana do powrotu przez brata p. G. przebranego po chłopsku zawróciła.

Że po wieściach tych, zaniepokojony o los matki młody Zdzieński do Lipnicy powrócił, Gójscy zostali u pani Lissowskiej. W sobotę wieczorem dostali Lissowscy kartkę z Niecwi od p. Apolinarego Zielińskiego, w której pisał: „Zabieraj kochany sąsiedzie żonę i dzieci i uciekaj do Sącza, bo kilkutyśięczna tłuszcza chłopów uzbrojonych postępuje od dworu do dworu i rabuje“.

Pan Lissowski nie chciał opuszczać domu ufając opiece boskiej, Gójskich zaś jako obcych miał koźmi swemi odesłać do Sącza. W nocy zaniepokoił się wszyscy pukaniem do okna, lecz okazało się, że warty zatrzymały obcego, jak się Lissowski przekonał c. k. sekretarza Nitribita z Sącza. Razem tedy z panem Nitribitem wyruszyli Gójscy w drogę do Sącza, gdzie koło południa w niedzielę przybyli. Zatrzymani przez wojskowe placówki pomimo że jechał sekretarz, po długich ceremoniach zostali do miasta wpuszczeni.

Udał się więc p. G. do kreishauptmana p. Bocheńskiego i zastał go w chwili, kiedy obywatela jakiegoś odprowadzając do drzwi przeproszał go, że żądaniu jego zadość uczynić nie może. Dowiedział się, że był to pan Czerski, któremu pan starosta na pobyt w mieście nie chciał pozwolić.

To samo oświadczył pan starosta p. G. tłumacząc, że żona jego z dziećmi zostać może, że on wszakże do godziny wydalić się musi, gdyż w mieście ogłoszony stan oblężenia, wojsko objęło rządy i wszyscy obcy wydalenić mają.

Z miast wypędzali a po wsiach rżnęli.

Wstawianie się za Gójskimi do starosty i do majora na nie się nie zdało. P. G. dostał przepustkę przez pikiety, by się wydalił z miasta. Nie było to łatwym, bo koni Lissowskich nie było, a w mieście ani poczta ani mieszczanie wynająć nie chcieli, tłumacząc się, że im nie wolno. Na szczęście spotkał zrozpaczony p. G. konie z Sielec, które do Sącza p. Kołodziejska przyjechała.

Wyjechali tedy p. G. narażeni na przykrości ze strony porozstawianych po gościńcach pikiet, i tak bez planu, w obawie, że mogą wpaść w ręce bandom chłopskim, puścili się do Nawojowej, gdzie do rządu dóbr p. Majewskiego zajechali. Kącik ten górski spokojny nie przeczuwał co się w bliskości dzieje, to też bawiono się tam z końcem zapust w najlepsze. Gójscy zastali taką zabawę. Zebrani sądząc że nowi przybywają tancerze, wybiegli na spotkanie wraz z gospodarzem, dopytując co chwila, a gdzież Lissowscy, gdzie Gawrońscy? Spozstrzegli się wszakże, że się omylili, że Gójscy nie wyglądają na to by się bawić mieli ochotę, zrozumieli że złe jakieś przywożą wieści. Zostawiwszy żonę z dziećmi gospodyni domu, udał się G. z mężczyznami do kancelaryi, gdzie opowiedział o wypadkach i gdzie zastanawiając się co robić wypadnie, przesiadzieli do rana, postanowiwszy udać się na zwiady do Sącza.

W poniedziałek zapustny pojechali Gójski z Majewskim do Sącza i przebywając zwykłe ceremonie z pikietami, przerażili się na widok tego co widzieli i czego się dowiedzieli. Na ulicy w pobliżu wojskowego szpitala spotkali ludzi niosących, ciężko poranionego Lissowskiego, a przy nim przebrane po chłopsku żonę i dzieci. Od Lissowskich to dowiedzieli się o tem, co zaszło w tamtej okolicy bezpośrednio po ich wyjeździe. Dowiedzieli się, że policyanta po powrocie do Bruśnika chłopcy zabili, że dwór zrabowany, ich mieszkanie spalone, że chłopcy w Bruśniku zabili brata Gójskiego Leona, Tomasza Drezińskiego, Mąkulskiego i dwóch uciekających tamtędy panów. Od nich dowiedzieli się też, jak młodego Stanisława Zdzieńskiego, kiedy z Jasienny od Lissowskich powrócił zabili chłopcy,

którzy dwór jego matki byli napadli i łupili, jak u Lissowskich w Jasienny siedm osób zabili, a Lissowskiego ciężko poranili. Pojął Gójski jakiemu uszedł niebezpieczeństwu, i jak niego był blisko.

Wypadki w Bruśniku i zamordowanie Leona Gójskiego od naocznego świadka i od żony Leona podaje p. G. Kiedy po wyjeździe p. Nikodema G. na dwór w Bruśniku napadli chłopci, rozpierzchli się Tomasz i Teofil Drezińscy, oraz Leon Mikiewicz; Leon G. nie uciekał, bo przebrany w płóciennicę za chłopca, sądził że jako obcy niczego lękać się nie potrzebuje. Niedługo हुई się L. G. pod tym względem, bo już w sobotę chłopci tamtych i jego w okropny sposób męcząc zamordowali, a trupów obdarłszy naprzód ze sukien w kostnicy przy kościele złożyli. Nieszczęśliwy G. oprzytomniał na chwilę skutkiem zimna, i dowłókł się na plebanię, błagając o schronienie i zaopatrzenie go św. Sakramentami. Niegodziwy pleban ks. Ludwik Kowalski przez niechęć do Nikodema G., odmówił mu obojga, i parobkom za bramę wyrzucić kazał, poczem biedak ten napowrót zawłókł się do kostnicy, by tam pomiędzy trupami się umieścić. Nie dość na tem było księdzu K., bo w niedzielę przy mszy wypominał chłopom, że sędziemu (Nik. G.) ujęć pozwolili, że z Polakami chłopów na Podolu (wieś pod Sączem) strzela, i że pewnie by się pomścić powróci.

Po przemówieniu tem dobili chłopci brata Nikodema G. rozbijając mu głowę kamieniem, za p. Nikodemem zaś wyruszyli na Podole. W Podolu zrabowali tylko dom, gdyż panu Hołubowiczowi właścicielowi udało się razem z dworskimi dobrze podtrzymywanym ogniem ze strzelby, odeprzeć napastników i ujęć do Sącza.

Z wyżej wymienionych pomordowanych przez chłopów, uszedł był Tomasz Dreziński z żoną i trzema małemi synami do lasu, kiedy bandy na Jamnę napadły, wytropiony wszakże, zawleczony został do karczmy, zkąd go do Sącza odstawić mieli, obiecując mu, że objąwszy na siebie dworskie lasy, zrobią go u siebie leśniczym. Tymczasem inaczej się stało; jeden

ze zbójów ranit Drezińskiego w szczękę wystrzałem, drugi zaś uciął mu siekierą rękę, kiedy nią za ranę od strzału pochwycił. Tak ciężko ranny Dr. obawiając się, by go więcej nie męczyli, prosił oprawców, by go wystrzałem leśnemu dworskiemu Maciejowi Potokowi dobić kazali.

Nie podobne to do wiary, a przecież tak było, że Maciek ów który u Drezińskiego służył, chętnie żądanie męczennika tego spełnił. Pożegnawszy żonę i dzieci, ukląkł Dr. na ziemi, odstąpił z piersi koszulę, poczem Maciek przyłożywszy mu lufę do ciała, cały weń nabój wpakował. Krwią obłany powalił się nieszczęśliwy Dr. któremu N. Gójski życie zawdzięczał, nieżywy na ziemię. Zginął też w Bruśniku Artur Rożen z Gródka.

Powróciwszy z takimi wiadomościami ze Sącza do Nawojowy, ztąd nie chcąc być ciężarem p. Majewskim, udał się p. G. do Jazowska również majątku Fihausera, gdzie rządcą był Franciszek Zaręba. I tu nie było też spokoju, bo dochodziły wieści, że w okolicy już rabują, tak że Zarębowie ułożywszy kilka wozów cenniejszych rzeczy, gotowi byli każdej chwili do wyjazdu.

Kiedy pewnego dnia dano znać, że najbliższy od Jazowska folwark Nowakówkę rabują, ukryła p. Zarębina Gójską z dziećmi w szpitalu dziadów, a niebawem zostawiając dwór na opiece będącego w obowiązku Rudolfa Swolkiena, wyjechali Zarębowie z Gójskimi do Sącza.

Po drodze w Starym Sączu głupie i niepocziwe mieszczaństwo o mało smutnego wypadku nie stało się powodem. Jadący końmi Zaręby i do tego przodem, Gójski na zapytanie pikiety, powiedział, że Jazowska. Kiedy po małej chwili przez tę samą pikietę przejeżdżał i nazwisko swe podał Zaręba, poczęły wrzeszczeć pikiety „zdrada!”, posypały się alarmowe strzały, i kula wpadła do powozu, w którym jechały kobiety. Na szczęście nikogo nie raniła, i skończyło się na obustronnym przestradchu, jednych że do nich strzelają, drugich że na nich Polacy napadają. Sławetni Starosądeczanie poczęli wymyślać na szlachtę, grożąc, że wyrzną u siebie tych, co chłopskiej uszli

rzezi. Pomimo pogroźek tych pozostali Zarebowie i Gójscy w Starym Sączu, bo wiedzieli, że do Nowego Sącza ich nie wpuszczą, lecz już 8 marca zabrał urzędnik kameralny Nawratil p. Gojskiego w nocy, i odwiózł do Nowego Sącza.

Tam gawiedź uliczna, zanim do kaźni Gojskiego i Ignacego Dobrzańskiego zabrano, urągała więźniom, przyglądając się im jak dzikim zwierzętom.

Straszną była kaźnia do której obu odprowadzono, raz dla pomieszczenia, znów dla opieki nad więźniami powierzonej potworowi bez serea, ohydnemu zwierzowi, niejakiemu Piskozubowi, który rewizorem był policyi, a wszelkie kwalifikacje miał na rakarza (hycla).

Część więźniów pomieszczono w szpitalu brudnym i cuchnącym, drugą w wilgotnych i ciemnych piwnicach zamku. Umieszczenie więźniów przynosi zaszczyt jak tyle innych rzeczy panu staroście Bocheńskiemu, tak samo jak oddanie więźniów na pastwę oprawcy Piskozuba.

Więźniom których jak śledzi w beczce, umieszczono w niewielkiej izbie 17-u, nie pozwolono mieć pościeli, nie dano siennek, tak że na gołych deskach spać musieli. Nie wolno było odwiedzać ich, a jeżeli nawet pan starosta wyjątkowo na to zezwolił, nie dopuszczał żon i matek nieludzki Piskozub. Łajdaczkami łajał zacne niewiasty i różgami groził, jeżeliby raz drugi odważyły się przyjść.

Ażeby dokuczyć więźniom, nie pozwolił im brać, jak początkowo było, jedzenia z traktyerni Oettingera, z kąd zdrowy i smaczny pokarm dostawali, ale kazał brać za te same pieniądze, niesmaczne liche obiady od niejakiego Perca, prawdopodobnie swego przyjaciela. Rosół dostawali w brudnych glinianych garnuszkach, do których posługacz, alias smarowóz mięso wrzucał, które przedtem na brudnym szpitalnym stole obrzydliwemi rękoma krajał, i do garnuszków wrzucał. Nie dziw, że też często garnuszkami dostawał w głowę, za co ekscedenci potem przez najwyższą instancję, p. Piskozuba byli karani.

Aby uprzyjemnić więzienie, od czasu do czasu zacy Pi-skozub groził temu lub owemu, że go do piwnicy poszle. Siedzieli tam wprawdzie ks. Kmietowicz, Andrusikiewicz, Chochołowianie i nasz Teofil Dreziński, lecz pomimo to baliśmy się tych piwnic, bo szczury i robactwo jadły żywcem umieszczonych tamże. Kończyło się najczęściej na strachu, bo były to arcymiłe dla znękanych więźniów piskozubowskich drowcipy.

Siedział Gojski razem z Wiktorem Berskim właścicielem Tylmanowy.

Z pomiędzy osławionych wówczas urzędników, wyróżnić należy Dra Seliga conceptowego praktykanta, i komisarza, późniejszego starostę w Stryju Grolmana, którzy za zadanie sobie wzięli, co rychlej przeprowadzać protokoły z uwięzionymi, a szczególnie z tymi, co nie mieli protekcyi.

Cześć ich pamięci!

Właściciel Bruśnika, Siekierzyny, Januszkowic i Jazowska, miał z pierwszego małżeństwa z Julją Konopczanką syna Konrada i trzy córki, ożeniwszy się powtórnie pan Konstanty Fihauser z wdową po Wyżkowskim, miał z nią syna Ludwika, zgasłego przedwcześnie, i Stanisława. Domy p. Konstantego były przytuliskiem dla licznej, dachu rodzinnego pozbawionej i tropionej przez ogary metternichowskie emigracyi, nie więc dziwnego, że jak świadczy o tem opowiadanie o Bruśniku, oficyaliści jego gorącymi byli patryotami. Pan Konstanty złożył kiedy spiskowcy w r. 1846 nie mieli funduszów, na ręce Franciszka Wiesiołowskiego 3000 zł. Jak całą sprawę powstania i tytu jej uczestników, wydał w naiwności a raczej głupocie, zawierającej słodkim słówkom inkwizytorów metternichowskiej policyi, pan Franciszek hr. Wiesiołowski także Konstantego Fihausera, który skutkiem tego dostał się do więzienia. Znosił je p. K. z mężką rezygnacyjną, nie skarżąc się bynajmniej na Wiesiołowskiego.

Jazowsko ocalało, bo miejscowa gmina, pomimo że dziedzica nie było w domu, stanęła w obronie jego mienia, zarówno jak i jego pełnomocnika pana Zaremby. Kiedy pana Za.

gmina ostrzegła, że sąsiednie wsie na dwór napaść mogą i że bezpieczniejsza szukać schronienia w mieście, oddał p. Z. dwa worki z cwanegygerami gumiememu dawnemu do przechowania, gminie zaś całej powierzył bezpieczeństwo dworu i całego gospodarstwa.

Gmina wywiązała się ładnie z wziętego na się zobowiązania, zaległa bowiem jakby obozem na dworskiem obejściu i nie dopuściła, by postronne gminy na dwór uderzyły, tak że Jazowsko w ten sposób ocalało. Za pozwoleniem p. Zaremby piekli przez parę dni chleb z zapasów dworskich, wypili beczułkę wódki i jedną warkę piwa, lecz nie zeszli za to z posterunku i dwór obronili od napadu. Włodarz ów, któremu p. Z. dwa worki ze srebrem powierzył, oddał je kiedy wrócił do Jazowskiej, upewniając, że sam nic z pieniędzy nie ruszył, przypuszczając wszakże, że żona jego porwać co mogła, gdyż podejrzenie jej mogła obudzić ta okoliczność, iż męża widziała dogładającego gruszy w dziedzińcu, gdzie worki ze srebrem były zakopane. Przypuszczenie to było mylnem, nie bowiem z pieniędzy nie brakowało.

Historya Bruśnika i o Wielopolu

(*Rożen Artur, Gojski Leon, Zięba Józef, Mąkulski Aleksander
Dreziński Tomasz, Lampa Jędrzej.*)

(w r. 1846 opisana w księdze „Memorabilium“ przez ks. Wojciecha Kowalika proboszcza tamtejszego).

Bruśnik (dwór) był także zrabowany i do szczytu złupiony, a oficyny razem z kancelaryą dominikalną spalone, przyczem ważne pisma i dokumenta spłonęły, i wielka szkoda dla ludzkości (ludu wiejskiego) się stała. Ta łupu i mordu parów cheiwa horda chłopstwa z obwodu Tarnowskiego, przez Brzozową, Chojnik, Gromnik i Bogóniowice ciągnąc, wpadła do Jastrzębi, Kąsnej i Bruśnika, lecz największą zgrozę wy-

rabiady tutejsze gromady, podburzone przez tutejszego kmiecia Antoniego Jamkę, który będąc podówczas w Bochni po sól, zostawił wóz z solą na drodze, a przyjechawszy sam na koniach do domu, opowiadał, że chłopci panów zabijają, a majątki ich rabują, i aby i oni podobnie robili, namawiał. Lud, ten od dawna zuchwały, nieoświecony i bez religii, nie potrzebował dużo zachęty, i już 21 lutego zaczął swoje cugle rozpuszczać. Co się tu działo, może tylko ten opowiedzieć, kto był świadkiem tych okropności, ja tu jeszcze nie byłem plebanem, ale wikarym w Wielopolu obwodu tarnowskiego, gdzie się jeszcze większe okropności działy, na które musiałem patrzeć z bólem serca, i ukrywać się przed mordercami półtora dnia, jednakże nietknięty zostałem od morderców, i wielki wpływ wywierałem dzięki opatrności boskiej na rozjuszony chłopstwo, i przywrócenie spokojności, ale już niestety zapóźno, gdyż w jednej prawie godzinie gdy się ukrywałem, nie wiedząc co się dzieje, wymordowano wszystkich oficyalistów dworskich, i kilku posesorów w Wielopolu, a w całym dekanacie wielopolskim, składającym się z 9 kościołów, wymordowano dziewięćdziesiąt dziewięć osób płci męskiej. Tu w Bruśniku 6 osób zamordowano: jako to 1^o Artura Rożna 19 lat mającego leśniczego z Gródka w przejeździe z Zimnowódki do domu. 2^o Leona Gojskiego ekonoma z Papierówki, folwarku do Kąsny należącego, który przybywszy do brata swego mandataryusza w Bruśniku Nikodema Gojskiego, z wiadomością co się dzieje w świecie, a nie zastawszy go w domu, znalazł tu śmierć okrutną. 3^o Józefa Ziębę policyana dominikałnego z nienawiści, że musiał nieraz na rozkaz mandataryusza egzekwować włości. 4^o Aleksandra Mąkulskiego szlachcica ubogiego około 50 lat mającego, który napadnięty w przechodzie przez pola Falkowskie przez Franciszka Głabia chłopca z Bruśnika, siekierą został zabity. 5^o Tomasza Drezińskiego 50 lat mającego ojca trojga dzieci, leśniczego państwa Bruśnickiego z Jamny który przez chłopów jamniańskich pod dowództwem Błażeja Hadały gwałtownego człowieka do karczmy jamniańskiej,

przyprawdzone, tamże przez tegoż Hadałę wszczękę postrzelony, a potem na pole przed karczmę wyprowadzony, przez Macieja Potoka także Portką zwanego zastrzelony został.

Błażej Hadała przybrawszy sobie siedmiu innych łotrów z Jamny, kilka jeszcze tygodni potem był postrachem okolicy, rabując i paląc. 6^o Jędrzej Lampa syn Sebastyana Lampy karbowego z Siekierzyny lat 19 mający, który namawiając gromadę tamtejszą do zabicia pisarza gorzelnego Mikiewicza i wójta, gdy mu się sprzeciwiono, groził gromadzie, że pojedzie do Kąśniaków, aby za pomocą tychże oprócz pisarza i innych lepszych gospodarzy wymordowali, za co gdy konno wyjeżdżał po obcych, kijami od swoich zabity został.

Oto opowiadanie plebana niepodobne do opisu roku 1846 w Pleśny przez ks. Turnera. Zaczny ks. Kowalik nie widzi jak ks. T. powodów nieszczęścia w szlachcie, a to co przytacza o Lampie, dowodem, że ten lud tak złym w gruncie rzeczy nie był, i że narkotyk obietnic przesadnych, i użycie wódki popchnęły do zbrodni, że nadto obcych gmin chłopi dokonywali mordów, na które poddani wobec własnych dworów byliby się nie odważyli.

Brzeziny.

Według zapisków kościoła parafialnego w Brzezinach, mordowali tamże w r. 1846 z rozkazu Szeli chłopi ze Smarzowicy, do których przyłączyli się Brzeziniacy.

Zamordowani zostali tamże:

1. Morski Stanisław, właściciel Brzezin podkościelnych i dólnych lat 38, ożeniony z Leopoldyną Urbańską. Uciekającego w przebraniu chłopskim, zabili chłopi na drodze przed dworem Brzezin zasadnich.

2. Ambroży Stroneczak, dzierżawca z Górnego dworu, zamordowany przez Grudniaków i Smarzowian dnia 21 lutego, w wieku lat 40.

3. Alojzy Rucki ciemny lat 66, zabity został przez Smarżowian i Grudniaków w Zasadnim dworze. Nieszczęśliwy stysząc ruch niezwykły na około siebie, rozumiał że przyszli powstańcy, i odezwał się do chłopstwa, „Poszedłbym z wami, gdybym miał wzrok“. Zginął zabity polanem.

4. Maciej Łobarzewski, ekonom lat 28. Uciekającego przez staw i załamującego się dopadli Brzeźniacy i zabili.

5. Ludwik Nidecki, lat 37 wdowiec po ś. p. Emmie Niesiołowskiej, ułomny na nogi dzierzawca, zginął w Brzeżinach podkościelnych. Schowanego w stodołach odszukali Brzeżniacy.

6. i 7. Dwaj Stojowscy z Brzeżin zasadnich, zostali zabici przez chłopów w Gawrzyłowie pod Dębicą.

8. Filip Tabaczyński, dzierzawca Jaszczurowy lat 67, ożeniony z Teklą Ząbkowską, został zamordowany przez Jaszczurowian. Jęki ofiary, i dzikie wrzaski hyen breindlowskich, słyszał o ćwierć mili ukryty w lasku Łęgu pleban Brzeżin ks. Wojciech Zagórowski, tego Tabaczyńskiego zabili 22 lutego, wszyscy zostali pochowani dopiero 25 lutego.

B u r z y n.

(*Różycki Aleksander, Skalkowski Marcełi, Różycki Roman.*)

Morderstwo Aleksandra Różyckiego właściciela Burzyna, syna jego i innych.

Aleksander Różycki właściciel Burzyna przy Tuchowie, który odbył całą kampanię w roku 1831 dzielnie i odważnie, wyszedł z niej w randze majora, — za okazane zaś męstwo, uzyskał krzyż kawalerski „*Virtuti militari*“, nie przypuszczał nigdy, iżby rząd tak konserwatywny, jak Metternicha w Wiedniu, mógł się odważyć na użycie socjalizmu, jako środka kontra-rewolucyjnego; był wszakże jako żołnierz wojska dzielnie wyćwiczonego, w liczbie tych, którzy nie wierzyli w po-

wstanie ludowe. A jeżeli mimo to, wziął udział w konspiracji, to dla tego, że jako wierny syn Polski, poczytywał to za swój obowiązek, bez względu na to, jaki obrót weźmie sprawa. Stawał on zawsze na apel, gdy Ojczyzna zawołała.

Jemu to rząd powstańczy powierzył dowództwo hufców powstańczych, tworzyć się mających na przestrzeni od Ciężkowic ku Tarnowu.

W ostatnich dwóch tygodniach, srożyły się tak straszne burze śnieżne, jakby sam Bóg pobudził przyrodę do działania wstecz naszym zamiarom, wiodącym do zguby. Aliści ani srogie zamieci śnieżne, wichry i mrozy, głębokie przepaście i szczyty śnieżnych gór, nie zdołały stawić zapory zamiarom patriotów; — ale zbadać, zgłębić swe własne plany, zgłębić plany przeciwników, przejrzeć serca włościan, dla których mieli zamiary najszlachetniejsze, — tego niezdolali. A chociaż nie wiedzieli jak wybrną z tych trudności, szli do kresu, odkładając to na chwilę ostatnią. Lecz z przeciwnej strony, umiano dobrze korzystać z nierozwagi naszej, gdy my ufając w słuszność podjętej sprawy, nie przeczuwali nawet strasznych następstw uludy naszej.

W nocy z 17 na 18 lutego, oddziały powstańcze zbliżały się ku Tarnowu od strony Wisły. Jeden z tych oddziałów, liczący blisko 50 ludzi, stanął na odpoczynek w Lisiej Górze. Jak straszny podzielił on los, świadomo to z opisów. Ujęci i odstawieni zostali do cyrkułu obadwaj bracia Wiesiołowscy, pleban tamtejszy ks. Morgenstern, pragnący lud skierować na prawą drogę, i wielu innych zacnych polaków, tak żywych, jak zabitych.

Podobnie obeszło się chłopstwo w Łukowcy, z innym oddziałem powstańczym, przywiezionym do tej wsi przez wojsko. Czerń chłopska rzuciła się na przybyłych, których nie minęła śmierć męczeństwa.

Inne oddziały, mniej ufające tłumom, a więcej broni palnej, doszły do miejsca przeznaczenia, — lecz nie mogąc się

doczekać pomocy, rozpierzchnęły się przededniem i każdy z osobna pospieszył do domu, łudząc się, że mu od gromady nie nie zagraża.

Tak też powrócił major Różycki, którego oddział zbierał się w Karwodży.

Z małą garstką liczącą kilkanaście ludzi, udał się przez góry pod Tarnów, z zamiarem dostania się wśrodek kordonu, rozciągniętego wokoło całego miasta, lecz nie mógł dokonać z tak szczupłą garstką. Wojsko nacierało na nich kilkakrotnie, lecz powstańcy korzystając ze schronienia w ciasnym wąwozie, niedostępnym dla konnicy, którą także oślepiła niesłychana burza, śnieg i zawierucha, uszli szczęśliwie.

Po oddaleniu się wojska, zatrzymała się garstka, wysławszy człowieka po wiadomość, co się dzieje z oddziałem formującym się na polach zwanych Rawą, lecz wysłaniec wrócił z tą smutną nowiną, że oddziałek ten został rozbitym i rozprószonym. Dziesięciu z nich rozbiegło się natychmiast, a trzech tylko zostało przy dowódcy: syn jego Roman, Nemeski Julian i Marczewski Sylwester.

Gdy dzień zaświtał, chłopci nie wzbraniali im przejazdu. Różyccy nie dostrzegając ruchu w Tarnowie, spokojnie wyruszyli do domu, ufając swej gromadzie, z którą zawsze postępował szlachetnie i łagodnie p. Różycki.

Przybywszy do wsi swej Burzyna, zwołał natychmiast major Różycki sołtysa i wójta, aby im wyjaśnić rzecz całą, a przemawiając do ich serc, poruszył obu do łez. Lecz i tu już zdemoralizowano i podburzono chłopów obietnicami wielkich nagród, oraz zapewnieniem, że cesarz dawno darował im pańszczyznę, lecz panowie nie chcą im tego ogłosić. Przetę sołtys i wójt popłakawszy trochę, posłali skrycie do innych wiosek z wezwaniem o pomoc.

Dziewiętnastego lutego zrana, zaczęli się chłopci zbierać i gromadzić na wsi, tając to usilnie przed dworem, dopiero w południe, gdy dziedzićce zasiadać mieli do stołu, dostrzeżono

gromadzące się kupy ludzi z sąsiednich wiosek, jakby czekali na kogoś.

Nareszcie przybyli wójtowie, posłani do Tuchowa do ks. plebana Zabierzewskiego, dokąd chodzili po rozgrzeszenie za morderstwo, jakie mieli popełnić, i wtedy wszyscy tłumnie rzucili się na dwór.

Widząc to major Różycki, a nie przeczuwając nic złego, uspokoił swoich towarzyszy zapewnieniem, że przemówiwszy do chłopów, skłoni ich do spokojnego rozejścia się, i wyszedł na ganek. W mgnieniu oka jeden z napastników schwyciłszy go za gardło, nie pozwalała mu przyjść do słowa. Inni chłopci z wiosek sąsiednich, przypadając na pomoc swemu współtowarzyszowi, zaczynają bić biedaka kijami, cepami, pałkami tak silnie, że mu w jednej chwili zdruzgotali kości. Los podobny spotkał syna Romana, Marcelego Skalkowskiego*) gubernera, i dwóch oficyalistów Różyckiego. Bito także i panie.

Zrabowawszy cały dwór ze sprzętem, rzucili wypożyczonych biedaków na sanie. Jedną z pań, która obiecała pokazać napastnikom gdzie broń schowana, wsadzili na sanie wraz z jej nieszczęśliwym silnie skrępowanym ojcem, i powieźli wszystkich do komornika, (burmistrza) do Tuchowa.

Aby stanąć w tym miasteczku, trzeba było przebyć rzekę Białą. Na brzegu jej wywróciły się sanie z nieszczęśliwymi jeńcami, a żaden z oprawców nie chciał ich podnieść. Wtedy to panna Różycka, która sama jedna nie miała skrępowanych rąk podniosła sama sanki, i złożyła na nich rannych. W Tuchowie patrzyli mieszczanie na biednych rannych więźniów z urąganiem, i wołali aby ich dobić; komornik zaś kazał powiedzieć, że go nie ma w domu, i aby więźniów powieziono do Tarnowa. Na nowo więc potrzeba było przebywać Białą. Ponieważ już wiele ludu stało na promie, przeto zrzuceno córkę Różyckiego, lecz mimo to konie nie chciały wejść na pomost. Rozgnie-

*) Marcele Skalkowski był ojcem Dra Tadeusza Skalkowskiego, posła sejmowego.

wani chłopci, wyrzucili z sań i innych ciężko rannych, i bardzo osłabionych wskutek gwałtownego ubytku krwi, i mocnego, nie-ludzkiego skrępowania.

Major Różycki przywiązany był do sań za ramiona tak, że głowa nieszczęśliwego wisiała za saniami niejako w powietrzu. Córka jego wszelkimi sposobami starała się zmiękczyć serca oprawców, i wreszcie dokazała tyle, że wszyscy zezwolili na rozwiązanie jej ojca, jeżeli tylko na to zgodzi się wójt z Burzyna. Lecz okrutny ten człowiek, nie pomny na to, że niegdyś obsypywany był łaskami pańskimi, że mu we dworze ufano i uważano niemal za brata; ten to niegodziwiec, nie tylko zabronił biednemu panu przynieść jakąkolwiek ulgę, lecz owszem rozkazał „cisnąć nim na prom jak psem”. Na to nadbiegła inna gromada złoczyńców, a pokazując piśmienny rozkaz dostawienia do cyrkułu, tylko głowy Różyckiego, krzyczy aby go natychmiast zabić, gdyż za tę głowę o 10 zhr. więcej przeznaczył starosta nagrody, jak za inne. Poczynają więc na nowo pastwić się nad ofiarą, druzgocząc mu ręce i nogi, i prawie już martwego wiozą do Tarnowa.

Pani Różycka, aczkolwiek tak strasznie cepami pokaleczona w głowę, że jej gołą czaszkę widać było, przyczotła się także do Tuchowa, dla ratowania męża. Wściekłe chłopstwo byłoby ją zamordowało, gdyby komornik, na prośbę litością zdjętych przeciw parę mieszczan, nie był ją wraz z córką wziął do aresztu — i tym sposobem ocalił od śmierci okrutnej. Chciano jeszcze zamordować dziewięcioletniego synka majora Różyckiego, lecz mamka jego dawna zlitowawszy się nad nim, schowała go wbrew jego woli, bo malec wyrywał się jej z rąk, wołając głosem serce rozdzierającym, aby i jego zabili, skoro mu ojca zamordowali.

Dojchawszy do karczmy w Łękawicy, zatrzymano sanie z więźniami, a rozbęstwiona czerń chłopska popiwszy się, podobiała rannych, trupów zaś powiozła do Tarnowa Breindlowi, w dowód spełnienia rozkazów jego, upominając się o przyrzeczoną nagrodę.

Zaznaczyć winniśmy, że wojsko przywoziło do Tarnowa powstańców prawie nieżywych, a znaleźli się tacy oficerowie, którzy kazali ich na rynku dobijać, pchając bagnietami w napełnione ofiarami wozy, i bijąc je kolbami. Potrzebujących ratunku lekarskiego, składali na sali w kamienicy Kaminobrodzkiego, ale żołnierze kładąc na łóżko chorych, jeszcze ich bili kolbami.

Oburzony do żywego tem okrucieństwem doktor Stumer, ujął się za nieszczęśliwymi, przedkładając oficerowi w ostrych słowach, że na takie barbarzyństwo, jako lekarz, pozwolić nie może. Powstała ztąd kłótnia, zakończona pojedynkiem. Jedynie ze strony Dra Stumera doznawali nieszczęśliwi ranni ulgi; bo i fizyk miejski podzielał uczucia zbrodniarzy, i pastwił się nad bezbronnymi bez miłosierdzia. A również i konsyliarz Wotawa naigrawał się i szydził, wraz z walecznymi oficerami z więźniów.

Luźne wiadomości z krwawego roku 1846.

W pierwszych dniach maja, komisarz Nachlik zjechał z Tarnowa na komisję do wsi Siedlisk, ległą między Gromnikiem a Tuchowem, i zwołał gromadę, chcąc je skłonić do nakazów cyrkularnych. Chłopi znając już swą siłę, odpowiedzieli mu hardo i z oburzeniem: „Oszukiwaliście nas darowaniem pańszczyzny, rozdzieleniem między nas gruntów dworskich, a teraz nie spełniacie tych obietnic, ale my nie myślimy teraz słuchać, gdyż nie boimy się nikogo”. Słyszając to Nachlik, zatrwożył się niepomiernie, i nie mówiąc nic więcej, myślał tylko o jaknaśpieszniejszej ucieczce.

Wogóle odtąd chłopi hardo występowali, mówiąc, że się nikogo nie lękają; bo poznali swoje siły i wiedzą, że każdego nieprzyjaciela, choćby najsilniejszego, czapkami zarzucają. Sfora biurokracyi chcąc zwrócić uwagę ich na inny przedmiot, rozgłaszała znowu, że szlachta ma zamiar połączyć się z Moskalami, i sprowadzić ich do Galicyi. Insynuacye te rozjątrzyły umysły na nowo, i w kilku wsiach wywołały nowe mordy, lecz tak silnie tajono te wypadki, że niepodobna dowiedzieć się

prawdy. To tylko pewna, że 3 i 4 czerwca przywieziono do Tarnowa kilka trupów z Dębicy. Koło zwłok tych postawiono silną straż, nie pozwalając nikomu widzieć pomordowanych, i niczego nie można się było bliżej dowiedzieć o tym krwawym wypadku.

Pewna panienka wzięła sobie do serca zamiar wyśledzenia tej tajemnicy, poszła przeto na cmentarz późnym wieczorem, i tam zobaczyła dwie trumny. Odważnie podniosła koc, obaczyła pod nim trupa mężczyzny zamordowanego, a obok dół przygotowany na ostatnie dla nieszczęśliwego schronienie!

Przywołując do pamięci te krwawe dzieje, z bólem i gorzeją powtarzamy za wieszczem Przedświtu:

„Niczem Sybir, niczem knuty
I cielesnych tortur król,
Ale ludu duch zatruty,
To dopiero bólów ból”.

Chochołów

(miejsowość na zachodniej stronie twierdzy tatrzańskiej, na samej granicy węgierskiej, niedaleko od Zakopanego i Kościeliska położona).

Miejsowość ta była widownią niezwykłych wypadków ruchu, który w sprzeczności z tem co zaszło w roku 1846, najmowniej o tem świadczy, jak zacnem i patryotycznym było nasze duchowieństwo, jak lud nasz obojętny na wszystko, poruszyć i zapalić można, jeżeli się doń goręcej przemówi, jeżeli przykładem żywota nieskazitelnego i poświęcenia się dla drugich, zdoła kto na jego zaufanie zasłużyć.

W okolicy tej górskiej oprócz emissaryuszów Jana Goslara i Kańskiego, czynnymi bardzo byli ksiądz Michał Głowacki wikary z Poronina, ksiądz Janiczak wikary z Szaflar, i ksiądz Kmietowicz wikary chochołowski. Staraniem ks. Kmietowicza i organisty Andruszkiewicza uzbroił się lud okolic tych, które przed dwustu laty w obronie sponiewieranego

króla Jana Kaźmierza stanęły do walki przeciw Szwedom, i w imię walki o niepodległość zerwał się przeciw dwugłowemu orłu, co się w białego rozpanoszył ojcowiźnie. Z ks. Kmietowiczem na czele, rzucił się górski lud na graniczne komory jak n. p. w Suchej horze, nie rabował wszakże, jak go p. Sala o komunistyczne zachcianki posądza, zostawiał bowiem pieniądze w kasie, a zabierał tylko w imieniu nowego rządu klucze od nich, na lud ten bowiem wpływali nie żydzi, agenci i podłe finanswaczy, ale zacni kapłani, nie działała gorzalka, ale towarzystwo wstrzemięźliwości. Ruch ten do którego należało od pierwszej chwili przeszło 500 włościan, miał wzrastając w siły posuwać się pod Wadowice, i byłby niemałego kłopotu nabił nadeciągającego tamże od Krakowa Collina, i oddział od Bochni spieszący.

Ruch ten przypominający Raclawice udziałem ludu wiejskiego, zwichnęło i zabiło w zarodku wystąpienie gromady Czarnego Dunajca i Czarny, którą komisarz finansowy Romuald Fintowski nakłonił, by z nim przeciw powstańcom wyruszyła. Kiedy po porażce Fintowskiego, który ranny dostał się w ręce Andruszkiewicza, z nowym zastępem przeciw Chochołowianom wyruszył na czele gromad z Czarnego Dunajca, Podezzerwonego i innych Molitor nadkomisarz straży, musieli ustąpić przemocy, tem więcej, że syrenie głosy tych urzędników wielu z zastępu ks. Kmietowicza obałamuciły. Ks. Kmietowicz i proboszcz ks. Sułowski, z którego pomieszkania strzelano na hufiec Molitorowy, dostali się w ręce ówczesnego Pompejusza, i do Nowego Targu zostali odstawieni. Wspomnieć należy, że do ruchu ks. Kmietowicza przyłączył się był nadstrażnik Lebiocki, i że wspólnie z Fintowskim trzech poległo, a dziesięciu z obu stron było rannych.

Według relacji Dziennika narodowego str. 333 z r. 1847, zabito w Saudeckim 21 osób, spustoszone 92 dworów pod Sączem zaś 30, a dostawiono do cyrkułu 144 żywych.

Chojnik

*(Dembiński Aleksander, Dembiński Eljasz, Dzwonkowski Ignacy,
Tetmajer Antoni.)*

(na drodze z Ciężkowic do Tuchowa, w sąsiedztwie stacyi kolejowej Gromnika, własność p. Rutkowskiego, dzierżawił w roku 1846 Eljasz Dembiński, ożeniony z Nejmanowską, ojciec trzech synów, Jana, Kaliksta, Juljusza i Celiny późniejszej Groblewskiej, której opowiadanie to zawdzięczam).

Na tydzień przed 19 lutego zjechało więcej sąsiadów na naradę do Chojnika, byli tam Aleksander Dembiński i Ignacy Dzwonkowski z Gromnika, Tymoteusz Skrzyński z Siemichowa, Karol Jaworski z Rzepiennika, Antoni Tetmajer i Kazimierz Górski. Narady trwały długo, po których widząc zasmuconą żonę gospodarza, powiedział do niej p. T. Skrzyński, że ani kropla krwi nie padnie. Po odjeździe panów tych, próbowali domowi zrobić otwór ze spiżarni do piwnicy, by na wypadek aresztowania tamtędy uciec było można na koniach, które osiodłane stały w stajniach gorzelanych. Żona pana D. za poradą męża wyjechała spodziewając się, że w mieście bezpieczniej będzie do Tarnowa, gdzie w szkołach byli synowie. Temi samymi końmi któremi wyjechała, powrócił do Chojnika Jaś młody mając brać udział razem z ojcem w walce o niepodległość, choć dnia powstania nie wiedzieli, niepewnem bowiem było, czy 19. czy za tydzień ruch się już rozpocznie. Miał o tem żonę zawiadomić pan Eljasz, dając stosownie do umowy, i skutkiem niedowierzania poczcie czy posłańcowi, na liście lak lub opłatek. Temczasem list obiecany nie przyszedł, w Chojniku straszna odegrała się katastrofa, a niewiasty siedzące w Tarnowie dorozumiewały się tylko, że coś złego się stało, zamęt bowiem w mieście stał się wielki, pojawiły się dzikie postacie chłopstwa, a w końcu krwią zbroszone, trupami przepełnione wozy. Dzikie krzyki pijanego chłopstwa i smującego się ulicami wojska, przysłuszał jęk boleści tych, co dotknięci byli widokiem pomordowanych, przerażeni obawą o tych, których ten sam los mógł już spotkać. Do wozów kobiet nie dopuszczano, odtrącając nie-

ustraszone kolbami. Pani Dembińska przerażona o los męża, truchlała na myśl, że syn którego wyprawiła, również może zginąć. W kilka dni syn ten przyjechał z karbowym w towarzystwie chłopów do Tarnowa, i odstawiony początkowo do więzienia, powrócił do matki zmizerowany, nie było bowiem celu wynędzniałego więzić dzieciaka. On to opowiadał, że wyruszyszy z domu (prawdopodobnie pod Tarnów na górę św. Marcina) wrócili, gdy zebranie do skutku nie przyszło do domów, że do Chojnika wstąpili Aleksander Dem., Ignacy Dzwon. i Tetmajer, by zastanowić się nad tem co będzie. Do zgromadzonych wpadli arendarz i polowy Maciej, przynosząc swoje ubrania z prośbą i naleganiem, by co rychlej uciekali, bo jak mówili „chłopi idą was zabić”. Niebaczni nie chcieli wierzyć, i wyszli do chłopów, którzy zapełniali dziedziniec, zapytując „czego chcecie bracia?” Aleksander Dem., który przemówił do tłumu, na domaganie się groźne wydania broni, wrócić chciał do pokoju i w tejże chwili motyką w kark został raniony. Pochwyćciwszy pałasz stanął we drzwiach, by broniąc przystępu, ułatwić schronienie i ucieczkę reszcie, nie wiedząc, że dom już był obsadzony. Atletycznej budowy, żołnierz z 31 roku, oswojony z bronią, odpierał dłuższy czas tłoczące się ku wejściu chłopstwo, i nie mogli doń się zbliżyć z przodu. Legł dopiero wówczas, gdy jeden z chłopów zaszedłszy z tyłu, nadział go na żelazne widły. Powstał krzyk radości, rzucono się na nieszczęśliwego, dobijając go cepami i kołami, niszcząc do niepoznania rysy twarzy.

Ignacy Dzwonkowski i Tetmajer korzystali z chwili powstrzymania tłoczącej się czeready przez Aleksandra D., rzuciwszy się ku ogrodowi, z kąd przez płot w pole uciec myśleli. Na płocie zwieszonych dopadł Kubuś furman El. Dem. i jego ulubieniec. Nieszczęsnych związano plecyma do siebie, i w okropny sposób pastwiąc się nad nimi, zabito na grobli stawu. Jęki okrutnie katowanych słychać było za wsią na gościńcu.

Gospodarz domu Eljasz D. ukryty w piwnicy byłby uszedł śmierci, bo bandy chłopstwa zrabowawszy i zniszczywszy wszystko

już się do odejścia zabierały, gdy w tem Kubuś ów ich zatrzymał, wołając na nich: „a cóż to starego zostawicie, dyć on niezabity siedzi w piwnicy”. Ruszono ku nieszczęśliwej piwnicy, i zaczęto drągami drzwi wyważać. Czas jakiś pan El. bronił przystępu podpierając sobą drzwi, kiedy wszakże skuble pękły i drzwi ustępować nawałowi poczęły, usunął się za drzwi sądząc, że go nie dojrzą, nie wiedząc, że go wychowanek Kubuś zdradził. Thuny zapętniały piwnice, rzucając się na cenne dla nich napitki, zapominając prawie o celu tej wyprawy i wyłamywaniu drzwi piwnicy, — dopiero kiedy niejaki Baran p. El. dostrzegł, rzucił się na niego. Nie mając nic do stracenia, pochwycił p. El. napastnika za gardło i rzucił nim o ziemię, lecz tenże zerwawszy się, rozplątał mu głowę siekierę, którą mu faworyt Kubuś podał.

Kubuś ów w lat kilka po wypadkach roku 1846 zebrał po Bieczu bez rąk, które mu obie kula w czasie kampanii włoskiej urwała; Barana zaś inna spotkała przygoda, na opowiadającego bowiem w lesie czyny bohaterskie z roku 46, i urągającego z nieszczęścia które spowodowali, spadło z rusztowania tracza pod którym stał drzewo, i na miejscu draba tego ubiło.

Rzezi tej uszedł wypadkiem syn gospodarza Jan D., który w pierwszej chwili napadu na dwór skoczył z galeryjki domu do ogrodu, i tam się pod płotem żywym w zaspie ukrył. Pozostał tam całą dobę przysłuchując się jękiem mordowanych i wrzaskom tłumów na widok krwi rozszalałych, długo w tej kryjówece pozostać nie mógł, bo i zimno skutkiem przemoknięcia odzieży i głód dokuczały; zmierzchem puścił się w kierunku chałupy dworskiego polowego Tomasza, który go chętnie przyjął, w ciepłej ułożył pościeli, gorącą ogrzał strawą i w chłopskie przebrał suknie. Kiedy wypoczął, przeprowadził go do leśnego dworskiego, a wreszcie zawiadomił wójta, że żyje, dowodząc, że go do Tarnowa odstawić należy. Pod opieką wójta i straży uzbrojonej w kosy i cepy, dojechał do Tarnowa, gdzie odstawiony do rąk władzy, jako dzieciak wypuszczony został, i nie-

bawem wygłodzony i zbiedzony skutkiem strasznych przejść i przeziębienia, dostał się w ręce zbolełej po stracie męża matki. Położenie pozostałej rodziny nie było miłym, mienie bowiem całe jako dzierżawcy zostało zniszczonem, dwór bowiem zrabowano, bydła wiele wyrznięli, zboże ze spichrzów i stodół zabrano, tak samo jak i 8000 garncy wódki, którą wytoczono z beczek. Szczegóły te opowiadał rodzinie i siostrzeńcowi pani El. Dembińskiej p. Tadeuszowi Nejmanowskiemu Michał Bartusiak Peciakiem zwany, który przy gospodarstwie w Chojniku służył, i na sceny te patrzył. Według jego opowiadania miał p. Eljasz wyjść na podwórze. Kiedy zapytał „czego chcicie“ dano mu odpowiedź, my ci tu zaraz pokażemy czego chcemy, uderzyli na niego i cepami bili tak iż byłby pod razami zginął, gdyby nie był strzelił w kupę chłopstwa Tetmajer, i nie zagroził że strzelać nie przestanie, jeżeli od Eljasza nie odstąpią. Chłopstwo cofnęło się w drugi kąt podwórza, tak że można było zabrać zbitego, poczem go w piwnicy ukryto, gdzie pozostał do chwili, kiedy go Kubuś zdradził.

C z e r m n a ,

(wieś w starostwie Jasielskiem na zachód od Jasła).

Po uwięzieniu księdza plebana Gromadzkiego znakomitego patrioty, gdy zabrakło we wsi ważnej, bo moralnej tarczy i zapory przeciw rozhukanemu chłopstwu, stały się dwory także pastwą łupiestwa czerniawy, która napadłszy na dwory, złupiała je, a właścicieli folwarczków Ignacego Dziegielowskiego weterana napoleonczyka, i Wincentego Kłosińskiego powiązała i jak trzodę gnała do Tarnowa, w widokach nagrody pieniężnej. Lecz że pierwszy był już wiekowy, a drugi prawie ciemny na oczy, miasto zaś przepelnione więźniami, więc ich tam nie przyjęto. Pognano ich tedy ztamtąd do Jasła, lecz również bez

skutku, bo jako niezdolnych do buntu odprawiono. Ile zaś biedacy w tej przymusowej podróży pieszo po górach i bezdrożu, w zimnie i w takim towarzystwie wycierpieli, pojąć łatwo.

Czudec

(w dolinie Wisłoku, wzorowo od dłuższego czasu zagospodarowany, własność pani Józefowej Wiktorowej, należał w r. 1846 do jej dziadków p. Nyczów).

Czudec nasza czerń, która łupiła i mordowała w Pstrągowie, niespodziewanie wszakże spotkała się tu z oporem należycie zorganizowanym, na którego czele stał wójt miejscowy Śmiałowski. Obrona mogła być zacięta, bo na linii bojowej stanęły i kobiety, uzbrojone w ożogi i wrzącą wodę. Dzielnego Śmiałowskiego wynagrodził p. Nycz, nadając mu na równiach kawał ziemi, w miejscu gdzie teraz stacya kolei żelaznej.

Czerń odparta w Czudcu mordowała w niedalekiej Godowcy, a spotkała równie energiczny opór w Połomyi, gdzie wójt Mikołaj Bosak i podwójci Ignacy Półchłopek, Połomyję wystąpieniem dzielnym obronili, tak, że napastnicy zostawiając w spokoju Połomyję, Niebylec i Baryczkę, na Luteczę i Domaradz uderzyli, i w Sanockie wtargnęli.

Demblin nad Wisłą.

(*Pomiankowski*).

Tu napadli chłopci dom mandataryusza Pomiankowskiego, w czasie wesela córki, i jak w Łączkach na pogrzebie Brzeskiego, obfite mieli żniwo, zamordowali bowiem Pomiankowskiego i syna, kilku z gości przybyłych na wesele, poczem zabitych i powiązanych odstawili do Tarnowa.

D o ł ę g a

(sąsiadująca ze Szczurową, Zaborowem i Borzęcinkiem).

Tu zabili chłopci syna państwa Piekusińskich.

D ą b r o w a.

(*Górski, Kotarski Karol, Konopka Prosper, Psarski, Dulęba, Bzowski*).

(Ze zapisków Wgo księdza Jana Kitrysa, ówczesnego proboszcza w Dąbrowy później proboszcza w Szczurowy).

Do poglądu na zlokalizowane wypadki w miasteczku Dąbrowa, obwodu Tarnowskiego, zdawało się właściwem wymienić osoby, które uległy fanatycznej zemście rozbestwionego opitego chłopstwa.

Imieniem licznej męskiej rodziny Stojowskich, i dwóch sióstr, administrował dobrami najstarszy p. Stanisław Stojowski, zamieszkujący podrujnowany piękny zamek Lubomirskich. Do związku patrimonialnego należały następujące osoby:

1. Jędrzej Józefczyk znakomity później pedagog, naówczas mentor i guwerner dwóch synów Stojowskiego, z których jeden Stefan dotąd przy życiu zostaje.
2. Walenty Kwiatkowski, mandataryusz.
3. Zarządca ekonomiczny, którego nazwiska nie przypominam sobie, i pisarz gorzelany.

Dzierżawcy folwarków w skład państwa Dąbrowskiego wchodzących:

1. Emil Stojowski w Rudee, 2. Dulęba w Nieczajni, 3. Bielkiewicz w Bagienicy, 4. leśniczy — niejaki Psarski.

Imi niezależni: miejscowy proboszcz z dwoma wikarymi; Rybicki dzierżawca interkalarny gruntów plebańskich, Małecki aptekarz, Raczyński komisarz skarbowy.

W sąsiedztwie Dąbrowy mieszkali Karol Kotarski w Oleśnie, Leon Konopka w części Otfinowa zwanej Dyament, Prosper Konopka w Brniu, Kazimierz Bzowski w Gruszowie. Znajdował się też w Dąbrowy lekarz z Mędrzychowa Piotr Bartman, ordynujący w Dąbrowy.

Z dnia 18 na 19 lutego miało nastąpić zbrojne powstanie. Przyspieszenie terminu wywołało nadzwyczajne zamieszanie wśród pogotowia, mającego stanąć na punkcie zbórnym w Łukowej, i nadciągającego tamże zbrojno z różnych stron.

Ponieważ Tarnów był celem wyprawy, sądzono, że dla rodziny obywatelskich mieszkających w Tarnowie bezpieczniejsza będzie wynieść się na wieś, i ztąd poszło, że matka Stojowskich z córkami i innymi krewnymi paniami, w wilię powstania do Dąbrowy się sprowadziły. Tak samo postąpiła sobie pani Kotarska żona Karola, zjechawszy z synem, córką i mentorem ks. Ruczką do Olesna. Kiedy zamierzony zamach na Tarnów nie mógł przyjść do skutku, z powodu skrycie już zorganizowanych band chłopskich, które dążących ku Tarnowu powstańców na wszystkich punktach zatrzymywały, i rzeź rozpoczęły, a to pomiędzy Tuchowem i górą ś. Marcina również w Lisiej górze, gdzie kilkudziesięciu zmierzających od Mielca ku Tarnowowi pod wodzą Franciszka i Michała Wiesiołowskich rozbrojono, przeto ci co od Wisły spieszyli, przybyli o 9 wieczorem, i nikogo w Łukowie nie zastali, tak że o północy do Krzyża wsi księżęcej pod Tarnowem się udali, gdy i tu tych co mieli dowodzić nie zastali, i ciszę dokoła Tarnowa spostrzegli, rozpierchli się powoli, i nad ranem we czwartek do domów powrócili. Niektórzy z powracających wstąpili do zamku w Dąbrowy, tak że byli tam Stojowscy, Konopkowie, Górski z Partynia, Popiel jakiś i wielu innych nie znanych mi. Liczba zebranych wówczas wraz ze służbą mogła 20 głów wynosić. Komunikacya z Tarnowem tak była przeciętą, że mimo 2-milowej odległości do wieczora nie wiedziano co się w Tarnowie dzieje, gdy już poprzedniej nocy powiązanych i pokalczonych w Lisiej górze do Tarnowa odstawiono, a za górą

ś. Marcina pomordowani już byli Różyccy, Chrzastowscy, Marceli Skałkowski, Marceli Jaworski sędzia, ks. Cieczkiewicz, Dembińscy, Dzwonkowski i Tetmayer.

Bawiąca w zamku Dąbrowskim szlachta nie przeczuwała smutnych następstw łatwowości swojej. Wieczorem we czwartek udałem się na zamek dla powzięcia języka; po chwili przyszedł mój służący z oznajmieniem, że na plebanią zajęchali pani Kotarska i Leon Konopka i chcą się ze mną widzieć. Powróciwszy do domu, już p. Kotarskiej nie zastałem, tylko p. Konopkę nadzwyczaj zatrwożonego, mówiącego, że chłopci zamierzają rzucić się na dwory i osoby, albowiem na to już zakrawa wypadek, jaki mieli w Brniku. Rzecz się tak miała. Pani Kotarska schroniwszy się z synem i ks. Ruczka na wieś, zmiarkowawszy na co się zanosi, w porozumieniu z mężem postanowili wrócić do Tarnowa, lecz gdy do Brnika o pół mili od Dąbrowy oddalonego przybyli, zatrzymani byli przez chłopów przy karczmie zgromadzonych. Księdza z młodym elem zaraz przyaresztowali, pani zaś w towarzystwie Leona Konopki miała na tyle czasu, by się wymknąć z powozem i wrócić do domu.

Pani Kotarska matka Stanisława Kotarskiego, marszałka powiatu jasielskiego i Maryi żony Zygmunta Drohojowskiego z Krukienic, była Konopczanką z domu.

Owóż po drodze wstąpili na plebanią, by zasięgnąć rady. Pana Leona Konopkę chcącego pozostać w ukryciu na plebani, starałem się przekonać, że mu na plebani większe grozi niebezpieczeństwo niż w zamku, gdzie tylu panów jest zgromadzonych, tak że w razie napadu łatwiej się bronić mogą. Uśluchał tej rady, i trzęsącego się ze strachu odprowadziłem sam do dworu. Noc z czwartku na piątek przeszła spokojnie, dopiero w piątek rano pojawiły się na targowicy wielkie tłumy uzbrojonego chłopstwa, i rzucili się najsamprzód na gorzelniane zabudowania, zkład całe kufy okowity powywlekali.

Rządcę dworskiego mającego klucze od składu na miejscu zamordowali — to była pierwsza ofiara. Gdy z okna przypa-

trywałem się tej scenie, pojawiło się kilkunastu przedmieszczan na plebanii z ukrytymi postronkami, by mnie zwięzać i odstawić do cyrkułu. Ten napad ściągnął na plebanią znaczną ilość mieszczan i kobiet zawodzących w niebogłoty. To współczucie i moje odważne wystąpienie z przemową do napastników, że nie mają prawa bez upoważnienia władzy rządowej aresztować swego plebana rozbroiło ich, i stanęła umowa, że wójt gminy będzie wiedział o mojem pobycie, aby wrazie nakazu starosty mogli mnie odstawić do Tarnowa. Szukałem za tem schronienia, zmieniając kilka razy miejsce. Kiedy wydaląłem się z domu do wskazanej mi chaty stojącej na ustroniu, straszny miałem widok wyjących pijanych tłumów, którym wójt z Bagienicy przewodził. Widziałem z daleka, jak kilku konno zdążyło ku jednemu folwarkowi, z kąd niebawem wywlekli ekonomę, do Dąbrowy powieźli i tu zamordowali. W zamku powstał straszny popłoch, sam tylko gospodarz dodawał gościom otuchy, łudząc się, że poddani jego zawsze po ludzku traktowani, nie rzucą się na niego, ani na jego gości. Chcąc dodać otuchy i dać dowód, że się nie lęka, siada na konia, jedzie ku rozbestwionej czerniawie, przemawia po ojcowsku lecz głos jego nie dochodzi a niebawem zarzuciwszy czapkami splotzonego konia, chłopci ściągnęli jeźdźca na ziemię, i bili go pięściami po twarzy, i byłiby go na miejscu zamordowali, gdyby przywódzca nie był powstrzymał krwawego znęcania się w tej myśli, że odstawiwszy go, sowitą zań dostaną nagrodę w Tarnowie.

Czereda cała rzuciła się teraz na zamek, wpadła doń bez oporu, a wywlokłszy nieszczęśliwych ilu ich było z kryjówek, znęcali się nad nimi w barbarzyński sposób. Pobitych i poranionych powiązali, i na wozach wywieźli do Tarnowa. Jednego Górskiego zamordowano na miejscu.

Mam to przekonanie, że panowie i służba razem około dwadzieścia osób, nie tracąc odwagi, mogli byli wytrzymać oblężenie, a może i odeprzeć rozpite chłopstwo, mając podostatkiem broni palnej i amunicyi, jeden bowiem tylko był przystęp do zamku. Uszykowani mogli każdego wdzierającego

się trupem położyć. Znajdujące się w zamku niewiasty wyniosły się z domu, i oddały się pod opiekę skarbowego komisarza Raczyńskiego.

W tym samym czasie rozgrywały się w pobliskich miejscowościach przerażające sceny. W Oleśnie upamiętnił się ten dzień męczeńską śmiercią Karola Kotarskiego, obywatela w całym znaczeniu zasługującego na uwielbienie. Tragiczny epizod zasługiwałby na obszerniejszy opis z tego powodu, że Karol Kotarski nie tylko w Tarnowszczyźnie obok księcia Władysława Sanguszki, ale w dalszych stronach górował niezwykłą powagą, z którą wszystkie sfery towarzyskie liczyć się musiały. Im wyższe i szlachetniejsze było pojęcie obywatelskich obowiązków, tem wyuzdańszego okrucieństwa doświadczyć musiał na swej osobie. Zrozumiał starosta Breindl takie stanowisko swego przedtem przyjaciela i wszedł od czasu objęcia urzędowania w ściślejsze stosunki z Kotarskim, a w sprawach administracyjnych zasięgał jego rady. Gdy się szlachta pod naciskiem emisarynszów do robót rewolucyjnych sposobila, Kotarski trzeźwiej zapatrywał się na sprawę i trzymał się nieco na uboczu. Dopiero w kilka tygodni przed wybuchem ukartowanym, zerwał ze starostą wszelkie konferencye. Tyranski starosta obawiając się prawdopodobnie przeważnego wpływu pozyskanego dla rewolucyi męża, wymierzył najsroższy cios przeciw niemu, by go między żyjącymi w czasie spodziewanych indagacyi kryminalnych nie zostawić, lękając się wykrycia wstrętnych machinacyi rządu.

Na ten domysł naprowadza sposób postępowania z ofiarą. Gdy się tłumy w dworku zgromadziły, pojawili się między nimi z innych gmin oprawcy, a z nimi individua w łożeniu i postawie nie chłopskiego nie mające.

Widocznem było, że pana i mandataryusza mają rozkaz odstawić do Tarnowa. Więźniowie nie uszkodzeni, siedli na wóz i tak dojechali do kościoła. Nagle wyrócono wóz, i wtedy rozpoczęło się krwawe nad nimi znęcanie. Mandataryusza ubito, Kotarskiego pokaleczono. Widząc życie swe zagrożone,

prosił o chwilę rozmowy z miejscowym proboszczem, który go wyspowiadawszy zaopatrzył śś. Sakramentami. Ale też zaraz po dokonanej świętej akcie, pastwili się kanibale nad ciałem męczennika. Rąbali członki jego, a trupa już sromotnie zeszpeconego, przybywszy do Tarnowa porzucili pomiędzy inne trupy, tak że przy urzędowem później skonstatowaniu pomordowanych, zaledwo odnaleźć zdołano znamiona tożsamości osoby.

Równocześnie napadła inna banda na dwór Prospera Konopki, bezżennego dziedzica Brnia, należącego do parafii Olesna, miłośnika malarstwa. Nie zastawszy go w domu, gdyż ucieczką w lasy chciał się ratować, po zniszczeniu zabytków sztuki i sprzętów, urządzili obławę w lasach na niego, a tam przychwytanego zamordowali. Taki sam los w lesie spotkał Psarskiego leśniczego.

W Niecieczy majątku Stojowskich nie oszczędzili zbójcy niejakiego Duleby podletniego dzierzawcy, zdala od spisku się trzymającego. Odstawili go na wpół żywego do Tarnowa, gdzie wkrótce w skutek ran otrzymanych umarł. Odmienna zaszła katastrofa w Gruszowie własności Kaźmierza Bzowskiego, nieobecnego w domu, syn tegoż młodzieniec około 20 lat, widząc się być osaczonym, nie czekał śmierci od rąk morderczych, i własną palną bronią odebrał sobie życie.

Wróćmy do Dąbrowy i przypatrzmy się co się z pozostałymi tamże działo, po wywiezieniu pobitych i pokaleczonych. Rozbestwiona tłuszcza obozująca całą noc z piątku na sobotę na rynku i targowicy, poniszczywszy w zamku co się dało, wypróżniwszy piwnice i składy w gorzelnii, napełniała powietrze dzikimi okrzykami, czego się w domu kościelnego w ukryciu, oka nie zmrużywszy podostatkiem nasłuchiwałem. Tak trwało do południa, gdy mi z plebanii znać dano, że z Tarnowa konnica przybyła, by pozostałe panie i familie oficyalistów do Tarnowa przeprowadzić. Dzierżawca plebański wyżej wspomniany Rybicki i ja zebraliśmy się natychmiast pod osłoną dwu kawalerzystów, i zajęliśmy przygotowane po-

wozy. Tu już naocznie przypatrzeć się mogłem obrzydliwym postaciom pijanego chłopstwa, wałęsającego się po rynku z nieodstępniemi morderczemi narzędziami.

Przybyła eskorta z dwóch szeregów (zugów) się składająca, rozrzuciła między chłopów drukowane świstki ze starostwa, wzywające do spokoju. Na nie wiele się to zdało, kartki te bowiem rzucane pomiędzy nieumiejących czytać, nie powstrzymały załóg chłopskich przy każdej karczmie stojących od napaści na przejeżdżających z dalszych okolic nadwisiańskich rannych, a sam Stojowski oddzielnie wieziony pod silną strażą, jedynie tym sposobem ocalał, że towarzyszący mu herszt z Bagienicy zarządził, by stróże na wozie zastaniali jeńca, odbijając spadające na wóz a względnie na Stojowskiego cepy i widły. Najmniej około dziesięciu takich karczem przejeżdżały wozy z rannymi. Udzieloną tak liczną eskortę wojskową zawdzięczaliśmy półkownikowi szwoleżerów Moltkemu. Gdy bowiem zwiedzał sale przepełnione rannymi ułożonymi pokotem na słomie, Stanisław Stojowski od dawna zażyły z pułkownikiem prosił go na wszystkie świętości, by ratował rodzinę jego, na łasce rozbójników w Dąbrowy zostającą, z czego się Moltke po ludzku wywiązał.

Piszący (ks. Kitrys) po czteromiesięcznem więzieniu w Tarnowie, został wypuszczonym skutkiem orzeczenia wyższego sądu we Lwowie, po dwóch zaś miesiącach ówczesne gubernium poleciło surowo księdzu biskupowi Woytarowiczowi, aby go acz niezasądzonego, z beneficjum prywował w skutek czego zasuspendowany a saceris wyrokiem konsystorskim do domu poprawy w Przeworsku na czas nieoznaczony skazany został, z kąd. po 15 miesiącach pokuty na mocy wyroku gubernialnego dnia 18 lutego 1848 uwolniony, do czynności kapłańskich jako wikaryusz przywrócony został.

Szczurowa 21 lipca 1893 r.

Nadmienić wypada, że Dąbrowa należąca do majątków Lubomirskich, już za Stanisława Augusta przeszła była drogą kupna na licytacyi w ręce p. Nikodema Stojowskiego. Był

do roku 1846 w Dąbrowej wspaniały zamek wystawiony przez Lubomirskich, piękna w stylu włoskim budowa, zdobna marmurami i wielką ilością posągów. Zamek ten jeden z najpiękniejszych w kraju, spłonął w 1846, a zaniecili ogień żołnierze dla uspokojenia okolicy po wypadkach r. 1846 przystąpi. Mając ze zamku oddalonego trochę od miasteczka niewygodny przystęp do szyneczków, a spodziewając się, że w samym mieście będą umieszczeni — podpalili pamiątkową tę budowlę, której gruzy użył ostatni właściciel z rodziny Stojowskich na budowlę kilku dworskich domów w mieście.

Do p. Nikodema Stojowskiego należały oprócz Dąbrowy Rzędzianowice, Siedliska, Smarzowa, Grudna, Zarówka i Nieczajna. Syn Nikodema p. Dyzna Stojowski miał dzieci: synów Stanisława i Eugeniusza (z Jaszczwi), Feliksa, Konstantego, Emila i Władysława, córki Henrykę za Konstantym Pilińskim z Tarnowca, Maryą 1^o v. Boguszową, 2^o v. Kurdwanowską, Alfonzynę, Adelę za Geppertem i Józefę za Nikodemem Boguszem. Rodzina Stojowskich spokrewnioną blisko była z rodziną Boguszów, córka bowiem pana Nikodema Apolonia, wbrew woli srodze o to pogńiewanego ojca, wyszła za Stanisława Bogusza, który acz dobrego rodu nie mając majątku, służył u p. Nikodema jako sekretarz. Wyklęta i wydziedziczona przez nieubłaganego ojca, otrzymała nieszczęśliwa Apolonia dział równy od zacnego brata. Ciekawem, że panek ten dumny, kiedy St. August nadawszy szambelanią Boguszowi za nim się wstawiał do p. Nikodema, miał powiedzieć: „król panem u siebie w państwie, a ja królem u siebie w domu”.

Syn p. Dyzmy Stanisław Stojowski, wdowiec już w r. 1846, zarządzający Dąbrową jako najstarszy, a żołnierz z 31 roku, miał dowodzić oddziałem, który Tarnów miał zajmować. Sam p. Stanisław jako żołnierz armii regularnej przeciwny był powstaniu, przedstawiał trudności, a uległ zagrożony sądem wojennym pod Łukową, gdzie zbierali się powstańcy, miał objąć dowództwo połączyć się z oddziałem z góry św. Marcina w ataku na Tarnów.

Po dwu godzinach bezowocnego na znaki umówione wyczekiwania, radził Stoj. rozejść się do domów, przeczuwając, że coś ruch sparaliżowało. Na to ozwał się ktoś: „za takie przemówienie kulą w łeb”. Nieustraszony Stojowski odparł mu na to: „strzelaj ale słuchaj”, co tamtego rozbroiło. Stanisław ten ocalał po pojmaniu go przez chłopów jak to ks. Kotrys opowiada, dzięki niezwyklej przytomności. Dzieci jego miały czarną kozę, która za nim i końmi wszędzie chodziła. Że gdy p. St. konno do chłopów wyjechał i ona za koniem wyszła, pytali chłopci St. coby to była za koza. Stojowski usnuł całą powieść ku zadowoleniu rozciekawionych chłopów, twierdząc czemu wierzyli, że koza ta to zaczarowana księżniczka pokutująca w kozie za to, że za życia pokochała pasterza owiec. Opowiadanie przybrane rozmaitemi epizodami przeciągał p. St. jak najdłużej się dało, i temu jak i zaciekawieniu chłopów zawdzięczał, że broniony przed napadami obcych chłopów, dojechał do Tarnowa. Umieszczony w piwnicy, później więcej po ludzku traktowany, co pułkownikowi Moltkem zawdzięczał, przesiedział w więzieniu we Lwowie aż do ogłoszenia amnestyi.

Doły i Łoniowy

(w parafii Porąbce Uszewskiej, w cyrkule bocheńskim, dzierżawił od kamery p. Płocki).

Wsie te napadli chłopci z państwa Dembno, i złupiwszy dom i mienie dzierżawcy, unosząc suknie i pościel, uprowadzając konie i bydło z obory, odstawili związanego Płockiego do Bochni, gdzie szczęśliwy że umiał życie, siedział w innym w więzieniu.

D o b r a.

Rabunek, męczarnie, a na koniec zamordowanie Eliasza Tarasiewiczza, sędziego politycznego w Dobrej, obwodu Sądeckiego.

Państwo Dobra w Sądeckim cyrkułe leżące, własność Ludwika hr. Małachowskiego, podaje do umieszczenia następujący artykuł:

W roku 1792 podówczas właściciel tegoż państwa z ośmiu wsi składającego się, JW. Stanisław hr. Małachowski, były starosta sądecki etc. etc. przez kontrakt (komplanaçę), rozdał pomiędzy poddanych swoich 240 morgów gruntów dominikalnych, odstąpił 15000 dni ciągłych a 3700 dni pieszych pańszczyzny wraz z czynszami ziemnymi w kwocie 6206 złr. 28 kr. za sumę ogólną ryczałtową 11085 złr. 19¹/₂ kr. Zastrzegł zaś sobie odstawianie 1240 fur drzewa na opał dworu i gorzelnii, zwóz zakupionego zboża najdalej w Krakowie 1240 korcy, odstawienie 1800 kóp klepek na beczki solne do Wieliczki, utrzymanie warty nocnej przy dworze, i obowiązek reparowania budynków dworskich wszelkich, i w potrzebie stawiania nowych z dodaniem majstra kosztem prowentu.

Ze względu tych powinności, mieli poddani na osiadłościach w liczbie 700 numerów wolny opał z lasów dworskich. Dobra te przechodziły kolejno do rąk różnych rządców, a nakoniec w roku 1828 dostały się w posesyą, i tak zostawały w rękach jednego, do czasu nieszczęść galicyjskich w miesiącu lutym 1846. Przez ten przeciąg czasu ów posesor z powierzonym mu ludem około 5000 osób, zachował się tak, jak na ucziwego obywatela przynależy. Starał się najsamprzód o pomnożenie szkoły miejscowej trywialnej, powiększył takową w połowie, działał wszystko w myśl dziedzica, którego życzeniem było, mieć poddanych oświeconych i doprowadził do tego, że 209 dzieci regularnie szkołę odwiedzało. Oprócz tej, we wsi Półrzyczkach tutejszego państwa ustanowił szkółkę, do której 30 kilka dzieci chodziło i początki edukacyi odbierało. Dziedzic nadto dla szkoły trywialnej powiększył opału sągów 4 co rok,

za wstawieniem się tegoż posesora. Tenże sam pożyczał poddanym w różnych potrzebach pieniędzy. Na ciężkich przednowkach dawał zboże bez zarobku, a częstokroć ze stratą. Podatki za nich po największej części opłacał rządowi, których to należitości częstokroć po parę lat czekał, jak i do dziś dnia od roku 1842 czeka. Wyznanie to jest prawdziwe i święte, i każdego czasu aktami udowodnione być może. Okoliczność powyższą dlatego przytoczyć należało, by wysoka publiczność osądzić raczyła, czyli ci poddani mieli najmniejszy powód do popełnienia następującej zbrodni.

Opatrzność najwyższa zrządziła, iż ciż posesorowie małżonkowie nie myśląc o niczem więcej jak tylko o utrzymaniu się wraz z rodziną przyzwoitem, co tak miejscowym poddanym, jak również i urzędowi obwodowemu tajemnie było, dnia 1 lutego 1846, w sukcesyjnym interesie wydalili się z domu, pozostawiając tylko rodzinę.

Gdy się nieszczerście zbliżało i co raz straszniejsze wieści o rabunkach i morderstwach się rozchodziły, rodzina w zaufaniu dobrego z ludami obchodzenia się, sprowadziła kilkunastu niby najzaufańszych ludzi do pilnowania dworu, i tym wszelkie wygody jakie przynależało robiła, z chęcią wynagrodzenia ich zaraz zbożem, lub czemkolwiekbądź. Lecz ci okazując (podstępna) wierność, odmówili solennie przyjęcia nagrody z objawieniem, że „my bez tego wszystkiego w wypadku bronić będziemy, w razie niebezpieczeństwa więcej z gromady na pomoc wezwiemy i obronimy”, do czego to należał Wojciech Palki, wójt dobrski.

Niestety atoli! nadzieja zawiodła, albowiem zamiast przyobiecanego pilnowania a w razie napadu obrony, śledzili, aby pozostała rodzina gdzie czego nie ukryła, w każde miejsce wglądali i krok w krok tropili, tymczasem inni w nocy z 25 na 26 porozumiewali się z chodzącymi na rabunek do ościennych państw 25 lutego. Gdy tedy nadszedł ów dzień 26 lutego, w którym ukartowana rzeź wykrytą została, albowiem poddani miejscowi, którzy zaprawiwszy się na rabunkach i mordach w pań-

stwach ościennych Skrzydlny, Stróży, Szczyrzynie, Jodłowniku i Wilkowisku, przybrawszy obcych do siebie dla pokrycia swej zbrodni, którą wykonać mieli, napadli na dwór, do tych zaś owi mniemani wierni stróże zaraz się przyczepili, jedni do stajen zabierać bydło, drudzy do piwnic, jako Wojciech Kulig czyli Rzezak, rozbijać oksefty z okowitą, wytaczając na ziemię, inni po innych licznych schowkach, jak np. Majcher i Józef Branec, Chacarze, odbijając kłódki, zabierając co tylko gdzie było, niszczyli wszystko, inni uderzywszy na dwór, na czele których Marcin Czech i Józef Miłek 1620 zł. zabrali, z wielu innymi rzeczami. Maszynę gorzelnianą kosztowną Jan Lach, Wojciech Kulig i inni zabrali i zrąbali, zabudowania dworskie wszystkie w ruinę zamienili, i przeszło 17000 zhr. srebrem szkody zrzadzili, tak, że familii (córkom i wnukom) na jedno pożywienie niczego nie zostawili, a co większa piastunkom do dwojga wnuków będącym, ehleb do pożywienia zostawiony ukradli i na Opatrzności Boskiej zostawili. W czasie rabunku wpadają miejscowi księża, pleban i wikary, by co uratować mogli, lecz niestety rozjuszona dziec księdza wikarego skrzywdziła, a księdzu plebanowi odgroziła, że jeśli nie odstąpi, zaraz mu plebanią zrabować się uda.

Nie od rzeczy tu będzie przytoczyć zdarzenie następujące: Niejaka Maryanna Lachudzina z wsi Pólrzeczek tutejszego państwa, gospodyni dość dobrze się mająca, dowiedziawszy się, że dwory rabują i obywatele zabijają, przybywa ku domowi w celu, by jednego wnuka porwać, i przed zabójstwem ukryć, a nie mając własnych dzieci za swoje przywłaszczyć. Zamiar tej poczciwej kobiety odkrył się w przytomności pana Grzegorza Ławrowskiego, justycyaryusza kameralnego z Niepołomic, i jakie na wszystkich słuchających opowiadania zrobił wrażenie, dość będzie przytoczyć, że łez utrzymać nie można było. Zamiar ten ze wszechmiar pochwały godny, wynagrodzony przyzwoicie został.

Gdy się to dzieje, nieszczęsnego Eliasza Tarasiewicza, w kancelaryi będącego, w pierwszym momencie napadli zbój-

cy, na pole wyprowadzili, do wozu krzyżem rozciągali, po twarzy bili, w powrozy od chomont na ten cel ze stajni przyniesione wiązali, potem w kajdany okuli, do aresztu wprowadzili, do tapczana przykuli, ztamtąd napowrót do kancelaryi zawiódłszy, na krzeselku siadać i wstawać kazali i po twarzy bili, ztąd do karczmy i nazad do kancelaryi w łańcuchach przeprowadzali, czapkę zdejmować przed sobą na drodze i klękać rozkazywali i drągami bili tak, że niejaki Józef Palki, człowiek około 40 lat mający, gospodarz z wsi Włostawki niniejszego państwa, już na teraz nie żyjący, ugodziwszy nieszczęśliwego drągiem w głowę z wierzchu, całą skórę z tylnej części głowy zdarł, poczem krwią zboczony, bez zmysłów na ziemię upadł. Morderca nie miał żadnej sprawy w dominium, dla której miałby powód mszczenia się nad nieszczęśliwym. Nie mogąc znieść bólu, udał się ten nieszczęśliwy sędzia dnia 28 lutego 1846 do Limanowy do doktora po ratunek jaki. Pod Limanową w Sowlinach napadnięty przez tłumę zbójców z kilku tysięcy, pod naczelnictwem Wizthuna praktykanta cyrkułu bocheńskiego od Rupniewa, Młynnego, Laskowy, Rzegociny, Bytowskiej, Rajbrotu, Wojakowy, Królówki, Łątki górnej i dolnej, Trzciziany i innych wsi okolicznych, na zniszczenie Limanowy przybyłych, męczeństwo poniósł, albowiem widłami w bok przebodziony, na drogę ku Bochni z wozem prowadzony był, gdy kilku zbójców na nim siedziało, tak że wnętrzości z niego wygnietli, bijąc wciąż i mordując. Między Wiśniczem a Bochnią domordowali go, wioząc swą ofiarę do cyrkułu.

Dobrków pod Pilznem.

(*Bobrownicki, Kulczycki, Morska, Winogradzki, Stawicka, Stanisław i Aleksy Morscy*).

Opis morderstwa dokonanego na Józefie Bobrownickim, dziedziecu dóbr Dobrkowa w obwodzie Tarnowskim, na Pelagii z Bobrownickich Morskiej, Stanisławie i Aleksym jej synach — objętego podaniem do Stadiona, etc. etc.

Wasza Excelencyo! Okropność przejmowała każde czułe serce, gdy smutny los familii Boguszów dziennikami ogłoszony, doszedł wiadomości publicznej. Prawie zupełne wytępienie tej licznej rodziny przez Szeli morderczą rękę, można uważać za najwyższy stopień w miesiącu lutym 1846 r. dokonanych mordów, i ze zgrozą odwraca przyjaciel ludzkości swój wzrok od krwawej karty dziejów dni tych na zawsze pamiętnych. Niestety! jest jeszcze wiele takich kart, a może okropniejszych! — nad grobem nie jednej, niegdyś licznej, zamożnej rodziny, widzimy tylko pojedyncze członki, którym już nawet łez nie staje do opłakiwania gromu nieszczęścia, jakim dotknięci zostali. Do liczby tych nieszczęśliwych należy także podpisana, w nieutulonym żalu pogrążona małżonka zamordowanego Józefa Bobrownickiego, dziedzica Dobrkowa. Małżonek, matka i dwaj bracia podpisanej zostali zamordowani. Znani sprawcy tych zbrodni po dziś dzień na wolnej nodze urągają się bezkarnie z obrażonego prawa majestatu, a ich w niewinnej krwi zbroczone niewolnicze ręce, trwonią zrabowaną własność pomordowanych. Krótki opis tej strasznej zbrodni brzmi jak następuje:

Dnia 20 lutego, gdy zaledwie pokój sypialny opuściłam, spostrzegłam z okien pokoju jadalnego hordeę z kilkuset włóścian złożoną, która uzbrojona w cepy, kosy, siekiery, widły, pałki i drągi, otoczyła browar, dając za powód rozkaz z c. k. cyrkułu, by oficyalistę Kulczyckiego aresztować, i do tegoż odstawić. Do pokoju męża mego musiałam przez izbę czeladnią

przechodzić. Tu ujrzałam wszystkich mych ludzi zebranych. Na zapytanie, co się dzieje, z spuszczoneym na dół wzrokiem odpowiedzieli: „coś okropnego będzie”. Przeczując coś nie szczęsnego, pospieszyłam do pokoju męża, gdzie i obecną matkę moją Pelagię z Bobrownickich Morską zastałam. Donoszę im com widziała i słyszała; radzimy chwilę, coby trzeba zrobić i postanawiamy do wójta posłać, aby przez tegoż wezwać gminę ku naszej obronie. W tymże samym czasie jedna część zajadłej hordy rzuca się na mieszkanie proboszcza, pojmała wikaryusza Gałeckiego, jak również synowca proboszcza Antoniego Piaseckiego i prowadziła ich przy tysięcznych zelżeniach i podwajanych razach do miasta Pilzna; chcieli ich tutaj pozostawić, ale mieszkańcy Pilzna pokaleczonych i napół umarłych do więzienia przyjąć nie chcieli. Nieszczęśliwi na publicznym rynku w Pilźnie byli przez tych złoczyńców cepami, kosami i innymi zbrojeckimi narzędziami najniełitościwiej mordowani, do Dobrkowa nazad zawleczeni, przed dworskie stajnie rzućeni i tam, dającym jeszcze znaki życia ostatnie ciosy zadali. Oprawcy przez cztery dni zostawili ciała zamordowanych, wzbraniając je uprzatnąć, ażeby widokiem poszarpanych trupów, oczy swoje lepiej nasycić i piekielną radość zaspokoić, przypatrywaniem się jak wypuszczona i spędzona trzoda też plugawiła i deptała. Nim jeszcze po wójta posłać zdołano, nadciągnęła druga banda równie uzbrojona z Parkosza ku dworowi naszemu. Mój mąż wyszedł naprzeciw nim i zapytał: „czego chcecie moje dzieci?” Przywódcy odpowiedzieli zuchwale, że od rządu mają rozkaz broń zabrać. Zapewniwszy ich, iż nie ma żadnej ukrytej broni, mąż mój zwrócił się do pokoju, lecz tuż za nim wpadła z całą natarczywością rozjuszona banda rabusiów. Mąż zapewnił ich, że nie ma żadnej broni oprócz dwóch pałaszy i fuzyi do polowania, którą im wyniósł z pokoju swego sypialnego, przywódcy jednak odpowiedzieli, iż mają wiadomość z cyrkulu, że 12 par pistoletów znajduje się ukrytych w naszym domu, kazali sobie wszystkie szafy, kufry i komody pootwierać i przetrząsnęli cały dom z góry do dołu, nic jednak

nie znaleźli. Gdy żadnej broni nie wykryli, rzucili się nastąpi przez c. k. cyrkuł mordercy na pisarza Kulczyckiego, a oskarżyciele, sędziowie i oprawcy razem w jednej osobie, zamordowali go kosami na podwórzu przed samem mieszkaniem, rzucili się potem na ofycjalistę Adolfa Winogrodzkiego, ażeby mu podobny los sprawić. Mój mąż wyciągając ręce do tej rozbójniczej hordy, błagał ją o przebaczenie dla Winogrodzkiego; dał nawet Józefowi Książek, urlopnikowi z Łabuzia, jako przewodcy tej roty 10 ztr., zaklinając go i przyobiecując większe daleko wynagrodzenie, lecz wszystko napróżno, nieszczęśliwy w najokrutniejszy sposób został zamordowany. Podwójne to morderstwo wywołało ostatnią wściekłość tej cheiwej krwi tłuszczy. Przez naszego furmana nazwiskiem Wojciecha Pyzia, kazali mężowi powiedzieć, ażeby się z nimi udał w drogę, czego on uczynić nie chciał. Horda ta podobna do rozjuszonego tygrysa, ujrawszy już raz krew płynącą, nie zna żadnej granicy wściekłości, rzuca się do izby czeladniej. Kasper Guziec najsmotniej męża mojego znieważa, na jego głos „dalej” Franciszek Guziec, urlopnik z Dobrkowa, zadaje mężowi tak silny cios, że go powala o ziemię i wspólnie z Józefem Książek bez miłosierdzia biją cepami. Rzucam się, aby go własnem ciałem zasłonić, lecz nieszczęśliwy jęcząc, oddał mi, mówiąc: „Odejdź Maryo, jesteś matką”. Jeden z morderców wymierzył ku mnie widłami, ucieczką tylko życie moje uratowałam, w oborze ocalenia szukając. Aż tam dochodzą mnie bolesne jęki konającego. Franciszek Guziec z Dobrkowa, Józef Książek z Łabuzia, Michał Matyja, Jakób Bartusiaczyk z Mokrzec spełnili okrutne morderstwo. Ludwik Rasiński i Józef Brosik wyjawili nawet guwernantce moich dzieci Emilii Dąbrowskiej, że mają listę od c. k. cyrkułu wszystkich, których czy chcą lub nie, mają wymordować. Głęboka rana w głowie pewnie widłami zadana, a druga na policzku, niezbicie dowodzą rozmyślnego morderstwa, co Maciej Stępak i inni z Dobrkowa poddani zaświadczyć mogą. Teraz zbójcecka ta horda wywarła całą wściekłość na własności naszej. Do spichlerzów i magazynów drzewi

powywalali, zabrano i niszczoneo wszystko, meble, sprzęty, drzwi, okna, nie oszczędzając nawet Bogu poświęconych sprzętów. Monstrancją przeznaczoną do kościoła w Dobrkowie połamali i kawałki w śnieg porzucali. Posyłali nawet szukać mnie, żądając kluczy. Niebezpieczeństwo co chwila mojemu życiu zagrozało, groźby i przekleństwa, mowy szyderskie, naigrawania się, śmiechy dochodziły aż do mnie nieszczęśliwej. Szukając bezpiecznego schronienia i chcąc znaleźć matkę, która w tej okropnej chwili również ucieczką się ratowała, wyszłam z obory, a przeszedłszy ogród, znalazłam matkę w chłopskim przebraniu ukrytą u ogrodniczki. Miała przy sobie złoty cylinder i około 400 zł., oddałam jej i ja, co miałam do schowania. Przebrawszy się, poczerniwszy twarze i ręce błotem i sadzami, nie widząc się bezpiecznemi w mieszkaniu ogrodnika, udałyśmy się z moją małą córką do chaty zagrodnika podlaskiego. Mimo zapewnień jego żony, że tu bezpieczne jesteśmy, nie mogłyśmy się uspokoić, przeczuwając jakieś nieszczęście. Noc nadeszła, wkrótce usłyszałyśmy gwałtowne kołatanie i dobijanie się do naszej chaty. Byli to właśnie mordercy mojego męża; w ciemności nocy cudem prawie nieba zdołałyśmy uciec. Po za mieszkaniem znalazłyśmy wiejską kobietę, imieniem Styczyńską, która nam schronienie u siebie ofiarowała. Moja matka oświadczyła się stanowczo przeciw naszemu dalszemu razem przebywaniu, które według jej zdania, zgubą nam obydwom groziło. Moje prośby nie pomogły, ustąpiłam, rozłączyłyśmy się więc, aby się już więcej nigdy nie zobaczyć. Moja matka udała się przez pole, brocząc po głębokim śniegu, ja zaś do chaty Styczyńskiej, i tam w płaczu noc przepędziłam.

Z początkiem dnia nowe obrazy śmierci. Stawicka, krewna proboszcza z Dobrkowa Wyżkowskiego w najokrutniejszy, sposób zamordowaną została, podłożono bowiem pod nią ogień, chcąc na niej wymódcz wyznanie, gdzie się znajdują proboszcza ukryte pieniądze, potem na widły została zatknięta, a następnie na śmierć cepami zamłócona. Świadcami tego morderstwa byli Jurkowski i inny niemiecki chłop nieznanego nazwiska. Znajdująca się ze mną

w chacie kobieta słyszała, jak postanowili mnie zamordować, chociażby tylko 5 grajcarów przy mnie znaleźli. Gospodyni zaś sama słyszała postanowienie zamordowania dwóch moich braci, Stanisława i Aleksego Morskich. Nareszcie zgromadziło się wiele chłopów około mnie w chacie, wyciągnęli swoje krwią zbroszone ręce ku mnie, zapewniając, że mi się nie złego nie stanie. Dreszczem przejęta na widok morderców w krwi mojego męża zbroszonych, postanowiłam gdzieindziej schronienia szukać. Z śmiercią przed oczyma spieszyłam do mieszkania proboszcza, i prosiłam go, ażeby mi religijnej pociechy uczynił. Łaską boską wzmocniona postanowiłam dalej moją drogę odbywać, ale rabujące w domu proboszcza kobiety wiejskie wyszpiewowały już moją obecność. Musiałam się na strych obory wdrapać, dopóki ogrodnik dołu kartoflanego dla mnie nie znalazł. W czołgałam się do niego, przykryto mnie wilgotną słomą i ziemią i w tym to okropnym lochu żywo pogrzebana przeżyłam z dnia 21 na 22 lutego. Zupełnie ze sił wyczerpana i do rozpaczy przywiedziona wyszłam ztąd, postanowiwszy raczej być zamordowaną, niżli w tym zapowietrzonym dole być zaduszoną. Słyszałam jak ta dzika horda od proboszcza żądała, by mszę św. odprawił (była to niedziela) na podziękowanie Bogu za szczęśliwie dokonane morderstwo i rabunek. Precz ujechałam z tych miejsc przeklętych od Boga, niepomna na przebiegające bandy rozbójników, na śmierć samą tuż przed oczyma będącą. Przybywszy, prosiłam pisarza drogowego Urbańskiego, ażeby się udał do Dobrkowa po moją matkę i córkę. Moje biedne dziecko napół umarłe ze strachu odebrałam w południe w Pilźnie. Ale moja matka! Wielki Boże! W niedzielę wieczór w okolicy Dobrkowa w padole znaleziono ją, niestety już nie żywą, uduszoną, ażeby ją ze wszystkiego odebrać. W poniedziałek rano wójt Nowak przyniósł wypróżniony pugilares, a później zegarek, który niejakiemu Koturze odebrano. Wkrótce dowiedziałem się, że zaraz po moim mężu, moi bracia Stanisław w Brzezynie i Alexy w Latoszynie zamordowani zostali. Ostatni błagał o życie na próżno. Józef

Sekura i Piotr Zaklesiewicz mogą oświadczyć, że Józef Książek, Piotr N. i Świątek z Dobrkowa, zebrzącego o życie w najokrutniejszy sposób siekierami i kosami zamordowali. Morderstwo to tem ochydniejsze, że brat mój Alexy znany z wyświadczenia dobrodziejstw chłopom, ulegał napadom obłąkania tak, że lekarze obawiali się u niego zupełnej utraty zmysłów.

Już pod d. 22 maja do L. 5400 i 5703 złożone zostały dowody c. k. Sądowi kryminalnemu w Rzeszowie, nadesłane przez Sąd ziemiański w Tarnowie, dowody popełnionego morderstwa na moich ś. p. mężu, braciach i matce, a złoczyńcy do dziś dnia są na wolnej stopie, do dziś dnia większa część zabranego majątku znajduje się w rękach morderców.

W kilka tygodni po moim przybyciu do Pilzna, udałam się do Tarnowa, szukając opieki u tamecznego starosty Breindla, ale jakem została przyjęta. W przedpokoju tłuny chłopów. Starosta wyszedł, rozmawiał z nimi po przyjacielsku, z mordercami mego męża, udał jakby mnie nie widział i odchodzi, ja występuję udając się za nim, oddała mię, mówiąc, abym się nie cisnęła, i odszedł.

Wyszedł raz drugi, rozmawiał znowu poufale z chłopami, potem zwrócił się do mnie, powiedziałaam moje nazwisko. Jakie żądanie, proszę krótko, bo czasu nie mam, rzekł do mnie tonem imponującym. Na takie przyjęcie, serce me zakrwawione o mało nie pękło z wielkiej boleści, słowa nie mogłam przemówić, potokiem łez odpowiedziałam, odwrócił się odemnie, i znikł. Co się dalej działo w Tarnowskiem, przechodzi wszelkie wyobrażenie. Po zupełnem zniszczeniu dworu w Dobrkowie, znajdowały się i po większej części do dziś dnia sprzęty i rabowane rzeczy w chałupach chłopów.

Marya Bobrownicka.

Droginia

(*Dominik Dąbski*).

przy gościńcu z Dobczyc do Myślenic, w obwodzie bocheńskim należała do Dominika Dąbskiego.

Obywatel ten obchodzący się po ojcowsku z poddanymi, nie przepuszczał, by chłopci na dwór jego i na niego rzucić się mogli, pomimo że już był o mordach gdzieindziej dokonanych zasłyszał. Nie chciał nawet w ostatniej chwili uwierzyć i uciekać, kiedy wierny mu sługa o zbliżaniu się tłumów chłopstwa doniósł, i na klęczkach prosił, by ucieczką życie ocalić usiłował. Pamiętny swego ludzkiego obchodzenia się z poddanymi, wyszedł do chłopstwa wdzierającego się już do jego dworu, i starał się je skłonić, by grzesznego zaniechali zamiaru. Daremne były przedstawienia, jakkolwiek bowiem na widok dobrego pana pijani chłopci pozdejmowali czapki w pierwszej chwili, rzucili się nań niebawem pod wpływem zachęty hersztów nasłanych by pojmać Dąbskiego, którego dom jako zamożnego obywatela był ogniskiem życia obywatelskiego i zjazdów z całej okolicy. Pojmany Dąbski i związany patrzeć musiał, jak rabowali dom jego niszcząc lub unosząc cenne zabytki sztuki, unosząc co tylko wziąć było można. Wrzucony następnie do piwnicy własnego domu, przeżył tamże okropną noc w towarzystwie bratanka Władysława Dąbskiego i wiernego sługi, niepewny co ranek przyniesie. Nad rankiem złożyli oprawcy radę wojenną, i gdy jedni zaraz zabić go chcieli, inni do cyrkułu odstawić go radzili. Na razie przemogło to zdanie, i puszczono się ku Boehni, wiodąc skutego Dąbskiego. Prowadząc tak nieszczęśliwą ofiarę dwie mile, doszli do rzeki Raby, a nad nią łakomiąc się na pieniądze (blisko 10000 zhr.) które Dąbski miał przy sobie, rzucili się nań jak zgłodniałe krwi cheiwe wilki. Mordując w straszny sposób i pastwiąc się nad żywym, oderznięli mu głowę od tułowia, poczem porąbawszy członki i znęcając się w ohydny sposób nad trupem, porzucili członki zamordowanego do Raby.

Wyprawa pod Gdów.

(Opowiadanie W. Józefa Strausa c. k. radcy budownictwa w namiestnictwie, uczestnika tej wyprawy).

Stósownie do łożonego planu, miał Sokolnicki na czele zgromadzonych powstańców uderzyć na Austryaków na głównym odwachu w Krakowie, który generał Collin zajął był 18 lutego, tymczasem na punkcie zbornym pod Bernardynami, zamiast oczekiwanych czterystu, jawili się dwudziestu. Na Kleparzu starło się kilku powstańców ze szwoleżerami, przyczem padł Belli, a tak samo padły strzały z restauracyi Fochta pomiędzy Wenclem a Friedleinem położonej na odwach, co spowodowało, że wojsko tamże wpadło, zebranych tamże zabrało, i w kościółku ś. Wojciecha zamknęło. W piątek 20 było dość spokojnie, tem więcej że wojsko zabarykadowało ulice i jedynie między 9 a 10 wolno było wychodzić na miasto dla zaprowiantowania się, zresztą drzwi i okna miały być zamknięte.

W niedzielę około 8 wieczorem trębacz z wieży maryackiej dał znać, że Austryacy zabrawszy milicyę rzeczy-pospolitej i żandarmeryę razem 502 ludzi, cofnęli się na Podgórze. Powodem cofnięcia tego była pogłoska, jakoby 60000 powstańców było na Bielanach co wystarczyło, że Collin uszedł i oparł się aż w Wadowicach. Pogłoska ta powstała ztąd, że Cezar Haller i Aleksander Ekielski na szwoleżerów w Krzeszowicach, a równocześnie Patelski uderzył na Chrzanów, gdzie syn starosty z Bochni Berndt oficer austryacki zginął. Też noc utworzyła się w Krakowie straż obywatelska pod Józefem Wodzickim, wybrano komitet bezpieczeństwa, i o 12 w nocy proklamował Tyssowski Rząd narodowy, a na drugi dzień śpiewał już w teatrze Chomiński:

„Czasem między góralami znajdują się tchórze
 „co wraz z Austryakiem drapli na Podgórze
 „ale teraz z łaski boskiej radość serce wita
 „Wiwat dyktator Tyssowski, wiwat Rzecz-pospolita!“

** Ponieważ kwadrat Hirsbergowej, Warszawa XI 20/11.
 21/11, 20/11 1891/2.*

Zorganizowano Rząd; ministrem skarbu został Wincenty Wolf, ministrem oświaty Gorzkowski, naczelnikiem siły zbrojnej Erazm Skarzyński — w poniedziałek zaczął Rząd narodowy urządować.

Po ustąpieniu Austryaków, zaciągnąłem się do wojska, i było nas 24go pięciu kawalerzystów, Alfred Strażyński, Teofil Zamoyski złotnik, Jan Kanty Hahn, Józef Kwaśniewski, później fizyk w Warszawie i Pilecki; komendantem był Leon Skorupka. Taki był związek kawaleryi. Wyprawiono nas na rekonesans w stronę królestwa, i dotarliśmy do komory w Michałowicach, że nas wszakże było za mało, a w karczmie za komorą 40 miało być kozaków, cofnęliśmy się wobec tego, że nas było za mało. Zaledwo wróciwszy do Krakowa zsiadliśmy z koni, alisci kazano nam siodłać, a było nas już około 80 i pod dowództwem Suchorzewskiego około 9 wieczorem ruszyliśmy przez Kaźmierz wyprawiający illuminację na Podgórze, a ztamtąd do Prokocima, zkąd po krótkim przystanku około 12 dotarliśmy do Wieliczki. Tu pomieszczono konie nasze w stajniach salin, a niebawem przybyła komissya dla zbadania stanu salin, złożona z profesora Mohra i Michała Łuszczkiewicza, i zabrała 600000 zł. mk., które odwieźli pod eskortą Konstantego Sobolewskiego do Rządu narodowego, i oddali Wolfowi. Wieliczka uformowała oddział strzelców. Po południu wyjechał Skorupka na rekonesans ku Niepołomicom i przywiózł wiadomość, że Austryaków nigdzie nie ma, ale że obiegają głuche o rzezi wieści. Wieczorem tegoż dnia wyruszyliśmy z Wieliczki, ja w oddziale Edmunda hr. Działyńskiego, i przyszedłszy do Łazanów majątku generała Kruszewskiego, zastaliśmy dwór zrabowany, a we wsi jednego już chłopca nie było. Ogrzawszy się wódką, której nam Benoe Atanazy i Suchorzewski dać kazali, przepędziliśmy noc na polu, a ze świtaniem siedliśmy na konie, i ruszyli w pochód, tak że przodem szła kawalerya, w środku kosynierzy, wozy z chlebem i owsem, a cały pochód zamykała znówu konnica i 20 strzelców wielickich. Zobaczywszy nadciągającą naprzeciw nas kolumnę,

sądziłyśmy że to szlachecki poczet, wysłany wszakże przez Suchorzewskiego na zwiady Eigenfeld powrócił z wiadomością, że ciągną szwoleżery cesarskie. Szarża urządzona przez Suchorzewskiego w 40 koni przekonała się, że był to podjazd z 6 złożony ludzi, z których dwóch pojmałyśmy. Wkrótce polami ku gościńcowi zaczęły nadciągać tłumy zbrojnego w kosy, cepy i widły chłopstwa, a pod Gdowem spotkaliśmy processyę przez miejscowych prowadzoną księży.

W Gdowie przystanęliśmy w środku miasteczka, uszykowani w dwa szeregi przed jakąś gospodą, i tu o mało że mnie kosynierzy z konia nie ściągnęli, za to że ten dowódcę ich wierzgając uderzył. Zamiarowi temu przeszkodziły strzały, po których wyruszyliśmy ku Książnicom. Jak daleko wzrok sięgał zalegały tłumy chłopstwa pola, a pomiędzy nimi świeciły się porozrzucane, prowadzących tę czerń szwoleżerów hełmy. Część oddziału wyprawił Suchorzewski pod Stanisławem Łysakowskim naprzód, część została w miejscu, a trzecia złożona ze strzelców cofnęła się do Gdowa. Staliśmy otoczeni ze dwu stron tysiącami chłopstwa, które wszelakoż nie miało odwagi rzucić się na nas.

Od Łysakowskiego przybył jeden a niebawem i drugi goniec do Działyńskiego żądający posiłków, lecz ten bez Suchorzewskiego nie chciał się rzadzić, a tem czasem i my postyszeliśmy warczenie bębnow. Poczeliśmy z wolna cofać się do Gdowa, i zastajemy kosynierów pijanych, kawaleryę bez dowódcy Suchorzewskiego, który z kilkoma panami do sąsiedniego dworku na przekąskę się wybrał (do Zagaja). Ze Austriacy tyralierski rozpoczęli byli ogień, wysunął się wobec braku dowódców jakiś sążnisty mężczyzna naprzód, i grożąc kulą w łeb, chciał oddział w miejscu utrzymać. Nie pomogło, nieprzyzwyczajeni do walki zaczynają uchodzić, a nadarmo powracający z Zagaja z Miszewskim Suchorzewski chciał uciekających powstrzymać. Austriacy temczasem okrążali Gdów by nam zamknąć drogę. Będąc pomiędzy uchodzącymi, byłbym dostał się w ręce chłopskie, gdyby zamykający nam drogę

chłopi, nie byli nam, schylając się za spadłą na ziemię krakuską nie zrobili otworu, w który rzuciliśmy się wraz z Adamem Fedorowiczem. Przeleciawszy przez Wieliczkę gdzieśmy pośpiech tłumaczyli tem, że na Moskała uderzyć mamy, dostaliśmy się na Podgórze; koniom zawdzięczaliśmy życie, piesi bowiem i ci co z koni pospadali w liczbie 500 zginęli z rąk chłopstwa, i żołnierzy będących pod dowództwem późniejszego głównie-dowodzącego pod Sadową. Skarzyński moralizując nas, że przed chłopstwem uciekamy, nie chciał nam pozwolić przepawić się do Krakowa, i kazał się nam wracać. Cofnąwszy się do Prokocima, wróciliśmy do Krakowa. Dnia następnego przy nowej organizacyi kawaleryi przez Henryka Tomkowicza pod kapucynami, dostałem się do plutonu Skorupki, poczem gdy wiadomość że Austriacy Podgórze zajmują przywiózł Grzybowski (ojciec jego miał browar), ruszyliśmy na Podgórze. Tam spotkaliśmy część processyi uciekającą a wyprowadzoną naprzeciw wojsku i tłumom chłopstwa przez Dębowskiego, który krzyż niosąc pierwszy poległ. Wśród ognia piechoty i działowego, przyczem Adam Pracki 5 kulami przestrzeloną miał burkę, cofnęliśmy się do Krakowa, zkad po opuszczeniu Krakowa przez Rząd narodowy, powstańcy do Prus się cofnęli.

G l i n k i.

(Kopia z „*Pamiętnika rodowego*” Romana her. Bończa Lubkowskiego, b. dyrektora Banku Polskiego).

Rzeź i napad na Glinki w r. 1846.

Na kilka lat przed tym smutnym rokiem, kiedy cała prawie Europa rewolucyjnymi prądami rozgorączkowana za bezwiednym hasłem „naprzód” przeciw rządowi zawrzała, kraje i wielkie miasta w stanie wojennym postawione, publiczne więzienia spiskowcami zatłoczone, nie uchroniła się i uboga Galicya od tej zapałkowej podniety, i na oślepie poszła za przykła-

dem silniejszych, z tą różnicą, że tam chodziło o państwowe przekształcenie, tu zaś przemógł interes agrarny demoralizacją i ciemnotą prostego ludu podsycany, czyli wojna na zabój, ówczesnego poddaństwa przeciw dawnym swym panom. Wprawdzie i tu się wydarzały politycznego znaczenia objawy, z zachodu inspirowane, lecz takowe w braku sił i przypuszczalnej pomocy z zewnątrz, spełzły bezskutecznie, resztę pokryła cesarska amnestya.

Co do powstania chłopskiego zauważano, że po karczmach od pewnego czasu w odosobnionych chałupach i jarmarkach, zjawiały się jakieś obce, podejrzanego wyglądu osobistości, samozwańczo mieniący się, jakoby byli wysłańcami tajemniczej władzy dla zbadania ludu, jakie jest w ogóle jego usposobienie, w jakich zostają z dworem stosunkach, czy panowie posiadają broń, gdzie i jaką, o czem na swych zebraniach radzą i tem podobne szczegóły badawcze.

Nasz lud włościański pomimo rasowej łagodności charakteru, pozbawiony oświaty, jest w zwykłych stosunkach z wyższymi nieśmiały i podejrzliwy, niechętnie wywnętrza się z swoich pojęć i życzeń, więcej zaufa obcemu przybłędzie, zwłaszcza urokiem tajemnicy osłoniętemu, jak najżyczliwшему dla jego dobra panu swemu. Dopiero gdy z kumami hojnym traktamentem podchocony, nabiera fantazyi, i co mu tylko na myśl przyjdzie, prawdę czy nieprawdę, powód wzajemnych uścisków i rozczuleń, przesadnio na swe dolegliwości wyrzeka, całą winę na panów składając, że ich pańszczyzną przeciążają, że od „*mądrych obcych ludzi*” (podżegaczy) słyszeli, że od dawna cesarz byłby zniósł pańszczyznę i nadał mu na własność grunta, lecz że panowie temu przeszkadzają. Nie skutkowały na ciemnych a podejrzliwych włościan perswazyje panów, aby byli cierpliwymi, że już zniesienie poddaństwa i uwłaszczenie są w wyższych instancyach obrabiane. W wielu wsiach samowolnie zaprzestali odrabiać pańszczyznę. Skargi o to do bezpośrednich władz zanoszone, nigdy nie były na czasie załatwione. Urzędnicy cyrkularni więcej zajęci śledztwem i węszeniem spraw

politycznych, odkładali zażalenia obywatelskie ad feliciora tempora, i obawiali się narażać chłopom. Taka obojętność i tolerancya władz podrzędnych, coraz więcej uzuchwalała demoralizowanych przez pokątnych burzycieli chłopów. Były wprawdzie gromady, które bądź z nawyknięcia lub przywiązania do dworu, unikały buntowniczych schadzek, i od panów niedomagali się natychmiastowych ulg, cierpliwie oczekując ogólnej reformy. Byli trzeźwi i zamożni gospodarze, którzy przed pokusą chronili się w spokojniejsze strony, aby nadchodzącą burzę przetrzymać, lecz były to tylko rzadkie wyjątki. Reszta bezrobociem rozprózniona, i kradzionym lub na żydach wymuszonym trunkiem rozpojona, aby co rychlej połączyć się z większymi bandami, porzucali własne siedziby i na oślep poszli w świat szukać współników. Nawet baby ich (żony), w nadziei obładowania się mieniem pańskim, z płachtami i workami, bezwzględnie na porzucane w chałupie bez chleba i opieki niemowlęta, hurmem popędziły za swemi mężami, z przybraniem co silniejszych podrostków, do dźwigania spodziewanego na szlachcie łupu. Katastrofa szybko się zbliżała. Niektórzy panowie chronili się do pobliskich miast, inni za granicę lub do Królestwa, gdzie przezorniejszy rząd przedsięwziął energiczne środki przeciw wszelakim pokusom buntowniczym. Drużdy w przypuszczeniu, że miejscowe władze chwycą się nareszcie skuteczniejszej jak dotąd działalności, aby powstałe nieporządki stanowczo usunąć, pozostali w domu, ci najwięcej ucierpieli.

Ogólne zapanowało przerażenie, kilkuset łotrów pijanych, w widły, kosa, pałki żelazem okute, w siekiery i cepy uzbrojonych, z morderczem hasłem: „na szlachtę”, rzuciło się na najbliższe dwory z pod Tarnowa. Wszelka obrona była niemożliwą. Krwawa dzicz (nieczytelny wyraz może „trunkiem?”) opętana, uczucia ludzkości pozbawiona, z wileżą wściekłością bezwzględnie na wiek i płeć, w szatańskiej rozpuszcie, przy wiwawotowych okrzykach każdego, kogo tylko bądź w domu, bądź chroniącego się po drodze *byle surdutowego* spotkali, okropną

katuszą zameęzali, nie oszczędzając ani kalek ani niemowląt z rąk matek wyrwanych. Rzeź, rabunek i palenie zabudowań dworskich trwały przez ostatnie trzy dni lutego 1846 r. Na przestrzeni kilkowiekstowej padło szlachty i ich oficyalistów kilkadziesiąt ofiar. Był to dopiero początek. Za tym krwawym przykładem w ciągu jednej doby bunt ogarnął całe Tarnowskie. Krew niewinnych lała się potokami, łuna pożarów przyświecała zbrodniarzom. W tym jednym cyrkule obliczają przeszło tysiąc zamordowanych.

Przyszła nieszczęsna kolej i na nasze Glinki. Krwiożercze hultajstwo ze stu przeszło pijanego chłopstwa, podobnie jak tamci w zabójcze narzędzia uzbrojonego, pod przewodnictwem urlopników i dziadów proszalnych, w jednym okamgnieniu wszystkie pokoje i izby starego modrzejowego dworzyszczka Glinieckiego, z bydłęcym rykiem i bezbożnym pomstowaniem na raz owładnęło. Służba dworska i folwarczna na prędece do obrony zebrana, o ile siły jej starczyły — napastników odpieraała. (W owym czasie wzięty do wojska parobczak, po krótkim exercyrunku wracał do swej gminy aż do nowego powołania, i jako żołnierz nieulegał już miejscowej policyi. Ci najwięcej do gwałtów pobudzali i byli przewodnikami — zaś dziady proszalne, jako włóczący się po dworach za jałmużną, dokładniej znali miejscowe lokalności i złoczyńców do rabunku naprowadzali). Ojciec nasz widząc bezskuteczność słabej ich obrony, aby nadaremne usiłowaniem rozsalałych bardziej nie rozjątrzać, kazał się służbie usunąć, i sam jeden z ryzykiem własnego bezpieczeństwa pośród zbuntowanego łotrostwa pozostał.... Nad wiek silny i żelaznej energii, nie tracąc przytomności, — nie powstając nawet z krzesła, na którym jakby najspokojniej fajkę palił (nie przesadzam) pierwszego pijanego draba, który się nań z widłami rzucił, wyrwawszy mu z rąk mordercze narzędzie, tak silny zadał mu cios przez głowę, że niegodziwiec obezprzytomiony powalił się na ziemię. Bóg zrządził, że w tym strasznym momencie zdążyła nadbiedz Gliniecka gromada, a nieupłynęła jeszcze

chwila ci sami rozbójnicy, którzy się na życie i mienie ojca naszego wściekle rzucili, energią i nieustraszoną jego odurzeni, na pół wytrzeźwieni, postrzegłszy że miejscowa gromada nie łączy się z niemi i gotową do odporu stanęła, zaczęli się wachać, kłócić i bić między sobą jedni drugich obwiniając, że ich do mordów i łupieży podmawiali. Po długich jeszcze sporach i wywoływaniach, partya mniej pijanych przemogła. Na dany znak i zawołanie jednego z hersztów „kumowie pódźwa, niema tu co robić“, tłumnie lecz już spokojniej jak w chwili napadu jedni drugich wytłaczając, opuścili dwór Gliniecki. Dały się nawet słyszeć głosy, że oni temu co zaszło *niekrzywi* (gwara miejscowa zamiast *niewinni*), gdyż jakoby im powiedziano: że taki wyszedł „*befel z krejsantu*“, aby nachodzić dwory pańskie i odbierać broń, jaką szlachta dla wyróżnienia chłopów — niemówi żydów — miała u siebie przygotować. Rozpojone chłopstwo na óslep tym podżegawczym wieściom uwierzyło, i bez skrupułu rzuciło się na szlachtę. Wprawdzie i w Glinkach szukali broni — nic nie znaleźli — bo jej nie było. Jednakże należy zauważać, że pomimo sztucznego rozdrażnienia pomiędzy szlachtą a zdemoralizowanym chłopstwem i ciągłych zatargach z podrzędniejszymi władzami, jakie bądź one były, ludzkość i zdrowy rozsądek niedozwalają na seryo przypuszczać, aby taki szalony rozkaz miał rzeczywiście od najniższych nawet władz rządowych pochodzić.

Było to zanadto dla ówczesnego rządu kompromitującym. Raczej był to piekielny wymysł nিকেzemnych podżegaczy, którzy nadużywając łatwowierności obalamuconego pospólstwa dla własnej korzyści głosili, że taka jest wola rządu. W każdym razie władze cyrkularne srogo zawiniły, że takich łotrów tolerowały i niekaraly. Nawet po ustaniu buntu niema śladu, aby ich do odpowiedzialności pociągano. Napastnicy opuszczając Glinki, pożegnali ojca zwyczajnym pokłonem: „Niech będzie pochwalony“. Zdawało się, że w tych nieszczęsnych potępieńcach niezupełnie jeszcze wygasła ostatnia iskierka poczucia wiary i ludzkości — że się sumienie odezwało.

Niestety była to chwila przemijająca, dopóki byli trzeźwymi, — za pierwszym wstępem do przydrożnej karczmy, za pierwszym kieliszkiem, do szaleństwa upici, powtórzyły się z równą zajadłością krwawe sceny tarnowskie. W okolicy Mielca, Radomyśla, Szczucina, Dąbrowy, Baranowa, Rzędzianowic i t. d. padło męczeńską śmiercią kilkadziesiąt ofiar, zabudowania dworskie do szczytu zrabowano i spalono. Rodzony brat naszej matki Ludwik Gołuchowski *żywcem* spalony, dwaj jego małoletni synowie *widłami zakłuci*. O ile zapamiętam między innymi zamordowanymi w tamtej okolicy Broniewski, ordynat na Woli mieleckiej, bliski krewny Józefa Maxymiliana hr. Ossolińskiego, ochmistrza dworu cesarskiego, kilku Boguszów z Rzędzianowic, Geppert właściciel Ziempniowa (tego zastawszy chorego dobili) Kierwiński w Glinach... a ileż zmarło przedwczesną śmiercią z żalu, przerażenia i utraty całego mienia. Nieuszanowano i miejsce świętych. Duchownych którzy mieli odwagę nakłaniać ich do upamiętania, znieważali. Dwór Gliniecki jakkolwiek szczęśliwym zbiegiem okoliczności uniknął rozlewu krwi, jednakże i tam nieobeszło się bez morderstwa, kiedy bowiem nadeszła wieść z Tarnowa o wypadkach w tamtej okolicy dokonanych, brat mój Erazm nieczując się w własnym domu bezpiecznym, żonę i dzieci wysłał do Krakowa, sam zaś schronił się do Glinek i z nim przybyło kilku sąsiednich obywateli w zaufaniu, że dom ojca naszego, ze względu na wierność i przywiązanie jego gromady, będzie oszczędzonym, uciekli się pod jego opiekę. W tem momencie rozstawione na pograniczu stráže dały znać, że się złowroga banda z pod Tarnowa do Glinek zbliża. Ojciec z troskliwości o syna, i z nim przybyłych, wyprawił ich dla schronienia w zarośla nadwiślańskie, aby ztamtąd w razie niebezpieczeństwa bliżej mogli udać się do królestwa. To ich zbawiło od niechybnej śmierci, jeden wszakże z nich b. kapitan artylerji wojsk księstwa Warszawskiego, obywatel ziemski Rydel, opóźniwszy się w schronienie, doścignięty, pomimo walecznej obrony *kosami rozszickany* został.

Ten krwionośny uragan jakby z piekła wyzionięty, najgwałtowniej srożył się w Tarnowskim, Bocheńskim, i bliżej Krakowa położonych cyrkułach. W dalszych od Wisłoki i Sana aż po Lwów, również zapanowało wzburzenie zbałamuczonego chłopstwa, i tam padło wiele ofiar, tam rabowano i palono dwory pańskie, lecz dzięki Bogu z mniejszą szkodą i zawziętością.

Trafiły się nawet wypadki, że śmiały i na ryzyko determinowany obywatel, jedynie przy pomocy domowej służby i z byle jakim obrońcą narzędziem zbuntowaną gromadę rozpędzał, i hersztów do władz cyrkularnych odstawiał. Opowiadano mi między innymi, że spowinacony z nami posiadacz wioski w Rzeszowskim, niejaki Rutkowski śmiały i energiczny młodzieniec sam jeden, konno z odwiedzionem pistoletem w ręku, pędząc przed sobą całą swą gromadkę, do aresztu w Rzeszowie zaprowadził. Tu należy oddać sprawiedliwość władzom miejscowym, że o ile w Tarnowskim i bliższych Krakowa cyrkułach, tamtejsze władze były bezradne, strachem obezwładnione i nieczynne, o tyle urzędy za Wisłoką były przezorniejsze, i o ile im sił starczyło, zapobiegały szerszemu krwi rozlewowi, rabunkom i pożarom.

Na czele bandy tarnowskiej stał chłop *Szela*, poddany Boguszów. Od jego skinienia zawisło życie i śmierć każdego obywatela. Z jego rozkazu padło kilku Bogussów, oszczędził tylko ich starą matkę jako zakładniczkę i jak wieść niesie, z zagrożeniem śmiercią zmusił ją do pisania za jego dyktandem krwiożerczych rozkazów, sam bowiem pisać nieumiał. Urząd cyrkularny tarnowski wobec tak strasznych wypadków, sam o siebie zaalarmowany, stracił głowę i nie miał odwagi energicznymi środkami buntu przytłumić; nikogo nieśmiano karać, owszem kiedy chłopci z pod Tarnowa zwieźli przed urząd cyrkularny kilkudziesięciu trupów zamordowanych, jako trofea z odniesionego nad szlachtą zwycięstwa, kreiskapitan Breindl, zamiast ich do odpowiedzialności pociągnąć, był tyle nieoględny i przestraszony, że każdemu jakoby w nagrodę za furmankę, po kilka guldenów od sztuki zabitego z kasy wy-

płacić rozkazał. Tak hojny dar pijane pospólstwo, nieoschłe jeszcze z krwi bliźnich bożbożnie rozlanej, przyjęło tę nagrodę jakoby za swą lojalność i poświęcenie dla rządu.

Wszystkich zamordowanych w jeden wspólny dół zmasowanych zakopano na tarnowskim cmentarzu. Takich żałobnych mogił widziałem kilka na przestrzeni od Tarnowa po Nadwiśle.

Kiedy brat mój Erazm przez swoich i obcych zrabowany (w Stupcu), z nastaniem spokojniejszej chwili zaczął czynić poszukiwania zagrabionych przedmiotów i dobytku, otrzymał od cyrkularnego zarządu ostrzeżenie, aby uważając łup ten za *zdobycz wojenną* (!) dalszego dochodzenia zaniechał. Kreiskapitan przeniesiony w głąb Austrii, Szela wysłany na Bukowinę, nie wiadomo czy za karę, lub aby ich przed ogólnem oburzeniem ochronić.

W obawie o starego ojca naszego i całą rodzinę, w kilka tygodni po rzezi zjechałem z Warszawy do Galicyi; w Tarnowie widziałem *Szelę* z przydanym mu dla jego bezpieczeństwa policyantem. Ogromny chłop, silnie i masywnie zbudowany, lat około sześćdziesięciu, rysów grubych wyrazistych, oczy dzięknie spuszczone, czoło wysokie, cera śniada, zarost gęsty szpakowaty, brwi najeżone, wąsy obwisłe, bez brody, nos wydatny, ubrany z chłopska w szarej płóciennej kapocie, czapka wysoka z czarnego baranka, pas rzemienny, buty wysokie ordynaryjne na podkowach, głos donośny ochryply, ruchy i cała postawa wytresowanego odstawnego żołnierza, trochę naprzód pochylony. Ogólny postać jego wyrażał energiczną i bezwzględną wolę. Istny typ legendowego z wieków średnich wyjętego opryszka karpackiego. Zastałem go przy pobijaniu beczki na podwórzu, danej mu w rynku tarnowskim kwatery. Gdy się doń zbliżył i zwykłym obyczajem pozdrowiłem, mruknął, nie nie odpowiedział i cofnął się w głąb izby, gdzie mnie już policyant w obawie o przekroczenie regulaminu dozorczego dopuścić nie chciał. Podczas kilku słów jego z dozorcą, zanotowałem jego fizyonomią.

Każdy cyrkuł lub okolica miała swoich hersztów, najpopularniejszym był Szela. Niewiadomo czyli się z swymi klientami i podwładnymi bezpośrednio porozumiewał, jednak równoczesność wybuchu buntu w całej naraz Galicyi, nasuwa prawdopodobne przypuszczenie, że on był głównym sprawcą i przewodnikiem. To co wyżej o Tarnowskim i z bliższych Glinek okolic opisuję, zasiągnąłem z wiarogodnych ust ojca naszego i naocznych świadków, oraz z osobistego przekonania podczas pobytu mojego w tamtych stronach. *Tyle słów Pamiętnika.*

Następuje epilog: upamiętanie, odezwanie sumienia, denuncyacye, samobójstwa, przednowek, głód i tyfus głodowy. Stryj żony mojej Roman Łubkowski nadmienia dalej: „dotąd nie mamy ani dokładnych szczegółów ani nawet statystycznych obliczeń poniesionych strat i ubytków. Owoc jasnej wiedzy i prawdy dotąd nie dojrzał”. Setki rodziny niedoliczyły się swoich krewnych i przyjaciół. Po upływie lat blisko czterdzięści, jeszcze do dziś odnajdują się spopielone kości zamordowanych męczenników. Majątki zrujnowane, domy spalone, spadki zakwestyonowane, sieroty bez chleba i opieki, skutki tej nie-szczęsnej metternichowskiej zasady: „Divide et impera”.

Glichów.

(Biclińscy ojciec i syn, Müller, Komarnicki Antoni, Romer Ludwik, Dąbbski Dominik).

W roku 1845 liczyłem dziewiętnasty rok życia i w pierwszej jego połowie zamieszkiwałem z matką i rodzeństwem wieś Kossowę, która była mojem rodzinnem miejscem. Włość ta położona nad Wisłą w połowie gościńca wiodącego od Zatoru przez Skawinę do Krakowa, cztery przeszło wieki pozostająca w rodzinie, w tym roku drogą przedaży przeszła w inne ręce. Rodzeństwo moje przeniosło się na Ruś daleką; jeden tylko Feliks Łopuszański, syn mojej matki z pierwszego mał-

zeństwa a mój brat przyrodni, pozostał w tej stronie kraju, dzierżawiąc wieś Glichów w okolicy Mysłenic. Matka moja w drugiej połowie roku, w miesiącu lipcu opuściła swoje gniazdo rodzinne udając się do Krakowa, dokąd mnie z sobą zabrała dla pobierania nauk w uniwersytecie krakowskim. Razem z nami porzucił Kossowę stary sługa rodziny Kasper Klimkiewicz. Ten należał jeszcze do owej, dziś już ginącej klasy sług, których służbowe miejsce było sukcesyjnem, z ojca przechodziło na syna. Sędziwy Kasperek mniej był sługą, więcej przyjacielem domowym. Takim było w naszej rodzinie stanowisko Kasperka.

Rozrzewniającem było pożegnanie mojej matki z włościanami kossowskimi. Zgromadzili się tłumnie i ze łzami w oczach żegnali zapłakaną, tyloletnią panią swoją. Wspominam o tem, gdyż daje to pewną miarę usposobienia wiejskiego ludu. W mojem przekonaniu lud ten jednakowy wszędzie, z natury szlachetny — uległ zepsuciu pod wpływem urządzeń administracyjno-policyjnych obok źle pojmovanych, albo niedbale spełnianych obowiązków opieki ze strony szlachty.

Pierwsze miesiące naszego pobytu w Krakowie przeszły spokojnie, bo cichem było nasze życie w mieście. Matka moja oddana modlitwie, szukała w niej pociechy, uciszenia żalu po opuszczonej wiejskiej zagrodzie, — ja uczęszczałem na prelekcye. Nie było bez tego, ażebyśmy nie zwracali uwagi na przygotowane czynności do późniejszego powstania, które miało miejsce w drugiej połowie lutego następnego roku; ale mój wiek młodzięczy, dotychczasowe odosobnienie towarzyskie, w końcu zajęcia naukowe, wszystko razem wzięte sprawiało, że w agi-tacyi udziału nie brałem, że byłem bezczynny.

Ale już pierwszych dnia stycznia 1846 r. zwykły spokój i cisza miasta Krakowa ustępować zaczęły niezwykłemu wzburzeniu. Dojrzewały zamiary, brały koniec przygotowania. Już nikt nie wątpił o wybuchu i tylko nie znano chwili, którą z dnia na dzień odkładano. Całe miasto niepokojem wrzało.

W takim stanie doczekaliśmy miesiąca lutego i wtenczas matka moja przewidując niebezpieczeństwa, jakieby ją spotkać mogły, gdyby pozostała w mieście, postanowiła wyjechać na wieś do syna Feliksa, który, jak o tem wyżej nadmienilem, dzierżawił wieś Glichów w górach, a lubo tylko dwie mile od Myślenic a sześć od Bochni oddaloną, dla złych dróg miejsce było dość niedostępne.

Opuściliśmy Kraków 18 lutego. Biedna matka moja łudziła się pozorną ciszą na wsi. Jakże rychło a jak boleśnie nastąpiło rozczarowanie!...

Po naszym przyjeździe do brata, chcąc się dowiedzieć co się dzieje w Krakowie i w sąsiednich obwodach, na drugi dzień pojechałem do p. Mikołaja Dąbskiego do Krzyżkovic, jednocześnie właściciela świeżo nabytej Kossowy. Jego synowie Włodzimierz i Gustaw byli w moim wieku i u nich spodziewałem znaleźć rozkaz kiedy i gdzie mamy się udać, by wziąć udział w ogólnym ruchu. W miejsce rozkazu dowiaduję się w Krzyżkovicach, że powstanie w Tarnowie się nie udało, gdyż chłopci zwrócili się przeciw szlachcie. Jakkolwiek ta wiadomość z pewnego źródła pochodziła, to przecież, że była tak okropną, wierzyć w nią nie chcieliśmy, a to tem więcej jeszcze zdawało nam się do prawdy niepodobnem, że mieliśmy inną zupełnie przeciwną i dla nas pomyślną, gdyż mówiono nam o cofnięciu się gen. Collina z Krakowa do Białej, o rządzie narodowym i o tym podobnych naszych korzyściach. Nadewszystko słuchając mylnych zapewnień osób bliżej się tą sprawą zajmujących, jak mianowicie: Edwarda Dembowskiego, Stanisława Białobrzeskiego i Adama Siedmiogrodzkiego, u którego wówczas Dembowski przebywał w Wieliczce, złym nowinom nie mogliśmy dać wiary, i tym samym zapobiedz tak blizkiemu u nas nieszczęściu. Mylił się niestety Dembowski twierdząc, że widział lud ze łzą w oku, gotowy do czynu. Łatwo już wtenczas było można odgadnąć usposobienie ludu, tylko nie trzeba było iść drogą jaką on szedł i nie łudzić się. Tak jasne były po wszystkich punktach naszej prowincyi oznaki niechęci ludu,

że chyba kto chciał się ludzić, ten mógł wierzyć w przychylność chłopa. Nie wymieniam tu żadnych przykładów, albowiem drudzy lepiej odemnie z tym obznajmieni dosyć ich dostarczą, powtóre, że moim zamiarem nie jest opisywać całej katastrofy, ale jedynie to tylko skreślić, com widział i sam doświadczył.

W takiej więc niepewności o udaniu się powstania wracałem do Glichowa, śledząc już baczniej usposobienie po wsiach. Jednak, chociaż uprzedzonym okiem patrzałem, to niczem przecież zwodnicza spokojność nie zdradziła tak bliskiej i zaciętej zemsty. Chłop spokojnie pracował przy swym domu, gdyż świeżo rozpowszechniająca się wstrzeźliwość od wódki, mimo, że to było przy końcu zapust w same ostatki, mało ludzi sprowadzała do karczmy. Nazajutrz dopiero po powrocie moim, w sam dzień Popielca 25 lutego, kiedy pańszczyzna liczniej jak po inne dnie wyszła do roboty, około godziny dziewiątej przyszedł wójt uwiadomić, że warty od wczoraj wieczór po wsiach sąsiednich postawione nikogo już nie przepuszczają, i że on taką wartę musi u siebie postawić, by każdego podejrzanego bez różnicy stanu aresztować i do cyrkułu odesłać. W czasie zaś jego opowiadania nadszedł przysiężny, mówiąc, że był na Popielcu w Raciechowicach (gdzie była parafia) i że tam są już niedaleko, w lesie, Polaki; że ktoś zrobił wielki popłoch w kościele, wskutek czego jedni ludzie do chat pouciekali, drudzy księdza za coś biją, we dworze słychać strzały — stary pan podobno już nie żyje a pana rotmistrza i naszego sędziego w drodze Polaki zabili. — A w istocie tak było; dziedzic tej wsi p. Kasper Bieliński, starzec siedmdziesięcioletni był tak okropnie męczony, że go po szkle tłuczonym z wybitych szyb w domu na podwórzu gołego taczali, wskutek której to męczarni w najdotkliwszych bolach w tydzień potem w Myślenicach życie zakończył. Syn zaś jego, wysłużony rotmistrz od dragonów, został w drodze z powrotem do domu przez własnych chłopów napađnięty i tak zbity, że prawie bez życia zawieziono go do Bochni i tam w parę godzin umarł. Również jego towarzyszy, sędzia

czyli mandataryusz rodem Niemiec, niejaki Müller, doznał tego samego losu.

Po odejściu wójta i przysiężnego, którzy obaj wyglądali pozornie wystraszonymi, pańszczyzna robiąca w stodole, zrobiwszy krótką naradę, rozeszła się do domów, a po chwili uzbrojona cała wioska w kosy, cepy, drągi, a między tymi i broń palną, dwór otoczyła, mówiąc, że będzie nas pilnować do czasu, aż przyjdzie ta gromada, która ma *Befehl*, jak z nami dalej począć. Wszystko to tak prędko się działo, że niepodobna wierzyć, czy wprzód nie były poczynione między nimi jakie przygotowania. Na zapytanie, jaka gromada i kto nią dowodzi? i co to wszystko ma znaczyć? — odpowiedzieli, że jest z różnych wsi złożona, bo do niej łączyć się trzeba, a na jej czele jest wójt z Gdowa i strażnik finansowy. Idzie ona z rozkazu cyrkułu, by wszystkich wiązać i do cyrkułu odstawiać, a ktoby się bronił z orężem w ręku, lub przy nim znaleziono broń jaką, tego mordować, dobytek zniszczyć lub zabrać na własność swoją — kończy opowiadanie — że taką mają instrukcyę od strażników i różnych urzędników, uwijających się po wsiach od dłuższego czasu. Że o tem wszystkim byli dokładnie uwiadomieni, można było widzieć z tego samego opowiadania, które, jak zapowiedzieli, w godzinę potem sprawdziło się. Słyszając podobną zapowiedź, nie mogliśmy się czego innego spodziewać, jak tego, co naszych sąsiadów spotkało.

Chwila ta była ogólnego całej wsi przestraszu — lud zbierając się w największym popłochu, zdawało się, że czynił to w mniemaniu własnej obrony; rozpaczą i zemstą wiedziony, miotał tysiącem przekleństw i urągani. „Polaki idą i będą nas wyrzynać!” — było ich jedynem hasłem. Kobiety krzycząc, to wynosiły cały swój dobytek z dziećmi do lasu w góry. Nie mając przy sobie żadnej broni, oczekiwaliśmy z rezygnacyą smutnego zakończenia strasznego dramatu. W samo południe, na wzniosłym wzgórzu, od strony wschodniej, zobaczyliśmy ludzi biegnących pieszo i konno — a ledwo że zaczął krzyk ich mocniej nas dochodzić „bić i zabijać!” — dwóch młodych ludzi

w chłopskim ubraniu wpadło na podwórze i połączywszy się z miejscową gromadą, postąpili z siekierą w rękę do drzwi domu, gdzie zobaczywszy mnie stojącego w sieni, krzyknęli: „wiązać ciarachów, kaj mas pieniądze?” To ostatnie pytanie tem motywowali, że są leśnymi z sąsiedniej wioski i że im się jakieś pniakowe należy, co może i tak było, bo strażnika i wójta z Gdowa nie widzieliśmy.

W tejsze chwili został dom napełniony ludźmi obojga płci i różnego wieku, którzy mszcząc się nad wszystkim co wpadło pod ich rękę, tłukąc i łamiąc drzwi, okna, sprzęty, podłogę, piece i sufity, obracali wszystko w ruinę. Z bratem Feliksem, zaraz w pierwszej chwili obydwu powiązani, widzieliśmy tylko od czasu do czasu jakiś sprzęt wyrzucony na podwórze, gdzie nas ustawiono, a potem dzielenie się tym łupem. Po takim zniszczeniu i rabunku zbliżył się do mnie ten sam leśny, dowódca bandy, z szatańskim na twarzy wyrazem i zapytał: „gdzie mas broń i gdzie pieniądze?” a gdym mu odpowiedział, że ich nie mam i że najlepiej zrobi jak sam szukać będzie, uderzony w głowę straciłem przytomność; to było znakiem do rozpoczęcia pastwienia się nad nami. Czując okropne bole od cep i kijów, przetrwałem w tej męczarni godzin przeszło dwie, słysząc tylko czasami niektóre ich słowa: — „Tak wy selmy bylibyście nas zabijali, a gdzie wase sabelki, a gdzie noze coście nimi mieli nas wyzynać. O! bić tych psów, niech się to selmoskie plemie nie mnoży. Patrz! jakie to paniątko — jakie białe rączki — nieroba a cłek na niego cały dzień pracuje”. — Przytem widok matki znękanej nieszczęściem, słabnącej co chwila na każdą nową męczarnię dziecka, obdartej ze wszystkiego co miała na sobie i zebrzącej o życie własne i dzieci, był tak okropny, że wszystkie takie bole fizyczne, przewyższa moralne cierpienie. Do tego poczciwy nasz Kasperek, siedmiesięcioletni starzec, kiedy na rękę i nogę kaleka nie mógł wsiąść prędko na bryczkę, był kłuty pod zębra i bity. Nakoniec, kiedy już nas włożono na bryczkę i za barki do niej

przywiązano, i kiedy już ruszyć mieliśmy pod strażą dziesięciu chłopów z przysiężnym, nadwieziono człowieka tak mocno zakrwawionego, że dopiero mając go w drodze towarzyszem, dowiedzieliśmy się, że to był niedaleki sąsiad a dawny Glichowa dzierżawca p. Antoni Komarnicki.

Widok świeżej ofiary, pobudził na nowo i rozjątrzył rozpasane namiętności; zaczęło się zaraz wypominanie niezliczonych krzywd a tysiączne obelgi jeszczeby może dłużej potrwały, gdyby nie pośpiech, jaki ich naglił do dalszego rabunku; on nas uwolnił od dłuższej męczarni.

W każdej wsi stojące warty a raczej gromady uzbrojone w różną broń, jak cepy, widły, kosy, zatrzymywały nas, by złość swoją wywierać a to od miasteczka Gdowa, gdzie tłumy zastaliśmy ludu wyczekującego na przybycie wojska austriackiego pod dowództwem podpułkownika Benedeka, ażeby potem razem z nim za nagrodą pół centnara soli, wymordować garstkę słabo uzbrojonej dzielnej młodzieży krakowskiej.

Tu, jak również na innych wartach, których mieliśmy do przebycia bardzo wiele, winniśmy wdzięczność naszej straży, która wśród nieustających nacierań, przez spieszną jazdę nie dopuszczając żadnego cięcia, śmiało broniła mówiąc: „Wara! nie wolno bić, mają już dosyć, odebrali swoje”. I w największej trwodze, gdzie lepsza śmierć nad takie życie, bo każda chwila nietylko że je czyniła niepewnem, ale i najdotkliwszem, zajęchaliśmy około godziny 12 w nocy do Bochni. Może i to nam do uratowania życia pomogło, że brat Feliks w pierwszej chwili odzyskanej przytomności, tym ludziom, którzy nas odwozili, przyrzekł — że cała ta podwoda, którą nas wieziono, składająca się z bryczki i pięciu koni, jeśli nas żywych do Bochni zawiozą, do nich będzie należeć.

Jak silną jest natura ludzka i co człowiek wytrzymać może, miałem dowód nietylko na sobie, wytrzymawszy tyle śmiertelnych razów, ale i tysiączne inne przykłady. Widziałem ludzi z dziurami w głowie przez dłuższy czas nieopatrywanych, którzy wyszli z tych ran i kilka jeszcze lat żyli — jak

Ludwik Romer z Krakuszwic; ten, mając kosą przewierconą głowę, miał kości wyjmowane i nosił blachę srebrną. Również przypominam sobie starego komornika, przyjaciela pp. Romerów, którego nazwiska nie pamiętam, a który był przywieziony razem z nimi z Jodłownika. Był to już bardzo stary człowiek, cierpiący od lat wielu lat na mocny w całym ciele artryzys, co lata jeździł do Tręczyna, a w zimie zaszyty w flanelę mało wstawał z łóżka. Otóż tego Łazarza wyciągnięto z pościeli i nie dawszy mu się przyodziać, bito go na śniegu, a potem kiedy już był ledwo żywy, topiono go w drodze w rzece Rabie i znowu bito, a tak przywieziony do Bochni, leżał obok mnie w szpitalu i kiedy u innych puchlina z pobicia pod kompresami zimnymi schodziła, u niego tylko nabrała ciemnej barwy. Leżał jak bałwan, bo nie mógł zgiąć stawów, lekarze zdecydowali poprzecinać to opuchnięcie i po takiej operacji wyciekła zaskórna woda. Ten człowiek od tej pory był zupełnie wolny od dawnych cierpień i żył jeszcze lat kilka. U mojego brata służąca, na godzinę przed katastrofą porodziła dziecko, wyrzucona potem ze swego posłania, poszturkana i obdarta leżała naga na ziemi z dzieckiem, pokąd ktoś ze wsi nie ulitował się i zabrał ją do siebie. Ta sama kobieta we dwa tygodnie zdrowa przyjeżdżała do Bochni, przywożąc nam rzeczy.

Różne można było poznać charaktery ludzkie. I tak pamiętam chłopca, który uchodził we wsi za niespokojnego i często był karany; szczególnie za poprzedniego dzierżawcy p. Komarnickiego, nie było roku by większej karze za kradzież i zachwalstwo nie popadł. Otóż ten człowiek kiedy przywieziono Komarnickiego, przybliżył się do niego i zaczął mu robić wyrzuty z całego z nim postępowania. Przypominał mu kiedy i za co był karany, wyrzucał najniedorzeczniejsze urazy, — nareszcie kiedy wszyscy myśleli, że on cios śmiertelny w tego człowieka wymierzy, bo będąc z profesyi kłusownikiem, miał przy sobie strzelbę — on tymczasem unosi się ze wspaniałomyślnością i mówi: „Tyleś mi złego narobił, mógłbym cię teraz zabić, ale że już odebrałeś swoje, więc wara! nie

wolno bić! a ktoby cię tknął, tego ja sam ukarzę” i pod tem zagrożeniem wyruszono dopiero z nami.

Gromada Glichowska poszła zaraz do sąsiedniej wioski, gdyż było to u nich w systemie, iż mało gdzie robiono u siebie szkody a tylko u sąsiada i tak nas zatrzymano, aż przysłała gromada z Komornik od p. Juliana Finka, czy z Zygartowic od p. Józefata Kałuskiego, od którego trzymał dzierżawę p. Komarnicki i z innych wiosek — a kiedy ci się nasycili nami — nasi znów poszli dalej szukać dla siebie zdobyczy. Granicząca wioska, do której się udano, należała do dóbr p. Dominika Dąbskiego, niemłodego kawalera i bardzo bogatego człowieka. Tam zastawszy u rządcy ukrywającego się właściciela, napadli go i zrabowali. Pan Dąbski uciekał ze swojej pięknej majątności Drogini, położonej przy trakcie murowanym z Myślenic do Bochni, sądząc, że w górach będzie bezpieczniejszy. Odszukany, tylko większemi pieniędzmi uratował życie i był razem prawie z nami wieziony do Bochni, gdy tymczasem we wsi Książnicach nad Rabą, lud odznaczający się swoim okrucieństwem, dowiedziawszy się kogo wiozą, czy w nadziei dalszego łupu, czyli też wskutek swej wściekłości, pokawałkował go i wrzucił do rzeki. Byliby pewnie i z nami to samo zrobili, bo już naszą podwodę zatrzymano, a warta nasza broniąca nas wszędzie, możeby już nie zdołała stawić oporu, gdyby nie oddział Benedeka pod Gdów maszerujący, który ocalił nam życie. Oficer zobaczywszy to okrutne postępowanie, począł płazować chłopów, rozkazując nas żywych wieźć do miasta.

Zaraz po przywiezieniu nas do Bochni, (po krótkim protokóle w cyrkule z ludźmi i matką naszą, której za wielkiem staraniem pozwolili jechać razem z nami, mówiąc, że b a b w cyrkule nie potrzebują, przeniesiono nas do szpitala świeżo co urządzonego w salach szkolnych, gdzie i matce naszej, na przedstawienie zrobione komisarzowi, że ta kobieta nie ma nikogo znajomego i jest z wszystkiego obdarta, pozwolono przez jedną noc zostać na usługi rannym, a mimo takiego ponizenia osoby i wieku, byliśmy szczęśliwi mając ją przy

sobie. W całej drodze niewiele czułem bólu, gdyż jak to powiedziałem. straciwszy zaraz na wstępie po pierwszym prawie uderzeniu przytomność, strętwiałem był na wszystkie bole. Największy ból dopiero wtenczas uczułem, kiedy po przeniesieniu mnie do szpitala, poczęto trzeźwić mocnymi kroplami, gdy tamtejszy ksiądz wikary dający ostatnie zaopatrzenie konającemu, poznawszy moją matkę, zajął się mną. Odzyskawszy przytomność, poczułem dopiero wszystkie bole z tak strasznego pobicia, gdyż byłem tak spuchnięty, że rękawy musiano rozpruć, by surdut zdjąć ze mnie. Przeniesiony potem do obszerniejszej izby, w której już leżeli chorzy mniej niebezpieczni, gdzie był brat Feliks, dostałem mocnej gorączki. W tym roku dzień mego urodzenia pamiętnie spędziłem, w tym dniu skończyłem lat dwadzieścia. Cyrkuł wyglądał wówczas jak koszary; pełno wojska siedziało w salach, mając broń w kozły poustawianą, a wszystkie akty były spakowane, urzędnicy jak na popasie pełnili swoje urzędowanie, strach był u nich paniczny. Starosta Berndt leżał chory, zastępował go komisarz Wangermann. Mieszczanstwo i urzędnicy formowali straż bezpieczeństwa i przez dni kilka nosili broń a na lewej ręce przepaskę z pieczęcią.

Pamiętam lekarza Klingenholza, żyda, ten nas opatrywał z dwoma pistoletami za pasem i dubeltówką, której nie zdejmował. Nawet wartę koło szpitala utrzymywali mieszczanie, mając często zamiast broni tylko kosy. Obawiano się ciągle jakiegoś napadu i widziano powstańców tam, gdzie ich nie było. W czasie kuracyi okładami z zimnej wody a dalej napojem gotowanym z ziół, doznawaliśmy zaraz w pierwszych dniach od pań tamtejszych najlepszej opieki i szczerego współczucia; z gotowością chrześcijańską poświęcały się na wszystkie usługi, wszystkie znosiły trudy — ale to trwało krótko, bo w kilka dni zabroniono tym czcigodnym obywatelkom niesienia pomocy i zostawiono tylko jedną biorącą zapłatę kobietę — a ta mimo najlepszych chęci, nie mogła obsłużyć nas wszystkich dwudziestu chorych. Każdego prawie wieczoru czemś nowem straszono:

raz opowiadano, że będą spuszczać wszystkich więźniów do sa-
lin; to znowu, że ich rozbiorą do naga, ażeby jak przyjdą po-
wstańcy nie mogli się z nimi łączyć.

Temi i tym podobnemi bredniami odbierali do reszty siły i tak już mocno nadwątlone. Przytem, widok rannych, ciągłe potrzeby, cierpienia moralne, straszna rozpacz po stracie naj-
bliższych osób z rodziny, po stracie majątku, zdrowia przez
kalectwo, wtrąciłyby zdrowego — a tem bardziej ludzi rannych,
w gorączkowe słabości. Te wzmagać się zaczęły po naszych szpi-
talach, do czego i wilgoć z wydobywającej się pary z pod zim-
nych okładów, przesiąkająca nasze mieszkanie, nie mało się przy-
czyniła. Zbliżał się nareszcie czas rozpoczęcia nauk szkolnych,
nasze szpitale trzeba było wypróżniać, zaczęto więc wybierać
zdrowszych i odsyłać do więzienia. W szpitalu odbyto z nami
kilka protokołów i tak przez urząd cyrkularny, przez magi-
strat i miejscowego fizyka, zawsze jedne dając zapytania: Zkąd
jesteśmy? gdzie nas ujęto? a co najzabawniejsze — czy
wiemy po co nas do cyrkułu przywieziono, lub czy
sami nie daliśmy do tego powodu?

Bochnia była przepelniona nieszczęśliwymi rodzinami, któ-
re mając w więzieniach lub po domach, jeżeli nie w szpitalach,
mężów, ojców i synów, czekały na ich uwolnienie, wyzdrowie-
nie, — a wszystkie na uspokojenie chłopstwa po wsiach. Mię-
dzy temi rodzinami tulącemi się w mieście, znalazła matka kre-
wną p. Zenobię Dydyńską, mieszkającą po stracie zamordowa-
nego męża ze swemi sąsiadami Teodorami Niwickimi w domu
p. Holcera.

Mieszkańcy Bochni przez cały czas tych wypadków oka-
zali się najżyczliwszymi, dając wszędzie oznaki najżywszego
współczucia. W tem miejscu, jako przykład mogę własne zda-
rzenia przytoczyć.

Tu chwytam nadarzoną sposobność spłacenia długu ser-
ca, zaciągniętego przed półwiekiem, oddając dank przecznej
pannie Gross, która była opiekuńczym duchem wszystkich

więźniów, a nam szczególnie do rychłego uwolnienia wiele pomogła.

Panna Gross była rodzoną siostrą p. Piotra Grossa, męża na tyłu polach zasłużonego krajowi.

Głobikowa.

(*Konstanty Słotwiński*).

(Głobikowa dolna w cyrkułe tarnowskim a w dzisiejszym powiecie pilźnieńskim była od bardzo wielu lat rodziny Słotwińskich.)

Konstanty Słotwiński właściciel Gł. w r. 1846, po ukończeniu studyów filozoficznych i prawniczych w r. 1810 wstąpił do armii Napoleona I^o i wrócił z wyprawy do Moskwy do kraju jako oficer artylerji ozdobiony krzyżem zasługi. Niepospolitych zdolności, po paru latach gospodarki w Bratkówce, której się oddał nie mogąc się natamać jako urzędnik do dzwacznych wymagań ówczesnej biórokracyi, został przez ks. Henryka Lubomirskiego powołany, by po ks. Fr. Siarczyńskim objął posadę dyrektora zakładu Ossolińskich. Skutkiem donosu jakoby w drukarni zakładu drukowano broszury polityczne, zakład został zamknięty, dyrektor zaś z urzędnikiem zakładu Aleksandrem Komarnickim, posądzeni o szerzenie zasad nie przychylnych rządowi, i o przedrukowywanie broszur wydawanych we Francyi, dostali się do więzienia śledczego, zkład Słotwińskiego następnie do Kufsteinu w Tyrolu wywieziono. Dwa lata przesiedział Konstanty w więzieniu śledczem u Karmelitów, gdzie obchodzenie się z inkwizytami graniczyło z tyraństwem, poczem na ośm lat kary został skazany.

W czasie tym, kiedy Słotwińskiego tyranizowano w więzieniu lwowskim, została pani Julja Słotwińska z domu Romerówna, przebywająca wówczas w Głobikowcy, napadniętą w noey rewizyą nadzwyczajną. Dwa dni po połogu, zmuszona przez komisarza mającego asystencyę wojskową wyjść z łóżka

umarła nieszczęśliwa kobieta przerażona tym napadem, w kilka dni, zostawiając troje dzieci, i ojca w więzieniu.

Dnia 27 lutego wyjechał Konstanty Słotwiński z kajdanami na rękach i nogach w roku 1837 razem z pułkownikiem Józefem Zaliwskim, księdzem Wincentym Żaboklickim, Leopoldem Bratkowskim, Karolem Borkowskim, Aleksandrem Komarnickim, Henrykiem Dmóchowskim i Ferdynandem Bielińskim do Kufsteinu. Gdy po latach sześciu więzienia, stan zdrowia Słotwińskiego, skutkiem lichego jadła, braku ruchu i świeżego powietrza, poważne o życie jego budzić począł obawy, otrzymał w drodze łaski, opuszczenie z kary dwu lat, i po sześciu latach więzienia, na wolność został puszczony.

Wróciwszy z końcem lutego 1843 do kraju, zamieszkał w Głobikowy, i oddał się gospodarstwu.

Kiedy w r. 46, wywołana przez nieszczęśliwych urzędników, wybuchła kontrrewolucya chłopska, a obałamuczone chłopstwo, jak powódź niszcząca Podgórze i niziny nadwiślańskie zalała, pojawiła się czerń ta i w Głobikowy. Pomimo że Słotwiński po ludzku obchodził się z poddanymi, a w ostatnich czasach religijnym oddany praktykom, razem z włościanami odpustowe odwiedzał miejsca, i szczególnie młodzież wiejską zwykł był około siebie gromadzić, został w domu zamordowany, klęczący przed obrazem, w modlitwie prawdopodobnie za tych, którzy nie wiedzieli co robili. Jak nie potrzebował obawiać się zemsty jakiegokolwiek, dowodem i to, że kiedy mu wójt Jan Nowicki i karbownik Wawrzyniec Świstak schronienie u siebie ofiarowali, przyjąć tegoż niechciał, i nie uciekał z domu nawet wówczas, kiedy mu parobek Jan Raś o mordach popełnionych na sąsiednim folwarku doniósł.

Dwór w Głobikowy napadli chłopi dnia 21 lutego o 10 rano, lecz wtargnąć do środka mieszkania powszechnie szanowanego męża nie śmieli, dopiero Szymon Siwiński z Głobieczyny wywalił drzwi do pokoju Słotwińskiego, i uderzył go w głowę tak, że bezprzytomny powalił się na ziemię. Teraz dopiero Paweł Szczepanik, Wojciech Wielgus, obaj z Południka,

i Szymon Niens z Głobiczyny, cepami i pałkami tak nieszczęśliwego zbili, że się w krwi własnej ukąpał. W końcu Tomasz Ryba przebił mu bok żelaznymi widłami, a Mikołaj Polański pałką cios śmiertelny zadał.

Synowie Konstantego Henryk i Ludwik (wybrany na posła z Sambora) korzystając z zamieszania tłoczących się do pokoju ojca, ukryli się z pomocą kucharki w komórce obok piekarni, lecz odszukani, zostali z kryjówki wywleczeni, by rabusiom wskazali gdzie ojciec pieniądze miał schowane. Kiedy po wskazaniu miejsca pod podłogą, gdzie zakopane być miały, wyrąbywaniem podłogi chłopcy byli zajęci, wyskoczył Ludwik przez okno, podczas kiedy Henryk uderzony silnie w gołę przytrzymany, w ręku oprawców pozostał. Zawód dozwany kiedy we wskazanym miejscu pieniędzy nie znaleźli, o mało nie stał się powodem zamordowania Henryka i tylko podstęp Jana Rasia parobka, który zawołał „Polaki idą“ dozwolił wymknąć się Henrykowi przez okno i schronić się do brogu siana, gdzie też brata Ludwika znalazł, i gdzie odartych z odzieży i skostniałych od zimna, okrył kożuchem właściciel brogu Piotr Bęben.

Raz jeszcze zagroziło niebezpieczeństwo sierotom, kiedy ich Bęben po zapewnieniach że im nic nie zrobią, wyprowadził z kryjówki, by pismo od starosty przeczytali. Nie chcąc wierzyć, że zabroniono dalszych mordów (nikogo już w okolicy nie było) chcieli rozjątrzeni zakazem wyrzucić złość na chłopakach, i dopiero przysięga „na cesarza“ przez nich złożona, że prawdą jest co im odczytali, uratowała ich od śmierci.

Polańskiemu jednemu z morderców, ratował p. Konstanty już w lutym chorą żonę, brnąc po śniegach do jego chałupy, i owo jak mu się za to wywdzięczył.

Głowaczowa

(*Onufry i Domicella Wolscy i p. Żurowscy oraz służący Ignacy.*)

na północ od Pilzna w sąsiedztwie Grabiny, Straszcina i Kawęczyna nad rzeczką Grabinką położona, należała do Onufrego i Domicelli Wolskich.

Dnia 18 lutego mieli państwo Onufrowie u siebie sąsiadów P. Żurowskich, i młodego chłopca gimnazystę Stefana Pieńżka z Tarnowa. Pogadankę wieczorną przerwał krzyk przerażenia służebnej, że chłopci idą. Na spotkanie wyszedł na ganek Żurowski, lecz zaledwie zdołał cofnąć się przed napierającymi do sieni, którą zamknął. Oblęgający otoczywszy dom, poczęli strzelać przez okna, tak że od pierwszej salwy trupem padła służąca. We własnej więc już obronie chwycili za broń, Wolski i wierny sługa jego Ignacy, a od celnych strażów, cofnęli się chłopci raniąc postrzałem Wolskiego w kolano. Około 7 wieczorem obawiając się pozostać w domu wystawionym na napady, puszczają się w sześć osób napadnięci, gdy wszystko chłopci zabrali, i konie uprowadzili, piechotą do Tarnowa. Ładna wśród zimy i zawieruchy wyprawa, tem więcej, że dwie kobiety były w stanie poważnym, Wolski ranny a sługa Ignacy rekonwalescent po ciężkiej chorobie. Nie mogąc podążyć, zostali Żurowscy na leśniczówce i niebawem zostali zamordowani; Wolscy zaś z młodzieńcem i Ignacym puścili się w drogę do Tarnowa. Wyszedszy z lasu w Machowy, by się do księdza dostać, zostali przez włóczące się chłopstwo, pomimo że to noc była, spostrzeżeni. Wolski gotów do obrony na zapytanie którejś do księdza, otrzymał oburzającą odpowiedź, i w obec tego że chłopci nań się rzucili, zmuszony był dać ognia. Wśród zamieszania sprawionego natarciem, rozłączono Wolskiego od żony, która chłopom gotówkę oddać obiecywała, byleby jej życie darowali. Dowiedziawszy się o pieniądzech, wydzierają jej takowe, rzucają się na nie i bijąc się o nie, a gdy jednemu udało się je porwać, poczem próżny porzucił pulares, rzucono się na nieszczęśliwą Wolską, posądżając ją, że ich oszukać

chciała. Dobiwszy nieszczęsną i sługę, odarli oboje z odzienia, poczem razem zwiążali, biorąc się do operacyi biednego młodzieńca. Zmłóciwszy go cepami odarli również do naga, ściągawszy zeń buty, przyczem jedna z tych hyen stanęła mu, by się lepiej zaprzeć na brzuchu.

P. Wolską i Ignacego zawlekli chłopci do karczmy w polu, gdzie zaledwie dyszący popadł w omdlenie, młodzieńca nie dającego znaku życia zostawili w polu. Dopiero rankiem zaciągnięto go do karczmy, gdzie były ciała Wolskiej i wiernego sługi, gdzie też ją proszącą o księdza dobili, miażdżąc jej głowę obcasem. Patrzył na to biedny gimnazysta, którego okrył jakimiś żydowskiemi tachami organista z Machowy Warchałowski. Niebawem rzucono wszystkich na wóz drabiniasty, na którym się nieszczęśni z trupem Wolskiego spotkali.

Wolskiego uchodzącego w kierunku Tarnowa spotkał pocztillion, i zdradził kowalowi w Machowej, tak że go zacna ta istota dopędziła i pochwyciła. Sprowadzony do karczmy, został przez zgraję chłopów zbity i zamordowany przez zacnego Hefeistosa, zachowując w dłoni garść włosów, które w ostatniej walce wydarł kowalowi.

Pastwiąc się jeszcze nad trupami po drodze, zawieziono Wolskich do Tarnowa, gdzie Ignacego, w którym się jeszcze życie kołatało, chłop widłami dobił. Gimnazysta przetrwał ciężkie obicie, pielęgnowany w domu zacnym p. Michała Starzewskiego, który go do siebie zabrał.

G o g o l ó w.

(*Fryderyk Denker, Aleksander Zdziński, Erazm Denker, Marcin Kwiatek, Gustaw Fiszer, Adam Derner, Franciszek Pierzchała*).

W połowie drogi między Brzostkiem a Frysztakiem legła wieś Gogolów z przysiołkiem Huta gogolowska, należąca do dwóch właścicieli. Właścicielem jednej części był Fryderyk Denker, w drugiej zaś Franciszek Pierzchała.

Fryderyk Denker był gospodarzem postępowym, łącząc z gospodarstwem wiejskim przemysł rolniczy. Pędził gorzelnię a z wódki wyrabiał arak i likiery, w krochmalni zaś z mączki kartoflanej syrop na sycenie miodu. Pomagał mu w pracy gospodarskiej syn jego młodszy Erazm, wprawiając się do przyszłego zawodu.

Z powodu że Denker nosił nazwisko niemieckie i gospodarstwu gorliwie się oddawał, i za lat młodych w ułanach austriackich służył, nie przypuszczała biurokracja metternichowska, iżby pod pancierzem byłego wachmistrza austriackiego, miało bić serce polskie, i dlatego Fryderyk Denker nie stał na liście proskrybowanych. Rząd rewolucyjny wiedząc o jego patriotyzmie przeznaczył go na dowódcę oddziału, mającego się zebrać na punkcie zbornym pod Jasłem. To też gdy się zbliżył termin wyznaczony do zbrojnego powstania, rozwinął Denker gorliwą czynność, a chociaż może co do ludu wcale się nie łudził, mimo tego wziął udział w konspiracyi, i to dla tego, że jako syn ziemi polskiej poczytywał to za swój obowiązek, bez względu na to jak się sprawa skończy. Nie wiedząc o tem, że wskutek rzezi rozpoczętej już 17 lutego w Tarnowskiem członek centralizacyi wersalskiej Alcyato, będący w Krakowie odwołał powstanie, puścił się 19 lutego od wsi do wsi, od dworu do dworu w sąsiedztwa, wzywając i zagrzewając animusze szlacheckie do zebrania się dnia 21 lutego w oznaczonym punkcie zbornym. Aliści jeden z panów sąsiadów p. Wł. B. z Sieklówki, który się uląkł więcej grozy powstania niżli sromotnej hańby denuncyanta, dusza tchórzliwa i czarna, zadenuncyował tego samego dnia jeszcze Denkera jako buntownika kreishauptmannowi jasielskiemu Przybylskiemu, który też natychmiast wysłał nakaz Trojnarowskiemu, respicyentowi straży skarbowej w Strzyżowie, skomunikowania się ze Szelą, powiernikiem Breindla, i zawezwania go, by oddział hordy swej nastął spieszenie na Gogolów, dla utoczenia krwi buntownikom, i złupienia ich dworów.

Ze skwapliwością więc dopełnił nakazu tego z dnia 2 lutego osławiony w rzezi Tarnowskiej, Trojnarowski i już w południe

21 zwała się na Gogolów liczna czerniawa opryszków ze Smarżowy, pod wodzą syna Szeli przez lasy Huty gogolewskiej, otoczyła jak straszna powódź w jednej chwili dwór Denkerów, i rozpoczęto rzeź. Napróżno błagały i zaklinały pp. Karolina Denkerowa i jej siostrzenica Ramultówna chłopstwo o darowanie życia skazanym na śmierć, bezowocną była rozpaczliwa obrona katowanych, ujęte siłą przez opryszków zostały uprowadzone i zamknięte, by nie przeszkadzały mordom. Pod strasznymi razami wideł i cepów, którymi kłóto a głowy młócono jak snopy, skonali w mękach okropych Frydryk Denker, ojciec lat 54, Aleksander Zdzieński szwagier jego lat 34 (właściciel folwarku w Różance) a na ostatku Erazm Denker syn lat 22, który broniąc się do upadłego uleż musiał przemocy skatowany okropnie. Straszna dziec rozzwierzonego ludu, pastwiąc się na zamordowanym właścicielu Gogolowa, obcięła mu w swawoli bydłęcej przyrodzenie, a imitując cygaro, włożyła mu w usta ucięte membrum.

Po dokonanej rzezi we dworze, rzuciła się czerni na gorzelnię i fabrykę wódek słodkich i miodów, gdzie połała się krew obficie, zabito bowiem Marcina Kwiatka lat 55 budowniczego, żonatego, tudzież Gustawa Fischera lat 26 gorzelnika i fabrykanta słodkich napojów, i nareszcie Adama Denera lat 63 wysłużonego żołnierza austriackiego, który służył jako leśniczy u Franciszka Pierzchały, wracając bowiem z lasu, zatrzymał się był przypadkiem w gorzelnii. Zmłócili ich chłopci tak dokładnie cepami, że oblicza ich rozpoznać nie było można.

Równocześnie uderzyły siekiery w drzwi magazynu gorzelnianego, żelazem okute, które z głuchym turkotem padły do środka. Wtedy odbijali czopy beczek, wytaczali z nich okowitę na ziemię, do naczyń, łapali do czapek i w dłonie skrważone. Z flaszek lali trunki słodki w ochryplę gardła, tłukli, kradli i przy dzikiej muzyce wrzasków wyprawiali sceny piekielnego rozpasania.

Aparaty destylacyjne w gorzelnii i w likierni, tudzież naczynia w krochmalni zrąbano siekierami, a mosiądz, miedź,

żelazo zabrano. Od tego czasu przestały istnieć wspomniane fabryki, a przemysł rolniczy nie dźwignął się z tej strasznej ruiny, a nawet pamięć ludzka o nim zaginęła.

Horda pijanego chłopstwa rzuciła się następnie z krzykiem przeraźliwym na rabunek dworu, spichlerza i stajen. Wybijano okna w pomieszkaniach, wyrąbywano drzwi, oddzierano okucia, niszczone sprzęty, porywano ubrania, kosztowności, tłuczono serwisy, zabierano zboże i wszelkie spiżarniane zapasy. Uprawadzono ze stajen konie, bydłoi trzodę, i zabijano drób. W wozowniach rąbano powozy, bryczki, wozy, sanie, słowem niszczone wszystko, co im wpadło w oczy. Trudno kusić się o opis tego niestęchanego zniszczenia.

Wypuszczona z pod zamknięcia wdowa wraz z siostrzenicą, oplakując pomordowanych, odarta z odzieży w walce ze zbójcami, wyzuta ze wszystkiego, nie mając gdzie głów położyć w zrujnowanych i spustoszonych mieszkaniach, zniewolone były szukać przytułku w chacie wiejskiej.

Podczas gdy część jedna krwiożerczej czerni łupiła dwór Denkerów, część druga rzuciła się z wściekłością na dwór Franciszka Pierzchały, stojący po drugiej stronie drogi i potoka. Pierzchała widząc nadciągającą lawinę a nie mając czasu ratowania się ucieczką utrudnioną przez odwilgłe zaspy śnieżne, biegł chyłkiem ukryć się w stodole wśród słomy. Lecz jak na nieszczęście różni tam słomę dwaj jego poddani Wojciech Rec i Wincenty Byś. Nie mogąc ich ominąć, by ująć ich oczom, a mając przy sobie kilka tysięcy zhr., ofiarował im wszystko to na własność, byle go przechowali w słomie, nie zdradzili i nie wskazali kryjówki. Aliści w ludziach tych skażonych łakomstwem i szatańską chciwością, zamarło niestety sumienie. W obawie by dziedzic gdy ocala życie jego nie upomniał się o zwrot danych im pieniędzy, wskazali jego kryjówkę, wydając go na śmierć katowską. Wywleczono go ze stodoły na obejście i dopóty młócono cepami, dopóki pod razami nie wyzionął ducha, mając lat 41. Zamordowawszy właściciela, chcieli bić wdowę jego p. Leopoldynę, lecz jakiś głos przychylny któ-

ry doleciał z tłumem, że nie wolno bić kobiet, ocalił ją od utraty zdrowia i życia.

Banda chłopska wiedziona niepohamowanym łakomstwem i żądzą niszczenia, rzuciła się na rabunek dworu, spichlerza, stajen i chlewów. We dworze łupiała, obdzierała, rąbała, ze spichlerza unosiła, co się wzięść dało, ze stajen uprowadziła, konie, bydło, trzodę, tak samo jak w części Denkerów.

W Hucie gogolowskiej nie było rzezi, bo nie było nikogo kogoby zabić mogli, służba rozbiegła się, zatem złupiono oba folwarki i zabrano z nich wszystko.

Ofiary rzezi były poodzierane do naga, tak że okręcone słomą wieziono do cyrkułu w Jaśle dla otrzymania za nie krwawych srebrników. Zawiodło się jednakowoż chłopstwo w swej chciwości, trafiło bowiem na opór mieszczan jasielskich, którzy stanawszy przy moście wjazdowym do miasta, zmusili chłopstwo do odwrotu, by ofiary rzezi tam grzebali, gdzie im życie odebrali, i by nie ważyli się zwozić trupów do Jasła, gdyż rzeźniów postrącają z mostu do wody.

Czyn tych pocziwych mieszczan wpłynął podobno znacznie na uśmierzenie dalszej po wsiach rzezi, rozeszła się bowiem szybko wieść, że w Jaśle nietylko nie przyjmują zabitych, lecz jeszcze grożą potopieniem chłopów w wezbranej rzece. Z pośród onych mieszczan jasielskich, godzi się wymienić jako najzaciejszych Jana Steca, sławnego majstra kunsztu szewskiego, którego wyroby daleko były znane, tudzież Szymona Krajewskiego, kuśnierza.

Dodać należy, że zrabowanych pieniędzy, kosztowności, zboża, kartofli, zabranego inwentara, nie odzyskały owdowiałe właścicielki, albowiem jak z jednej strony sądy bezwzględnie postępowały, przeciw poszlakowanym o uczestnictwo w powstaniu, tak z drugiej strony puszczały bezkarnie, wbrew istniejącym ustawom popełnione przez chłopstwo zabójstwa, rozboje i łupiestwa.

Ustawy karne stały się wobec doraźnych, pod urzędową tajemnicą (spezielle Direktiven) wydawanych rozporządzeń po-

litycznych, martwą literą, i wskutek tychże zakazano poszukiwań za zrabowaniem przez chłopstwo mieniem. Co więcej sprawców tej rzezi intelektualnych wynagradzano, tak osławiony Trojnarowski za rzeź gogolowską, z respicjenta straży skarbowej awansował wprędce na komisarza, Szczuciński kancelista w Jaśle znęcający się nad więźniami politycznymi i śledzący jak ogar za emigracją, nie został tak samo jak starosta w Jaśle Przybylski, bez nagrody.

Judasze owi, którzy Pierzchałę na rzeź wydali, żyli jeszcze w r. 1894, lecz Wojciech Byś w stanie obłąkania.

Opis krwawego dnia zacerpnęliśmy z ust 81-letniej pani Leopoldyny Pierzchaliny (2^o voto Strzeszkowskiej) wdowy po zamordowanym Franciszku Pierzchale.

G r o m n i k .

(Wioska górską nad Białą pomiędzy Tuchowem a Ciężkowicami, znana dzisiaj więcej jako stacya kolei tarnowsko-leluchowskiej, należała w r. 1846 do p. Feliksa Dzwonkowskiego, ożenionego z Rozalią Siedliską).

Pan Feliks znany w kraju jako hodowca koni, mieszkał w Przemyskiem w majątku żony w Rustweczku, zaś Gromnik dzierżawił od teścia Aleksander Dembiński, ożeniony z Pauliną Dzwonkowską, którą poślubił, owdowiawszy po Rydlówniej. Państwo Aleksandrowie mieli w r. 1846 troje drobnych dzieci, Stefana, Leona i Stanisława. Sąsiadując z bratem Eliaszem Dem. w Chojniku, mieli Dembińscy krewnych w sąsiedztwie niedalekiem, Leonów Dzwonkowskich w Siedliskach pod Bobową, Erazmów Bzowskich w Lusławiczkach i Szczepanowskich w Kielanowicach.

W Gromniku przy Dembińskich mieszkał żołnierz z 31 roku, krewny p. Aleksandra pan Wincenty Rola Lubieniecki i brat żony p. Ignacy Dzwonkowski, który w odwiedzinach z Przemyskiego przyjechał. Pan Aleksander Dembiński, żołnierz z 31

roku, zarówno jak Lubieniecki i Ignacy Dzwonkowski nie mógł nie wiedzieć o przygotowywaniem się ruchu, i wraz z innymi miał się stawić na punkcie zbornym pod Tarnowem. Kiedy skutkiem wmieszania się starostwa i wystąpienia chłopstwa, zebranie pod Tarnowcem w pobliżu Tarnowa położonym do skutku nie przyszło, udał się pan Aleksander ze szwagrem Ignacym Dz. do brata Eljasza do Chojnika, gdzie był też krewny ich Antoni Tetmajer. Zgromadzeni mieli się naradzić, w jaki sposób tłómaczyć się mają, jeżeli po nieudaniu się ruchu, do odpowiedzialności zostaną pociągnięci. W Chojniku też jak o tem piszę pod tytułem „Chojnik”, zaskoczeni przez chłopów wszyscy czterej, t. j. Aleksander i Eljasz Dembińscy, Ignacy Dzwonkowski i Antoni Tetmajer zostali zamordowani.

W Gromniku nie przeczuwając nieszczęścia, bo nie wtajemniczona w sprawę ruchu, wyglądała pani Dembińska w towarzystwie siostry Józefy i pana Lubienieckiego, powrotu męża i brata z Chojnika.

Dwór w Gromniku leży na wzgórku, a ogrodem przypiera do gromadki domków i karczmy tak zwanego miasteczka. Wśród ciszy nocy zimowej, przeraził wyglądających powrotu hałas i wrzawa posuwające się od karczmy ku dworowi, zaniepokoiły tłumy zbrojne w koły i kosy, o ile to przy odblasku kilku latarni dostrzedz było można.

Za chwilę zrozumiano o co chodzi, kiedy do okien na podmurowaniu położonego domu, gradem posypały się kamienie, kiedy z łoskotem rozbijano drzwi wchodowe, by się do wnętrza dostać. Prerażona pani Dembińska przeczuwając, że dobrego od napastników spodziewać się nie można, porwała z pomocą siostry i służebnej dzieci, i skryła się z nieodzianemi zupełnie do pralni, położonej w rogu domu, spodziewając się, że chciwe łupu chłopstwo tam ich szukać nie będzie. Pan Lubieniecki w pierwszej zaraz chwili wybiegł do sieni, by zapytać o powód napadu. Zrozumiał co się święci, kiedy w tłumie dostrzegł znane sobie z Tarnowa do intelligencyi należące twarze przebranych w kozuchy ludzi. Otoczony napierającymi nań,

utorował sobie drogę żelazną łaską, i wycofawszy się w dziedziniec, pod osłoną ciemnej nocy uszedł do stodół, gdzie się w jęczmieniu pomiędzy snopkami ukrył. Szczęściem dlań było, że się od kobiet oddalił, choć zrozumieć łatwo, jak o los ich był niespokojnym, nie wiedząc co się z nimi dzieje, a nie mogąc nawet pomyśleć o tem, by się do nich powrócić.

Dom cały stał otworem dla napastników, mogli brać co im się podobało, gdyż ratując dzieci, nie miała pani D. czasu myśleć o kasie i stołowym srebrze. Rozpoczęła się też dzika gospodarka pijanej, krwi i łupów chciwej tłuszczy, w oka mgnieniu rozbili szafy i komody, porozdzierali pomiędzy siebie bieleźnię i ubrania, zabrali srebro, szkło i porcelanę, tłukąc to co im się zdało być niepotrzebnem. Wypróżnione meble rąbali w kawałki, wydzierali posadzki, burzyli piece, powyłamywali drzwi i okna tak, że niczego do obrazu zupełnego zniszczenia nie brakowało.

Dziełu temu zniszczenia towarzyszyły dzikie wrzaski, szatańskie śmiechy zadowolenia. Punktu kulminacyjnego doszło upojenie radosne, kiedy wyłamano drzwi do spiżarni i piwnicy, kiedy zapasy wina wpadły w ręce pijanych i tak tłumów.

Do czwartaj rano gospodarowali w całym domu, a temczasem marzły wyrwane z pościeli dzieci, z trwogą zapytywała się p. Dembińska co się dzieje z mężem i bratem, nie chcąc przypuścić, że w sąsiednim Chojniku w ręce wpadli rabusiów. Słysząc było nawoływania by podłożyć ogień, i dziwna, że po pijanemu tego nie zrobili, że zaś wybijali wszędzie szyby, pytał jeden z synów p. Dembińską, czy to szklarze wstawiać mają szyby. Z kupy tej gruzów, z dziećmi w koszulach, zboląła, a przecież jakoby zdrętwiała w obec ogromu nieszczęścia, ruiny majątkowej, niepewności o jutro, poszła pani D. na dół do miasteczka, by się schronić do jednego z domów zamieszkałych przez służbę, że wszakże nie czuła się tam dość bezpieczną, gdy się pomiędzy żydowskimi domami tłuszy rabusiów uwijały, udała się na plebanią do księdza Antoniego Sapady, który przez kilka tygodni do powrotu pana Feliksa Dzwon-

kowskiego z Wiednia, całą rodzinę Dembińskich żywił. Niepewność co do losu męża i brata nie tak długo trwała, i odarta ze wszystkiego, niepewna jutra, z trojgiem nieletnich dzieci uczuła pani D. całą grozę przedwczesnego sieroctwa. Wyczekując powrotu ojca z Wiednia, by się nią i sierotami zajął, nieraz jeszcze mieszkając na probostwie, na okropne przejście narażoną była, spokój bowiem nie tak prędko powrócił, długo jeszcze włóczyły się bandy dziczałego, krwią podrażnionego, gorzatką zbydlęconego chłopstwa, i nie jedna banda napadała na probostwo, gdzie biedna matka o los dzieci truchlała. Tak pewnego dnia wpadł na dziedziniec Dębosz, Szcurem dla złodziejstwa zwany, konno, zbrojny w pałasze i począł grozić, że wszystkich wymorduje. Dzieci pani D. przerażone krzykiem, puciekały do kuchni i schroniły się w popielniku pod piecem piekarskim, proboszczowi zaś i kobietom udało się przebłągać potwora pod warunkiem, że mu na ganku nogi spirytusem smarować musieli.

Spokój przywrócił oddział grenadyerów dwunastu, który przybył do Gromnika, kiedy nie było już kogo mordować, przybyli później i huzarzy, by zrabowane odbierać rzeczy, lecz pomimo że bez litości bili tych, co niedawno temu zagrożone państwo rakuskie ratowali, nie zdało się to na wiele, cenniejsze bowiem rzeczy wykupili żydzi, a niemało dostało się w ręce urzędników. Był wypadek, że w kilka lat po roku 46, pani Rejowa, żonie jednego z tych urzędników, turecki szal na rynku w Samborze zdjęć kazała, poznawszy swoją własność.

Straty majątkowe Dembińskich obliczono na 23 tysiące, oprócz bowiem urządzenia domu, przepadło wiele bardzo zboża, koni, bydła, cienkowłnistych owiec, zniszczono aparat gorzelany i wytoczono wszystką wódkę ze składu.

Z mieszkańców Gromnika ocalał Wincenty Rola-Lubieniecki, który ze stodoł dokąd w pierwszej chwili się był schronił, przeniósł się nocą do sąsiedniego krzakami porośłego jaru, kiedy chłopstwo zboże zabierać zaczęło, a zatem obawa zachodziła, że go wykryją. Zakopawszy się w zaspie śnieżnej, pozostał w niej

bez pożywienia do szóstego dnia, poczem go jeden z dworskich odszukawszy, na probostwo sprowadził. Przyprawiony do przytomności żył do roku 1889 i patrzył na to, jak pokolenie zbrodniarzy niebawem bo w roku 1848 i 49 skutkiem głodu i tyfusu wymarło, tak, że paru zaledwie świadków tych okropności pozostało. Jeden z tych pachotków szatana, dawał co roku jak mnie o tem dwóch proboszczów zapewniało na mszę, za duszę Aleksandra Dembińskiego, w rocznicę krwawych dni. Panu Aleksandrowi żyjącemu jeszcze, obcinali chłopci kozikiem palce, by pościągać pierścienie.

Lista pomordowanych, jak pisze ktoś z Tarnowa do p. Fel. Dzwonkowskiego do Wiednia d. 8 marca r. 1846, jeszcze nie wyszła i wątpię, aby my takową mieli, bo na 144 trupów, które 23 lutego na tutejszym cmentarzu były pochowane, ledwie 36 poznano, pomimo że wszystkich faktorów przywołano.

G r y b ó w.

Księga memorabilium miasteczka tego, w którego sąsiedztwie srożyła się burza rozruchów chłopskich, bardzo skąpe tylko bo ośmiowerszowe przechowała i to bardzo ogólnikowe podanie o wypadkach r. 46. Na wiadomość o rozruchach, uciekli Ferdynand i Julia Hoschowie, właściciele Grybowa, tak samo Cyryl i Amalia Zielińscy właściciele Białej niższej, Polny i Gródka do Preszowa na Węgry, dwory zaś w Białej, Polnej i w Siołkowy należących do Hoszów, spichrze i stajnie zrabowali częścią swoi, częścią obcy chłopci. Chłoptwo chciało uderzyć na miasteczko Grybów, lecz zostali odparci przez mieszczczyństwo wsparte przez włościan Białej wyższej i Kąclowy.

Grodkowice.

Rzeź w Grodkowicach w krwawym roku 1846.

(*Marcin Żeleński, Stanisław Stański, Promer*).

W cyrkule bocheńskim, między Bochnią a Wieliczką, leżała wieś Grodkowice, zostająca od lat wielu w ręku jednej rodziny. Marcin Żeleński otrzymawszy ją w spadku po ojcu, mieszkał tu od czasu swego ożenienia, pracując z wzrastającym zamiłowaniem statecznie i wytrwale nad polepszeniem zarówno materyalnego, jak moralnego bytu podległych sobie włościan; był to mąż niepospolitych zdolności umysłu i wysokiego wykształcenia, miał serce szlachetne i gorące. Już w latach pierwszej młodości, na odgłos listopadowego powstania, pospieszył do powstańczych szeregów, myśląc wraz z tylu innymi patryotami, że wywalczy wolność ujarzmionej Ojczyźnie; lecz zdobył sobie tylko krzyż, udzielony mu w dowód męstwa. Po tym przykrym zawodzie, zamknawszy się w głębi domowego szczęścia, zaskarbił sobie szacunek, zaufanie i miłość sąsiadów, którzy umieli cenić jego obywatelskie cnoty; natomiast w oczach smutnej sławy starosty Berndta zażywał reputacyi podejrzanego i niebezpiecznego człowieka. Berndt obawiając się przeważnego wpływu, jaki wywierał w okolicy Żeleński, nakłaniał go do opuszczenia kraju, lecz prawy patryota przeczuwając burzę wiszącą nad Ojczyzną, uważał, że nie powinien w tak niebezpiecznej porze opuszczać jej, lecz że owszem obowiązkiem jego jest wytrwać do ostatka na stanowisku. Okazał się przeto głuchym na wszelkie namowy, czem jeszcze więcej rozjątrzył starostę.

Było to w owym krwawym lutym 1846, podczas ostatnich dni karnawału, kiedy Żeleński po kilkodniowej nieobecności, wróciwszy do domu, zastał zgromadzoną najbliższą rodzinę, powiększoną przybyciem do Grodkowic na dni kilka jego sio-

strzenicy wraz z mężem Stanisławem Stańskim, właścicielem Chromanic w cyrkule Sądeckim. Żeleński był bardzo smutnie usposobiony, czarne myśli roily mu się po głowie, przeczuwał jakoby mające nastąpić za dni kilka krwawe wypadki i czekającą go śmierć straszną. Uściskawszy rodzinę, zaczął wypytywać ciekawie co słyhać i co się dzieje w okolicy, lecz nikt nie umiał mu odpowiedzieć, gdyż od dni kilku komunikacya z okolicznymi miastami, Krakowem i Tarnowem, była najzupełniej przecięta.

Zaniepokojony głuchemi wieściami, posłał na zwiady zafanego człowieka do Bochni, lecz ten wróciwszy niezadługo, doniósł, że nie mógł dojść do miasta, gdyż mosty na Rabie były pozrywane i pozdejmowane, a z drugiej strony chłopci nikogo nie przepuszczali; była to sprawka biurokracyi, która obawiając się, aby szlachta postyszawszy o mordach i pożogach, dokonanych przez podburzony motłoch w Tarnowskim i w Lisiej górze, nie zechciała zabezpieczyć się, uchodząc zawczasu do miast i miasteczek. Ta przykra wieść wstrząsnęła całą rodziną i tak już zaniepokojoną i nikt nie był zdolny zabrać się do pracy. Przez cały poniedziałek chodzono tylko po ogrodzie z trwogą przysłuchując się odgłosom dalekich strzałów, dochodzących od strony Krakowa i przyglądając się chłopom, którzy się roili po polach i drogach. Stawali oni kupkami, mówili, radzili i rozchodzili się, aby niezadługo znowu się zejść. Ale ponieważ zachowywali się zupełnie spokojnie, przeto Żeleńscy nic z tej strony nie podejrzewali złego, nie domyślając się bynajmniej, że od nich to właśnie groziło im niebezpieczeństwo.

Nad wieczorem przyjechał do Grodkowic mandataryusz z przestroga od starosty, aby Żeleński wieczorem nie wyjeżdżał z domu, lub też uciekał natychmiast do wielkiego miasta, bo starosta już za nic nie ręczy. Słowa te mieściły rażącą sprzeczność, a przestroga ta zakrawała na urąganie z bezbronnej ofiary niecných machinacyj. Jak się później okazało, sam Berndt, zastaniając się powagą najwyższych osób, za pomocą

namowy i przekupstwa, rozniecał nienawiść chłopów okolicznych ku panom. Po wyjeździe mandataryusza, cała rodzina zebrała się na naradę, jak w tym razie postąpić: czy wytrwać do końca, czy ratować się ucieczką, lecz po głębszym namyśle przyznali wszyscy, że ucieczka była niemożliwą. Otaczała ich w około straż złożona z zajadłych chłopów, a zresztą komunikacja była wszędzie przerwana, mosty poniszczone, drogi popsute... Postanowili przeto nieszczęśliwi spokojnie czekać jutra, i zarazem wyjaśnienia wszystkich groźnych wieści.

Nie przeczuwali biedacy, że wielu z nich jutra tego nie dożyje! Uspokoiwszy się nieco, zasiadli do herbaty, a o 8-ej zaś godzinie wieczorem dla rozrywki i dla odwrócenia myśli od smutnych przedmiotów, panowie Żeleński i Stański zaczęli grać w szachy, podczas gdy ich żony przechadzały się po salonie rozmawiając. Nagle wpada do salonu nauczyciel dzieci gospodarza, Promer, ze straszną wieścią, że chłopci ciągną do dworu, służący zaś, który wszedł za nim, dodał, że to powstańcy z Krakowa.

Chętnie wierzymy temu, czego sami pragniemy; uwierzone więc słowom służi i uspokojono się. Ale radość ta trwała tylko przez błyskawiczną chwilę, nagle bowiem tuż pod oknami rozległy się straszliwe wrzaski i wycie rozbestwionej tłuszczy. Za chwilę cały dom został otoczony, szyby z brzękiem rozlatywały się tłuczone kamieniami i rąbane siekierami, a przez wybite okna ukazywały się oczom przestraszonej i zrozpaczonej garstki biedaków, groźne i wściekłe twarze podburzonych i roznamiętunionych chłopów.

Tymczasem bandy nawpół pijane, podbudzane ciągle przez niecných kusicieli, coraz bardziej nacierały na dwór, wydając straszne, krew w żyłach mrozące okrzyki. Była to jakby zgraja zgłodniałych dzikich zwierząt łaknących krwi ludzkiej. Przez kilka chwil wahali się, czy przestąpić próg domu dziedzica, z obawy przed ukrytymi powstańcami i ich bronią palną. Widząc to wahanie i przypisując je odzywającemu się sumieniu chłopów, pani Żeleńska niespokojna o męża i czworo drobnych

dziątek, wyszła głównymi drzwiami na ganek, zwracając się z prośbą do napastników, aby zaprzestali gwałtów i spokojnie wyrazili swoje żądania. Nie zdołała jednak dokończyć rozpoczętej mowy, gdy rozzuchwaleni prośbą chłopci, przywitani ją gradem kamieni i cepów, wołając z urąganiem: „Hej broń! hej Polaki! hej proch i noże! którymi nas wyrzynać macie!”

W końcu zrzucili swą dziedziczkę ze schodów, a tłumy cisnące się do drzwi, deptały po niej bez litości. Na ten widok okropny, nieszczęśliwy mąż nie mogąc ocalić żony, a przywieziony do ostateczności, schwycił za pałasz i usiłował stawić opór chłopstwu, godzącemu wściekle na jego życie, napróżno wielkim głosem przemawiał do nich:

„Pamiętajcie ludzie, że ja wam nic nie zawiniłem, że jestem ojcem dzieciom, pamiętajcie, że straszna odpowiedzialność czeka was przed Bogiem, jeżeli mnie zabijecie”.

Nie zważając wcale na te przedstawienia, uderzono go parę razy siekierą w głowę, a dwóch śmielszych chłopów rzuciło się do krępowania mu nóg i rąk, krzycząc szyderczo:

„Nie ci już nie pomoże, godzina twoja wybiła!”

Głos nieszczęśliwego, dochodząc przez wybite okna, strasznym echem odbijał się w sercu żony, która odzyskawszy trochę przytomności, zsunęła się na kolana i błagalnym głosem wołała o litość, lecz grzmiące okrzyki zaciętej zgrai zgłuszyły jej słowa i jęki, a silne cięcie kosą w głowę powaliło ją na nowo o ziemię. Tymczasem Żeleński silnie skrępowany, oknem wyniesiony, rzucony został na pastwę zjadłej ciżbie, którego okrucieństwo pióro nie zdolne opisać.

W drugiej części domu również straszna, przerażająca odgrywała się scena. Stański wraz z nauczycielem Promerem schronili się do pokoju dzieci, lecz i tam dotarł niebawem rozjuszony tłum, niszcząc i tłukąc wszystko, co napotkał po drodze. Trudno słowami odmalować tę okropną chwilę, gdy wpadłszy do dziecinnego pokoju, wyciągnęli chłopci z najciemniejszego kąta dwie ofiary wybladłe i prawie martwe z przerażenia, rzucili je przez okno czekającym na łup siepaczom. Stański jeden nie

długo się męczył; załęczniony i odurzony, był jak skamieniały, a ugodzony silnie siekierą w głowę, na miejscu skończył życie; towarzysza zaś jego, biedny nauczyciel, zbity strasznie i okropnie poraniony, porąbany, został odwieziony do Bochni, cierpiąc w drodze niestłuchane męki.

Gdy się już tuszcza upoiła widokiem zniszczenia i ofiar, czyniąc zadość rozkazom swych przewódców, z których (Witzthum) konceptspraktykant z Bochni, był najokrutniejszym, zniosła na wóz trzy trupy i resztę dyszących jeszcze, choć mocno porąbanych biedaków i powiozła wszystkich do Bochni.

W mieście tem indywidua sympatyzujące z rzezią, odbierając krwawe ofiary, jak może poświadczyć tysiąc jeszcze żyjących świadków, kazały oświecić magistrat, jak gdyby na jaką wielką tryumfalną uroczystość, w obecności zrozpaczonych żon i wdów pastwiły się nad konającymi, a zamordowanym zabierały obrączki ślubne, zegarki i pieniądze, wypłacając chłopom obiecaną nagrodę za każdą głowę, nie szczędząc głośnych pochwał krwiożerczemu motłochowi.

Mimo próśb i nalegań wielu osób, chcących zamordowanym oddać ostatnią posługę, wywieziono potajemnie w nocy ciała męczenników z obawy, aby smutek poczciwych mieszkańców Bochni, nie zatruł radosnego tryumfu niecnej koteryi.

Oprócz Witzthuma był tamże urzędnik starostwa bocheńskiego Hoszar, brat Dra Hoszarda, członka Wydziału krajowego, który bolejąc nad obłąkaniem wyrodnego brata, zmienił wstętnie krwią splamione nazwisko, dodając d na końcu. Żeleńskiego ciągniętego smyczą na powrozie zarzuconym na szyję przed mieszkanie ekonomy, dobił stróż dworski rozplatawszy mu głowę siekierą, gdy mu przedtem szczękę siekierą odcięto.

Zabójca Żeleńskiego oskarżony później o zabranie zegarka, tłumaczył w urzędzie, że nie on właściwie winien śmierci Żeleńskiego, ale panowie przebrani (Witzthum i Hoszar), którzy zabijać kazali.

Gumniska i Wolica.

(Jerzy Nowak i ekonom Tadeusz Marynowski i leśniczy, Szymon Szumański pisarz).

Zamordowanie Tadeusza Marynowskiego i jego leśniczego Jana Kosiby w Gumniskach i Wolicy, obwodu Tarnowskiego, tudzież krewnej ks. Wyżkowskiego w Dobrkowie, według opisu Barbary z Foxów Marynowskiej, wdowy po zamordowanym.

Dnia 20 lutego rano pojechałam do Pilzna, miasteczka w cyrkułe Tarnowskim leżącego, odwiedzić matkę słabą mieszkającą tamże. Jadąc widziałam wielu chłopów gromadzących się po karczmach na gościńcu. Gdy już niedaleko Pilzna byłam, zostałam zatrzymaną nie wiedzieć dla czego, a widząc, że pijani byli po większej części, co miałam pieniędzy, oddałam. Tym sposobem okupiwszy się, dojechałam do matki s. p. męża mego, która przerażona widokiem zabójstwa, dziejącego się w temże mieście, nie zatrzymywała mnie dłużej, ale raczej wyprawiła do domu, jako miejsca spokojnego, gdzie o niczem podobnem nie słyszeliśmy. W temże samem miejscu, gdzie wprzód zatrzymaną zostałam, oddałam resztę co miałam pieniędzy, lecz wtedy poznali mnie. Gdy już wiedzieli, że nie mają co wziąć, sami radzili, aby nie jechać gościńcem, tylko uboczną drogą na Dobrków. Udałam się za ich poradą, a wzięwszy paru chłopów, aby bezpiecznie przez miejsca te przejechać, za ledwie sto kroków ujechałam, zobaczyłam w rowie obnażonego, zabitego najokropniej Jerzego Nowaka, posesora wsi bliskiej. Po drugiej stronie leżał także zabity jego ekonom. Przerażona tym widokiem, dojechałam do karczmy w Dobrkowie, tam mnie chłopci zatrzymali chcąc mnie zabić, a inni tylko bić, zaczęli się więc kłócić. Korzystając z tej sprzeczki odjechałam, ale mnie znowu gonili. Z przestachu nie wiedziałam co czynić i kazałam stanąć, czekając śmierci. Gdy mnie dopędzili, chcieli do karczmy wrócić, ja wiedziałam co mnie tam czeka, lecz mówili, że mnie /

nie puszcza, ale zawiozą do Dobrkowa, gdzie pan Józef Bobrownicki dziedzie tamtejszy zabity, przeto pani sama mnie przyjmie; uległam konieczności i zawiezioną zostałam do dworu. Tam mi konie i ludzi zabrali, mnie zaś pilnując, do stajni zaprowadzili.

Na dziedzińcu leżało dwóch zamordowanych oficyalistów Bobrownickiego, on zaś w pokojach zabity leżał. Gdy zajęci rabunkiem odstąpili mnie, uciekłam do proboszcza, znanego mi księdza Wyżkowskiego, prosząc o jakiego przewodnika do domu, ten mi perswadował, bo wiedział, że takie przedsięwzięcie było nad moje siły, gdyż i noc się zbliżała; ja jednak nie odstąpiłam od mego planu, chcąc męża uspokoić. Dał mi więc szpitalną babę starą i błogosławieństwo swoje. Co tylko uszłam kawałek, usłyszałam wystrzał na plebanii. Poznawszy, że uciekła ze stajni, wpadli do księdza, szukając aby mnie zabić a nie znalazłszy, mszcząc się, zabili jego kuzynę staruszkę, ja zaś wśród nocy po śniegach, lasach i górach błakając się, przyszłam do domu około dziesiątej w nocy. Zastałam męża w największym niepokoju o mnie, chodzącego po dziedzińcu z księdzem Witowskim Janem ze swojej parafii. Opowiedziałam w krótkości moje wypadki, a gdy chłopci zaczęli się zgromadzać, wzięwszy z pugilaresem pieniądze, uciekł aby się schronić, ksiądz to samo uczynił, udając się w inną stronę. Ja zaś wzięwszy dzieci udałam się do chaty gospodarzy lepszych. Tymczasem chłopci tej wsi, między którymi najwięcej urlopników było, kancelaryę w której różne papiery były odbili, szukając pieniędzy i broni, a nic nie znalazłszy, bo mąż tylko jedną zepsutą miał dubeltówkę, a druga, jak jeden z urlopników twierdził, była zwichniętą, ustąpili z domu i poszli szukać męża. Wśród nocy nie mogli go znaleźć, gdy się jednak rozwidniło, za śladem doszli, że był u leśniczego swego pod lasem i tam lubo się nie bronił, związawszy go zamordowali i leśniczego także, który nie odstępował pana swego, chcąc prośbą i perswazyami odwieść ich od morderstwa. Po dopełnieniu na obu dwóch mordu, poszli do domu na rabunek. Gdyby nie przy-

chylność jednej z moich służących, która uniosła z domu nieco ubrań i bielizny dla mnie i dzieci moich, byłabym tylko w jednej koszuli została, gdyż spiżarnia i co tylko było, stało się łupem tej tłuszczy, w innych zaś folwarkach okna wytłukli, wódkę z magazynu zabierali, woły i kilka krów zabili, ziemniaków kilkaset korcy rozebrali, pisarza w browarze Szymona Szumańskiego zabili, ekonomę także szukali, aby go zabili, ale ten przecie ucieczką się ratował. Naczynia gospodarskie i zaprzęgi zabrali, stoliki potłukli, rejestra i papiery spalili tak, że teraz żadnego rachunku i porządku dojść nie można. Do tego czasu powinności swych nie odbywają, okazują zuchwałstwo największe, wszystkie oziminy swem bydłem wypasają, lasy rąbią tak, że tylko część tych pozostała. Mandataryusza miejscowego uznawać nie chcieli, inny ze Lwowa nadesłany przedsięwziął czynnie śledztwo, pieniędzy nieco i rzeczy odebrał i byłby z pewnością do jakiego porządku doprowadził, gdy znowu inny nadjechał i miał objąć moje dominium, które jako pomniejsze było przyłączone do państwa Dembickiego. Byłam z prośbą u starosty Breindla, by z ostatniego tegocześniego rozporządzenia cyrkularnego moje dominium nie zostało odłączone, a znowu w tymże czasie już trzeciemu mandataryuszowi nadane, gdyż tym sposobem chłopci się więcej zuchwałą, że co chwila kto inny rozkazy im wydaje. Starosta Breindl nawet mówić ze mną i słuchać mnie nie chciał. Nie udawałam się dotąd z żadną prośbą do tegoż, gdyż tysiączne przykłady udających się nieszczęśliwych obywaterek odepchniętych i pozbawionych pomocy od tegoż, wstrzymały mnie, ale tą razą chciałam spróbować i przekonałam się o istocie prawdy. Pozbawiona zatem najlepszego męża i sposobu przywrócenia nadal porządku w mych wioskach, muszę szukać wsparcia z ośmiorgiem dzieci po obcych domach, patrząc z dala na zniszczony mój dobytek. Doznawszy ciosu tak bolesnego, mając ciało wyniszczone trudami, potrzebuję ratowania zdrowia mego, a nie mając rodziny, gdyż jedni pomordowani, a o drugich nawet dowiedzieć się nie można, udaję się przeto do sądu opiekuń-

czego o wskazanie mi jakiegokolwiek pomocy i rady, abym w największej nędzy nie skończyła z dziećmi nieszczęśliwego życia we własnym kraju.

Barbara z Foxów Marynowska,
właścicielka wsi Gumnisk i Wolicy w cyrkule Tarnowskim.

Gwoździec.

(*Aleksander Trembecki, Józef Żubek i ks. Jan Hochorowski*).

Wieś Gwoździec była między wsiami Charzewicami, Niedźwiedzą, Olszynami, Zawadą, o pół mili od Dunajca i należała do klucza Melsztyńskiego własności hr. Karola Lanckorońskiego, z wyjątkiem małego folwarku zwanego Średnim, który był własnością Trembeckiego.

Na folwarkach skarbu Melsztyńskiego siedzieli ekonomowie, pod samym zaś lasem na tak zwanym Wymysłowie, mieszkał leśniczy zawiadujący lasami wsi Charzewic, Zawady i Biskupic, do klucza Melsztyńskiego należących.

Trembecki w sile wieku, żonaty, miał jednego syna, a oddany pracy by wyżyć i by wychować syna, żył z ludem wiejskim i z czeladką własną w zgodzie i spokoju, nie dając powodu do krwawego na siebie zamachu. Pomimo wszakże, że tak Trembecki jak również miejscowy pleban ks. Jan Hochorowski nie brali udziału w przygotowaniach ruchów powstańczych, a może nawet o nich nie wiedzieli, toć mimo tego chłopstwo z przyległych wsi z Milówki, Olszyn, Sukmania i z Wielkiej Wsi zważyło się w wielkiej liczbie 20 lutego na plebanią, i wszystkie trzy folwarki.

I.

Zastawszy na folwarku dolnym ekonomą skarbowego Józefa Żubka, poczęto go bić polanami sągowemi z niezwykłą

zaciętością. Skatowanego wrzucono na wóz i odstawiono do cyrkułu do Bochni dla otrzymania wyznaczonej za przywiezionych nagrody.

Pobity strasznie Żubek zmarł po kilku dniach w więzieniu w Bochni, gdzie też zwłoki jego pochowano. Zboże, ziemniaki i wszelkie zapasy zrabowano do szczętu.

II.

Trembecki, właściciel folwarku średniego, dowiedziawszy się o przygotowującym się napadzie tłumu chłopskiego na Gwoździec, chciał się ratować ucieczką przed najściem hordy. Zamięć śnieżna była powodem, że zmylił drogę tak, że doszedłszy do Olszyn, wpadł w ręce snującego się tam chłopstwa, które go z dzikim okrucieństwem zamordowało. Odartego do naga wrzucono na wóz i powieszono do Tarnowa.

Horda dzika rosnąc co chwila w liezbę, rzuciła się na folwark Trembeckiego, złupiła go do szczętu uprowadzając i bydło, tak że biedna wdowa pozbawiona w jednej chwili całego mienia parę lat tylko przy Gwoźdzu utrzymać się mogła, walcząc z niedostatkiem i nędzą.

III.

Plebanią księdza Jana Hochorowskiego otoczyły tak samo dnia 20 lutego wieczorem tłumy chłopstwa z Milówki, Olszyn, Sukmania, Wielkiej Wsi i Więckowic, a skrępowawszy księdza dokonała rabunku stajni, spichlerza, piwnicy. Zbitego i skrwawionego księdza porzucono na wozie, by go wieść do Bochni. Z tyłu do wozu przywiązano gospodynię księżą Kozłowską, że wszakże za wozem podążyć nie mogła, zostawili ją w Gwoźdzu, obiwszy ją poprzednio.

Ks. Hochorowski wtrącony w Bochni do więzienia, chorował skutkiem pobicia i niezdrowego więzienia, tak że wkrótce potem wypuszczony na wolność przed samą Wielkanocą, zmarł.

Opowiadanie to zawdzięczamy naocznemu świadkowi, niejakiemu Janowi Wójcikowi, który podówczas służył u ks. Hochorowskiego.

Ekonoma na folwarku górnym, tak samo i leśniczego na Wymysłowie nie zastali rabusie, temu też zawdzięczali życie, za to pomściła się horda na ich prywatnym majątku i na dobytku folwarcznym.

H a c z ó w

(wieś na południo-wschód od Krosna należała do rodziny Urbańskich).

(*Juljan Goslar.*)

Do Haczowa, o którego gromadzie było przekonanie, że dla powstania dobrze jest usposobioną, wysłano Juljana Goslara, by tam działanie rozpoczął. Przybył tam 20 lutego. Wieści rozpuszczone pomiędzy ludem tak go obałamuciły, że do Sannoka i innych miast o pomoc i radę wysłali, a do kościoła bojąc się, że ksiądz ich obałamucić może, przyjść nie chcieli. Niepotrzebnie się obawiali, ksiądz bowiem do którego Goslar się udał, zdradził go (ks. Lech) i wezwał chłopów by go pojмали. W jednej chwili dom plebański otoczono a po chwili wahania się, rzucili się chłopci na Goslara i porwali go ze sobą szarpiąc i bijąc. Ściągnęli z niego suknie i buty i nawpół nagiego wlokli po śniegu okładając co chwilę kijami, bijąc cepami lub kopiąc nogami. Tak obchodząc się z nim dowlekli go do karczmy, gdzie go z drugim będącym tam już więźniem skuli, poczem tego drugiego również bić poczęli, przyczem i o Goslarze nie zapominali. Goslar był pewny, że mu rękę złamią. Bijąc robili mu wyrzuty, że Polacy chłopów wyróżnać chcieli, a szczególnie dziwnie brzmiały te wyrzuty w ustach bab, które zanosząc się od płaczu, wołały: „My na was pracowały a wyście nas wyrzynać chcieli”. Kijów dostali co nie miara, bo nie sami Haczowianie ale i z sąsiednich wsi chłopci na targ przybyli, poczuli się do obowiązku ochłodzić na ich kościach swą zemstę.

Sześciu nareszcie tych ludożerców mieli Haczowianie już w ręku, ale nikogo tyle co Goslara nie bili, uważając go jako naczelnika. Katowany bez przerwy, leżał w końcu jak nieżywy i to go ochroniło na razie od nowych plag, mając go bowiem za zabitego, przestali bić. Gdy się dokonawszy wielkiego dzieła porozchodzili, a pozostali kilkunastu na straży łagodniej jakoś wyglądali, przemówił do nich Goslar i tak ich skaptował, że go więcej nie bili, a nawet przed napaścią innych przybywających bronili. Tak parę razy wymową zdołał Goslar rozbroić oprawców, i dziwna tylko zkąd się w nim po tylu kijach brało tyle fantazyi oratorskiej i przekonującej wymowy. Z karczny przeniesiono nieszczęśliwych do kostnicy, gdzie jeszcze parę razy go bito, a dla przekonania się czy żyje, spalono mu hubkę na nodze. Dziwna rzecz, jak męczennicy pierwszych wieków chrześcijaństwa zniósł tę próbę ogniewą, i skarga bólu z ust jego nie wyszła. Owiniętego w słomę, przykrytego płachtą, by nie umarł po drodze, wsadzono na wóz, by jak jeńcy z Brytanii lub Salii zdołał pochód tryumfatorów chłopów do Sanoka. Po drodze w każdej wsi jakby przez różgi, przejeżdżać musieli wśród gradu spadających na nich kijów, a w Milezu o mało że Goslarowi oczu nie wyłupili.

W Sanoku zamknięto G. do improwizowanego ze sklepu wilgotnego więzienia, w którym ich 60 umieszczono. Pojęcia nie mogą mieć ci co patrzą na starannie i higienicznie urządzone więzienia dla pospolitych zbrodniarzy, jakie było powietrze w kazni tej, w której politycznych przestępców pomieszczono, gdzie miejsca nie było na ziemi by zbolełe od cepów i drągów członki wyciągnąć mogli, chociażby na gołej ziemi. Goslar czuł się wówczas nieszczęśliwym, bo nie wiedział co się stało w Tarnowskiem.

Horożana

(*Czaplicki, Waligórski, Bredermajer, Łaszkwicz, Łagoński, Sikorski.*)

(położona nad Dniestrem pomiędzy Mikołajowem, Drohowyżem, Szczercem i Rumnem we wschodniej części Galicyi, należała w r. 1846 do hr. Dulskiego, który mając dobra inne za Lwowem, w nich mieszkał).

Administracya Horożany rozległej a tem samem wymagającej większego zastępu oficyalistów, była w rękach niejakiego Dytłofa, który obejściem się swoim mógł drażnić chłopów i porzucić ziarno niechęci. Dwór liczny obsadzony młodymi ludźmi, stał się ogniskiem projektowanego ruchu, a Ferdynand Czaplicki, mandataryusz został na kierownika tegoż wyznaczony. Tu gromadzić się miała wciągnięta do ruchu młodzież uniwersytecka ze Lwowa, tu przebywał jeden z agitatorów Sikorski. Horożana była punktem środkowym, z którym znosiła się okolica i patryoci tacy jak ksiądz Nahlik z Rumna, i ks. Kincel. Skutkiem niefortunnego obrotu jaki sprawa wzięła w zachodniej części Galicyi, przysłał wybuch powstania na wschodzie, jak lont na gotowej do strzału armacie, pomimo to skutkiem opóźnienia się rozkazu odwołującego powstanie, spowodowanego zamiecią śnieżną i niepraktykowanemi drogami, przyszło w Horożanie do smutnych i krwawych zajęć.

W dniu 21 lutego 1846 r. byli u Czaplickiego: brat jego Władysław, Sikorski i Maksymilian Miler, którzy ze Lwowa przybyli, nadto Waligórski, drugi brat Czaplickiego Henryk, leśniczy Łaszkwicz, Łagoński, Baranowski Ignacy szewc z Horbacza, ekonom Mikołaj Biliński i Łomżyński, który oddając chłopom broń, omal że nie był powodem, iż byliby bezbronnych wymordowali, byli też Bielewicz i Bredermajer.

Pojawienie się chłopów spowodowało Czaplickiego, że odczytał im manifest znoszący pańszczyznę i nadający własność ziemi i robiący inne obietnice, lecz odezwa chybiła celu. Chłopi z niedowierzaniem słuchali, a w końcu oświadczyli, że sprzeci-

wiają się dążeniom panów, i poczęli dom okrażać. Wystąpienie wiekowego ojca Czaplickiego, również na wiele się nie przydało, chłopi bowiem oświadczyli, że mają rozkaz panów pojmać i odstawić do Drohowyża. Starca tego, który sprowadzić chciał Dyttofa, porwali chłopi i do aresztu dominikalnego wraz z księdzem Nahlikiem, który w tej chwili nadjechał, zamknęli. Dom Czaplickiego, w którym towarzysze niedoli byli zgromadzeni obłęgli chłopi, a było to obłężenie nie lada, skoro chcąc dostać tych co w nim byli, a przystępu bronili, dom dookoła słomą obłożyli, by go podpalić i by tak do wyjścia zeń zebranych w nim zmusić. Wtenczas to raniono chłopa, który mimo ostrzeżenia z głównią palącą się do domu się zbliżał, a nadto na przestrogi nieprzyzwoitością odpowiedział, pokazując odwrotną część medalu. By nie dopuścić do domu napierającej zewsząd tłuszczy, strzelali obłężeni z okien, lecz kiedy od kuli zginął brat Czaplickiego a dom stanął w płomieniach, powoli obłężeni poczęli zeń uchodzić. Czaplicki Ferdynand chciał wyprowadzić żonę, lecz uderzony w głowę kosą stracił przytomność i nie wiedział, że żonę zemdlałą do Dytłofów odniesiono. Tak samo jak dom Czaplickiego, gorzał i areszt, w którym oprócz ks. Nahlika i ojca Czaplickiego znaleźli się byli Łagoński, Bielewicz, Łomżyński, Bredermajer i Łaszkiwicz.

W walce rozpaczliwej polegli od kosa i cepa, Ferdynand Czaplicki, Waligórski, Bredermajer. Łaszkiwicz, Łagoński, ciężko ranny i pobity złożony między zabitymi był Władysław Czaplicki, który później smutne te wypadki pisał w książce pod napisem: „Rzeź w Horożanie”. Ciężko ranni wyzdrowieli Biliński, Bielewicz, Baranowski i Łomżyński.

Sikorski i Miler z płonącego domu szukali ocalenia w ucieczce przez ogród ku lasowi horożańskiemu. Ścigani i dopędzeni przez chłopów, nie chcąc narazić się na katowanie, strzelili do siebie, przykładając sobie strzelby do brzucha. Sikorskiego dobili chłopi cepami, kiedy ciężko ranny na saniach się był dźwignął, Miller połknawszy siedm lotek, udał zabitego, co nie przeszkadzało, że i jemu przed umieszczeniem na saniach, głowę

chłopi tak zmóćili, że jak mi to sam opowiadał po zamrożeniu krwi spływającej zanim do Drohowyża dojechał, głowa do bryły lodu podobną była. Miler powrót do zdrowia i życie zawdzięczał lekarzowi wojskowemu z Drohowyża, i żył do roku 1880 jako notaryusz w Czerniowcach powszechnie szanowany.

Jastrzębia.

(Patrz Strzegocice).

Januszkowice

(pod Brzostkiem obok Kleci i Opacianki, należały do p. Konstantego Fihauzera).

Zarządzał majątkiem tym młody podówczas Leon Dreziński, którego brat Tomasz i bliski krewny Zaremba również u p. Fihauzera służyli. Należąc D. do ruchu i mając polecenie stawienia się w Pilźnie, oddał karbowemu Błażejowi Wyrostkowi dwór i cały dobytek w opiekę, aliści wyjazd jego opóźniło przybycie do Januszkowic osławionego Trojnalskiego, który ze strażą skarbową zjechał do dworu, by Drezińskiego pojmać. Nie tracąc przytomności p. D. prosił Trojnalskiego by mu pozwolił, skoro ma wyjechać do Jasła zdać komu dom i gospodarstwo. Jak gończe psy wpadłszy raz na trop, pilnowali, skarbowcy ci Drezińskiego, tak że począł wątpić czy mu się uda wymknąć z ich pazurów. Że było zimno i na polu szalała zamieć śnieżna, zaproponował opiekunom swoim, by się z nim herbaty napili i wówczas to przyrządzając takową, szepnął chłopcu służbowemu, by mu konia osiodłanego za ogród wyprowadził. Kiedy przypuszczał, że koń już na miejscu oznaczonym być może, rzucił się ku drzwiom, a zamknawszy je ze sobą, by pościgowi przeszkodzić, dopadł konia, i puścił się ku Sączowi, by się do-

stać do Jazowska. Dostał się p. D. w ręce Piskozuba, który okutego w kajdany strącił ze schodów, kiedy go potwór ten do wilgotnej sprowadzał piwnicy. P. D. potłukł się i pokaleczył padając, a o wiele dotkliwiej rozbił się, trącony ze schodów przez Piskozuba ks. wikary z Chochotowa Kmietowicz, który od tej chwili krwią odpluwał, uszkodziwszy sobie przy takim obejściu się dozorcę kaziennego, płuca.

W Januszkowicach temczasem okazał się Błażej Wyrstek najzupełniej godnym zaufania p. D. Zaraz po odjeździe Trojnalskiego opieczętował wszystkie drzwi i okna dominikałną pieczęcią, a kiedy nadszły hordy rabusiów, powiedział im, że pieczęcie te z ramienia rządu położyła komisya ze starostwa, która po Drezińskiego do Januszkowic przybyła i w ten sposób ochroniła majątek p. Fihauszera od rabunku i zniszczenia.

Jasło.

Starostwo jasielskie stykające się z cyrkulami sandeckim, tarnowskim, rzeszowskim i sanockim, było widownią w części swej północnej mordów i rabunków, które wywołali przerażeni wieścią o możliwości powstania urzędnicy cyrkularni jak Heyrowski, Baunhölzel, Trojnarski wraz ze starostą p. Przybylskim, szukający wskazówek co robić należy, jak o tem opowiadanie p. t. „Gogolów” świadczy u Szeli. Nieszczęśliwy starosta mając pewność, że chłopstwo przeciw szlachcie wystąpi, a nadto cztery kompanie piechoty i trzydzieści szwoleżerów, w mieście liczącej wówczas zaledwie 2000 ludności obawiał się szlachty, której całe dzisiejsze jasielskie zaledwie 150 głów dostarczyć może, jeżeli zaś przyjmujemy, że w każdej wsi mieszkała szlachta i dla tego, pomimo że 169 szlachty i oficyalistów było uwięzionych, wypędzał z miasta tych, co się tamże schronili, spokojniejszy o tych, którym chłopcy głowy roztrząskali i kości potamali. Na stolicę tego kolegi Breindla uderzyć

mieli powstańcy z trzech stron, od Krosna, od Strzyżowa i od Gorlic. W powiecie kręcił się emissaryusz Franciszek Wolański, człowiek podejrzaney wartości, chciał bowiem uciekać z Gorlickiego do Węgier, tak samo jak ze Strzyżowskiego później, a w końcu wyśpiewawszy wszystko, gdy go za Krosnem schwyciono i skomprowitowawszy wiele osób, został c. k. urzędnikiem, jeżeli mnie należycie poinformowano, poborcą w Krośnie. Na Jasielskie nie było wyznaczonego dowódcy, dlatego nie było jednolitości w działaniu, i dla tego Adam Kochanowski, właściciel Szerzyn pod Bieczem, miał oddziałowi gorlickiemu dowodzić, podczas gdy Jordan Roman z brzosteckiego, Bolesław Darowski z krośnieńskiego przyprowadzić mieli oddziały. Nad wykonaniem planu zajęcia Jasła, mieli się naradzić u p. Aleksandra Skrzyńskiego w Libuszy zebrani tamże Bolesław Darowski z Turzy i brat jego Mieczysław, Roman Jordan z Dembowy, Krański Lucyan z Jodłowy, Szczepanowski ze Świecan i Gostkowski z Mozarki. Zgody nie było, bo i gospodarz p. Skrzyński i p. Krański nie wierzyli w to, by powstanie wedle planu przez Kochanowskiego przedłożonego udać się mogło, co wówczas Wolańskiego spowodowało, że do Węgier przedzierać się postanowił, w którym to celu wyjechał do Klimówki do p. Pawłowskiego w góry, z kąd wszakże na wezwanie wysłanego za nim Kromkaja mandataryusza Kochanowskiego się wrócił, by pomimo niepomyślnych wieści z Tarnowskiego, wybuchem w Jasielskiem kierować.

Zostawiwszy na Gorlickie, gdzie bardzo czynnym był w Gorlicach tamtejszy wikary ksiądz Wojciech Michna, Adama Kochanowskiego, udał się Wolański do Koźuchowa, z kąd Woynarowscy bracia (patrz Nockowa) pod Jasło zdążyć mieli. Po drodze wstąpił do Stojowskiego w Lipinkach, do księdza Dyszyńskiego w Cieklinie, do ks. Maciejowskiego w Załężu, do księży Krzanowicza i Dimmla w Dembowcu, i do Stanisława Deręgowskiego w Samokleskach. P. Tytus Trzebieski w Polance, tak samo Woynarowscy w Koźuchowie nie chcieli iść za wezwaniem Wolańskiego, gdyż doszły ich już wieści o rzezi w Tar-

nowskiem i o zachowaniu się chłopstwa, tak że wysełając umyślonych z odwołaniem powstania, puścił się w drogę ku Węgom, lecz w Korczynie pod Krosnem pojmany został.

W starostwie jasielskiem, które obok starosty p. Przybylskiego miało swoich Trojnalskich, Heyrowskich i Baunhölzlów, jedynym zacnym i pocziwym człowiekiem, w którego piersi biło szlachetne ludzkie serce, był rodzaj woźnego zwany wówczas landsdragonem niejaki Berger Józef, który później żyjąc na pensyi w Jaśle, trudnił się weterynaryą. Pocziwy ten człowiek dawał każdemu z przywiezionych do starostwa inkwizytów instrukcye, jak się mają zachować przy protokółach. Nic nie widal, nic nie slišał, do niczego nie należał. Bardzo cenne wskazówki, których bodaj się byli wszyscy trzymali a mniej byliby w starostwach napsuli papieru i mniej byłoby skompromitowanych. Ludzki Berger ułatwiał uwięzionym osadzonym w dawnym wojskowym szpitalu, w chwilach kiedy ich wyprowadzono na ogród, widzenie się z rodziną, przyczem siedząc na parkanie czuwał, by kto z usłużnych nie zobaczył takiego widzenia się, co byłoby ten miało skutek, że byliby więźniowie tej osłody pozbawieni. Cześć jego pamięci, tem więcej, że to robił bezinteresownie.

Jaworsko

(*Daniel Żelechowski.*)

(w cyrkule bocheńskim, własność Daniela Żelechowskiego, należała do parafii Porąbka Uszewska).

Dnia 21 lutego napadli chłopci z Grabowy i Milówki na dwór w Jaworsku. Żonę pana Daniela i dzieci, t. j. dwie córki i syna Wiesława (żyje jako sekretarz magistratu na Podgórzu) zostawili w spokoju, pana Daniela zaś powiązawszy go postronkami, pomimo próśb miejscowego ludu, wywieźli z Jaworska,

by go odstawić do Tarnowa. Nad Dunajcem pod Wojniczem spotkali tłumy chłopstwa, tak że z trudnością przeprawili się przez wezbraną rzekę, aliści już na drugim brzegu rzucił się w Zgłobicach tłum chłopstwa na wóz, na którym Żelechowskiego wieziono i począł nieszczęśliwego mordować.

Pastwiono się okropnie nad biedakiem, wybijano mu zęby siekierą, łamano ręce, zdarto skórę z głowy i skłuto tak, że strumieniami krew tryskała, poczem nieżywego już zawieziono do Tarnowa, gdzie 23 lutego wraz z innymi 144 do wspólnej rzucony został na cmentarzu tarnowskim jamy.

Dwór Żelechowskiego został zrabowany i zniszczony, spichrz i spiżarka złupione tak, że pani Żelechowska na wsi przytułku szukać musiała.

Jodłowa, Dembowa, Rzegocin

opowiadanie ks. kanonika Kolbuszewskiego.

(Julian i Kryspin Przetoccy, Merski Franciszek, Łobarzewski Maciej).

Wspomnienie z krwawego roku 1846.

W ciągu całego r. 1845 obiegały w okolicy tutejszej pomiędzy ludem wiejskim pogłoski takie, że przybędą do kraju polacy powstańcy, ażeby razem z panami lud wiejski wyróżnąć. Temi wieściami zaniepokojeni chłopci zaczęli od panów stronić a gdy im się co niepodobało, udawali się do starosty Breindla w Tarnowie, lub do starosty Przybylskiego w Jaśle ze skargami i denuncyacjami na panów, wskutek czego niektórych z panów wrzekomo niebezpiecznych wzięto pod klucz, co właśnie było dla nich szczęściem, gdyż w ten sposób uszli męczeństwa i zamordowania.

Właścicielem Jodłowej w tym czasie był Lucyan Kraiński, syn Romana Kraińskiego, właściciela Leszczowatego pod

Liskiem. Tenże Lucyan Kraiński był przed powstaniem z r. 1831 pięć lat w wojsku polskim za czasów W. ks. Konstantego, brata cara Mikołaja I. Po wybuchu zaś powstania w r. 1831 został przydzielony do Legii nadwiślańskiej. Wtedy poznał i ożenił się z p. Olimpią, córką Józefa Dwernickiego, generała byłych wojsk polskich, który to generał, znany bohater z pod Stoczka, lubo w wyprawie na Wołyń odniósł kilka zwycięstw, został nakoniec ze swą garstką 3500 ludzi, otoczony 28000 moskalami i 80 dział pod generałami Rüdigerem i Rothem. W obozie obwarowanym bronił on się przeciw tej przemocy dopóty, dopóki z nadwreżeniem praw międzynarodowych nie obeszl go przez Galicyą, i do przejścia granic nie zmusili. Przy Klebanówce rozbroili Austriacy 27 kwietnia 1831 r. oddział generała, a broń i działa wydali Moskwie. Sam generał internowany w Steier w niższej Austrii, nie uzyskał wolności aż po wojnie.

Państwo Kraińscy mieszkali w Jodłowej aż do tak zwanej rabacyi r. 1846. Aczkolwiek Lucyan Kraiński dawny wojskowy, pozornie groźny i surowy wydawał się tym co go pierwszy raz widzieli, był jednak dla swoich poddanych bardzo dobroczyнным i sprawiedliwym, przez co zyskał sobie u ludu wysoki szacunek i poważanie. Ponieważ zaś w czasie służby pięcioletniej w wojsku polskim za czasów W. ks. Konstantego, które w całej Europie miało reputacyę wojska wzorowego, jakoteż w całej kampanii r. 1831 w wojsku polskim, przyzwyczajony był do rygoru, którym wojska regularne się odznaczają, a nadto powstanie w r. 1831, aczkolwiek liczyło kilkadziesiąt tysięcy armii regularnej, należycie uzbrojonej, nie odniosło żadnego skutku, nie wierzył w ruchawkę, na którą się w r. 1846 zanosilo, i nie brał w niej żadnego udziału. Siedział przeto cały rok 1845 spokojnie, i nie był ani przez rząd, ani przez lud naruszany.

W połowie lutego 1846 przyszło nareszcie do wybuchu tak zwanej rabacyi w tej okolicy, pod komendą Szeli ze Smarzewy, który mszcząc się za przegrany proces z familią Bogu-

szów, zamordowanie tychże spowodował. W samej Jodłowej wybuch ten nie był groźny. P. Kraińscy wyjechali do Jasła a ztąd do Wiednia, gdzie też pomarli. Atak na Jodłową był ze strony południowo-zachodniej od wsi Kowalowy, leżącej na drodze do Ryglie i Tuchowa, z kąd dwóch ludzi, z których jeden miał być podobno finanszwach przebrany za chłopą, szło przez wieś i co chwilę krzyczało: Wychodź, wychodź, bo w Kowalowach chłopów Polacy zarzynają. Z obawy zarznięcia przez Polaków, wychodzili chłopci z cepami, widłami i kosami na sztorc zasadzonymi, a nawet małe chłopaki z żarnówkami, aby się bronić przed rzezią, której atoli nikt nie widział, bo jej nie było. W całej Jodłowej właściwego rabunku i napadu na dwór nie było, prócz tego, że po odjeździe p. Kraińskich chłopci z Kowalow (taki był zwyczaj, że zawsze chłopci z innej wsi rabowali), zrabowali z dworskiego spichlerza kilka półci słoniny. Gorzej obeszlę chłopci także z Kowalów w Jodłowej na górnym folwarku, gdzie mieszkał leśniczy Franciszek Merski. Zgraja chłopów obstała folwark, na który przypuścili szturm, zrabowali do szczętu, leśniczego Franciszka Merskiego okrutnie zbili, i tak zbitego wieźli na saniach i bili znowu koło każdej karczmy, a najpierw w Kowalowach, gdzie zabito także dwóch Przetockich, Juliana i Kryspina, a wreszcie w Zalasowy dobili i zabitego zawieźli do Tarnowa, gdzie w wspólnym grobie na cmentarzu został pochowany. Oprócz tego zrabowali chłopci, do których już należał i oddział chłopów jodłowskich, dwór w Dembowy, której właścicielem onczas był i tamże chwilowo bawił Roman Jordan, ożeniony z Mieczysławową I^o voto księżną Apolonią z Jordanów Woroniecką. Chłopci obstałi dwór, zaczęli rabować, a znalazłszy pieniądze — kilkaset dukatów w złocie i z garniec cwancygierów, zaczęli się tem dzielić i przestali już niepokoić, a tymczasem p. Jordanowie pod eskortą chłopów odjechali do Jasła. Ci sami chłopci co napadli na dwór, po odebraniu im pieniędzy, dali im eskortę, żeby ich chłopci przy innych karczmach nie napastowali. Oprócz

kilku pałek po niedźwiedziach w drodze, nie się więcej p. Jordanom nie stało.

W Pilźnie chłopci obstąpili na rynku ks. wikarego z Dobrkowa i zaczęli go bić cepami i tak długo bili, aż go zabili i zabitego zawieźli na cmentarz do Dobrkowa, tam go wyrzucili na śnieg, a gdy jeszcze drgnął, zaczęli go na nowo bić cepami aż pod razami tychże ducha wyzionął.

W końcu nadmieniam, że Maciej Łobarzewski został zabity przez chłopów w Rzegocinie koło Wielopola, gdzie ze Lwowa przybył do babki na zapusty w r. 1846. Także donoszę, że dwóch szlachciców z Czermny, z których jeden nazywał się Jordan Zdzieński, wybierając się do powstania zanoceowało w podróży u ks. wikarego, bo ks. proboszcz był wtenczas w Jodłowej nieobecny. Zaraz zrana chłopci dowiedziawszy się o tem, otoczyli churką całą wikarówkę i domagali się ich wydania. Uwolnić ich jednak od chłopów właściciel Jodłowy p. Kraiński, udali się ztąd prosto do Gogolowa, gdzie we dworze p. Denkera razem z innymi w liczbie 7 czy 8 zostali zamordowani.

Jodłowa dnia 26 marca 1895.

Ks. Jan Kolbuszewski m. p.

proboszcz i kanonik katedry przemyskiej.

Jodłownik

(w powiecie limanowskim, własność Konstantego i Marji z Kirchnerów Romerów, został zrabowany).

Tłuny jako w domu zamożnym obłowity się należycie, a biły choć bez powodu Romerów, w których obronie odznaczył się ekonom Piastusiński, któremu też Romerowie do śmierci wdzięczność okazywali.

Przestrzeżeni przez siostrę p. Maksymilianową Marszałkiewiczową z Kamienicy nie mieli już czasu, by uciekać z domu.

Wieczorem w niedzielę zapustną zaczęły bandy dzwonić w kościele, skutkiem czego coraz więcej chłopstwa z okolicy napływało.

We dworze oprócz gospodarstwa p. Romerów, byli bracia p. Konstantego Michał i Ludwik Romerowie, przybył też skutkiem alarmujących wieści Adolf Tetmajer, dzierżawca ze Słupi, kawaler, i sądząc się tu bezpieczniejszym, został na noc.

W poniedziałek rano nadjechał konno sąsiad p. Wincenty Struszkiewicz, właściciel Stróży. Za nim to rzuciła się banda chłopów z okrzykiem: „to powstaniec!” i wpadła do dworu. Tu zaczęli panów chwycić, powyciągali ich na podwórze, bili i obdzierali. Michała Romera tak po głowie bili, że mu kawałki kości z głowy wychodziły, Ludwikowi zaś kijami palce u ręki strzaskali. Przy panu ucierpiała i służba, leśniczy Michał Pia-stusiński i ekonom Michał Podoski.

Na prośby żony przestali bić i puścili właściciela p. Konstantego Romera, poczem panów i oficyalistów zabrali i wieźli ku Limanowcy, a następnie kiedy się dowiedzieli, że Limanowa się broni, do Bochni, gdzie pokaleczonych oddano do szpitala.

Panią Romerową, która pozostała w domu przy sześciotygodniowym synku Gustawie (dzisiejszym właścicielu Zabełcza, posła na Sejm i marszałka w nowosądeckiem) zastały baby w domu i wyrzuciwszy dziecko z kołyski, przetrząsały pościel za pieniędzmi i kosztownościami. Napastnicy zrabowali wszystko bydło, sprzęty, kosztowności, ocalał tylko fortepian, który w swoje posiadanie zabrała jakaś kobieta i broniła go od zniszczenia, „bo tak pięknie gra”. Porozrzucane po pokoju papiery, książki, rumowiskiem grubem zburzone piece pokryły. Biurka pańskiego bronił mężnie, usiadłszy na niem lokaj Jędrzej Bogacz, jednakowoż pchnięty widłami z po za okna, ustąpić musiał. Przy obdzieraniu zabrano p. Konstantemu R. torbę ukrytą na pierśsiach, w której było 4000 złr., co później rabuś oddał w Bochni, bojąc się by nie był karany, a brakowało tylko 120 złr.

Znalazł się w tej smutnej chwili i życzliwe kobiety, które panią R. przebraną po wiejsku uprowadziły, i w domu

zaczęto gospodarza Stanisława Kotary ukryły. Tu znalazła bezpieczne schronienie i opiekę. Kotara chcąc zapewnić jaką taką wygodę pani, wypadł na wieś i potrafił tyle odebrać pościeli, ile mogło wystarczyć. Tak przebywała p. R. wśród życzliwego otoczenia, znosząc dym gryzący i sąsiedztwo bydła w tej samej izbie. Litościwa gospodyni mając również małe dziecko przy piersi, karmiła i synka p. Romerów.

Przez kilka dni coraz inne bandy odwiedzały dwór, szukając coby jeszcze zabrać się dało i odchodziły z narzekaniem, że nie zabili pani i dziecka, z którego znowu pan kiedyś urośnie. Zrabowane rzeczy i sprzęty przechowywali rabusie w kościele.

Pragnęła p. Romerowa odwiedzić męża w Bochni, lecz wyjechać nie mogła, bo chłopstwo ciągle jeszcze włóczyło się po drogach i okolicy, a puszczać się w drogę odradzał gospodarz Kotara. Ulegając wreszcie życzeniu p. R. postanowił ją odwiedzić do Bochni, i w tym celu odebrał gdzieś powóz i konie zrabowane, i przybrawszy czterech zaufanych chłopów, wyruszył z p. R. do Bochni. Po drogach snuły się jeszcze bandy, i tak w Zręczycach banda napadła na powóz, zawróciła go do karczmy i ledwo za interwencją malarza pokojowego, który bandę dowodził, pojazd wolno puszczono.

Przybywszy do Bochni, odnalazła p. R. męża i braci w szpitalu, pokaleczonych i obwiązanych do niepoznania. Postanowiła pozostać w Bochni dla opieki rannych, pragnęła jednak sprowadzić dziecko i w tym celu wyprosiła u majora Niedomańskiego eskortę dwóch żołnierzy, którzy w towarzystwie Kotarowej dziecko przywieźli. Przebywszy trzy miesiące w Bochni, skutkiem prośby zanesionej do arcyks. Ferdynanda Este, pan Konstanty R. i bracia zostali uwolnieni.

Pani R. zajechała była w Bochni do hotelu Hanszla, a dla braku funduszu korzystać musiała z gościnności gospodarza i otwartego kredytu. Kiedy wszakże nadeszła wiadomość, że arcyksiążę przejeżdżać ma przez Bochnię, i w rzeczonem hotelu zamieszka, wyprowadziła się p. R. do doktora Feuermana

(którego syn zmienił nazwisko na Ogniski) a ten na prośby p. R. poręczył za mężem jej i braćmi, i przyjął ich na mieszkanie.

Arcyksiążę Ferdynand nie dawał żadnych prywatnych audyencyi, wyjątkowo przyjął panie: hrabinę Dębicką z Pierzchowca i p. Romerową. Po odczytaniu podanych pism i skargi, pokiwał głową, powtarzając: „Ja, es ist traurig — es ist traurig”.

I z d e b k i.

(*Hr. Leon, Bonawentura, Edward Bukowscy, Józef Kotarski, Aleksander Kabat, Ludwik Szumańczowski.*)

(Wioska górską w Sanockiem przy gościńcu z Brzozowa do Dynowa, należała do hr. Leona Bukowskiego).

W czasie wypadków lutowych więcej osób było w Izdebkach, zjechali bowiem do rodziców dwaj synowie Bonawentura i Edward, zięć pan Józef Kotarski z żoną Celestyną z Glinika w jasielskiem, siostra gospodarza p. Szumańczowska z synem Ludwikiem S. i córką Teresą, wydaną za majora Lewickiego. Z domowych była jeszcze druga siostra p. B. panna Jadwiga, zaś z obcych był przyjaciel gospodarza p. Aleksander Kabat, późniejszy adwokat i profesor uniwersytecki we Lwowie. Na dwór napadli chłopci dnia 20 lutego rano między 5 a 6 godziną, zastali wszakże wszystkich na nogach, nie spali bowiem we dworze, zaniepokojeni ruchem jaki od paru dni po wsiach panował. Bezpośrednio przed napadem na dwór, przybiegł Jędrzej Gładysz by ostrzedz o grożącym niebezpieczeństwie; lecz zgromadzeni nie mogli korzystać z ostrzeżenia, bo dokądże mieli uciekać, skoro wsie już były wzburzone. Po zajęciu dworu, wywelekli chłopci mężczyzn na dziedziniec i tu znęcali się nad nimi bijąc okrutnie, przyczem odtrącali panie, które mężów, braci i dzieci bronić chciały, tłumacząc im, że ponieważ na to nie mają „befelu” kobietom nie nie zrobią. Zra-

bowawszy z całą dokładnością dwór i całe dworskie obejście, złożyli pobitych ciężko na wozy, i jak rzymscy tryumfatorowie puścili się do Sanoka i dziwna, że żywych tamże dowieźli, bo kochani bracia wyznania mojżeszowego siedzący na karczmach doradzali by panów pozabijali, by się kiedy o zrabowane nie upominali rzeczy. Dostawionych w nocy do Sanoka, umieszczono obdartych z odzieży, a zatem zziębniętych, pokaleczonych i głodnych w zimnej i wilgotnej piwnicy, zkaż po 48 dopiero godzinach do nie wiele lepszego przeniesiono biedaków więzienia i to skutkiem upominania się o to mieszczaństwa. Kobiety pozostawione w Izdebkach, aby do woli przyglądać się mogły zniszczeniu, dziełu młodszej braci, dopiero po trzech dniach trawione niepokojem o mężów i braci, dostały się do Sanoka, gdzie trzy miesiące w pobliżu więzionych przemieszkiwały, bojąc się nadto wracać na wieś. Przybyły zaś panie pod eskortą trzech policyantów, którzy staraniem p. Józefa Kotarskiego, zostali do Izdebek wysłani. Z więzienia uwolniono tylko Leona Bukowskiego, reszta pozostała w niem, a Bonawentura Bukowski wywieziony do Lwowa, a następnie do berneńskiego Szpielbergu, powrócił dopiero po udzielonej w r. 1848 amnestyi.

Karwodrza.

(Patrz pod Strzegocice).

Komorniki,

(pod Dobczycami, należały w r. 1846 do p. Finków. Opowiadanie p. Emila Miłkowskiego.)

Kiedy się w roku 1846 rozpoczęły rzeź i rabunki, ostrzeżli włościanie z Komornik pana Finka, że chłopci ze wsi sąsiednich na dwór jego napaść mają. Wdzięczny za to ostrzeżenie,

wyjechał p. Fink z żoną i ośmioletnią córką, wydaną później za p. Starowiejskiego z Piasków pod Krakowem z domu. Za ledwie wyjechali z domu, napadnięci zostali na gościńcu przez tłumy chłopów, którzy wywlokli p. Finka z powozu, cepami młócić go zaczęli. Ratując się Fink, doczołgał się do statuy Matki Bożej stojącej przy drodze i temu zawdzięczał, że na miejscu ubity nie został, większa bowiem część razów jemu przeznaczonych, padała na słupy daszka osłaniającego statwę. Pomimo to ciężko ranny z kośćmi połamanymi i czaszką pękniętą, został złożony na wozie wraz z innymi pomordowanymi i odstawiony do Bochni. Poznany przypadkiem przez oficera, którego rok temu gościnnie u siebie przyjął, został p. Fink przez niego do mieszkania zabranym, gdzie oddany pod opiekę żony i lekarza — powrócił zwolna do zdrowia, zachowując na głowie i w pamięci tak samo jak i na członkach połamanych pamiątkę krwawych dni r. 1846.

K o s z a r y.

Majątek Jana Pieniążka, który w drugim majątku mieszkał w Łososinie górnej, administrował ekonom Kosiarski. Po zrabowaniu dworu, stodół i spichlerza, odwieźli chłopci związanego Kosiarskiego do Bochni.

Kisielówka.

Własność tę p. Grzegorza Szwabe, właściciela Kamionnej i Pasierbca, zrabowali chłopci również, wypadku mordów nie było wszakże, gdyż pan Szwabe mieszkał w Kamionnej, a w Kisielówce, jako dożywotniczka mieszkała p. Barbara Dzieciołowska.

Kolbuszowa.

(Burzyński Ksawery, Hupka Kajetan, pani Gałkiewiczowa).

Ciekawy wypadek przytomności umysłu, odwagi i energii kobiecej opowiadał p. Burzyński ks., którego wraz z Kajetanem Hupką okładając kijami, przyprowadzili chłopci do Kolbuszowy. Mandataryusza, który jedynym wówczas był tam przedstawicielem władzy nie było w domu, a powagę urzędu podtrzymywała godnie żona jego p. Gałkiewiczowa. W poczuciu pełni władzy, kazała p. G. wejść chłopom z więźniami do kancelaryi, a odebrawszy tychże z rąk oprawców, pod pozorem umieszczenia ich w więzieniu, kazała chłopom wyprowadzając ich do osobnego pokoju po kilkanaście plag wyliczyć, co na uspokojenie gorączki zwanej „Breindliana”, na którą jeszcze wówczas Pasteura nie było, bardzo dobrze oddziaływało. Więcej takiej energii, a nie byłyby tak szalały chłopskie tłumy.

Kwiatonowice

(na zachód od Biecza, w sąsiedztwie Zagórzan stacyi kolei żelaznej, należały w r. 1846 do Nejnanowskiego, którego syn Tadeusz, właściciel Myślatycz szczegóły do rzezi lutowej odnoszące się podał).

Chodziłem wtenczas do drugiej klasy normalnej w Tarnowie i stałem na stacyi wraz ze starszym moim bratem u niejakiego Płońskiego, mniejszego urzędnika przy sądzie szlacheckim, który we własnej mieszkał kamienicy przy ulicy Wałowej, nie daleko wtenczas istniejącego hotelu galicyjskiego.

Jako malec i student o niczem nie wiedziałem i dnia 17 lutego jak zwykle poszedłem do szkoły, tam dopiero zobaczyłem jakiś stan anormalny; profesorowie nie przybyli, studenci nie zajmowali miejsc swoich, lecz rozrzuceni po całej klasie

w nieładzie hałasowali, a tu i ówdzie podawali sobie wieść, że będzie rewolucya. Około dziewiątej nadszedł profesor i obwieścił, że nie będzie szkoły. Gdy do domu wróciłem nie małe zastałem zmiany, rzeczy i meble w mieszkaniu Płońskich pousuwane z miejsc swoich, rzeczy pakowano w skrzynie i kufry i wynoszono do piwnic, stolarze z niemałym pośpiechem na ustawionym w pokoju warsztacie robili okiennice, które ze środka grubemi w mur wsuwanemi drągami opatrzone, na twarzy gospodarza widać było przestach i przerażenie; wpatrywał się on w jedno z okien, z których pagórki pod Tarnowem widać było, i nagle zawołał: „Żono już idą, widzę ich”, a po zapytaniu żony kto idzie, odpowiedział: „Polacy”. Pani Płońska choć Schnitzlówna z domu, starała się uspokoić męża mówiąc mu, że nic w tem straszego nie widzi, choćby też szli Polacy, na co jej p. Płoński powiedział: „będziesz ty inaczej myślała, gdy ci będą dzieci zarzynać”. Pokazało się, że płonemi były p. Płońskiego obawy, przekonała go bowiem żona, że to co brał za Polaków, były od dawna na wzgórzach rosnące krzaki. Przytaczam to, by wykazać, jak usposobieni byli wówczas urzędnicy, i co się nawet z Polakami w urzędach pod ówczesnym działa systemem. Cały dzień zeszedł na trwodze, władza wojskowa ogłosiła, że po czwartej po południu nie wolno nikomu pokazać się na ulicy, a już wieczorem i przez całą noc konne patrole i kurjerzy przebiegali ulice. Dom gospodarstwa moich zamknięte miał okiennice, pomimo to Płoński nie czuł się bezpiecznym, i wieczorem wymknął się do sąsiedniej kamienicy, i tam z księdzem Gałęckim późniejszym biskupem in partibus i administratorem dyecezyi krakowskiej noc w piwnicy przepędził.

W nocy wojsko fałszywy alarm urządziło i ślepemi nabojami po ulicach strzelało.

Nadszedł wreszcie wtorek pełen grozy — 18 lutego. Otworzono okiennice dwóch okien od strony gościńca z Pilzna, by widzieć co się na ulicy dzieje. Około 10-ej poczęły nadciągać pierwsze oddziały rozbetwionego chłopstwa i zobaczyłem wten-

czas pierwszą furę wiozącą Smagłowskiego i Trettera broczących we krwi, siedzieli obaj na wozie trzymając się literek.

W pół godziny potem nadjechał drugi wóz z ciałami zabitych i w okrutny sposób posiekanych. Masa chłopstwa konwojowała wóz ten z tyłu i z przodu, a po lewej stronie jechał na koniu chłop, którego obraz do dziś zachowałem w pamięci. Pysk okrągły duży, włosy rude długie spadające na ramiona, trzymał w jednej ręce dubeltówkę, w drugiej pałasz, z rabunku pochodzące, rycząc jakoby zwierz: „My cesarza będziemy od Polaków bronić”. W dalszym ciągu jechała fura za furą z pomordowanymi w okrutny sposób. Głuche tylko z ulicy dochodziły wieści: wiozą tych a tych, a pomiędzy innymi dostyszałem nazwiska Dembińskich, Dzwonkowskiego i Tettmajera. Tak przez cały dzień zwożono zabitych, a także i we środę 19 lutego. Opowiadano podówczas w Tarnowie, że słynny starosta Breindl zapłacił pierwszym furom, które jeszcze żyjących dostawiły od głowy po 5 zł., innym zaś furom które nadwiozły już pomordowanych po 10 zł., zapytując sam rozszałe chłopstwo prowakacyjnie „szyw czy nie szyw”, co spowodowało, że chłopstwo wiozące strasznie już pokaleczonych ale jeszcze żywych, dowiedziawszy się od powracających fur, że w cyrkule płacą za zabitych dwa razy tyle co za żywych, dobijało ich już w przedmieściu Tarnowskiem Grabówce, w sposób wszelką dzikość przechodzący.

Od tego czasu upłynęło blisko trzy miesiące, a Tarnów dawniej przez szlachtę bardzo odwiedzany nie widział jeszcze szlachcica, bo prawie wszyscy zginęli śmiercią męczeńską, a ci co pozostali cudem tylko przy życiu, byli zamknięci w więzieniach tarnowskich, zaimprovizowanych na pręde. Spotykało się na ulicy tylko zastępy żon, matek i dzieci ciężką żałobą okrytych, które swemi czarnymi szatami wycierać musiały podłogi cyrkułu Tarnowskiego, bądź to dla wyproszenia od Rządu zwrotu zrabowanego mienia, bądź jakiej ulgi dla tych, których osadzono w ciemnych i mokrych więzieniach, bądź dla

tych, którzy ciężko pokaleczeni leżeli bez należytej wygody w więziennych szpitalach.

Pamiętam, że ś. p. ojciec mój Antoni Nejmanowski z Kwiatonowic był pierwszym ze szlachty, który się w Tarnowie pojawił, choć to był już początek maja i przypominam sobie, jak kupa żydów biegła za nim ulicą i wołała: „Sist du gait a szlachcie — a szlachcie”. Już po pierwotnem uspokojeniu chłopstwa, ogłaszano i przepowiadano nowe termina rzezi — kto więc pozostał przy życiu, uciekał w bezpieczniejsze miejsca kraju, albo z rezygnacją oczekiwał w domu nowej krwawej katastrofy.

Z jaką świadomością działał starosta Breindl, świadczy fakt następujący: Znany w towarzystwie polskiem Juwenal Boczkowski, adjunkt fiskalny w Tarnowie, chcąc ratować panią Dembieką z Piotrkowic, udał się do Breindla, prosząc o jednego żołnierza do asystencyi, gdyż chciał sam do Piotrkowic jechać, tenże jednak odmówił mu asystencyi, oświadczając mu: „Seien sie ruhig, den Frauen geschieht nichts” (bądź pan spokojny, paniom nic się nie stanie), co dowodzi, że rozkaz jego dotyczył tylko wymordowania mężczyzn.

Wieś Kwiatonowice w dawnym cyrkułe Jasielskim, własność mego ojca była jedną z tych, w których nie popełniono mordów. Stosunki mojego dziada i ojca z ówczesnymi poddanymi były patryarchalne, postępowanie dworu prawdziwie ojcowskie, tak że należała się ojcu pewna wdzięczność a przynajmniej względnosc. Każda wszakże wieś miała choćby kilku złych ludzi, nieprzyjaznych dworowi, którzy przy rabacyi 1846 r. stawali się niebezpiecznymi, bo zazwyczaj obejmowali dowództwo i za sobą pociągali masy. I ojciec mój nie byłby uszedł losu innych, gdyby nagromadzona w dziedzińcu kwiatonowskim banda około 2000 chłopstwa z sąsiednich wsi była na pewne wiedziała o mordach w Tarnowskiem dokonanych, nadto gmina Strzeszyn sąsiadująca z Kwiatonowicami, zawdzięczała ojcu memu bardzo nizkie podatki, jako rzeczoznawca bowiem cyrkularny w r. 1820, zaliczył ojciec mój przy przeprowadzaniu

katastru Strzeszyn do rzędu najlichszych gruntów, tak że bardzo niskie opłacał podatki, co tedy gmina ojcu pamiętała.

Rok 1846 zastał rodziców moich w Kwiatonowicach, wypadki wszakże, które tak ciężko dotknęły Tarnowskie, opóźniły się w Jasielskiem o dzień lub dwa i to uratowało nie jednego.

Po rozbiciu i zrabowaniu dworów w Turzy własności Darowskich, i w Staszkówce własności Skibickich, gdzie właściciele wypadkiem nieobecni w domu niechybnej uszli śmierci, ciągnęła czerniawa od Rzepienników na dwór kwiatonowski, ale na szczęście dla nas po drodze zbałamuconą została mylną wieścią, że Kwiatonowice zrabowane, a pan tamtejszy zabity i cofnęła się z drogi. Chwilowo minęło niebezpieczeństwo, bo już 19 czy 20 lutego, t. j. we środę lub czwartek zwałił się na dziedziniec tłum chłopstwa z sześciu wsi do 2000 wynoszący, na szczęście do tej chwili nie podrażniony widokiem krwi.

Ojciec mój poprzedniej nocy wyprawił zaufanego starego sługę, karbownika Walentego Radzientę konno z karteczką do proboszcza w Rozenbarku, by mu doniósł co się dzieje w tamtej okolicy, i otrzymał mniej więcej odpowiedź: „Kamińscy (w Ołpinach) zabici, w Chojniku wszysecy wymordowani, ratuj się Pan”. Wobec tak autentycznej wiadomości sytuacja była pełna grozy, gdy jednakże wszystkie drogi ku Bieczowi i Jasłu bandami zawałone były, ucieczka była prawie niemożliwą a na pewne bardzo niebezpieczną. Ojciec postanowił pozostać w domu, licząc silnie na przychylność swoich włościan i sąsiedniej gminy Strzeszyńskiej. Gdy więc chłopstwo się gromadzić poczęło, oddał się w opiekę kwiatonowiakom a pozostał w pośrodku chłopstwa na gościńcu dzień cały, zajmując ich bezustannie rozmową: Nagle zawołał jeden z bandy: „W zagórzańskim lesie ukryci Polacy, Skrzyński na nas pik narobił i są tam złożone u stelmacha pod lasem, chodźmy teraz na obławę.” Projekt ten podobał się i tłumnie ruszono ku lasowi zagórzańskiemu, zostawiając jednakże część pewną, by pilnowali mego ojca. Ojciec korzystając z tego oddalenia się, wydał rozkaz, by żaden chłop kwiatonowski nie ważył się wsi swojej

i dworu opuszczać, i tylko Dziki i Podlesiaki nieprzyjaźni dworowi podążyli za bandą. Gdy czerniawa na obławę tę wyruszyła, a ojciec na drodze ku Moszczenicy i Turzy wiodącej pozostał wraz z kilkudziesięciu chłopami kwiatonowskimi, nadjechał sankami Józef Darowski, przebywający wówczas u ks. Stanisława Jabłonowskiego w Kobylance, a nie wiedząc, dążył do swego krewnego Bolesława Darowskiego do Turzy. Ojciec mój widząc, że na niechybną zgubę się naraża, szepnął mu słówko mówiąc głośno, że teraz nigdzie jeździć nie wolno, kazał mu zawrócić konie i wracać z kąd przyjechał. Chłopi nawrócili sanie na miejscu i Darowski w ten sposób ocalał. W kilka dni gdy się spotkali w Jaśle, rzucił się Darowski ojcemu na szyję, wołając: „Antoni, uratowałeś mi życie”. Podczas obławy w lesie zagórzańskim, wydarzył się epizod po części komiczny. Zagorzany był własnością Tadeuszów Skrzyńskich. Był to dom idący z postępem czasu. Skrzyńscy schronili się zawczasu do miasta, ale syn ich Władysław ożeniony później z Jadwigą Żebrowską, a ojciec Michałowej Dzieduszyckiej, Kazimierzowej Winnickiej z Turad, Maramoroszowej z Karowa i Antoniego ożenionego z Dembowską, młodzieniec wówczas zamknął się w zamku zagórzańskim, a stelmachowi dworskiemu mieszkającemu pod lasem kilka kóp drzewców do lanc ułańskich przygotować kazał. Był wówczas w Zagórzach dla udzielania nauki fortepianu (niejaki p. Lemoch, dobry muzyk, ale wcale niepokazny małego wzrostu brunet). Ojciec mój wyprosił sobie u p. Skrzyńskich, że wolno było Lemochowi w czasie wakacyi przyjeżdżać do Kwiatonowic i udzielać lekyi fortepianu memu bratu. Furmanem, który codziennie po Lemocha do Zagórzan jeździł i sam go odwoził, był Marcin Dziki, chłop rudy atletycznej budowy. Lemoch nie mieszkał w zamku ale w osobnym domku, a pod wpływem paniki, że chłopci surdutowych zabijają, przebrał się w płótniankę i schronił się do owego stelmacha. Otóż tam gdy owa obława na Polaków urządzona nadciągnęła, poznał go ów furman Marcin Dziki, i wystąpił do niego z ciężkimi i bolesnymi wymówkami: „Zaprzęgaj, jedź po

Lemoszka, zaprzęgaj, odwoź Lemoszka”, powtarzał Dzik, a po każdej wymówce uderzał biednego Lemocha po twarzy. Skończyło się na tem, że biedak stracił kilka zębów i że go związanego odstawiono do Jasła. Obława nie znalazłszy w lesie Polaków, a rozjuszona znalezionemi drzewcami, które pikami nazwała, wróciła wieczorem już do dworu kwiatonowskiego i zastała ojca otoczonego gromadą na dziedzińcu. Siostry moje, dzieci podówczas stały cały czas choć to zimno było przy ojcu, trzymając się za poły surduta, matka zaś pilnowała trzeciej jeszcze w kołysce. Chłopi poczynali się burzyć, a ojciec wysiłał się, by ich na wodzy utrzymać.

Chłopi nie byli pewni co mają robić, a nie bardzo uspokajały ojca słowa: „ja panu nie dam nic złego zrobić”, ten bowiem który je mówił, niedawno ze służby za kradzież był wypędzonym. Taki stan trwał do północy, a zmianę spowodowało odezwanie się jednego, który zawołał: „Związać go i odstawić do Biecza”. Projekt ten podobał się ogólnie, zaczęto wołać: „związać go i odwieźć”. Ojciec zażądał by go nie wieźli, ale by mu razem z nimi piechotą iść pozwolili. Związali zatem ojcu ręce na plecach i poprowadzili ku Bieczowi. Po drodze urlopnik pewien strzelał dla ochoty, grożąc ojcu, że w niego będzie strzelał. Nabierając coraz więcej fantazyi, zaczęli młócić go cepami, a ocalał jedynie oddając się w opiekę wójta ze Strzeszyna i robiąc go odpowiedzialnym za wszystko. U wejścia do miasta nawprost kościoła farnego zatrzymano chłopów, a przywołany o wpół do drugiej w nocy burmistrz Czech niejaki Żadny, odebrał ojca z rąk chłopstwa, którego do miasta nie puszczono. Węźnia odwiózł p. Żadny nazajutrz do starostwa w Jasło, dokąd matka z dziećmi podążyła. Zamieszkali tamże rodzice u urzędnika Hellera, gdzie i Bolesławowie Darowscy również zamieszkali.

Po uspokojeniu w Tarnowskiem, gdy już nie mieli chłopów kogo zabijać, ani więcej co rabować, zagrażało Jasłu niebezpieczeństwo, Szela bowiem na czele band chłopstwa, miał jak mówiono od Smarzowej na Jasło uderzyć i rzeczywiście prawdopodobnem to było, bo drogi do Jasła chłopstwem były zawałone.

W chwili tej krytycznej, bądź to z obawy, by chłopstwo istotnie na miasto się nie rzuciło, bądź co podobniejsze, by tych co się schronili i uszli mordów, rzucić na pastwę rozbestwionego chłopstwa, wydał starosta Jasła p. Przybylski rozporządzenie zaprowadzające stan wyjątkowy i nakazujące, by zamieszkała w Jasle szlachta z miasta wydaloną została. Wydalenie z miasta wraz z całą rodziną zagrożonem było tym także, którzyby chociaż jedną osobę u siebie przechować usiłowali.

Naturalnem następstwem, że nikt z obywateli miasta Jasła nie chciał się z powodu szlachty na zastosowanie tych drakańskich rozporządzeń narażać, i że wszystkich wypędzać poczęto. Ojciec mój wniósł na świstku papieru podanie do starosty i otrzymał rezolucję od zastępującego starostę komisarza Baunhölzla przechowaną po dziś dzień w oryginale, a która na żądanie zezwolenia przedłużenia pobytu do 24 godzin, dopóki by konie nie przyszły, brzmiała: „Der Aufenthalt bis 27 Februar Mittags bewilligt. Baunhölzel”. Tak łasce panów Baunhölzlów zawdzięczali rodzice, że nie potrzebowali puszczać się pod noc piechotą w stosunkowo dla siebie i małych dzieci daleką i niebezpieczną drogę, i że dopiero drugiego dnia wyjechali, choć nie bez obawy czy dojadą do Biecza. Mieszczanie bieccy nie bardzo nam byli radzi, obawiali się bowiem zemsty chłopstwa tem więcej, że mieszczanin rzeźnik niejaki Bobkiewicz źle dla szlachty był usposobiony, pomimo to znaleźli rodzice przytułek w klasztorze OO. Reformatów.

K o s ó w k a

(*Zieliński i ekonom.*)

(sąsiaduje z Wadowicami, Załużem i Zabrnem i należała do Zielińskich).

Do Kosówki popędziło chłopstwo po pierwszym napadzie napadzie na dwór w Wadowicach, ale zastało tam już inną czeraniawę. Zielińskiego i ekonomę jego zamordowali chłopci, a co tylko było we dworze, oborze i w stajniach, zabrali ci breindlowscy stróże bezpieczeństwa.

Ł a p a n ó w

(*Szlosser.*)

(na gościńcu z Wiśnicza do Gdowa w cyrkułe bocheńskim).

Sędzią dominikalnym był tu niejaki Karol Szlosser, żołnierz z 31 roku ozdobiony krzyżem „Virtuti militari”. Dowiedziawszy się, że we wsiach jemu podległych chłopci warty zaprowadzili i przejeżdżających niepokoją pod pozorem rewizyi za bronią, nadto że się rozkazami ze starostwa otrzymanymi zastaniają, że w końcu pięć gromad pod dowództwem strażnika finansowego do wsi Sawy na rewizyę za bronią i Polakami się udało, pojechał Szlosser do starosty Berndta do Bochni, i przekonał się z tego co mu pan starosta powiedział, że chłopci rzeczywiście upoważnienie z cyrkułu mieli; nadto dowiedział się, że i jego dostawić mogą do cyrkułu. Obawiając się jakiego niemilego dla siebie zajścia, gdy żonę miał i sześcioro dzieci, domagał się u Berndta wojskowej asystencyi, tem więcej, że w domu jego różne papiery dominikalne były złożone, a co ważniejsza pieniądze ze ściągniętych podatków. Opieki tej nie dostał, bo p. Berndtowi właśnie na tem zależało, by się pozbyć pewnych osobistości, to też niebawem padł Szlosser pod razami

rozwścieklonego chłopstwa. O usposobieniu chłopów i o naukach jakie szerzono między chłopstwem mógł się przekonać Szlosser, kiedy mu chłopci przy konskrypcyi w Sokołowie powiedzieli, że minęły czasy w których szlachty i sędziów słuchać musieli. Wiadomość o zamordowaniu Kempieńskich, była hasłem do opuszczenia Łapanowa i szukania schronienia w mieście, jednakowoż za późno już było, temczasem bowiem wpadła zgraja około 600 chłopów, którzy wiedli za sobą szwagra Szlossera Henryka Milera, sędziego policyjnego z Zegartowic wraz z żoną i Kazimierza Bilińskiego dziedzica z Zegartowic wraz z proboszczem. Stan więźniów tych był okropny, nie mało się ich bowiem chłopci nabili. Też nocą koło jedenastej godziny wpadli chłopci do mieszkania Szlossera i zabrawszy wszystko, zawlekli Szlossera do kancelaryi, w której powiązanych zastał brata żony Wiktora Zarembę i aktuaryusza swego. Pani Szlosserowa napróżno starała się zasłonić męża, kiedy go katować poczęli, musiała patrzeć jak w chwili gdy na wóz wyleżeć nie mógł, siekierką w głowę dostał, musiała słuchać cynicznych uwag tych potworów, tak że pożegnawszy zdaleka męża, z matką i z dziećmi schroniła się do lasu.

Zbity i skatowany dojechał Szlosser do Dąbrowicy, gdzie wszystkich więźniów nowa banda chłopska tak zmłóciła cepami, że byliby wiozący ich chłopci same trupy do Bochni przywieźli, gdyby nie mieli w drodze szatańskiego pomysłu skąpania pobitych w głębokiej podówezas Stradomce. Ochłodzeni tą pomimowolną kąpielą, dawali w Bochni jeszcze jakieś znaki życia. Ciężko pokaleczony Szlosser, gdyż głowę miał rozbitą, umarł do kilkunasu dni, zostawiając żonę i dzieci po zrabowaniu tego co mieli na pastwę losu, choć pod opieką ojcowskiego rządu.

Łączki

(*Ks. Trutty, Fuchs, Psarski Michał, Maliszewski, Strzempka, Łonczak Mateusz, Michlik.*)

(nad Rudą, sąsiadujące z Dąbkiem, Dąbrówką, Radomyślem, Przecławiem i Rudą, własnością były p. Szymona Brzeskiego).

Miejscowość ta, a raczej to co w niej zaszło, smutnym były dowodem braku religijności u ludu naszego, a zarazem niezwykłego zdziżenia. Podszeptami niecnymi obałamucony lud skorzystał z pogrzebu Szymona Brzeskiego, by się rzucić na zebranych, przyczem nie oszczędził nawet swoich pasterzy. Wymordowawszy dwadzieścia kilka osób w Wiewiórcie i Zasowie, część rozbiegając się po okolicy, przybyła też i do Łączek, szerząc zachęcającą pomiędzy chłopstwem wieść, że w cyrkule 10 zł. płacą za zabitego. Gromada powracająca z pogrzebu ś. p. Brzeskiego, obałamucona temi wieściami, udała się na podwórze dworskie, a za nią goście pogrzebowi nie przeczuwając nic złego. Obskoczeni niespodziewanie, widłami, cepami, kijami, wymordowani zostali. Tak zginęli ksiądz wikary z Wadowic Trutty, dzierżawca ztamtań Fuchs, dzierżawca z Dulczy Michał Psarski, leśniczy miejscowy Matuszewski, ekonom i karbowy Strzempka, Mateusz Łonczak poddany łącki, Ludwik lokaj, furman chłop z sanockiego i mieszczanin z Pilzna Michlik. Ksiądz z Radomyśla ocalał dzięki przytomności woźnicy, który wjeżdżając na podwórze, a widząc co się dzieje, spiesznie nawrócił i uciekł. Tu również chłopstwo pocieszało niewiasty, że ma nakaz tylko mężczyzn mordować. Jakże zaś było usposobienie w sferach urzędniczych, nawet pomiędzy wojskowymi, którzy zazwyczaj inaczej na świat i stosunki patrzą, dowodem tego, że mimo próśb i błagania generał Csiolich nie chciał dać p. Brzeskiej wdowie choćby jednego żołnierza, by mogła wrócić do domu, z którego była uciekła, obawiając się, że i ją zamordują. Zachowanie się chłopstwa z żołnierzem danym wreszcie, gdy stemplami na bieliźnie dowodzić musiał, że jest cesarskim, świadczy o po-

dejrliwości naszego chłopca, a zarazem o tem, jak go gruntownie instruowano i jak na liście proskrypcyi breindlowskiej było pomieszczonem wszystko, co nie nosiło sukmany. Sprawę mordów dokonanych wniosła p. Brzeska do sądu karnego, do Trybunału apellacyjnego i po dwu latach zjechała komisya, której wynikiem było, złożenie tej sprawy do kosza.

Latoszyn.

(Morski.)

W Latoszynie położonym przy gościńcu z Pilzna do Dębicy, mieszkał kawaler p. Morski, właściciel dziedzicznego majątku. Pan Morski tak poczeiwie obchodził się z ludem, że mu niemożliwem się wydawało, by chłopci nań się rzucić mieli; pomimo że go arendarz o grożącym niebezpieczeństwie przestrzegał i radził, by do Dębicy lub Tarnowa wyjechał. Powodem zguby p. Morskiego był p. Rej z Przyborowa. Kiedy napadnięty przez chłopów w Latoszynie przy karczmie, uszedł niepostrzeżony do Dębicy, rzuciło się chłopstwo, podrażnione tem, że im się na chwilę ofiara z rąk wymknęła, na dwór w Latoszynie. Niedowierzający oczom własnym p. Morski, nie przypuszczający by poddani własni, z którymi po ludzku się obchodził, krzywdę mu wyrządzić mogli, wyszedł naprzeciw nich i kosą ciężko w głowę raniony, wywleczony na podwórze cepami został dobit.

Dowodził czernią wysłany tu przez Szele Olchowski, który z dzikim wandalizmem około tysiąca szcepów w ogrodzie zniszczył, i świętokradzką ręką kaplicę domową Morskiego, oraz aparaty mszalne sprofanował. Zdziczenie bezgraniczne i wyrzuty odzywającego się z czasem sumienia, spowodowały u Olchowskiego obłąkanie.

L a s k o w a

(w powiecie dawniej bocheńskim, a teraz limanowskim, należała do p. Aleksandra Skrzyńskiego, ożenionego z Lipowską, właściciela Kobylanki pod Gorlicami).

Pomimo że p. Skrzyński nie mieszkał w Laskowy, napałdli chłopi we wtorek zapustny, t. j. 24 lutego na dwór. Sędzia dominikalny p. Machnicki wyszedł naprzeciw nich i starał się przemawiając, nakłonić ich by się rozeszli i by się zbrodni nie dopuszczali. Próżne usiłowania, Machnicki został pojmany i wraz z rządcą Służewskim, leśniczym Peszkowskim i kasyerem Wołińskim powiązany i zbity, poczem horda rabusiów dokonała zniszczenia, unosząc co się dało zabrać.

Łączki (parafia).

(*Gruszczyński, Baranowski Franciszek i syn, Ihaz, Rachlewicz, Olszewski, Gere i pani Ihaz.*)

(Do parafii tej należą wsie Broniszów, Glinnik, Łączki, Łopuchowa i Niedźwiada. Parafię tę nazywano dawnemi czasy parafią Niedźwiadzką).

Podanie księdza Wrześniewskiego, plebana z Łączek do sądu karnego w Rzeszowie, w sprawie rzezi i rabunku w tejże parafii w lutym roku 1846.

Świetny c. k. Sądzie karny.

W dniu 21 lutego zrana przyszli do podpisanego wójcia ze wsi Glinnika, Łopuchowy i Niedźwiady z oświadczeniem, że otrzymali ze wsi Stasiówki ad Zawada nakaz uzbrojenia się i zgromadzenia, albowiem panowie zmawiając się na niedzielę włościan, zamierzeli napaść na nich i sprawić okrutną rzeź gospodarzy po chałupach.

Gdy o niepokojach w kraju nie zgoła nie wiedziałem, byłem tego mniemania, że jakiś oszust rozsiewa takie szalone wieści dla niepokojenia ludzi, dałem im więc w odpowiedzi

upomnienie, iżby takim baśniom wierutnym nie dawali wiary, nie odrywali się od pracy i zwykłego zajęcia, i nie opuszczali domów dla zbiegowisk. W dwie godziny po danej im odpowiedzi, którą zdawali się być zaspokojeni, widzieć się dały zdala tłumy chłopstwa, garnące się ku Niedźwiadzie w kierunku wsi Małej, a niedługo spostrzeżono inną bandę, spieszącą z Łopuchowy ku Niedźwiadzie, zbrojną w kosy, cepy i widły.

Koło południa były już dwór i gorzelnia w Niedźwiadzie zupełnie złupione i spustoszone, magazyn wódczany rozbity, wódka wytoczona, jakby tamtędy przeszła morowa dziewica. Nie ona jednak wionęła swoją chustą na progach tych domostw, ale przeszła przez nie koszula chłopska krwią gęsto splamiona.

Po rabunku w Niedźwiadzie pociągnęły bandy chłopskie do Broniszowa, gdzie niebawem wszystko zrabowały lub zniszczyły co tylko zastały we dworze, samego zaś p. Gruszczyńskiego, 70-letniego chorowitego starca z dziką srogością w sposób okrutny zamordowały. Około godziny 4-ej po południu puściła się dziec ta, częścią na zrabowanych koniach, częścią pieszo, lecz uzbrojona to w strzelby, to w kosy, widły, siekiery i cepy z Broniszowa ku Łączkom, przebiegła po pod kościół ku dworowi, który wśród wystrzałów ze strzelb ze szczerem zrabowała i złupiła, zabierając konie, bydło, trzodę, zboże, słowem unosząc wszystko co się unieść dało, a czego unieść i wprowadzić nie mogła, niszczyła na miejscu.

Po zrabowaniu dworu w Łączkach zwrócili się przywódcy band konno i pieszo do lasu, dla szukania tam pana Ihaza, dzierżawcy Łączek i mandataryusza, tudzież p. Franciszka Baranowskiego dzierżawcy Niedźwiady, p. Olszewskiego dzierżawcy Broniszowa w celu pozbawienia ich życia, czego też najajutrz z niewystowionem dokonali okrucieństwem.

Z zachodem słońca wrócił podwójci łopuchowski Józef Mizia z rabunku w Łączkach, a zoczywszy podpisanego na podwórzu plebańskim, zbliżył się z ukłonem; na zapytanie zaś moje, czy złupiwszy dwory, nie zamyślają o rabunku plebanii, odrzekł, że na to nie mają zezwolenia i zrobić tego im nie wolno.

Po 7-ej godzinie wieczorem zjawił się u mnie niejaki Sebastyan Semet, włościanin z Zapola z przestrogą i wieścią, iż Sebastyan Loh, znany kryminalista i jego sześciu braci żyjących z kradzieży, zmagają się i werbuja innych poczęstunkiem w karczmie, do wspólnego napadu na plebanię. A zaledwie ów zwiastun z Zapola wyszedł z pokoju do kuchni plebańskiej, rozległ się wrzask przeraźliwy, i na podwórze ukazały się bandy zbójcekie, uzbrojone w kosy i widły żelazne. Podpisany otworzywszy drzwi pokoju, zapytał tłoczące się chłopstwo, czego by żądało. Niektórzy z nich odkrywszy głowy odpowiedzieli, że chcą przeszukać w mieszkaniu, ażali niema ukrytej w niem broni, lub ludzi podejrzanych. Na to odrzekłem, że zawsze głosiłem prawdę i teraz ich upewniam, że krom domowników niema nikogo z obcych ludzi, a bronię się nie bawię i jej nie przechowuję, jeżeli zaś nie dają mi wiary, to niech wybiorą trzech z pośród siebie, którzy ze świecą w rękę przeszukają każdy kąt domu i o prawdzie słów moich najlepiej się przekonają. Niektórzy z bandy przyjęli propozycję moją, chcąc resztę zatrzymać na podwórze, by nie wszyscy cisnęli się do pokoju. Aliści Sebastyan Loh z bratem swym Walentym, tudzież Stanisław Ligieżka i wielu im podobnych, wtargnęło przemocą do pokoju, gdzie Sebastyan Loh w czapce na głowie, z widłami żelaznymi w rękę, temi słowy do mnie przemówił: „Ty księżu jesteś fałszywy, od sześciu miesięcy masz u siebie patent cesarski znoszący pańszczyznę, i do dziś dnia nie pokażales go nam, bo trzymasz z panami, musisz więc teraz odpowiedzieć nam za to”. Mówiąc to, podniósł widły w górę, w zamiarze przekłucia mnie niemi, lecz pochwycono i powstrzymano go w zamachu, mnie zaś wypchnięto za drzwi, dla ratowania się ucieczką. Całą noc błędził podpisany zapadając w zaspy śnieżne, wśród zimna w lekkim ubraniu i zaledwo nad ranem zawlokłem się do Łopuchowy, gdzie podpisanego zamknął Wojciech Jezult i jego synowie w pustej stajni. Tamto w wilgoci i zimnie, a w trwodze ciągłej przebyć musiałem do wieczora dnia następnego, i dopiero z pomocą poczciwej rodziny,

przebrany w kożuch chłopski, zdołałem się schronić do Ropczyc, gdzie wyczekuję opieki rządowej.

Po ucieczce mojej złupić chłoptwo plebanię ze szczętem tak, jak poprzód dwory pańskie, zabrawszy wszystko co było, nawet odzież moją; to mi więc jeno pozostało co miałem na sobie, gdym uciekł z rąk rzeżunów.

W parafii Łączki zamordowano osób dziewięć, jakoto: p. Franciszka Baranowskiego dzierżawcę Niedźwiady, wraz z synem jego, tudzież ich gumiennego, a to za to, że się wstawiał do morderców o darowanie życia młodemu Baranowskiemu, następnie p. Ihaza dzierżawcę z Łączek wraz z ekonomem tegoż Rachlewiczem, dalej p. Olszewskiego dzierżawcę Broniszowa, oraz p. Gruszczyńskiego 70-letniego starca, p. Gerego ekonoma z Glinnika, a na ostatek panią Ihaz.

Pióro wypada z ręki i wzdryga się kreślić te okrucieństwa zbrodnicze, te męki rozliczne, jakie rozbestwione chłoptwo zadawało ofiarom rzezi, trudno wszakże zamilczeć, że panią Ihaz zaprzęgli razem z wołami do wozu, aby ciągnęła zwłoki zabitego męża, a potem dopóty młócili ją cepami, dopóki pod straszniemi razami nie skołała.

Spokój nie przywrócony jeszcze w parafii Łączki, albowiem zbrodniarze jeszcze 28 lutego kazali otworzyć kościół i przeszukali w nim każdy kątek, nawet na poddaszu. Włościanie co w rzezi i rabunku nie brali udziału, oczekują z trwogą śmierci i rabunku z rąk złoczyńców, którzy jeszcze ciągle włóczą się bandami, zrabowane bydło dworskie biją na rzeź, pieką i chciwie zjadają, popijając wódką, a przemyślują o nowych zabójstwach i hupiestwie.

W tej chwili doszła podpisanego wiadomość, że w Broniszowie zamordowali żyda, a dom jego, tudzież domy zamożniejszych gospodarzy, którzy w rzezi i rabunku nie mieli udziału, złupiono.

Gdy Sebastyan Loh i spółnicy jego, jeszcze ciągle dybią na życie podpisanego, nie może przeto tenże wrócić do parafii swojej dla spehniania obowiązków kapłańskich dopóty, dopóki

nie będzie przywrócony spokój i bezpieczeństwo publiczne. Zniewolony jest więc wnieść do władz rządowych prośbę usilną, o najrychlejsze udzielenie mu i jego parafianom opieki rządowej, tudzież uwięzienia i ukarania sprawców mordów i rabunku.

Ropczyce dnia 3 marca 1846 roku.

Ks. Wrześniewski, pleban.

Łęki dolne

(*Starzeński.*)

(o milkę od Pilzna położone w kierunku Tarnowa, po stronie południowej gościńca pilzneńsko-tarnowskiego, należały w r. 1846 do p. Tytusa Bobrowskiego, gdy sąsiednie Łęki górne własnością były Karola Bobrowskiego).

Opowiadanie p. Tytusa Bobrowskiego.

Powróciwszy do kraju dla załatwienia spraw majątkowych z Neapolu, byłem dla spraw w tabuli we Lwowie, z kąd do Tarnowa przybyłem. Tu dowiedziałem się od brata mego ciotecznego Bronisława Starzeńskiego o ruchu, jaki przygotowywano, tu też widziałem braci hr. Wiesiołowskich i spotkałem brata mego Adolfa, młodziana 20-letniego, który pod wpływem Prospera Konopki do ruchu się przyłączał, pomimo że rozumiał, że niedorzeczność popełnia. Zginął on w Brniu, przyczem 30000 złr. jakie miał przy sobie, chłopci zabrali; Starzeński zaś nie chcąc wpaść w ręce zgrai chłopskiej, wystrzałem z pistoletu życie sobie odebrał.

Wezwany przez oficera jakiegoś, który do mej stancyi w hotelu wszedł w asystencyi żołnierza, opuściłem Tarnów i wyjechałem do majątku mego, do Łęk. Że dom był pusty, zimno i zawierucha na polu, dałem polecenie ogrzania niezamieszkałych pokoi, a sam dla złej drogi konno ze służącym puściłem się do Łęk górnych. Tam zastałem Tomasza Romera, szwagra

p. Karola Bobr., obaj bowiem mieli za żony Lubienieckie. Mówili tu o przygotowywującym się wybuchu i sygnałowego wyglądali od strony Tarnowa ognia, o niebezpieczeństwie wszakże jakimkolwiek nikomu się nie śniło. Wieczorem opuścił Łęki gorzelnik pana Karola, zawiadomiwszy o tem i zażądawszy, by mu tenże dał koni do Dębicy, co się też i stało. We dworze w Łękach dawnym zborze czy kollegiacie aryańskiej, dziwnej budowli, w której skrytkach późniejszy właściciel p. Pruszyński znalazł srebra kościelne, mieszkała sama pani Karolowa z podrastającymi córkami, p. Karol zaś mieszkał obok w oficynie, gdzie też broń jego myśliwska była. Ponieważ mnie na noc zostać kazano, miałem spać właśnie w pokoju p. Karola wraz z Tomaszem Romerem. Spać poszliśmy, ale zasnąć nie mogliśmy, zanadto bowiem wzruszyły nas niepokojące wieści.

U mnie w chwili wyjazdu do Łęk górnych nic nie wróżyło zbliżającej się burzy, chłopci młócili do wieczora, i dopiero powracający ztamtąd służący mój oznajmił mi, że chłopci po lasach kryć się mają przed Polakami, i że ostatni dzień byli na robocie we dworze. Zaniepokojeni zaledwie po północy zaczęliśmy usypiać, gdy w tem na wpół sennych rozbudził nie zwykły o tej porze ruch na dziedzińcu i pukanie do drzwi i okien. Zobaczywszy pełno na dziedzińcu chłopów, pytam: czego chcecie?", na co nam odpowiedzieli: „niech nas panowie puszcza, bo się zanoszą na różności, to się z panami rozmówić chcemy”. Po naradzie z Romerem ubrawszy się naprędce, otworzyłem. Wszedłszy zabrali broń myśliwską p. Karola, moje krucice, i na przedstawienia nasze by się rozeszli do domów, gdyż im nic nie grozi, opuścili podwórze, lecz w jakie pół godziny powrócili i stukając do drzwi i okien otwierać kazali. Otworzyłem drzwi, a na ponowne zapytanie czego by chcieli, każą nam się zbierać. Bezbronni nie mogliśmy myśleć o stawieniu oporu, tem więcej, że dziedziniec pełny był chłopstwa uzbrojonego w widły, cepy i t. p. Wyszliśmy tedy na dziedziniec, zaczęli nam kazali iść z sobą, pomimo że mnie jako sąsiada Łęk, a T. Romera jako szwagra Bobrowskiego znali, a zatem wiedzieli, że emi-

saryuszami, których starostwo chwycić polecało, być nie możemy. Państwo Karolowie przyglądali się z okien swego pomieszkania tej scenie, lecz pomódz nam nie mogli. W połowie dziedzińca uwolniłem się od chłopca, który mnie chwycił za ręce uderzeniem go w twarz, a że nas rzekomo brali ze sobą, byśmy ich bronili od napadu panów, chciałem by mi podano konia, czego wszakże odmówili niedowierzając zapewne. Popychając nas sobą, wprowadzili nas tak na drogę z dworu ku karczynie wiodącą. Gdyśmy się ku niej posuwali, nadbiegł od strony Pilzna tłum chłopów wołając: „pobić panów” bo już burmistrza w Pilźnie zamordowano. Wepchano nas do pobliskiej karczmy i tu sądząc, że ułagodzę wzburzone umysły, kazałem rozdawać wódkę i tytoń. Temczasem zajęchały sanki przed bramę i wprowadzono do karczmy ekonoma i pisarza ze Żwiernika. Kiedy ich bić poczęli, starałem się ich odwieść od tego, lecz na moje uwagi odpowiedzieli mi: „niech się pan nie mięsza, my wiemy co robimy”, tak samo nie usłuchali księdza, który z monstracją przyszedł był do karczmy, wołając nań: „idź sobie, księdza tu nie potrzeba”. Coraz więcej przybywało chłopstwa, między nimi urlopników, co raz trudniejszym wobec obcych zupełnie, było nasze położenie, tem więcej, że już jakiś który się na herszta narzucał, buntować począł. Obiecałem dać znaczną nagrodę, jeżeli nam nie nie zrobią, poczem za poradą tego przywódcy, postanowiono wyprawić poselstwo do starosty z zapytaniem, co robić mają? co świadczy o tem, w jakich relacyach byli ze starostwem. Po czterech godzinach wrócili posłowie mówiąc, jakoby starosta polecił odstawić panów do Tarnowa „ale z honorem”. Dałem im wówczas sakiewkę z kilkudziesięcioma reńskimi, i temu prawdopodobnie zawdzięczam życie. W chwili kiedy się czułem bezpiecznym, nowy tłum wpada do karczmy wołając; „koniec im zrobić” i jeden z nowoprzybyłych uderza mnie siekierą w głowę tak, że bezprzytomny upadłem na ziemię, przyczem mi peruka z głowy spadła, co nie znających jej, niemało zdziwiło i przeraziło (nosiłem zaś perukę będąc młodym dla tem silniejszego porostu,

krótko ostrzyżonej głowy). Ponieważ temczasem podjechały sanie, które nas wieść miały do Tarnowa, zatem umieszczają na nich Romera, a i mnie też wloką jako bezprzytomnego do nich za nogi ciągnąc w ten sposób ze schodów sześciu, o które tłu-
 kłem wleczony tak, głową. Ściągnąwszy buty i futro, umieścili mnie w saniach, a na prośby moje rozluźnili postronki krępujące ręce. Sanki ruszyły otoczone chłopstwem. Po drodze stają przy każdej karczmie, a w Szynwaldzie zaczęli tych co byli na saniach młócić cepami tak, że mnie leżącego na spodzie krew i mózg oblewa. W drodze spotykamy nowe tłumy idące od Tarnowa, które po danej odpowiedzi że wiozą Tytusa, mówią im, że w Tarnowie tylko uszy oberżnięte przyjmują. Na drodze przy rogatce do Lisiej góry spotykamy stojącego na straży szwoleżera, a że poznałem w nim służącego hr. Festeticsa z Pilzua, wołam nań: „ratuj mnie”. Zapewnia mnie, że mi tu już nic nie zrobią, ale sam dla mnie nic nie robi, a tu właśnie ten sam, który mnie siekierą uderzył, chciał mnie dobić. Nie wiem czemu zawdzięczam, że tego nie zrobił. Przy wjeździe do Tarnowa plwało na nas żydowskie pospólstwo.

Kiedy mnie z sanek wydobyli, przedstawiłem się burmistrzowi, który był w tej chwili przy saniach, poczem polecił mnie wieść pod Dęba (hotel) i oddać furjerowi. Przy wejściu uderzył mnie stojący na straży żołnierz w plecy kolbą od karabina, a chłop zamiast mnie uderza tego, który mnie prowadził tak silnie, że się przewrócił. Prowadzono mnie jak dzikie zwierzę na sznurze. Wchodząc na schody, spotkałem słynnego komisarza Leśniewicza. Wprowadzono mnie do sali pełnej rannych, a że po omyciu ran nie chciałem iść do szpitala, odesłano mnie pod Nr. 3 i zamknięto. Było nas w tej izdebce z 16, tak że siedząc na ziemi przepędziłem noc, bo położyć się nie było możebnem. Pomiędzy uwięzionymi był ogrodnik ks. Sanguszki Wła., Suski mandataryusz, i Głód karbownik Karola Kotarskiego. Przesiedziałem 7 miesięcy nie pociągany do protokołu, nie wiedząc za co siedzę.

Udawania się do Łazańskiego i Ottawy na nic się nie przydały, dopiero wstawienie się ks. Jerzego Lubomirskiego do hr. Thuna miało ten skutek, że na jego wstawienie się, Krieg mnie wypuścić polecił.

Zacny Łazański kazał nam zabrać zrobione z chleba szachy, i nie pozwolił doręczać listów, — cześć jego pamięci!

Zarządcą Łęk dolnych, majątku Tytusa Bobrowskiego, był Piotr Olszewski ożeniony z Katarzyną Rozenbusch. Na wiadomość, że chłopci na las się rzucili, udał się Olszewski do lasu, i tu przez leśnego Kotlarza chłopom wydany, z rozkazu herzšta Paprockiego do karczmy do Łęk górnych został odprowadzony i tam zamordowany. Córkę Olszewskiego Paulinę, która wstępu do chorej matki broniła, dwa razy chłopci kosą zranili.

Z dworskich oficyalistów Eustachy Szumański gorzelnik i pisarz Gorecki szczęśliwie dostali się na Spielberg.

Z dzieci Piotra Olszewskiego, syn Stanisław był inspektorem szkół ludowych we Lwowie, Józef sekretarzem starostwa jest w Przemyślu, Antoni właściciel folwarku mieszka w kołomyjskiem, Bronisław dyrektorem był szkół w Krakowie, Marya wyszła za Steczkowskiego inspektora szkół w Rzeszowie, Paulina za Niemczewskiego.

L i c h w i n

(*Aleksander Chrzastowski, Felicyan Szybalski, Kazimierz Górski, ks. Cieczkiewicz, Eisenbach..*)

(wioska na północ od Gromnika (stacyi kolei tarnowsko-lełuchowskiej) w sąsiedztwie Siemichowa, Wróblowie, widownią była okropnych mordów, dokonanych na tych, którzy cofnęli się z Radlnej, gdy nadzieja uderzenia na Tarnów zawiódła).

Z Lubczy folwarku do Szczepanowie własności Chrzastowskich należącego, wyjechał Aleksander Chrzastowski z Felicyanem Szybalskim dnia 19 lutego, chcąc ująć mordującym już wówczas chłopom. Puścili się przez zaspami zawałoną leśną drogę

do sąsiedniego Lichwina. Już w drodze szukając innej mniej śniegami zawałonej drogi, słyszał Szybalski nawoływania chłopów: „a bij bestyę Polaka, bo nam starosta pozwolił i jeszcze zapłacić obiecał”. Ujechawszy zaledwie kilkaset kroków, przytrzymani zostali przez chłopów, stojących pod karczumą i natychmiast zrozumieli co ich czeka, kiedy posłyszeli wołania: „Zabić te bestye, konie zabrać i obedrzeć, bo teraz pozwolonym wszystko z cyrkułu”. Na rozkaz jakiegoś przywódcy, poczęto rewidować sanie, Chrzastowskiego zaś i Szybalskiego powiązano postronkami, i prowadząc przez pola po bezdrożach, okładali kijami, wołając co chwila: „a idźże prędzej” „a nie przewracaj się bestyo”. Doprowadzeni do jakiejś chałupy, słyszeli narady co z nimi zrobić należy, jedni radzili wydtubać im oczy, inni członki poobrzynać, znów inni radzili połamać ręce i nogi. Mieli już do wykonania tego ostatniego projektu przystąpić, kiedy nadszedł chłop z poleceniem, by ich do karczmy do wójta odstawiono. Spodziewali się biedacy, że im wójt wolność powróci, w czym się srodze zawiedli, bo na wstępie kijem ich po głowie przywitał. Spotkali tam dzierżawcę Lichwina Kazimierza Górskiego z ofycyalistami i wielu innych, których dla srogiego pobicia i pokrwawienia poznać nie mogli. Czekaając niechybnej kolei patrzyli na to, jak w drugim kącie na śmierć biedaków mordowali, jak pod razami konał jakiś młodzieniec, wyglądali chwili kiedy się do nich zabiorą. Po uporaniu się z tamtymi, przystąpił do Szybalskiego potwór jeden z siekierą w rękę, pytając czy ma co przy sobie. Sądząc że się okupi chciał dać zegarek, lecz gdy mu takowy pytający zabrał, inny chłop zabrał mu pieniądze i pobił kijem po głowie w dodatku, kiedy Szybalski chcąc wójta pozyskać, temuż o zabraniu mu pieniędzy powiedział.

Rozgniewany skargą chłop, porwał Szybalskiego za włosy, wywlókł na środek izby, gdzie go młócono cepami i na zakłęcia żadne nie zważano, tak że dopiero wówczas zabawy tej zaprzestali, kiedy zmłócony Felicyan na ziemię się powalił i udając konającego, charcząc począł. Dopadłszy Chrzastowskiego

okropnie go siekierami i cepami pokaleczyli, poczem chwilowa nastąpiła przerwa, spowodowana tem, że się między sobą bić zaczęli, a to z powodu, że młóćąc ich wszyscy na raz, bo każdy w tym dziele chciał uczestniczyć, siebie po głowach bili. W czasie przerwy tej znęcały się baby i dzieci nad nieszczęśliwymi, ale przerwa nie była długa, oprawcy pogodzili się między sobą i rozpoczęła się na nowo młócka, przy czem ofiary z boku na bok przewracano mówiąc: „Młóćmy, boć oni zawsze powiadali, by do ziarnka wymłacać”. Robotę tę przerwali na wiadomość, że nowe ofiary nadciągają, co bolało niezmiernie będące przy operacyi baby, które dodawały animuszu wołając: „bijcie dobrze, jeżeli się który ruszy.” Zrozumie każdy, że ci biedacy nie dawali znaku życia, jedni bowiem już nie żyli, inni zaś zabitych udawali, by się zwierzęta te nad nimi nie pastwiły. Powracający z wycieczki chłopci, przyprowadzili ze sobą ks. Wojciecha Cieczkiewicza, plebana z Pleśny, którego zdradzili chłopci, którym się był powierzył. Odebrali mu broń którą miał, ręce związali i obiecywali, że mu nic nie zrobią. Ażeby uprzętnąć izbę, pokładli pobitych na ławkach, Szybalskiego udającego zmarłego złożyli na stole, gdy wszakże ruszył rękoma, co zbójcy spostrzegli, dostał znowu pałką po grzbiecie i po głowie. Przestali go bić od tej chwili, a tylko plecyma do siebie z Chrzęstowskim związanych porzucili na ziemi w błocie, i na nic nie zdały się prośby, by im choć wiązkę podestali słomy. Księżdz Cieczkiewicza srogo obili wówczas, kiedy ich prosił by mu ręce rozwiązali, dostał on pewnie kilkaset cepów, a przy katowaniu jego znowu się pobili, bo każdy chciał go uderzyć, i w zamieszaniu nieraz sąsiada uderzył po głowie. Mieli wieść tych męczenników do Tarnowa, gdy w tem nadbiegł chłop, który mówił, iż z Tarnowa od starosty idzie, dziwił się że wszystkich nie wymordowali, boć więcej za zabitych płacą jak za żywych.

Przy przeliczeniu przez tego poczciwca, pokazało się, że było tych biedaków 11, pomiędzy którymi sześciu już nie żyło, podczas gdy dyszeli jeszcze Chrzęstowski, ks. Cieczkiewicz, Górski, gorzelnik jego i Szybalski. Między zabitymi oprócz

ekonomoma i leśniczego z Lichwina, był młody Eisenbach z Rychwadu, syn Józefa właściciela Pleśny, którego chłopci również zabili. Po nowej młocce, którą spowodował człowiek jakiś starszy, który po niemiecku Szybalskiego zagadywał, a z Chrząstowskim po francusku mówił, przyszła wiadomość, by pojmanych wieść do Tarnowa. Na wozy sprowadzone napchało się mnóstwo bohaterów tych, chciwych nagrody i pochwały starościńskiej, tak że na biedne ofiary miejsca już brakło. Drapieżcy ci chcieli nieszczęśliwych przywiązać do wozów i ciągnąć tak smykiem za sobą, ustąpili wszakże wywodom jakiegoś łaskawszego między nimi. Na przejeżdżających przez Pleśną, gdzie ks. Cieczkiewicz był plebanem, koło folwarku Bukowskiego wypadła zgraja zbrojnego chłopstwa, i zatrzymała wozy z wyjątkiem pierwszego, na którym Chrząstowski jechał i Szybalski. Dostali i oni ponownie cepami od tych co ich wóz dopędzili. Szybalski wtulił się na dno wozu i mniej też ucierpiał, za to reszta wozów musiała się zatrzymać, i wtedy pastwić się dobili Górskiego i jego gorzelnika. Pierwszy wóz wpadł za to w ręce bandy wracającej z folwarku Woźniczna, gdzie Białobrzęski mieszkał, i tam skończył Chrząstowski, któremu rozcięli głowę pod nowymi razami cepów, Szybalski którego podejrzewano że żyje, uszedł śmierci, wyborem udawaniem zabitego. Gdy nadciągnęła reszta wozów, by wygodniej jechać mogli, porzucali zabitych jak się im zdawało na jeden wóz, przyczem Szybalski na spodzie złożony wozu, leżał przywalony trupami towarzyszyń niedoli. Podczas kiedy chłopstwo uspokojone, że legli już wszyscy snem sprawiedliwych, sprawę w karczmie zapijało, zeskoczył ks. Cieczkiewicz z wozu, i począł uciekać. Zdradzony przez swego furmana, który chłopów z karczmy wywołał, rzucił się biedak do Białej rzeki, lecz dopędzony przez ścigającego go konno chłopca, przywiązany do wozu, cepami na śmierć został zabity.

Raz jeszcze Szybalski śmierci zajrzał w oczy, ostrożniejsi od nieczki księdza zaczęli przeglądać zabitych na wozach, i już nań ręce kładli by zobaczyć czy serce bije, gdy wieść o nowych

nadciągających ofiarach odciągnęła ich w tamtą stronę, a wozy ku Tarnowu podążyły.

Kiedy chłopci w Tarnowie na wóz na którym leżał wsiedli, omal Szybalskiego nie udusili, doczekał się przecież chwili, kiedy chłopci oddawali ofiary w ręce władzy. Że chłopci zgłosili, iż samych nieboszczyków przywieźli, obawiając się by go do grobu wraz z innymi nie rzucono, począł Szybalski wołać o pomoc, czem oburzenie wywołał niemałe między oprawcami, którzy darować mu nie mogli, że ich tak oszukał. W tejże chwili zatrzeszczało coś na wozie, Szybalskiemu gorąco się zrobiło, z rany na głowie krew go oblała, nie dowiedział się wszakże kto i czem go ranił. Obronił go od śmierci kapelan wojskowy, który go z pomiędzy trupów wydobył, i do szpitala nieść kazał. Nazajutrz obdartego nawet z bielizny a zatem nagiego przewieziono do domu Kamienobrodzkiego, gdzie od 21 lutego do 5 września przeleżał, zabrany potem do więzienia.

Lim a n o w a

(na drodze kolei transwersalnej, na zachód od Nowego Sącza, a na gościńcu rządowym na południe od Bochni i Wiśnicza, należała do rzędu tych miasteczek, na które bandy chłopskie napadały, a ocalała dzięki należycie zorganizowanej obronie).

Na wieść o tem, że chłopci napadają, uzbroili miasteczko właściciel Limanowy Feliks Stobnicki, przebywający w mieście okoliczni obywatele, Henryk Stobnicki z Tymowy, Ludwik Biłński, Soter Wielogłowski, Hipolit Dzieciotowski, emigrant Szeliski i emerytowany kapitan Ressel, który w Limanowy zatrzymał sześciu żołnierzy wracających z kapralem Szczyptą z Wadowic do Nowego Sącza i do nich przyłączył oddział mieszczan uzbrojonych w broń palną. W dziele tym obrony brali udział odbici chłopom Józef Żubrzycki, właściciel Kasiny i Franciszek Brześciański z Woynarowy.

Na wiadomość, że chłopci od Bochni nadciągają, wyruszyli mieszczenie, między nimi Wojciech Piątkowski, Walenty Chyliński, Jakób Weyman i Jakób Bulik, wraz z zatrzymanymi przez Resslera żołnierzami, naprzeciw rabusiom, i spotkali się z nimi w Sowlinach koło folwarku. Chłopstwo głośno krzycząc i odgrażając się, rzuciło się na mieszczań, lecz przyjęte celami strzałami cofnęło się, zostawiwszy dziesięciu zabitych i około dwudziestu rannych.

Odgrażając się, że się zemszczą i że z większą siłą powrócą, udali się na skargę do cyrkułu w Bochni, gdzie chłopci Józef Czachura i Józef Załupski opowiadali, że w Limanowy powstanie zorganizowano, że orły rządowe pozrzucono i że zabijają ludzi, żądając wojska by Limanowę opanować.

Przerażeni groźbami chłopów, zaprowadzili mieszczenie silną straż z kilkudziesięciu ludzi, i czuwali dzień i noc nad bezpieczeństwem miasta. Komisarz skarbowy Eminowicz, posłaniał do Limanowy straż skarbową z posterunków po za miastem, i tak oczekiwano zapowiedzianego napadu, w którym dowodzący bandą owczarz z Laskowy, w chwili kiedy krzycząc hurra usta otworzył, kulę połknął z karabina kaprała Szczypty.

Trzeci napad więcej jeszcze przeraził mieszczań, nie tylko bowiem zaczęło się ściągać chłopstwo z całej okolicy, ale i od Bochni ciągnęła kilkotysięczna banda, w pośrodku której połyskiwały bagnety piechoty, i widniały białe płaszcze szwoleżerów. Przy moście pod miastem zatrzymała się czerniawa, wojsko wysunęło się naprzód, i długą rozciągnęło się linią. Wojska było pół kompanii piechoty z kapitanem, i pół szwadronu jazdy z nadporucznikiem.

Po drugiej stronie mostu stała straż skarbową i 6 żołnierzy pod Resslerem i Eminowiczem, mieszczaństwo i szlachta. Niedowierzanie wzajemne ustąpiło dopiero wówczas, kiedy jeden z oddziału bocheńskiego, poznał pomiędzy strażą skarbową limanowską brata i Limanowianów, upewnił, że im od wojska nie grozi, a bocheńskiemu oddziałowi wytłumaczył, że limanowskie mieszczenie dla obrony przed chłopstwem są uzbrojeni

a. o żadnem powstaniu nie myślą. Nięporozumienie zakończyło się całkowicie, kiedy kapitan Ressel spotkawszy się na moście z oficerem od szwoleżerów, uchyliwszy płaszcza temu krzyż zastługi pokazał. Dla przekonania się objechał oficer ten całe miasto, dwór, plebanią, szkołę, browar i ulice, poczem powróciwszy, chłopom rozejść się kazał. Obawa przed okrucieństwami tak u niektórych była wielka, że Soter Wielogłowski obłądu dostał, z którego się nie wyleczył, a Fr. Brześciański, życie sobie wystrzałem z pistoletu odebrał.

Że chłopstwo szemrając i zwolna tylko do domów się rozchodziło, zostało wojsko w mieście do dnia drugiego.

W okolicy Limanowy nie chcieli obywatele wierzyć szerzącym się wieściom, kobiety tylko nie dowierzające chowały kosztowniejsze rzeczy, zresztą uciekać trudno było, bo gromady pozaprowadzały warty, które pilnując by nikt z dworu się nie wydalil, szlachtę zmusili, by się katastrofy w domu doczekała. Nie brakło przykładów, że przychylni dworom, panów ostrzegali i rzeczy droższe celem przechowania do siebie zabierali.

Lisia Góra

(wieś na północ od Tarnowa położona przy gościńcu wiodącym z Tarnowa na Dąbrową do Szczucina, stała się widownią pierwszych wypadków mordów i zęcania się chłopstwa).

Na Lisia Góre szła droga tym co w Dąbrowskiem mieszkając lub od Wisły pod Tarnów w dniu 18 lutego podążyć mieli. Do Lisiej Góry puściła się też gromadka powstańców z Pilzna, w której byli Jozef Kapuściński, Szymon Gorecki, Metody Janikowski, Eustachy Szumański, Gabryel Danielewicz, Michał Michalski, Leon Szumański. Tędy puścili się byli Stojowski z Dąbrowy i bracia Wiesiołowscy wraz z Kłobukowskim z Mieleckiego. Spieszący traktem tym spotykali po drodze uzbrojonych w cepy, widły i draży chłopów, lecz byli przekonani,

że ludzie ci spieszą by łącznie z nimi uderzyć na Tarnów. W samej Lisiej Górze, do której z północy wjechali, spostrzegli pomimo świateł w oknach ruch dopiero przy karczynie, gdzie ich też zgromadzone chłopstwo napadło, i wyróciwszy wozy wiązać poczęło. W pierwszej chwili nie robiąc nikomu krzywdy, poprzestawali chłopci na obelżywych słowach, wyrzucając powstańcom, że chcąc wyrzucić chłopów powodem się stali niepokoju i rozruchów. Starali się pojmani wywieść chłopów z błędu, nie przeczuwając z kąd się wzięły między ludem podobne baśnie, i że nie tak łatwo było przekonać tych, których w starostwie pouczono. Chłopi nie mający w pierwszej chwili odwagi rzucić się na bezbronnych, wysyłali z zapytaniem do Tarnowa, z kąd po zabranie pojmanych szwależery przybyć mieli. Zanim nadciągnęła konna, wprowadzili doszynkowni chłopci Franciszka i Michała Wiesiołowskich, Jana Gumińskiego, i znośząc także Kłobukowskiego umierającego, który ściągnięty z kozła, przebił się na własnym sztylcie, który mu był z kieszeni na ziemię wypadł. Na darmo Wiesiołowscy wymownemi słowy chłopów rozbroić usiłowali, chłopstwo nie dowierzając słuchało, a Michała Wies. mającego wygląd ponury i surowy, lżyli nawet okropnie. Zmiana w położeniu pojmanych nastąpiła dopiero, kiedy chłopstwo nowy znaczniejszy oddział złożony z czterdziestu kilku ludzi, prowadzony przez Romera i Gromczewskiego, do karczmy powiązawszy, wprowadziło. Zapędzono wówczas do lochu piwnicznego pojmanych, gdzie cisnąć się dla braku miejsca, narażeni byli na przykrość nie jedną, chłopci bowiem rzucali na nich przez okienko kamieniami, błotem, plwali na biedaków, lub szturkali drągami. Kiedy powiązanych do lochu prowadzono, warto było widzieć scenę, kiedy baba jakaś podskakując jak kogutek do twarzy Fr. Wiesiołowskiego, uderzyła go po niej, wołając: „a ty wilku coś nas porzucić chciał, masz teraz”. Traktowano powiązanych jakoby dzikie zwierzęta. Dopiero koło 9-ej rano nadciągnęło zapowiedziane wojsko, którego przybycia uwięzieni wyglądali, spodziewając się większego bezpieczeństwa i poszanowania, w czem się pomylili. Wypro-

wadzonych z lochu ustawiono szeregiem przed frontem szwoleżerów, których szwadron przyprowadził podpułkownik Ludwig, i tu ponownie wobec podpułkownika lżyli ich chłopci, obrzucając kamieniami i poszturkując, a kiedy przy potrącaniu jeden z nich mając rozwiązane ręce, przypadkiem popchnięty zatoczył się ku frontowi wojska, cięty po głowie pałaszem i zalany krwią, po ponownem cięciu w głowę zwałił się na ziemię, i kiedy innych popędzono cwałem ku Tarnowu, jako nieżywy został na placu. Jako nieżywego ciągnęli chłopci pochwycawszy za nogi, po grudzie do wozu, aby odstawić go do Tarnowa, a gdy spostrzegli że żyje, zmłócili cepami tak, że w końcu przytomność stracił. Jako nieżywego w przekonaniu, że go dobili, wrzucili go chłopci do walizy w bryczce Wiesiołowskiego tak, że głowa na dole była a nogi z walizy wystawały. Nad umieszczonym w ten sposób usiadło dwu rabusiów i dowieźli pozbawionego przytomności do Tarnowa. Tam byliby chłopci dobili biedaka spostrzegłszy że żyje, gdyby go nie był wybawił pan kapral tłómaczący im, że wisieć będzie, zatem go dobijac nie należy. Pokaleczony boleśnie, jeszcze raz na nieludzkie obchodzenie bezsercej narażony był zgrai, kiedy mu na obolałą pokaleczoną głowę wciskał któryś z chłopów małą stosunkowo czapkę tak, że przysychające rany na nowo krwawić poczęły. Raz jeszcze poczęstował go oddział przechodzący kolbami, bohaterowie bowiem wracający z Lisiej Góry roztrąbili, jakoby padając przed frontem, miał zamiar zamordować podpułkownika.

Raz jeszcze doznał obejścia się nieludzkiego od żołnierza, prowadzony do sztokhauzu, uderzony w piersi grubem polanem tak silnie, iż krew go zalała. Ztąd dostał się do szpitala w Kamienobrodzkiego domu, gdzie w siedmiu salach po kilkudziesięciu rannych leżało. Widok tych ostatnich był okropny, z rozplatanemi głowami, z połamanemi żebrami, rękami lub nogami, z wylupionemi oczyma, bez szczęk, bez nosów, leżeli w maignie i bredzili ku wielkiej radości takich potworów jak Żmin-kowski i Trojanowski, którzy z ołówkiem w ręku czatowali, by pochwyścić jakie słowo i spisać, jako dowód obciążający.

Podobnie bolesnym i upokarzającym był wjazd pojmanyeh w Lisiej Górze, którym motłoch uliczny plwając na nich i rzucając błotem, urągał żyd Luksenberg spoglądający tryumfująco na nieszczęśliwych, przyczem nie obeszło się bez bicia, jak to Fr. Wiesiołowskiego spotkało, który w głowę uderzenie pałką otrzymał. Pomędzy oficerami ze szwoleżerów po ludzku z nieszczęśliwymi oprócz pułkownika Moltkego, obchodzili się oficerowie Berlichingen i Birkenfeld.

Łososina

(w powiecie limanowskim należała do Jana Pieniązka, ożenionego z Maryą z Dukowskich).

Oboje z rodziną byli w środę popielcową na nabożeństwie w kościele, i tam to wpadli za nimi rabusie. Nie zważając na miejsce święte, rzucił się tłum na p. Pieniązka, obdzierając go ze wszystkiego co jakakolwiek przedstawiało wartość. Bili nieszczęśliwego niemiłosiernie, dopóki od uderzeń w głowę obuchem nie powalił się na ziemię, co i powodem było, że ciężko pokaleczony do kilku tygodni umarł. Baby, które najwięcej dokazywały, rzuciły się na p. Pieniążkową, i obdzierały ją zarówno jak męża, przyczem by łatwiej pościagać pierścionki z palców, takowe do kości poobgryzały. Nie przepuścili też i dworowi, który jak wszędzie do szczętu został zrabowany i zniszczony.

Lusławiczki

(*Niemyscy Adamowie, Bzowscy.*)

(po prawym brzegu Dunajca pod Zakliczynem).

Po wyjeździe męża pani Erazmowa Bzowska zabierając troje ze sobą dzieci, udała się do Stróż po drugiej stronie Zakliczyna położonych, będących własnością Adama Niemyskiego.

Na wieść o nadejściu chłopstwa, porwała pani Bzowska dzieci swe z pościeli, i ukryła w kącie za biurkiem. Przestrach jak na razie był zbyt słabym, byli to bowiem właściciele ze Stróż, którzy przybyli by zabrać ze sobą państwa Niemyskich, u których była wnuczka ich Justyna Borowska, późniejsza p. Atanazowa Benoe. Odszukawszy państwo N., odstawili ich do Tarnowa, broniąc po drodze od napaści innych chłopów. Po wywiezieniu p. Niemyskich przez życzliwych im poddanych, wtargnęła banda obcego chłopstwa i rozpoczął się w okamgnieniu rabunek. Wśród wrzawy i hałasu piekielnego, rozbijanych szaf, niszczonych mebli, tłuczonego szkła, unosi matka Bzow. ze służącymi uproszonymi dziećmi, zawiąawszy w kołdry. Jedna ze służących puściwszy się w inną stronę jak sama pani Bz., porzuca w śniegu Bolesława B. unosząc kołdrę, tak że chłopak w koszulce pozostał na śniegu. Przestraszony dzieciak począł uciekać i dostał się do chałupy, gdzie niebawem zapominając o tem co go spotkało, począł się bawić z dzieciakami kulami bilardowymi, któremi się one bawiły. Jak później B. się dowiedział, dostał się do tej chałupy z panią Foksovą, która uchodząc z dworu w Stróżach, gdzie też była zabrała dzieciaka spotkawszy go na drodze. W chałupie tej zostawał B. B. trzy dni, nie wiedząc gdzie się matka znajduje. Trzeciego dnia po rabunku w Stróżach, przybyło dwóch żołnierzy z Tarnowa, by zabrać ze sobą panią B. Asystencyę tę wojskową wyrobiła ciotka Bolesława panna Helena Osiecka, dzisiejsza właścicielka Zborowie pod Cieżkowicami. Dał ją adjutant komenderującego

w Tarnowie generala pan Bochenek, pomimo że general pomocy tej udzielić nie chciał.

Żołnierze ci uproszeni przez p. B. odszukali małego Bolka, a nadto sprowadzili z Lusławic powóz i wóz zwyczajny. Pocziwie ludziska żołnierze ci, widząc w jakim stanie były dzieci p. B., owinęli je we własne płaszcze i sami znosili zimno, by tylko dzieciaki nie pomarły. Na wóz idący za nimi siadły jakieś panie, a Bz. zarówno jak tamtych napastowało bezustannie po drodze chłopstwo, tak że asystencya wojskowa bardzo się im przydała. Przybywszy do Dunajca za Wojniczem, zastali most rozebrany, by powstrzymać posuwanie się band chłopskich, a przeprawa na promie była pod dozorem kawaleryi. Dowiedziawszy się od żołnierzy, że na drugiej stronie jest znajomy oficer, posłała do niego pani B., by ją przewieźć rozkazał, co też bezzwłocznie zrobił, zabierając na prom oprócz ich powozu po wielkich prośbach także i panie, które na wozie jechały. W Tarnowie odesłał znajomy państwa B. tychże do domu pani Konopczyny. Powróciwszy do Lusławiczek, zastali p. B. wszystko zniszczone, ściany nawet wyburzono szukając za pieniędzmi. W samych Lusławiczkach nikogo nie zabito, zginął tylko służący, który miał jechać z panem B., a który udał się do Janowic, by się pożegnać z rodzicami, i wracając chłopom wpadł w ręce. Sam pan Erazm Bzowski nie był świadkiem tego, co się w domu i z rodziną jego działo, wyjechał bowiem do Rożnowa, i tam pochwycony przez chłopów, był odstawiony do Sącza, ztąd przewieziony do Bochni, następnie do Wiśnicza, później do Tarnowa, w końcu dostał się do Lwowa, zkąd dopiero w roku 1848 powrócił. Jak wspominał, najwięcej po ludzku obchodzono się z więźniami w Wiśniczu, najostrzej w Tarnowie.

Luszuwice

(*Ludwik Hubicki, Antoni Leśniowski, Ludwik Baranowski, Górski, Ramult.*)

(na wschód od Dąbrowy w kierunku Radomyśla położone, dzierżawił Ludwik Hubicki, ożeniony z p. Leśniowską, mając u siebie ojca żony, Antoniego Leśniowskiego).

Dwudziestego lutego bandy chłopskie, którym polecono wyłowienie szlachty od Wisły do Tarnowa ciągnącej, i które wiozły już sporą ilość pomordowanych, a między nimi Ludwika Baranowskiego, Górskiego i Ramulta, wpadły rankiem około dziewiątej do dworu w Luszuwicach. Ostrzeżony przez niejakiego Marcina Babiarza z Luszuwic, ukrył pan Hubicki ośmioletniego synka w ogrodzie, sam spieszył do kościoła z zamiarem ukrycia się w grobach rodziny Tarłów, niezawodnie fundatorów kościoła. Spieszącego przychwyciły z dzikim wrzaskiem i wyjąc z uciechy tłumy rabusiów. Stawiony przed hersztem bandy Kazimierzem Zuziakim, został okropnie cepami zmłócony, tak że futro które miał na sobie w kawałki podarto. Nie dającego znaków życia porzuciło chłopstwo przy drodze, samo pospieszyło do dworu, by zabrać będącego tam Antoniego Leśniowskiego. Pobitego tak, że przytomność stracił, zawlekli do miejsca na którym Hubicki leżał, i tam porzucili, a dopiero kiedy dwór, spichlerz i stajnie do szczytu złupili, rzuciwszy pobitych na sanie, ruszyli do Tarnowa. Po drodze złączyła się z nimi banda, która Lipiny należące do Luszuwic i dzierżawione przez Hubickiego zrabowała. Połączenie się to pamiętnem było dla Hubickiego i Leśniowskiego, z rozkazu bowiem herszta oddziału lipińskiego Pawła Żaby, rozpoczęto na nowo bić nieszczęśliwych, tak że straciwszy przytomność nie wiedzieli, kiedy ich przez Lisią Górę i Krzyż przewieziono. Niedaleko Tarnowa wyszło wojsko naprzeciw tryumfatorów chłopów, a nieszczęśliwi pobici bolesnego doznali zawodu, szukając opieki u dowodzącego oddziałem oficera. Nie godzien epoletów oficerskich, robił chłopstwu wyrzuty, że nie dobiło poj-

many, tłumacząc, że za zabitych więcej w cyrkule płacą. Cóż dziwnego, że po takiej zachęce na nowo posypały się na nie-szczęśliwych razy i że jako zabitych, przybywszy do Tarnowa, na stos trupów ich porzucono. Dających jakieś znaki życia, oddano o dziwo opiece lekarskiej, której p. Hubicki, a mianowicie doktorowi Chrynowiczowi zawdzięczał, że przy życiu pozostał, jakkolwiek kaleką na rękę został od tej chwili, i piętnastoma ranami na głowie przypominał sobie ojcowskiego rządu ze sobą obejście się. Sędziwy Leśniowski ocalony chwilowo, zmarł niebawem skutkiem ciężkiego pokaleczenia.

Zabiegi p. Hubickiego i podania, by mu szkoda zwróconą została, nie były uwzględnione jak tyle innych.

Ł u ż n a

(na drodze z Biecza do Ciężkowic w powiecie gorlickim, należała do majątku Tadeusza Skrzyńskiego, który prócz Łużny miał tu Moszczenicę, Szalową, Wolę Łużańską i Zagórzany. Ożeniony z Jazwińską miał syna Władysława, ożenionego później z Zuzanną Żebrowską z Żurawna, i dwie córki, Zosię i Helenę, która wyszła za Ostrowskiego).

Opowiadanie wypadków w Łużny podajemy z zapisków w księdze pamiątkowej w kościele w Łużny, zrobionych przez ówczesnego plebana ks. Antoniego Załuskiego, który sam myśląc szlachetnie, podał zapisując listy gromad i właścicieli Skrzyńskich dowody, że szlachta nasza nie ze wszystkim taka zła i przewrotna, jak ją dziś jeszcze pisarki demokratycznego i socjalistycznego obozu przedstawiać nawykli.

Rabunek nieszczęsny w roku 1846 dnia 22 lutego w samą niedzielę Pięćdziesiątnicę, o wpół do 10-ej rano, kiedy suma wychodzić miała.

Na kilka dni przed rabunkiem w Łużny lud bardzo był niespokojny, trwożony ciągle pogłoskami że rzna, lecz kto kogo zarzynał nie wiedział, domyślał się tylko, że szlachta i panowie chłopów, jak to w niego wmawiano.

Dnia 20 i 21 lutego, właśnie bawił tu w Łużny z czterema żołnierzami piechotnymi komisarz cyrkularny Baunhölzel, który gdy się w sobotę dowiedział, że w sąsiedniej wsi Siedliskach (mieszkał tam Leon Dzwonkowski) dwór chłopci burzą, udał się ku tej stronie z 4 żołnierzami, lecz gdy żołnierze ochotę pokazywali zgromić chłopów i zabronić im tego, tenże wstrzymał ich od tego uwagą, że przeciw tak wielkiej zgrai sami nie podołają, i tylko z daleka przypatrzawszy się rabunkowi chłopskiemu, nazad powrócili do Łużny.

Po drodze w Łużny ciekawi nasi chłopci pytali się c. k. komisarza, co by to znaczyć miało to burzenie dworów i jak się zachować mają, gdyby ci burzyciele do Łużny przybyli. Na te pytania z uśmiechem odpowiadał tenże komisarz, że to nie na was mówił, że gdy tu przyjdą, wy zostacie sobie każdy w domu, i swego pilnujcie gospodarstwa.

Nazajutrz rano koło czwartej godziny, gdy jeszcze ciemno było, przyszedł do mnie miejscowy sędzia p. Franciszek Biłak, obudził mnie, zatrwożył i prosił, abym mu jego srebra przechował, i przyjął ich na schronienie do siebie, gdyż co tylko chłopów rabusiów nie widać, bowiem w nocy burzyli sąsiednią Staszkówkę i Turzę. Mówił że komisarz, który u niego nocuje, chce go wiaść ze sobą do Jasła, i namawia go do tego, lecz coby dziedzic powiedział, gdybym dobra jego w takim stanie opuścił — trzeba na placu pozostać. C. k. komisarz z 4 żołnierzami odjeżdża po 8-ej godzinie do Jasła, a rabunek okropny wybucha o pół do 10-ej.

Od wsi Staszkówki z góry schodzi i zjeżdża straszna czereda chłopów, z flintami ci co na koniach, piesi z pałkami, cepami, kosami, dragami, ale oraz z workami na zboże zrabowane. Na wiadomość tę wszyscy co byli w kościele wychodzą z niego, kościół napełniony ludem zostaje pusty; nie nie pomagają moje prośby i błagania, nie nie pomaga uczyniona im uwaga, że to są źli ludzie ci, co się odważają gwałcić święty dzień niedzieli — owszem wielu z oburzeniem i marszem na mnie spoglądali — niektórzy rzekli: to się panowie brońcie (gdyż

wszyscy urzędnicy obok mnie stali, rozumie się dworscy), inny rzekł, a to wójt miejscowy zresztą poczciwy człowiek Jan Cwiklik: „Panowie wy wiecie swoje a my swoje”. Zaledwieśmy się obrócili od nich, aż tu tłum obcego ludu przechodzi około kościoła brudny, straszny, przysypany prochem, nie umyty, z dziwnym spojrzeniem a niemy do tego — z nim łączą się miejscowi pięknie i czysto do kościoła ubrani — wnet widać już kmieci czterema końmi z wozami po zboże zrabować się mające jadących, wnet hersztów przewodniczących krzyki słyhać, wybicia okien, łaskoty, wnet rzenie koni, ryk bydła i baranów bek, wnet widać noszących zboże, dźwigających barany, prowadzących bydło, konie, świnię, dzieci nawet dźwigały baranki młode, wełnę, lub jakie sprzęty domowe.

Idę do kościoła, aby z sumą wyjść, przystępują do mnie chłopcy z wiadomością, że się odgrażają zaszli, że na plebanią przyjdą dla tego, że przyjął wszystkie żony oficyalistów, dzieci i niektóre ich rzeczy, najbardziej, że one pieniądze z sobą zabrały i że te u mnie się znajdują.

Przygotowany na rabunek domu mego wychodzę z sumą, mam kazanie, chociaż mnie oficyaliści tylko, moi rodzice i dwie siostry słuchali, i nieco starych bab i chłopów. Podczas całego nabożeństwa słyhać ogromny krzyk od dworu, dziwnie przerażał i przeszkadzał bek baranów, rzenie koni, ryk bydła. Pewny że plebanią już zburzono, wychodzę z kościoła aby oglądać to zburzenie, aż tu dzięki Wszechmocnemu dom mój w całości i nikt go nie rabował. Upominam teraz oficyalistów, aby się nie narażali złości i zawiści chłopskiej, która rozjuszona może od jednego czynu przystąpić do drugiego. Wszysey pozostali u mnie, sędzia z żoną, trojgiem dzieci i sługą, ekonom p. Stanisław Dębowski z żoną trojgiem dzieci i sługą, nadleśniczy Ihnicki, leśniczy Franciszek Małdziński, jakaś pani przed dwoma tygodniami dopiero co do dworu na mieszkanie przybyła, nazwiskiem Wolańska z dwojgiem dzieci i panną do usługi. Ekonom z Szalowy Ossowski, który uciekł przed chłopami bez czapki w popłochu z dwoma synami swemi, pisarz ekonomiczny

Wielóchowski, dyrektor dzieci ekonoma Szulc, przybył też właśnie wówczas do mnie brat mój najmłodszy Piotr ze szkół na zapusty.

Ci wszyscy mężczyźni za radą moją na noc nie zostali u mnie na plebanii, lecz się udali do leśnego Wawrzyńca Salwy, mieszkającego w lesie na granicy Moszczenickiej, aby nie dać pozorów, że plebania mieści w sobie tyle szlachty, gdyż chłopci ciągle roznosili, że w nocy rznać będą, i że już w Siedliskach rznać panowie chłopów, i że na koniu przybył posłaniec wzywający Łuźnianów, aby ich przyszli bronić.

W obawie wielkiej zabierając się do spoczynku pogasiłszy światło, aby nadchodzącym rabusiom krwiożerczym nie wskazać światłem naszego mieszkania. Kiedy inni zasnąć nie mogli, ja zasnąłem, lecz ledwie pierwszy sen mnie ogarnął, grobowym głosem woła na mnie matka: księżu, księżu i puka do moich drzwi i mówi: już przyszli i otoczyli całą plebanią. Zrywam się czempredzej i patrzę w jedno i drugie okno, i widzę całą zgraję chłopów z cepami, kosami, ubieram się w rewerendę i obojczyk, aby jeśli ginąć, to w sukni kapłańskiej, wzywam pomocy nieba, i niebawem wychodzę na ganek od ogrodu, i pytam coby chcieli, oświadczam że tu ksiądz mieszka tylko — pytam z kądby byli. Po jakimś czasie dopiero odpowiedzieli mi niektórzy: my tutejsi i szukamy pisarza. W tem inni już go znaleźli (ten został we wsi i nie poszedł z innymi do lasu do leśnego) u organisty, niosą w powietrzu i tłuką, a ten jęczy. Posełam czem przedzej po organistę mego Jakóba Nawrockiego starca od trzydziestu lat w miejscu, aby nie dopuścił by go zabili — co też pomogło. Rozjątrzeni na jednym, idą tłumem szukać drugich ofycjalittów, i uzbrojeni w strzelby idą do leśnego, u którego że się znajdują dowiedzieli się, na czele ich Jan Jobek (Tarsa zagrodnik miejscowy na podlesiu). Przyszedszy tam przez gwałt dobijają się do drzwi, wnet wyważają je i wszedszy zaraz bić poczynają, osobliwie Jobek ten siekierą przecina rękę Janickiemu, kaleczy go w głowę też siekierą, rani mu rękę gdy się ten nią

zasłania, uderza też i Ossowskiego siwego w głowę i rani go, krew obydwu oblała, ci i inni wołają o zmiłowanie, ci się zaś odgrają i nie zdają się folgować — przecież niektórzy między nimi każą ich tylko związać i do karczmy odstawić i czekać dnia i sądu całej gromady.

Na tem stanęło, wiążą ich po węgiersku jak mówią, łopatka do łopatki i prowadzą do karczmy w środku wsi nazywanej Krzyżówka.

W nocy budzą mnie powtórnie moi własni parafianie i niepokoją, szukają u mnie broni nawet w sienniku moim i w piwnicy. Przychodzą i po raz trzeci szukając Dębowskiego miejscowego ekonomy, którego jeszcze nie znaleźli byli.

Równy z dniem przychodzi poczciwa kobieta Anna Kowowiczka, żona Józefa kołodzieja i oświadcza, że powiązani i krwią zboczeni oficyaliści proszą ks. proboszcza aby przyszedł, i opowiada gdzie w której karczmie się znajdują, i że między nimi jest i młody brat proboszcza.

Czem prędzej ubieram się w rewerendę, biorę starego mego organistę i udaję się aby lud ułagodzić, a stroskanych oficyalistów pocieszyć, i wydobyć jako z rąk oprawców. Wszedłszy do karczmy zdejmuję czapkę i pochwalam Boga, mało kto mnie wita, co mówię ani jeden czapki nie zdejmuje, co widząc organista wpada w gniew słuszny i uderza ręką po ich głowach, aby im tak czapki postrzącać, i wyrzuci im, że zapoznają swego proboszcza.

Pytam się, gdzie są oficyaliści? a na to odpowiadają mi, że w drugiej izbie, i że tam nikt wchodzić nie może — na moje przedstawienie i organisty, że ja muszę moje owieczki smutne odwiedzić, wpuszczają mnie. Tu znajduję niektórych płaczących, krwią zboczonych, na ziemi powalonych, i brata mego. Wszyscy we łzach proszą o ratunek, Ossowski upada mi do nóg, i prosi o spowiedź — brat pyta w mojej obecności chłopów, coby im był winien, i prosi o uwolnienie, i rozwiązanie w tył związanych rąk, blady jak ściana, lecz nie pomaga moja prośba i wstawienie; odszedłem bez skutku, tylko

Ossowskiego zbroczonego i związanego odstawili pod strażą czterech chłopów z pałkami do kościoła, aby się wyświadał. Czuły był widok, jak tenże upadłszy na kolana w środku kościoła, począł się na głos modlić i błagać miłosierdzia bożego, wyjawiać swą niewinność, a obok niego jego dwóch synów płaczących.

Umysłnie ściągałem nabożeństwo i spowiedź, i dopiero po wotywie komunikowałem go, aby umitygować umysły zaślepionych. Nie pozwolili aby się tenże potem ze mną śniadaniem posilił, tylko u organisty, i wnet go zaraz do karczmy odstawili, aby go razem z drugimi ustawicznie lżyć, siekierej do głowy mu przykładając, i odgrażać śmiercią i t. p.

Ponieważ mnie oficyaliści prosili usilnie, aby ich jak to chłopci projektują nie odstawiono do Tarnowa lub Sącza jeno do Jasła, staranie moje skutek odniosło, temczasem chłopci posłali jednego posła do Gorlic do komisarza akcyzowego, co z ofycyalistami robić, a drugiego posłali do herszta rabusia w tej okolicy Korygi, pochodzącego z Ciężkowic, kryminalisty, aby przybył i rozporządził co z panami zrobić. Nim poseł od Korygi powrócił mógł, rozkaz nadszedł z Gorlic przez posłańca, aby ich do Jasła odstawić, co też jeszcze tego samego dnia uczynili. Do Jasła zawiezieni oficyaliści do cyrkułu, w oczach chłopów zostali natychmiast uwięzieni.

Chłopci gdy powrócili opowiadali, że już koniec dla wszystkich panów, jak ucha swego niewidzisz, tak nie ujrzysz ani dziedzica więcej ani jego ofycyalistów i roznosili, że wszystkich w Jaśle tracą co chłopci nie pozabijali, to tam się im stanie. Wszystko wyszło z karbów porządku i posłuszeństwa — coraz więcej wzmagal się nieład, coraz więcej groźnie zachowywali się chłopci, już grunta pańskie dzielić sobie poczynali, już układali gdzie chałupy swoje stawiać, i jak się dzielić gruntami będą. Straszny huk po wsi dniem i nocą. Noc straszna, Łuźnianie napadać zaczęli na Mszankę, lecz tam ponieważ dwór mając kilku strażników akcyzowych uproszonych odstrzeliwał się, nie zdziałać nie mogli, i wielu z ranami popowracali.

Ja w dzień każdy cały pierwszy tydzień miałem sumę i kazanie, wiele też bab przelęknionych spowiadało się, osobliwie we wtorek wyszedłszy na ambonę, mówić od żalu nie mogłem, i oblawszy się łzami zeszedłem. Tem bardzo ich przeraziłem, deputacya chłopów do mnie przysła z oświadczeniem, że się chcą poprawić, że żałują swego czynu, że nie oni sami ale obcy temu winni, i prosili mnie abym się utulił w żalu, i że mnie chcą słuchać, szanować i w razie napadu nowego bronić, abym ich tylko nie opuszczał, gdyż im oświadczyłem był na ambonie, że mi nic teraz nie pozostaje, jak wziąć kij do ręki i opuścić ich na zawsze, i udać się do klasztoru na pokutę za ich tak okropne zbrodnie.

We czwartek po mojem kazaniu, na którym był też ów Jan Jobek pierwszy złoźnik w mojej parafii, odezwał się tenże do swojej żony powracając razem z nią do domu: wiesz co żono: jutro pójdę do spowiedzi i tak się będę spowiadał aż się ziemia podemną trząść będzie, lecz nie doczekał już jutra; w pół drogi do domu powracających na koniach od wsi Mszanki, spotykają Łuźnianie idący z kościoła Siedliszczanów, co już rabować chcieli chałupy Łużeńskie te, w których wiedzieli że się znajdują konie zrabowane i inne rzeczy. Na wiadomość tę Jobek udaje zucha i chce złapać herszta konnego Siedliskiego, zwanego Walenty Gryś, zaskakuje mu drogę, lecz tenże odwraca konia, a z strzelby przewieszanej na sobie nie mierząc bynajmniej w galopie strzela po za siebie, i zabija Jobka, trafiając go dwoma lotkami w sam brzuch zaraz pod piersiami. Nie jest że to cud i oczywista kara boska, że właśnie w tłumie ludu pada zabity Jobek, od uciekającego na koniu w największym biegu.

Nie zaniedbałem użyć tego wypadku do nowego mego kazania, i przerazić lud do żywego. Ten okropny a oraz cudowny wypadek stał się 26 lutego. Tego samego dnia piszę urzędownie do cyrkułu opisując okropne połączenie ludu i całej okolicy, i proszę choć o czterech żołnierzy i urzędnika dla uspokojenia ludu.

Czwartego dopiero marca zjeżdża komisarz cyrkularny Heyrowski z kompanią piechotnych żołnierzy i oficerem, aby lud poskromić, lecz niestety zamiast poskromienia, dał im pochwałę za ich wierność dla monarchy, nakazał im ostre piki sobie zrobić na wypadek, gdyby insurgenci polscy mieli tu przyjść, dla ich pokonania. Byłby im i pik nie kazał robić jak mi drugą razą mówił, gdyby właśnie urzędownie nie był się dowiedział, że insurgenci Wieliczkę odebrali. Po odjeździe komisarza jeszcze z temi ostremi pikami groźniej zachowywali się chłopci, dniem i nocą jakies hurmem na różnych punktach wsi warty robili, i straszne niby to hasła sobie krzykiem i hukiem dawali. Dla tego powtórnie zjeżdża tenże sam komisarz z huzarami i oficerem dnia 20 marca, bawi dni trzy, każe ośmiu chłopów ostro karać, rzuca przestrasz na całą gromadę, tak że jedna kobieta 20 letnia Tekla Klimkowa z przestachu patrząc na te kary, i słysząc jęk chłopów, dostaje apopleksyi i nagle umiera, oficer wielce godny Węgier hr. Wej, sam z huzarami chodzi po chałupach i odbiera zrabowane dziedzica rzeczy, poczem chłopci powrócili powoli do porządku i posłuszeństwa, poznali swój błąd, poznali jak się mocno i szkaradnie w nadziejach swoich zawiedli, — wnet ujrzeni też i swoich dawnych urzędników, których się już widzieć nie spodziewali, nastąpiły gorzkie wyrzuty sumienia, wstyd hańba, osławienie; znoszą zrabowane rzeczy ze wstydem, a wielu wpada w różne choroby, w dowód oczywistej nieba kary, i gorsze ostateczne rzeczy niżli pierwsze. Boże zmiłuj się nad mojemi obłąkanemi, od wilków spłoszonymi owieczkami, zdziaczaleni już jakby w lesie na puszczy.

Kiedy lud formalnie oszalał, które to szaleństwo i na twarzach ich i wzroku obłąkanym pokazywało się, ozwał się wielu ze rozzuchwalonych, a choćbyśmy mieli w zgrzebnych koszulach chodzić, teraz sobie będziemy po kilka żon trzymać. Samopas puszczonego lud, raz wyszedłszy z korbów karności i porządku, jak daleko rzuciłby się w odnęt głupstw i bezprawia, widocznem było.

Jedna kobieta, kmiotka Ułankowa, przychodzi do mnie z zapytaniem, co ma robić, odyż w krzakach zwanych Lisiaki ukryty syn dziedzica Władysław daje znać do niej, aby jej córka przyszła i przyjęła go do siebie, i u siebie ukryła, błagając o litość, co bajką było oczywistą, gdyż syn dziedzica był w Jaśle pod ten czas.

Dnia 23 lutego co świt, wpadli miejscowi chłopci i przeszukali kościół po za ołtarze, zakrystyę i trumny żałobne, czegoś szukając z ubliżeniem miejscu św.

Trzymając pod strażą oficyalistów powiązanych w karczmie, różne im przykrości czynili, to za wasy ich ciągli, to szturali ich, pluli na nich i tysiączne im nazwiska nadawali.

Mego ojca nie dostali, ten był ukryty u poddanego plebańskiego Walentego Guzika, lecz tenże Guzik zaskarżył ojca mego chłopom, jakoby mu mówił, że wiele broni t. j. strzelb dla obrony przeciw napaści chłopskiej jest ukrytych gdzieś w bliskości kościoła, albo na plebanii. Ci nie mogąc znaleźć, uczynili zaskarżenie do cyrkułu, na co komisarz cyrkularny zjechał i mnie do przysięgi powołał do Zagórzeń, czyli jest jaka broń ukryta, na co ja zaprzeczając jak najsprawiedliwiej przysięgę złożyłem. Wskutek tej skargi zabrane zostały dwie armaty, które leżały przed dzwonnicy, z których dawnemi czasami pan cześnik Szczepan Skrzyński i brat jego Maciej zawsze na resurekcyą i na Boże Ciało na chwałę bożą kazywali byli strzelać.

Dnia pierwszego rabunku, t. j. 22 lutego pomieszany i przełknięty sędzia miejscowy poszedł, kiedy lud rabował i roznosił dwór, na wzgórze gruntu plebańskiego, z kądem widok okropnego rabunku lepiej oczom jego przedstawiał i kiedy pewien chłopak, syn Hibika poddanego plebańskiego popychał przed siebie barana, strzelił do niego brat mój będący przy sędzi, co bardzo głupio uczynił i szczęście, że go nie trafił ani nie pokaleczył. Na odgłos strzału tego, a było właśnie co po sumie, poleciałem do nich i na Boga ich zakląłem, aby poukrywali strzelby, i od wszystkich remonstracyi wstrzymali się, co też uczynili usłuchawszy mnie.

W poniedziałek d. 23 lutego ogień podłożono we dworze, szczęściem, że zarzewie zaraz przygaszone przez sługi dworskie (słudzy zostając przy dworach, zatem nie tak pałali niechęcią do panów). Jeden rabuś zaszył myśląc że pije z flaszki wino zrabowane, napił się witryoleju i cały pysk i język sobie oparzył i opiekł, i potem jęcząc leżał przy karczmie.

Na czele konnych rabusiów był jeden żyd ze Zborowic, który sobie brodę chustką podwiązał, aby go nie poznano, ten lotr bardzo dowodził przy burzeniu dworów.

Łuźniak nazwiskiem Pęczak, ten przebrał się w futro z Siedlisk zrabowane, palił na długim cybuchu fajkę, kiedy jeździł po wsi neityczanką i fornalką pańską z furmanem w liberyi, ale też za to ogromnie bolał, chorując przez długi czas, złożony ciężką chorobą, i zżółkł jak wosk, i po zebraniu chodzić musiał a tak się na twarzy odmienił, że się sobie stał niepodobnym. Który niegodziwszym się okazał w czasie rabunku, tem okropniejsza chłosta karzącej sprawiedliwości ręki boskiej spotkała go, i wiele ksiąg spisaćby trzeba było, chcący szczegóły tego wszystkie skreślić.

Nie mogę nie podać potomności pięknego czynu c. k. komisarza Pajęczkowskiego. Kiedy ten ze szwadronem huzarów węgierskich, na których czele był rotmistrz Suchodolski, z kompanią piechotników obozował w Łużny dla poskromienia chłopów, przywrócenia porządku i ukarania ich, i lud musząc dawać koniom wojskowym siano i obrok a żołnierzom wikt przez półtora tygodnia, uciśniętym się widział, udał się dlatego do mnie w deputacyi, bym się wstawił do komisarza, by wojsko odstąpiło i on był uwolniony od dostarczania żywności wojskowym i koniom. Nie zatkawszy uszu na ich prośbę, poszedłem do domu sędziostwa do komisarza, wstawiając się za moimi parafianami. Na moje wstawienie się wyszedł p. komisarz do ludu, i te rzekł słowa: „Jeszczebym was karał kilka tygodni, ale że wasz szanowny pleban, którego poważać macie, za wami się wstawia, uwalniam was i jutro ztąd odjedziemy.

Dzieci nawet nienawiść wzięły ku osobom wyższego stanu, które tylko tytułem „pan” nazywano, i tak nieraz po rabunku trafiło się, że przez wieś szedł ktoś z panów lub pań, to dzieci za nim wtenczas wołały: „łapaj pana, łapaj pana!” — lub panią.

Po pierwszym przybyciu c. k. komisarza do Łużny po rabunku dla poskromienia ludu, dostał wójt miejscowy od tegoż rozkaz uważania na wszelkie postęпки plebana, co mi też wójt przyszedłszy zaraz oznajmił i skłoniwszy się mi, pogroził mi ręką i rzekł: „Miej się proboszczu na baczności, bo i na pana proboszcza kazano mi uważać”.

Drugą razą, gdy był p. Heyrowski c. k. komisarz cyrk. (a zawsze u mnie nocował i jadał obiady, bo wszystkie mieszkania we dworze zrujnowane były), idąc spać wyjął dwa pistolety tak maleńkie, że je w kieszeni schować można było, i kładąc je na stół obok swego łóżka, rzekł do mnie: „Ich habe diese zwei Pistolen auch beim ersten Male als ich hier bei Ihnen war, gehabt, aber ich habe Ihnen sie nicht gezeigt, denn ich traute Ihnen nicht”, a więc sądził mnie być dla siebie tak bardzo niebezpiecznym, że go może byłbym chciał w nocy napaść, i życie mu odbierać.

Na prośbę moją do ekonomy p. Dębowskiego, tenże następujący spis zboża zrabowanego mi nadesłał: w Łużny folwarku: żyta celnego 62 kor., średniego 25, pszenicy 165, jarki 6, jęczmienia 95, średniego 41 kor., owsa 467 k., grochu 10, koniecu 10, lnu 5 k., konopi 3 k., rzepaku 10 k., szporku 2¹/₂ k., kartofli 200 kor., do tego koniecu paszy kilkaset centnarów, owiec przeszło 600 sztuk. Na Woli zrabowano żyta korecy 5, pszenicy 22, jęczmienia 23, owsa 127, lnu 4, kartofli 51 korecy, owiec przeszło 300 sztuk, okowity wylali przeszło 10.000 garncy, wełny 40 centn. wartości 4000 złr.

Przytaczam poniżej korespondencję pomiędzy gminami a właścicielami p. Skrzyńskimi, przechowaną przez proboszcza Załuskiego jako wielce charakterystyczną, świadczy bowiem o dobrym pomiędzy gminą a dworem stosunku, i że dwory

bynajmniej zachowaniem swem nie dały powodu do tak nieprzyjaznego postępowania ze sobą ludowi wiejskiemu.

Oto co pisze w księdze pamiątkowej ksiądz Załuski:

Po rabunku uczynionym, gdy ciągle upominani byli przenieźmie w kazaniach, aby się postarali dobrem zachowaniem zjednać sobie łaskę W. Dziedziców, i gdy przy nadeszłej wielkanocnej spowiedzi wielką pojednania uznali potrzebę, i dla wziętych gwałtownie rzeczy a nie oddanych dla dania wielkiego zgorzenia, nie czuli się być godnymi przystąpić do spowiedzi św., uczynili w ten sposób prośbę do W. Dziedziców:

Cała gromada łużańska udaje się w największej pokorze do swoich państwa Dziedziców z prośbą, o darowanie im najpierw wszelkiej urazy, a potem krzywdy, jakich się dopuściła w dniach rozruchów i niepokoju. Zupełnie niechcący, bowiem tego co zaszło w naszej gromadzie nigdyśmy sobie nie życzyli popełnić, i znieść majętność naszego Dziedzica i Pana, który był naszym dobrodziejem, wciągnięni zostaliśmy przez zaszyłych zwodzicieli w nieszczęście; spodziewamy się, że przebaczenia i darowania krzywd i urazy od Wielmożnych naszych Państwa tem łatwiej dostąpimy. Nie uniewinniamy się zupełnie, i dlatego że po wielkiej części i na siebie winę bierzemy, udajemy się w pokorę i w żalu, wstydzie i ubolewaniu przepraszamy naszych Państwa.

Przytem także błagamy o darowanie tego cośmy popsuli i tego czego nie mamy już ze zboża, paszy, zabitych baranów i drobiu, i prosimy o najłaskawsze oświadczenie Wielmożnych Państwa, co nam z tych rzeczy i o ile będzie darowaniem, a co na później oddać mamy, gdyż chcemy godnie przystąpić do wielkanocnej spowiedzi św., radzibyśmy wiedzieć co nam darowaniem, a co na późniejsze oddanie jest zostawionem. Wiele jest biednych, którzy nim rozkaz nadszedł oddania, już wiele z działwą i sługami zużyli, wiele jest wdów i sierot, zarobników i kormorników, którzy zgoła nic nie mają, a i z gospodarzy wielu podupadłych w tym czasie drogim w bardzo biednem są położeniu.

Wielu, bardzo wielu ubolewa mocno nad tem co się stało, wielu opłakuje terażniejsze położenie. Cała gromada widzi się być shańbioną i poniżoną, i wielu pierwiej się śmierci spodziewało niż takiej sromoty i takiego nieszczęścia. Wielu bardzo podziela ją smutek i boleść w jakiej Wielmożni Państwo z drogą swoją familią z przyczyny zaszyłych rozruchów pozostają, dla tego tem chętniej udajemy się do stóp Wielmożnych Państwa z prośbą pokorną o przebaczenie, i radzibyśmy się znowu ujrzeć w łasce i miłości naszych Państwa.

Łużna 6 kwietnia 1846.

(25 podpisów).

Odpowiedź W. Skrzyńskich:

Gromado Łużny i Zaborówki.

Bóg widzi jak serca nasze boleją na to coście uczynili, bośmy was bardzo kochali i nigdy się tego nie spodziewali, boleją tembardziej, żeście się w całej okolicy osławili, a i my i ksiądz Nowakowski zrobiliśmy wam między ludźmi takie dobre imię. Co się tyczy straty naszej, jakkolwiek bądź ona jest wielką, mniejbyśmy ją czuli, gdybyśmy w niej widzieli samą tylko cheiwość, pochodzącą z ubóstwa, ale było także wiele przytem złości nie katolickiej. Potłuczenie wszystkich szyb, popusucie drzwi, ram, sprzętów nikogo z was nie zubożyło, a nas zubożyło, drogie barany, owce, wypicie i wytłuczenie wina kosztownego, które na lekarstwo chowałem, wytłuczenie drobiu, łabędzi, rozlanie okowity, roszypanie zboża, strwonienie wełny, wszystko to było ze swawoli, ze złości, a przeciw komuż obróciliście te złości? przeciwko nam, których dziad po wszystkie czasy corocznie po pięć z waszych córek wyposażyć kazał, a ojciec nasz i my jak dzieci własne was kochaliśmy, żałując kiedyśmy musieli was odjechać, że nie będzie miał kto opiekować się wami.

Tak jest bracia! straciliśmy dużo i majątku i zdrowia z waszej przyczyny, ale to Bóg wszechmocny powrócić może, tembardziej, że w modlitwie Pańskiej czyli pacierzu rano i wieczór powtarzając: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy

naszym winowajcom”, stosujemy się do nauki Chrystusa i odpuszczamy wam z duszy, jednak odpuszczamy tylko tym, co tego szczerze żałują. Mścić się na was nie będziemy, bo zemsta zabroniona nauką naszego Zbawiciela. Usprawiedliwianie się przed Bogiem w czasie wielkanocnej spowiedzi, proście żeby wam tak odpuścił, jak my wam odpuszczamy. Wiem, że niepodobną jest rzeczą, żebyście wszyscy mieli mi powrócić szkodę którąście uczynili, albowiem były barany com po 200 złr. jednego płacił, jedna butelka wina 40 reńskich kosztowała, łabędzie po 50 reńskich srebrem sprzedawałem, dla tego od niemogącego nagrodzić szkody, wynagrodzenia nie żądam, i dla miłości Boga i bliźniego mu daruję, jednak tym co rzeczy moje mają a nie oddają przez chciwość, choćbym ja im darował, Bóg im nie daruje. Dzięki Bogu najwyższemu, dotąd na naszych sumieniach nie ciąży nieczyja krzywda, jakże bracia możecie sądzić, że żądalibyśmy od was pańskiego, gdyby się nam nie należało, biega między wami fałszywa wieść, że od trzech lat pańskie skasowane, a dwory wszelako robić każą, któżby miał tę śmiałość wobec woli Najjaśniejszego Cesarza żądać to coby zabronione było, wszakże pańszczyznę nie ja postanowiłem, ani mój ojciec, ani mój dziad, z pańszczyzną te wsie pokupiliśmy i dlatego używamy jej dopóty, dopóki Najjaśniejszy Monarcha względem tego inaczej nie rozporządzi, jak tam jego mądrość rozsądzi. Nie bałamućciez się więc. Kiedy chcecie żebyśmy powrócili wam nasze serca i życzliwość, powróćcie do Boga, do waszych obowiązków, a kiedym tyle straty z waszej strony poniósł, nie opóźniajciez siewu, żebym na przyszłość nie cierpiał niedostatku, i dla was miał ratunek. Bogu was oddaję, prosząc aby was na drogę cnoty i pokoju powrócił.

Jasło dnia 7 kwietnia 1846 r.

Tadeusz i Julia Skrzyńscy.

Do naszych JWielmożnych Państwa oraz i do Wielmożnego Pana młodego naszego dziedzica, całej gromady Wolskiej (wola Łużańska) najpokorniejsza prośba.

Na dniu dzisiejszym my Wolanie zeszlśmy się do naszego pasterza, z prośbą, ażebyśmy również jak to już uczynili Łuźnianie, w pokorze największej i we łzach szczerego żalu, Wielmożnych naszych Państwa obojga, oraz i młodego pana naszego, za te wszystkie krzywdy i urazy wielkie, któreśmy niewdzięczni w zabraniu majątności, i popsuciu budynków na Woli uczynili, przeprosić i przebłagać.

Myśmy się tego nigdy po sobie nie spodziewali, aniśmy tego pragnęli, lecz teraz, wprawdzie za późno poznaliśmy, jak dalece człowiek błąkać się może; mowy straszące nas i groźby obcych, zaszyłych niegodziwych zwodzicieli naszego upadku i naszej hańby przyczyną się stały, myśmy w grzechy ciężkie i obrazę wielką Boga wpadli, bo i nasze serce było złe i do grzechu skłonne, za co wszystko teraz żalujemy, i radzi jesteśmy jakkolwiek niegodni przebaczenia sobie uzyskać, i być napowrót do łaski i względów naszych JW. Państwa przyjętymi.

W największej pokorze i szczerym żalu, przedkładając tę naszą prośbę, ze wstydem oraz wielkim błagamy o darowanie owych wszystkich krzywd, którycheśmy się dopuścili w zepsuciu budynków, i które najwięcej nasza wyuzdana młodzię, którą nam poskromić z trudnością przychodziło, popełniła. Błagamy o darowanie tego wszystkiego, czego wynagrodzić nie jesteśmy w stanie, bo są biedni, którzy nie mając żadnej żywności, nim rozkaz nadszedł oddania, temczasem zużyli, a tego teraz oddać nie są w stanie. Błagamy wszyscy i my niżej podpisani w imieniu całej gromady, i imieniu naszym, o oświadczenie się JW. naszych Państwa, byśmy mogli przystąpić do spowiedzi wielkanocnej, do której dotąd nie wazyliśmy się przystąpić, a my błagać będziemy najwyższego Stwórcę za JW. Państwa, których tak ciężko zasmuciliśmy, i nigdy dość przebłagać nie jesteśmy w stanie, błagać będzie-

my najmiłosierniejszego Boga, by nam raczył odpuścić złości nasze, i przez posłuszeństwo i przychyłność na nowe łaski i względy JW. Państwa naszych zasługiwać sobie, najusilniej starać się będziemy.

Łużna d. 20 kwietnia 1846.

(13. podpisów).

Odpowiedź P. Skrzyńskich.

Gromado Woli.

Chcąc iść za przykładem Chrystusa, który mordercom swoim przebaczył, i modlił się za nimi „Boże odpuść im, bo nie wiedzą co czynią“, chcąc wypełnić naukę tegoż Chrystusa Pana którą nam daje w pacierzu, abyśmy tak darowali winę naszym winowajcom, jak chcemy aby nam Bóg najwyższy darował, odpuszczam wam obrazę dla miłości Boga i bliźniego, jednak odpuszczam tym tylko, co szczerze żałują tego. Nie żądam nawet powrócenia szkody mi uczynionej teraz od tych, co w zaślepieniu swoim krzywdę mi uczynili, i nie są w stanie takowej mi powrócić, tym zaś co są w stanie, co zrabowaną rzecz z chciwości dotąd mają i zwrócić nie chcą, tym nie daruję krzywdy, bo choćbym ja darował, Bóg by nie darował. To co gromada Wolska uczyniła, bardzo bolesno sercu mojemu było, gromada Wolska bowiem ani od dziada mojego, ani od ojca krzywdy żadnej nie miała, i najdłużej ze mną była, bo wieś Wolą najpierwej ojciec mój mi oddał, a spodziewam się, że kiedy sumienie moje nic mi nie wyrzuci, i gromada Wolska żalić się o nic na mnie nie może, i nie powinna. Żałujcie więc przed Bogiem za popełnioną nieprawość, a enotliwem na przyszłość zachowaniem się, poprawcie sobie sławę przed ludźmi.

Miłosierdziu boskiemu was oddaję i waszą poprawę.

Jasło 25 kwietnia 1846.

Tadeusz Skrzyński.

Młynne niżne, zwane Słomiana

(leży w powiecie limanowskim, i własnością była Teodora Łaskiewicza, ożenionego z Rozalią Dzieciotłowską).

Na dwór w Młynnem napadły bandy, które dniem przedtem rabowały w Laskowy, wzmocnione chłopstwem wsi okolicznych, we środę popielcową.

Panią Łaskiewiczową wraz z jej córkami, Salomeą Jurkiewiczową, przy której były dzieci jej Emilia i Ewelina, i z Maryą Żuławską uprowadził sąsiedni gospodarz Marcin Giza, gdzie znalazłszy bezpieczeństwo i opiekę, przysłuchiwały się opowiadaniom o strasznych w okolicy wypadkach. Zaczyn Giza nie chciał wydać pań tych, a kiedy mu grożono podpaleniem, rzekł do rabusiów, „wy co zabijacie, możecie i podpałić, ale pomimo to pań tych nie wydám“.

Gospodarz p. Łaskiewicz, mając w domu Seweryna Głębockiego pasierba, i Juljusza Żuławskiego zięcia, oraz podostatkiem broni, mógł był skutecznie się bronić. Nie chcieli strzelać do ludu, to też zostali pojmani, pobici, powiązani i do Bochni odstawieni. Przy Juljanie Żuławskim znaleźli chłopci 5000 złr. za cholewą, i zabrali takowe.

W Bochni pozwoliło starostwo mieszkać p. Łaskiewiczowi pod dozorem policyi, zaś Głębockiego i Żuławskiego odstawiono do Wiśnicza, a ztamtąd po dwu miesiącach do Nowego Sącza. Do Wiśnicza dostał się też wówczas Franciszek Faliszewski, dzierżawca folwarku Gołębówka. Rabusie unieśli co się dało, resztę i sam dwór zniszczyli, uprowadzając konie, bydło, obdzierając skóry i sukna z powozów. Wspomnieć należy, że rabujących powstrzymywał wójt z Laskowy Stanisławczyk zwany szlachcicem.

Obok Gیزی i Stanisławczyka, zasługują na wdzięczne wspomnienie jeszcze Jan Golanka, Jan, Józef i Mikołaj Guzik, którzy wiele rzeczy przechowali i potem dworowi oddali.

Młynne wyżne.

Właściciele p. Ludwik i Sabina z Pieniążków Bilińscy, wczesnie dość ostrzeżeni, zdołali na dzień przed napadem chłopów schronić się do Limanowy, zostawiając w domu synka, którego mamka jechać z niemi nie chciała. Niepoczeiwa kobieta odbiegła dziecka, kiedy chłopstwo dom napadło, a przechował je u siebie wójt Szymon Łacki, którego gdy się je wydać wzbraniał, tak chłopci zbili, iż mu ręce połamali. Pod nieobecność państwa zrabowano dwór, uprowadzając z inwentarza konie i źrebięta.

M s t ó w

w cyrkule bocheńskim należał do Leona Gąsiorowskiego ożenionego z Danecką, a jak inne dwory napadnięty i zrabowany został. P. Gąsiorowski zabrany przez chłopów by go do Wiśnicza odstawili, ocalał w ten sposób, że kiedy nań po drodze bandy napadały, rzucał pomiędzy chłopstwo pieniądze srebrne które miał przy sobie, i kiedy się chłopstwo biło ze sobą wydzierając je sobie, on w dalszą uchodził drogę.

Melsztyński klucz

Lusławice, Jurków, Domosławice

(nad Dunajcem własność hr. Lanckorońskich).

Teleczyński, Hubczyk, Galan, Pilecki Antoni.

Opowiadanie Wgo Józefa Żywickiego.

Zima w lutym r. 1846, w roku strasznych kataklizmów, które krwią i zniszczeniem okryły część Galicyi, była bardzo sroga. Wody pokryły się wszędzie grubym lodem, mrozy roz-

sadzały gonty na dachach, wichry zrywały strzechy, śniegi spadły na parę łokci jak gdyby zmarzłą ziemię ciepłą otulić chciały szatą. Zawieje śnieżne z niepamiętną szalały natarczywością, po nad dachami wiosek przelatywały wichry i tonęły w dali w lasach tajemniczych, jak tonie skarga w sercach nieczułych. Po niesłychanych zaspach śnieżnych, które miejscami równały się ze szczytami strzech wiejskich, trudno było dobić się w najbliższe sąsiedztwo lekkimi nawet sankami. To też dla braku komunikacyi nie wiedzieliśmy w kluczu Melztyńskim, po lewej stronie Dunajca o tem, co się działo równocześnie w drugiej połowie tego klucza, na prawym brzegu Dunajca, a tem mniej na razie mogliśmy wiedzieć, co się działo opodal od nas w obwodzie Tarnowskim.

Jakkolwiek już w dniach 18, 19 i 20 lutego rozszalała wódka i namiętnością chłopstwo, w cyrkułe Tarnowskim krwią i pożogą nieszczęsną zalewało ziemię, to u nas było jeszcze spokojnie i cicho, gospodarka na folwarkach dworskich zwykłym szła trybem, duża gorzelnia w Domosławicach w pełnym była ruchu, i nic nie wróżyło nieszczęsnego ruchu włościan. Aż nagle 21 lutego koło południa zwała się w dolinę naszą naddunajcową straszna dzicz rozzwierzonego ludu od strony północnej, t. j. od stoku wzgórz wsi Gwoźdzca, gdzie obito ciężko księdza plebana, a zrabowawszy całe jego mienie, z rykiem piekielnym rzucono się cwałem na folwark dworski w Charzewicach, szukając w nim rządcę kluczowego Jana Gałana. Nie znalazłszy go tam, czerń rosnąca ciągle jak lawina, wpadła do gorzelni w Domosławicach, rozbiła drzwi magazynu wódeczanego, odszpuntowała kufy z okowitą, rozlewała ją na wszystkie strony, czerpiąc i dla siebie w pozabierane konwie i różne naczynia. Z kadzi fermentacyjnych wypuszczała robotę, porąbała rury miedziane, wydarła kurki mosiężne z aparatu distilacyjnego. Od dnia tego gorzelnia ta przestała funkcyonować raz na zawsze.

Kierującego gorzelnią Jana Teleczyńskiego wywlekła tłuszcza przed gorzelnię, biła kijami, młóciła cepami jak zboże,

tak że pod razami zginął męczeńską śmiercią. Pisarz gorzelniany Hubezyk, pobity bardzo ciężko, umarł wkrótce wśród wielkich cierpień.

Czerń chłopska pijana, pijana wódką, pijana zemstą urojona, rzuciła się z Domosławic ku dworowi w Biskupicach na dalsze mordy, i tam to przed samym dworem zabiła rządcę Jana Gałana. Zginął z rąk chłopca Węgrzyna, poddanego ze wsi Gwoźdźca, który dopóty walił ofiarę w głowę lufą strzelby, dopóki jej nie roztrzaskał i mózg z niej nie wyskoczył, obryzgując chłopstwo i znacząc krwią miejsce morderstwa. Po dokonanej zbrodni, ruszyła czerń do pobliskiego Jurkowa. Tam nie zastawszy właściciela, gdyż tak hr. Marassé jako też Tytus Dobrzyński schronili się zawczasu do miasteczka Czchowa, zrabowała czerń oba dwory i rozbiegła się w różne strony.

Gdy w kluczu Melsztyńskim po lewym brzegu Dunajca grasowało rozzarte chłopstwo, w sposób gorszy od dzikich zwierząt, to również po stronie prawej Dunajca inna znów czerń chłopska zrabowawszy dniem poprzednim (20/2) dwór zacnego patrioty Tymoteusza Skrzyńskiego w Siemichowie, napadła 21 lutego z rana dwór w Lusławicach, gdzie mieszkał bratanek dziedzica klucza Melsztyńskiego, Stanisław hr. Lanckoroński. Ten ostrzeżony zawczasu o grożącym niebezpieczeństwie, schronił się cichaczem wraz z żoną do miejscowego poddanego Kwieka, gdzie w ukryciu przesiedział straszne dni zawieruchy chłopskiej. Czerń rozwścieklona, że nie znalazła pana, rzuciła się wściekła na dwór w Lusławicach. Pod pozorem szukania broni, wydierała posadzki, kopała pod nimi doły, obdzierała komnaty pańskie z makat, tłukła lustra weneckie i meble, rozbijała okna, wydierała zamki mosiężne. Dziką radość objawiały niewiasty, dorwawszy się sukien i innych ubiorów pańskich, zawdziewały je, chełpiąc się, że to wszystko ich teraz własnością. Chłopka Jaroszka z kluczowej wsi Faściszowy, zawdziawszy piękny płaszcz hrabiny, rozsiadła się w karle dysponując z pańska, i głosząc że teraz ona hrabiną, i że ją słu-

chać będą. Ostatecznie pozabierały wszystko co im w oczy i w ręce wpadło, by sprzedać to potem za bezcen żydostwu.

Czerń chłopska dysząc chciwością, a żądzą posiadania krwawych srebrników do szaleństwa przywiedziona, posłyszawszy, że kasyer skarbowy Biliński zabrał kasę, i ukrył ją w pobliskim klasztorze Reformatów w Zakliczynie, puściła się w pogoń za nim, a spotkawszy wracającego przed klasztorem przy figurze św. Jana, w okrutny sposób zamordowała. Następnie w korytarzu klasztornym przebiła widłami żelaznymi obraz olejny św. Franciszka, a wpadłszy do samej świątyni w czapkach, zesromociła posąg Zygmunta Aleksandra Tarły, kasztelana przemyskiego, fundatora klasztoru, zgruchotawszy mu nogi. Wdarła się potem do krypty, gdzie spoczywały zwłoki fundatora i jego małżonki, która po śmierci męża dalej prowadziła budowę kościoła Reformatów. W krypcie owej rozbiła trumny, i pomieszała kości wśród śmiechu i dowcipów błuznierczych.

Opowiadanie sługi skarbowego klucza Melsztyńskiego, posłużyło W. Żywickiemu do ułożenia powyższego obrazka.

Makowica

(w powiecie limanowskim).

Józefa i Wiktorę z Grotowskich Dzieciołowskich, którzy Makowice panu Kajetanowi Sucharkiewiczowi sprzedali, i chwilowo przy nim jeszcze mieszkali, obronili przed obcymi napastnikami dawni poddani Walenty Janiec i Józef Matras, tak że nie zostali pobici i poranieni, nie mogli wszakże przeszkodzić, że pani Dzieciołowskiej szukając za torebką z pieniędzmi, cały przód sukni oberżnęli. P. Sucharkiewicza pobili chłopci i do Wiśnicza odstawili.

Mordarka

(w powiecie limanowskim).

Dwór ten napadło chłopstwo odpędzone z pod Limanowy, i wywierając zemstę za zawód jaki je spotkał, zniszczyło takowy z właściwym sobie wandalizmem, podrażnione i tem, że właściciel Mordarki pan Soter Wielogłowski do Limanowy dość wczesnie schronić się zdołał.

Mrzygłód.

Pomiędzy temi obrazami smutnymi i bolesnymi tak dla krwi której tyle utoczono, dla łez które nieszczęśliwą ziemię obficie zalały, dla jęków boleści które nią od Bałtyku po Karpaty targały, jak i dla zdziwienia bezgranicznego ludu wiejskiego, dla podeptania na widok obiecaney misy soczewicy podstaw religii i społeczęńskich stosunków, jakoby na kirem żałoby pokrytem widnokręgu ówczesnych stosunków jasne świecące choć rzadko gwiazdy, wspomnieć się godzi obok pięknych czynów Baranowa, Jasła, Sanoka, Iskrzyni i Trześniowa, także zachowanie się i postawę mieszczan miasteczka Mrzygłoda.

Kiedy czerniawa chłopstwa z 14 jeńcami z Żochatyna, t. j. z Jakubowiczem, Rybickim, Dydyńskim i ich służbą posuwała się ku Sanokowi, i kiedy po ostatnim załomie Sanu widniał przed oczyma tryunfatorów roztoczony w dolinie Mrzygłód, okazała się od strony miasta ruszająca się na białym śniegu czarna masa. Za zbliżeniem się, można było poznać, że to tłum ludzi posuwał się wprost na kolumnę chłopstwa. Dolatujące głosy pozwalały domyślać się, że to nowa czerń chłopska spieszy na powitanie ciągnącego z łupami oddziału. Już więźniowie czuli nowe pałki i kije, któremi ucieszeni ich widokiem witać ich mieli, gdy naraz jakby krzyk bojowy idącej do szturm albo na bagnety kolumny, ozwała się nadciągająca

gromada, i jakby starcie dwu gradem brzemiennych chmur, nastąpiło zwanie się dwóch tych idących na przeciw siebie tłumów.

Wszakże nie krwi łaknące były to wilki, lecz zacni obywatela miasteczka Mrzygłoda, którzy jak jastrząb spada z góry lotem strzały na upatrzoną zdobycz, spadli na chłopską czeraniawę, a tłukąc po łbach, rozpedzili dziką tę horde, uwalniając z rąk jej zagrożonych utratą życia, i srodze sponiewieranych więźniów.

Uwolnwszy z postronków nieszczęśliwych jeńców, nakarmili ich zacni Mrzygłodzianie, przybrali we własne szaty, a okazawszy tyle serca i poczciwej troskliwości, ile przedtem złości i zwierzęcej mściwości doznali, konwojowali ich do Sanoka, gdzie więźniowie do tej chwili chłopscy, przynajmniej o życie swe truchleć nie potrzebowali.

N a r a j ó w.

Epizod z wyprawy na Narajów, z opowiadania p. Apolinarego Stokowskiego.

Będąc urzędnikiem przy fiskusie, a chwilowo pod dozorem policyi, nie przyjąłem wezwania do komitetu lwowskiego, organizowanego przez Ed. Dembowskię, co nie przeszkadzało, że miałem z nim stosunki po za komitetem. W chwili, kiedy się zaczęło aresztowanie młodzieży, opuściłem Lwów i wyjechałem ze Lwowa do Żurawnik, a ztamtąd do Kurowie i tam od mandataryusza tamtejszego niejakiego Romańskiego dowiedziałem się, że u rodziców jego na Przychodach ma być zabawa, na której będą Teofil Wiśniewski i Seweryn Wszelaczyński z Podehorzec, a to, by sprawę powstania omówić. Oprócz nich było wielu z okolicy, i tamto ułożono plan wyprawy na Brzeżany. Od strony Najarowa 250, i takąż sama liczba z przeciwnej strony Brzeżan, miała się zebrać powstańców. Punktem zbornym od strony Narajowa miała być karczma na Krągłej

i tam przybywszy z braćmi Ludwikiem i Marcelim, zastałem już dwudziestu kilku, a między nimi Romańskiego, Józefa Wysockiego i Teofila Wiśniewskiego. Kiedyśmy zgromadzeni byli w jednej z izb gospody, zjawił się nagle wysłany na patrol z Narajowa huzar we drzwiach naszej izby, i powitany został wystrzałem z pistoletu, który chybiając celu, ugodził w przeciwniejszej izbie włościanina. Huzar został pojmany, ale dwaj jego towarzysze uchodząc do Narajowa, mogli tamtejszą załogę zaalarmować. Opuściwszy karcznię, ruszyliśmy parami, bowiem kopno było na gościńcu, a ponieważ nikt nie chciał objąć dowództwa, objął je Antoni Kamiński, adjutantem zaś jego miał być Zygmunt Grochowalski. Był z nami później znany w kraju historyk Henryk Szmitt. Podsunąwszy się między 10-tą a 11-tą pod Narajów, posłyszeliśmy parskanie koni, szcęk szabli i komendę do postępowania naprzód. Wiśniewski doradził w tej chwili, by się rozstąpić, by nie strzelać zawczasie, i by w konie nie w ludzi mierzyć. Huzarzy przyjęci kilkoma strzałami, połączywszy się z tymi co stali w odwodzie, kłusem ruszyli ku Brzeżanom, by nam jak się spodziewali przygotować przyjęcie. Zająwszy Narajów i przekonawszy się, że huzarzy do Brzeżan się cofnęli i że nas za mało, byśmy na przygotowaną na to uderzać mogli załogę, postanowiliśmy wrócić do domów i zaniechać wyprawy na Brzeżany. Powróciwszy do karczmy na Krągłej, wsadziliśmy słabszych na dwoje sani, reszta ruszyła piechotą każdy w swoją stronę.

W kilka tygodni znaleźliśmy się wszyscy we Lwowie w więzieniu.

Niziny nad Wisłą.

(*Strecz, Bindychowski, Żabicki, Sztoga, Ostrowski*).

Majątność Niziny czyli Rozniaty nad Wisłą, w roku krwawym własność Franciszka hr. Potockiego, trzymał w dzierżawie Henryk Brodzki, właściciel Jaślan, ożeniony z Rydlówną. Lecz że w Jaślanach, w ziemi przypiaskowatej, dobrze mu rodziły kartofle, mimo ówczesnej zarazy na nie, robił gorzelnię i był nią bardzo zajęty, więc w Nizinach prowadził mu gospodarstwo Strecz Julian, szwagier jego, bo ożeniony z Brodzką.

Strecz oddany całkiem gospodarstwu, nie miał udziału w pracach narodowych, przygotowujących powstanie w ziemiach polskich. Gdy wszakże Niziny należały do cyrkułu Tarnowskiego, w którym absolutnie rządził satrapa austriacki Breindel, który całą inteligencję polską skazał na zagładę, a dwory i folwarki na łupież i ruinę, więc i mieszkańcy dworu w Nizinach nie uszli temu straszному przeznaczeniu.

Napadnięci przez zbuntowane chłopstwo z przyległych wsi Koletowa i Padwy, do którego przyłączyło się skwapliwie chełwiwe łupu chłopstwo miejscowe z Roźniat, zamordowani zostali: Strecz Julian rządcą, Bindychowski Tomasz ekonom, Żabicki Jan policyant dominikalny, Sztoga Błażej stróż dworski.

Dwóch ostatnich dlatego uśmiercono, że rządcę i ekonomę ukryć usiłowali, że więc byli przekupieni w ich mniemaniu.

Nad wszystkimi pastwiły się krwawe hordy z całym wyrafinowanym okrucieństwem tak, jak tygrys pastwi się nad swą ofiarą.

Poszukiwali zapamiętałe mandataryusza Ostrowskiego Wincentego, lecz tenże zbiegł w nadziei, że dotarwszy do miasteczka Baranowa, ujdzie rąk zbójów, zapadając atoli w ucieczce w przepadzistych już podówczas zaspach śnieżnych, dognany został przez rozjuszoną czerń na polach wsi Padwy, która tak okrutnie go mordowała, że przechodził straszliwe i nieskoń-

czone chwile konania, piąta więc ofiara rzezi jest mandatarz Nizin, Ostrowski Wincenty.

Dezolacya dworu i łupież tegoż, tudzież rabunek żywności, spiżarni, zboża z rozbitego spichlerza, uprowadzenie bydła i koni ze stajen a trzody z chlewów, było już niejako ostatnim aktem tego okropnego dramatu.

Gdy w pewnym czasie wskutek uporczywych Henryka Brodzkiego nalegań na satrapę Breindla o zwrot zrabowanego mu zboża, bydła i koni, tenże zniewolony był wysłać osławionego Chomińskiego na wrzekomą egzekucyę, to tenże zwoławszy gromady, przemówił do nich tymi słowy: „Panowie ugotowali sobie pierogów, a wyście im zabrali; jeżeli któren je jeszcze nie zjadł, to niech odda, bo i tobie nie miło by było, gdyby ci kto podobnie zrobił.”

Aliści cóż innego można było oczekiwać po człowieku, którego podczas krwawych wypadków widziano pomiędzy zbuntowanym chłopstwem, a którego później znówu słyszano, jak w imieniu cesarza tym gromadom, które najokropniej mordowały, dziękuje za przywiązanie do tronu.

Biedna ty ziemio nasza, że takie potwory wylegają się na łonie twoim!...

Niziny nad Wisłą.

(*Mikołaj, Feliks, Józef i Antoni Rydlowie, Kierwiński i trzech Gołuchowskich, Szczurowski, Zapłatałski i Wendorfowa*).

Kopia listu p. Bonawentury Rydla do pp. Stefanów Hubickich w Królestwie.

Bochnia d. 1 czerwca 1846.

Będąc proszonym o szczegółowe doniesienie nieszczęść jakie dotknęły biedną Galicyę, chcąc je w całym świetle wykazać, potrzebowalibyśmy mało 100 ryz papieru dla skreślenia

tych rabunków, tych mordów, tych srogości, tych nowych rodzajów śmierci na które złość ludzka silić się zdawała, które do prawdy nie są podobnemi, a temczasem wszystko prawda; te nieba, ten Bóg wielki i niepojęty są nie zaprzeczonymi świadkami tej strasznej katastrofy; żadne pióro nie jest zdolne dość opisać te okropności, gdyby gwiazdy, księżyc i samo słońce swoim ogromem przycisnęły tę krwią i łzami naszymi przesiąkłą krainę, nie zrównałyby jeszcze naszej katuszy; po kilkaset, ba i tysiące na raz jeden tych rysiów napadało uzbrojonych w pałki, cepy, widły i kosy, w skromnych zaciszach najspokojniejszych obywateli, nienależących do żadnych politycznych zamieszek, i w okrutny sposób bez wszelkiej przyczyny mordowało; nie szanowano kapłanów, świętyń, komunikanty deptano nogami, święte hostye przebijano, święte obrazy i krucyfiksy tłuczono pałkami, zgoła złość i zapamiętałość tych krwiożerców przechodziła wszelkie pojęcie, i gdybym wściekłe psy, rozjuszony tygrysy i hyeny rozpuścił, przedziej ubłagałbym ich zajadłość, jak tych nieludzkich potworów; słowem ani miłość bliźniego, żadne przykazanie boskie, żadna religia, żadne sumienie, a nawet sam sąd ostatekni Wszechmogącego nie miały miejsca w tych sercach.

Wierzajcie, wszystko to co powiedziałem, jest jeszcze słabem, nieudolnem piórem skreślone, nie masz może jednej familii w Galicyi, któraby nie była dotkniętą, czytaliście może podaną przez Henryka Bogusza do monarchy naszego prośbę, jest ona źródłem prawdy, bynajmniej nie przesadzona, ale nie on jeden poniósł tyle straty, w miłej sercu jego rodzinie, nasz ród równe a może większe poniósł; syn mój ukochany Mikołaj, serdeczni bracia Feliks, Józef, Antoni, szwagrowie Kierwiński i Gołuchowski, tegoż dwóch synów Walery i Ludwik, cioteczny brat mojej żony, Wojciech Sznurowski, cioteczna jej siostra Antonina Wendorfowa, stary 70-letni wuj Zapłatałski, wszystko to poległo okrutną śmiercią, zgoła jedenastcie członków naszego rodu skutkiem tych nieszczęść zaległo w ziemi, a pozostała wdowa po bracie moim Antonim dostała zupełnego pomieszanania

zmysłów, tak dalece, że po trzech miesiącach tej słabości, obok kuracyi, zostaje bez nadziei polepszenia: Teodor Broniewski, Karol Kotarski, Prosper Konopka, Dominik Rej, Marcin Żeleński, Dominik Dąbski i wielu innych, bo może przeszło 2000 osób, winnych, niewinnych padło ofiarą. Pan Ludwik Słubicki okropnie zbity ale żyje i po trzechmiesięcznem więzieniu za niewinnego uznany, na wolnej zostaje nodze. Ja z żoną i Teodorą (córką) ledwo na pięć minut — uciekwszy od obiadu — uszedłem tej rzezi, cały majątek, który my unieśli, to właśnie to w czem my byli. Leopold (syn) był w lesie (działo się w Strzelcach Wielkich) dla sprzedaży drzewa, a słysząc gwałty około dworu, gdy pospieszał ku domowi napadnięty na drodze od tej dzikiej hordy, dostał kilkadziesiąt pałek na plecy, i odebrał ranę w głowie na cztery cale wielką. Zygmunt Rydel bratanek i Erazm Gołuchowski siostrzeniec żony, dotąd w więzieniu, Leopold pod dozorem policyi. Pan Franciszek Woytowski szwagier, uciekł niетknięty pocztą do Lwowa, Józef Woytowski po okropnem zбициu i trzechmiesięcznem więzieniu, zostaje dziś na wolnej stopie... Pan Gabryel Siemoński otrzymał okrutne pałki, nie wielu takich szczęśliwych, którzyby uszli pałki, widel, cepów i kosa. Padło tu i wiele kobiet, były pożogi, domy i spichrze tak dalece zrabowane, żeśmy ani czwartej części tego, co się siać miało nie zasiali, stodoły były otworzone więcej dwóch tygodni, te krwiożercze bestye młóciły, ale dla siebie w dworskich stodołach, a nawet furami wywozili w snopie; pozostały resztki niewymłócone go zboża. Wszystkie fortepiany, lustra, bryczki, powozy, naczynia rolne i gospodarskie, wszystko w trzaski potłuczone, gwoździka w ścianach nie zostawiono; trudny jest do opisania obraz tego wszystkiego, i ktoby tej zgrozie wierzyć nie chciał, dziś jeszcze może być naocznym świadkiem, wpatrując się w ślady tych ruin.

Brata pana Bonawentury — Feliksa w Dąbrowicy, przywiązali chłopci do płotu, i w obecności siedmiorga dzieci błagających na klęczkach o życie, kilkoma strzałami zabili.

Drugiego brata Antoniego w Zielonem pod Szczucinem

zabili, rozbijając mu głowę siekierą, czemu nieszczęśliwa żona przypatrywać się musiała, skutkiem czego gdy ją krew i mózg męża obluzały, pomieszania zmysłów dostała. Banda chłopów pod Szczucinem dowodził chłop Twaróg z Zabrnia.

Kierwiński i Józef Rydel major wojsk polskich, zginęli w Glinkach, gdzie dowodził chłop z Ostrówka Strójwąg.

Nieznanowice.

(Henryk Kępiński, Mieczysław Dębicki).

W Nieznanowicach przy gościńcu z Bochni do Gdowa położonych, sąsiadujących z Niewiarowem, Niegowicią, Marszowicami, mieszkał Henryk Kępiński ożeniony z hrabianką Dębicką, której brat Mieczysław był u szwagra w strasznym dla nich dniu 24 lutego. W dniu tym widząc nadszły tłumy chłopów zbrojnych w kosy, cepy i drągi, chciał Kępiński ratować się ucieczką, lecz przychwycony przez chłopów, którymi urzędnicy z Bochni dowodzili, i straszliwie cepami wraz z żoną zbity, począł błagać miłosierdzia. W odpowiedzi na to ściągnięci z bryczki, okropnie zabici zostali. Kępińskiemu po śmierci, zęby jeszcze wybijali, po pani Kęp. nogami tratowano w zwierzęcej srogości. Przy rabunku dworu znaleźli chłopci i zabili brata Kępińskiej Mieczysława Dębickiego, toż samo wiernego ich lokaja. Za dokonane morderstwo wypłacono w Bochni w cyrkule po 3 ewancygiery uczestnikom mordu, a jak chłopci zeznawali, krew ofiar znaczyła pochód ich aż do Bochni.

Jak w Grodkowicach kancelista Hoszar, tak tu kierował rzezią aplikant sądowy Wizthum, który przybywszy do Książnic wzywał chłopów by się uzbroili, obiecując im, że to co szlachta posiada, na ich własność przejdzie. Chłopów będących w kościele kazał zwoływać, by co spieszniej się ratowali, gdyż Polacy rznęli już w okolicy włościan wedle jego zapewnienia.

Przebrawszy się po drodze w Pierzchowie w chłopską płótniankę, ruszył ze zebraną czerniawą na Nieznanowice. Czego właściwie chcieli panowie Berndt i Wizthum od Kępińskiego, wyrozumieć trudno, wysłana bowiem do Nieznanowic komissya z dwu urzędników i 60 żołnierzy złożona, nie znalazła pomimo doniesienia żadnej u p. Kępińskiego broni, choć w owych czasach tego rodzaju rewizye bardzo skrupulatnie się odbywały, a komisarze rzadki węgł mieli.

Nowe miasto i Huwinki.

Opowiadanie Kajetana Gużkowskiego właściciela Nowego miasta.

Okolice Birczy, Dobromila po Ustrzyki, do jednej należała organizacyi, a komendantem na te strony mianowany był Józef Kieszkowski, ożeniony później z Józefą Szydłowską, właściciel Hruszatyc i Szandrowca, zastępcą jego był Józef Nowosielecki z Woytkowy. Ruchem kierował w tych stronach emissaryusz Mazurkiewicz, który wzywając do pogotowia, bywał w Nowem mieście z Antonim Popielem właścicielem Wydrnego. Znosiliśmy się z Dobromilem, gdzie asessor magistratu Antoni Korczyński późniejszy radca apelacyjny w Krakowie, a ojciec profesora lekarza, był nam i sprawie życzliwym, i często nas ostrzegał, byśmy ostrożnie postępowali.

Byli właśnie w Nowem mieście Feliks i Edward Kopestyńscy, i Leonard Piniński właściciel Grzymałowa, kiedy od Korczyńskiego wiadomość nadeszła, że w majątku Tyszkowskiego Huwnikach chłopci rabują. Dojechawszy konno do Dobromila, by się dowiedzieć od Korczyńskiego co zrobić wypadła, udałem się za jego poradą do oficerów od huzarów, Schicka i drugiego będących z remontami w Dobromilu, by ich do wyprawy na Huwniki nakłonić, co mi z łatwością przyszło. Huzary w Huwnikach pojмали co główniejszych przywódców rabusiów, i przyprowadziwszy do Dobromila z porady komi-

sarza Dworzaka magistratowi oddali. Prosiłszy Korczyńskiego by rabusiów ukarał, co się też z pozwoleniem burmistrza Pinkasa, urzędnika wówczas cesarskiego stało. W piątek obito drabów tych na rynku w Dobromilu, a że to był dzień targowy, dobre to przykładowe skaranie wyrzucić mogło na widzach skutki — poczem odstawiono ukaranych do ich gmin.

Pod Dobromilem najczęściej niepokoili się wsie Bybło, Borszowice, Truszowice i Przedzielnica, i groziło niebezpieczeństwo, że na Nowe miasto uderzą, co nas skłoniło, żeśmy mieszczan w kosy uzbroili, odebrawszy takowe z polecenia mandataryusza Kozakiewicza chłopom. Całe to uzbrojenie wraz ze strzelbami któreśmy mieli, zabrał nam komisarz Dworzak, któremuśmy donieśli, żeśmy się przeciw chłopom uzbroili, niedowierzając nam, i podejrzewając o inne zamiary. Dworzak zabrał broń, a niebawem potem zabrał terlice komisarz ze Sannoka Schiffner, nie chcąc się dać przekonać słudze naszemu Franciszkowi Harasymowiczowi, że ich do ujeżdżania młodych koni używamy.

Nockowa, Pstrągowa, Wiśniowa.

(*Stadnicki, Łazowscy trzej*).

(Nockowa w cyrkule Tarnowskim, leży pod Sędziszowem, dwie mile od Rzeszowa, a należała w r. 1846 do Eustachego Wojnarowskiego, syna Wincentego i Heleny Wojnarowskich).

Opowiadanie E. W. Wojnarowskiego.

Ruch przygotowujący powstanie 1846 r. rozpoczął się w 1845, przesyłano liczne z Paryża broszury, za którymi rząd śledził, urządzając rewizye. Pomimo to ruch się rozpowszechniał, co raz więcej przybywało zwolenników, a na czele w Tarnowskim i Jasielskim stał hr. Dembowski królewski, człowiek żonaty, mający dwoje dzieci, egzaltowany, zasad komunistycznych, nad-

to dwaj bracia hr. Wiesiołowscy, Franciszek i Michał, Robespierem zwany. Ruch rozgałęział się szybko, tak dalece, że zjazdy odbywały się prawie otwarcie, że w Rzeszowie w czasie jarmarku na św. Wojciecha zgromadziła się szlachta w hotelu Luftmaszynie, biorąc za pretekst teatr czy przedstawienie, chodziło zaś o porozumienie się co do dalszego działania. Zebrani wówczas postanowili by mnie powierzyć Dembowskiego, a to dla tej przyczyny, że oddalenie Nockowy o jedenaście mil od cyrkułu, i położenie dworku mego pod lasem, dawały rękojmię większego dlań bezpieczeństwa, a że nie byłem na owem zebraniu, uchwalono głównie staraniem Wiesiołowskich by mnie zaweźwać, i by przemawiając do serca mego i patriotyizmu, zrobić mnie odpowiedzialnym za ważną misję, jaką mi powierzają. Młody bo lat dwudziestu pięciu dorozumiewałem się, że ruch się przygotowuje, choć nie właściwie do tej chwili nie wiedziałem, a że mnóstwo do nas broszur z Francji przychodziło, wnosiłem z uroczystej do mnie przemowy, że mi transport zakazanych pism powierzyć mają, nie domyślając się, że mi osobę naczelnika ruchu powierzyć mają. Polecono mi, udać się do księdza kanonika Boczkowskiego, mieszkającego w Rzeszowie, po odebranie mi powierzonego depozytu, i ten przedstawivszy mi Dembowskiego oświadczył, że mam go zabrać do siebie. Zdziwiony niemało tym obrotem sprawy, zaprosiłem Dembowskiego acz nie bardzo chętnie, przeczuałem bowiem w nim emissaryusza.

Dembowski złe na mnie zrobił wrażenie — wyglądał raczej na studenta, jak na człowieka, który ważną miał misję do spełnienia.

Zabrawszy ze sobą Dembowskiego przywiozłem go do domu w nocy i nie budząc nikogo, umieściłem w odosobnionym pokoju tak, że o pobycie jego na razie nikt nie wiedział. Od czasu do czasu przyjeżdżali panowie, i odbywały się konferencje, które nie odpowiadały moim przekonaniom, czułem to, znając Dembowskiego z poufnych pogadaniek, że lekkomyślnie traktowano przyszłe powstanie, że zanadto na własne liczone

siły. Opozycyji Dembowski nie znosił, a gwałtowny, powiedział raz zimniej patrzącemu na rzeczy bratu memu Edmundowi: „to szubienicą pachnie”. Zabrano nareszcie Dembowskiego ode mnie, czemu rad byłem, nie mając zaufania zarówno do przygotowywanego ruchu, jak i do jego naczelnika, a że nie wiele w świecie bywałem, nie wiedziałem nic o dalszym ciągu tego ruchu, sam zaś byłem przekonania, że z czasem ucichnie i że do wybuchu nie przyjdzie; jednakowoż ruch się wzmagał, co nie tyle patryotyzmowi, ile fałszywej ambicyi przypisać należy, że zaś się usunąłem poznawszy charakter kierujących ruchem, nic o terminie nie wiedziałem.

W mojem sąsiedztwie mieszkała siostra moja, żona Wincentego Rogalińskiego, i ta wezwawszy mnie do siebie do Wiśniowej, prosiła, bym syna jej Mieczysława, który się u babki Gniewoszowej chował w Tarnowie, do domu przywiózł. Ulegając prośbie siostry i nie wiedząc na co się zanosi, wybrałem się do Tarnowa. W Tarnowie w hotelu spotkałem Bobrowskiego, który zaprosił mnie do swej kwatery, i pokazując okno, powiedział do mnie: „dobrze żeś przyjechał, z okna mego będziesz mógł strzelać do dragonów”. Ośłupiałem na to powiedzenie, i od niego to dowiedziałem się, że wybuch powstania ze środy na czwartek przeznaczony. Wjeżdżając do miasta uważałem ciszę, opuszczenie, którego sobie wytłumaczyć nie umiałem, temczasem wieści o wybuchu wywołały trwogę, tak że wojskowego ani na lekarstwo nie ujrzałem. Przypuszczałem, że szwagier mój wtajemniczony, przedemną termin wybuchu ukrył, a że z ruchem nie sympatyzowałem, pobiegłem do Miecicia syna jego i zapowiadając, że na drugi dzień rano wyjeżdżamy, do wyjazdu przygotować się temuż poleciłem.

Na dole w hotelu zastałem P. Adama Kochanowskiego z Szerzyn, a że był w cylindrze i we fraku, pytałem o przyczynę, tem więcej, że jak mi mówił Bobrowski on komendantem był na Jasielskie. Tłómaczył mi, że dla wzięcia paszportu u starosty być musi, po czem mając konie zaprzężone, zawiozłem go do Gumnisk do kasyera ksiązęcego, a niebawem

zabrawszy dzieciaka wyjechałem z Tarnowa. W Dębicy dla złej drogi i pośpiechu pocztowe wziąłem konie, i tak dotarłem do Sędziszowa. Ogrzawszy chłopca, nie mogąc dla zadymki puszczać się na poboczne drogi do Wiśniowy, pojechałem do państwa Alojzów Jabłonowskich do Olchowy, i zaledwie, koło 1-ej w nocy błędząc podrodze, dobiłem się do dworu. Zastałem wszystkich czuwających bliskich rozpaczy, tembardziej gdy im wieści z Tarnowa udzieliłem. Trudno było jechać do Wiśniowy, że mi wszakże przed oczyma stał niepokój siostry mej o dziecko, prosiłem o saneczki bronne, i jednokonką manowcami i ścieżkami dojechałem do Wiśniowy, gdzie syna matce oddałem. Wróciwszy do domu, postanowiłem gdy trzej moi bracia do ruchu przystąpili, przyłączyć się również, pomimo że było to wbrew memu przekonaniu, i wybrałem się też do brata mego Jakóba, do Kożuchowa, wioski w cyrkule jasielskim. Zastałem tam Teofila Wasilewskiego z Markuszowy, hr. Kazimierza Jabłonowskiego, brata mego Edmunda z Chrzęstówki w Jasielskiem, oczekujących przybycia dalej mieszkających uczestników; wesoło nie było, już bowiem jakieś głucho wieści zaczęły obiegać o katastrofie Tarnowskiej. Wieczorem przyjechał brat mój Franciszek z Żarnowy pod Strzyżowem, ad latus Kochanowskiego, i powiedział nam, że świadkiem był w Pilźnie jak tamże hr. Stadnickiego mordowano. Stadnicki ten pochodził z Mrowli w Rzeszowskiem a mieszkał pod Ropezcami. Ztamtąd z niebezpieczeństwem życia objeżdżając Brzostek przybył do Kożuchowa, wioząc rozkaz odwołujący ruch, z którym też dalej pojechał. Niestety trudno się było ludzić wobec zapewnienia naocznego świadka. Po bezowocnych naradach co dalej począć, postanowiłem wracać do domu; temczasem zjawił się emissaryusz niejaki Pan Wolański ze strzelbą w ręku, i odezwał się do nas, pozdrowiwszy nas „niech będzie pochwalony. Bracia zbierajcie się”. Na przedstawienie tego co zaszło w Tarnowskiem, rzecze: „co tam Tarnowskie, możemy to naprawić — musimy pójść”. Gdy mu przedstawiono, że ruch chłopski zatrwajające przybrał rozmiary, rozplakał

się i szlochał jęcząc „cóż się ze mną stanie“. Jabłonowski wydo-
 był garść dukatów i podał mu je, a Wasilewski obiecał prze-
 brawszy za kobietę wywieść go do Węgier. Patrząc na tę
 scenę powiedziałem: otóż macie Messyasza, któremu tylko
 o własną skórę chodzi, jeżeli on dziś już szlocha, bądźcie
 pewni, że nas wszystkich władzom wyśpiewa, najlepiej wzięść
 go do lasu i w łeb mu pałać. Mnie zakrzyczano. Wasilewski
 powierzył go ekonomowej, która przebranego za kobietę na
 Dukłę wywieść miała do Węgier. Za Krosnem już ich areszto-
 wano, i Wolańskiego osadzono w kryminale — wyśpiewał
 uczestników co do joty, a przekonanie moje, że to był szpieg
 tem się uzasadnia, że po indagacyi uwolniony, później urząd
 kasyera rządowego piastował.

Brat mój Franciszek powróciwszy do Żarnowy, oddał się
 w ręce sądu Rzeszowskiego, i w Rzeszowie był zamkniętym,
 Edmund zaś pojechał do Wiśniowy z Jabłonowskim, a brat
 Jakób przybył do mnie do Nockowy. Jako myśliwy zorgani-
 zowałem obronę będąc pewnym, że w kilka strzelb nie trudno
 będzie się bronić. W oczekiwaniu co dalej będzie a poniekąd
 i trwodze przeszła nam niedziela. Złe wiadomości mieliśmy
 z Pstrągowy. We wsi tej tworzącej kollokację obok dwu fol-
 warków Wasilewskiego, mieszkał Łazowski na którym dopu-
 szczono się okrucieństw tak samo, jak na jego synach, z których
 jednego żywcem piłą przerznięto, drugiemu zaś którego ukry-
 tego w krzakach potoku wysłedzono, kazano uciekać, podci-
 nając mu kosą nogi. Nieszczęśliwego ojca żołnierza z 31 roku
 chcieli zabić cepami i pałkami, ale że prosił by go jak na
 żołnierza przystało rozstrzelano, zgodzili się na to. Na prośby
 p. Łazowskiego, by mu pozwolono pojednać się z Bogiem, za-
 prowadzono go do kościoła, gdzie go wyspowiadał tamtejszy
 proboszcz ks. Modła, poczem go oddał oprawcom. Przywódca-
 mi tej bandy byli dwaj bracia Wincenty i Józef Strzemescy,
 i jeden z nich zastrzelił Łazowskiego.

Dowiedziawszy się o tych okropnościach, uradziliśmy z bra-
 tem Jakóbem próbować, czy nam nie uda dostać się do Wę-

gier. Spakowawszy kosztowniejsze rzeczy, czekaliśmy dnia następnego by wyjechać, gdy wtem znać nam dano, że czerniawa chłopów złożona z 80 przynajmniej koni ku folwarkowi nadciąga. Postanowiwszy poprzednio bronić się, wybiegłem by zwołać ludzi, lecz nikogo nie zastałem, wszyscy pouciekali i jeden tylko pozostał chłopak stajenny. Kazałem wyprowadzić konie, które od paru dni stały okulbaczone, i przekonawszy brata, że łatwiej nam będzie bronić się w polu jak w zamkniętym domu, dosiedliśmy koni i wyjechali na pagórek, by się rozglądnąć. Chłopi po chwili wyczekiwania rzucili się ku folwarkowi — otoczyli dom, i rozpoczęli zdobywanie go od wybiecia szyb, poczem zabierając co się dało, rąbali meble, tłukli szkło i porcelanę. Za tym pierwszym konnym oddziałem nadciągnęły tłumy piesze. Nie mogąc znieść widoku tego, puściliśmy się uzbrojeni w dubeltówki ku mieszkaniu mandataryusza Daizenberga zwanego Pachnięczką we Wiśniowej, i spotkaliśmy tam tłum kilkutyśięczny rabujący mandataryuszówkę. W nadziei, że zuchwalców odstraszymy, i odejmiemy im ochotę do dalszych wypraw, daliśmy mając broń nabitą sztofami do czerni tej ognia, na odległość pięćdziesięciu kroków. Cofnąwszy się o kilkaset kroków, nabijaliśmy zesiadłszy z koni broń, poczem poczęliśmy podsuwać się ponownie, patrząc na to jak jedni drugich mordowali odbierając sobie złupione rzeczy. Na widok, że się zbliżamy, zrobił się ruch, poczem widocznie celem rzucenia się na nas, wyjechało ku nam kilkunastu chłopów, jadąc jeden za drugim. Na czele jechał niejaki Picak, podleśniczy z Zagorzyc, własności hr. Starzeńskiego. Był to chłop ogromny na dobrym koniu; wymierzywszy w niego zwałem go z konia, co chwilowo podziałało, że się w pośpiechu cofnęli, obdzierając poprzednio nieboszczyka z płaszcza i pieniędzy. Po tym ataku na nas, pomimo że mieli strzelby, nie mieli odwagi uderzyć na nas. Po kilkunastu strzałach naszych, zostało 21 trupów prócz rannych w większej ilości. Poskromiwszy nieco pijaną czeredę, puściliśmy się w drogę ku Węgrom. Po drodze w Czudcu spotkaliśmy niezwykły ruch na gościńcu, a zatrzymawszy się przed domem

mandataryusza, kazaliśmy go z miasteczka dokąd się był schronił sprowadzić, i od niego dowiedzieliśmy się, że możebnem było dostać się jeszcze do Rzeszowa. W Czudcu we dworze zastaliśmy na poły żywą guwarnantkę, sami państwo Nyczowie wyjechali byli już z domu, i zabraliśmy ją, by odwieść do aptekarza Hybla, którego była krewną. Pod Rzeszowem gdzie starosta był Lederer zatrzymały nas pikiety dragonów, i otoczyło wojsko. W starostwie dokąd nas zaprowadzono spisano z nami protokół, że wszakże starosta ożeniony był z Gruszczyńską, która nań dobry wpływ wywierała a nam znajomą była, przeto pomimo że to niechętnie robił, wydał nam starosta kartę pobytu, zalecając wszakże, byśmy się nigdzie nie pokazywali, z powodu, że wojskowi i urzędnicy wydawaniu kart przeciwnymi byli. Karty te opiewały na 24 godzin, po upływie których o przedłużeniu prosić należało. Po kilku dniach pobytu wyjechał brat mój Jakób do Koźuchowa, zkąd go wójt i chłopci odstawili do Jasła, gdzie go z trzydziestu sześcioma innymi w dwóch izdebkach zamknięto. Po tygodniu pobytu w Rzeszowie i ja również wyjechać musiałem. Przedstawiłem staroście, że cyrkuł tarnowski o 2 tylko mile, że Pstrągowa zbuntowana, tak że ruch z łatwością w Rzeszowskie przenieść się może, że już Wolę Zgłobieńską zrabowano. Tłómaczył się wprawdzie starosta, że niema podostatkiem wojska, że wszakże po wymordowaniu tylu ludzi, zniszczeniu i spaleniu dworów rząd czuł się bezpiecznym, i chłopstwo poskromić zamierzał, powiedziałem że łatwo przygasić pożar, jeżeli się hersztów pojmać powiedzie, a gdy oświadczyłem gotowość dokonania tego, ofiarował mi starosta asystencyę z 36 piechoty z oficerem, i 17 dragonów z wachmistrzem. W towarzystwie tym wraz z moim szwagrem Rogalińskim, który ciekaw był zobaczyć co się u mnie w majątku działo, ruszyliśmy do Nockowy. Że we dworze wszystko zniszczono, udaliśmy się do proboszcza ks. Strzemeskiego, rozłokowawszy wojsko po chałupach. Wyprawiliśmy po naradzie pismo do Pstrągowy, donosząc, że zjechała komisya, celem rozdawania gruntów pomiędzy chłopów. Drugiego dnia rano przyjechało dwu braci Strze-

meskich wraz z podwójciem Nogą z bronią na plecach i przy pałaszach. Żołnierze by nie obudzić podejrzenia, ukryci byli w stajni i w kuchni. Przybyłych pod plebanią przywitał Rogaliński: „A witaj — witaj Wicusiu — będziesz wisiał nieboże”. Zglupieli na to przywitanie, lecz nie daliśmy im czasu opamiętać się, ściągnęliśmy ich z koni, rozbroili i powiązali. Mając herztów, udaliśmy się przy odgłosie bębnow do Pstrągowy wyzywając, by nam przywódców wydano. Siedmnastu nam dostawiono, postawiwszy dla postrachu szubienicę, i pod grozą zrabowania wsi Nockowy, nakazawszy dostarczyć nam 21 podwód, ruszyliśmy z delikwentami skrzepowanymi szpagatem do Rzeszowa.

Przy wjeździe do Rzeszowa nie małe było zbiegowisko, oficera witano jak żeby wracał z kampanii. Starosta któremu delikwentów oddałem, kazał ich do prezydenta sądu odprowadzić, niebawem wszakże do starostwa wrócili, prezydent bowiem tłumaczył się brakiem miejsca, zajętem przez szlachtę. Gdy wszakże starosta sam się do niego udał, znalazł miejsce na tych zbrodniarzy. Po trzech dniach puścił wszystkich, zatrzymawszy tylko Nogę i Strzemeskich.

Nockową chłopci doszczętnie zrabowali, poniszczywszy budynki, porozwlekawszy sprzęty i zboże. Kozuchów ocalał, sami go miejscowi obronili chłopci.

O l e s n o.

(Karol Kotarski, Grzywiński, Kazimierz Nowiński, Rymanowicz, Scrafiński, Kopera Franciszek, Sroczyński z synem, Żelazowski, Oraczewski Stanisław, Kunaszewski, Kosakiewicz, Kaczowski, Tomaszewski, Czyżowski i inni razem 26.)

Opowiadanie W. Stanisława Kotarskiego marszałka powiatowego jasielskiego, właściciela Brzysk, Żelechowa, Kopytowy, Kłysza, etc.

Mając lat trzynaście w r. 1846, przybyłem z Tarnowa na trzy dni przed wybuchem rzezi z gubernierem moim księdzem Ludwikiem Ruczką, terażniejszym proboszczem w Kolbuszowy i posłem do Rady państwa, do Olesna. Ojciec mój Karol Kotarski ożeniony był z Kunegundą baronówną Konopczanką siostrą Ludwika, Ignacego, Antoniego, Jana i księdza Infułata kanonika Olomunieckiego, a należały do niego dobra Olesno, Żelechów, Świebodzin, Kanna, Pogorska Wola i Brzyska. W Oleśnie dziwny jakiś panował niepokój, to też skłonił ojciec matkę, by ze mną i z ks. Ruczką wyjechała do Tarnowa, sam zaś ufając chłopom dla których był dobrodziejem, postanowił pozostać w domu. Stosownie do woli ojca wyjechała matka moja powozem, ja zaś z ks. Ruczką bryczką z Olesna, i już na drodze ku Dąbrowy zatrzymała nas w Swarzowy banda chłopów, lecz poznawszy nas, w dalszą puścili drogę, i tak przybyliśmy do karczmy w Brniku, majątku babki a miejsca rodzinnego mej matki. Tu rozłączyłem się z matką, mnie bowiem i księdza Ruczkę przyaresztowali chłopci, matce niepowolili jechać do Tarnowa, rozkazując wracać do domu, zaczęła wstąpiła do Dąbrowy majątku Stojowskich. Pozostaliśmy w rękach chłopów, którzy zmieniając przy nas strażę przez noc całą, naradzali się co z księdzem i dzieciakiem zrobić należy. Siedząc tam widzieliśmy jak chłopci co chwila kogoś z „panów“ do Tarnowa odstawiali, bijąc i znęcając się nad ofiarami. Wtenczas to napisał ks. Ruczka dwie kartki przez jakiegoś człowieka do Tarnowa jadącego, jedną do pułkowni-

ka Moltkego przyjaciela mego ojca, drugą do księdza biskupa Woytarowicza, żądając wysłania pomocy.

Kiedy niebawem wieść się rozbiegła, że „Polaki idą“ opuściła czereda kilkuset chłopów karczmę, zostaliśmy przez chwilę sami, poczem nas dworscy ludzie z Brnika do karczmy w Żelazówce, na gościńcu do Tarnowa położonej przeprowadzili, gdzie skoro i ztamtąd chłopci niepewni co z nami zrobić, na wieść że „Polaki idą“ uciekli, połączyłem się z matką moją, która niespokojna o mnie, do Żelazówki z siostrą moją Maryą dzisiejszą Zygmuntową hr. Drohojowską przybyła.

Ludzie znajomi nasi z Brnika, a między nimi Filip kucharz, uradzili przeprowadzić nas dla większego bezpieczeństwa do dworu w Brniku. Dwór zastaliśmy złupiony bez drzwi i okien, i tam nas przebrano, matkę moją za babę, mnie i siostrę w płócianki, a księdza w kozuch. Siostrę moją wzięto do chałupy, księdza schowano do lochu z ziemniakami, ja zaś błąkałem się w gromadzie wiejskich chłopaków. Nadciągnęła banda chłopów ze zrabowanemi po dworach rzeczami, i w tenczas to widząc medalik złoty na szyji u mnie, porwał mnie chłop jakiś, a chcąc zedrzeć medalik z szyji, ciągnąc za sznurek na którym wisiał, skaleczył mnie nim, zanim go zerwać zdołał, wlokąc za sobą do zburzonego dworu. Podążyła za mną matka z siostrą, a niebawem przywleczone tamże i księdza R., tak że razem znowu wyczekiwaliśmy co z nami zrobią. Na szczęście nadciągnął niebawem pluton szwoleżerów i oddział piechoty na wozach, z oficerem Bauerem późniejszym ministrem wojny. Ten zapytawszy matkę po francuzku czy wie jaki los spotkał jej męża, kazał nas wojsku związać, wsadzić na wóz, i otoczywszy wojskiem wiózł nas do Tarnowa. Po drodze stając przy każdej karczmie i prawiąc do chłopów nauki, wiózł nas w ten sposób godzin kilka do Tarnowa, tak żeśmy tam w nocy przybyli. Zawieziono nas do kasarni, ztamtąd gdy nas nie przyjęto do szpitala, następnie do plac-komendy, i tam dopiero puszczone nas na wolność, poczem w chłopskiem przebraniu do naszego poszliśmy mieszkania,

nie mając grosza przy duszy, i tu dowiedziała się matka o śmierci ojca mego. Profesor Lipiński dał nam ubranie, ks. Król, kanonik w pierwszej chwili przysłał matce na pierwsze potrzeby sto dukatów, pani Arturowa Potocka zaś przysłała plenipotentą swego P. Paszkowskiego z 1000 złr., tak że mając nadto życzliwą opiekę konsyliarza Gołaszewskiego, mogliśmy wyjechać do Hullein na Morawii, do brata matki ks. Konopki, nie chcąc wracać do majątku zniszczonego doszczętnie, a przypominającego na każdym kroku nieszczęśliwego ojca.

Ojciec wyprawivszy nas do Tarnowa, nie chciał się sam ruszyć z domu, sądząc że jest bezpieczny pomiędzy ludem, dla którego był dobrodziejem, dopomagając mu kiedy klęska jaka wsie nawiedziła, starając się o meljoracye możliwe z korzyścią ludu połączone, rozdając pomiędzy włościan pomimo przedstawień żony gotówkę, tak że w ten sposób do 60000 przepadło. Dnia drugiego po naszym wyjeździe t. j. 20 lutego zalało mnóstwo chłopstwa dziedziniec dworu w Oleśnie, a zbliżywszy się z uszanowaniem do ojca oświadczyli mu, że z polecenia starostwa zrobią rewizyę za powstańcami i za bronią. Rozpoczęli od tego, że mandataryusza Grzywińskiego, ekonomów, pisarzy i całą służbę w liczbie 26 osób powiązali, i wsadzivszy na wozy, do Tarnowa wieść zamierzali. Ojca do tej chwili nie tykali, to też nie przeczuwając, że i na niego rzucić się mogą, kazał zaprządz i puścił się za wiezionymi do Tarnowa, spodziewając się, że chłopów nakłonić zdoła, by mu ludzi jego oddali, tak dojechał do kościoła oddalonego od dworu dwa do trzech kilometrów. Ks. Kaznowski proboszcz miejscowy widząc ten pochód, wyszedł naprzeciw niego ze Sanctissimum, a intonując pieśń pobożną, chciał tłum ściągnąć do kościoła. Część jakaś weszła, jednakowoż nie umiając uszanować miejsca świętego, z fajkami w ustach, w czapkach na głowie, z cepami i widłami w rękach, księdza od ołtarza odpędzili, a że nie zginął wówczas, zawdzięczał babom, które go w chałupie pobliskiej ukryły.

Ojciec zbliżył się do ludzi swoich powiązanych na wozach, gdy w tem nadciągający od strony Odporyszowa ludzie, przebrana straż skarbowa jak twierdził proboszcz, zaczęli wołać na chłopów „Zabijajcie, bo za żywych 5, a za zabitych 10 płacą guldenów, a za głowę Kotarskiego 1000 guldenów obiecano. W tejże chwili lud zawdzięczający tyle dobrodziejstw ojcu, powywracał wozy, i wszystkich 26 pastwiąc się w najokropniejszy sposób wymordował. Na ojca uderzył pierwszy masztalerz chłop ze Świebodzina, rządęcę ojca Nowińskiego, który ucieczką do lasu chciał się ratować dopadli, i żywego jeszcze na widłach obnosili. Zamordowawszy ojca i dworskich, wrócili do dworu, gdzie dokonali dzieła zniszczenia, poczem ciała zabitych powieźli do Tarnowa, i w szpitalu wojskowym złożyli, gdzie ojca Karol Polityński po znaku na koszuli poznał, tak do niepoznania było ciało pokaleczone, i wówczas to pułkownik Moltke ciało ojca własnym okrył płaszczem. Daremniemi były nasze zabiegi o wydanie nam ciała; nieszczęśliwe ofiary wywożono w nocy na cmentarz, i po kilkudziesięciu razem do jednego składano grobu, posypując ciało niegaszonym wapnem. Chcieliśmy położyć kamień na wspólnym tym grobie, z napisem: „Tu leży Karol Kotarski smutna ofiara r. 1846“ lecz rząd na to nie pozwolił, i słowa te z marmuru dłutem wydrapać kazano, i na nic się bytność moja u hrabiego Belcredego ministra austr. nie zdała.

O ile pamiętam, razem z ojcem zostali zabici mandatarz Grzywiński, Kazimierz Nowiński, Rymanowicz ekonom ze Świebodzina, Serafiński gozelnik, Kopera Franciszek stangret, dwóch lokajów i wielu innych. Według zapisków w bibl. Ossolińskich, zginął także dziedzic Bolesławia Sroczyński i syn tegoż, Żelazowski ekonom, Stanisław Oraczewski, Kunaszewski, Kosakiewicz, Kaczowski kościelny, Tomaszewski, Czyżewski i jedynastu nie znanych bliżej nikomu.

Olszyny

(*Niewiarowski, Mientuszewski, Pawłowski, Kamiński.*)

(położone na północny zachód od Biecza na drodze do Tuchowa, należały do p. Adama Rogawskiego, dzierżawił je p. Józef Niewiarowski, i tegoż synowi Henrykowi z Przylęka w Mieleckiem zawdzięczam wiadomości o wypadkach, wyjęte z papierów przechowanych starannie w tej rodzinie).

Wysoki c. k. Sądzie apelacyjny!

Ogołocony z całego majątku ośmiela się niżej podpisany dzierżawca włości Olszyn w cyrkule Jasielskim położonej, W. c. k. Sąd ap. o wymierzenie sprawiedliwości na sprawcach rabunku dnia 20 lutego 1846 w Olszynach uczynionego — tychże ukarania, jakoteż odzyskania rzeczy skradzionych pokornie upraszać.

Z następującego opisu raczy W. c. k. Sąd ap. powziąć przekonanie, że nie zwyczajny wypadek, lub jakieś zęsto wydarzyć się mogące przekroczenie, ale zniszczenie i okrucieństwa, dla których trudno nawet właściwego znaleźć nazwiska, są powodem niniejszego zażalenia.

Jeszcze w pierwszych dniach miesiąca lutego b. r. chłopie olszyńscy, a właściwie urząd gromadzki miejscowy bez poprzedniego uwiadomienia i pozwolenia sędziego miejscowego, porostawiali strażę na granicy Olszyn. Jakkolwiek sędzia miejscowy, chcąc się dowiedzieć właściwej przyczyny rozstawienia tych straż, urząd gromadzki zwołał, temuż nadużycie władzy przedstawił, oraz i o przyczynę takowego postępowania zapytał, wszystko to nie nie pomogło, gdyż urząd gromadzki oświadczył: „że wieści o nastąpić mającym wyrznięciu chłopów przez panów krążą”, a zatem chcąc się zabezpieczyć od podobnego groźnego następstwa, gromada widzi się zmuszoną takowe strażę nie tylko nie znosić, ale owszem podwoić. Sędzia policyjny p. Mientuszewski usiłował gromadzie niedorzeczność obawy, jakoby chłopie przez panów mieli być wyrznięci przedstawić, lecz to wszystko nie nie pomogło, dla tego postanowił sędzia w tym wypadku

przełożonemu c. k. cyrkularnemu urzędowi Jasielskiemu doniesienie zrobić, w czem jednak z powodu słabości został przeskodzonem. Owe nocne straże, będąc z natury swej dla zatrzymania obcych ludzi przejeżdżających przeznaczone, nadto niepokoiły swoich miejscowych, i tak podpisany powracając raz w gospodarczym interesie z Gorlic, został zatrzymanym przed samym dworem, nie wiedząc z jakiego powodu, niemniej sędziemu miejscowemu p. Mientuszewskiemu dodano jednego chłopca, który uzbrojony chodził pod jego oknem na straży. Wkrótce dowiedziawszy się prześwietny c. k. cyr. urząd Jasielski o takich nadużyciach, delegował komisarza sekcji W. Baunhölcza, który po dokładnem perycpowaniu przekonał się o niewinności podpisanego, ale oraz miał sposobność poznać złość i bezprzykładną krnąbrność Marcina Ryndaka, wysłużonego żołnierza, w Olszynach zamieszkałego. Ten tedy miał do podpisanego niesłuszną urazę, gdyż (jako prześwietna c. k. cyrk. urzędu Jasielskiego komisya naoecznie przekonała się) domagając się oddania gruntu, który w posiadaniu prawnem jego brata Kantego Ryndaka zostaje, pałał do podpisanego nienawiścią, twierdząc, że jemu się grunt prawnie należy; gdy jednak na mocy wydanej sobie rezolucyi jego niedorzecznemu żądaniu zadość uczynić nie można było, uciekał się chcąc podpisanego potępić, do najszkaradniejszych kłamstw, i tak między innymi twierdził, że u podpisanego znajduje się mnóstwo broni, „beczka noży ukrytych”; na żądanie to zrobił c. k. cyr. komisarz W. Baunhölczel najściślejszą rewizyę, wskutek której przekonał się o złości Marcina Ryndaka.

Po skończonej komisyi dnia 1 lutego b. r. sądził podpisany, że nie będzie więcej niepokojonym, lecz niestety przez cały tydzień aż do dnia 20 lutego, t. j. do dnia napadu chłopów, był podpisany wystawionym na największe nieprzyjemności ze strony chłopów olszyńskich tak dalece, że nawet spokojnie z rodziną swoją do kościoła do Ołpin przejechać nie był w stanie, bo wszędzie chłopci zgromadzali się po drodze. Dnia 20 lutego b. r. około godziny 2-jej po południu stojąc podpisany

z p. Mientuszevskim sędzią politycznym przy oknie w bawialnym pokoju, spostrzegł jakiegoś chłopą jadącego cwałem na koniu drogą, od dworu olszyńskiego ku Ołpinom prowadzącą, wkrótce zgromadziło się więcej chłopstwa na koniach, którzy na różne strony po wsi rozjechali się, wołając: „gwałtu, ratujcie się, bo na Ratówkach za lasem panowie chłopów już rzną”; gdy się to działo, zaczęło się coraz więcej chłopstwa uzbrojonego w kosy, piki, kije, cepy, siekiery, pałki, drągi i tym podobne, około kaplicy św. Rocha blisko dworu przy drodze znajdującej się skupiać, i tak z pańszczyzny i z najmu, z gumna od młocki 16 ludzi, z gorzelni i od piwa warzenia 5 i od sieczki 12 — wszyscy zostawiwszy niewykończoną robotę, odbiegli do domów swoich po narzędzia, i łączyli się razem. Podpisany widząc to udał się z p. Mientuszevskim sędzią do zgromadzonego ludu, zapytując się coby było przyczyną tak nagłego zgromadzenia się, lecz odebrał odpowiedź, że już na Ratówkach, t. j. w lasach do Olszyn, Jodłówki, Ryglie i Żurowy należących panowie chłopów rzną; widząc takową nedorzecznosc twierdzenia, usiłował podpisany wraz z p. Mientuszevskim przekonać zbiegowisko, że to jest fałszywem, nakazując im oraz, aby, ponieważ Ratówki na pograniczu Olszyn znajdują się, wysłali z pomiędzy siebie trzech lub czterech ludzi zaufania godnych, którzyby się naocznie przekonali, że ta pogłoska jest fałszywą. P. Mientuszevski mandataryusz z mocy urzędowania swego nakazał zgromadzonemu chłopstwu zaraz rozejść się, lecz na takowy rozkaz zupełnie nie zważano, ale owszem coraz więcej chłopstwa uzbrojonego zgromadzało się. Pomimo tego, że podwójci Kanty Ryndak i wójt Tomasz Pikusa w tem zgromadzeniu się znajdowali jako członkowie urzędu gromadzkiego i do rozejścia się wezwani byli, zbiegowisko jednak wzrastało i coraz groźniejszą postać przybierało. Podpisany widząc bezskuteczność swych usiłowań, oddalił się wraz z p. Mientuszevskim do pomieszkania w tej nadziei, że zgromadzone chłopstwo przekonawszy się o nedorzecznosci swej obawy, dobrowolnie rozejdzie się, lecz niestety rzecz się

inaczej miała, gdyż za ledwo podpisany zdołał zdążyć do dworu, cała tłuszcza może około 500 ludzi od Jodłówki złączywszy się z olszyńskimi, biegła z pośpiechem ku dworowi, co widząc p. Mientuszewski, wyszedł na ganek, sądząc, że ich przecież do oddalenia się jakim sposobem nakłoni, co mu się jednakże nie powiodło, gdyż Marcin Ryndak stanąwszy z kosą przy samym dworze, grożącym głosem odezwał się do stojącego, we dwa szeregi na dziedzińcu uformowanego chłopstwa w te słowa: „do mnie chłopcy bliżej, czego tak powoli biegniecie? prędej!” Ledwie zdołał te słowa wymówić, przypadł jakiś nieznamy parobek do Mientuszewskiego, a ugodziwszy go silnie kijem w głowę, zranił mocno do krwi i o ziemię powalił, zemdlącego rozjuszzone chłopstwo obkoczyło ze wszystkich stron, i zaczęli go krępować powrozami. Równocześnie cała ta tłuszcza rozhlukana, której było przeszło 500 chłopów, rozlała się po wszystkich pokojach, spiżarni, kuchni, i tu zaczęła się scena rabunku i zniszczenia, do której opisania brakuje wyrazów. Nadewszystko okropnem było położenie podpisanego, gdy będąc zbitym wraz z synem Henrykiem 14-letnim, usłyszał kilku nieznamych sobie parobków wzywających rabusiów, by najpierwej dzieci mordować i zabijać. Rozlana tłuszcza po wszystkich pokojach zaczęła grasować, kaleczyła domowników, którzy się chcieli przed ich gwałtami ochronić, wszystko co tylko w ręce ich wpadło, stało się ofiarą zniszczenia i rabunku tak dalece, że cały z kilku pokoi składający się porządnie umeblowany dwór, w kilku minutach przedstawiał obraz zniszczenia i największego nieładu. Pomimo najsilniejszych próśb mojej żony, płaczu dzieci i domowników, nie poprzestała rozhlukana zgraja niszczyć wszystko i rabować. Głównie dowodzącym w tych rozbojach i rabunkach był Marcin Ryndak i Paweł Rzepka urlopnik z Jodłówki, od c. k. pieszego regimentu Kudelki Nr. 40, ostatniego słuchała owa dzika zgraja we wszystkim. On rozkazał Ryndakom podpisanego wraz z synem w kajdany okuć, odebrał mi z kieszeni 20 złr. i scyzoryk, synowi zaś 19 złr. i dwa

dukaty, a p. Mientuszewskiemu 15 złr. wraz z kluczem, notatkami, rachunkami i innemi prywatnemi dokumentami.

Nie tylko sam dwór, ale i przypierające do niego budynki stały się pastwą rabunku, i tak gorzelnia w której było mieszkanie p. sędziego, zostało od rabujących napadnięte i zrabowane, równocześnie pomieszkanie ekonoma p. Antoniego Pawłowskiego, stajnie, spichlerze, słowem wszystkie gospodarze budynki napełnione były rabującymi. Widząc to p. Mientuszewski, że wszystko ulega przemocy rabujących i że lży małżonki podpisanego, ani krzyk dzieci i domowników nie zdołają rozhukanych odwieść od haniebnego czynu, sądził, że przynajmniej podatkowe pieniądze których było przeszło 600 złr. uratowane być mogą, lecz i te zostały zrabowane, a na usilne prośby i zapytania, ktoby owe pieniądze skradł, nietylko że nie dostał pożądaney odpowiedzi, lecz nadto został od kilku otaczających go chłopów po głowie zbitym. Nie tylko podatki rządowe, ale także własne pieniądze podpisanego w pocie czoła przez kilunastoletnią pracę zdobyte, zostały skradzione.

Po wykonanych gwałtach i rabunkach wszelkiego rodzaju, których podpisany będąc mocno zbitym i zranionym w głowę, z powodu przytępienia pamięci na teraz wymienić nie jest w stanie, został wraz z synem Henrykiem 14 lat mającym na miejscu nielitościwie w kajdany na ręce i nogi okuty, od którego to okucia po dziś dzień podpisany ma ślady od ran pozostałe, — na sanki wrzucony, na drugich zaś saniach p. Mientuszewski sędzia z p. Pawłowskim Antonim ekonomem powrozami skrępowani wrzuceni, będąc poprzednio od mordujących zawiadomieni, że do Tarnowa wieść nas mają. Na zapytanie dla czego nie mamy być do Jasła jako do dotyczącego cyrkułu zawiezieni, gdy taka wola rządu — odpowiedział Paweł Rzepka z Jodłówki wraz z innymi: „taki jest rozkaz starosty i jenerała cyrkułu Tarnowskiego“ dodając i to Paweł Rzepka „ja teraz jestem wielkim Napolionem, do mnie należy cyrkuł Jasielski, co ja zrobię, za to się sprawię“ po czem obwiązanych przez całą czeredę wieziono nas do Jodłówki. Głównie

dowodzący udali się do Olpin — dla zaszłego zmroku zostawili nas w karczmie w Jodłówce, pomimo prośby, aby nas do tamecznego księdza proboszcza ulokowano, zostaliśmy przez całą noc na największe obelgi, groźby, urągania się i bicia wystawieni. Znajdowali się wprawdzie starzy ludzie uczciwi i rozsądni między nimi, którzy tej wścieklej młodzieży perswadowali, ale to wszystko było bezskuteczne, bo im odgrażali śmiercią. Podpisany przewidując najokropniejsze skutki, dnia następnego, gdyż ludzie uczciwi niektórzy pomiędzy nimi przepowiadali mi, tam za lasem w drodze ku Tarnowu haniebnie zabijają wszystkich, kto tylko w sukiennym stroju, osobiwie panów, przeto podpisany postanowił sobie w Jodłówce wysłuchać nabożeństwa, wypowiadać się, usprawiedliwić się Bogu, by już być na śmierć przysposobionym. Nazajutrz z rana, z wielką trudnością, pozwolono podpisanemu wysłuchać mszy ś., odprawić spowiedź, przyjąć ś. Sakrament i pokutę uczynić, po czem usiłował podpisany w kościele przekonać zgraję, że gwałtownie i haniebnie sobie z nami postępują prosząc, aby przynajmniej gdy już takich gwałtów się dopuścili, odtąd w czasie transportowania nas do Tarnowa, po ludzku z nami się obchodzili — lecz i świętość miejsca nie wywarła wpływu na umysłach rozhukanego i rozjuszonego chłopstwa, gdyż przez gwałt został podpisany wraz z synem w kajdany okuty i zbity. Dnia 21 lutego b. r. t. j. w sobotę z rana o godzinie 8 został podpisany wraz z synem i współaresztowanymi, łącznie z Olpin nadwiedzionymi Kamińskimi i ich ofycyalistami i służącymi, w liczbie 14 osobami do Tarnowa wiezionym.

Całą przeszło trzechmilenową drogę byliśmy na największe pokrzywdzenia, mordy i zabicie wystawieni. Owe mordy, bicia różnemi sposobami są nie do opisania, nieszczęśliwa tylko ofiara, którą los w ręce owej na wszelkie bezprawia wylanej tłuszczy dał, zdoła pojąć owe okrucieństwa, które na nas wykonywano, na każdym kroku obawiać się trzeba było śmierci niechybnej, bo ze wszech stron zlatywało się chłopstwo uzbro-

jone w kosy, piki, siekiery, cepy, drągi, widły i pałki wszelkiego gatunku, i temi narzędziami zadawali nam ciosy ustawicznie, i tak będąc skutym razem z synem, wyglądałem zgonu syna, syn zaś mego. Zdjęto z nas futra podczas tak ciężkich mrozów, co tem okropniejszą rzeczą było, na to wszystko patrzyli eskortujący nas chłopci olszyńscy, mianowicie Józef Karaś, Paweł Zajac z Olszyn, Jakób Iwański z Jodłówki obojętnie.

Jakkolwiek były chwile, że można było nas od napadających nas rozjuszonych chłopów obronić, to przecież tego nieuczynili. Na zapytanie, dla czego sobie tak okrutnie z nami postępują, odpowiedzieli niektórzy z mordujących nas chłopów, mianowicie jeden z Karwodźy za Tuchowem koło karczmy „Psia górka“ zwanej, podpisanemu z nazwiska nieznajomy „taki mamy rozkaz cyrkularny Tarnowski“ namawiając nadto tę rozjuszoną zgraję, by nam głowy poodcinali i takowe do cyrkułu odwieźli „bo tam za zabitego 30 złr., a za żywego tylko 15 złr. płacą“. Takowe niecne wezwanie tem więcej chłopstwo do coraz okropniejszych mordów pobudziło. Wśród tych ucierpianych, wszelkie ludzkie pojęcie przechodzących męczarni, ledwie zdołaliśmy się dostać do Tarnowa, gdzie nas dwóch żołnierzy od parku szwoleżerów pod swą eskortę wzięło, lecz niestety, takowi zamiast nas obronić od rozhukanego chłopstwa, najmniejszych przeszkód w czynieniu nam krzywdy nie robili, owszem zelżywemi słowy do tem większej zemsty chłopstwo namawiali, a do tego wszystkiego, gdy podpisany ratunku prosił, od szwoleżera pałaszem cięty został. Tak tedy wycieńczonych na siłach, rannych i krwią zboczonych, z połamaną ręką przywieziono nas do Tarnowa przed wieczorem bez popasu dnia 21 lutego.

Śmiało wyznać można, że przeszło przez dziesięć tysięcy w różną broń uzbrojonego chłopstwa wściekłego tę podróż odprawiliśmy, a podpisany jeżeli nie więcej to najmniej ośmset kijów, pałek, cepów, drągów i t. p. otrzymał. Wreszcie przywieziono nas wszystkich do Tarnowa przed cyrkuł, z tamtąd

z rozkazu władzy rządzącej, odwieziono nas do szpitala w kamienicy Kamienobrodzkiego, tamże zniesionych rozkuto zapomocą pilników. Jedyne prędką lekarską pomoc w tymże szpitalu, gdzie ciężką chorobą złożony aż do dnia 24 maja b. r. podpisany zostawał, zdołała nam życie zachować, lecz dopiero dnia 6 czerwca po przeprowadzonym z nami śledztwie zostaliśmy jako niewinni uwolnieni łącznie z p. Mientuszewskim, jednakże podpisanego ekonom Antoni Pawłowski ojciec sześciorga dzieci zmarł w szpitalu wskutek pobicia. Powróciwszy do domu do Olszyn, przedstawił się podpisanemu prawdziwy obraz zniszczenia i spustoszenia, gdyż niestety dowiedział się podpisany od swej żony, że jego majątek trzykrotnie zostawał napadany, zrabowany i zniszczonym. Że moja żona na drugi dzień po doświadczonym rabunku, z pozostałemi sześciorgiem dziećmi, z których najstarsza córeczka 10 lat, ostatnia dwa miesiące miała, nie miała się czem pożywić ani ich okryć, że Marcin Ryndak przez trzy tygodnie w Olszynach administrował, i grunta dworskie między chłopów podzielić zamysłał, nakoniec że na tak ciężkie natenczas panujące mrozy, zmuszona była moja żona ukrywać się z dziećmi — znalazła wprawdzie przytułek u karbownika, lecz i temu odgrażano.

Niżej podpisany wiedząc, że prawo nakazuje, aby każda choćby najmniejsza zbrodnia przez c. k. sądy urzędownie, bez względu, czyli skarga zaszła lub nie dochodzoną i karaną była, czekał do tego czasu cierpliwie, w tem mocnem przekonaniu, że jak prawa najjaśniejszego pana prawdziwą ojcowską pieczołowitością dla bezpieczeństwa poddanych tchną — równie też wykonanie tych praw, myśli i celowi prawodawcy w całej objętości odpowie. Lecz niestety! piąty miesiąc mija już po spełnieniu tych bezprzykładnych zbrodni, a chociaż onychże wieść całą Europę obiegła, zapewne więc i do wiadomości c. k. sądu karnego doszła, przecież zbrodniarze chodzą bezkarnie, urągając się sprawiedliwości, gorszą prawych i uczciwych poddanych, i bezkarnością zatrwają podpisanego.

W takim składzie rzeczy zmuszony jest zanieść do wysokiego c. k. apel. sądu najpokorniejszą prośbę o jak najspieszniejsze wysłanie komisji kryminalnej w celu dojścia i ukarania sprawców wyżej opisanych zbrodni, i odebrania rzeczy, których opis 21873 złr. wynosi.

Olszyny 20 lipca 1846.

Józef Niewiarowski.

Pan Józef Niewiarowski mający na owe czasy niezwykłą odwagę, odezwania się w końcowym ustępie o obowiązkach rządu i sądu, przechował wszystkie rozporządzenia c. k. starostwa, z których widoczna, jako opłacający podatkami bezpieczeństwo mienia i osoby obywatel, za własne podwórze wyjechać nie mógł, jak o każdy wyjazd dosąsiedniego miasteczka prosić musiał satrapę powiatowego, który uważając się za personifikację władzy, odzywał się wówczas „ja pozwalam“ lub „ja zabraniam“. Przytaczam tu taką odezwę starostwa w Jaśle, z której widoczna, jak rząd ówczesny nie myślał wcale karać tych, którzy w oczach szlachty i pozostałych sierót rabusiami i mordercami byli. Starostwo w Jaśle tak pisze pod dniem 6 czerwca 1846 do l. 1672: „Bei dieser Gelegenheit fordere ich Sie auf, jedes Rachegefühl gegen die vermeintlichen Urheber, oder Theilnehmer Ihrer Verhaftung oder sonstigen Verunglimpfung zu unterdrücken, und sich unter schwerer Verantwortung jeder Eigemächtigkeit zu enthalten“.

Kogo zatem brał w opiekę rząd starościński, widoczna z tej odezwy, zabraniającej myśleć o zemście. Ile zaś i c. k. sądy miały dobrej woli w obec tak srodze pokrzywdzonych, o tem świadczy pismo prezydium krajowego sądu z dnia 11/12 1846 l. 1164 doręczone przez starostwo w Jaśle, w którym pisze dbała o wymiar sprawiedliwości władza „werden Sie hiemit aufgefordert, mittelst eines Ausweises anher nachzuweisen, welche Effecten und bei wem sich solche befinden, da eine allgemeine Hausdurchsuchung nach den bestehenden Direktiven nicht zulässig ist“.

Tak więc powiązani i przytomności pozbawieni, wywiezieni z domu, mają wiedzieć kto co gdzie porwał, bo inaczej jak pisze c. k. starostwo wedle istniejących wskazówek (sic) nie wolno za porządkiem przetrząsać domów! Rozporządzenia te mówią same o intencji i zamiarach ówczesnego rządu i biurokracyi, bo tam gdzie wojsko i do tego węgierskie było wysłane, tam robili rewizye i nie zważali na istniejące wskazówki.

O ł p i n y

(*Kamińscy Roman i Feliks.*)

(wioska górską w Jasielskiem, głośna w latach od 1843 do 1887 dla zbiorów jakie z niezwykłym zjawstwem i rzadkiem zamilowaniem gromadził niezwykłych zdolności, bystrego poglądu, rzadko spotykanej dziś miłości kraju i zajmowania się tem co kraju dotyczyć mogło, ś. p. Karol Rogawski, poseł na Sejm i do Rady Państwa, widownią była scen strasznych w r. 1846).

Pan Karol ożeniony z Eufemią Briganti nie był już w r. 1846, chociaż Ołpiny doń należały, na wsi, porwany bowiem prądem rewolucyjnym bawił w Krakowie, gdzie został był sekretarzem dyktatora Tyssowskiego, dla niezwykłej ruchliwości a zarazem niepospolitych zdolności. Ołpiny trzymał wówczas od p. Rogawskiego tytułem zastawu dzierżawy pan Roman Kamiński, a nawet gdy pan Karol wmieszany w agitacye przez emigracyą kierowane słusznie się obawiał, by mu rząd nie skonfiskował majątku, stanął pomiędzy panem Rogawskim a p. Kamińskim pozorny akt kupna i sprzedaży Ołpin i Rozembarku. Kiedy po roku 1846 rodzina Kamińskich, po stracie ojca i zniszczeniu całego dobytku została na opiece ludzi, którzy nie znali istotnego stanu rzeczy, miał pan Karol niemałe kłopoty z odebraniem majątku, gdyż zaprzeczano mu z tytułu tego pozornego kupna, wszelkich do niego praw. Że wszakże pan Karol miał papiery odnośnie, wrócił do Ołpin, a piszący to przekonał się po zasięgnięciu zdania poważnych obywateli, jak pa-

nów Edwarda Dzwonkowskiego z Gromnika i pana Czesława Kobuzowskiego z Sulistrowy, że pretensye sierot po Kamińskim, a raczej opiekunów ich żadnej nie miały podstawy. Dygressyę tę zrobiłem z umysłu, by odpowiedzieć na skargi bezpodstawne tych, co jako dzieci opuszczając Ołpiny sądzą, że zostali pokrzywdzeni.

Pan Kamiński właściciel Wolicy pod Jasłem, był w roku 1847 wdowcem po Antoninie Lewandowskiej i pięcioro miał dzieci: Kazimierza, Franciszkę (Adamską), Helenę (Słotwińską), Władysława i Zofię. Te dwoje ostatnie jako najmłodsze były w szkołach w Rzeszowie. Oddany pracy, utrzymania majątku i przysporzenia tegoż, nie należał pan Roman do przygotowującego się ruchu; nie przeczuwał dla siebie i swoich niebezpieczeństwa jakiegokolwiek. Kiedy do dworu w Ołpinach, tego samego dnia co w Olszynach u Niewiarowskiego był rabunek, przybył mieszkający w miasteczku Ołpinach brat pana Romana p. Feliks, będący tamże sędzią i przestrzegał brata, by zabrawszy dzieci i kosztowniejsze rzeczy wyjechał do Jasła, odparł na to p. Roman, nie należę do niczego, krzywdy żadnej nie mam na sumieniu, zatem uciekać nie mam powodu. Niebawem bo w południe nadeciągnęła czerń chłopska od Rzepienników, a zatem część tych co Olszyny napadli, i rzuciło się na dwór ołpiński. Gospodyni zarządzająca domem niejaka Tomczyńska widząc na co się zanosi, zebrała na prędcę srebra stolowe i zanurzyła w poblizkim stawie, zkąd wszakże już ich później nie wydobyto, bo musiał to któryś z rabusiów podpatrzeć i zabrać. Opadnięty przez czerń Kamiński, i wezwany do oddania pieniędzy, polecił siebie i dzieci Bogu przed obrazem Matki Bożej, poczem związany i bity niemiłosiernie zaprowadzony został do karczmy, dokąd odstawili chłopci brata jego Feliksa i jedynastu ze służby w nocy, zabrawszy sześć sani ze dworu, wieźli wszystkich do Tarnowa. Jak się z nieszczęśliwemi ofiarami obchodzili w Ołpinach samych, ile razy na nie spadło po drodze, wnosić można z tego, że biedny Roman Kamiński drugiego dnia umarł skutkiem pobicia w Tarnowie,

że brat jego Feliks, który cudem powrócił do zdrowia, trzydzieści dwie ran miał w głowie. Nie ze samą wszakże tak srodze obchodzili się szlachtą, bo i karbownikowi głowę siekierą ciężko skaleczyli.

Dwór, gorzelnia i spichlerz do szczętu zostały zrabowane, owce bydło i konie uprowadzali rabusie, tak że drugiego dnia Tomczyńska z trojgiem młodszych dzieci, które były w domu, nie miały co do ust włożyć, i na pierwszą chwilę od miejscowego proboszcza przysłane dostały pożywienie. Po otrzymaniu wiadomości że ojciec nie żyje, zostały sieroty zabrane do Rzeszowa, by tam się chować pod bokiem p. Festenburga wyższego urzędnika, a krewnego Kamińskich.

Tak rozbiła czerń chłopska i tu gniazdo szlacheckie, zniszczyła cały dobytek, tak że dzieci i wnuki pozbawione mienia, ciężko na kawałek chleba pracować musiały.

O s i k ó w.

Aleksander Rola Lubieniecki

starszy porucznik piechoty w wojsku austriackiem, człowiek wszechstronnie wykształcony, aczkolwiek wychowanek akademii wojskowej, gorącym był patriotą, jako taki przeznaczony przez rząd rewolucyjny na dowódcę powstańców pod Sączem. Mieszkał on wówczas w Osikowie koło Grybowa. Wyprawivszy przed zamierzonym powstaniem żonę wraz z dziećmi do Grybowa, sam pozostał chwilowo w domu, oczekując hasła do wyjazdu. Tam to napadnięty z nienacka przez czerń chłopską, nie mogąc sam jeden stawić jej czoła, a nie chcąc być pojmany, męczony i do Sącza odstawiony, odebrał sobie życie wystrzałem z pistoletu.

Ostrów szlachecki

(niedaleko Bochni).

Opowiadanie p. Emila Miłkowskiego

przytaczam tu jako dowód, że włościanie nie mieli powodu pastwienia się nad szlachtą, że robili to tylko pod wpływem szatańskich podszeptów, że często w obronie własnych, zagrożonych przez inne gromady, panów stawali.

W Ostrowie mieszkał jako dzierżawca Albert Goczałkowski, oficer 1 pułku ułanów z 1831. Dostał się szczęśliwie do więzienia w Bochni i temu zawdzięczał życie, że zaś nie poszedł jak tylu innych po rzezi 1846 r. z torbami, zawdzięczał gromadzie ostrowskiej, która niedopuszczała w Ostrowie do rabunku, a rozebrawszy dla bezpieczeństwa pomiędzy siebie inwentarz i zapasy zboża, zwróciła takowe p. Goczałkowskiemu po wypuszczeniu go z więzienia.

Paleśnica.

Zamordowanie Nikodema Marynowskiego i dwóch towarzyszy.

Gałęź domu Marynowskich herbu Niezgoda, reprezentował Tadeusz Marynowski wraz z synem Nikodemem.

Tadeusz Marynowski właściciel Gumnisk i Wolicy, miał pierwszą żonę Felicję Potocką, która była matką Nikodema. Po jej śmierci, ożenił się Tadeusz z Barbarą Fox 1^{mo} voto Gradzińską i zamieszkał w majątku Gumniska z Wolicą, w okolicy Dębicy. Syn zaś z pierwszego małżeństwa Nikodem, trzyznał w dzierżawie wieś Krasne (parafia Chomranice) w cyrkule Sądeckim, od Zielińskich.

Nikodem dzielny młody człowiek, żył całą pełnią sił młodzieńczych, zapalając się do wszystkiego co dobre, piękne i wzniosłe.

Nie zbyt daleko od Krasnego (3 do 4 mil), dzierżawił wieś Borowę od Adama Niemyskiego Władysław Fox, oficer wojsk polskich z r. 1831, a brat cioteczny Nikodem; więc się komunikowali z sobą, — zwłaszcza, że obaj mieli jedną myśl w duszy, jedno pragnienie w sercu, i jedno żelazne postanowienie walczenia z wrogami Ojczyzny.

Gdy się zbliżała chwila wybuchu powstania w krwawym roku 1846, umówili się, że Nikodem przybędzie w dniu oznaczonym do Wesołowa przy Zakłuczynie do p. Tymoteusza Skrzyńskiego, z kąd zebrana drużyna powstańcza wyruszyć miała na plac zborny pod Tarnowem.

Aczkolwiek Nikodem Marynowski miał się żenić, to wszakże w obec miłości Ojczyzny, zamilkł głos serca... i dzielny młodzieniec stanął bez wahania do apelu, by wraz z towarzyszami podążyć na miejsce zborne.

Wiadomo — że wybuch powstania naznaczony był na dzień 21 lutego. Przed tym atoli terminem zaszły wypadki, które zapowiedziały nieudanie się rewolucyi. Należało do nich przyspieszenie powstania w Tarnowskim, pomimo zakazu nadeszłego z Krakowa. Niechęć ludu jaka się w tej okolicy groźnie odzywała, zamiast odwrócić zamiar powstania, które miało być ludowem, była w głowach tamtejszych zapaleńców powodem do jego przyspieszenia. Zdawało im się, że w obec oręża w ich dłoni, uspokoi się rozdmuchiwana przez urzędników, chłopiska zawierucha przeciw dworom, która szlachcie w samym początku odebrała ducha i energię. Ułożyli więc, że w nocy z 17 na 18 lutego powstańcy w liczbie dwóch tysięcy uderzą na Tarnów.

Plan ten nie został wykonany, bo zaledwo czterysta pięćdziesiąt powstańców stanęło w miejscach oznaczonych, tak zaś słabymi siłami było niepodobna wyrzucić Austryjaków z Tarnowa. Niektórzy powstańcy spóźnili się z powodu strasznej zamieci śnieżnej, większa atoli liczba została w drodze wyłapaną przez chłopów, lub w dworach przez nich otoczoną i wybitą.

Nasi powstańcy wrócili wszyscy — z panem Tymoteuszem Skrzyńskim — szczęśliwie do Wesołowa. Ztamtańd zaś do Stróż do Adama Nemyskiego. A nie wiedząc o odwołaniu powstania, uradzili udać się do Różnowa do Dobrzyńskich i tam przeczekać te dwa dni, by dnia 21. stanąć powtórnie pod Tarnowem, do zamierzonej walki z wrogiem.

W Różnowie aresztowało ich atoli chłopstwo, wysławszy po wojsko do Sącza. Zanim zaś wojsko nadeszło, powiodło się na nieszczęście Nikodemowi Marynowskiemu, Władysławowi Foxowi i Julianowi Nemyskiemu (synowi Florjana dziedzica z Karwodzy) umknąć z aresztu. Wszyscy odstawieni do Sącza, odsiedziawszy w więzieniu karnem, — zostali po roku lub dwóch léciech, wypuszczeni na wolność. Nasi trzej zbiegi zaś, umykając każdy w inną stronę, zostali z osobna pomordowani przez hordy zbójckie, między Paleśnicą a Zakluczynem i do Tarnowa odwiezieni, dla otrzymania za głowy panów przyrzeczonej nagrody pieniężnej.

Zamordowanie Adolfa Uhmy, dzierżawcy Paleśnicy, w cyrkułe bocheńskim.

Milę od miasteczka Zakluczyna, leżała wioska Paleśnica, nad rzeczką tegoż samego nazwiska, którą w ówczas, dla bezdroża, kilkadziesiąt razy trzeba było przebywać, zanim się zdążyło do Zakluczyna, nie bez niebezpieczeństwa w czasie wezbrania rzeczki. Z Paleśnicy zaś do Sącza, prowadziła tak zwana droga cyrkularna budowana szarwarkiem przez góry strome, ze spadkiem 10 do 12 cali na sążeni.

Wioskę tą dzierżawił od skarbu Karola hr. Lanckorońskiego Uhma Adolf, mąż Teresy Radomyskiej. Aczkolwiek tenuta dzierżawna była niska, to wszakże, gdy grunta są w większej części górzyste, potrzeba było natężonej pracy, aby na małym gospodarstwie utrzymać się można było. Uhma też nieszczęśliwie trudów, przykładając ręce pilnie do pracy, i cały oddany gospodarstwu i ognisku domowemu, nie brał udziału w konspiracy i zapewne nie wiedział nawet o niej. Aliści, po-

mimo tego, gdy całe okolice w roku 1846 były krwi strugą zalane, gdy rozszalała czerń chłopska wszędzie nowych ofiar szukała, nie uszedł i ten biedny człowiek strasznej śmierci.

Dnia 21 lutego napadła na niego czerń z ościennych wsi Borowy, Dzierżanin i Jamny, do której przyłączyło się chłopstwo miejscowe, i wykonała dzieło łupieży i mordy, które pod względem dzikości, przechodzi wyobrażenie wszelkie. Uhma przydybany w stajni, był tamże może całą godzinę cepami młócony, ztamtąd zaś wywleczony za nogi na podwórze, kosą ciętą, zakończył męczeńskie życie.

Rozkielzana zgraja chciwa łupu, rzuciła się na rabunek domu mieszkalnego, spichlerza, piwnicy i stajni i zrabowała wszystko, co było do zrabowania, czego zaś zabrać nie mogła, albo co jej się na nic nie przydało, zniszczyła tak, że biedna wdowa, pogrążona nagle została z dostatku, w zupełną biedę i nędzę.

Skarb hr. Lanckorońskiego przyszedł w pomoc nieszczęśliwej, i chciał ją utrzymać przy dzierżawie, lecz biedna kobieta, była tak bardzo przerażoną okrutną śmiercią męża i pogrozkami chłopstwa, że zabijać będą i kobiety, skoro tylko przyjdzie befehl od cyrkułu, że obawiała się pozostać nadal w Paleśnicy, pomiędzy zdziczałym ludem — i dobrowolnie ją opuściła, bo rzeczywiście nikt nie był pewny, czy noc nadchodzącą prześpi w swym domu.

Groźne, straszne i okrutne były to czasy, a więc też duch tego czasu malował się na twarzy każdego ucziwego człowieka, i jak ów w ustach gminu istniejący upiór, pierś człowieka przygniatał swym ciężarem, nawet miasta całe, i powlekał je grubą żałobą.

Z wiosną — po wsiach wyglądało wszystko ponuro i zgrozą przejęte, strach jakiś opanował lud, oprócz tego okropna nędza, głód i jakaś zaraza. Aż żal ścisłał serce, gdy wszędzie na drogach, po rowach, po polach, pod płotami i chałupami widziało się to trupów, to konających z niedostatku, głodu i nędzy... Konające dzieci leżały na trupach rodziców albo zawodziły i szarpały ich ciała, by obudzić je ze snu wiecznego,

P a r k o s z.

Morderstwo Nowaka Jerzego, dzierżawcy Parkosza i jego ekonoma Jaworskiego Tomasza i Marcelego Szybalskiego.

Opowiadanie Petroneli Nowakowej.

Mąż mój Jerzy Nowak, ojciec czworga małych dzieci, lat 40 kilka mający, dzierżawił pod Pilzнем wieś Parkosz, a zajęty gorliwie gospodarstwem, nie miał ani udziału, ani wiadomości o politycznych wypadkach.

We czwartek 19 lutego 1846, przyszło do nas kilku chłopów poddanych z Parkosza, którzy strwożeni zabójstwem burmistrza Merkla w Pilźnie, żądali rady, do ubezpieczenia się od napadu Polaków. Aby ich uspokoić, gdy wszystkie przedstawienia były daremne, uzbroidł się mąż mój podobnie jak byli uzbrojeni ci chłopci, — a ufając w przychylność, której się spodziewał po nich, powierzył im życie; bo zawsze był dla nich łagodny i wspierał każdego radą, pieniędzmi i wszelką inną zapomogą.

Przez cały dzień czwartkowy, wśród włóczenia się całej bandy chłopstwa, trwogą zburzonej, mąż mój obchodził z nimi miejsca, po których stały warty. Wieczorem zziębnięty i strudzony powrócił z nimi do domu — i jak było zwyczajem u nas, jednych traktował wódką, tych zaś co ślubowali na wstrzemięźliwość, traktował winem. Całą noc spędziliśmy w niespokojnem oczekiwaniu niewiadomych wypadków, o których była mowa w powszechności.

W piątek mąż mój czuł się słabym, — a gdy podano mu zupełną w godzinę południową, wpadła zgraja uzbrojonych chłopów, wołając z krzykiem, że mają rozkaz odstawić go do cyrkułu. Gdy się prosił, aby go odprowadzono do Pilzna, zezwoliła na to tłuszcza, i poprowadziła go wraz z ekonomem Jaworskim Tomaszem. Ale ja niespokojna, kazałam zaprzędk sanki, co nie prędko nastąpić mogło, bo służący ratował się ucieczką, i wszystka czeladź mnie odbiegła. Gdy za nim wy-

jechałam, spotkałam jednego chłopca, który mi powiedział, że już było za późno, mąż mój był już zamordowany i ekonom także. Ciała ich obnażone rzucono do rowu koło gościńca, — nikt niechciał je odwieźć na cmentarz, ani zrobić trumny, z obawy, aby nie był zabity. Chłopi niechcieli brać tych trupów; jeden przyszedł do mnie, podejmując się przywieźć ciała za wysoką cenę, której zapłacić niebyłam w stanie. Ledwie wróciłam do domu, gdy ta sama zgraja napadła nasz dom w Parkoszu, zbiła mnie nielitościwie, splądrowała wszystko. Zabrano cały zapas pieniędzy, zrabowano ze szczętem, zrujnowano dom, potłuczono, zniszczono co się tam znajdowało, — nie pozostał się żaden haczyk.

Przez czas rabunku ukrywałam się z dziećmi pomiędzy trzodą. Gdy nareszcie w niedzielę ogłoszono z urzędu, że zabijać już niewolno, ustały rabunki, — jednakże urząd cyrkularny nie dał żadnej pomocy do odzyskania zrabowanych rzeczy.

Uprosiłam mieszczan Pilźnieńskich. Przyjechał z nimi p. Urbański urzędnik drogowy, i gdy chłopom przeczytał piśmó, że rabować już niewolno, — odnieśli mi pościel i trochę rzeczy; — jednakże straciwszy zapasy zboża, inwentarz oborny i roboczy, cały kapitał gotowizną, zostałam z dziećmi bez pomocy i bez sposobu do życia.

Podobnie zamordowano w sposób najokrutniejszy pana Marcelego Szybalskiego, dzierżawcę Podegrodzia — gdzie zrabowano wszystko, nawet magazyn wódczany w ruinę obrócono.

Paszczyna i Sepnica.

Dziwnym sposobem udało się wyjść cało t. j. z życiem p. Garbaczyńskim, ojcu i synowi, dzierżawiącym obok siebie wioski Paszczynę i Sepnicę. Na wiadomość o mordach w okolicy i na wieść, że zgraja pijanego chłopstwa nadciąga, odprawili zajętych na gurnie ludzi, i ukryli się w słomę złożo-

ną w szopie przy owczarni. Długo ukrywać się tam nie mogli, bo chłopię szukali i tam za nimi, a zapuszczając żelazne widły w słomę, o mało nie ranili ciężko w głowę młodego Garbaczyńskiego. Uchodząc z kryjówki tej, uszli cudem z rąk pijanych chłopów, których na drodze spotkali, do czego stan opilstwa i ciemna noc się przyczyniła. Przesiedziawszy sporo czasu w rowie, gdzie zziębli strasznie, oddali się na łaskę znajomego sobie chłopca, który przechowując ich u siebie ogrzał ciepłym barszczem, i na przypiecku w ciepłe umieścił. I tu nowe groziło zbiegom niebezpieczeństwo, przybyła tu krwi żądna zgraja, a tylko przytomności umysłu i stanowczości poczciwej gospodyni zawdzięczali ocalenie. Uchodząc i z tej zagrożonej pozycyi, dowlekli się do stodół w Sepnicy, zkąd dopiero na zapewnienie matki i żony będących na podwórzu, że Sepniczanie dworu bronią od obcej inwazyi, wyjść się odważyli. Kiedy wszakże obawa była, że Sepniczanie nie zdołają długo opierać się obcym gminom, przyłączyli się Garbaczyńscy do oddziału dragonów idących gościńcem pod komendą Benedeka podpułkownika pod Gdów, i podążyli do Dembicy. Dwory w Paszczynie i Sepnicy zostały niebawem po odejściu panów G. zrabowane.

Nadmienić tu wypada, że pan Benedek nie chciał mimo pogrożek chłopów, że panów będą zabijać, wziąć ich ze sobą do Tarnowa, o co prosili, lecz zostawił ich obojętny na to, że ich zgraja rzezunów wymordować może. Bohaterowi z pod Sadowy spieszno było pod Gdów, gdzie pierwsze zdobył ostrog i

P a d e w.

(2 strażników, 2 chłopów, Krupicki, p. Małecka).

Zapiski w tamtejszym kościele zrobione przez ówczesnego proboszcza tamże księdza Michała Dutkę.

Według tych zapisków chłopci z Roźniat (Niziny) i Kębłowa konno i pieszo wpadli do Padwi zabijać i mordować. Ksiądz Dutka i wikaryusz Błażej Nalborezyk schronili się do kościoła. Ksiądz Dutka przywdział kapę żałobną, wystąpił od ołtarza z przenajświętszym Sakramentem. Chłopstwo się cofnęło, a wójt Padewski Michał Piechota nie dozwolił rabować, poczęstował przybyłe chłopstwo wódką, i radził im aby Padew opuścili, bo on na rabunek i gwałty nie zezwoli. Mimo tego przyszło w Padwi do bójki. Chłopci z Roźniat i Kębłowa, napadli na dwóch chłopów z Miehocina i na dwóch strażników, i tych za wsią w Padwi zamordowali. Po tym krwawym akcie, pociągnęła cała banda ku Tuszowu, aby się tam połączyć z inną bandą. Za Padwią w Przybyłach, (przysiółku) napotkała Krupickiego mandataryusza państwa Tuszowskiego, i tam go zamordowała. W bandzie tej mieli przewodzić chłopci Babula i Raś z Kębłowa, z Padwi zaś przyłączyli się chłopci Antoni Roja i Tomasz Zygmunt. Przez dnię 22 i 23 ukrywali się częścią w kościele, częścią na plebanii oprócz księży miejscowych, także Andrzej Zembrzycki cooperatorem z Gawłuszowic i posesor Leopold Górski. W tym samym zapisku jest wzmianka, jako chłopci z Przykopu, wioski koło Baranowa, Józef Ruta i Mateusz Jeziorski panią Małecką uciekającą z dwoma pannami, przez Domacynę do Baranowa napadli, i takową zabili, tamte zaś srodze pobili.

P i e l n i a .

(*Rylscy, Darowski Mieczysław*).

Osada ta w Sanockiem, majątek Ryłskich, zrabowaną została w r. 1846 w nocy, przez tłum uzbrojonego jak wszędzie w cepy, kosy, widły i drągi chłopstwa, którem żołnierz austriacki uzbrojony w karabin dowodził. Mieczysław Darowski podówczas gospodarujący w Sanockiem, był przypadkowo u p. Ryłskich swoich wujostwa, popasał bowiem woły, które na jarmark do Bukowska prowadził. Przeważony napadem, który chłopci po północy zrobili, porwał za broń i strzelił do napastników, sądząc że ich to odstraszy, temczasem to podrażniło tylko pijaną zgraję. Rzuciwszy się tłumnie na dwór, powalili Darowskiego, tłukąc go drągami po głowie na ziemię. Traktamentem takim pozbawiony przytomności, odarty do koszuli odzyskał pod wpływem zimna przytomność na to, by zobaczyć jak go powrozami skrupowano, i jak mu dla ściągnięcia pierścionków palce obgryzali. Ludzie ci wydali mu się być gorszymi od hyen, bo nie na trupów ale na żywych się rzucali. Pokaleczony odwieziony został do Sanoka, gdzie cztery miesiące w wojskowym przeleżał szpitalu. Woły opasowe Darowskiego rozebrali między siebie rabusie. Majątek p. Darowskiego napadli również chłopci z obcych dalszych wsi, lecz tu dowodnie się pokazało, że gminy nie były tak srodze uciskane i gnębione, skoro gmina Darowskiego, dworu jego i rodziny przed napadem broniła, a gdy się napady powtórzyły, dzieci i kosztowniejsze rzeczy pomiędzy siebie rozebrawszy, panią Darowską do Sanoka odwieść się zobowiązała. Napadani po drodze przez rabujące gminy, stając w obronie p. D. popadli w podejrzenie, że z panami trzymają, zaczęli pobici zostali i rozpedzeni, dając całem swem zachowaniem się świadectwo, jak ściśle wzięły gminę z dworem łączyły.

Pilzno.

Zamordowanie księdza Galeckiego, wikarego z Dobrkowa.

Podczas gdy Jakób Szela, powiernik satrapów austriackich w Tarnowie, a osławiony herszt krwawych band, stał 20 lutego 1846 r. w Kamienicy dolnej, a czerniawa jego zatrzymując jadących, obdzierała ich i mordowała; inna znowu banda jego rzezała koło Pilzna, a ujrawszy na rynku w Pilźnie księdza wikarego z Dobrkowa, rzuciła się na niego z cepami.

„Ludzie, co robicie“ — zawołał kapłan, ręce na piersi krzyżując — „przecieżem bezbronny!“ Zatrzymali się najzuchwalsi nie wiedząc co czynić. „Wszak i ja syn chłopski“ ksiądz dodał spokojnie. „Łże psim językiem!“ krzyknęła jedna z bab pijanych. — „On także taki sam wilk jak inni, bo trzyma z panami“. — „Kuba! a zdejmże mu głowę kosą jak makówkę“ zawołał parobek z widłami.

Kuba kosę podniósł, lecz inni go wstrzymali.

„Nie kosą jeno cepami!“ tłum wrzasnął, „trzeba wilka wymłócić!“

I na kapłana, który stał nieporuszony, posypał się grad razów śmiertelnych. Nieszczęśliwy zasłonił sobie twarz i głowę rękami, i tem przedłużył męczarnie swoje. Pod razami suknie z niego opadły, potem odpadało ciało kawałkami, a biedny stał ciągle na rynku, i był jak słup krwią obłany, którym naród naznaczył drogę męczeńską.

Schylił się, podniósł cepy, które się na nim połamały i rzucając je w oczy swoim oprawcom z okrzykiem niebo rozdzierającym, padł na ziemię i skonał.

Pijna tłuszcza radośnie wykrzykując, poszła szukać nowych ofiar.

Zwłoki zmarłego zawieźli rzezuny do Dobrkowa, i rzucili w śnieg w pobliżu kościoła...

Piekielko.

Tę wioskę w Sandeckim, własność Antoniego Dunikowskiego, wdowca po Udzańskiej, napadły bandy chłopstwa w środę popielcową przed południem i zrabowały niszcząc wszystko, czego zabrać nie mogły. Dunikowski do ostatniej chwili nie wierzył pogłoskom o rabunku, i dopiero kiedy ujrzał nadciągające hajdamactwo, chciał zebrawszy na prędcę kosztowniejsze rzeczy, uciekać do lasu, lecz pojmany, wywieziony został do Bochni. Wspomnieć się godzi zanego wójta Tomasza Kuśnierza, który własnoręcznie spichlerz zamknął, i chłopstwu zboża brać nie pozwolił, jak i karbowego Jakóba Smotra, który wiele zrabowanych rzeczy i bydła odebrał, i w czasie kiedy p. Dunikowski w więzieniu siedział, zasiewy wiosenne porobił.

Porąbka Uszewska

(w cyrkule bocheńskim).

Chłopstwo zabrało tutaj ze sobą ówczesnego plebana księdza Leopolda Perischa, brata jego Wiktora i organistę, by ich do Bochni odstawić. Księdza Perischa puściła zgraja rabusiów z Dembna przybyłych, na wstawienie się gromady Porąbki, tamci zostali odstawieni do Bochni, zkaąd po dwu tygodniach, razem z Płockim z Dołów zostali na wolność puszczeni.

Polanka

(leży na gościńcu z Jasła do Krosna, w pobliżu słynnych kopalni nafty w Potoku i Bóbrce. Właścicielem jej w r. 1846 był p. Tytus Trzecieski, ożeniony z Anną Węgłęńską, ojciec Adama zasłużonego w przemyśle naftowym, Jana Trzecieskiego, posła na sejm i wicemarszałka krośnieńskiego, i Maryi wydanej za Władysława Kraińskiego, właściciela Niebocka i Wyszatyc. Pan Tytus Trzecieski łącznie z Karolem Klobassą i z Ignacym Łukasiewiczem, stali się z czasem twórcami przemysłu naftowego w Galicyi, założeniem pierwszych kopalni nafty w Bóbrce).

Na Polankę napadli chłopci z Odrzykonia, Turaszówki i Biało-brzeg, a że w niedzielę rano napad urządzili, skradając się przez pola do dworu, przypisać temu należy, iż część oficyalistów p. Trzecieskiego, która gościńcem na mszę do Krosna wyjechała, rąk oprawców uszła. Z oficyalistami wybrał się był rezydent, rzekomy kuzynek p. Przeczkowski. Tłuny chłopstwa wpadły na dziedziniec właśnie w chwili, kiedy pod ganek dworu zajężdżały powozy, by z państwem Trzecieskimi i z ich gośćmi pojechać na sumę do Krosna. Państwo Trzeciescy u których bawił podówczas poeta Wincenty Pol z żoną i dziećmi, i przybyły w odwiedzinę do brata Wincentego, brat lekarz z Krosna, byli właśnie przy śniadaniu w sali parterowej mieszkalnego domu.

Gospodarz nie przypuszczający możliwości rozbójniczego napadu, wybiegł na ganek, pytając tłoczące się chłopstwo o powód liczego i hałaśliwego najścia, tem więcej że byli to chłopci z obcych gmin. Przyszliśmy, odpowiedzieli z rozkazu cesarza, dokonać rewizyi, szukać za bronią i Polakami. P. Trzecieski sądził, że odwagą i spokojem imponując tłumowi, powstrzyma go od wybryków, wszedł zatem w tłum, chcąc rozmawiać spokojnie, i rzeczywiście dopóki szedł w prostym kierunku, nie poważono rzucić się na niego, dopiero w chwili kiedy w środku dziedzińca zawrócił, posypały się nań z tyłu uderzenia cepów i wołania: „Tytusku, ty nam nic złego nie zrobiłeś, ale taki czas nastał, i taki mamy nakaz”. Pod razami upadł Trzecieski, poczem wleczono go po śniegu. Panie schroniły się w chwili, kiedy obudwu Polów wyciągano z pokoju na piętro, z kąd je

zaczyna wieśniaczka, Bednarka, przebrane w chłopskie szaty do swego domu uprowadziła. Rabunek domu trwał blisko dwie godziny, z elegancko urządzonej rezydencji młodego małżeństwa nie zostało nic, srebra i drobniejsze sprzęty unieśli rabusię, drzwi, okna i większe meble porąbali szukający za Polakami rewizorzy, wina w piwnicy wypili. Na komendę: „do Potoka, do Potoka” mieli podpalić drzewo, do którego Trzeciecki i Polowie byli przywiązani, przeważyła wszakże rada karbowego dworskiego Marcina, który im podstępnie tłumaczył, że raczej panów do starostwa w Jasła odwieść należy, gdzie ich Niemcy lepiej i dłużej męczyć będą. Powiązanych wrzucono na wozy, tak, że Polowie dostali się z pierwszym wozem do Jasła, Trzeciecki zaś dostał się pomiędzy Potokiem a Moderówką w ręce oficera majora bar. Rosnera, którego by ratować zagrożonych wyprawił z Jasła pan Franciszek Trzeciecki z Gorajowic, a brat Tytusa. Zaczynny ten oficer i komisarz z Jasła, ludzkością swą zasłużyli na to, że o nich w memoryale pisanym w r. 1847 pisał do hr. Stadyona namiestnika Galicyi pan Franciszek Trz.: „Welche die Retter ganzer Kreisen wurden, indem in diesen Kreisen nur dort ein Unglück geschah, wo die von Ihnen gewählten Massregeln entweder nicht angewendet werden konnten oder zu spät ergriffen wurden”.

Wincenty Pol będący chwilowo u przyjaciela w Polance, zamieszkał był od r. 1840 w Maryampolu nad Ropą pod Gorlicami, gdzie w spokojnem zaciszu domowem robiąc często wycieczki w Karpaty i Tatry, pracował nad geografią i etnografią ziem polskich, w czem mu pomocnymi byli znakomici przyrodnicy dr. M. Alth i Jacek Łobarzewski. Gdy się na polityczną zawieruchę r. 1846 zanosilo, i najbliżsi sąsiedzi jego ks. Stanisław Jabłonowski z Libuszy i Tadeusz Skrzyński z Zagórzan powyjeżdżali, opuścił i Pol dworek swój w Maryampolu, i wyjechał do p. Tytusa, zabierając bogate zebrane do geografii materiały.

Pobity a następnie z bratem i z p. Tytusem przywiązany do drzewa w dziedzińcu, wyszedł z tej katastrofy ze zła-

manem żebrem i z skrwawionem sercem, bolejąc, że ten sam lud mordował, dla którego śpiewał. Tam to zaginęły owe bogate rękopisy zabrane z Maryampola. Odstawiony najpierw do starostwa w Jaśle, a następnie do Lwowa, cierpiał wiele skutkiem ran zadanych mu kijami i cepami, tem więcej, że przystęp lekarzowi przez dozór więzienny był wzbroniony. Owocem gorzkich rozmyślań w tym czasie są „Psalmy pokutne”, napisane w więzieniu, i wiele poezyi odznaczających się nastrojem melancholijnym, smętnej barwy, a zawsze pełnych miłości i pobłażania.

Rok ów ohydnej pamięci zostawił w poecie niezatarte wrażenie, nigdy o nim bez silnego wrażenia wspominać nie mógł, żadna jednak skarga na włościan z ust jego nie wyszła. Obwiniał rząd i urzędników. Po strasznych wypadkach r. 1846 nie wrócił więcej do dworku w Maryampolu, który rychło popadł w ruinę, a niebawem i obraz Bogarodzicy, osadzony na dębie tuż obok dworku, przy którym płonęła zawieszona lampa, zniknął na zawsze, tak samo jak i dworek, z którego pieśni tyle w polskie uleciało ziemie, a zkład dziś spółka Mac-Garveya i Bergheima, naftę w świat wysyła.

Przytaczam tu w końcu wiersz poety napisany w więzieniu w Jaśle, udzielony mi przez pana Jana Trzecieckiego:

I rany na duszy i rany na ciele,
czy tych boleści nie będzie zawiele!
I ja w więzieniu, i w koszuli krwawy,
a moi biedni wśród zbójców bez domu
I bez ogniska, przytułku i strawy.

W co się obróci ta polska dziedzina,
i czem się będzie lud ten dalej bawił?
gdy pierwszym krokiem, co w życiu postawił,
już w dziejach świata, wyrósł na Kaina.

Pleśna.

Przy kolei z Tarnowa do Tuchowa nad rzeką Białą położona, wioska widownią była rzezi na wielką skalę, wedle bowiem zapisków znajdujących się przy tamtejszym kościele, jakkolwiek zrobionych dopiero w lat 29 po wypadkach roku 1846, zabili tamże chłopci 16 osób, a pomiędzy nimi właściciele Pleśny, panów Eisenbachów ojca i syna, jak i proboszcza miejscowego księdza Wojciecha Cieczkiewicza. Pan Eisenbach pomimo pochodzenia niemieckiego oddany sprawie polskiej, żołnierz z 31 roku, w którym jako rotmistrz służył, miał sobie powierzone dowództwo nad oddziałem konnicy, która wspólnie z piechotą Czechowskiego na Tarnów miała uderzyć. Kiedy należący do tego oddziału nie przybyli na punkt zborny, cofnęli się zgromadzeni w niewielkiej liczbie do Pleśny i tu przez tłumy chłopów obskoczeni, zostali wymordowani. Księdza Cieczkiewicza zamordował niejaki Socha (właściwie Iwoniec), a po jakimś czasie dręczony wyrzutami sumienia, obwiesił się na dębie pochylonym nad znaczną głębią Białej. Że nikt nie chciał tknąć się wisielca, kazał, rząd by usunąć to smutne świadectwo budzącego się sumienia u ludu, wyciąć dęba razem ze zbrodniarzem. Eisenbachów ojca i syna zamordował Tomasz Baran włościanin z Rychwałdu, a zatem nie poddany pleśnieński, jakby to z zapisków pleśnieńskich sądzić można.

Zapisków tych wartość oceni każdy, jeżeli przytoczę list Najprzewielebniejszego księdza biskupa tarnowskiego Ignacego Łobosa tej treści:

„Objąwszy dycezyę Tarnowską, nie zastałem już Ks. przy życiu. Jak mi mówiono, ebrietati supra modum deditus, miserrere occubuit. Na zdanie człowieka, który nie mógł być szanowanym we dworze i płał zemstą przeciwko ludziom nie respektującym go, nie warto zwracać uwagi.“

Tarnów 2 listopada 1894

Pisał zaś jak sam proboszcz ten zeznaje po 29 latach, opierając się na tem, co mu współnicy zbrodni chłopci Stanisław Włodek i Krzysztof Dewaczyński opowiadali. Wszyscy trzej godni wiary.

Podstolice

(na zachód od Wieliczki, w prostej linii ku Skawinie).

Zapiski z tamtejszego kościoła, zrobione przez ówczesnego plebana księdza Jana Komperdę.

Annus 1846. Rok ten opisać — wypada pióro z ręki, ub trzebaby je we łzach umaczać lub w goryczy, aby zamięszanie ówczesne i rabunek dostatecznie opisać.

Już od r. 1845 źli ludzie, nieprzyjaciele religii, rozsiewali po wsiach między ludem niepokojące wieści, jako to: że lud będą wyrzynać szlachta i panowie, że dworom będą odbierane grunta i lasy i ludowi rozdane, że panowie i księża uciekać będą. Podobne wieści tajemnie szerzone i utrzymywane, niezmiernie przerażały lud i oburzały, oczekiwano czegoś nadzwyczajnego. Wtem wybucha rewolucya krakowska 22 lutego 1846 r. W następny dzień słyszymy dokładnie tutaj armatnie i karabinowe strzały, lud przerażony zbiega się na pagórki, co chwila wiadomości a przerażające. 24 lutego ze wszystkich stron uciekają ludzie z dziećmi na wozach, za wojskiem cofającym się z Podgórze. Okropna wieść szerzy się o zabójstwach i rabunkach. Zatrudniony cały dzień prawie jeżdżeniem do chorych, nie mam czasu dochodzić źródła i prawdy tych wieści. W wstępną środę, czyli 25 lutego nowe wieści obiegają parafią. Powstańcy weszli do Wieliczki — wojsko się cofa — lud pomieszany — proklamacye rządu rewolucyjnego nadchodzą, za najmniejsze uchybienie grożą śmiercią, wszystko powołują pod karą śmierci do broni. Znowu dzięki opatrności boskiej

zatrudniony popielcem, chorymi i umarłymi, ostatni wychodzę z kościoła — lud przerażony rozleciał się już do domów, nie wiem co się dzieje, przerażenie i załęknienie ludu wzrasta. Nadchodzi termin stawienia się do Wieliczki rano 20 lutego. Mało kto zostaje we wsi, większa część ucieka za wojskiem do Kalwaryi. Kilka osób z dziećmi, przerażeni okropnymi wieściami ucieka do tutejszej plebanii, jakoto p. Różański possesor z Rzeszotar z całą rodziną, p. Sitowski sędzia z Ochajna. Nie wiedząc co się dzieje, cieszę wszystkich i uspokajam. W samej rzeczy, noc z 25 na 26 lutego spokojnie przespaliśmy. Dnia 26 lutego goście moi myślą o ocaleniu. Rozjechali się, pozostał się tylko u mnie ksiądz sąsiad. Po południu tegoż dnia, nowe wieści szybko krążą — klęska powstańców pod Gdowem, rabunek powszechny. W parę godzin już rabują okoliczne dwory — już w Rzeszotarach, a samym wieczorem Janowice i Podstolice. Jeszcze się nie domyślam nawet niebezpieczeństwa, chociaż słyszałem różne wieści o zamordowaniu panów i księży w sąsiedztwie. Kładę się spokojnie spać z księdzem sąsiadem, nie przeczuwając i nie lękając się niczego. Dopiero we śnie dowiaduję się, że będę napadnięty ale przez obcych ludzi. To była wskazówka widoczna opieki Boga. Przeważony tym snem wstaję rano, i dowiaduję się że kupy ludu z Janowic, Hormic gotują się na rabunek plebanii. Nie było czasu co schować, przeto poleciwszy się panu Bogu, kazałem zadzwonić na mszę ś., w nadziei, że lud pójdzie na mszę ś. i poprzestanie złej myśli. Chcę iść do kościoła, lecz jakaś moc niewiadoma cofa mnie do pokoju, kilka razy już będąc za drzwiami, wracam się bez przyczyny. Tak upłynęło pół godziny. W tem przychodzi mi myśl pocieszająca „teraz“ możesz iść do kościoła, poszedłem więc odprawić mszę ś. i wróciłem spokojnie na plebania. Nie wiedziałem więc w owym momencie, co znaczyła owa tajemnicza przestroga, która mnie w pokoju wstrzymywała, aż w parę dni dowiedziałem się, że wielkie kupy ludu czekały za chałupami ukryte, abym tylko poszedł do kościoła i zaczął mszę ś. W ten czas mieli wpaść

i rabować plebanią, będącego zaś w plebanii nie śmieli napaść, bo chcieli i miejscowi rabować — a tych znałem. Skoro bandy po oddzwonieniu pół godziny czekały, a ja do kościoła nie wychodzę, uradziły między sobą, tu nam nie zginie, chodźmy wprzód do dworu Ochojna, bo by tam inni wyrabowali. Ocaławszy tym sposobem, jadę do chorego do Rzeszotar. Ten niosąc ciężar zboża zrabowanego z dworu, potknął się, zerwał, śmiertelnie zachorował i w krótkce umarł. Jadąc tam napatrzyłem się, z jaką wściekłością latali, wozili, niesli, prowadzili, co tylko wzięść się dało. Z powrotem jadąc słyszę krzyk w Ochojnie: Polacy rzną w Łyczance i Sieprawiu. Pytam się ludu gromadzącego się z widłami, kosami, cepami i t. d. kto taki rznie? odpowiadają, że niedobitki z pod Gdowa chcą się przerznąć do Krakowa, po drodze mszczą się za panów, pałą i rzną chłopów. Na tę nowinę jadę czem prędzej do domu, aby choć coś uratować od śmierci, lub ginącym dać ostatnią absolucyę, lecz w Podstolicach cichuteńko. Taż sama wieść o rznieniu i tu się rozeszła, mieli dzwonić na gwałt, lecz ucichło wszystko. Ochłonawszy ze strachu, za ledwie obiad zjadłem, widzę otoczoną plebanię widłami, cepami, szynami żelaznemi, niewiedziałem co się dzieje, a uczułem trwozę, sądząc że niedobitki z pod Gdowa nikomu życia nie darują(!) Biorę czem prędzej komżę, aby ginącym ostatnią dać obsolucyę, wtem wśród strasznej wrzawy własnych parafian poznaje, wychodzę zatem pytając co to jest, i dowiaduję się, że banda z Janowic zgromadziła się, aby mnie zrabować. Niektórzy parafianie cnotliwi odparli ich cepami, (pomiędzy którymi odznaczał się Franc. Rysiek z nr. 13 z Podstolic, który wójta z Janowic cepami po pod nogi tak uderzył aż upadł) i dwóch z tychże rabusiów uchwycili i do plebanii doprowadzili; pytałem się wtenczas tych Janowianów czego tu chcieli, rabować — odpowiedzieli, i że Podstolanie po nich posłali, aby przyszli i zaczęli rabunek, gdyż oni jako miejscowi nieśmią. Poznałem wtenczas jaki jest stan rzeczy, kazałem uklęknąć cnotliwym, aby im dać błogosławieństwo, przemówiłem do ludu jaka go

czeka odpowiedzialność, gdyby naruszył choć jedną szybę plebanii cesarskiej niedawno wyrestaurowanej, a szczególnie zrobiłem za to odpowiedzialnym wójta, przy świadkach. Co się zaś tyczy broni, czy jej nie mam gdzie schowanej, kazałem czterem wejść do pokoju, i szukać wszędzie. Szukali szczerze po wszystkich piwnicach, górach, stajniach, a nie znalazłszy nic, podpisali że nic nie znaleźli. Wtenczas widziałem parafianów z płachtami, workami i postronkami do rabowania gotowych, ale nikt nie śmiał zacząć i rzucić się na mnie. Ocalałem drugi raz. Posłałem do Wieliczki do komendy wojskowej o pomoc przeciwko powtórzeniu takiego napadu, który liczyć można było na 100 osób. Wziąłem z każdej wsi po kilka chłopów na wartę na noc, kazałem wartownikom dać jeść i pić, lecz skoro się ściemniło, niepraktykowana nigdy bojaźń ogarnęła mnie i na żaden sposób usunąć nie mogłem ani wytłómaczyć, chciałem uciekać z domu i schować się do grobu na cmentarzu świeżo wykopanego. Odkryłem ten mój zamiar wyjścia z domu bratu mojemu, i gospodyni pannie Błażkowskiej już na wpół od strachu strętwiącej, załękli się, chcieli uciekać ze mną, gdyż bezemnie ani godziny nie czuli się bezpiecznymi. Przyjąwszy najś. Sakrament na wypadek śmierci ułożyłem się spać, a bojaźń mnie odeszła. Dowiedziałem się później, że niebezpieczeństwo było bardzo blisko, że groziło ze strony warty samej, że wszakże pójście do kościoła tłómaczono jakoby wyniósł z domu i w kościele schował pieniądze, zaczęło ustał zapal do nocnego napadu. Komenderujący w Wieliczce wtenczas pułkownik Benedek wezwał do siebie urząd tutejszy i z Janowic, i miał mówić, czemu schwyconych Janowianów nie powieszono, lub mu ich nie przyprowadzono a byłby ich kazał powiesić. Nie wiem co tam więcej im zalecono, tylko wójt podstolski mówił, że bardzo biją w Wieliczce. Tak przetrzymałem tę straszną w dziejach katastrofę, nie mając do końca roku ani jednego dnia bezpiecznego, gdyż ciągle nowe straszne wieści obiegały okolicę. Mówiono wkrótce po rabunkach że 3000 nowych rabusiów od Węgier ciągnie ku

Krakowu, że zabijają wszystkich, kto się z nimi nie złączy, że koło Raby jakaś wieś napadnięta i wyrznięta, że nowy ma być rabunek, ale się nie daruje życia ani dzieciom szlachty, ani księżom, że co tylko czarno się nosi, wymordowane będzie, że chłopci są przygotowani tajemnie w kosy, że nowi powstańcy ukryci są w lochach zamku krakowskiego, że od Francyi idzie chmura komunistów, którzy wszystko zabierają, bogatych zabijać będą, że chłopci w kilku miejscach zerwali się na wojsko.

Takie wieści kursowały aż do roku 1847. Puchlina, głód i tyfus przerzedziwszy ludność, zmusiły [najzuchwalszych rabusiów przyznać, że to jest kara p. Boga. W parafii tutejszej umarło 560 tych, co najwięcej dokazywali, wymarli przeważnie bez księdza. Twierdzą że gdyby Bóg tą śmiertelnością nie poskromił był rozhukanego i rozbestwionego ludu, przyszło by może do drugiego, a może straszniejszego mordu.

P o t o k

(*Stojowscy, Kaczkowski*).

(wieś przy gościńcu pomiędzy Jasłem a Krosnem, sąsiadująca z Jaszczwią, Jedliczem i Polanką, głośna bogatemi kopalniami nafty, należała do p. Jana Stojowskiego, który służąc w wojsku austriackiem, na starość osiadł na roli i cicho żył w gronie rodzinnem).

Dnia 22 lutego napadli chłopci z sąsiedniego Odrzykonja i Żarnowca na dwór w Potoku, zrabowali takowy zwyczajem swoim tak, że ogółem 30000 złr. szkody zrzadzili, niszcząc urządzenie domu, unosząc srebra i kosztowności, uprowadzając bydło i konie. Ekonoma którego przywołać kazali, pobili na dziedzińcu i pokaleczyli strasznie, poczem dokonawszy dzieła zniszczenia, powieźli związanego Stojowskiego i synów jego do Jasła, tłómacząc że robią to z rozkazu rządu cyrkularnego. W majątku tegoż p. Stojowskiego w Grudnie górnej, nietylko gromady ze Smarzewy i Siedlisk zrabowały dworskie budynki

ale zabiły ekonoma p. Stojowskiego niejakiego Kaczkowskiego, którego wedle świadectwa Klatki, Czekańskiego i żyda z Grudnej całą noc bito, aż mu z rozkazu Szeli uszy oberznęto, a że tego za mało było postrzelono, a w końcu końmi na śmierć stratowano. Stojowski puszczonej w Jaśle wolno, gdy synowie uwięzieni zostali, wniósł był podanie do Cesarza, które jak tyle innych zostało bez skutku, ginąc w rękach podłego otoczenia.

Mandataryusza w Potoku Wilibalda Śleczkowskiego, niedawno co ożenionego zabrali chłopci trzeciego dopiero dnia, tak że młodzi małżonkowie się łudzili, że już ocaleni. Powadze i dobrej woli wójta zawdzięczali Śleczkowscy, że ich nie zrabowano, i że po dokonanej za bronią rewizyi p. Śle. do cyrkułu do Sanoka stosownie do nakazu, jak się wójt wyrażał odstawiono, dokąd mężowi zaniepokojona żona towarzyszyła. Pani Śleczkowska była z domu Kaczkowska, córka dzierżawcy z okolicy, której brata chłopci zabili, rodziców zaś do szczytu zrabowali. Kaczkowskiego, który wymknął się był oprawcom i ukrył w stercie, wyciągnęli z niej i pałkami zabili. Nieszczęśliwa matka dotknięta tym ciosem, pomieszania zmysłów dostała.

Pstrągowa

(wieś w Tarnowskim na granicy Rzeszowskiego, wielka obszarem, rodzajem była kolokacyi, gdy na dziewięciu folwarkach dużo mieszkało szlachty, pomiędzy którą najwięcej znanymi byli Łazowscy i Teofil Wasilewski właściciel Markuszowy).

Antoni Łazowski oficer wojsk polskich, ojciec czterech synów i dwu córek, dowiedziawszy się, że czerniawa chłopska zbliża się do Pstrągowej, wyjechał z synami, Aleksandrem, Józefem i Henrykiem do Rzeszowa. Starosta rzeszowski Lederer nie pozwolił mu zostać w mieście, zmusił opuścić miasto, i popchnął w ten sposób nieszczęśliwych w ręce krwiożerczej czerni.

Wzbraniającego się wyjechać, kazał Lederer przez landsdragonów z miasta wyprowadzić. Wypędzony w ten sposób

przybył do Czudeca i prosił mieszczan o przytułek, lecz ci obawiając się zemsty chłopów i napadu na miasteczko, odmówili schronienia. Pędzony zewsząd puścił się ku Pstrągowej, i o pół mili ode wsi w czystym stanął polu. Synowie Aleksander i Józef poszli na zwiady, lecz zaraz na granicy przez chłopów złapani zostali.

Stojący temczasem w polu ojciec darmo powrotu synów wyglądał, a wtedy trzeci syn Henryk, górnik ze szkoły w Szemnie poszedł też by zobaczyć co się z braćmi dzieje, i również w ręce chłopstwa się dostał. Rozpacz, że synowie nie wracają, powiodła ojca ku granicy Pstrągowej. Kiedy go chłopstwo porwało i na miejsce zaprowadziło, gdzie synowie pomordowani leżeli, wymógł na oprawcach, że mu się wypowiedać pozwolili. Zaprowadzono go do kościoła i przywołano plebana ks. Modłę, który po odbytej spowiedzi wydał Łazowskiego chłopom, mówiąc: „teraz go sobie weźcie!”

Ksiądz Modła niespokojny jako sąsiad i znany w okolicy z niemoralnego życia, albo zwątpił o wpływie przedstawień w obronie Łazowskiego, albo też rad, że się świadka swego życia pozbędzie, zaniedbał obowiązku bronienia bliźniego, i nie przemówiwszy ani słowa ze stanowiska kapłana i człowieka, wydał starca chłopom. Gdy chłopstwo suknie z niego zdierało, prosił Łazowski by mu pozwolili pożegnać żonę i córki. Oprawcy wzięli go za uszy i w koszuli zaprowadzili do żony. Straszna była to dla rodziny chwila. Żałując mu i tych chwil paru, zawołali oprawcy: „dość tych szlochów”, wzięli ofiarę za uszy i wyprowadzili na dziedziniec. Tu prosił ich starzec, by jeżeli ma ginąć, ginął od kuli, gdyż mogliby być odpowiedzialni, gdyby go jako oficera inaczej zamordowali. Na to odezwał się Strzemeski, który z synami Szeli hordzie tej przywodził: „dobrze, niech ginie z mej fuzyi”, poczem chłopstwu rozstąpić się kazał a starcowi przykleknąć. Łazowski szczęśliwy że tą śmiercią ginie, obnażył piersi, i błagał Strzemeskiego by dobrze micrzył. Nieszczęśliwe niewiasty odarte ze wszystkiego w koszulach tylko pozostały.

Chcąc do szczytu wytepić tę rodzinę, wysłali rabusie po czwartego syna do Rzeszowa, by go sprowadzić, że wszakże pani Misiągiewiczowa listu od rodziców zażądała, nie pojechał chłopak, i w ten sposób ocalał. Z synów Łazowskiego przetrnęli jednego piłą, drugiemu nogi kosami, jakoby kosząc poobcinali, zanim go dobili. Ciała Łazowskich ułożono na wozie tak, iż na wierzchu usadowiono trupa ojca, włożywszy mu fajkę do ust.

Zginęli w Pstrągowie w dniach 23 i 24 lutego: Paweł Iskrewicz lat 65 ekonom na Sadowszczyźnie, Antoni Łazowski właściciel Okopu lat 58, ożeniony z Ewą Haczewską, Aleksander Łazowski syn lat 26, Józef Łazowski syn lat 24, Henryk Łazowski lat 22, Józef Kazimierz Bełdowski właściciel Bełdowszczyzny lat 38, Teofil Tymowski syn Stanisława i Praksedy z Jordanów, gorzelnik lat 22, Wiewiórowski Ignacy szlachcic lat 54, Stetkiewicz Feliks, ożeniony ze Zwolską, właściciel Żychowszczyzny lat 58, Koszewski Józef, mandataryusz i dzierżawca Podbrzezia.

Dokazywały tu bandy Szeli, które sprzedawszy żydom co poprzednio zrabowały i pijąc na umór przez noc całą, nad ranem rzuciły się na ciche dworki szlacheckie.

Przybysz

wioska w Mieleckiem w sąsiedztwie Wadowic, należała do Teodora Broniewskiego, którego wraz z kilkoma ofycyalistami zamordowali chłopci, wysłedziwszy ukrytych w stodole i niszcząc cały majątek. Ocalał z pogromu doktor nadworny Broniewskiego Błaszczykiewicz, który uchodząc pazurom chłopstwa, po drodze ostrzegął w Wadowicach Aczkiewicza.

Przyborowo — Dembica.

(*Dominik Rej, Ziátkowski Józef.*)

Z Przyborowa położonego w Tarnowskiem, niedaleko od gościńca z Pilzna do Dembicy, wybrał się wraz z żoną z domu Ankwiczówną i dziećmi, hr. Dominik Rej, by w mieście szukać schronienia, poczęły bowiem o burzeniu się ludu wiejskiego obiegać wieści. Niestety wybrał się zapóźno i wpadł w ręce grasującego po okolicy chłopstwa we wsi Latoszynie. Pan Rej starał się obronić przed napaścią chłopską, przyczem zginął guwerner francuz, rzeczy zrabowano i dzieci hrabiego przez tłumy porwane, do karczmy uprowadzone zostały. Rej, któremu się udało cudem wymknąć z rąk obławy, dotarł do Dembicy, zatrzymał się tamże przydłużej zatrwożony o los pozostałych w rękę chłopstwa dzieci, i to było powodem jego zguby. Czychające na jego zgubę chłopstwo wpadło do Dembicy, wywlokło Reja z powozu i młóćąc cepami, zawlekło jak sobie wyobrażało już nieżywego do urzędu. Kiedy wszakże niebawem rozbiegła się wieść, że Rej żyje i że go lekarz Grosser pielęgnuje, wpadły tłumy do izby w której był złożony, i dobiły nieszczęśliwego, przebijając go widłami i wystrzałem z pistoletu. Odznaczyli się wówczas herszt tłumów Langer i Wolf-ram komisarz akcyzowy.

Rządca Reja z Przyborowa ukrył się po zamordowaniu hrabiego w Dembicy, wróciwszy przerażony tym wypadkiem, na strychu w słomie. Dręczony głodem prosił służącą, która na strychu się pojawiła o odrobinę chleba, licząc na wrodzoną niewiastom litość. Zawiódł się biedak srodze, niepoczeiwa bowiem dziewczka zdradziła go, donosząc chłopom o miejscu jego ukrycia. Uszczęśliwieni tem odkryciem rabusie, wpadli na strych, z kąd przerażony Ziátkowski skoczył przez okienko, przyczem złamał nogę. Opadnięty przez chłopów, gdy wstać nie mógł na nogi, przywiązany został do konia i zaprowadzony do karczmy, gdzie sąd nań złożono. Pomimo że łaskawsi się doma-

gali by go do cyrkułu odstawić, przeważyło zdanie łakomych krwi jego, i został zabity uderzeniem w głowę kilofem. Zwłoki nieszczęśliwego odarte z ubrania, dwa dni niepogrzebane za wsią leżały, i dopiero staraniem karczmarza wśród pola pod figurą zakopane zostały, nie mając jak tyle innych ofiar pogrzebu.

Ze służby hrabiego Dominika Reja wybrali się, by się udać na punkt zborny na górę św. Marcina pod Tarnów razem z Sewerynem Stadnickim z Mrowli, i z Witowskim z Gorzejowy, Wincenty Olszewski kucharz i strzelec Tomasz Gąsior, do należącej do dóbr Rejowskich Głowaczowy, której część należała do Żurowskich. Z nimi wybrał się też i rządcą Głowaczowy Przetocki. Wszyscy po drodze zostali przez chłopów w Kotowy pojmani i srodze pobici, jeden tylko jadący na ogierze umknął Przetocki, lecz w Kowalowach dostał się w ręce chłopów i zginął śmiercią męczeńską. Pojmani w Kotowie zawiezieni do Tarnowa, siedzieli w jednym z ks. Morgensternem, Kapuścińskim, Siekierskim i z Danielewiczem w więzieniu, z którego kucharz Olszewski po pięciu wyszedł miesiącach, cierpiąc jak mi opowiadał wiele skutkiem wilgoci w piwnicy, i braku wszelkiego ubrania.

Przyborowo do szczętu zostało zrabowanem, a należały do hr. Reja Kotowa, Golonki, Karolówka, Głowaczowa i Słupie, które Kajetan Hupka dzierżawił.

Hrabia Rej pozostawił synów: Mieczysława ożenionego później z Konopczanką, właściciela Przeclawia, klucza Mikulinickiego w Tarnopolskiem i Wyżnickiego na Bukowinie; drugiego Stanisława ożenionego z Wilmą Głogowską, i córkę Helenę wydaną za hr. Marcina Kęszyckiego z Dźwiniaczki, w Zalesszczykiem.

Oprócz rządcy Ziątkowskiego, zginął także i brat tegoż, który był pisarzem.

Raciechowice

(*Kasper Biliński*).

na południe od Dobczyc, na wschód od Myślenic, należały do p. Kaspra Bilińskiego, wiekowego podówczas człowieka. Staruszek ten osamotniony wyjazdem syna Kazimierza, który jako rotmistrz służywał, wyglądał mając przy sobie wiernego sługę, rychło syn do domu powróci, nie przeczuwając grożącego sobie i jemu niebezpieczeństwa. Wypadki rzezi lutowej zaskoczyły go całkiem niespodzianie. Posłyszawszy niezwykłą wrzawę i hałas w dziedzińcu, pospieszył do okna, podczas kiedy sługa wierny wyszedł, by przekonać się co zaszło. Staruszek nie miał czasu opamiętać się, zobaczywszy tłuszcę zbrojną w kosy i cepy, a już rabusie zalali pokoje niszcząc i zabierając wszystko, rzucając się na bezbronnego. Pobiwszy biednego strasznie w domu, katowali bez przerwy w drodze do Myślenic, gdzie trzeciego dnia skutkiem pobicia i ciężkich ran umarł.

Rybie nowe i Rybie stare

(w powiecie limanowskim).

Rybie nowe własność spadkobierców po Józefie Wielogłowskim i po Petroneli z hrabiów Stadnickich, która jako wdowa wyszła za Jana Dunikowskiego, zostające pod zarządem oficjalistów, zostało jak tyle innych wsi okolicznych zrabowanym, a wściekłość chłopstwo w braku państwa, wywarło na służbie.

W Rybiu starem właściwej kollokacyi, mieszkali we dworze Wojciech i Amalia z Reklewskich Żuławscy, w starym dworze Karol i Julia z Żuławskich Stelzigowie, w Bałazeńskim Jan i Walerya z Radeckich Żuławscy, na Pustkach Andrzej i Joanna z Dunikowskich Janikiewiczowie.

Na dwory te napały bandy, które od Jodłownika nadciągnęły. Szczęśliwie skończyło się tu na rabunku, Wojciecha bowiem Żuławskiego obronił przed napastnikami poddany Maciej Słowikowski, żonę zaś jego przechował u siebie Wawrzyniec Szaruga, nie przeszkodziło to wszakże, że Wojciecha i Jana Żuławskich, jak i Andrzeja Janikiewicza do cyrkułu w Bochni odstawiono.

Ropa.

(Ks. Jan Kopystyński.)

Wyjaśnienie dane przez p. Józefa Żywickiego z powodu artykułu ks. Wojciecha Michny, zamieszczonego w kalendarzu „Pszczółki”, który tu w całości poniżej przytaczam.

Wójt Jan Siuta, organista Piotr Drzygiewicz i Sebastyan

Kusiak

ze wsi Ropy pod Gorlicami.

Niedaleko Gorlic leży wieś Ropa, w której w r. 1846 był proboszczem ks. Jan Kopystyński. Było to w niedzielę zapustną zrana, kiedy gruchnęła wieść w Ropie, że od Ciężkowic idzie czerń jakaś zbuntowana na dwory i miasta.

Strach wszystkich przejął! Niektórzy Ropianie pozamykali chałupy i skryli się w bliskich lasach, panowie dzierżawcy Paulin i Nowotny z dworu wyjechali do miasta; został tylko sam proboszcz i lud. Naraz doszła wiadomość, że czerń zrabowała dwór cały we wsi Bystry, z kąd dzierżawca Motyczynski z żoną i dziećmi wyjechał do Gorlic. — dalej we wsiach Polna i Biała, z kąd hr. Stadnicki uszedł cały, i w Ryglicach również dwory zostały złupione.

W Ropie był wójt Jan Siuta, organista Piotr Drzygiewicz i jeden z chłopów Sebastyan Kusiak; wszyscy trzej poczciwi i zaeni ludzie, prawdziwie miłujący wiarę i kraj; i ci wraz

z księdzem proboszczem trzymali porządek w całej parafii. Kusiak gdy posłyszał jakie wieści na wsi, dawał znać, a ksiądz, wójt i organista zapobiegali zaraz plotkom.

Po południu w tęż niedzielę, ksiądz kazał zawczasu dzwonić na nieszpory, aby mógł lud pouczyć na wypadek napaści rozszalałego tłumu.

Po naradzie chłopci się podzielili: jedni stanęli na warcie przy dworze, gdzie naówczas nie było nikogo, drudzy przy kościele i plebanii, a inni chodzili wypatrywać na wszystkie strony, czy napaść się nie zbliża. Ksiądz zaś chodził ciągle po wsi i lud uspokajał i pocieszał.

Tak przeszła noc z niedzieli na poniedziałek. Rano przyjechał jakiś obcy chłop. Był to poseł od Korygi lub Szeli, albo też innego ze zbójceckich hersztów owych czasów, którzy rozsyłali na różne strony swych wiernych posłanników, by namawiali wszędzie, aby dwory rabować, a ludzi w surduty ubranych bić, wiązać i do cyrkułu odstawiać. Posłannik ten zdziwił się niezmiernie, że w Ropie sami chłopci wartowali koło dworu i kościoła i mówił im:

— A wiecie wy, głupie chłopcy, co to się u nas dzieje? Oto wszędzie rabunek, ale nie na chłopów, tylko na surdutowych! Teraz może się każdy zbogacić i tyle sobie złożyć, że mu do śmierci wystarczy, a za rabunek nic mu nie będzie — a wy tu macie aż dwa dwory bogate!

Na takie piekielne namowy nie jeden się zdumiał, tem więcej, że w Ropie stała komisya już od roku we wsi, aby dzierżawcom odrabiać zatrzymaną pańszczyznę. A trzeba wiedzieć, że cyrkuły dawne naumyślnie wysyłały komisye do wsi, aby panów i chłopów na siebie jętrzyć i buntować. A przecie Ropianie nie uwierzyli temu wysłannikowi, bo im się zdawało, że byłby przyjechał ktoś z cyrkułu, zwołał gminę i rozdał im zboże na odrobek, albo w darowiźnie. Wreszcie wójt Jan Siuta, po naradzie z księdzem, kazał tego szatańskiego posła przyaresztować i pod wartą za granice wsi wygnać.

Otóż to prawdziwie zdrowy chłopski rozum!

Przez poniedziałek i wtorek grała muzyka w karczmie koło dworu, lud się zabawiał zwyczajnie jak w zapusty; wielka kupa chłopów stała koło karczmy coś radząc, a dwór stał bliźniutko. Ksiądz po całych dniach i nocach rozmawiał z chłopami, ciągle z nimi przebywając i strzegąc, aby głupstwa ni grzechu nie zrobili; wójt Siuta stał przy chłopach koło karczmy, a Kusiak w karczmie zachęcał lud do zabawy, aby nie miał czasu pomyśleć o rabunku.

We wtorek naschodziło się do wójta dużo obcych ludzi, a każdy z workiem lub płachtą.

Siuta spytał ich:

— Pociście to poprzynosili?

— A oni na to:

— My słyszeliśmy, że rozdajecie zboże.

Wójt krzyknął:

— A wy bezbożniki! czy myślicie dwory rabować? dam ja wam zboże!

Kazał worki i płachty im odebrać, złożyć na kupę i za tydzień przyjść po nie, a ich samych za granicę wsi odprowadzić.

Siuta był sobie chłop prosty, pisać ani czytać nawet nie umiał, ale znał przykazania Boże i wiedział, że Boga trzeba słuchać, a nie podmowy zbójców, a choćby i urzędników, jeśliby źle radzili. Widzicie więc, że mądrość jego, jako na prawdzie i miłości Bożej oparta, silniejszą była niż przewrotne podszepty kusicieli.

W Popielec stała wieś Ropa czysta, bez grzechu. Każdy chłop spokojny był w sumieniu, a ksiądz sypiąc im na głowy poświęcony popiół, błogosławił im za rozum ich i wytrwanie w enocie.

Przyjechał niedługo p. komisarz Poh z Jasła, pochwalił wieś i obiecał nagrodę, a spichlerza ani tknąć nie kazał i powrócił do Jasła.

Od Ropy aż ku Węgrom w góry nie było rabunku, również nie splamiły się grabieżą miasta: Dembowiec, Biecz, Gorlice i t. d., gdzie bogobojni byli mieszkańcy.

Pocziwy wójt Siuta i gospodarz Kusiak, kto wie czy jeszcze żyją. Niech więc choć na ich grobie będzie uczciwe dla nich wspomnienie, a za grobem niech Bóg dusze ich nagrodzi, a dzieciom i potomkom niech błogosławi w dalekie pokolenia! Pocziwy organista Drzygiewicz, później nauczyciel, niech ma także zasłużoną pochwałę za swą uczciwą pracę w czasach owych smutnych.

A dziś żyjący ludzie niech pamiętają, że z pomiędzy włóścian tylko ta czerń była zbrodniczą i występłą, która dała się pociągnąć do złego pod dowództwem hersztów onych; reszta ludzi została niewinną, a nawet sami wodzowie oni byli tylko w innych rękach narzędziami spustoszenia.

Dla mnie, który to piszę, miłe jest wspomnienie Ropy, gdzie bywałem na św. Michała na odpusty i znałem ten lud pocziwy, który choć był buntowany od posłanników, ręce jego od krwi i łupieżstwa splamione nie zostały.

Ks. Wojciech Michna z Chłopic.

Myli się ksiądz Michna, przypisując spokojne zachowanie się ludu wiejskiego w Ropie w dniach krwawych lutego 1846, zasługom wójta, organisty i Sebastjana Kusiaka.

Nie przeczę, by oni nie czuwali nad spokojem we wsi, aliści główna tu zasługa czcigodnego księdza Jana Kopystyńskiego (teraz prałata i proboszcza w Dembowcu), który aczkolwiek jeszcze młody, nieznużoną pracą nad oświatą ludu, głębokiem przejęciem się obowiązkami kapłańskimi, umiejętnością obcowania z ludźmi, miłością, sprawiedliwością i spokojem, zjednał sobie w krótkim czasie miłość i całą ufność tego ludu. A nie było to rzeczą łatwą, w obec szatańskich podszeptów do złego apostołów rozboju i rzezi.

Jako sąsiad najbliższy Ropy, bo zamieszkały w Szymbar-ku, wiem że komisarz cyrkularny z Jasła Heyrowski, Czech

roden, publicznie pouczał włościan, jak traktować mają buntowników. Głosił on: „Jeżeli panów nie będzie wielu, to napadajcie na nich śmiało, wiążcie ich i odstawiajcie do Jasła żywych czy nieżywych, gdyby zaś zebrało się ich więcej, to idźcie w ślad za nimi górami, a jak urosnącie w liczbę i w siłę, wtedy rzućcie się na nich, imajcie i zwoźcie do władzy.

W kilkanaście dni po wypadkach lutowych, rozmawiając z Narcyzem Pajęczkowskim, eksponowanym w Gorlicach komisarzem, gdym nadmienił, że to jeno księzca Kopystyńskiego zasługa, iż lud w Ropie mimo wielu pokus nie brał udziału w zawierusze, posłyszałem odeń: „Ani wspominajcie o tem, bo mu zaszkodzicie”.

Słowa te ilustrują wymownie ówczesne rządy austriackie w Galicyi. Zabójstwa, rozboje, łupieztwa, puszczano nie tylko bezkarnie, ale nagradzano — a ludzi prawych, dobrze społeczeństwu zasłużonych, notowano w czarnej księdze policyi.

Rozdziele górne.

Osadę tę w powiecie Bocheńskim, własność Jana Kante-go Zabawskiego, naszli chłopci od Raybrodu i Wojakowy, a nie mogąc oprzeć się pokusie, zrabowali takowy, właściciela zaś wraz z synem Leonem, uczniem szkoły wojskowej w Bardyowie, odstawili do Wiśnicza.

Ruch w Sanockiem.

W Sanockiem zamierzono jak wszędzie, uderzyć na miasto cyrkularne, a zatem na Sanok, a że cyrkuł ten w górach położony bardzo był rozległy, zatem z dwu a możliwie z trzech stron miały na oznaczony termin zdążyć pod Sanok gromadki

powstańców, by następnie łącznie uderzyć na miasto. Od strony północnej organizował powstanie w sąsiedztwie Ustrzyk, właściciel Ustyjanowy Stanisław Brześciański, który zdołał był pozyskać dla sprawy nadstrażnika finansowego Palmarowicza, i po nabożeństwie solennem w parafialnym kościele w Jasieniu, odprawionem przez ks. Putańkiewicza, razem z nim chłopom manifest rewolucyjny odczytał, lecz niebawem z trzynastoma towarzyszymi przez chłopów, którymi wójcia ze Stefkowy, Ustyjanowy i Olszanicy dowodzili, pojmani i powiązani do Sanoka zostali odstawieni. Brześciański pokutował następnie na Szpilbergu.

Z tejże strony północnej gromadząc się szlachta w Nowosielcach i Jurowcach, miała spieszyć pod Sanok, by się tamże z drugim oddziałem od granicy węgierskiej, a zatem od południa i od wschodu nadciągającym połączyć. Okolice te nadgraniczne najlepiej, pomimo że najnieodstępniejsze są, były zorganizowane i powstańcy gromadzili się w majątku hr. Fredry w Ciśnie, gdzie mandataryuszem był Ignacy Kaczkowski w Kalnicy, parę mil od Cisny położonej, u Sylwerego Brześciańskiego ożenionego z Łosiówną, w Procisnem u Marcelego Konieckiego, i bliżej ku Ustrzykom we Wydrnem u Antoniego Popiela. Gromadki te powstańców połączyły się pod Uhercami na drodze do Liska, i zostawały pod komendą Sylwerego Brześciańskiego, dopóki jej Bułharyn nie objął. Po drodze zajęli powstańcy kasarnie finanswachów w Lutowiskach, a w Skorodnem u Feliksa Terleckiego ogłoszono w cerkwi manifest. Z Wydrnego towarzyszył wyprawie ksiądz polski z Polany Łacheta, i tak powiększając siły swe szli powstańcy na Łobozew ku Uhercom, gdzie się z nowym oddziałem od Baligroda połączyli, wzrastając do 180 uczestników. W Lisku dowództwo od Brześciańskiego przejął Bułharyn i w Zagórzcu zapalić kazał chałupkę, by zawiadomić w ten sposób oddział, który zebrawszy się u Teofila Ostaszewskiego we Wzdowie pod Jaćmierzem, miał się pod Sanokiem połączyć.

W pół godziny po przybyciu Bułharyna, pochwycono przy karczynie pocztylioną, który do arcyksięcia Este we Lwowie wioził od starosty w Sanoku Osternana depeszę, w której błagał o przysłanie mu trzech szwadronów konnicy i batalionu piechoty. Obiecując sobie łatwe zajęcie Sanoka, ruszyli zgromadzeni na Lisko do Sanoka. Posuwając się bez przeszkody i rozpędziwszy gromadkę chłopstwa w Postołowie za Liskiem wystrzałami na wiatr, przybyli o jedenastej w nocy do Zahutyńia, gdzie wypoczywając we dworze, czekali na umówiony sygnał zapalenia karczmy na północ od Sanoka. Kiedy sygnału nie było, a wysłany unyślnie konny, a po nim Franciszek Bal nie powrócili, a miasto zapowiedzianego sygnału, na niebie od zachodu łuny pokazywać się zaczęły, zaczęło ubywać z gromadki, ten i ów bowiem chciał wracać do domu i do rodziny. Pod tem wrażeniem rozumiejąc, że sami na Sanok uderzyć nie mogą, cofnęli się po rozejściu się trzeciej części ku Liskowi. Nie uważając Liska za punkt dość silny, by się w nim można było bronić, pociągnęli ku Baligrodowi, gdzie stały resztki obronnego niegdyś zameczku, opierające się z jednej strony o niedostępny brzeg Hoczewki. Po drodze część znaczna ubyla tak, że trzecia część pierwotnego oddziału do Baligroda doszła, obiecując sobie wobec gościnności gospodarza, że dłużej pozostaną, dopóki by się nie dowiedzieli co się w kraju stało. Temczasem pod wieczór, kiedy znużeni wypoczywać zaczęli, zgromadziła się dokoła dworu nieprzejrzana chmura chłopstwa zbrojnego w kosy, siekiery i strzelby wzywając zgromadzonych do poddania się. O obronie dłuższej nie można było myśleć, gdyż dwór położony w środku drewnianych zabudowań gospodarczych, mógł łatwo być podpalonym. Opuścili zatem przyciśnięci dwór, i stoczywszy się do Hoczewki po stromem zboczku, zebrali się na gościńcu wiodącym do Węgier. W ślad za nimi pospieszili chłopci, kiedy wszakże padł od celnego strzału chłop idący na czele i dwa razy do czerniawy powstańcy strzelili, cofnęło się chłopstwo wśród nieopisanego krzyku i wrzawy. Spotykając po drodze oddziały chłopstwa

pijanego przy każdej karczynie, i spoglądając na łuny płonących dworów, szli tak w kierunku Cisny majątku hr. Fredry. I tu zaniepokojeni nadciągającymi tłumami chłopów, opuścili gościnny dwór i tylko czterdziestu z Bułharynem, między nimi Brześciański, Romuald Żurowski (ożeniony z Bukowską) pociągnęło ku węgierskiej granicy.

Tak spelzło na niczem powstanie ziemi sanockiej, której epizody szukaj pod napisem: Mrzyglód, Woytkowa, Wróblak i Nowe-Miasto, a na czterystu uwięzionych 254 w sądowym pozostało śledztwie, podczas gdy jak p. Sala przyznaje, 25 dworów zostało zrabowanych.

Sanok miał starostą p. Ostermanna, a pomiędzy podrzędnymi urzędnikami nie brakło godnych przedstawicieli ówczesnej biurokracyi, który jak n. p. Schiffner nagany tym udzielali gminom, które nie rabowały.

Więźniowie polityczni zamknięci w Sanoku, wywiesili demonstrując w czasie jakiejś uroczystości dworskiej, rodzaj chorągwi z czerwonych i białych chustek na prędcie zrobioną, i za to na dwudziesto-czterogodzinny post i na kajdanki zostali skazani. Wtenczas to właściciel Ustyanowy, Stanisław Brześciański zawołał przy nakładaniu mu kajdan: „kajdany te nie hańbią nas, owszem są dla nas zaszczytem, zdrajcy podli będą nosić złote łańcuchy, my zaś żelazne”.

Rygllice.

Rzeź w parafii Rygllice, obwodu Tarnowskiego, dnia 20 lutego 1846 roku.

Oto spis ofiar zamordowanych przez chłopstwo w krwawym roku 1846 dnia 20 lutego w parafii Rygllice:

1. Uniszowa, Bonawentura Jastrzębski dziedzic, 49 lat,
2. „ Piotr Malinowski ekonom, 38 lat,

3. Rygliee, Ludwik Stancykiewicz ekonom, 37 lat,
4. „ Antoni Musil szewe, 36 lat,
5. „ Antoni Oświecimski szewe, 21 lat,
6. „ Jan Szymański krawiec, 45 lat,
7. Joniny, Jan Sozański ekonom, 35 lat,
8. Kowalowy, Jakób Walczyk furman, 37 lat,
9. „ Stanisław Zięba stróż domowy, 24 lat,
10. „ Ludwik Konarski kucharz, 26 lat,
11. „ Henryk Przetocki dziedzic, 37 lat,
12. „ Julian Przetocki dziedzic, 28 lat,
13. „ Kryspin Przetocki dziedzic, 23 lat,
14. „ Jan Oczkowski ekonom, 50 lat.

Wszyscy ci do Tarnowa zawiezieni i tam w wspólnym grobie pochowani zostali.

Z parafii Ryglie tylko trzech chłopów brało czynny udział w rzezi, cała zaś falanga pijanego motłochu nadeszła z parafii Zalasowa i ci mordowali i rabowali co się dało.

W Bistuszowej nie zamordowali nikogo, gdyż państwo ze dworu zawczasu wyjechali do Tarnowa.

Ofiary te mordowano na miejscu, i w drodze wioząc do Tarnowa satrapie cyrkulowemu Józefowi Breindlowi, temu mordercy, zbrodniarzowi, zbryzganemu krwią polską, z którym osławiony Szela dzielił się łupem. To też Breindl wywiózł z Tarnowa przeszło 100.000 złr.

Tarnów przedstawiał w krwawych dniach lutego piekielny widok. Chmury chłopstwa pijanego, zbroczonego polską krwią swych ofiar, snuły się po ulicach wespół z szumowinami miejskimi, wygrażając się inteligencji, która przerażona zamknęła się w domach. Breindl bratał się z chłopami, ośmielając ich tem samem do dalszej zbrodni. Próby czynione w tej mierze przez gorliwych kapłanów, poczytywały władze rządowe za podżeganie do buntu. Dowodem tego było prześladowanie księdza Serwatowskiego, profesora teologii w seminarjum Tarnowskim, którego nawet translokowano do prowincyi niemieckiej.

Ofiary rzezi z parafii Ryglie, zmasakrowane do niepoznania, obdarte do naga, pochowano cichaczem na cmentarzu pod jedną mogiłą w wspólnym grobie.

Rzepiennik marciszewski

(*Jaworscy.*)

(na przekątnej gościńców z Tuchowa i Ciężkowic, sąsiaduje z Golanką, Gromnikiem, Kozłówkami, Rzepiennikiem stryżowskim).

Z rękopisu Wej Anny Jaworskiej.

Dnia 19 lutego cała nasza rodzina razem była zebrana, nie przeczuwając nic, gdy w tem znać nam dano, że zgraja chłopów uzbrojona w kosy, widły, noże, cepy, okoliczne lasy zaległa, krzyząc, że panowie ich chcą mordować.

W chwilę potem żyd, który nas już przedtem przestrzegął, wbiega z oznajmieniem, że sąsiedzi nasi w najokropniejszy sposób zamordowani zostali (dwóch Dembińskich, Dzwonkowski i Tetmajer), zrazu nie wierzyliśmy tym doniesieniom, znając ich prawość i sprawiedliwość, powątpiewając wreszcie, by lud nasz zdolnym mógł być do takiej zbrodni. Co raz to nowsze szczegóły dochodzą nas, my ciągle nie wierzymy, całą jednak noc nie rozchodziliśmy się. O północy nowe wieści, bliżsi nasi sąsiedzi również już wymordowani. Horda chłopów, to pieszo, to na zrabowanych koniach obładowana zdobyczą, zbliża się do nas, a za nią kobiety i dzieci jako pomocniki. Wieśniak wysłany przez nas z listem do zrabowanych sąsiadów, potwierdził wiadomości nie pokazując się nam. Wątpić dłużej nie można było. Rzuciliśmy się na kolana błagając Boga, by nam dozwolił razem umrzeć. Rodzina nasza składała się z brata, żony jego, 70-letniej ciotki, dwunastoletniej dziewczynki, która się u nas wychowywała i młodego kuzyna, który przed dwoma dniami przybył z Tarnowa, co właśnie zbrodnią było w obec

chłopów. Pozostali przy nas kucharz, lokaj i panna służąca, reszta domowników opuściła nas. Brat mój, który przez 27 lat gospodarując na wsi, znał wszystkich chłopów z imienia i nazwiska, udzielając im pomocy w każdej potrzebie, tak ufał swoim poddanym, że ani się ukrywać, ani uciekać nie chciał, wezwał tylko wójta do siebie, który przysięgał, że o niczem nie wie, że żadnych rozkazów od nikogo nie odbierał.

Z rana 20 zebrali się dość licznie włościanie koło domu i ci nam opowiadali nie szczędząc najstraszniejszych szczegółów, że chłopci zabijają szlachtę, gdyż Polacy licznie nadciągają, aby chłopów wymordować. Straż otaczająca nas zmieniała się często, a wielu z świeżo przybywających miało odzież pokrwawioną. Widok ten przejmował nas dreszczem, oni zaś opowiadali, że pokrwawieni zostali bronią tych nieszczęśliwych, którym zarzucali, że byli winnymi, gdyż posiadali broń i wielką ilość noży. Były to zapewne srebra, które w każdym zamożniejszym domu się znajdują. Cały dzień 20 lutego widzieliśmy z okien gromady uzbrojonych chłopów, przeciągające w różnych kierunkach.

Zdawało się, że na nas wcale uwagi nie zwracają, dopiero między 5 a 6 wieczorem część tychże wpadła do nas na podwórze, a my nie czekając wyszliśmy naprzeciw nich. Na zapytanie mojego brata czego żądają, odpowiedział jeden z nich wyglądający na przywódcę, że szukają podejrzanych ludzi, którzy czyhają na ich życie i na spokój państwa. Wysunęłam się na przód, błagając ich żeby towarzyszyli nam do kościoła, gdzie wszyscy razem modlić się będziemy do Boga o światło i miłosierdzie nad nami. Jeden z nich rozśmiał się szydersko i odpowiedział mi: „nie ma po co chodzić do kościoła, bo księża nie czekali tak długo jak wy”. Wśród tego powstała kłótnia między tymi którzy nas bronili, a tymi którzy zrabować chcieli; wreszcie ci ostatni ustąpili grożąc i przeklinając. Nadeszła noc, a z nią wzrosły nasze obawy. Niepokoiło nas zwłaszcza to, że otoczenie nasze ciągle się zmieniało. Opowiadali sobie, że całe wojsko powstańców rozbójników czyli tak zwanych Polaków, usiłuje przejść przez rzekę (Białą) i że chłopci

bronią się dzielnie, wreszcie oznajmili nam, że obecność naszego krewnego jako świeżo z Tarnowa przybyłego, na nas wielkie nieszczęście ściągnie, i że koniecznie wydalić go trzeba, co naturalnie byłoby dlań wyrokiem śmierci. Nieszczęśliwy chłopak przeczuwał co go czeka, a pomodliwszy się, oddał mi pieniądze, które miał przy sobie z prośbą, aby je wręczyć siostrze jego, oddał mi również pierścionek od narzeczonej. Wśród ciemnej nocy widzieliśmy ognie rozpalone na górach, i przebiegające strażę uzbrojonej tłuszczy, która strzegła przystępu urojonym wrogom. Liczba obrońców naszych zmniejszała się ciągle, niektórzy powracali pijani i porywali broń w celu jak mówili naszej obrony. Po północy zostaliśmy już całkiem sami, wtedy kilku z najprzychylniejszych nam wieśniaków przybiegło oznajmić nam, że już nas bronić nie mogą, że musimy uciekać, gdyż zbuntowane chłopstwo domaga się gwałtem życia naszego brata. Brat mój ulegając mojej namowie, prosił jednego z nich żeby go ukrył, na co tenże z pewnem wahaniem się przystał, dodając, iż trzeba byśmy kosztowniejsze rzeczy ukryły, gdyż prawdopodobnie dom będzie zrabowany. Bratowa moja z pomocą lokaja zabrała trochę odzieży, i worek zawierający sto reńskich, i oddała je temuż wieśniakowi do przechowania, co potem sumiennie zwrócił. Gdyśmy już mieli opuszczać dom, radzili chłopki kobietom pozostać, twierdząc, że nam nie grozi niebezpieczeństwo tylko bratu, ale to było właśnie powodem, żeśmy go opuścić nie chcieli. Otulone w płaszcze i futra, puściliśmy się w drogę mimo nocy i śniegu. Rozdzieliliśmy się: krewny nasz wyprzedził nas, a i ciotka z dwoma kuzynkami w innym udały się kierunku. Pomimo że całą zimę nie wychodziłam z powodu wątłego zdrowia, nie czułam zmęczenia, chociaż co chwila zapadałem w śniegu. Doszliśmy narreszcie do chaty naszego przewodnika, otwarliśmy drzwi z wielką ostrożnością, gdzie przyjęci przez jego żonę i dzieci, zastaliśmy przygotowane dla nas posłanie ze słomy. Gospodarz schroniska zapalił świecę i umieścił ją w piecu, aby nas światło nie zdradziło, przykazał dzieciom aby się cicho zach-

wały i nikogo do chaty nie wpuszczały, nam zaś oświadczył, że nas opuścić musi, ażeby nie zwrócić na siebie podejrzenia. Zdawało nam się, że możemy być spokojni, będąc zdala od wycia zapitych tłumów. Spokój ten przerwał gwałtowny wrzask kobiety utrzymującej, że jej się śniło jako brat mój nożem na nią godził w chęci zamordowania. Zaledwie zdołaliśmy ją uspokoić, a już słyszymy pukanie do drzwi. Przerazenie z tego powodu nie małe — na szczęście był to nasz służący, który nam przyniósł pożywienie, któregośmy się nie tknęli. Wszystko jeszcze w domu było nietknięte, i wrócił by co uratować. Gdy dzień zaczęło, najstarszy syn gospodarza oświadczył nam, że dla większego bezpieczeństwa do piwnicy nas zaprowadzi i tam zamknie, a zaledwo brat mój strudzony zasnął, wpadł do nas przerażony gospodarz i kazał nam się co spieszniej wynosić, mówiąc, że przez nas i jemu niebezpieczeństwo zagraża, a jest ich przeszło tysiąc, rabują teraz wasz dom i chcą was zabić. Wyszliśmy na otwarte pole nie wiedząc gdzie się obrócić, a równocześnie i kuzyn nasz zmuszony był opuścić swoje schronienie. Szliśmy w kierunku lasu oddalonego o kilkadziesiąt kroków od drogi, na której ujrzeliśmy tłumaczkę biegnącą w kierunku zabudowań dworskich, i szczęściem tak byli spodziewanym łupem zajęci, że nas nie zobaczyli, z czego korzystając, ukryliśmy się w wąwozie pod skałą. Miejsce nie szczególnie obrane, w miarę bowiem jak słońce wyżej się podnosiło, śnieg topniał, a wody spływające nas podtapiały, za to było bezpiecznie, nas nie widziano, pomimo że my słyszeli krzyki i widzieli dzielących się naszą własnością.

Kuzyna naszego, który chcąc się ukryć biegł do lasu, spostrzegły baby, powstał krzyk i wołanie że Polak, że powstaniec biegnie do lasu, gdzie ich są tysiące. Rzucili się za nim w pogoń i niebawem pochwycili, krzycząc że go zabiją, jeżeli broni nie odda i nie wyda swoich towarzyszków. Pokazał im krzyżyk, który miał na piersiach mówiąc: „to jest jedyna broń moja“, poczem chłopstwo rzuciło się na niego i bili, kopali go i wlekli blisko ćwierć mili, żądając aby mego brata

wydał. Milezał uparcie, zawlekli go więc do najbliższej karczmy, gdzie wiele bardzo chłopstwa zastali, których dowódzca wołał: dobijny tego szlachcica, boć nie małe mamy z niemi rachunki. Chłopi ci byli przeważnie włościanie z Rzepiennika, a jeden z nich przechwalał się, że to ósma jego wyprawa. Kuzyna uratowało to że omdlał, jako umarłego bowiem odarłszy pierw z rzeczy, zawlekli na nawóz i tam porzucili. Zimno i ból ocuciły go, słyszał tuż obok w karczmie muzykę i wykrzykiwania pijanego chłopstwa, to też myślał, że trzeba mu udawać umarłego, pragnienie wszakże i gorączka zmusiły go, że odważył się prosić przechodzącą kobietę o trochę wody. Przypadek zdarzył, że była to nasza dawna a wierna sługa, która nie tylko dała biedakowi wody, ale przeniosła go z pomocą dwóch poczeiwych wieśniaków do domu, w którym już nie było drzwi i okien, tak że w braku wszelkiej pościeli i odzieży, przykryła go skórą z świeżo pobitych baranów, które chłopci dla zabawy w naszej owczarni wystrzelali. My siedzieliśmy w wąwozie zziębnięci i przemokli, a ogrzaliśmy się nieco mlekiem, które nam przyniósł gospodarz chaty, w której przedtem byliśmy się ukrywali, i wódką którą przyniósł nam kucharz, który też i futro jakieś odszukał, i szczegóły rabunku nam opowiadał. Brat mój znękanym naszem położeniem, postanowił iść naprzeciw zbuntowanych chłopów; nie chcąc opuścić go idziemy za nim, i spotykamy chłopca niosącego zabrane u nas rzeczy; ten zmięszany naszym widokiem, radzi nam wrócić do temczasowej kryjówki i w niej przeczekać do nocy. Z nadejściem nocy znachodzimy u tego samego chłopca przytułek, a mile brzmiały w uszach naszych jego uwagi. Na co się wam to przyda, że o kilka dni przedłużycie wasze życie, skoro do miesiąca i jednego szlachcica na ziemi nie będzie, gdy takie nastały czasy. Urlopnik z naszej wsi odprowadzający nas do chałupy opowiadał mi, z jaką uciechą rozbijali fortepian mój, jak biedne pozabijali kanarki. W chacie znaleźliśmy przygotowany nocleg, a gospodarz upewniał nas, że jesteśmy na tę noc zupełnie bezpieczni. Brat upewniony w ten sposób

zasnął, a my chcieliśmy również wypocząć z bratową, przedtem jednak miałyśmy dziwny widok usposobienia naszych włościan. W posiadaniu cudzego mienia zrabowanych tyłu rzeczy, zbroczeni krwią pomordowanych, całowali ze czcią relikwie, któreśmy im pokazywali. Nadedniem co raz gwarniej zaczęło się robić w chałupie, idąc bowiem za śladem, odkryli nasze schronienie [i zaczęli się też naradzać, co z nami zrobić należy, przyczem przeważało zdanie, że mnie i brata jako właścicieli ostatnich zabić wypada. Kobiety ukrywające nas u siebie płakały, obawiając się o nas i o siebie, chłopci bowiem którzy przybyli, uzbrojeni byli w pałki. Brat przebudziwszy się, chciał ich skruszyć zapytując ich, czemu by kiedy w obec nich mógł zawinić, na co mu odpowiedzieli, że się istotnie na niego użalać nie mogą, a gdyśmy ich prosili by nam naszego proboszcza sprowadzili, odpowiadali nam, że przecież chorzy nie jesteśmy, ustąpili wszakże i ten sam co najwięcej na nasze życie nastawał, pobiegł po księdza. Z niemałym przerażeniem spostrzegłyśmy pomiędzy przybywającymi do chałupy wiele bardzo obcych twarzy, a dziwnie miłą w tem położeniu była uwaga zrobiona przez jednego z przybyłych, „znam tego pana, bo niedawno przyprzągnął do mego wozu, którego moje konie uciągnąć nie mogły swoje konie“. Odezwanie się to podziałało dobrze, zaczęły bowiem wśród narad co z nami zrobić przeważać głosy za tem, by nas do Tarnowa odstawić. Ładnie byli byśmy wyszli przy tem postanowieniu, po drodze bowiem zabijali chłopci pijani przy karczmach, a nie lepiej poczynali sobie i szwoleżery wysyłani na patrole, jak to się stało w Lisiej górze. Przeczuciem wiedzeni, wzbraniałiśmy się by nas do Tarnowa odstawiano, tłumacząc, że Tarnów nie jest naszym obwodowem miastem. Kiedy się to działo, nadszedł ksiądz nasz ze stułą i krzyżem. Błady ale spokojny zbliżył się do nas, a podając nam krzyż do ucałowania przemówił zarazem do zgromadzonych, przedstawiając karę boską za mordy i zbrodnie popełnione. Wezwał nadto tych co nas bronie byli gotowi, by otoczywszy wóz odprowadzili nas na miej-

sce przeznaczenia. Ksiądz towarzyszył nam do najbliższego miasteczka (Rzepiennika) nie rękąc wszakże za bezpieczeństwo w domu własnym, którego chłopstwo nie uszanowało, powierzył nas opiece strażnika finansowego. Lud zbierający się do kościoła, była to bowiem niedziela, otyczył dom strażnika, zobaczywszy że my doń weszli. Krewnego naszego sprowadził do nas ksiądz wikaryusz narażając się, wołano bowiem nań „zabić ciaracha“. Straszny był widok tego nieszczęśliwego, krwią zboczony, okryty sińcami i złamaną miał rękę. Żona strażnika posiliła go, poczem usiadł z nami na wozie, i ruszyliśmy w drogę pod opieką strażnika a raczej jego munduru, przed którym cofały się nieraz napadające na nas po drodze tłumy, grożące nam śmiercią tem więcej, że im mówił, że nas jako więźniów władzy odstawia. Odwdzięczając się choć w części, dała bratowa moja dla żony jego złoty łańcuszek. Po drodze zatrzymaliśmy się w miasteczku, którego mieszkańcy obawiali się na tę noc napadu. Tu opatrzył lekarz miejscowy kuzyna naszego i z polecenia jego, ponieważ obawiał się zapalenia mózgu, przez całą noc przykładaliśmy biedakowi lód na głowę. Z chorym ciężko puściliśmy się rano w drogę nakarmieni przez wójta. Tak dojechaliśmy do naszego cyrkularnego miasta (do Sącza), dokąd przybył też konający prawie sąsiad nasz.

Szukających za jakim kącikiem, zabrał do siebie zacny jakiś staruszek, w którego acz licznym a nie zamożnym domu znaleźliśmy gościnną opiekę i troskliwość dla naszego chorego, którego następnie przeniesiono do szpitala zapełniającego się codziennie nowymi ofiarami. Nie długo używaliśmy spokoju, trzeciego bowiem dnia przy odgłosie bębnów ogłoszono postanowienie, że tegoż jeszcze dnia obywatele wiejscy opuścić mają miasto. Nieposłuszni mieli być karani więzieniem, a przetrzymujący takich skazańców u siebie, mieli zapłacić karę pieniężną. Trudno opisać przerażenie i rozpacz biedaków skazanych tem samem na śmierć niechybną. Wielu rozchorowało się z przestrawu, inni udawali chorobę, by mogli pozostać, wszyscy jednak nie mogli udawać. Rozkaz opuszczenia miasta

nie był tak łatwym do wykonania, trudno było wynająć wóz, to też puściliśmy się zaopatrzeni przez zacnych gospodarzy zapasami na drogę piechotą, i w reszcie po drodze wynajęliśmy wóz, który nas zawiózł na miejsce przeznaczenia, a byliśmy przygotowani, że pieszo drogę tę odbywać będziemy, pierwszy bowiem wóz któryśmy wynajęć chcieli, był krwią zbluzgany, był to bowiem jeden z tych, na którym trupów do cyrkułu zwożono.

Siedliska.

Podług pamiętnika W. Pani Ludwiki z Boguszów Gorajskiej, udzielonego przez syna, W. Pana Augusta Gorajskiego, marszałka powiatu krośnieńskiego, właściciela Moderówki i innych dóbr w Krośnieńskiem.

Rzeź Boguszów.

Wracając z Wiednia do Galicyi, w kilka dni po owej krwawej katastrofie, zatrzymaną byłam w Tarnowie wiadomością, jakiej dzieje nasze nie pamiętają. Pragnęłam jaknajprędzej opuścić to miejsce mordów, zlane łzami nieszczęśliwych, lecz hordy uzbrojonych chłopów stojące po gościńcach, nikogo żywego nie przepuszczały, osobliwie w Pilźnie na rynku krew się lać nie przestawała. Nadaremnie błagałam władz tarnowskich cywilnych i wojskowych, by mi raczyły udzielić pomocy do dostania się w cyrkuł jasielski, gdzie męża i dzieci zostawiłam. Daremna także była prośba o pomoc starym rodzicom i bratu kalece, nic uzyskać nie mogłam, a niespokojność i trwoga śmierci się równała, aż w tydzień czasu za wpływem księcia Woronieckiego, dano nam jednego żołnierza, który wyprawiony w góry, przywiózł najsmutniejsze wiadomości, iż cała okolica przez Szełę Jakóba zniszczona, 75 osób z jego rozkazu zabitych, między niemi sześciu członków mojej nieszczęśliwej rodziny. Pierwszej chwili rozpacz nie dozwalała uwierzyć prawdzie, lecz gdy wkrótce major Rosner (stojący garnizonem

w Jaśle), który wszędzie i zawsze połączyć umiał sprawiedliwość z ludzkością, dowiedziawszy się o smutnem położeniu mojem, przysłał mi eskortę, z którą mogłam się dostać do Jasła bezpiecznie, wtenczas dopiero przekonałam się o rzeczywistości, gdy ujrzałam zgrzybiałą matkę, dwie bratowe i sześcioro małych sierót, wypędzonych z ich gniazda rodzinnego, obdartych, bez miejsca przytułku, gdyż z Jasła wyjeżdżać im kazali, gdzie się obróca te nieszczęśliwe istoty. Bóg miłosierny dozwolił, iż wraz z niemi do domu własnego wsi Moderówki powrócić mogłam, który jakkolwiek znieważony został i zrabowany z pieniędzy, jednak prędką pomocą szlachetnego majora Rosnera, rabunek dalszy był wstrzymany i ludzie do porządku przyprowadzeni, a wyszedłszy z pierwszego żalu i odurzenia, zapragnęłam wiedzieć szczegóły męczeńskiej śmierci, najdroższego ojca, braci, siostrzeńców, uwielbianych wszystkich przez całą rodzinę, dla ich rzadkich cnót i przymiotów. Zapragnęłam również ogłosić światu ich niewinność, niegodziwość Szeli i tych co mu dali władzę nieograniczoną szerenia tych mordów. Tą żądzą powodowana, nie mogłam myśleć i mówić o czem innem, tylko o tem, co się tyczyło ogólnej sprawy i naszych męczenników.

Najpierwej Stanisławowa Boguszowa przyjechawszy na imieniny matki, i będąc przytomną początkowym scenom, opowiadała mi, iż Wiktoryn Bogusz, mając dzieci starszego brata Feliksa, które dla brzydkiego czasu musiały się zatrzymać u niego nie mogąc dojechać do domu, w piątek 20 lutego rano, gdy się wypogodziło trochę, chciał ich odesłać do ojca z nauczycielem Pohoreckim, a sam do Kamienicy do dużego gościńca odprowadzić. Dojeżdżając do Kamienicy, został napadniętym przez bandę chłopów i do karczmy przyprowadzony. Tam go bili, poniewierali wraz z kilkoma innemi szlachty z Gorzejowy. Arendarz tamtejszy i cygan osiadły we wsi Kamienicy, widząc brata mego skrwawionego, prosili za nim, by mu dali spokój, że to pan dobry, znany na całą okolicę ze swej ludzkości, że nawet obcych ludzi ratował, tak drzewem, lekarstwami i czem

mógł. Ta perswazyja skutkowała na chwilę, odstąpili go siepacze, żyd i cygan obmywali ranę w głowę zadaną i śnieg przykładać zaczęli.

Siedział spokojnie parę godzin, wysłał do dzieci na dworze będących, aby były spokojne, że on już ma nadzieję powrócić do nich wkrótce, tylko krew iść przestanie, a żyd temczasem posłał do Demborzyna, gdzie był komisarz z wojskiem z jasielskiego cyrkułu, prosząc o rychłą pomoc. Komisarz Heyrowski odpowiedział, iż przybędzie niebawem z żołnierzami i rozkazuje by temczasem trzymać wszystkich panów pod wartą, a nie zabijać nikogo. Po chwili przybycia gońca z Demborzyna, nadszedł także Szela ze swoją bandą tarnowską, wpadł do karczmy, a ujrawszy Wiktoryna Bogusza siedzącego, odezwał się do niego szyderczo: „Jeszcze to żyjesz Wiktoru, zawsze mi groziłeś kryminałem, teraz ci pokażę, że ty zginiesz, a ja chociaż kilka godzin przeżyć cię muszę; chłopcy weźcie się do roboty”. Ludzie się jeszcze wahali, a gdy jeden z nich nazwiskiem Dziedzic przyskoczył do Wiktoryna Bogusza z siekierą, żyd go wstrzymał przypominając, że i jemu także darował ten pan drzewa na chałupę, a teraz mu się tak pięknie odwdzięcza. Chłop zastanowiwszy się odstąpił po chwili, i przyrzekł jako więcej nie popełni zbrodni. Dla silniejszego poparcia tego przedsięwzięcia, żyd z cyganem przywodzili im na pamięć surowy zakaz komisarza, by nie zabijać nikogo, lecz Szela krzyczał na całe gardło: „Nie zważajcie na nic, bijcie, zabijajcie, bo mnie go na funty zapłacą”. Wtenczas szynami z żelaza ugodziwszy sam kilka razy, a za nim i drudzy czyniąc to samo, zamęczyli chodzącą cnotę po ziemi, biedną ofiarę osobistej zemsty Szeli. Szlachcic Pieściński także padł pod ich razami. Zabierzowskiego i Pohoreckiego dobić nie mogli, a temczasem nadjechał komisarz Heyrowski, i kazał ich odwieść do dworu pod eskortą, z najsurowszym rozkazem by ich spokojnie w łóżkach chorych zostawili, lecz i ten rozkaz nie był dopełniony przez zuchwałego Szełę. Drugiego dnia obydwaj żyć przestali. Zabierzowski prosił by go zawieźli do kościoła, gdyż pragnął

dysponować się na śmierć, lecz go w pół drogi zabili. Kilku ludzi byli także innej klasy w Kamienicy zabitych, innych pokaleczonych zostawiono także między trupami, z pomiędzy tych odżył mieszczanin z Kołaczyc Paweł Bursa, a przyszedłszy w pięć miesięcy do zdrowia, zeznał przed nami i przed komisją kryminalną, iż Wiktoryn Bogusz będąc kochanym od ludzi, wielu miał obrońców i byłby uszedł śmierci, gdyby nie zawziętość Szeli, słynnego oddawna ze swej niegodziwości. Trzymał on pisarza pokątnego Winiarskiego, pisał supliki, buntował poddanych, zabierał od nich pieniądze na deputację do Wiednia, pańszczyzny od trzech lat odrabiać nie chciał, kłótnie z domownikami prowadził; gadano iż wiele zbrodni w młodości popełnił, a za naszej pamięci zamordował pod kijami pastucha, żonę, a później parobka, którego o intrygę z drugą żoną posądzał. Zwierzchność dworska słusznie nie mogąca zezwalać na gorszące zuchwalstwo tego łotra, karała go aresztem dominikałnym, lecz gdy go chcieli oddać do kryminału, doznał protekcyi od rządu, pieniądze od chłopów wybierane posłużyć mu musiały, i został za niewinnego uznany. Z tych powodów czekał Szela wywarcia zemsty na swoich przełożonych. Rządowi znany był jego charakter, bo często wytaczały się sprawy i zaskarżenia do cyrkułu, czemu więc wytłómaczyć się zdoła kreishauptman Breindl, dając nieograniczoną władzę najpodlejszemu z ludzi, komuniście, który chciał się panów pozbyć, by sam panował i łupami się bogacił. Jakżeż można nazwać wielkim człowiekiem, zbawcą kraju, zbrodniarza wielkiego, który dla własnych widoków zniszczył kilka mil kraju, w tamtym bowiem spokojnym kącie nikt o rewolucyi nie myślał, nie było żadnego powstania, jednego wystrzału, a tyle starców, dzieci dorosłych, kalek poległo. Dziwić się trzeba, że dotąd nikt nie był ciekawy obejrzeć te okolice, zapytać się pozostałych wdów o szczegóły tych okrucieństw Szeli. Rodzina tylko Boguszów upominać się zaczęła krzywd wyrządzonych, lecz tyle intryg ją otoczyło, iż prawda przebić się nie może przez mgły fałszu, pomimo żeśmy się ją po tyle razy wykryć starali. Współ-

czucie tylko przyjaciół jest jedyną pociechą, i ci może do pottomności podadzą tę prawdę, którą wyższe władze lękają się wyjawiać, aby przytem wiele brudnych rzeczy na jaw nie wyszło.

Wracam się znowu do dalszego opisu czynności Szeli, wykrywszy pierwiej jego charakter i powody, dla których dopuścił się tylu zbrodni, a nawet świat zapewne wierzyć nie zechce, gdy po ukończeniu komisji kryminalnej, złą administracyę panów powodem do rewolucyi, a gniazdem powstania, spokojne siedziby staruszków, kalek, ogłoszą.

W Gorzejowy, gdzie czterech panów mieszkało, nie pozostał tylko jeden Gumiński, na łóżku śmiertelnem leżący, reszta w Kamienicy po drodze do kościoła, gdzie wiezieni być chcieli, poległa. Żona ś. p. Gumińskiego, przy łóżku konającego siedząca błagała litości, lecz słowa te słuchane nie były, dodusili biednego paralityka, którego doktor już odstąpił, widząc go nie do uratowania. Zrabowali co było w domu, i w cwał polecili do Siedlisk, mając zawsze na pamięci, iż w 24 godzinach pozwolonych, wiele ułatwić trzeba.

W Siedliskach ojciec mój 87 lat mający, siostrzeniec jego Tytus Bogusz, chory na artryzis w nogach, bratowa Stanisławowa Boguszowa (z domu Marya Stojowska) z synem piętnastoletnim Włodzimierzem spokojnie siedzieli, oczekując powrotu Wiktoryna z Kamienicy, i przybycia Stanisława z Rzędzianowic, gdzie pojechał po sprowadzenie wiktuałów dla matki, których jej zawsze dostarczał.

We wsi wszystko było spokojnie, i nikt nie wiedział co się w pobliżu działo. Raptem słyszą krzyk, hałas, i cały dom otoczony został przez bandę Szeli. Wtenczas synowa Stanisławowa Boguszowa, podniosła z służącym ojca z łóżka, podała mu szlafrok i rękę, i z trudnością chwiejącego, po przebytej nie dawno chorobie, wyprowadziła na strych domu. Tam go słomą przyrzuciła, i nim zdołali zbiegnąć ze schodów, już rozhlukana tłuszcza wpadła na tenże strych, i wkrótce wynaleźli staruszkę. Syn Szeli urlopnik, był pierwszy, który mierzył fuzyą do niego, lecz strzał chybił. Wtenczas synowa chwyci-

ła znowu ojca, a zbrodniarzom pieniądze z kieszeni rozdawać zaczęła, myśląc że się im okupi. Dali pokój rzeczywiście, pieniądze ich zajęły, odstąpili biednej ofiary, syn Szeli począł obrywać kieszenie Stanisławowej Boguszowej, i dzielił się łupami, gdyż w kieszeniach były klejnoty. To zobaczywszy ojciec, słabym głosem zawołał: „oddajcie kobiece rzeczy“, idźcie za mną, ja wam dam pieniędzy, postąpił na przód, trzymając się schodził ze schodów, a synowa prosiła, by go ostrożnie prowadzili.

Doszedłszy do swego pokoju, otworzył szafkę gdzie było 500 dukatów i te im rozdawał, prosząc by go nie męczyli. Ledwo rozebrali złoto, zaraz go pochwycili oprawcy, bili i wyciągli na dziedziniec, gdzie siedział Szela Jakób na poręczy. Ujrzawszy ojca starego, znowu z drwinkami się odzywa: „Jak się masz Stasiu, już mnie teraz do aresztu wsadzać nie będziesz, bo przyszła twoja godzina“. Skinał ręką, a chłop Gurzan wójt z Gorzejowy, który przed chwilą zabił sędziego Kalitę i posesora Rozkosznego, skoczył z pałaszem i przeciął twarz czcigodnemu staremu. Upadł zaraz i konał jak męczennik kilka godzin. Te cierpienia, ta rozpacz i tęsknota żony, również wiekiem zgrzybiałej staruszki, trojga jeszcze pozostałych dzieci, i licznych wnucząt szanownego patryarchy, na okupienie nasze pan Bóg miłościwy może kiedy policzyć raczy. Kalita, ekonom Stradomski, siostrzeniec jego czternastoletni chłopczyzna, Rozkoszny, wszyscy już leżeli pozabijani na dziedzińcu.

Stanisławowa Boguszowa usłyszawszy krzyk ojca, nie mogła patrzeć na jego męczeństwo, i uciekła na wieś do żony kucharza, wyprawivszy służącą, by jej doniosła, co się z synem jedynakiem działo. Ten przerażony krzykiem chłopów, namówiony przez matkę by się ratował, nie mogąc dalej uciekać, skoczył w kanał od wychodków z chłopakiem kredensowym, w jego wieku będącym i cieszyło go, iż tę ofiarę ponosi dla zaspokojenia matki.

Zapewne zbrodniarze nie byli by się kusili zaglądać w to miejsce fetoru, ale fatalność chciała, iż wódka wytoczona przez niszczycieli, zalała kanał i podtopiła go, tak że uciekać musiał, a spotkawszy służącą matki, która go szukała, kazał się do niej prowadzić. Gdy się zeszli w chałupie, znowu o nowem ukryciu myśleli. Poczciwa żona kucharza tem się zajęła, i tak dobrze ukryła biednego Włodzimirza, w dole od ziemniaków przykryła słomą, iż matka pewną była jego bezpieczeństwa, i tam był ukryty aż do wieczora. Widok i krzyk na dziedzińcu był okropny, a dwie dziewczęta Pietrzczyanki, sieroty, które z dobroczynności dworu żyły, uciekały płacząc i narzekając. Szela Jakób będący na dziedzińcu, spostrzegł ich trwogę z daleka, i tak się odezwał: „Czego zawodzicie, uciekacie, wam nic nie będzie, a za Bogusikami niema czego płakać, oni zginąć muszą, my się zaś podzielimy tem co ich było i lepiej nam będzie“. Już się ułatwiłem po części, kazałem zamordować Stanisława Bogusza w Pilźnie, jadącego z Rzędzianowic, Wiktoryna w Kamienicy dolnej, tu już wszyscy nie żyją, tych nawet co w Rzemieniu i w Krakowie dosięgnę, gdy nałożę cenę na ich głowy, jeszcze Nikodem zginąć musi, bo i on mi groził kryminałem“. To wyrzekłszy pospieszył do Smarzowy, po drodze kazał rabować dom matki Boguszków, staruszki mieszkającej przy kościele, słynnej z dobroczynności, która uważała jak własne dzieci tych samych poddanych, co się jej tak hańbiącą niewdzięcznością odpłacili.

Przejeżdżającego konno do Smarzowy Szelę widzieli, jak wpadł do swojej chałupy, zapewne odnosząc zrabowane pieniądze, i spieszo pędził ku dworowi. Tem czasem banda chłopów wpadła do dworu, gdzie siedział w krześle Nikodem Bogusz, paralytyk od lat czterech. Służący będący przy nim uciekli, drugi który go chciał ratować nie mógł się dostać do niego. Żona z domu Józefa Stojowska i dzieci na drugiej stronie domu będące, również wygnani byli przez chłopów, wtenczas więc ta czereda rozłukana rabować zaczęła, wytłukać okna, krzycząc iż muzykę sprawiają biednej kalece. On

boleśnie patrzył na wszystko, szukał daremnie wzrokiem przyjaznej ręki. Wtem Szela przybywszy na dziedziniec, gdy zobaczył żywego Nikodema Bogusza, kiwnął ręką podług zwyczaju, na znak zabicia, i w tejże chwili Staszek Dziedziec i Jędrzej Szydłowski, dokonali woli przewodnika, zamordowali ojca czworga dzieci drobnych, człowieka szlachetnego w całym znaczeniu tego słowa. Biedna żona uciekać musiała z rodziną, i tułać się wśród zimy po dymnych chałupach.

Wkrótce znalazły się razem z nieszczęśliwą matką i siostrą Stanisławową Boguszową w domu Szeli, nie wiedząc, że on był sprawcą ich nieszczęść, bo wszystko się działo tak raptownie, tak okropnie, że to pojąć trudno było. Tam zostawały biedne wdowy i sieroty w najopłakańszym stanie. Szela je uważał jak swoje niewolnice, ze wszystkich praw własności wyzute. Robił projekta, iż syna swego najmłodszego, żenić kiedyś będzie z córką Nikodema Bogusza, a pola pomiędzy krewnych podzieli.

Boguszowa matka zastępowała miejsce pisarza Szeli, pisała po jego dyktowaniu raport do starosty Breindla w Tarnowie tej treści: „Boguszów już niema, wszystko spokojnie, co dalej robić mamy?“, że zaś odważyła się napisać: „Boguszów wymordowaliśmy“, zgniewał się na nią Szela i powiedział: „Pisz babo nie tak jak ty chcesz, tylko tak jak ja każę“.

Właśnie w tym czasie Aleksander Gorajski wracając z Wiednia, dowiedział się w Brzostku smutnej historii swej rodziny i przyjechawszy do Jasła, udał się zaraz do znanego z dobroci majora Rosnera, przedstawiając, iż w cyrkule tarnowskim nie można wyżebrać żadnej pomocy, i że tyle nieszczęśliwych zostaje bez ratunku. Major uznając słusznym jego żądanie, nie wiedząc w chwilach zamieszania i odurzenia, iż Siedliska i Smarzowa już do cyrkułu tarnowskiego należą, wyprawił oficera z oddziałem żołnierzy do Siedlisk, by wydobyć ze szponów Szeli, te szczątki pozostałe rodziny Boguszów. Szela się tego nie spodziewał, i bardzo był niekontent, iż cyrkuł jasielski wspiera nieszczęśliwych, przez niego uciemiężonych.

Ze zwykłym sobie zuchwalstwem, odgrażał oficerowi, iż go każe związać, bo go sądzi przebranym powstańcem Polakiem, lecz oficer Offenheimer nie uląkł się bynajmniej gróźb jego, przeciwnie kazał mu zsiąść z konia, i oddać pałasz Wiktoryna Bogusza, który miał przy boku, a syna jego Staszka Szelę, kazał powiązać jako krnąbrnego zuchwalca. Tem zainponował bandzie całej, i wywiózł szczęśliwie wdowy i sieroty.

Tę okoliczność przytaczam w dowód, jak fałszywe były raporta Breindla, że Szeli aresztować nie może, bo się lęka rewolucyi chłopów, kiedy w pierwszych chwilach jego wściekłości, jeden oficer i kilku żołnierzy upokorzyć go potrafili, bo to jest jedna z tych dusz podłych, co intrygę, fałszywość umie użyć wszędzie, dla dopięcia swych widoków, lecz odwagi szlachetnej nie rozumie.

Wracam się jeszcze do 20 lutego, w którym to dniu Szela chciał odznaczyć każdą godzinę srogością. Ze Smarzowej niektórzy chłopci około godziny 3-ej po południu, pod przewodnictwem młodego Szeli, pędzili dalej w góry dla mordów i rabunków, nawet te co były popełnione w cyrkule jasielskim, wszystkie były dziełem tejże samej bandy. Stary Szela powróciwszy z dworu Smarzowskiego, zajechał z drugim oddziałem do karczmy pod kościołem będącej, do żyda Semka. Tam zasiedli za stołem dla wypoczynku, a Szela wypytywał się troskliwie swych współników o wszystkie szczegóły ich czynności, gdyż zawsze miał na uwadze 24 godzin pozwolenia, i z wielkim pośpiechem działał, dla tego nie wszystko w pamięci mógł zachować. Na zapytanie, czyli kto zabił posesora Kleina, na jednym z folwarków Siedliskich mieszkającego, odpowiedzieli chłopci że żyje, bo to Niemiec. Na to odrzekł Szela: „i tego zabić trzeba bo ma pieniądze, a my żadnych panów nie potrzebujemy, sami rządzić potrafimy, idźcie chłopcy do roboty, a spieszno”. Na to hasło skoczyło kilku na konie, a w parę godzin zamordowali barbarzyńsko cudzoziemca, ojca trojga dzieci.

W dworze Siedliskim po odjeździe Szeli, domownicy zdemoralizowani do najwyższego stopnia przez niego, i przez ja-

kieś niewiadome figury, które dla zatrwożenia ludu upewniały, że panowie mają wyrznąć wszystkich; zagrzani zemstą wściekła na panów, rabowali wszystkie kąty w domu, szukając tych co się poukrywali. Tu znowu tyle przykrych opisów przychodzi, iż piórem władać trudno, gdy wszystko na pamięć przywozić trzeba. Włodzimierz Bogusz, to dziecko pielęgnowane od rodziców, postępując raptownie w naukach, przyjechał na przeciw matki z Jasła, by znaleźć śmierć męczeńską między tym ludem, wśród którego wzrastał. Jeden z chłopaków kreditsowych nazwiskiem Jan Siepacz, który wiedział, iż się Włodzimierz ukrywał w domu kucharza, sprowadził kilku niegodziwców, by go wynaleźć koniecznie. Wszelkie poszukiwania były daremne, wzięli się nakoniec do postrachów, grożąc domownikom, by wydali koniecznie jego schronienie. Dziewka Maryanna Wołowczanka przełęczniona, wskazała niegodziwa ową grubą utajoną. Nie pomógł płacz matki i prośby, zacepowanym został syn jedynie przez Gąsiora, Wołowca, Czernika, Koniecę, Niemca i Jana Siepacza. Ten ostatni wpadł do izby, gdzie matka omdlała leżała, i głośno bez litości zawołał: „wstań babo, zmów Zdrowaś Marya za syna, który już nie żyje, miał on nas, woleliśmy jego zabić”. Inna znowu dziewczka doniosła powtórnie około wieczora, iż Tytus Bogusz ukrytym jest na strychu domu. Drugi oddział zbrodniarzy krwi łakomych, poleciał spieszenie dokonać nowego zabójstwa.

Nie mogli zobaczyć biednej ofiary, lecz tak długo szukali widłami, aż krew z podsbitki wytrysła z przebitych wnętrzości. Nie dość jeszcze tego męczeństwa, zrzucili jeszcze z góry na ziemię, połamali nogi człowiekowi, którego świętym nazwać można było, tak życie jego było spokojne, pełne ludzkości i miłosierdzia. Sprawcy tej zbrodni okropnej byli Wadas, Orzechowski Maciej i syn jego Bartłomiej. Tak się zakończył ów dzień 20 lutego, pamiętny rozlewem krwi niewinnej.

W sobotę 21 lutego jeszcze trwały rabunki, poszukiwania ofycjalistów, służących, którzy się ukrywali różnemi sposobami. Jednego z nich ekonoma Wiśniowskiego ze Smarzowy,

schwytano w lesie, a gdy go wlekli chłopci, i gdy on się prawie na śmierć gotował, mówili mu w drodze, iż mają rozkaz z cyrkułu, iżby zabijali wszystkich co w surdutach chodzą, ale chcą się jeszcze zaradzić Szeli. Przyrowadzony został przed Szełę, a ten się odezwał głosem chrapliwym a imponującym, „Już minęło 24 godzin, w których miałem pozwolone zabijać, więc i ciebie już nie każę, ale dajecie mu 25 kijów, niech pamięta Szełę, a potem niech przysięga, że będzie nam posłuszny.“ Taka sama historia była z ekonomem Siedliskim Kruczkiewiczem. To zeznanie podał Wiśniowski do komisji kryminalnej, lecz konsyliarz odpowiedział, że tak być nie mogło, i wpisać tego do protokołu nie kazał. Biedny Wiśniowski poddać się musiał pod prawa okrutnika, delikatnego będąc zdrowia, zostawał prawie w niemocy, po tak srogiej karze cielesnej, zaraz jednak musiał wsiąść na konia, jechać z rozbójnikami rabować Zawadkę pod przewodnictwem młodego Szeli, wioskę koło Brzostku leżącą, już w cyrkule jasielskim. Ztamtąd wracając wpadli do Gorzejowy, gdzie leżał chory Pohorecki, pobity poprzednio w Kamienicy, by go w łóżku dodusić. Wbrew zakazowi komisarza Heyrowskiego, mordowany powtórnie na zabój przez młodego Szełę, gdy go już myśleli bez życia ciśniętego na wozie wieźli do kostnicy przy kościele, jednak dostrzegłszy oprawcy drgające jeszcze członki męczennika, zrzucili z wozu i końmi tratować kazali, lecz zwierzęta poczciwsze od ludzi, przeskakiwały przez ciało na wpeł umarłe, aż jedna szkapa zmęczona, nie mogąc zebrać nóg do skoku, domęczyła męczennika, młodzieńca pełnego życia, jedyną podporę ciemnej matki, zostawiając żal nieukojony młodej żony, z którą się przed rokiem połączył.

Zabiwszy 23 osób w parafii Siedliskiej, pościągali wszystkich do kostnicy, tam obdarli do naga, a na znak pogardy powiązali powrozami jednego z drugim, i wlekli ku cmentarzowi. Szela tem wszystkim zarządzał, a niegodziwość jego doszła do tego stopnia, iż nawet odmówił ziemi poświęconej, biednym męczennikom. Niedaleko cmentarza wykopali dół,

tam wszystkich rzucono i przysypano ziemią, gdyż do Tarnowa za daleko było wieść trupy, a Szela aż nadto był pewny wynagrodzenia Breindla, współnika swoich zbrodni.

W dowód rzeczywistości tego opisu, załączam własnoręczny kwit Szeli, który wydał do dwórnika o wypłatę tym chłopom, którzy panów przysypali, i inne kwity przez niego wydawane do lasu — (niestety później zaginęły).

Pozbywszy się panów, rządził samowładnie aż do Wielkanocy i tysiączne nadużycia robił, chociaż go Breindl ogłaszał bardzo porządnym człowiekiem, ochronicielem całej okolicy. Na ementarzu nawet pościnać kazał Szela wszystkie krzyże i nadgrobniki, krzycząc głośno, że i w tem równość być musi. Te krzyże rąbać kazał, wozić do chałupy i palić.

W parę tygodni po tych rozbojach, przejeżdżał przez Jasło p. Łażansky wiceprezydent rządów krajowych, pani Boguszowa matka i obydwie synowe błagały go o pomoc przeciwko Szeli, wystawiały swój stan okropny, że Szela zniszczyłszy tyloletnią pracę całej rodziny, rządząc samowładnie zostawił ich bez sposobu do życia, a w cyrkule tarnowskim żadnej uzyskać nie można sprawiedliwości. Pan Łażansky zdawał się litować nad niemi, i wiele przyrzekał, tem czasem przyjechawszy do Tarnowa, uwierzył zwodniczym słowom Breindla i Szeli, żadnej nie dał pomocy biednym sierotom, zostającym bez koszul, dachu i pożywienia, zostawił Szeli dalsze panowanie, a ten powróciwszy z Tarnowa do wsi Smarzowy, chełpił się publicznie, iż dostał w prezencie od p. Łażanskyego 50 złr.

Później na przedstawienie wdów wszystkich, zesłany był do Siedlisk i Smarzowy komisarz sądu tarnowskiego Dulemba z wojskiem, by oddał administracyę właścicielkom. Komisarz przywołał Szelę, przedstawiał imieniem rządu, by pańszczyznę wszyscy odrabiali jak dawniej, przestrzegali dobra małoletnich, a on jako plenipotent gromady, podpisał się wraz z drugimi na protokóle komisji. Na to odpowiedział Szela zuchwale, że nie potrzebuje kazania od pana komisarza, i podpisywać się nie będzie.

Bytność więc komisarza zupełnie była bezskuteczna, rządy Szeli wcale nie ustawały, stosownie do widoków przyjaciela Breindla, łupów skradzionych wcale nie oddawali, produkta na opłacenie pańszczyzny marnowali, lasy wycinali, a raporta do Wiednia szły fałszywe. Nakoniec Szela nie widząc tamy żadnej, knuć zaczął zuchwalsze jeszcze zamysły. W obce i dalekie cyrkuły rozsełał mandaty swoje by pańszczyzny nigdzie nie robili chłopci, że inaczej palić każe ich domy; jeden z takich mandatów był i we wsi Warzycach (wieś wówczas kameralna) w cyrkułe jasielskim, chłopci bandami zgromadzali się do niego i odbywali narady, a czując się dość silnym, pragnął podczas Wielkiejnocy rozpocząć powtórny rozbój. Rozgłaszali, iż księża w komunikantach truć będą ludzi, a z umyślonej namowy, kobieta w kościele brzosteckim będąca, udała zemdlała, gdy od komunii ś. odchodziła. Zaraz wszczął się rozruch i bitwa w kościele, którą ledwo uśmierzyli żołnierze.

W tej chwili właśnie gdy ta baba zemdlała pozornie, a krzyk się rozległ że jest otrutą, około 200 chłopów z bandy Szeli pokazało się na górach od Siedlisk i Smarzowy. Ta okoliczność dopiero zwróciła uwagę cyrkułu jasielskiego, a p. Breindl przymuszony przedstawieniem cyrkularnem, musiał powołać Szelę do Tarnowa.

Ja właśnie w tej chwili pojechałam powtórnie do Wiednia, chcąc u samego tronu dopominać się krzywd naszych. Podałam prośbę napisaną przez Henryka Bogusza imieniem całej rodziny, miałam długie posłuchanie u ministra Kolowrata, później u arcyksięcia Ludwika przedstawiałam prawdy wszelkie, stronnictwa Breindla wykrywałam, że Szela był zawsze niegodziwym człowiekiem, że rodzina Boguszów padła ofiarą zemsty jego i niegodziwości Breindla, którego zawsze był nienawiedzony jako prześladowca. Szela sam się chwalił przed Stanisławową Boguszową, iż miał od Breindla władzę nieograniczoną robienia co mu się podoba w całej okolicy, jest to nie do uwierzenia, również jak i nagrodzenie Breindla orderem, za sześciomiesięczne intrygi, któremi otaczał swe nieczne postęпки.

Prośba Henryka Bogusza pomimo wiedzy naszej podana do gazet publicznych, wywołała rządową komisję kryminalną, lecz pomimo, że prosiłam w Wiedniu i miałam przyrzeczoną komisję prosto ze stolicy, jakoteż żeby Szela nie był w Tarnowie indagowany, wszystko przeciwnie się stało.

Przed przybyciem tej komisji, nie z Wiednia tylko z Rzeszowa, posłany był do Siedlisk na śledztwo urzędnik z Pilzna nazwiskiem Dörfel, którego imię niegodziwe do potomności podajemy, jako podłego intryganta i Breindlowego faktora. To podle narzędzie przewrotności władz wyższych, wraz z niegodziwym mandataryuszem Spielmanem z cyrkułu narzuconym, demoralizowali ludzi, przewracali porządek we wsi, nauczali zbrodniarzy jak się mają tłumaczyć do komisji. Niektórzy nawet ludzie poczciwsi sami o tem gadali. Prośby moje o odwołanie tego mandataryusza w Tarnowie a potem we Lwowie, zupełnie były bezskuteczne, ciągle on czuwał nad komisją kryminalną, nakazywał chłopom nie robić, lecz tylko zbywać pańszczyznę, nie dopuścił zaprowadzić we wsi porządku, odebrać skradzionych rzeczy, a niektóre dobrowolnie oddane na swój użytek obracał, i za te nadużycia niegodziwe kazał mu rząd płacić dziennie 1 złr. 36 kr. m. k., bez względu na wieś zniszczoną i wdowy bez chleba. Przy zmianie kreishauptmana, prosiliśmy znowu o komisję polityczną, by się rząd mógł przekonać o naszym uciemieniu, cóż zyskaliśmy, oto przysyłają znowu na komisję tego samego Dörfla, który się niegodziwością odznaczył przy komisji kryminalnej, a teraz bojąc się wykrycia złych czynności przy komisji politycznej, nowemi intrygami otacza.

Tyle z pamiętnika pani Gorajskiej.

Rodzina Boguszków podupadła majątkowo od chwili, kiedy jej po przejściu na arianizm majątki skonfiskowano. Skazana na wygnanie za Jana Kazimierza, utrzymała się jedynie przy Winnicy, nad Wisłą. Za Stanisława Augusta stanęła znowu lepiej przez małżeństwo Bogusza z Apolonią Stojowską, za którą wzięli Bogusze Rzędzianowice, Siedliska i Żarówkę.

Oprócz tych wymienionych w rękopisie tym Boguszów, zginęli w Tarnowskiem Krzysztof i Ksawery Boguszowie.

Nadto zginęli z rąk oprawców Szeli Adam Pohorecki, Ignacy Zabierzewski 70-letni, Adam Kalita, Kruczkiewicz krewny Dra Bronisława Kr. profesora uniwersytetu we Lwowie, Wojciech Breliński dzierżawca z Żarówki, Józef Klein dzierżawca części Siedlisk, Antoni Terlecki mandataryusz z Rzędzianowic, Jan Stradomski ekonom z Siedlisk, Sobolewski i Strzelecki.

Przyczyną mordów na rodzinie tej dokonanych, nie było jakby to chcieli podli pisarkowie, зараżeni jadem nobilofobii, złe obchodzenie się Boguszów, gdy jak miejscowy proboszcz ówczesny ks. Jurczak poświadcza, z ludem po ludzku i sprawiedliwie się obchodzili.

Zginął z rąk tego ludu poświęcający się dlań, zajmujący się dziatwą wiejską, zwiedzający razem z ludem odpustowe miejsca Konstanty Słotwiński z Głobikowy, bo oprócz polityki Kriega i Breindla, zatruli zdrowe serca i umysł ludu apostołowie szkoły tej, z której wyszli za dni naszych Stapińscy, Stojalowsy i Wysłouchy.

Pleban miejscowy ks. Jurczak zamknął się przed własnymi w wilki zamienionymi owieczkami do świątyni, zmuszony otworzyć intonuje: „Święty Boże”, po skończeniu którego zarzucili mu zbrojcy powróż na szyję, i tak go z kościoła wyprowadzili. Bolał zacny kapłan nad tylu mordami, nad poniewieraniem obcego mienia, jak równie dotkliwie nad zdziczeniem, które pod wpływem szatańskiego podszeptu, długoletnią jego i poprzedników pracę zniszczyło.

W sąsiedztwie Siedlisk zamordowano w Gorzejowej staruszka Fleszyńskiego i ciężką chorobą złożonego Feliksa Gumińskiego.

Siedliska.

(Własność hr. Łubińskiej, położone pod Bobową, dzierżawił w r. 1846 Leon Dzwonkowski).

Opowiadanie W. Oławii Łobeskiej.

Do opuszczenia Siedlisk namawiał p. D., właściciel niedalekich Szerzyn p. Adam Kochanowski, który zatrwożony pogłoską, iż chłopci panów rżnąć mają, prosił by go ku Węgrom odejść. Niebawem po jego wyjeździe poczęli się ludzie schodzić do dworu i mówić o tem, że im się zbroić nakazują z cyrkułu, bo mają nadejść Polacy i chłopów mordować.

Zdarzenie to zdawało się również za opuszczeniem Siedlisk przemawiać, własni bowiem poddani niejako nas przestrzegali. Dnia 20 lutego przybył z sąsiednich Zborowie ekonom z całą rodziną, i również p. D. doradzał, by zabrawszy co kosztowniejsze rzeczy uciekał do Sącza, gdyż w Tarnowskiem już się rzeź rozpoczęła i że wielu zabitych do Tarnowa odstawiono. Tymczasem wójt Siedliski Woyna i kilku gospodarzy radzili znów pozostać, obiecując, że nas w razie napadu obronią; kiedy wszakże niespodzianie zjawił się służący u p. D. w Zabłędzy, majątku jego gospodarz, i opowiedział jak zmuszony przez chłopów kilka z nimi wsi obiegł, jak był z nimi w drugim Dz. majątku w Kielanowicach, jak tam zrabowali piwnice i spiżarnię, jak p. Szczepanowską teściową p. D. chłop z Burzyna Baran w piersi motyką żądając pieniędzy uderzył, jak skład okowity ocalał dzięki przytomności Gongoli, który klucz schowawszy, trochę tylko wódki wydał, a reszty tknąc nie pozwolił, tłómacząc, że takie ma polecenie z rządu, gdy nadto opowiedział, że w sąsiednich Kielanowicach, Burzynie, Różyckich, Skalkowskiego i innych razem pięciu chłopci zamordowali, a i proboszcz miejscowy ks. Serwoński do pośpiechu naglił, kazał p. D. zaprządz do sani, by do Sącza wyjechać. Ks. Serwoński wzięwszy krzyż i komżę pojechał był do Zborowie, sądząc że przemówiwszy do chłopów, do opamiętania

ich przywiedzie. Musiał uchodzić, herszt bowiem rabusiów w tej okolicy niejaki Koryga ryknął: „niema Boga!” i rzucił się na księdza, który woźnicy przytomności ocalenie zawdzięczał. Ztamąd to wracając, wpadł ks. Serwoński do nas na podwórze i do pośpiechu naglił. Wyjechawszy co rychlej, nie dojechaliliśmy jeszcze do oddalonej o kwadrans Bobowy, a już w Siedliskim dworze gospodarowała czerń chłopska. Przybyłemu do Sącza Dz. oświadczył starosta Bocheński, że mu nie wolno przyjmować do miasta obywateli, na co mu Dz. powiedział, a zatem pierwszego lepszego urzędnika w twarz uderzę, za co mnie zamkniecie i zostaną w mieście, bo mi życie miłe. Dostawszy pozwolenie na trzydniowy w Sączu pobyt, musiał po upływie trzech dni wydalic się ze Sącza, i udać się do karczmy w Gołębkwicach. My kobiety mieszkając u p. Załuskich, widziałyśmy z okien jak do piwnic tego domu zwozili więźniów, między nimi Krasuskiego, i jak tych biedaków oddano na pastwę nieludzkiego Piskozuba.

Szkody zrobili w Siedliskach chłopci na 50000 złr. zabierając zboże, wódkę i bydło, oraz niszcząc wszystko co było w dostatnio urządzonym domu. Wójt Woyna dotrzymał słowa, nie pozwolił dzieciom i domownikom brać udziału w rabunku, a nadto wiele rzeczy Dz. zabranych odebrał. Zjechały potem komisyje dla uspokojenia rozszalałego chłopstwa a gdy bili chłopów, ci wołali: „Tak to nas nagradzacie, obiecaliście grunta dworskie, a teraz nas bijecie”.

S t o j o w i c e.

We wsi tej niedaleko od Wadowic położonej, mieszkał Nepomucen Terlecki z żoną, którego siostra Aczkiewiczowa smutnego losu doznała w Wadowicach. Terleckich uprowadzili chłopci w czasie napadu do karczmy, i oboje do nóg stołu przywiązali, poczem Terleckiego dziad, którego Terleccy żywili,

zamordował uderzeniem siekierą w głowę, poczem dającego jeszcze znaki życia chłop inny wystrzałem ze strzelby dobił. Dom Terleckich uszedł rabunku z powodu afektu, którym do pani T. rozgorzał jeden z rabusiów. Ciało p. Terleckiego nie odstawiono do Tarnowa, gdyż czekali chłopci na więcej ofiar, a temczasem rzeź zasystowano.

S ł u p i a.

(W dawnym bocheńskim cyrkule).

Dzierżawca wsi tej p. Adolf Tetmajer, pojechał był konno do p. Konstantego Romera do Jodłownika, ażeby zasięgnąć języka, i tamże z trzema Romerami, Wincentym Struszkiewiczem i ofycyalistami pojmany i związany, do Bochui odstawiony został. Do domu nie było po co wracać, tak go chłopci zrabowali i spustoszyli.

S z e l a.

Charakterystyka potworu tego, zestawiona przez panią Ludwikę z Boguszków Gorajską, a zatem przez osobę, która mieszkając w Siedliskach znać go mogła.

Od młodego wieku odznaczał się charakter jego zuchwałością i podłością, a że brat jego starszy był osadzonym na gruncie ojca, więc kolej na niego wypadła być żołnierzem. Do stanu tego nie czuł powołania żadnego, gdyż mu brakowało odwagi i posłuszeństwa, a z drugiej strony wysiliła się natura na rozum do intryg i przewrotności. Gdy widział zbliżających się ludzi, co w go w rekruty brać mieli, z szybkością determinacyjną odciął sobie sam siekierą dwa palce u ręki, i tak się ochro-

nił i tym sposobem pozostało we wsi to monstrum, które tysiące ludzi ma na swoim sumieniu. Będąc dość ubogim z rodziców, również i brat jego który kmieciem został, raptem obydwaj przyszli do dobrego bytu. Gospodarstwo Kazimierza Szeli zakwitło, Jakóba zaś Szelę znać było między chłopami idącymi do kościoła, po płaszczu sukiennym i po białej przyodziewie. Zaczął się dobijać o pierwsze partye we wsi, a ludzie nad tem dumali, z kąd ci bracia obydwaj do pieniędzy przyszli. Nareszcie dawno osiadły i bogaty arendarz Szucher, począł robić poszukiwania, gdzie się podział krewny jego żyd Maślanka, który chodził po wsiach za skórami i innymi handlami, lecz śladu śmierci jego wykryć nie mógł. Wkrótce opinia powszechna obwinała o to zabójstwo żyda, obydwóch braci Szelów, piastunki nas dzieci zabawiały tą historią, lecz arendarz Szucher niedługo potem umarł, a nikt już więcej nie starał się o to odkrycie. Szela Jakób dotąd był posłusznym i niby to nabożnym, póki się nie ożenił z dziewczyną bogatą, po której wziął zagrodę. Wkrótce po ożenieniu żonę bił, i odrabiając pańszczyznę wszędzie się zuchwałością odznaczał. W lat kilka żona jego żyć przestała, znowu głośno gadać zaczęto, że ją mąż pod kijami zabił. Nie długo ożenił się z drugą żoną, miał z nią dzieci kilkoro, ale na koniec i ta mu się sprzykrzyła, i tę znowu pod kijami zamordował. Zaraz się ożenił z trzecią żoną, młodą i przystojną. Zuchwalstwo jego do coraz większego stopnia dochodziło, co raz więcej ufał w łagodność zwierzchności dworskiej, co raz więcej się jej narażał, lecz wprost nie mu dowieść nie było można, gdyż taką sobie zjednał przewagę między ludem, że nikt na niego świadczyć nie chciał, przeciwnie coraz większe były u niego zgromadzenia chłopów, którym przedstawiał, iż panowie nadużycia czynią, że nakładają daniny, że koniecznie wypada posłać do Wiednia, aby się dowiedzieć od samego cesarza, co oni powinni oddawać dworowi, i jak odrabiać pańszczyznę. Lud się bałamucił, zuchwalił, a Szeli płaciła każda chałupa po dwa i trzy ewancygiery, na tę deputacyę, i na pisarza po-

kątnego. Kilka lat zeszło na tem, iż Szela wybierał podatki od chłopów, i dyktował pisarzowi Winiarskiemu niesłychane rzeczy. Z pomiędzy tych suplik niektóre zanosili do cyrkułu, inne mieli niby to poselać do Wiednia, a rzeczywiście Szela kontent, iż miał intratę z wybieranego podatku chłopskiego, o podróży do Wiednia wcale nie myślał. Zwierzchność dworska zaczęła spostrzegać, iż z przyczyny Szeli są skargi, niepokoje, on sam się coraz zuchwalszym stawał, zaczęto go napominać, karać aresztem.

Właśnie w tym czasie odebrał administracyą Smarzowy Ludwik Gorajski, w Smarzowy mieszkał Szela, który próbując nowego pana, nie chciał wychodzić na pańszczyznę i chciał mu okazać, jak wielkie we wsi ma znaczenie. Gorajski poznawszy zuchwalca, po napomnieniu kilkorakiem, gdy to nie pomagało, kazał go ukarać przykładnie, i to lekarstwo skutecznem się okazało, gdyż odtąd Szela sam odrabiał trzy dni w tygodniu i przestał supliki pisać. Trzy lata upłynęło w pokoju, później Feliks Bogusz wziął znowu zarząd Smarzowy, a będąc uprzedzonym od Gorajskiego, zaczął traktować Szelę z ostrą sprawiedliwością, on też dalej był pokornym. To ujęło Feliksa Bogusza, przeniósł go na lepszą zagrodę, i dom z dworskiego drzewa wybudować dla niego kazał. W kilka miesięcy Feliks Bogusz oddalił się do Polski, i nie wrócił aż po wzięciu Warszawy, a w czasie tej ważnej epoki, Szela także ważną rolę denuncyanta odgrywał.

Stosunki majątkowe poodmieniały się zupełnie, Smarzowa przeszła znowu w zarząd Nikodema Bogusza. Ten stargawszy w kampanii młode jeszcze bardzo siły, wkrótce gdy osiadł w Smarzowy, paraliżem został tknięty, i rządu energicznego we wsi zaprowadzić nie mógł. Szela nie czując żelaznej ręki nad sobą, znowu wicherzyć zaczął, zapomniał wszelkich dobrodziejstw dworu, na nowo pisarza Winiarskiego utrzymywał, różne skargi pisywał, i znowu podatki od chłopów na deputacyę do Wiednia wybierał, i pańszczyznę odrabiać nie chciał, a dla domowników stawał się coraz większym tyranem. Nakoniec nie-

pokojony zazdrością, zamordował pod kijami parobka, w służbie u niego będącego, którego o intrygę z żoną wiele młodsza od siebie posądzał.

Krewni parobka dali znać o tegoż nagłej śmierci, ksiądz go pochować nie chciał, posłano z tym raportem do cyrkułu, a Nikodem Bogusz i Wiktoryn pomagający mu na ten czas w interesach, cieszyli się, że Szela pójdzie do kryminału i spokój we wsi powróci; lecz zasługi jego w cyrkułe i pieniądze od chłopów wybierane, posłużyły do jego uniewinnienia, a odtąd już zupełnie przestał odrabiać pańszczyznę, i w niczem słuchać nie chciał. Bogusze głośno narzekali na niesprawiedliwość, rekursa w tej sprawie pisali, i chcieli się zająć z całą energią wyjaśnieniem tego czynu, gdy właśnie w tym czasie Wiktoryn złożony ciężką chorobą tyfusu, kilka miesięcy był między życiem a śmiercią. Cała rodzina zajęła się pielęgnowaniem jego, później zachorował znowu na tę samą zaraźliwą chorobę Henryk Bogusz, siostra Gorajska i ojciec staruszek; wszyscy z śmiercią walczyli, a sprawa Szeli w zapomnienie poszła aż do nieszczęśliwej katastrofy, w której otrzymawszy nieograniczoną władzę od współnika zbrodni Breindla, z całą wściekłością właściwą charakterowi jego, wywarł zemstę na ludziach niewinnych.

Tyle o zbrojcy tym w zapiskach córki i siostry pomordowanych, a uzupełniam je tem z pamiętnika miejscowego księdza proboszcza Jurczaka, że potwór ten urodził się dnia 15 lipca 1787 roku, że niesforny za młodu i tyran dla żon, zarażony był zasadami komunistycznymi i mrzonkami socjalistycznymi, że z niechęcią spoglądając na dwór i większe jego łany, uroił sobie, że powołanym jest uwolnić siebie i chłopów ze wszelkiej od dworu zależności. Pomimo, że go przyjaciel jego austriackiej lojalności, pan Sacher Masoch, dyrektor policyi we Lwowie, jako wykształconego i piśmiennego przedstawia, nie umiał pisać, a podobać się mogła w nim temu polakożercy, jego zaciekłość i niechęć do dworu.

Że zaś i pan starosta Breindl w nietakcie swoim przy niechęci dla szlachty, zbyttno butnemu schlebiał chłopu, cóż dziwnego, że Szela w tych warunkach na galicyjskiego wyrósł Spartaka, że Smarzowa chłopską stała się Mekką.

Dołączam tu w końcu podanie, jakie przechowało się co do rodziny tego zbrojcy w tamtejszej okolicy, udzielone mi przez wdowę po ś. p. zamordowanym Ignacym Zabierzowskim ze Żarówki, i przez p. Wojnarowiczową wdowę po Leonie Wojnarowiczu z Brzany pod Bobową, który również zginął w r. 1846.

Wedle podania tego, miał protoplasta tego kainowego rodu, chłopak mały słysząc od plebana w kościele o zamordowaniu Abla przez brata, zamordować własnego brata, później kiedy obiecujące to pachole wyrosło, zamordował dorosły już Grzegorz, pełniący obowiązki stróża, łącznie z dwoma Szczepankami, plebana w Siedliskach właśnie w czasie, kiedy właściciel wsi tej pan Siedliski z królem Olbrachtem przeciw Wołoszy wojował. Powróciwszy do domu p. Siedliski, dowiedziawszy się o śmierci plebana, wykrył szczęśliwie zbrojców i w ręce oddał sprawiedliwości. Wówczas to wiedziony przez rajtarów Grzegorz, miał dać córce swej szeląg, by go dla jakiś czarów umarłemu będącemu w kostnicy do rąk włożyła. Szeląg ten miał pochodzić z rabunku u plebana, a gdy córkę Grzegorza przy dokonaniu poleconej przez rodzica czynności przychwyciono, było powodem, że rodowi Grzegorza dano miano Szelągów, z czego przez skrócenie powstać miała nazwa historycznego rodu Szelów.

Mówi dalej podanie, jakoby matka osławionego Szeli Jakóba, przed każdym połogiem do kościółka w sąsiedniej Gorzejowy chodzić miała, by ofiarą mszy ś. przebłagać Boga i uprosić zdjęcie klątwy z potomka tego kainowego rodu. Owoż kiedy wydać miała światu potwora tego Jakóba, nie mogła, jak mówi podanie, odpychana jakąś niezmierną siłą, wejść do świątyni, i wracając po daremnych wysileniach do domu, unosiła smutne przekonanie, że dziecko to błogosławieństwa Bożego mieć nie będzie, co się też sprawdziło.

Szela wywieziony po r. 1846 przez rząd na Bukowinę, dostał tam jako nagrodę zupełnie zagospodarowaną zagrodę w Glicie, lecz i tam ścigały go cienie krwawe pomordowanych, trapiła pogarda sąsiadów, którzy uciekali jak od zadziumionych, od tej rodziny Kainów, i lękali się łamać chleba krwią zbroczonego z nimi.

Strzelce wielkie, Wola szczucińska, Dąbrowica, Ostrówek, Zielona, Annów, Wola przemysłowska, Wielopole.

Opis wymordowania rodziny Rydlów.

Szlachecka rodzina Rydlów herbu Jelita, kochająca kraj i zagon ojczysty, żyjąca w zgodzie ze sobą i z sąsiadami, ucierpiała wiele w r. 1846 mieszkając w cyrkule tarnowskim. Rodzinę tę składali: Bonawentura z synami dorosłymi Mikołajem i Leopoldem, dalej bracia Bonawentury, Feliks, Józef i Antoni, oraz szwagrowie Kierwiński Józef i Ludwik Gołuchowski, wreszcie Zaplatalski Józef, Antonina Wendorfowa i Wojciech Szumowski.

Bonawentura Rydel, właściciel Woli szczucińskiej i Kółka Rydlowskiego w Królestwie Polskiem, mieszkał w Strzelcach wielkich, które dzierżawił od Zakładu narodowego imienia Ossolińskich. Za młodu poświęcił się służbie wojskowej, służył w napoleońskich szwoleżerach z rangą porucznika, i był adjutantem hr. Męcińskiego z Dukli, dowódcy pułku. Wkrótce jednak wbrew swej woli ulegając życzeniu ojca Józefa, porzucił Bonawentura zwycięskie szeregi, zamieniając oręż na lemiesz. Ożenił się z Anną, a następnie po jej śmierci z młodszą siostrą Joanną Woytowską z Ostrowa w Ropeczykiem, i liczną miał rodzinę, bo trzech synów Mikołaja, Leopolda, Bonawenturę i córkę Adelę zaślubioną Aleksandrowi Prawdzie Sękowskiemu, Władysława i Romana zamieszkałych w Mie-

leckiem, i Lucyana późniejszego profesora i rektora Wszechnicy Jagiellońskiej, zmarłego w kwietniu 1895.

Bonawentura wzorowy i oszczędny gospodarz, dbały o powodzenie swej rodziny, dbał też i o dobrobyt włościan, to też nie dziwnego, że się cieszył ogólnym szacunkiem. Z synów dzierżawił od ojca Wolę szczucińską Mikołaj, Leopold gospodarował przy ojcu w Strzelcach.

W dniu nieszczęsnym 22 lutego wybrał się Leopold do lasu, a usłyszawszy niezwykle krzyki i gwałty w stronie dworu, spieszył ku domowi. W drodze napadnięty przez czerń chłopską, która posuwała się częścią od Brzeska, częścią od Woli przemykowskiej, pobity od chłopstwa, związany do Bochni został odstawiony. Pan Bonawentura tymczasem z żoną na kwadrans przed napadem zdołał uciec, a uchodząc rzezi, dostał się do Bochni. Całym ich ubraniem była odzież w jakiej ze Strzeliec wybiegli. Przywódzca band przeszedł z harcerzami swymi przez własność dworską, jak słoń po polach ryżu, i czego nie mógł unieść, to stłukł i podeptał. Dom mieszkalny tak zniszczono i złupiono, że nie pozostało nic w nim zgoła. Obrazy, lustra, meble, naczynia, słowem wszystko co miało jakąś wartość potłuczono w kawałki. Bieliznę i suknie rozkradziono. W wozowniach znajdujące się bryczki, powozy, sanki i narzędzia gospodarcze zrabowano. Stodoły i spichlerz złupiono, pozostawiając tyle tylko, że z wiosną zaledwie czwartą część pól obsiać zdołano.

Mikołaj Rydel, który wówczas Wolę szczucińską od ojca dzierżawił, pospieszył na punkt zborny w Lisiej górze, gdzie z Powiśla od Mielca i Radomyśla się zebrać mieli. Z rąk chłopstwa, które głucho na wezwania szlachty by się z nią łączyło, raczej na panów się rzuciło, uszedł Mikołaj Rydel i chociaż zbity i poraniony, puścił się pomimo zamieci śnieżnej i ciemnej nocy ku Woli szczucińskiej. Napadnięty przez tłumy, które dwory okoliczne rabowały, we wsi Dąbrowicy legł pod cepami dzikiej tłuszczy. Podnieść należy tutaj, że chłopci Woli szczucińskiej nie tylko że własnego dworu nie napadali, ale

że nie dopuszczając innych, rozebrali między siebie rzeczy, by je potem zwrócić dziedzicom.

Feliks Rydel, właściciel Dąbrowicy o 7 kilometrów od Szczucina położonej, zamordowany został we własnym domu, poczem dwór cały złupiony został. Unosząc ze sobą chłopstwo co się zabrać dało, zniszczyło resztę, by i śladu dobrobytu nie zostało, a że tylko do mordów było upoważnione, nie pali jakby tego po nim spodziewać się należało.

Józef Rydel, dzierżawca Ostrówka, wsi do hr. Franciszka Potockiego należącej, żołnierz napoleoński, który pod Marengo, Arcole, Austerlitz, Wagramem i Hanau walczył, i pod Hanau od Napoleona krzyż dostał legii honorowej, a później w roku 1831 krzyż *virtuti militari* sobie zdobył, został zamordowany przez czerni, której chłop miejscowy Strójwąs przewodził. Przywiązanego do płotu, zabili z jego broni myśliwskiej. Przychylny sługa Mateusz Durma zwłoki Józefa Rydla i Józefa Kierwińskiego zawiózł w trumnach, co się nie zdarzyło pomordowanym w roku 1846 na cmentarz do Gawłuszowic, i tamże panów tych po ludzku pogrzebał.

Antoni Rydel po ukończeniu wydziału prawniczego w Krakowie, osiadł był na wydzielonej sobie części dóbr Dąbrowicy, zwanej Zielona. Światły, pracowity i uczynny, powszechnie był szanowany. Zgraja siepaczy Breindlowskich siekierami rozszepiła nieszczęśliwej ofierze głowę, a mózg obryzgał twarz żony, która nadaremnie bronić go usiłowała. Nieszczęsna w tejsze chwili dostała pomieszania zmysłów, z którego nie wyleczono ją więcej. W obec tego przerażającego nieszczęścia nie warta wspominać, że dwór i całe gospodarstwo zrabowano. Dowodził w Zielony chłop ze Zabrnia niejaki Twaróg.

Gołuchowski Ludwik szwagier Bonawentury Rydla, ojciec dwóch nieletnich synów Ludwika i Walerego, mieszkał w Annowie części Dąbrowicy. W czasie krwawych wypadków, byli na zapusty synowie u ojca. Kiedy Gołuchowskiego wieść o zbliżaniu się hordy chłopów doszła, a ucieczka dla zaspłnieżnych i włóczących się band była niemożliwą, ukrył się

Gołuchowski z synami pomiędzy snopkami w stodołach, a że chłopstwu spieszo było rabować inne dwory, i by ich tamże inne zgraje nie uprzedziły, podpalili stodoły, tak, że trzej nieszczęśliwi w płomieniach zginęli. Ohydne, zbrodnicze, krwią bratnią splamione tłumy, które nie godne stać na równi z niewolnikami prowadzonymi przez Spartaka, bo się o wolność nie biły, prowadził na rzeź i hańbę znowu Twaróg.

Kierwiński Józef, ożeniony z Amalią Woytowską siostrą Bonawenturowej Rydlowej z Górek, które trzymał dzierżawą od księcia de Ligne, schronił się był do Ostrówka do majora Józefa Rydla, i tam razem z nim został zabity; szalały bowiem tam tłumy przypominające krwawe dni Gontów i Żeleźniaków, tłumy którym nauczycielami byli urlopnicy, strażnicy skarbowi i urzędnicy cyrkularni a la Chomiński i Szczuciński, a szkołą była karczma i amtstagi.

Zaplatałski Józef, żołnierz kościuszkowski starzec 70 - letni, mieszkał jako krewny u Mikołaja Rydla w Woli szczucińskiej, i kiedy p. Mikołaj wybrał się pod Tarnów na punkt zborny, pojechał staruszek w odwiedzinę, i tam zamordowany został. Zginął pod cepami ten, który cało wyszedł pod Szczekocinami i Maciejowicami z gradu pruskich kul i z pod pik kozackich.

Wendorfowa Antoniowa cioteczną była siostrą p. Bonaw. Rydlowej. Aloizy i Antonina Wendorfowie trzymali od Lebowskich w r. 1846 Wolę przemykowską. Kiedy napadli chłopci dwór we Woli, wyszedł p. Wendorf do sieni i tam postronkami został związany, a z nim mandataryusz Zarzycki, ekonom Giebułtowski, ogrodnik, lokaj i chłopak kredensowy. Powiązanych popędzili chłopci do Tarnowa. Pani Wendorfowa puściła się za mężem w drogę, a kiedy dopędziwszy go w Woli rogowskiej, zobaczyła go w pośrodku kilkotysięcznego tłumu pomieszczonego na wozie, na którym i pomordowani byli złożeni, popadła z przerażenia w obłąkanie. Biegąc po zaspach wśród zimna za wozem, na którym wieziono męża, przeziębila się nieszczęsna i w kilkanaście dni na tyfus umarła.

W Tarnowie, gdzie dla większej premii dobijano żyjących jeszcze, uratował Wendorfa porucznik szwoleżerów Lebowski syn właściciela Woli przemykowskiej, a ojciec p. Katarzyny hr. Bobrowskiej Władysławowej z Długiego, który płażując chłopów pałaszem, przeszkodził im w dokonaniu ohydnych mordów. Wendorf wróciwszy do domu, zastał ruinę i wyszedł z dzierżawy bez sposobu do życia.

Szumowski Wojciech cioteczny brat p. Bonaw. Rydlowej zginął w Wielopolu skrzyńskim, które dzierżawił. Na dom jego napadły tłumy z pod chorągwi osławionego Szeli, i raniwszy go ciężko kosą, dobiły wywleczonemu na podwórze cepami. Jak wszędzie, tak i tu zrabowano i zniszczono dworek szlachecki.

S z a f l a r y

w Sandeckiem.

(Z Nr. 36 Dziennika Narodowego, Lwów 29 maja 1848).

W Mielcu kocią muzykę wyprawili pewnemu mandatarzowi rządowemu nazwiskiem Liszka, ten był w czasie rzezi 1846 w Sandeckiem w Szaflarach dowódcą rabunków, i sam później, gdy go zrobiono mandataryszem rządowym w Mielcu chwalił, się że własną ręką zabił pięciu; teraz przybył do Mielca (z kąd był oddalony) i chciał zamieszkać. Opisanie zrobionej mu kocięj muzyki, kreślę słowami opowiadającego to urzędnika cyrkularnego: „Oto tak, zebrało się ze 150 mieszczan i zaczęli kriczyć jeden jak kogut, drugi jak pes, trzeci jak szwiń, aż włosy na głowie stanęły, jabym nie chciał co podobnego usłyszeć, a wszystko wolali: powiesić szelmę szwaba co naszych braci zabijał, ahu, ahu, wynoś się szwabie bo będziesz wisiał”. I wyniósł się też a wyniósł piechotą.

S t r ó ż a

(w bocheńskim cyrkule, należała do p. Wincentego Struszkiewicza).

Ten pojechał był konno do Romerów w Jodłowniku, i pojawieniem się tamże, obudził między chłopstwem przekonanie, że jest powstańcem, co i napad na dwór spowodowało, przy czem przez chłopą ujęty, do Bochni został odstawiony. Na dwór jego napadli chłopci i ze zwykłym wandalizmem w nim gospodarowali.

Szczyrzyc

(własność konwentu Cystersów).

Przeor ówczesny ks. Wiktoryn Biczán, rodem Czech, przedstawieniami i wymową wstrzymał u siebie chłopów od rabunku, nie mógł jednakże przeszkodzić, że mandataryusza ze Skrzydlny Józefa Ledniowskiego, z kościoła gdzie się był na chórze ukrył, wyciągnęli, pobili i ciężko poranili.

Skrzydlna

w bocheńskim cyrkule, własność p. Zygmunta Pruszyńskiego, została zrabowana podczas administracyi Kulaskiego, mandataryusz zaś Ledniowski został w Szczyrzycu pojmany.

Słopnica

własność Tytusa Słowikowskiego, ożenionego z Julią Bzowską, została zrabowana i cichy i zamożny dworek stanął w jednej chwili rudera, wyglądał jak pobojowisko, po którym przeszły azyatyckie hordy.

Szerzyny.

Osada w powiecie jasielskim, własność rodziny Uniatyckich, przeszły były drogą małżeństwa w posiadanie Kochanowskich, z których Adam ożeniony był z Zofią Uniatycką, podczas kiedy druga siostra wydana była za Władysława Michałowskiego. Żona p. Adama Kochanowskiego umarła w r. 1836, zostawiając troje dzieci, Zofię, która wyszła za Adolfa Jordana z Błonia, Helenę, którą poślubił był Bolesław Jordan i Jana, który ożenił się również z Jordanówną.

Od śmierci matki, dzieci do roku 1846 zostawały pod opieką panny Franciszki Elzner, osoby wykształconej i bardzo szanowanej, która rozumiejąc, że zbliża się chwila przełomu w stosunkach społecznych, starała się dzieci p. Adama zbliżyć do ludu, w czem jej właściciel Szerzyn był pomocnym, dając do rozporządzenia zboże, mąki i kasze, by niemi w czasie przednowku biednych włościan obdzielali, a często i kwity uwalniające od pańszczyzny. To też posiadała p. Elzner miłość i zaufanie ludu, który garnał się do niej o pomoc i poradę. Kiedy pan Adam Kochanowski zajmował dom piętrowy, pałacem zwany, dzieci z p. Elzner mieszkwały w tak zwanej oficynie, obok której w obszernym parku była druga oficyna, mieszcząca gościnne pokoje i kancelaryą sędziego dominikańskiego. Sędzią był wówczas p. Andrzej Kromkaj przezwany od chłopów „Tatusiem“, co świadczy, że po ludzku z nimi się obchodził, gorliwy zwolennik powstania i darowania chłopom

pańszczyzny. Złym dla ludu nie był i sam p. Kochanowski, skoro zatrudnionych przy fabryce stawiania budynków gospodarskich uwalniał od pańszczyzny, jeżeli się jakiego rzemiosła wyczuli. Tak powstałi w Szerzynch murarze Fronczkowie, cieśle Sochy i stolarze Dylągi.

Do grona oficyalistów należeli ekonom, gorzelnik i rządcą p. Smulski, surowy dla włościan, za co mu też p. Elzner obawiając się wpływu na dzieci, przystępu do oficy wzbriała.

Ze sąsiadów bywali w Szerzynch Wincenty Pol, Karol Rogawski z Olpin, Franciszek Woynarowski z Żarnowy, Skrzyński Aleksander z Libuszy i Szczepanowski Wincenty ze Święcan. Zjawił się był w Szerzynch i Dembowski emissaryusz, prawdopodobnie by p. Kochanowskiemu dowództwo na Jasielskie powierzyć. Ponieważ p. Kochanowski częściej wyjeżdżał, utrzymywała stosunki z okolicą panna Konstancya Uniatycka, przebywająca podówczas w Szerzynch, gorliwa zwolenniczka przygotowującego się ruchu. Używała do posełek, gdy obawiała się listownie załatwiać korespondencye, zaufanego ogrodnika Dyląga.

Pan Kochanowski udał się był na punkt zborny pod Tarnów, z kąd powróciwszy z bolesnem przeświadczeniem, iż wielkie nieszczęście nad krajem zawisło, na nalegania panny Uniatyckiej i p. Elzner wyjechał do Zagórzan, majątku Tadeuszów Skrzyńskich, z kąd go p. Hosch właściciel Grybowa wywiózł na Węgry, gdzie gościnne znalazł przyjęcie w domu hrabiów Sirmajów i Dezeffów, dopóki pod przybranem nazwiskiem nie wyjechał do Francyi.

Że był to czas ostatni, by uciekać z domu, dowodem, iż pannę Uniatycką, która Kochanowskiego do Zagórzan odprawiała, już z powrotem chłopci w Święcanach zatrzymali. Uszła szczęśliwie z rąk chłopskich, dzięki wdaniu się miejscowego proboszcza ks. Rządckiego, który ich upewniał, że to kobieta a nie przebrany Kochanowski. Szerzyniacy byli wedle zeznania wyż wymienionego Dyląga przez straż skarbową podburzani do zamordowania p. Kochanowskiego, a miał być w Szerzy-

nach komisarz z Jasła Baunhölzel, którego chłopci „pan hycel” nazywali, lecz gromada Szerzyn nie chciała mordu i gotowa była odstawić związanego p. K. do Jasła. Że niebezpieczeństwo groziło, stwierdziły baby wiejskie, które p. Elzner mówiły, iż był rozkaz dany zamordowania p. Kochanowskiego.

Baby te w przededniu rabunku przyszły do dworu, szukając schronienia jak mówiły przed Polakami, którzy jak ogólnie wieść tę szerzono, razem z panami chłopów wyrzynać mieli. Przerazona temi objawami p. Elzner zawezwała p. Kromkaja, Smulskiego, służącego Kaczerę, strzelca Kaspra Niemca, by noc w oficynie przy dzieciach przepędzili. P. Smulski obawiając się by nie zabrano kluczy od spichrzów i od gorzelni, pozostał u siebie. Rozpoczęło się od tego, że przyszła do dworu rzekomo rewizya, która broń myśliwską p. Kochanowskiego zabrała, a zarazem i pamiątki, które po piewcy z Czarnolesia u pana Adama w Szerzynach się znajdowały. Rzeczy te wywiezione do cyrkułu w Jasła przepadły, z wyjątkiem karabeli, którą krewny p. Kochanowskiego p. Agenor Gołuchowski odzyskać zdołał. Koło 10 godziny w nocy przybyła pod pozorem rewizyi druga gromada do dworu, a wywoławszy z oficyn lokaja, strzelca, stróża i p. Kromkaja, przetrząsała dom cały, a wyż wymienionych powiązawszy, zawlokła do karczmy i na gołej porzuciła ziemi. Jednego Smulskiego, pomimo że był związany honorowali i na stołku posadzili. Smulski ten pytany przez chłopów, czy ich i teraz kląć będzie, zaklął istotnie wzywając by ich co rychlej skoro mają takie polecenie, do Jasła odstawili. Stało się jak tego żądał i temu zawdzięcza cała służba dworska, iż uszła śmierci, byliby wszyscy zginęli lub ciężkie odnieśli pokaleczenia, gdyby byli pozostali w karczmie do przybycia bandy od Ołpin idącej. Dzieci p. Kochanowskiego siedziały tymczasem w oficynie, i nad ranem dopiero na prośby żony lokaja udały się na wieś, by się ukryć w chałupach, tak że na trzy partye podzieliwszy się i na razie nie o sobie nie wiedząc, powierzyły się kobiety i dzieci poddanym szerzyńskim.

W chwili, kiedy opuszczać mieli podwórze, zobaczyli nadciągającą kilkotysięczną czerniawę chłopów, płynącą jak fale morza wszystkimi drożynami, miedzami i przez pola od Ołpin, Binarowy i Żurowy. Zaroilo się na podwórzu i dziwnie straszna wydawać się musiała wrzawa kilkotysięcznego tłumu, którą podnosiły jęki dzwonów kościołów w Szerzynch i Ołpinach, odzywające się jak sygnał alarmowy. Dzieci poczęły płakać, a uspokajali je chłopci tem, że co do nich nie mają polecenia. Niebawem rozpoczęła się dzika gospodarka tak w domu jak i koło niego. W domu zrabowano wszystko, niszcząc co się unieść nie dało, wyrzucając z piątra w podwórze i rąbiąc w kawałki; w podwórzu raczej w ogrodzie rozbili 24 posągów kamiennych, które się tam znajdowały. Z pomiędzy portretów familijnych ocalał portret babki p. Adama, hr. z Jordanów Gołuchowskiej, którą dla fryzury wypudrowanej wzięli wandalci ci za jakąś świętą i w ołtarzu w kościele szerzyńskim umieścić kazali. Przepadły wówczas srebra stołowe rodzinne na 100 osób i na tyleż osób porcelany saskiej, zginęły trzy gobeliny, z których jeden dany do kościoła, gdyż wyobrażali sobie, że Matkę Boską przedstawia, w 20 lat później odebrany przez p. Jana Kochanowskiego, podarowany był p. Agenorowi hr. Gołuchowskiemu. Oprócz dworu i oficyn zrabowali spichlerz i gorzelnię, zboże i zapasy wódki częścią zabrali, częścią wysypali lub wylali do potoka. Odznaczyli się w rabunku chłopci z Ołpin i z Binarowy, Szerzyńscy zaś stosownie do planu ułożonego, ruszyli do Czermny, by na obcych sobie panach wylać rzekomą zemstę, i wylęglą w głowach biurokracyi i demagogów nienawiść do dworów. Zapiski kościoła w Binarowy z których korzystałem, mają bardzo obszerny spis rzeczy zrabowanych w Szerzynch, dokonany przez urzędnika starostwa, kiedy wyjątkowo kazano za zabraniami poszukiwać rzeczami.

Do spustoszonego i zniszczonego do szczytu majątku, powrócił właściciel dopiero w roku 1848, przedtem objął Szerzynę w zarząd energiczny Smulski wypuszczony z więzienia, lecz w chwili pogromu, rozbiło się życie rodzinne, młodziutkiego

Jasia, na którego życie odkryła dziewczyna znowę, wywieziono przebranego za dziewczynę do Jasła, a następnie pod opieką Agenora Gołuchowskiego do Lwowa; siostry jego wyjechały z p. Elzner do Felzbergu pod Wiedeń, gdzie rok cały mieszkały.

Szerzyny, jak całą okolicę Powiśla, gdzie szalała dzicz chłopska, nawiedziły jako kara boża nieurodzaj, głód i choroby, mianowicie tyfus, tak że nie długo czekać było trzeba na karzącą rękę sprawiedliwości bożej.

Siemiechów.

(Fox Władysław, Jaworski Karol, Mikłusiński Adam, Talarek Józef, Teleżyński Antoni, Nalepa Piotr).

Między Gromnikiem a Lusławicami, leżała wieś Siemiechów, w roku krwawym własność Tymoteusza Skrzyńskiego. Wieś wcale duża, bo mająca wówczas arealu dominikalnego 1100 morgów, w tym 500 morgów lasu, zaś arealu rustykalnego 2340 morg., w tymże lasu 307 morgów; a że ludność wynosiła 1300 głów, więc włościanie byli dobrze dotowani. Dziedzie Siemiechowa był filantropem. Stosunek jego z włościanami isticie ojcowski, niewiele więc wymagał od nich z należącej mu się robocizny pańszczyznianej, uprawiając rolę w znacznej części swoim inwentarzem, trzymając takowy w oczekiwaniu zniesienia pańszczyzny i uwłaszczenia włościan, w ilości większej nad potrzebę. Krom tego świadczył on poddanym swoim niezliczone dobrodziejstwa, i tarczą swą opiekuńczą zasłaniał ich od wszelkich klęsk materyalnych.

Był to człowiek wielkiej zacności, pełen miłości ojczyzny, ofiarności i poświęcenia dla niej. Dwór jego w Siemiechowie był po wszystkie czasy owego pięćdziesięciolecia pełnego wstrząśnień i przypadków, przytułkiem dla prześladowanych. W nim się chronili emigranci i powracający z emigracyi wojownicy.

Pan Tymoteusz miał w dzielnym mandataryuszu i sędzim policyjnym Karolu Jaworskim w pracy nad ludem wiejskim, w której brał czynny udział, wiernego sojusznika. Jaworski bowiem był człowiekiem wyższej inteligencji, gorącym patriotą, poświęceniu bez granic i doświadczonej odwagi, a opiekował się wieloma naokoło gromadami wiejskimi; trzymał bowiem liczne dominia, które mu jurisdatorowie powierzali z ufnością wielką. To też kancelarya jego główna w Siemichowie, gdzie trzech pisarzy czyli aktuariuszów pracowało i uczyło się pod kierunkiem jego, znaną była z porządku i sprężystości. Jaworski był nieobludnym przyjacielem włościan i z nimi się, zarówno jak z głównym swym jurisdatorem po ojcowski obchodził.

Towarzystwo demokratyczne, po wieloletniej propagandzie sądziło, iż lud jest dostatecznie przygotowany. Centralizacya zaś w Wersalu, odbierając z kraju dobre wiadomości, uchwaliła powstanie na całym terytoryum Polski, we wszystkich zaborach.

Pan Tymoteusz i jego sędzia, aczkolwiek nie były im nieznane zabiegi agentów austryackich i szatańskie burzenia włościan przeciw panom, propaganda urzędników, nie mogli przypuścić, aby rząd wsunął chłopstwu bratobójcze noże przez owych urzędników, iżby chciał okryć się piętnem ohydy.

Obadwaj ufni w swoją długoletnią pracę nad ludem, mieli przekonanie o czynnym udziale tamtejszego ludu w sprawie oswobodzenia, gdyż obchodzili się z nim jak sprawiedliwi ojcowie, a w razie najgorszym nie przypuszczali nic złego.

Gdy się zbliżała chwila wybuchu powstania, pan Tymoteusz był pierwszym, który nie zważając na nikogo, darował w krwawym lutym poddanym swoim pańszczyznę... Aliści jakżeż rychło zawiódł się w nadziejach i w wierze swej w serce tegoż niewdzięcznego ludu!...

Wybuch powstania naznaczony został na dzień 21 lutego 1846 roku. Przed tym atoli terminem zaszły wypadki, które zapowiedziały nieudanie się powstania. Należało do nich przy-

spieszenie powstania w Tarnowskiem, pomimo zakazu nadeszłego z Krakowa. Niechęć ludu, jaka się w tej okolicy groźnie odzywała, zamiast odwrócić zamiar powstania, które miało być ludowem, była w głowach tamtejszych zapaleńców powodem do jego przyspieszenia. Zdawało się im, że wobec oręża w ich dłoni, uspokoi się rozdmuchiwana przez urzędników przeciw dworom zawierucha chłopska. Ułożyli więc, że w nocy z 17 na 18 lutego uderzą powstańcy na Tarnów.

Pan Tymoteusz, który w krwawym roku przebywał najczęściej w Wesołowie, dla łatwiejszego komunikowania się z spiskowcami, stanął na 18-go w punkcie zbornym pod Tarnowem; lecz gdy tamże jeno szczupła garstka powstańców się zebrała, tak w skutek niepamiętanej burzy śnieżnej jaka w dniach tych szalała, jako też dla zmiany terminu nie wszystkim wiadomego, wrócił wraz z dwudziestoma kilkoma towarzyszami z pod Tarnowa, i pospieszył do Stróż do Adama Niemyskiego, by tam naradzić się wspólnie, gdzie w właściwym terminie 21 w sobotę zebrać się mają, by wraz ku Tarnowu podążyć.

Ze Stróż udała się większa część do Rożnowa do Dobrzyńskich, chcieli tam doczekać tylko drugiego dnia, soboty, ale chłopci ich już w piątek uprzedzili, napadłszy na nich niespodzianie i rozpoczęli rzeź. Uratował ich atoli a może i siebie mandataryusz miejscowy przytomnością umysłu. Zawoławszy na chłopów, przemówił do nich: „Dajcie pokój, trzeba ich wszystkich powiązać i zamknąć. Jedni niech ich pilnują, a drudzy spieszą po wojsko do Sącza, a lepiej że będą wszyscy wisieć”.

Chłopom snąć przypadła do smaku nadzieja wieszania, i wykonali co do joty radę mandataryusza.

Przy sposobności gdy więźniom rozdawano pożywienie, udało się na nieszczęście Władysławowi Foxowi dzierżawcy Borowy, a byłemu oficerowi wojsk polskich i dwom innym umknąć. Tamci wszyscy wraz z panem Tymoteuszem doczekawszy się przybycia wojska, zostali aresztowani, a wcześniej lub później na wolność wypuszczeni; nasi trzej zbiedzy zaś

umykając każdy w inną stronę, zostali z osobna pozabijani i do Tarnowa wywiezieni.

Karol Jaworski, aczkolwiek powziął był wiadomość o napadzie chłopów na dwory w niektórych wsiach, toć wierząc w swoje gromady włościańskie, w których sprawował jurisdikcyę, a przytem jak powyżej powiedziano, człowiek wielkiej odwagi i poświęcenia, nie chcąc być ostatnim na oznaczonym stanowisku pod Tarnowem, zaprzął 20 lutego parę rączych koni do sani, wziął na nie znaczny zapas broni, jaką posiadał w domu, okrył je kocem, posadził kobietę, a sam przebrawszy się za chłopą, powoził. W drodze spotkał idącą tłuszcę chłopów, w których przez lat kilka wpajał lepsze, szlachetniejsze pojęcia, dla których był prawdziwym ojcem i bratem. Ci nie poznając swego pana sędziego pod chłopską odzieżą i bez wąsów, zrzucają kobietę ze sań i zaczynają ją i sanie przetrząsać. Kobieta widząc na co się zanosi, umknęła do pobliskiego lasu. Chłopi znalazłszy broń, postanowili zemścić się na mniemanym furmanie, a okładając go bez litości pałkami, wrzeszczeli: „Zapewne nie wiedziałeś gapiu, z czem ci jechać kazano, bo inaczej nie wykreciłbyś się od strasznej śmierci”.

„W wielkim jesteście błędzie” — odrzekł Jaworski. — „Ażaliż nie poznajecie mnie bracia? Jam jest sędzią waszym, któremu przyrzekaliście tylokrotnie miłość i posłuszeństwo”.

Nie mógł dłużej mówić, bo motłoch rzucił się na niego z podwójną wściekłością i bił go na śmierć, lecz był to człowiek bardzo silnej budowy, rzuciło go więc chłopstwo na wóz naładowany już pomordowanymi i wiezie do Tarnowa.

Po drodze zatrzymują się przed karczmą w Tuchowie. Całe miasteczko z wesołymi okrzykami „hura! hura!” zbiega się przypatrywać ofiarom i mordercom. Ostatni jak zgłodniałe dzikie zwierzęta rzucają się na chleb, a najadłszy się go do syta, składają resztę pożywienia pomiędzy trupami i konającymi.

W dalszej podróży ku Tarnowu, potrzeba było przebyć rzekę Białą już wówczas wezbraną, lecz chłopci, jak mówili, nie

mieli czym zapłacić za prom. Właśnie w tej chwili Jaworski, który cierpiał niewymowne męki, głosem błagalnym odzywał się z prośbą: „Dobijcie, dobijcie, bo niezmiernie cierpię”, Któryś ze zbójów nadział go na pikę, a zdjawszy z niego ubranie pańskie, jakie miał pod przyodziewą chłopską, zapłacił nią za przewóz.

W Tarnowie przyjaciel Jaworskiego z narażeniem życia poszukiwał zwłok jego, lecz wszyscy pomordowani tak byli zmasakrowani, że żadną miarą nie można było rozeznaczyć, kto oni za życia byli. Policzone tylko głowy, aby wiedziano ich razem pokryła wspólna mogiła... W tej to więc krainie grobów spoczął snem i ten duch piękny, w pełni sił, ręką śmierci zerwany.

Gdy rozszalałe tłumy wszędzie nowych ofiar szukały, wiedzione przez sforę urzędników, nie uszły ich instynktom szakali, młodzi pomocnicy przeźnacnego sędziego, tak zwani aktuarysze dominikałni, jako to: Mikłusiński Adam, Talarek Józef i Teleżyński Antoni.

Młodzież ta, zajęta zbieraniem i pakowaniem aktów dominikałnych, dla zabezpieczenia ich od zniszczenia, napadnięta nagle i niespodzianie przez krwawe hordy, skapała się w krwi własnej... Żadne pióro nie jest w stanie opisać mordów spełnionych na nich. Na same wspomnienie włosy się jeżą na głowie.

Ofiary rzezi, rzucili mordercy na wóz, a wysledziwszy ukrytego w drugim folwarku w stodole ekonoma Nalepę Piotra, zamordowali go w okrutny sposób, i wraz z powyższymi wymienionymi trzema ofiarami, powieźli do Tarnowa dla otrzymania przyrzeczonej zapłaty za głowy tych, co mieli poczucie własnej godności, wolności i cywilizacji.

Uporawszy się z morderstwem ludzi, rozpoczęła horda chłopska jak wszędzie, tak i tutaj dalsze swe dzieło cywilizacyjne. A podczas gdy jedni niszczyli w samym dworze tak, że nie tylko sprzęty wszystkie potrzaskali, lecz nawet drzwi porąbali, okna wytłukli, piece rozwalali, zamieniając wszystko

w ruinę; drudzy znowu, rzucili się na spichlerz, zabierając z niego znaczne zapasy zboża, mąki, słołu i słoniny, inni uderzywszy na stajnie, uprowadzili z nich konie, bydło a z chle-wów trzodę. W wozowniach — powozy, bryczki, narzędzia gospodarskie porąbano w kawałki.

Po rabunku we dworze, rzuciło się chłopstwo na maga-zyn gorzelniany. Dość długo uderzały siekiery w drzwi żela-zem okute, — nareszcie wniósł się okrzyk tryumfu, bo oto drzwi padły do środka. Na wiadomość o tem, zbiegło się kil-kudziesięciu innych chłopów i wszyscy wtoczyli się do maga-zynu. Siekierami poodbijali czopy i zaczęła się pijatyka. Ten podstawił obie dłonie i tak chwycił okowitę, drugi łapał napój w czapkę, inni toczyli do skopców, konewek, konwi gorzelnianych; inni nakoniec rzucali się pod beczki i gardła rozdziawiwszy, chwytali z pod czopa trunek ulubiony. Cheiwi łupu mosiądzu i miedzi, chcieli zrzębać aparata gorzelniane, lecz że w onym roku gorzelnia nie była w ruchu, dla spo-dziewanego powstania, i na aparatach widniały pieczęcie z or-łami, ktoś z tłumu krzyknął, że tknąć tego niewolno, bo to już cesarza. Dictum to, ocalało aparat gorzelniany od zagłady.

W sposób taki jak we dworze, spustoszone i złupione także folwark dworski, położony w pobliżu wsi Gromnika... W okolicy tej, wszystkie prawie dwory uległy temu same-mu losowi.

Po tym krwawym zalewie znacznej części kraju, zawitała piękna wiosna nasza, lecz owa zawsze wszech życia nadzieja, przyniosła z sobą w tym roku nieszczęsnym zarodek śmierci dla tych, co mordowali niewinne ofiary. Wybladły głód zapano-wał pod strzechami słomianemi. Dziewica moru zapukała do drzwi, które się otwierały przed sforą urzędników austryac-kich. Tysiące ginęło z głodu i udręczeń sumienia... i padali jak słoma po polach, po drogach, rowach, lub na progu wła-snej chaty — matki gotowały swoje własne dzieci, brat star-

szy młodszego zabijał brata, rąbał na kawały, wkładał do garnków, gotował i prawie na pół żywego pożerał.

Większa połowa ludności chodziła z zapuchłemi jak konewki nogami, a z tych mało kto pozostał przy życiu.

Były wsie, w których nie było komu chować umarłych, można było nadybać 5, 6 lub 7 chałup jedna po drugiej, w których niebyło ani jednego żyjącego. Niektóre wsie tak wymarły, że powstały nowe osady, jak właśnie Siemiechów własność pana Tymoteusza.

Strzegocice

(na gościńcu z Brzostku do Pilzna.)

(*Tomczyński, Wal.*)

Zamordowanie Erazma Tomczyńskiego.

(Zeznanie Jana Dalmaty w Pilźnie 17 lip. 1846.)

Szedłem z Pilzna ku Strzegocicom i słyszałem już z Bajorek krzyk we dworze. Spotkałem chłopca i pytałem się, czy do dworu już wpadli Polaki, a wstąpiwszy do Nusyma, przed karczmą dużo zastałem ludzi. Wszedłem do karczmy i ujrzałem pana sędziego ze Strzegocic Tomczyńskiego, siedział związany plecami do stołu, zбитy był tak, że poznać nie było można, czy to był człowiek. Był jak mazią obłany, cały we krwi, odezwał się do mnie: „Dalmata, daj mi też wody“. Mówię żydowi: podajno wody, przyniósł kwartę wody, przytknąłem mu do ust. Ledwie oddałem resztę wody żydkowi, wpada Siedlecza z pałaszem, który odebrali p. Sieklowskiemu i tym pałaszem rąbał go kilka razy; krew bryzgała tak, jak ze źródła. My się wszyscy porozstępywali i nikt nie rzekł ani słowa, Tomczyński jeno ciężko oddychał, ale nie jęczał, bo już był bez pamięci. Za nim siedział związany Jan lokaj, ten

był przy lepszej pamięci, ale się nie odzywał. Potem wzięli Tomczyńskiego prawie już zabitego i rzucili go na bryczkę, gdzie już leżał Wal zabity. Na niego rzucili Jasia, który pokaleczony jeszcze żył, krew mu po brzuchu płynęła. Pana Tomczyńskiego związał Rynkar okropnie, i związanego widziałem, gdy ich do Pilzna wieźli.

Wróciłem do domu, bo miałem w głowie dwa półkwatki wódki, jeden mi kupił p. Bogusz, drugi dali mi w Pilźnie. Chłopi wszyscy byli pijani, żyd dawał im wódkę darmo, bo nie widziałem, aby płacili. Na drodze spotkałem moje dziecko czteroletnie Werkę, którą podczas rabunku we dworze skaleczyli w rękę, w nogę i w kolana, bo to dziecko — sierota bez matki chowało się we dworze, miała głowę i twarz skaleczone. Po rabunku we dworze, widziałem na koniach pańskich, Walentego Rozenbarskiego na gniadym, na kucym koniu samej pani jechał Siedlecza, na pojazdowym Karczmarczyk, Bocheński Staszek, Jakób Rozenbarski, na wierzchowej klaczy pana jechał pono Mroczek, ale tego dobrze nie pamiętam. Stary Rozenbarski z najmłodszym synem byli przy dworze. Na tych koniach pojechali do Jaworza, a za nimi poszło wielkie mnóstwo piechotę. W Jaworzu zrabowali tak, jak w Strzegocicach, tam zabili leśniczego i ekonomę, lecz leśniczego potem dotrzeźwili, prowadził ich skarbowy Michoń. On kazał się im zjechać i wycinać las; zrąbali całą górę Bielowską. Po rabunku w Jaworzu, pojechali i poszli do Siedlisk; co się tam działo, tego nie wiem; lecz kiedy wrócili ztamtąd, mieli huk pieniędzy, Rynkar się chwalił, że srebro i dukaty schował w pieczeń, którą zabrał z rozna. Podczas rabunku w Strzegocicach polowali się porozbiegali z obawy, aby ich nie zabito. Policyan z kucharką, gdy się dowiedzieli o śmierci Tomczyńskiego, wynosili na wieś jego rzeczy. Przy rabunku w Strzegocicach, nie byłem. Gdy na drugi dzień do dworu do Strzegocic przybyłem, widziałem wozy zabierające dębowe okrajki dla karbownika i dla Balasy, było wozów dwa, dla Balasy wiózł Cisowski Wawrzyniec, dla karbownika Pisarczyk Antoni; wzię-

li ile się zmieściło na wóz czworokonny i zawieźli jeden na folwarczysko, drugi do matki żony Balasy. Ze śpichlerza widziałem wynoszących workami Żurka, co był za woźnicę i Balasę. Żurek wziął faskę z miodem, więcej nie widziałem. Gdy wracali z rabunku z Siedlisk, jedni szli przez wodę i przynieśli wiele rzeczy i pieniędzy, a ci, co szli na przewóz, spotkali na przewozie oficera z żołnierzami, którzy wieźli panów zabranych w Dęborzynie. Oficer widząc ich na pańskich koniach, pobrał ze sobą: Stanisława Bocheńskiego, Kajetana Karczmarczyka, Mrocza i nie wiem jeszcze kogo. Wszystkich zaprowadzono do Jasła, tam im pieniądze odebrano i klacz pańską w Jasle zatrzymano. Prócz tych żołnierzy co pojechali, żadnego żołnierza nie było, wszyscy wymaszerowali do Tarnowa. Żydzi się różni uwijali i pytali o banknoty do wymienienia, lub o fanty do kupienia. Więcej powiedzieć nie umiem, a to co tu powiedziałem, jest szczerą prawdą i to wszystko gotów jestem zaprzysiądz.

W Pilźnie 17 lipca 1846.

Jędrzej Dalmata.

Jako nieumiejącego pisać podpisałem:

Ludwik Komarnicki.

Zabójstwo Józefa Wala,

ekónoma ze Strzegocic.

Z czwartku na piątek 21 lutego 1846 r., gdy nie było przy dworze żadnych wartowników, obchodził ekonom Wal budynki dworskie, a gdy zrana powrócił do swego mieszkania, usłyszeliśmy we dworze krzyk straszliwy, na co mój mąż Wal wyszedłszy z domu, zdybał przed mieszkaniem poddanych ze wsi Bielowy, dążących do dworu. Wojciech Przybyło, Majcher Karczmarczyk i Franciszek Mróz byli najpierwsi, i zaczęli przed domem bić Wala, potem wpadli do mieszkania, zaczęli rozbi-

jać. Tymczasem mąż mój mając głowę rozciętą z zdartemi włosami, uciekł z córką w Glinniki i schował się w dołek, ale za śladem wyszedł go Jałowiec Staszek, zaprowadził churnę chłopów i wsadzili go na konia, bo nie mógł iść, sprowadzili go przed stancję i otoczyli go do koła. Byli między tą churną Siedlecza wójt, Œwikliński Kuba i wielu innych a bili go dopóty, dopóki go nie zabili. Potem zaczął mnie bić Jan Fiałek dawny pastuch, co służył we dworze i Staszek Bętkowski, mający nóż na żerdzi nabity. Bił mnie także Skopek Michał, a córkę moją uderzył Siedlecza pałaszem przez szyję, nakoniec uciekliśmy do stajni. Z mego męża ściągnął buty Papiernik Matysz i wciągnęli go na bryczkę smykiem do góry nogami, a powoził brat Walka Przybyły na imię Bartłomiej. Co się dalej stało, nie wiem, bo od strachu przytomność straciłam zupełnie. To co zeznaję, jest szczerą prawdą, a gdyby było potrzeba, to zaprzysiędz jestem gotowa. Ja i na to przysięgnę, że nikogo z obcych wsi nie widziałam, jeno byli sami swoi z Bielowy, Strzegocic i ze Stołowy.

Pilzno 17 lipca 1846.

Anna Walowa.

Jako nie umiejącą pisać, podpisałem:

Ludwik Komarnicki.

Karwodrza

(wieś sąsiadująca z Tarnowem).

Zamordowanie Floryana Niemyskiego, Gauhera i służby.

Miłe od Tarnowa we wsi Karwodrzy, mieszkał dziedzic tej majątności Floryan Niemyski. O godzinie 5 zrana zbudzony ze snu przez koniuszego swego, który przypadłszy ze stajni, zapukał do drzwi sypialnego pokoju z wiadomością, że ogromna chmura chłopstwa bramę dolną dziedzińca siekie-

mi wyważyć usiłuje. Otwierając Fl. Niemyski drzwi, posłyszał ogromną wrzawę na dziedzińcu tuż pod oknami, a na pytanie czego by ci ludzie chcieli, otrzymał odpowiedź: „Ciebie zabić”, porwał dubeltówkę ze ściany i odpowiada ze strzałem, którym powala trafionego w głowę chłopca, drugi strzał pakuje drugiemu w prawe ramię, chce nabić fuzyą, szuka razem z Gauharym (koniuszym) ładunków, ale nie znajduje daje G. siekiere, sam zaś dobywa pałasza i słyszy jak w piątym pokoju mordują kucharza, słyszy wybijanie okien i rąbanie mebli. Na to wychodzi do pierwszego pokoju mając tył zasłonięty przez Gauhara i przebija się krzyżową sztuką, raniąc na prawo i na lewo aż do kredensu, gdzie znalazłszy pomiędzy pogruchootanymi meblami łóżko zamordowanego lokaja, chowa się pod nie, i w tym stanie wytrzymał przez kilka godzin, przez który to czas zamordowali dwóch lokai, Gauhara, dwóch fornali i kucharza, i byłby może losem Opatrzności uniknął śmierci, gdyby nie natrętna suka, która zaczęła obwąchiwać łóżko i skomlić, czem zwróciła uwagę odchodzących morderców. Jeden z nich odepchnąwszy łóżko, znalazł Niemyskiego, który zastawiwszy się pałaszem, znalazł jeszcze tyle czasu, żeby się zerwać na nogi i stanąwszy w kącie, jeszcze dobrą godzinę oganiał się na wszystkie strony, obiecywał różne nagrody, prawił, jeżeli co zawinił, by go do cyrkułu odstawili; znaleźli się tacy, którzy byli za tem, lecz był ktoś przebrany po chłopsku, nieznanym w tamtej okolicy, który najbardziej się temu sprzeciwiał. W dniu więc 19 lutego broniąc się przez 5 godzin, kosą naprawioną na krzywo na bardzo długim stylisku, założoną z tyłu i zwolna pociągana, ranny w pół, gdy go krew uszła, wyciągnięty na dziedzińcu zamordowany został i wraz z siedmioma ze swego dworu do Tarnowa odstawiony został.

Jastrzębia.

(*Piotr Białobrzęski, Julian Niemyski.*)

Zamordowanie Juliana Niemyskiego.

Julian Niemyski, syn Floryana, należał do tych dzielnych powstańców, co w liczbie dwudziestu kilku po nieudanej dnia 17 lutego wyprawie pod Tarnów, wróciwszy nazajutrz wieczorem do Stróż nad Dunajcem, udali się ztamtąd do zamku w Rożnowie, by przeczekać do 21, jako właściwego terminu, nie wiedząc o odwołaniu powstania.

Tamże atoli Julian Niemyski, nie chcąc się poddać, jak to inni zrobili, nadchodzącemu z Sącza wojsku, umyślił ratować się ucieczką na Węgry; lecz przejeżdżając ku Ciężkowicom przez wieś Jastrzębia, (Jastrzębia leżała między Kąsną a Paleśnicą, należała do cyrkułu Sądeckiego) wysiadł do dworu i przenocował się.

Drugiego dnia ogromna chmura ludzi wpadłszy do dworu, zamordowała w okrutny sposób najpierw Piotra Białobrzęskiego, pułkownika wojsk polskich, ekonoma dworskiego i pisarza browarniczego, a nakoniec wzięła się do okropnego katowania Niemyskiego, aż przecież kucharz poznawszy go, błagał za nim na kolanach zbójów i dali mu spokój, wsadziwszy go tymczasowo pomiędzy pierwszej zabitymi, do aresztu dominikałnego. Na drugi dzień niedzielny, wstąpili ci ludzie, a raczej szakale do aresztu, a tam zastawszy Niemyskiego żywego, najokrutniej zabili, pomimo perswazyi miejscowego księdza plebana.

Szczepanowice.

(*Chrzastowski Edward, Kleczkowski, Chrzastowski Aleksander.*)

Rodzina Chrzastowskich.

Niezwykłym poświęceniem dla sprawy narodowej, gorącą miłością ojczyzny i wielką zacnością charakteru odznaczała się w Galicyi zachodniej rodzina Chrzastowskich, wyznania kalwińskiego, zamieszkała w Szczepanowicach nad Dunajcem, w pobliżu Wojnicza.

Rodzinę tę zacną składała matka Marcyanna z czterema synami Aleksandrem, Edwardem, Julianem, Romanem i z sześcioma córkami.

Szczepanowice były na prowincyi najruchliwszem ogniskiem prac przygotowawczych, gdzie już w r. 1836 emigranci polscy wyparci z Krakowa, z właścicielką Szczepanowic i z dwoma starszymi synami i córkami wzywali włościan do udziału w walce.

Głośnym na całą okolicę stał się obrzynek, wyprawiony w pobliskiej Szczepanowicom Dąbrówce we wrześniu r. 1837, gdzie otwarcie przeciw Niemcom demonstrowano.

O propagandzie tej doniósł Breindłowi w Tarnowie urlopnik, i od tej chwili rozpoczęło się prześladowanie rodziny Chrzastowskich. Rozpoczęły się rewizye nocne. Otaczano dwór żołdactwem z nabitą bronią, i przy wszystkich drzwiach podwójne rozstawiano strażę. Po dopełnieniu tych strategicznych formalności, wchodził komisarz wraz z oficerem oddziału poprzedzeni przez kilku żołnierzy do domu, w którym wszyscy spali, otwierali szafy, komody, nie zapominając o strychach kominach i piecach.

Bez względu na przyzwoitość, zmuszano kobiety wychodzić z łóżek i wbrew uczuciom delikatności rewidowano je. Oprócz rewizyi w domu, płądrowano po wszystkich zabudowaniach, spichlerzach, stajniach, chlewach, stodołach.

W czasie jednej takiej rewizyi, niemiły wypadek spotkał rewidującego. Kiedy w czasie poszukiwań za bronią i książkami, kazał chorą panią Chrzastowską pacholkom swoim wynieść z łóżka, otrzymał od oburzonej córki zasłużony policzek.

Po odkryciu związku konfederacyi narodu polskiego, kiedy rozpoczęły się aresztowania szlachty, uwięziono braci Chrzastowskich Aleksandra i Juljana.

W roku 1838 uwięziono i panią Marcyannę, zasądzono na rok więzienia, które we Lwowie odsiadywała.

Juljana wypuszczono niebawem, Aleksandra wywieziono do Lwowa jako winnego zbrodni stanu, poczem wraz z innymi w grudniu 1840 do Kufsteinu zasądzony na lat pięć, został wywieziony. Trzeci syn Marcyanny Edward, złapany w królestwie kongresowem, osadzony w cytadeli warszawskiej, odstawiony do Galicyi, został z początkiem 1843 skazany, i na Szpilberg wywieziony.

Z początkiem 1846 powrócili Aleksander i Edward, i zaraz przyłączyli się do prac przygotowawczych, prowadzonych przez centralizacyę wersalską.

Z 17 na 18 lutego szalała burza i zadymka, przeprawę po drogach utrudniały zasy. Pomimo tych trudności stanęli Aleksander, Juljan i Edward na punkcie zbornym pod Tarnowcem niedaleko Tarnowa. Kiedy wszakże mała tylko liczba na wskazanem zebrała się miejscu, rozprószyli się, by wrócić do domów. Powrót do domu równie trudny był i uciążliwy z powodu szalonej zamieci.

Pierwszy wrócił do Szczepanowic 18 popołudniu Edward, a nie miał czasu wytehnąć po męczącej drodze, kiedy na dwór w którym z braci był młodszy znacznie Roman, gromada chłopów napadła.

Widząc nadciągające tłumy chłopów zamierzali bracia wyjść naprzeciw nim, wyszedł wszakże tylko Edward by do nich przemówić, i by dowiedzieć się czego żądają. Chłopi wołali „jesteście aresztowani“ „więc mnie macie“ rzekł Edward z zimną krwią. Rzucili się nań oprawcy i mówiąc cepami ko-

ląc widłami ubili na miejscu. Nadbiegła na to nieszczęśliwa matka. Ktoś z tłumu strzelił do niej lecz nie trafił, poczem ją Roman w głąb domu uniósł. Motłoch rzuca się za nimi, wywała drzwi i zaczyna bić Romana. Przyszedłszy do siebie po chwili Roman, którego wybawił od śmierci metalowy guzik od paletota, na którym się pchnięcie rożnem zatrzymało, ukrył się za szafą. Chłopi dzieląc się znalezionemi w szafie pieniędzmi, pomimo iż p. Sacher Masoch zapewnia, iż nic nie brali, zapomnieli o Romanie, tem więcej że wiatr wpadający przez potłuczone okna i gaszący światło, szukanie za nim utrudniał. Po odejściu chłopów, kiedy na inne wsie się rozbiegli, wyszedł Roman z kryjówki, a nie czując się dość bezpiecznym we dworze, udał się do innego budynku, by zmęczony i ranny snem się pokrzepić.

We dworze oprócz Edwarda Chr. zabili chłopci mandatarjusza Kleczkowskiego i karczmarza katolika, bo i on w surducie chodził.

Niedługo Roman w nowej pozostał kryjówce, ostrzegł go bowiem kuchta, że jedna z dziewczek dworskich widząc gdzie się ukrywa, pobiegła zdradzić chłopom miejsce pobytu jego, i że za chwilę spodziewać się ich należy. Razem z pocziwym kuchtą podążył Roman bez czapki do lasu w Błoniu, a przepawszy tam ze dwie godziny na śniegu, puścił się manowcami w kierunku Tarnowa, a że po drodze w Koszycach dzień się zrobił, ukrył się w sianie na strychu stajni przy karczmie. Zwietrywszy go i nieodstępne kuchtę jakimś sposobem chłopci, zmusili zleźć z góry, grożąc że stajnię podpalą.

Pewny że go zabiją, złazł Roman, rzeczywiście rzucił się na niego chłop z siekierą, tak że ocalał tylko skutkiem wdania się drugiego chłopca, który przekonywał, że lepiej odstawić go do Tarnowa, gdzie go i tak powieszają, jeżeli na to zasłużył.

Usłuchawszy tej rady, wsadzili Romana na sanie, a przywiązawszy do literek, powieźli do Tarnowa. Jeden z chłopów okrył Romanowi czapką swoją głowę, a nadto dawał mu palic

ze swojej fajki. Na policy w Tarnowie dokąd go odstawiono, zastał Roman niejakiego Joachima Bielańskiego geometrę, któremu chłopci złapawszy go na gościńcu do Bochni, wnętrzości wypuścili. Biedak ten leżąc w stanie tym na gołych deskach, wyzdrowiał nadspodziewanie i żył lat jeszcze kilka.

Roman Chr. wraz z bratem Julianem i Tymoteuszem Skrzyńskim z Siemichowa do Lwowa w kajdanach został wywieziony i przesiedział tam do marca 1848 r.

W Szczepanowicach została nieszczęśliwa matka z córkami, chłopci co kilka godzin wpadali do dworu i z nich to jeden przysiadłszy się do dziedziczki, ozwał się do niej: „Musi być z nami kiedyś koniec, albo ty odemnie, albo ja od ciebie teraz zginę”.

Nieustraszona kobieta odpowiedziała mu śmiało: „ty się mnie nie masz co lękać bom słaba niewiasta, a jeżeli chcesz mnie zabić, to zabij zaraz z córką najmłodszą Celiną i wnukiem, niech się nie poniewierają między wami”.

Wzruszeni temi słowy niektórzy chłopci zawołali na napastnika: „co wy gadacie kumie, taż to nasza matka, nasza dziedziczka”, a zwracając się do nieszczęśliwej, dodali: „nie bójcie się niczego, tylko dajcie nam pieniędzy”.

Otrzymawszy takowe, wsadzili kobiety na wóz i wieźli do Tarnowa. Po drodze spotkali tych co trupów ze Szczepanowic wieźli do Tarnowa, i ci ich namówili, by na drodze panią Chr. porzucili, co też i zrobili, tak, że ją dopiero patrol żołnierzy zabrał do Tarnowa.

Cofnąwszy się z punktu zbornego pod Tarnowem, udał się Aleksander Chr. do Radlnej położonej o 6 kilometrów pod Tarnowem, a którą brat jego Julian dzierżawił, i czekał tu wraz z innymi, którzy z Pleśny przybyli do drugiej godziny w nocy, spodziewając się, że więcej ludzi przybędzie. Kiedy nadzieja zawiodła, udał się Aleksander Chr. z Felicyanem Szybalskim do Lichwina, gdzie ich chłopci pochwycili, zdradzeni haniebnie przez wiozącego ich fornała, który umyślnie wywróciwszy sanie z końmi uciekł, zostawiając ich na pastwę chło-

pom. Przytrzymano nieszczęśliwe ofiary, powiązano, a młóćąc cepami po drodze, wieziono do Tarnowa. Aleksander zginął pod pałkami, Julian zбитy okropnie dyszał jeszcze, kiedy go na dziedzińiec cyrkułu zawieziono. Tam to oficer widząc żyjącego jeszcze więźnia, krzyknął na żołnierza: „dobij go!” a gdy ten się zawahał, wydarł mu karabin i tak silny cios Julianowi zadał w piersi, że biednej ofierze krew się ustami rzuciła. Bohater ten noszący mundur oficerski, zwał się Galateo. (!)

Oficerowie austriacy w tej epoce głośni i znani byli z gotowości do burd, z pyszałkostwa nie wymagającego męstwa, z brutalnego obchodzenia się z tak zwanymi cywilami, a nawet z kobietami, to też jakby za karę spotykało ich w wojnach po roku 1846 jedno upokorzenie za drugim, wsławili się w nieustających operacjach po za tyły armii.

Tarnawa w Bocheńskim.

Rodzina szlachecka Marynowskich osiadła w Tarnawie, znaną była wszystkim czynnym patryotom, jako biorąca wytrwale udział w pracach mających na celu oswobodzenie ojczyzny.

Stanisław Marynowski, syn Benedykta właściciela Tarnawy, był przedstawicielem dzielnej młodzieży. Jako słuchacz prawa w uniwersytecie lwowskim, był już w roku 1835 wraz z kolegą swym szkolnym Kaźmirzem Grocholskim, Lucyanem Siemińskim i innymi, członkiem dykasteryi Węglarstwa polskiego. Gorący republikanin prędki i bardzo ruchliwy, nazwany był „skrajnym“.

Gdy po upadku Węglarstwa, miejsce jego zajęło w r. 1836 Stowarzyszenie ludu polskiego, którego zbór główny był we Lwowie, a kierownictwo tegoż objęli ludzie z zimną rozważą i ogłędnością, pod naczelnictwem Seweryna Goszczyńskiego,

wszedł także Stanisław Marynowski do związku tego, który rozszerzał się na prowincyi, po obwodach.

Aliści gdy zбір główny Związku ludu polskiego, wykluczał doraźną propagandę polityczną na włościan, obawiając się tejże, a działalność jego zdała się gorętszym członkom stowarzyszenia zbyt umiarkowaną, oględną i powolną, postanowił wychodźca Stanisław Malinowski, zaprowadzić nowy Związek, któryby odpowiadał zasadom jego i niecierpliwości wychodźców, będących pomimo ciągłego wydalania ich, jeszcze w znacznej liczbie w Galicyi, i doprowadził w najkrótszym czasie do powstania. Utworzono więc w Bocheńskim i w Tarnowskim w czerwcu 1837 Związek powszechnej konfederacyi narodu polskiego, który postanowił wziąć się natychmiast do politycznego obrabiania włościan, pobratania ich z panami, za pomocą zapowiedzi bezzwłocznego zniesienia pańszczyzny i poddaństwa, i przygotowania ich do zbierania się przeciw Niemcom.

Do Związku tego weszli prócz wychodźców Stanisława Malinowskiego, Leona Załęskiego, Stefan Mutkowski, Michał Giersz, Fortunat Stadnicki, Ludwik Kępiński właściciel Pierzchowca, Kropiwnicki właściciel Przyłęka, Stanisław Marynowski i inni.

Gorący i sprawie całą duszą oddany Stanisław Marynowski, nie wahał się przyjąć pozornie służby owczarza u Józefa Piaseckiego w Trzęsówce w Tarnowskim; prawił chłopom o narodowości, o Niemcach, o rządzie austryackim, i wzywał ich, jak wszyscy do otrząśnienia się z niewoli niemieckiej ogólnem powstaniem; zwiedzał w tym celu z Józefem Łusakowskim przebranym po chłopsku dalsze wsie, i na weselach, odpustach i innych wiejskich uroczystościach, wpływał na nich w duchu konfederacyi.

Aliści już w kilka miesięcy wykryto tajny Związek, i z wpływem roku 1837 rozpoczęło się tłumne więzienie szlachty i jej służby i kogokolwiek, o których doleciał do urzędów cyrkularnych słuch, o niezwykłym dotąd zbliżeniu się do chłopów

Ze Lwowa zjechała umyślnie komisya śledcza, rozpoczęto śledztwa w Wiśniczu, w Tarnowie i w Rzeszowie. Wielu mniej winnych wypuszczono, resztę wywieziono w r. 1838 do sądu karnego we Lwowie, jako przeznaczonych do przeprowadzenia sprawy o zbrodnię stanu. Tu po przeprowadzeniu z nimi na nowo śledztwa, osądzono i wywieziono 6 grudnia 1840, na odsiedzenie różnorodnej kary więziennej do Kufstein i na Szpilberg: Aleksandra Chrzastowskiego, Michała Olszewskiego, ks. Ignacego Zielińskiego, Michała Gierszę, Ludwika Kępińskiego, Marcelego Kropiwnickiego, Stanisława Marynowskiego, Stefana Mutkowskiego, Fortunata Stadnickiego; Marynowski skazany był na lat 12 do Kufstein*). Tak upadła „konfederacya narodu polskiego“, która zamiast odstąpienia włościom od rządu, zbliżyła ich jeszcze więcej do niego.

Nadszedł rok 1846. Powstanie zostało sparaliżowane przez biurokracyę, która przygotowała i dokonała rzeź szlachty. Rozpojone i żądzą rabunku zagrzane masy chłopstwa, rzucono na dwory i na tych patryotów, którzy ludowi wolność nieśli wobec prawa i uwłaszczenie.

Benedykt Marynowski i młodszy syn jego Stanisław, byli od pierwszej chwili proskrybowani przez satrapów cyrkułu bocheńskiego: Berndta, Wangermanna i ich satellitów Wichuma i Hoszara na utratę życia, a dwór ich i mienie całe na zniszczenie.

Nasłano tedy na nich 23 lutego liczną czerniawę pod wodzą osławionego w rzezi herszta Korygi i Stępaka. W jednej chwili został dwór w Tarnawie wypełniony ludźmi, którzy mszcząc się nąd wszystkim co wpadło w ich ręce, tłukąc i łamiąc drzwi, okna, sprzęty — obracali wszystko w ruinę, a przetrzaszając dwór cały, znaleźli ofiary swej zbrodni.

Pióro wzdryga się na wzmiankę owych strasznych okrucieństw, niewysłowionych mąk, jakie zadawało hajdamactwo

*) Stanisław Marynowski amnestionowany w r. 1848, — umarł w roku 1854 śmiercią naturalną.

przez kilka godzin, w czasie trwania rabunku, dziedzicowi Marynowskiemu, pastwiąc się nad nim, synowie cudem ocalili chroniąc się do lasu. Skrępowanego i przywiązanego do słupa, kłuto widłami, młócono cepami, słowem męczono przestankami a długo dopóty, dopóki nie skonał pod licznymi razami. Żadne prośby i błagania o śmierć doraźną nie zdołały zmiekczyć zakamieniałych serc tej zajadłej dziczy. „Trzy dni mam pozwolenie zabijać ciarachów, wołał herszt zbójców Koryga i spełniam dany mi rozkaz“.

Nie mogło się dzieć inaczej, skoro rabunek i morderstwa nie tylko były nakazane, lecz wprost wynagradzane, tem więcej, że zrabowane szlachty mienie, owe liczne inwentarze, zapasy żywności, zboża, wódka, srebra, klejnoty, pieniądze i t. p. sowitą za rzeź nakazaną były nagrodą.

Pieszo napadło hajdamactwo na dwór w Tarnawie, a wielu z tegoż odjechało na zabranych koniach dworskich, obciążonych łupem, kiedy inni pędzili bydło, owce, trzodę. A że po zaspach śnieżnych rozmokłych a głębokich, zboża i zapasów żywności, z rozbitego spichlerza, na dworskich wozach uwieźć nie mogli, zrąbano i potrzaskano wozy, unosząc co się dało w płachtach.

Tłum łupieżców, biwakował noc całą na dworskiej polanie leśnej, przy roznieconych ogniskach, piekąc na nich zarznięte owce, które chciwie zjadając popijał zrabowanemi trunkami.

T a r n ó w.

Znaczniejsze pomiędzy miastami galicyjskimi co do liczby mieszkańców, siedziba biskupstwa i władz rządowych, stał się głośnym w roku 1846, bo przypadkowo dostał jako starostę, w czasach kiedy obcokrajowcami wszystkie prawie obsadzone były urzędy, człowieka bez serca, sumienia i poczucia ludzkiego Breindla von Wallerstern, który przesadzając w gor-

liwości, wyobrażając sobie że rządowi wielką odda usługę, posługiwał się nieźrzałem politycznie, i za mało umoralnionem chłopstwem, przeciw ruchowi o którym bardzo dobrze rząd we Lwowie jak i pan starosta tarnowski byli poinformowani. Pan starosta godnych siebie pomocników miał w urzędnikach, takich jak Chomiński, Leśniewicz, Trojanowski i straż skarbową, a środkiem do przeprowadzenia planu kontrewolucyjnego, o którym p. prezydent lwowski br. Krieg wspominał, były amtstagi, czyli zebrania się wójtów, z którymi często bardzo pan starosta konferował. Zręczny pan starosta, używał nadto jako pośrednika i wpływowego agitatora bogatego izraelitę Luksenberga, który jako dzierżawca propinacji w Tarnowie, rozległe miał stosunki z żydami na prowincyi, i przez karczmarzy wpływ na chłopów mógł wywierać.

Tarnów jako punkt ważniejszy, na drodze pomiędzy Lwowem a Krakowem, a tem samem i Wiedniem, miał być wzięty, i zamierzano uderzyć nań z dwóch stron. Jeden punkt zborny był pod Klikową od strony północnej, z kąd oddział dowodzony przez Leona Czechowskiego, miał posuwając się przez cmentarz choleryczny, uderzyć na kasarnię piechoty; drugi punkt zborny był od strony południowej, we wsi książęcej (Sanguszki) Tarnowcu, z kąd oddział pod dowództwem Józefa Eisenbacha, żołnierza z 31 roku a właściciela Pleśny, uderzyć miał na koszary kawaleryi. Równocześnie Władysław Dąbowski z Zakrzowa i Chrzastowski, mieli zerwać most na Dunajcu, ażeby przerwać komunikację i odciąć odwrot szwoleżerom. Dwóm tym oddziałom miał ułatwić działanie w mieście Jan Machowicz, zajmując odwach główny i łącząc się z Czechowskim. Plan ten został sparaliżowany przez tłumy chłopów, którzy nadciągające od Wisły gromadki pojмали przy karczynie w Lisiej Górze, częścią zaś przez to, że chłopstwo, któremu jak pisze br. Sala, pan starosta Breindl nie mógł dać posiłków wojskowych, na dwory uderzyło. O ile dokładne o ruchu pan starosta miał informację, i jak dokładnie stosownie do powziętego planu działało, dowodem tego okoliczność, że teje sa-

mej nocy krew pomordowanych się polała, że pomiędzy bandami chłopskimi uwijali się starościńscy urzędnicy.

Pomiędzy oficerami załogi tarnowskiej, którzy patrzyli na chłopów krwią zbluzganych, jakby na równorzędną sobie armię wyswobodzicieli, i z dziwną brutalnością lżyli wdowy i sieroty pomordowanych, były i szlachetniejsze serca, a między nimi pułkownik Moltke i Lebowski, którzy bądź to z oburzeniem przeciwko szalającemu chłopstwu występowali, bądź też nie lękali się opiekować rannymi i uwięzionymi.

T y m b a r k

w sandeckiem, własność Wiktora Sławikowskiego napadli chłopci, pomimo że sam Sławikowski tamże nie mieszkał, i wieś starozakonny dzierżawił. Urojoną zemstę wywarli chłopci na majątku, niszcząc gorzelnię wraz z aparatem. Mandataryusza Brzeskiego, trzymali w czasie rabunku zamkniętego w pokoju.

T r z e ś n i ó w

(na wschód od Krosna na północno-zachód od Rymanowa, w obwodzie sanockim).

Opowiadanie P. Edwarda Textorysa dzierżawcy majątku tego, umieszczone w Radzie narodowej Nr. 26 z d. 24 maja 1848, przytaczam jako dowód, że gminy w styczności najbliższej będące z dworem, nie pałały taką nienawiścią i zemstą, i że obce wsie miały pod wpływem zachęty i podszeptów rzucać się na dwory, które im jako zupełnie nie mające z niemi żadnych stosunków, narazić się nie mogły, a tem samem wywołać zemstę. Haczowem przegrodzona od Trześniowa, leży zacna gmina Iskrzynia, która za pocziwe swe zachowanie się w roku 1846, naganę p. Schiffnera z cyrkułu sanockiego dostała.

Oto co pisze p. Textorys:

Dnia 22 lutego 1846, gdy gmina haczowska napadłszy na dom dzierżawcy wsi Trześniowa w obwodzie sanockim, takowy rabować zaczęła, przybyła moja gmina trześniowska w pomoc, i odebrała wszystko, tak że żadnej nie poniosłem szkody, a gdy niebezpieczeństwo coraz groźniej postępowało, natenczas gmina ta udała się do pomieszkania mego, a wzięwszy mnie pod swoją opiekę, wspierała mnie radą i uczynkiem, bym pod żadnym względem uszkodzonym nie został, ba co największa, że odebrała mnie od gminy haczowskiej, i sama mnie do cyrkułu sanockiego bez naruszenia jednego włosa odstawiła — a gdy znowu inna gmina powtórnie dom mój rabować zamierzała, przybyli gospodarze i niewiasty trześniowskie, zabrali z mego domu wszelkie ruchomości i zaniósłszy je do siebie na wieś, do ostatniej chwili takowe nietknięte przechowali, i w ręce żony niżej podpisanego potem wrócili.

Na wielkanoc roku 1846 rozeszła się znowu wieść, iż podobne jak w lutym 1846 r. dzieć się mają napaści, dowiedziawszy się o tym gmina trześniowska, zabrała powtórnie wszelkie moje ruchomości i bieliznę do przechowania, i zwróciła takowe po świętach bez najmniejszego uszkodzenia.

Upraszam czyn ten szlachetny podać do publicznej wiadomości.

Trześniów 6 maja 1848.

Edward Textorys.

T r z c i a n a

sąsiadowała z Rzędzianowicami, Wampierzowem, Brniem, Czerminem i Złotnikami należała do p. Webera, którego chłopci wraz z kilkoma oficyalistami zabili, podczas gdy brat jego ocalał ukryty w brogu siana przy karczynie w Trzcieńcu, tak że widzieć mógł, jak chłopci pojmanego Aczkiewicza przypro-

wadzili i jak go mordowali. Z kryjówki tej wyszedł Weber dopiero, kiedy chłopci obwoływali, że się skończyły krwawe zapusty, i kazał przy dworskim ogrodzie nieszczęśliwego Aczkiewicza pochować.

Wadowice górne.

(*Terlecki Jędrzej, Aczkiewicz Hipolit.*)

(Własność w r. 1846 Osuchowskich, dzierżawił Hipolit Aczkiewicz.)

Stosunek dzierżawcy z włościanami był dobry tak, że mieszkańcy Wadowic z wyjątkiem samego Aczkiewicza, pomimo niepokojących wieści, nie myśleli o ucieczce z domu, raz że mienia całego na pastwę zostawiać nie chcieli, znów że jak słusznie rozumowali, niewłaściwem było, budzić ucieczką podejrzenie u ludu, a zarazem przekonanie o uczestnictwie w ruchu, którym chłopom agenci grozili, szerząc pomiędzy nimi nedorzeczną baśń, jakoby panowie chłopów wyróżnić mieli, przyczem nie zastanowili się włościanie, że tam gdzie na setki i tysiące osady jeden był dwór, przypuszczenie takiego zamiaru było jeżeli nie idiotycznym, to co najmniej śmiesznem. Wiadomość przyniesiona z Łączek, że tamże w czasie pogrzebu Brzeskiego dwudziestu kilku, a między nimi księża Trutę wikarego z Wadowic zamordowano, powinna była skłonić Aczkiewiczów, by się z domu wydalić i wyjechać do Mielca. Niebaczni nie usłuchali przestrogi lekarza Błaszczykiewicza, który z Przybysza przybył, by Aczkiewiczów tak samo jak innych o grożącym niebezpieczeństwie przestrzedz. Głównie nie pojmowali grozy niebezpieczeństwa p. Aczkiewicz i ojciec jej Jędrzej Terlecki, który sam w Wadowicach pozostać chciał, jeżeliby córka z zięciem wyjechali, sam zmusił niejako zięcia, że zaniechał myśli opuszczenia domu. Proboszcz Kolasiński, który był we dworze, oddalił się zaniepokojony o 11-ej w nocy, spo-

strzegłszy wszakże tłumy chłopstwa przy karczmie, zwrócił się z drogi i uszedł szczęśliwie do Mielca, zapominając o Aczkiewiczach, których mógł być wyciągnąć z domu, wskazując na bliskość niebezpieczeństwa.

Aczkiewiczowie ułożyli się do snu, sam Aczkiewicz nie rozbierając się, i niebawem o 12-ej godzinie wpadli chłopci do domu. Aczkiewicz położywszy wystrzałem jednego napastnika, a raniwszy drugiego, wyskoczył oknem i uszedł, żona zaś z dziećmi została w pośród tłumów rabusiów. Zabrawszy pieniądze znalezione pod poduszką pana Aczkiewicza, poszły tłumy do Kosówki, a wróciły w cztery godziny o czwartej rano. Szukając za mężczyznami, odszukali ojca pani Aczkiewiczowej, który się schronił na drzewo, a gdy po strzale spadł z drzewa, dobił go połowy Aczkiewiczów Jędrzej Dziura, uderzając go kolbą po głowie. Gospodarując w najlepsze w domu, chcieli pozostałą z dziesięciorgiem dzieci Aczkiewiczową spalić, od czego odwiódł tłumy urlopnik, dowodząc, że mają rozkaz mordowania mężczyzn, że kobiet zabijać tak samo i palić nie mają rozkazu. Aczkiewiczowa z domu zrabowanego schroniła się na wieś, lecz z chałupy do chałupy musiała się przenosić, nigdzie jej bowiem dłużej nie chcieli trzymać, obawiając się zemsty. Mienie całe Aczkiewiczów zrabowali chłopci, zabierając konie, krowy, owce, zboże i ziemniaki, jakby do tego nabyli prawa, dokonując zbrodni i niszcząc dowody na przeszło 3000 złr., które dworowi byli dłużni. W jednej chwili rodzina tak liczna zesłała na nędzę i kij żebraczy, a nie wolno się było nawet upominać, bo panowie urzędnicy nie chcieli się w to mieszać, uważając to za sprawy rodzinne, a nadto ukazem dochodzenie tych popełnionych zbrodni i odbieranie zabranych rzeczy, było wzbronionem.

Sam p. Aczkiewicz wyskoczywszy przez okno, dążył ku Mielcowi, nie mogąc wszakże przeprowić się przez rzekę, ukrył się w lesie w Trzcianie. Czwartego dnia przeziębiony i zgłodniały wychylił się z lasu, a gdy go parę kobiet zobaczyło i wrzasku narobiły, jak żeby naciągającą hordę Tatarów zo-

baczyły, zbiegli się chłopci i bez trudu osłabionego całkiem pojмали. Pojmanego powiedli jakby na skałę tarpejską do karczmy, gdzie wójt nie godząc się ze zdaniem by go odwieść do Tarnowa, wyrok śmierci nań wydał, który spełniono, zadając Aczkiewiczowi cios w głowę pałką. Patrzył na to ukryty w brogu obok karczmy pan Weber. Sprawców kłuiła w oczy tablica pamiątkowa, którą nieszczęśliwemu Aczkiewiczowi położyła żona na grobie w Trzcianie, kilka razy umieszczona, znikała z grobu.

Przy tak zwanem śledztwie, które w Mielcu prowadzono, dostał chłop, który Aczkiewicza zabił policzek od sędziego za to, że pytany czemu Aczkiewicza zabił, powiedział, że taki miał rozkaz. Na tem się wszakże i skończyło, rozboje i zabójstwa zostały bez kary, a można zrozumieć jak to demoralizująco oddziaływać musiało na lud, i jak w tych warunkach niezbędną była karząca ręka zagniewanego Boga, zsyłająca głód i tyfus głodowy, by jakby wodami potopu oczyścić ziemię z tego rozzuchwalonego plugastwa.

Wadowice dolne i przysiółek Kopaliny.

(Fuchsowie i Świderscy.)

(Tu zamieszkiwali dzierżawiac od Wandy Przebendowskiej pan Fuchs i zięć jego Świderski).

W Kopalinach napadły tłumy, Bóg wie z kąd przybyłe, i powaliły na ziemię Świderskiego wraz z żoną, która broniąc męża nań się rzuciła, i zamordowały oboje osierocając dwoje niemowląt, poczem i dom mieszkalny i zabudowania gospodarskie spalono.

Fuchsa wraz z bratem i synem również zamordowano, tak że na nędzę po zniszczeniu lub zabraniu wszystkiego dwie córki i wnuki po Świderskich pozostały. W tłumie chłopstwa

odróżniał się fizyonomią, pierścionkami na palcach i grą na fortepianie jakiś człowiek, kierujący bez wątpienia tą wyprawą, na hasło bowiem przezeń dane, rzuciła się czerń pijana na Fuchsa i jego rodzinę.

Wadowice.

(*Komorowski Władysław.*)

(Na północ od Radomyśla, na zachód od Mielca, sąsiadowały z Wampierzowem, Piątkowicami, Zgórskiem, Izbiskami i Kossówką.)

Na drodze przy karczmie w chwili rozpoczęcia mordów w Wadowicach, pochwycili chłopci jadącego do Aczkiewiczów Władysława Komorowskiego i zamordowali w karczmie, rozkrzyżowawszy go i przywiązawszy do stołu. Komorowski liczył 20 lat zaledwie, i nie mógł w obec ludu zawinić. Nazwa liberała, którą mu dawali chłopci świadczy, że byli tam między chłopstwem, którzy czuli w powstaniu gotującym się, rękę demagogii francuskiej, liberałów obozu polskiego, i w ten sposób zdradzali niebacznie, kto kontrrewolucyą całą kierował, bo chłopom nazwa liberała nie mogła być znana.

Walowa

w powiecie limanowskim, widownią była wstrętnych scen, przypominających chyba, że nie jak Darwin twierdzi od małpy ludzie, ale od hyen pochodzą.

Na dwór napadły tłumy chłopstwa w chwili, kiedy właściciel jego p. Ujejski Antoni leżał na katafalku. Nawet groza śmierci nie była w stanie powstrzymać zbrodniarzy. Jak szakale rzucili się na nieboszczyka, a przeszukawszy czy nie ma przy nim pieniędzy, rzucili się następnie na dwór, by dokonać rabunku.

W e s o ł ó w.

(*Antoni Horodyński i wójt z Wesołowa.*)

Majątek ten pod Zakliczynem nad Dunajcem, należał do Antoniego Horodyńskiego, który po stracie żony, oddany gospodarstwu i wychowaniu dzieci, znany był w okolicy z uczynności i szczególnie dla sierot tkliwego serca. Uczynny i sprawiedliwy dla poddanych, nie przypuszczał, by włościanie na dwory rzucić się mieli, a jako żołnierz z 31 roku, jeden pomiędzy innymi łagodniej usposobionymi, zamierzał drogo sprzedać życie, bronić się do upadłego. W ostatniej chwili przez wzgląd na dzieci, sądząc że zdoła się dla nich ocalić, kryje się u gajowego, dozorczy wiklin, niejakiego Zawiszy, któremu nieraz dobrodziejstwa wyświadczał.

Kiedy po zrabowaniu i zniszczeniu dworu tłumy do domów rozchodzić się miały, zdradził im niewdzięczny Zawisza miejsce pobytu Horodyńskiego, to też wnet część jedna spieszy do jego chaty i ściąga ze strychu ukrytego. Skatowawszy nieszczęsnego w miejscu gdzie go odszukali, powiedli go na nowe męczarnie do dworu, a ztamtąd prowadzili do bliskiego Zakliczyna, bijąc tak niemiłosiernie, iż z bólu po drodze przytomność tracił. Porzuciwszy na poły nieżywego przed ratuszem, jeszcze dalej widłami i kosami kaleczą, a w końcu brzuch mu rozpruwają. Nie dość na tem, pastwią się nad trupem, tłoczą mu w usta widły mówiąc „paliłeś fajkę na długim cybuchu, zapalże sobie i teraz“. Obok Horodyńskiego zamordowało chłopstwo i wójta siedmdziesięcioletniego starca, za to, że je zaklinał, by zacnego Horodyńskiego nie zabijało, posadzając go, że panom się zaprzedał. Poczciwy ten i zacny człowiek zwał się Paweł Gołdynia.

Wróblowice.

(*Reczyński Marcin.*)

Tę wioskę pomiędzy Siemichowem, Luślawiczkami i Janowicami pod Zakliczynem położoną, dzierżawił od skarbu Melsztyńskiego hr. Lanckorońskiego Marcin Reczyński, człowiek cichej pracy wychowaniu dzieci oddany. W jakich z gminą pozostawał stosunkach, najlepiej świadczy ta okoliczność, że włościanie z jego wsi doń przyszli przestrzegając go, że grozi niebezpieczeństwo od wsi sąsiednich, i prosząc go, by przebrany w odzież chłopską schronił się na kilka dni do lasu przed napadem obcych gromad. Nie mogąc zrozumieć, za coby obce gminy na człowieka, który nie wobec nich nie zawinił napadać miały, nie chcąc nadto dawać pozorów, jakoby się do jakiegokolwiek poczuwał winy, pozostał w domu. Jak gdzieindziej, wpadły do Wróblowic obce gromady, i rzuciły się na dwór zarówno jak na Reczyńskiego. Zamknawszy się z p. R. w jednym pokoju, zamordowały go, kalecząc kosami i młóćąc cepami, poczem drugiego dnia odstawili go do Tarnowa, nie chcąc porzucić łupu, który z Wróblowic unieść się spodziewali, pominąć inne dwory, które by inne gminy zrabować mogły. Z wandalizmem właściwym najwstrętniejszemu zwierzęciu, człowiekowi zdziżałemu, niekrępowanemu ani sumieniem ani przepisami religii, dokonali zniszczenia dworu, w którym jeden piec, okno i podłoga się nie ostała, unieśli co było w domu tak, że pozostała wdowa z dziećmi o kiju z Wróblowic po najściu tem wyjść musiała. Aby nie spoglądać na chodzące wyrzuty sumienia, odstawili dnia drugiego po rabunku panią Reczyńską z dziećmi do Zakliczyna, pędząc na wpol nieokrytych po zaspach i śniegu pieszo, po zniszczeniu ich domowego ogniska i rodzinnego szczęścia.

Wielopole skrzyńskie.

Zamordowano tu w dniu 20 lutego:

Piotra Misky, ekonoma, lat 50;

Marcelego Hoszowskiego, mandataryusza z Zawadki, lat 32;

Michała Sitkiewicza, pisarza gorzelnanego, lat 32, żonatego;

Stanisława Litwińskiego, właściciela Zawadki, lat 33, ożenionego z Apolonią Krzyszkowską;

Stefana Jawdzińskiego, ekonoma z Nawsia, lat 62;

Antoniego Kanarskiego, żołnierza na urlopie, lat 36.

Każdy zginął inną śmiercią, dziec bowiem chłopka wymyślała różne rodzaje śmierci, pastwiąc się potem jeszcze nad trupami.

Na cmentarzu w Wielopolu, na grobie ofiar stoi kamienny nagrobek, z napisem: „Pod tą mogiłą spoczywają zwłoki, od wzburzonego tutejszego chłopstwa, w dniu 20 lutego 1846 niewinnie pięciu osób zamordowanych, a mianowicie Piotra de Misky, Stanisława Litwińskiego i innych trzech”.

Pomnik ten postawiony jest z piaskowca mieszczącego w sobie wiele rudy żelaznej, która pomimo bielenia wapnem, w plamach rdzawych na wierzch występuje, co miejscowych Kainów w przekonaniu tem utwierdziło, że to krew pomordowanych występuje.

Zbędne wspominać, że dwór, zabudowania kilku folwarków, gorzelnia, złupione i zniszczone zostały.

Witowice dolne.

(*Ks. Chełmecki, ks. Głowacki, Marszałkiewicz Maks., Głębocki Józef, Zubrzycki Józef, Gostkowski Floryan.*)

(Osada pod Czechowem w sandeckiem, należała do Kazimierza i Wiktoryi z Dobrzyńskich Gostkowskich.)

20 lutego syn Kazimierza G. p. Floryan G. miał jechać do Jasła do brata i do Mszanki do Karola Gostkowskiego, który miał zająć Jasło. Pod Rożnowem zatrzymała go ciotka p. Dobrzyńska, a to z powodu, że zgromadzonych pod Lisią górą pojmano i wybito, a do Witowic wracać poleciła. Dnia 21 t. m. miał Florek młody jechać do Łososiny, by zawiadomić o tem co zaszło Przychockich, i by nakłonić ich by do Sącza się chronili. Rodziców p. Floryana, którzy również tam się wybierali, przytrzymali chłopci w Witowicach, a p. Floryan nie wpadł im w ręce, gdyż umyślnym wezwany został, by do Witowic nie powracał. W Łososinie zastał p. F. porucznika Weidnera, będącego tam dla konspiracyi, i przebrany w jego mundur puścił się do Witowic, gdzie zastał komisarza ze Sącza z wojskiem, skutkiem denuncyacji, jakoby w Witowicach broń była i armaty, co o tyle prawdą było, że w starym kazimierzowskim zamku myśliwskim dwie stare na podwórzu leżały śmigownice. Zabrał je na wozach do Sącza komisarz, a że dla bezpieczeństwa część oddziału, który miał ze sobą zostawił, zatem pod tą eskortą wyjechali państwo G. z synem Floryanem do Sącza. Wjechać do miasta nie pozwolono im, a major Feyerwary stojący pod miastem z wojskiem, kazał im wracać do Rożnowa razem z oddziałem wojska, który tamże siedł z komisarzem Gromanem, by skutkiem denuncyacji szukać za bronią. Z oddziałem tym po trzydniowej rewizyi bezskutecznej wrócili do Sącza, że ich jednakowoż nie wpuszczono, udali się do Starego Sącza o milkę położonego, i tam tejże samej nocy aresztowano Floryana G. skutkiem denuncyacji, jakoby od Mie-

czysława Skarzyńskiego depesze woził od Dembowskiego, i trzymano go 5 miesięcy w więzieniu.

Witowice zrabowano, toż samo Roznów, z kąd Antonio-
wie Dobrzyńscy przed przybyciem komisji do Sącza wyjechali.

W więzieniu w Sączu, gdzie się z Floryanem G. źle obcho-
dzili, siedzieli razem księża Chełmecki i Głowacki, ziemianie
Maksymilian Marszałkiewicz, Józef Głębocki i Józef Zubrzycki
z Kasiny. Tak samo jak Nikodem Gójski, użalał się i p. Flo-
ryan na osławionego Piskozuba, któremu zawdzięcza, że go
w piwnicy osadzono, tam też zastał go zwiedzający Sącz hr.
Łażansky, i tam mu powiedział dygnitarz ten, kiedy na zapy-
tanie za co siedzi, p. G. odpowiedział: że bynajmniej nie wie
za co siedzi, rzekł: „Man wird Ihnen Zeit lassen, dass sie sich
erinnern”.

W o ł k o w a.

(Ks. Golecki.)

We wsi tej niedaleko Pilzna położonej, uszedł ks. Golecki
widząc nadciągające chłopstwo do sąsiedniego lasku. Szukając
za nim, znaleźli go chłopci, pobili mocno i wiodli do Pilzna
bijąc ponownie kiedy spostrzegli, że mu przytomność wraca.
Nieszczęśliwy bronił się rozpaczliwie, a choć go okrutnie ka-
towano, życie ustąpić nie chciało, owszem wyrwał się opraw-
com, kiedy go koło cmentarza przewozili, a dopadłszy tegoż,
stanął na jednym z grobów. Zbójcy przerażeni uciekli, nie-
szczęśliwy kapłan, który w gorączce wysiłek ten zrobił, skonał
wśród grobów, a kiedy go po kilku dniach odszukano, znale-
ziono szczątki pozostawione przez psy lub wilki.

Wola przemykowska.

(*Wendorf, Zarzycki, Giebułtowski*).

(Własność ta w r. 1846 Lebowskich, położona nad Wisłą, graniczy z Zaborowem, Jadownikami i Wietrzychowicami.)

Dzierżawili Wolę Alojzy i Antonina z Osmeckich Wendorfowie, u których w domu oprócz czterech córek od 19 do 4 lat, mieszkała matka p. Wendorfowej 70-letnia osoba, a nadto szwagier pani W. pan Wincenty Zarzycki.

Wendorfowie zajęci wyłącznie gospodarstwem, i żyjąc po bożemu z ludem, nie chcieli dać wiary pogłoskom i ostrzeżeniom, jakie dochodziły ich uszu, kiedy im opowiadano, jak chłopom nie każą dawać wiary, obietnicom panów o zniesieniu pańszczyzny, i jak im za cenę połapania i odstawienia panów do cyrkułu, obiecują grunta dworskie.

Mieli czas schronić się do Przemykowa za Wisłę, ale nie chcieli, ufając w poczciwość włościan przemykowskich.

Dnia 21 lutego, a zatem trzeciego dnia przelewu krwi niewinnej tylu wymordowanych, około 6-ej wieczorem posłyszano gwar nie zwykły w dziedzińcu, i za chwilę ujrzano wdzierające się przez okna chłopstwo do wnętrza domu. Pana Wendorfa pytającego w sieni czego by chcieli? pochwycili i jego postronkami skrępowano, wiążąc w ten sposób Zarzyckiego i ekonoma Giebułtowskiego, lokaja, ogrodnika i chłopaka. Zgraja rozbiegła się po domu, zabierając w pokojach, spiżarni i na strychu co tylko było, a wierności sługi Karoliny Klaskiej zawdzięczała p. Wen. trochę pieniędzy i kosztowności, które zacna ta niewiasta w gnoju ukryła. Sceny rozdzierające serce odbywały się w sieni, przy związanym postronkami Wendorfie, kiedy go tak córki starsze ujrzały. Chłopi nie pozwolili by go furman jego odwiózł, ale po śniegu i błocie zmusili iść piechotą. Towarzyszyła ojcu w niemej boleści córka Franciszka, nieubrana należycie a przecież nie odstępując ojca przez całą noc.

Wendorfa wraz z innymi żyjącymi jeszcze lecz pokaleczonymi, jak też i z pomordowanymi powieziono do Tarnowa a nie do Bochni, a to dla przyczyny tej, że w Tarnowie więcej za dostawionych płacono. Ci co żywi jeszcze w rękę dziczy tej się znajdowali, narażeni na nieustającą poniewierkę, szturkania i bicia, czyścowe przechodzili męki na myśl i wspomnienie, co się dzieje z ich rodzinami i mieniem. Wendorf żywy dojechał do Tarnowa, co zawdzięczał opiece Jana Czubki, gospodarza z przemykowskiej Woli, który go ochraniał przed swawolą tłumów, przy każdej karczmie napadających na wozy, na których ofiary wieziono. Na przedmieściu już Tarnowa doznali więźniowie opieki porucznika Lebowskiego, syna właściciela Przemykowa, który zaraz za czyn ten aresztowany z wojska wystąpić musiał, co także charakterystyczne rzuca na zachowanie się władz światło.

Wendorf ocalał, wypuszczony następnie za wstawieniem się wysokiego urzędnika hr. Łażanskyego, osiadł w Rzeszowskiem u córki, rok bowiem 1846 przyprawił go jak tylu innych o stratę całego majątku, nie tylko bowiem w pierwszej chwili zabierali chłopci wszystko z dworów, ale w kilka dni po pierwszym napadzie, zabierali zboże gotowe ze spichlerzy, ziemniaki z kopców, bydło z obory, wódkę z lamusów, tak że właścicielom lub dzierżawcom zostawał często kij żebraczy. Okropności ruchawki tej chłopskiej przypłacił p. Wendorf nadto śmiercią żony i córki, pierwsza nie miała dość zdrowia by patrzeć na to co się działo, popadła w obłąkanie, a nadto tak samo jak córka Franciszka, skutkiem przeziębienia ciężkiej nabawiła się choroby, która śmiercią się skończyła. W tym wypadku jak w tylu innych, starosta Breindl i podobni jemu urzędnicy, okazywali najzupełniejszy brak uczucia i ludzkości, owszem tak się zachowywali, że widocznem było, iż zadowoleni byli z tego co się stało, tak pan Breindl nie raczył nawet rozpieczętować listu hr. Łażanskyego polecającego mu Wendorfa, bo czuł, że trzeba będzie wypuścić ze szpon ofiarę, że nie będzie można dłużej nad nią się pastwić. Tak postępowa-

ły władze, które mogły były zażegnać burzę, rozszalałą powstrzymać, a nieszczęśliwym rozbitkom dać opiekę. Wspomnieć tu należy, że córka p. Wendorfa wycierająca przedpokoje starościńskie, by uzyskać uwolnienie ojca, narażona na bezwstydną urągania się oficerów, nie umiejących uszanować boleści i nieszczęścia, nie znajdującą serca u ludzi, których znała za dawnych lepszych czasów w Tarnowie, znalazła współczucie i najgościnniejsze przyjęcie i pomoc w domu izraelity Dra Pflauma. Cześć mu! Dziwnie smutno obok tego faktu odbija brak serca, jaki spotkała pani Wendorfowa u księdza U. (Ujejskiego) proboszcza w Zaborowie, kiedy dla obłąkanej i ciężko chorej matki szukała pociechy duchownej i chwilowej pomocy. Dziwny wypadek ten, bo w ogóle duchowieństwo stoi w r. 1846 na stanowisku obywatelskiem, godnie obok swego pasterza, przeznacznego niewygasłej pamięci ks. biskupa Woytarowicza.

W o l a r o g o w s k a.

(*Starowiejski.*)

Właściciel tej wsi położonej niedaleko ujścia Dunajca, w sąsiedztwie Opatowca, Siedliszowic i Wietrzychowic, zwołał pan Starowiejski chłopów na dniu 18 lutego do dworu i oświadczył im, iż od chwili tej wolni są od pańszczyzny, przyczem wzywał ich do wzięcia udziału w powstaniu. Obietnica a raczej darowizna ta szlachetna obojętnie została przyjętą, bo inni dobrodzieje oprócz darowania pańszczyzny, obiecywali nadto rozdać grunta dworskie, jeżeli panów wytepią i do cyrkułu odstawią. Starowiejski miał zginąć pod Tarnowem.

Wojk ó w k a.

Wioska ta na gościńcu z Taraszówki pod Krosnem ku Frysztakowi, ocalała dzięki przytomności i energii właściciela p. Józefa Wiktora.

Pan Wiktor mężczyzna niezwyklej budowy i siły, widząc nadchodzące chłopstwo, zatarasował drzwi wchodowe domu, i uzbrojony w cztery strzelby, z bratem Jakóbem, późniejszym dyrektorem Towarzystwa kredytowego we Lwowie i z dwoma służącymi wyczekiwał co będzie. Przez okienko we drzwiach zapytał napastników: „czego chcecie?” a gdy odpowiedzieli: „robić będziemy rewizyę” otworzył drzwi i wpuścił trzech przywódców, pomiędzy którymi miał być przebrany urzędnik, czwartego zaś chłopą, który się również do sieni cisnął, tak uderzył, że się na ganek powalił. Zamknawszy drzwi i odciąwszy od bandy przywódców, tłómaczył chłopstwu, że gdy wpuszczeni rewizyę zrobią, do domów rozejść się mogą. Siła pana Wiktora, jego energia i widok palnej broni spowodowały, że czerń po wypuszczeniu przywódców, cofnęła się ze dworu, nie mając odwagi narażać się na strzały.

Wola żyrakowska.

(Żurowski, Pieniążek.)

(Wieś ta na północ od Dębicy, na lewym brzegu Wisłoki, należała do p. Marcina Żurowskiego.)

Zaniepopojony głuchemi wieściami o buntowaniu się chłopów, wyjechał p. Żurowski z żoną z domu Bończa Rutkowską do przyjaciela sąsiada o dwie mile mieszkającego, by się coś dokładniejszego dowiedzieć. W domu u siebie mógł się nie obawiać p. Ż., gdyż po ludzku oboje obchodzili się z włościanami, temczasem sąsiad ów nie był pewnym swojej gminy,

a o rozruchach w Wiewiórcie majątku Rejów już go doszły wieści. Nie mając pojęcia o tem co się przygotowywało, nieszczęściu i rozmiarach jakie zakreślono, pocieszali się przyjaciele nawzajem, obiecując sobie, że w danym razie drogo sprzedadzą życie, broniąc się przed napastnikami. Wróciła powoli swoboda, gdy wieczorem przekonali się nieszczęśliwi, że prawdziwymi były złe przeczucia. Chłopstwo dowiedziawszy się o rabunku w Wiewiórcie, zapragnęło jak tygrys na widok krwi pohulać też u siebie. Wieczorem kiedy Żurowscy z gospodarstwem siedzieli przy wieczerzy, podsunęli się chłopcy pod dwór i padły pierwsze do sali jadalnej strzały. Przerażeni w pierwszej chwili, ukryli się gdy światło ich zdradzało w kąty, po chwili wszakże odszukawszy broń, poczęli się odstrzeliwać napastnikom. Że to widocznie pierwsza próba, pierwsze było wystąpienie tłumów chłopskich, i nie wpadli odrazu do dworu, postanowił Żurowski w ucieczce z żoną szukać zbawienia.

Nie lada było to zadanie, w zimie przy zaspach i ludziom nie pierwszej młodości, to też zostawił Żurowski żonę, która podążyć nie mogła po drodze, sam zaś dobił się do lasu i tu pozostał, zamiast żeby pod osłoną nocy do jakiegoś podążyć miasta. Puścił się wreszcie nie doczekawszy się żony, głodem zmorzony w kierunku Tarnowa, lecz za dnia, gdy chłopcy wszystkie drożyny obsadzili i lasów strzegli, dostał się w ręce rabusiów. Dopadli nieszczęśliwego i obdarłszy, tak okropnie pobili, że jedna kość w nim nie została cała, a że to dokładnie robili, świadczy ta okoliczność, iż zegarek, tabakierka i łańcuszek na proch zostały rozbite. Pani Żurowska cepami tylko została zmłóconą (zmarła w roku 1878). Świadkiem wypadków tych był młodzieniaszek wówczas, gimnazysta z Tarnowa, dziś pułkownik artylerji p. Stefan Pieniążek.

W o y t k o w a.

(Rafał, Wenanty i Leon Nowosieleccy, Marcin Pieściorowski, Topolnicki, Komorowski, Textorys, Leszczyński Leopold, ks. Winnicki, Hubczyc, Jagielski, Jan Bał, Klobassa Karol, Eminowicz, Wścieklica, Józef Przytocki, Gosslar Julian, Kern, Brześciański Stanisław, Morze, Urbański Feliks, Dulęba Leonard.)

Wieś ta położona w sanockiem na zachód od Dobromila, punktem była zbornym dla Dobromilskiego dla tych, co na Sanok mieli uderzyć, należała do Pauliny Nowosieleckiej, przy której dwóch synów Rafał i Wenanty mieszkali, podczas kiedy trzeci Zenon mieszkał w Rozborzu obok majątku rodziców żony Rzeplina, położonych na drodze z Pruchnika do Kańczugi.

Złe drogi skutkiem zasp i poczynających odwilży, przeszkodziły zgromadzeniu się szlachty, przybył tylko emissaryusz Mazurkiewicz, który Nowosieleckich utrzymywał w nadziei, że sprawa się powiedzie, pomimo że powracający z Medyki Rafał N. złe już przywiózł wiadomości. Mazurkiewicz później był u p. Pawlikowskiego Leona w Boniowicach, gdzie po zaprowadzeniu stanu oblężenia bojąc się rządu austr. brzuch sobie rozpruł, z czego się wszakże wyleczył.

Wracając do domu Zenon N. tyle był ostrożnym, że kiedy mu po drodze w Huciskach popaść koniom wypadło, kazał nie zajeżdżając do karczmy, rzucić koniom siana przy dyszlu, co mu na dobre wyszło, widząc bowiem znowy i szepty chłopów w karczmie będących, odjechał spiesznie i uszedł smutnego losu. Rodziców żony nie zastał w domu, wyjechali byli do Jarosławia, dokąd z żoną i niemowlęciem na ręku wybrał się, kiedy mu doniesiono, że w Rączynie niedalekiej mordują i rabują. Po drodze spotykali więcej takich co się do Jarosławia chronili, gdzie mieszczanie pod bronią stali, gotowi odeprzeć napad chłopstwa.

Z Woytkowy wyjechała Pani N. do Dobromila, lecz kiedy synów Rafała i Wenantego do Sanoka zabrano i ona tam

podążyła, temczasem bandy chłopów napadły na Woytkowę, i gdy je na próżno zatrzymać usiłował ks. Cicimirski, zrabowali dwór w Woytkowy, a następnie w Graziowej, Juryczkowie i w Leszczawie u hr. Franciszka Humnickiego. Tłumy te rozpedził dopiero w Huwnikach pod Rybotyczami Władysław Humnicki, poręcznik z wysłanym w tym celu oddziałem jazdy (patrz Nowe miasto).

Przybywszy w parę tygodni do Woytkowy brat uwięzionych Zenon N., zobaczywszy spustoszenie w domu, spichlerzu i lamusie, osadził pewny, że reszta ocaleje i że zasiewy wiosenne będą zrobione we dworze, Jędrzeja Jaworskiego herszta chłopów, ale inteligentnego i nie omylił się w swej rachubie.

Drugi z braci Nowosieleckich Wenanty, opowiada rzeczy dotyczące Dobromila i pobytu w aresztach w Sanoku:

Mając rozkaz napaść na oddział huzarów stojący w Dobromilu, poczem zrobiwszy to samo w Medyce, połączenie nastąpić miało z oddziałem w Przemyślu, wyjechał do Kniżopola wsi kameralnej, i ztąd przez żyda posłał doniesienie do Dobromila, że powstańcy idą. Czekali na nas pod miastem finansyery, i zabrali nas do tak zwanej Verwalteryi do p. komisarza Dworzaka, który miał polecenie aresztować nas we Woytkowy, lecz się tamże bał dojechać. Pomimo to przyjął nas grzecznie zawiadamiając nas, że jesteśmy aresztowani. Odprowadzono nas do magistratu i zostawiono tam pod strażą do dnia drugiego, w którym nas w żydowskiej zamknięto piwnicy. Pomieszczenie to nie było zbyt wygodne i zdrowe, piwnica bowiem była wilgotna a do spania dano nam tapczany bez słomy. Pomimo to nie traciliśmy fantazyi, osobliwie gdy niebawem zastęp nasz się powiększył, gdy do tejsze piwnicy wprowadzono nowych więźniów, mianowicie: Leona Nowosieleckiego, Topolnickiego, Komorowskiego i Marcina Pieściorowskiego. Piątego dnia po przeprowadzeniu śledztwa z każdym z osobna, wyprowadzono nas z piwnicy, i w dzień targowy na rynku miasta zakuł nas kowal w żelazka, poczem dodając do wozu po dwu żołnierzy, wysłano nas do Sanoka.

W Sanoku staliśmy w sieniach starostwa, dopóki towarzyszący nam urzędnik nie zdał sprawy staroście. Starosta Ostermann niezbyt rad, że tylu więźniów przybyło, miał ich bowiem nie mało, kazał nas odprowadzić do sklepu starozakonnego Chila, gdzie zastaliśmy dwudziestu czterech. Pamiętam byli tam Textorys, Leopold Leszczyński, ks. Winnicki z Haczowa, mandataryusz 60-letni Hubezyc, chłop z Dydni, Jagielski dzierżawca dóbr biskupich z Brzozowa, Jan Bał, Karol Klobassa, Eminowicz, emigrant Józef Wścieklica, Przytocki i Juljan Gossler emissaryusz później w Wiedniu powieszony. Przez półtora doby nie pokazał się dozorca kaźni, tak że pomimo woli pościliśmy, choć nas jakby dla dokuczenia nam pytano po osadzeniu w więzieniu, czy i co jeść chcemy. Trzeciego dnia przyniesiono nam z traktyerni Gędzińskiego cebrzyk rosółu i białego w nim mięsa. Tak karmiono nas raz na dzień przez cztery tygodnie. Później dla mnie i brata Rafała przynoszono obiad od profesora Cieszyńskiego, którym dzieliliśmy się z Klobassą i Balem. Po sześciu miesiącach zjechali do Sanoka radcy kryminalni Janowicz i Bogdanowicz, ostatni uprzejmy i łagodny człowiek, by z nami przeprowadzić śledztwo. Dopiero po jedenastu miesiącach klucznik Escherich powiedział mnie i bratu że jesteście wolni.

We Woytkowy majątku naszym, dokonał rewizyi komisarz Sziffner, lecz nic nie znalazł, pomimo że trząsł dwór a nawet lasy.

Jan Dominikowski właściciel Łokcia, rozbroił w Tarnawie oddział rewizorów i to sam jeden, tak ich nastraszywszy powiedzeniem że oddział nadciąga, iż w liczbie sześciu uciekli zostawiając broń. Z Tarnawy udał się do Turki i w podobny sposób piętnastu rewizorów rozbroił, zabierając broń i amunicję. Kiedy wszakże przybył do Nikodema Przestrzelskiego i o nieudaniu powstania się dowiedział, oddał broń tłómacząc straży, że żart sobie z niej zrobił. Za żart ten aresztowany w Łokciu i odstawiony do Sanoka, przesiedział półtora roku w więzieniu, najdłużej ze wszystkich.

Pobyty w więzieniu w Sanoku nie był bardzo miły, jeżeli się zważy wielu ich razem siedziało, i że przez cały tydzień nie wylewano naczyń, które nie przykryte w kącie stało, i że jedno okno było zabite koszem — zaducha była ogromna. Poproszono się ich dola po odwiedzinach pułkownika huzarów Kolowrata, dano słomy na pościel i drugie okno, on to bowiem więcej ludzki rzekł wówczas do starosty: „Man muss den Leuten Luft und Stroh geben”.

Mając czasu wiele zapełniali go grą w szachy, które sobie z chleba zrobili, ubarwiając jedne utartą cegłą; to znów polowaniem, przy którym Eminowicz przedstawiał zająca, łowami temi kierował Jagielski, jedni myśliwych, inni psów udawali.

Zmiarkowawszy niedowierzanie i lęklivość Textorysa, przedstawili mu Wścieklicę jako szpiega i zabawnem było, widzieć jak ruchliwego Wścieklicę, zbliżającego się do siebie unikał Textorys.

Dla uprzyjemnienia długich chwil więzienia urządzali świetlejsi wykłady, głównie z historyi, co się nie mało do gruntownego obznajomienia z historią polską przyczyniło.

Najpoważniejszy usposobieniem między nimi był Klobassa, najzabawniejszy wydany przez Austryę i powieszony przez Moskali Wścieklica, który raz na wieść, że ich wieszać mają, rzekł: „niech nas wieszają gołych”, rzeczy sprzedał i po trzech dniach dopiero ubranie darowane sobie przez Klobassę przywdział.

Jak się dostawiający cyrkułom powstańców chłopci nad nimi znęcali, opowiadał Jan Bal, jak mu kazano co krok skakać przez kij.

Karola Klobassę jadącego do Feliksa Urbańskiego do Komborni, złapali chłopci w Trześniowie, a kiedy i Urbańskiego związanego przywieziono, rzucono obu związanym pod ławę, wyczekując ze Sanoka polecenia co z więźniami zrobić. Tam to do tych dwóch przyłączył się pojmany Jagielski.

W dzisiejszym leskim powieście należącym dawniej do starostwa w Sanoku, zamordowano w Jankowcach p. Kerna, który się był ukrył w szafie.

Pomiędzy uwięzionymi w Sanoku w drugiej kaźni, byli Stanisław Brześcieński z Ustyanowy, Morze, Feliks Urbański i Leonard Dulęba.

Kiedy po chybionem powstaniu część szlachty, a byli między nią Sylwery Brześcieński z Kalnic, Romuald Żurowski z Bóbrki nad Sanem zebrała się w Baligrodzie, by ztamtąd przebiec się na Węgry, zastąpili drogę wygnańcom tym na własnej ziemi chłopci wraz z ruskim księdzem z Zahoczewia, lecz musieli ustąpić, kiedy jeden ze śmiałków odsłaniający odwrotną stronę medalu, przez Bułharyna w tę właśnie miękka część kulą poczęstowany został.

W r ó b l i k.

(*Urbański Feliks, Gosslar.*)

Ksiądz Jan Głuszkiewicz proboszcz obrządku gr.-kat. we Wróbliku pod Krosnem opowiadał, jako w pamiętnym miesiącu lutym 1846 r. posłyszał dzwonienie, sądząc że się pali, wybiegł i zobaczył tłumy niewiast nadbiegające z wołaniem: „Jegomościuniu wsi chłopcy piszły panów rizaty”. Widząc że nie przelewki, puścił się ks. G. w kierunku Wróblika drugiego i nadbiegł na czas do przeprawy na potoku, by uratować Feliksa Urbańskiego z Komborni, na którego w czasie przeprawy chłopci napaść zamierzali. Zaczny kapłan powstrzymał chłopstwo od zbrodni, tłumacząc im, że mogą panów do cyrkułu odstawić, że jednakowoż zabijać ich nie powinni. Poznał w czerńniawie tej chłopów z Widacza, Targowisk i Haczowa. Za to energiczne wystąpienie groził ks. Głuszkiewiczowi chłop Płatek, dowodząc że i jego za to, że z panami trzyma zabić by należało. Urbański ocalał i całe życie wdzięczność za to zachował dla księdza Jana. Pomiędzy tymi, których razem z Urbańskim chłopci pojмали, był emissaryusz Gosslar, którego zdradził odznaczony za to później orderem ks. Gerard Lech, proboszcz z Haczowa.

Zaduszniki.

(*Małeccy Feliksowie, Góral Wincenty, Mikiera Szymon.*)

(Wieś do skarbu Baranów nad Wisłą położonego należąca, dzierżawił właściciel Uścia również nad Wisłą, Feliks Małecki, ożeniony z Michaliną Stobiecką, z którą miał dwie córki.)

Znany z patryotyzmu, poświęcenia i zapału do czynów, rozległe utrzymywał stosunki w okolicy, w której wielu było dzierżawców i prywatnych oficyalistów, gościł też u siebie ruchliwego w spisku Edwarda Dembowskiego i Ludwika Makiewicza Feliks Małecki.

Dnia 17 lutego wyruszył Małecki ku miejscu, na którym patryoci z Powiśla zebrać się mieli wraz zeszczipłym orszakiem. Pomimo zawieruchy i śnieżycy czekali cierpliwie, wytężając wzrok by zobaczyć, czy inni nadciągają. Przybyło trzech młodych ludzi z pobliskiego przedmieścia.

Minęła znowu godzina i nikt więcej nie przybył, i znowu druga minęła, a potem i północ, a nikogo widać nie było, zatrzymały ich śniegi, mówili sobie, czekajmy jeszcze.

Ktoś idzie, ktoś idzie! odezwało się naraz kilka głosów. Niebawem zjawił się człowiek bez broni, któremu ze zmęczenia tchu w piersi brakowało. Co się stało i gdzie inni? pytano go.

„Wątpię, by kto przyszedł więcej” — odrzekł — „chłopi łapią każdego, wiążą i do cyrkułu odstawiają”.

Słów tych wysłuchali obecni z przerażeniem. Małecki postanowił jeszcze czekać.

Było ich dwudziestu trzech, a powinno się było w tym punkcie zebrać najmniej trzystu. Co robić? zapytali.

Wszyscy się na to zgodzili, że jeżeli do czwartej rano nikt się więcej nie zjawi, należy broń ukryć w najbliższym lesie i rozejść się póki jeszcze ciemno cichaczem, by w nikim podejrzenia nie budzić.

Zrobili jak uradzili i rozeszli się po okolicy, Małecki z dwoma towarzyszami szedł kierując się ciągle ku wschodowi.

Od wczoraj z południa żaden z nich nie w ustach nie miał, a jednak nie czuli głodu, a pragnienie gasili śniegiem. Pograżeni w bolesnej zadumie szli bez odpoczynku, a gdy się już rozwidniło, znaleźli się w wielkim zapuście sosnowym. Trzeba było odpocząć. Po godzinnym wypoczynku ruszyli w pochód, i właśnie kiedy do gościńca dochodzili, usłyszeli krzyki niezwykłe i rżenie koni. Wstrzymawszy oddech spoglądali co to będzie.

Najpierwej pokazało się na koniach kilku parobków. Sukmany mieli porozpinane, oczy krwią nabiegłe. Niektórzy trzymali kosy w rękach, inni kosztowne strzelby. Jadąc jakoby w przedniej straży, często się zatrzymywali. Za nimi ukazały się parokonne sanie, dalej wóz drabiniasty chłopski, za nim sanie dworskie. Jak na saniach tak na wozie leżało coś, czego na pierwsze wejrzenie nie można było rozpoznać. Dopiero gdy się lepiej wpatrzyli, uczuli że strach ich ogarnia, bo po ramionach zwieszających się ku ziemi, po krwi co się za wozami czerniła na śniegu, poznali, że chłopci wieźli ciała ludzi pomordowanych.

Po obu bokach sań i wozu szli chłopci pieszo i baby, a wszystko pijane, straszne, rozszalałe. Chłopci nieśli na sobie pańskie suknie, na plecach dźwigali srebrne naczynia, baby szły w szalach tureckich, w futrach damskich. Baby jak furye przygłuszały wrzaski swojemi krzyki rzeźmów, i to jedna to druga przyskakiwały do wozu, aby bić kijem lub pięścią martwe już zwłoki.

Na samym końcu straszego taboru szło kilku chłopów, a przy nich biegł pies. Nagle pies przystanął i patrząc w las, począł naszczekiwać.

Chłopci zatrzymali się, a gdy pies ujadać nie przestawał, zagłębili się w las. Zdradzeni szczekaniem psa, towarzysze Małeckiego zdołali ratować się ucieczką kryjąc się w gęstwinie, Małeczki nieszczęśliwy zaplątawszy się w sośniakach upadł i dopędzony został przez chłopów. Wywlekli go też na drogę i tak okrutnie zmłócili cepami, że mu połamali ręce i rozbili czaszkę.

Odartego z sukien do naga, porzucili na wozie na trupach. Zawieszony do Tarnowa z innymi ofiarami, których pierwszego dnia 144 było, został do wspólnego dołu na cmentarzu wrzucony.

Temczasem napadła inna banda na dwór Małeckiego i zwykłym sposobem zrabowali, jedno zniszczyli, drugie zabierając, ze spichlerzy zboże, uprowadzając ze stajen inwentarz żywy.

Małecki liczył wówczas lat 34.

Żona p. Feliksa p. Michalina, nie tylko skrzętną pracowitością wspierała męża w gospodarstwie, ale miłująca kraj krzepiła nieraz ducha. I ona męczeńską paść miała śmiercią. Chłopi z sąsiednich wsi z Padwi i Przekopu, podrażnieni że im się jak sobie wyobrażali Małecki wymknął, postanowili zemścić się na żonie. Dowiedziawszy się o zamiarach tych, chciała p. Małecka ratować się ucieczką do Baranowa. Że wszakże do Baranowa było półtora mili drogi złej, bo zamiecią śnieżną zasypanej, nie mogła ująć rąk prześladowców. Dopędzona, została niemiłosiernie pobita i pokaleczona, tak że ją od śmierci na miejscu mieszczanie, którzy nadbiegli odbronili, skutkiem wszakże ciężkiego pobicia, umarła w pięć tygodni 28 marca 1846 pomimo troskliwej opieki jaką na zamku w Baranowie znalazła. Córeczki dwie pp. Małeckich straciły w tak krótkim czasie rodziców, a jak wszędzie, tak w Zadusznikach i Uściu zrabowane zostało ich mienie do szczętu.

Chłopi z Przekopu wówczas oprócz pobitej śmiertelnie p. Małeckiej zamordowali ekonoma z Przekopu Wincentego Górala, rodem z Dzikowa, ożenionego z Maryanną Tadaszowską lat wówczas 40; uciekał on przed czernią chłopską z Przekopu, lecz w Domaszycach dopędzony dnia 23 lutego został zamordowany.

Tak samo zamordowali chłopi z Przekopu ekonoma z Dymitrowa Szymona Mikierę. Nieszczęśliwy ten rodem z Baranowa lat 38, ożeniony z Anielą Solarską dopędzony przez chłopstwo tak został skatowany, że w Baranowie dokąd go

poczcivi mieszczenie dogorywającego z pola unieśli, tego samego dnia 23 lutego męczeńskiego żywota dokonał.

Mieszczenie z Baranowa.

Ku wiecznej pamięci należy wspomnieć tu o zacnych i szlachetnych mieszkańcach miasteczka Baranowa, tem więcej, że nie brak smutnych przykładów, że mieszczenie pomniejszych miasteczek do rozbójniczych band się przyłączyli, i rabując z niemi mordowali, lub obojętnem okiem na mordy patrzeli.

Do rabunku w Karwodży u Nemyskich należeli mieszczenie pobliskiego Tuchowa, część mieszczen Brzostku łączyła się ze zbójcekiem hordami Szeli, tak samo z grzeszną obojętnością pozwalali u siebie na rynkach mordować obywateli i księży mieszczenie Pilzna i Dembicy, lub wypędzali chroniących się przed niechybną śmiercią, jak mieszczenie Starego Sącza.

Mieszczenie Baranowa tak samo jak w Jasle, przejęci uczuciem ludzkości, miłością kraju, chętny dawali przytułek tym nieszczęśliwym, którym rozbestwione chłopstwo zabrało mienie, pomordowało najbliższych.

Nie tylko gościli proskrybowanych tych u siebie, ale nie lękając się zemsty szalejącego motłochu, odpierali napady czerni ze wsi Kębłowa, Padwi, Przekopu i Zadusznik.

W pośrodku ponurej sceneryi wypadków 1846 roku, czynny takie jak mieszczen Jasła, Baranowa, Mrzygłodu, wsi Iskrzyni, są jakoby jasnym promieniem nadzieji, że nie wszystko stracone.

Niestety mało pozostało już z zacnego mieszczaństwa baranowskiego, pożarło ich toczące społeczeństwo nasze żydostwo, tak że i miasteczko podupadło. A i zamek starożytny przeglądający się w zwierciadle wód Wisły, który w roku 1846 był jeszcze w rękach starego rodu Krasieckich, posiadał homo novus — porośli w pierze z dorobku.

Zagórzany, Moszczenica.

Moszczenica należała tak samo jak Łużna, Szalowa i Wola Łużańska do Zagórzan, majątku p. Tadeusza Skrzyńskiego, a wypadki które tam zaszły, zawdzięczam zapiskom Imci Pana Apolinarego Przyłęckiego, notaryusza w Jaśle, którego rodzice mieszkali w Łużny — Zagórzanach.

W piątek 20 lutego 1846, przyjechałem wieczorem jako ośmioletni dzieciak, z gorlickiej szkoły na półroczne ferye do domu rodzicielskiego do Zagórzan. Nazajutrz w sobotę rano wziął mnie ojciec ze sobą do Moszczenicy, bo był tam wówczas proboszczem brat mojej matki, ks. Józef Dąbrowski. Po południu miała tam ze starszem mojem rodzeństwem przyjechać matka. Kiedyśmy z ojcem koło bramy dworskiej w Moszczenicy przejeżdżali, wysiadł ojciec, by odwiedzić dzierżawcę Jacentego Lipińskiego, mnie zaś służącemu na plebanią, o dwa kilometry dalej położoną zawieść kazał. Że ksiądz wuj jako dziekan i nadzorca szkół ludowych, na popisach szkół był w Gorlicach, zastałem więc tylko ciotkę, która wujowi gospodarstwem zarządzała i wikarego księdza Edwarda Palcha. Do księdza wikarego na wikarówkę poszedłem po obiedzie, i wtedy to na rosłym a zatem pewnie z rabunku pochodzącym koniu, wpadł chłop na dziedziniec plebański, żądając z ogromnym krzykiem, by ksiądz zaraz na gwałt dzwonić rozkazał, gdyż jak mówił, zwaliła się do nich do Rzepiennika ogromna czerń Polaków, którzy rzną kogo spotkają, że mu też pan (ówczesny dzierżawca Lenartowicz) polecił, by wzięwszy konia do sąsiednich wsi jechał i ludzi na pomoc zwoływał. Przestraszony o los rodziców moich kolegów, pytałem go co się dzieje z p. Lenartowiczami, co z ekonomem Kątskim, na co mi odpowiedział, że ich straż skarbowa do Gorlic powiozła, poczem dzwonięcia się domagał. Ksiądz Palch odmówił tego, tłumacząc się tem, że plebana w domu niema, i że jako wikary dzwonami dowolnie rozrządzać nie może. Opuściwszy plebanią w galopie, pędząc środkiem wsi na milę się ciągnącej zwoływał

chłop ten ludzi, by do Rzepiennika na ratunek spieszyli, i rzeczywiście wielu za nim pospieszyło.

Wieczorem nadjechała matka moja z bratem moim i siostrą, a niebawem nadjechał i ks. wuj, i kiedy starsi coś ze sobą radzili, opowiadał mi brat, że do Gorlic wojsko przyszło, i że przy bębnie głośzono, iż do każdego, ktoby się wieczorem na mieście pokazał, strzelać będą.

Wszystko to dla nas malców było zagadką, lecz starsi pojmowali, że grozi niebezpieczeństwo; we czwartek bowiem puścił się był t. j. 19-go ojciec mój Józef do Siemiechowa, do p. Tymoteusza Skrzyńskiego, by się w sprawie powstania porozumieć, i skutkiem załamania się na Białej pod Ciężkowicami, wrócił do miasta, gdzie go mieszczanie na wszystko zaklinając zatrzymali, dowodząc że dopiero co z za Białej powrócił z Gromnika od p. Dembińskiego chłopak, terminujący u rymarza, i straszne rzeczy opowiada, jak chłopstwo tłumnie dwór napadło, dwory zrabowało, a panów wymordowało, pokazując jako dowód zegarek, który wnięszawszy się między chłopów zabrał.

Ojciec nie chciał początkowo wierzyć opowiadaniu, i chciał koniecznie dotrzeć do Siemiechowa, kiedy wszakże dzierżawcy z Boguniowic, graniczących z Gromnikiem, pp. Trembecki i Królikowski przybyli, i wieści te potwierdzili szukając schronienia w miasteczku, powrócił ojciec, co rychlej do domu i zawiadomił o wypadkach pp. Tadeuszów Skrzyńskich, którzy też bezzwłocznie do Jasła wyjechali.

Rodzice moi wyjechali do Moszczenicy, spodziewając się, że w domu księdza będą bezpieczni. Tam to jadąc, wstąpił ojciec do Lipińskiego aby go przestrzedz, i wieczorem dopiero z nim na plebanią przyjechał, na noc wszakże poszli obaj do chłopca Benka mieszkającego w pobliżu plebanii. Wróciwszy rano na plebanią, wyjechali na nalegania matki do Gorlic. W niedzielę 22 lutego zebrał się lud jak zwykle na nabożeństwo w kościele, a w czasie sumy miał poważany proboszcz naukę do ludu, a upomnienia gorące być musiały, a serca pa-

rafian zdawały się przystępne na słowa plebana, bo przez całe kazanie, łkanie i głośny płacz rozlegały się w kościele.

Powracającym z kościoła opowiadała nam służba, iż slysze-
szeli jako w sąsiedniej Łużny dwór zrabowano, że na Krakow-
skim (folwarku Moszczenickim) chłopci siano i słomę ze stodół
pozabierali. Zatrwożyliśmy się niemało tem opowiadaniem, lecz
wuj upewniał nas, że jego parafianie takich ohydnych czynów
się nie dopuszczają. Zaniepokojona temi wieściami, wysłała ciotka,
której córka była za mandataryuszem Franciszkiem Bielakiem
w Łużny służącą rodem Łużniankę, by się na miejscu prze-
konała, ile w tych opowiadaniach prawdy, i co się z Biela-
kami stało.

Kiedy po południu wuj poszedł na nieszpory, powiedziały
nam dzieciom sługi, że Polacy od lasu Kocian już ciągną, po-
kazując nam w dali na śniegu czarną na polach plamę. Pomi-
mo że obserwujący ją, wyobrażali sobie, że się porusza i zbliża,
pokazało się później, że była to większa kupa nawozu złożo-
nego w polu. Wówczas to dojrzeliliśmy pojedynczych ludzi idą-
cych ścieżkami, prowadzących bydło i konie jakby z targu wra-
cali. Dowiedziawszy się o tem powracający z kościoła wuj, bę-
dąc prawie pewnym, że to dworskie bydło, kazał co spieszniej
zaprządz i pojechał do dworu. Dwór zastał już zrabowany, po-
dłogi powyrywane, piece poburzone, a stajnie puste. Kiedy
chłopów karcieć począł, usprawiedliwiali się tem, że biorą ko-
nie i bydło w przechowanie, i że je później gdy się uspokoi
oddadzą. Wuj zabrał na plebanią resztki rzeczy, które zostały
i parę koni wraz z chłopakiem, który pozostał na gruzach
zniszczonego mienia.

Przed powrotem wuja ze dworu, wysłano nas dzieci do
chałupy Benka, lecz krótko byliśmy w niej, bo się tam chłop-
stwo schodziło, tak żeśmy niebawem na plebanią wrócili. Na
plebanią przyszedł późnym wieczorem, snąc by nie być wi-
dzianym wójt Kazimierz Brach, i radził się wuja, jak się ma
zachować i jak z ludźmi postępować. W poniedziałek rano do-
chodziły nas wieści, że chłopci pod plebanią się podsuwali od-

grazając się, że siwego (proboszcza) wezmą i do Tarnowa a nie do Jasła odwiozą, że wszakże uczeiwni nie dozwolili im zbliżyć się do plebanii.

Ksiądz jak zwykle poszedł rano do kościoła o kilometr blisko oddalonego, a zastawszy kosy na drzewce nabite popierane o ściany kościoła, zgromił chłopów o to, i oświadczył im, że jeżeli chcą u niego rewizyę zrobić w domu, to niechaj dwóch lub trzech gospodarzy uczeiwnych wyszlą, że jednakowoż nie pozwoli byle komu wstępu, bo by go okraść mogli.

Dnia tego nowe bajki o nadciąganiu Polaków roznoszono, a wieczorem znów przyszedł wójt po informacye, zaczem mu wuj w dowód zaufania do niego, Bielaka mandataryusza który się tu schronił, pokazał. Chłop poczciwy rozrzewniony tem, rzucił się wujowi do nóg, a w nas wstąpiła otucha, tak że kiedy starsi rozprawiali, my dzieci położyliśmy się spać. Naraz posłyszeliśmy w pośród ciszy nocnej przeraźliwe jęczenie dzwonów, a równocześnie poczęli stróże bić pięściami w okna wołając, że już rzną Polacy! Matka nasza przerażona, kazała nam co prędzej się ubierać i wyprowadziła nas wśród popłochu, nie wiedząc dokąd i przed kim uciekamy.

Opuściwszy zabudowania plebańskie, ukryliśmy się na łące w krzakach wikliny, lecz nie czuliśmy się dość bezpiecznymi, gdyż przechodziło tamtędy wiele chłopstwa z latarniami. Obawiając się by nas nie spostrzegli, postanowiła matka uchodzić z nami do najbliższego lasu, zwanego Ryje, a że musieliśmy przechodzić koło domów i przez gościniec, na którym kupkami stali ludzie, nie mogli nas nie widzieć, to też poczęli wołać za nami: „kto tam?”, na co brat mój „dzieci” zawołał, co ich uspokoiło tak, że spokojnie doszliśmy do lasu. Znużeni usiedliśmy na kraju pod drzewem, a matka tuląc nas własnym okrywała płaszczem. Można wyobrazić sobie nasze przerażenie, kiedy naraz gdzieś z góry posłyszeliśmy zapytanie: „kto tam?” i posłyszeli spuszczenie się czyjeś z drzewa, poczem ten nieznamy uciekać począł, dając odpowiedź matce, że on z plebanii. Obawiając się czy nas kto nie śledził i czy chłopów na

nas nie naprowadzi, postanowiliśmy uciekać do drugiego lasku „księżego”.

Pomimo zasp śnieżnych, uciekaliśmy spiesźnie i zaledwo dopadliśmy zarośli, ułożyliśmy się pomęczeni na ziemi koło matki. I tu nie zażyliśmy spokoju, bo oprócz ciągle powtarzanych nawoływań „pilnuj” i „hop, hop”, posłyszeliśmy jak poczeli wołać: „pięciu Polaków przeszło”, „chwytaj, łapaj”, czego nie powinniśmy byli brać do siebie, gdy nas czworo było. Po chwili usłyszeliśmy „mamy go”, zda się tego jednego, który uciekł i wezwania, by go na forum ówczesnych senatorów do karczmy odprowadzić. Że wszakże jednego złapali a czterech pod osłoną nocy uciekło, poczeli zatem szukać i coraz bliżej nas słyszeliśmy stapania. Zbliżyli się do miejsca, na którym leżeliśmy i robiąc uwagi, że tu się gubią ślady, nie przeszukali na nasze szczęście tego miejsca, gdyż inaczej bylibyśmy im wpadli w ręce. Jeszcze raz wracając z pościgu, przystawali na tem samem miejscu dziwiąc się, że tu ślady giną, a przecież nie wykryli naszego schronienia, pomimo że dokoła nas krążyli i utrzymywali, że w lesie być musimy. Zostaliśmy do rana w tem samem miejscu i dopiero rankiem postanowiliśmy dotrzeć do chałupy kucharza plebańskiego, obawiając się, że nas za dnia znaleźć muszą. W drodze do tej chałupy, zatrzymały nas warty chłopskie dwu chłopów braci Rozieckich, którzy stanęli nam w drodze, wołając: „stój, bo ci siekierą łeb rozwałę”. Poznawszy matkę, zaprowadzili nas do chałupy, do której zapukawszy kazali nas wpuścić, mówiąc: „Puście bo to Przyłęcka”. Radość nasza była niezmierna, kiedyśmy się znaleźli w ciepłej izbie, i kiedy po ściągnięciu przemoczonego obuwia i odzieży, umieściła nas matka na obszernem łóżku gospodarzy. Rozieccy chodzili jakiś czas po izbie i odgrazali się: „górowaliście nad nami, teraz my z was skórki zdejmować będziemy.” Kiedy odeszli, prosiła matka kucharza idącego na plebanie, by nam bieliznę i suknie przysłał, byśmy się przebrać mogli i zmienić odzież przemoczoną od leżenia w śniegu. Raz jeszcze wpadli chłopci, którzy za naszym ojcem szukali,

a przypuszczali, że w lesie ukryty siedział i klnąc, przetrząsali u kucharza każdy kącik, szturkając kosami po słomie w nadziei, że ojca schowanego znajdą. Jeden poczciwy pomiędzy tą zgrają, niejaki Stępień szepnął do matki: „niech się pani nie boi, naszczekają się i pójdą dalej”.

Jadąc na probostwo po przetrząśnięciu przysłanych po nas sani, spotkaliśmy inną bandę chłopów, którzy powiązanych jak zwierzęta prowadzili pisarza prowentowego Załuskiego i niejakiego Dobka, który służąc jako oficyalista, podówczas na własnem mieszkał sołtystwie. Witających się z nami, zgromili chłopci eksportujący ich: „czego się kłaniasz, takiś ty dobry jak i ona”. Na probostwie witał nas Bielak i pokazało się, że to za nim ten pościg był urządzony kiedyśmy w lesie siedzieli, i że z karczmy dokąd go zaprowadzili, uwolnił go proboszcz, godząc się, by przy nim wartę na probostwie postavili.

Niebawem spostrzegł wuj idącego ku plebanii herszta rozruchów niejakiego Woźniaka, to też nie chcąc by się na plebanii rozglądnał, wyszedł naprzeciw niego. Herszt ten pytał wuja co ma robić, czy ma pozwolić na rozbicie spichlerza i zabranie zboża, czego się od niego domagają. Wówczas proboszcz wziął chłopą podstępem, przemawiając doń czule: „nie pozwólcie mój Pawlusi, nie dopuście tej hańby na parafię”. Podrażniona ambicya zrobiła swoje, łupieżca bowiem ten postawił przy spichlerzu wartę i zagroził, że łeb rozpłata temu, ktoby się ważył przystąpić do spichlerza. Ocalał w ten sposób spichlerz i zboże, a co więcej i 60000 złr., które uchodząc z domu, Lipiński przechował w zbożu. Lamus z okowitą ocalił wójt Kazimierz Brach, który teroryzowany chwilowo przez słynnego przewodzcę band zbójceckich niejakiego Korygę, pochodzącego z sąsiedniej Turzy oprzytomniał, w końcu Dobka i Załuskiego uwolnił, i lamusa z okowitą rozbić nie pozwolił.

Pomimo że zapowiadani Polacy nie przybywali, trwało ciągle obałamucenie umysłów, tak że kiedy ktoś wespół popielcową w kościele szepnął, „że Polacy idą“, w jednej chwili nie było człowieka w kościele. Takie zachowanie parafian mu-

siało oddziaływać na proboszcza. Kiedy 26 lutego mając chować najętniejszego gospodarza, proszony był przez wdowę by miał nad grobem mowę, powiedział przy katafalku, iż mowy mieć nie może, gdyż patrząc na to jak znowu z kosami do kościoła przyszli, niema pewności, czyby i zmarły tak samo nie robił i nie znieważał domu Bożego. Zachowanie się to parafian tak podrażniło wuja, że padł nieprzytomny na ziemię. Przerażony tem lud zaniósł go na plebanią, i nie odstępował dopóki przytomności nie odzyskał. W troskliwości niekłamanej okazał się Kazimierz Brach gotowym pojechać własnymi końmi po lekarza, i przywiózł lekarza p. Skrzyńskich Kotowicza, wzięwszy poprzednio kartkę od matki, by go nie podejrzrywano, że w jakąś zasadzę Kotowicza chce wyciągnąć.

Niebawem przez liczne rozstawione warty, odwiozła nas matka do szkół do Gorlic, to też zatrzymywano nas kilka razy po drodze i rewidowano rzeczy, obawiając się, czy jakiego legionu polskiego nie wieziemy. W Gorlicach zobaczyliśmy ojca, który miał tu paru towarzyszków niedoli, którzy w murach miasteczka schronili się przed nożami i cepami młodszej braci. I tu nie był ojciec nasz dość bezpiecznym, kiedy go bowiem chłopci ze Zagórzeń w kościele w Gorlicach zobaczyli, przyszli gromadnie do miasta, i usiłowali ojca wychodzącego z kościoła pojmać. Powiadomiony o tem został przez kogoś z mieszczan magistrat, a komisarz straży skarbowej Grubner wysłał strażników, by chłopom z przed nosa ojca zabrali i dla oka do aresztu go zamknęli. Kiedy pokazującego się ponownie na mieście, chłopci uprowadzić usiłowali, uwolniony raz jeszcze przez strażników Grubnera, przesiedział ojciec z pół dnia w areszcie, zanim go wypuścili. Powrócił ojciec na wieś dopiero, kiedy się zupełnie uspokoiło i kiedy komisarz Pajęczkowski dla uspokojenia gmin, z asystencją wojskową na wieś się wybrał.

W Zagórzeńkach nie rabowano, bo burza wzniecona w Tarnowie szalała najsilniej dokoła Tarnowa, im dalej od tego

centrum zbrodni, ten mniejsze i słabsze uderzały bałwany, i coraz dalej fale się zmniejszały i łagodniały.

W Zagórzanach pochwycono na wsi ukrywającego się, po wiejsku przebranego Lemocha, metra muzyki, i odprowadzono go do Jasła, poturbowawszy go nieco. Do Zagórzan zjechał był z Jasła wysłany przez starostę Przybylskiego w asystencyi dwóch żołnierzy komisarz po rzeczy pp. Skrzyńskich, chłopci zbiegli się tłunnie, wyobrażając sobie, że grunta dworskie rozdzielać będzie, wówczas to zrozumiałwszy błędnie słowa komisarza, który na skargi wniesione na wójta powiedział im, „to sobie obierzcie“, chcieli chłopci sądząc że im radził by go obwiesili, przystąpić do wykonania tego polecenia, i tylko proboszczowi miejscowemu ks. Bresiewiczowi miał wójt do zawdzięczenia, że nie został podwyższony. Proboszczowi temu zawdzięczaliśmy, że nasze wyjazdowe konie ocalały, zabrał je bowiem do siebie i obronił przed chłopami, którzy poznawszy uprowadzić chcieli.

Zakliczyn.

(Z kronik klasztoru zakliczyńskiego).

W emigracyi z r. 1831 są i były cnoty publiczne i prywatne, bo gdzież ich nie ma, gdzie są Polacy! Jedni z tych emigrantów trzymali się sfery ks. Adama Czartoryskiego, czas trawiony na wygnaniu poświęcili naukom, wykształceniu umysłowemu, talentom, rzemiosłom, aby tych umieli użyć na korzyść rodzinnej ziemi. Drudzy nie trzymając się ks. Czartoryskiego, umieli sobie pozyskać dobre imię u obcych, a swoim chlubę przynieśli nie ściągając na ojczyznę klęsk, nie narażając ją na bezużyteczne ofiary, jako to: Dembiński, Chrzanowski i tylu innych walecznych wodzów — odnowili tradycje legionistów. Lecz niestety cała jedna liczna — zbyt liczna część emigracyi z r. 1831 zabiła wszelkie współczucie Europy tylu

ofiarami zarobione, sama siebie wewnętrznie szarpiąc i kęsając, rzuciła się na zgubne tory, w spiski, w towarzystwa sekretne równie niebezpieczne krajowi, który dał przytułek i jałmużnę, jak narodowi, który w przepaść wpycha. Niedosć że się targnęła na tego męża (Czartoryskiego) który ją osłaniał swoją powagą, wspierał radą i pieniędzmi — wywołali nadto straszne dla ojczyzny skutki. Jedni z tych szaleńców szkalowali go, drudzy obmawiali, inni mu ufność u ziomeków i obcych odjąć usiłowali, a przez wściekłe i szalone pisma weiskane w europejski obieg — ileż narobili ofiar w Polsce pod zaborem trzech monarchów będącej. Tej to emigracyi dali się uwieść nieszczęśliwi synowie i córki ojczyzny. Ileż to ofiar, ile łez, ile przekleństw, ile narzekań z Syberyi, lochów fortecznych i cytadeli, na tych którzy byli bodźcem do zaburzeń krajowych! A ileż westchnień i narzekań wyszło przeciwko tejże emigracyi z pod szubienicy, kiedy na niej tracono Konarskiego, Zawiszę, Potockiego i t. p.

Ta emigracya przez swoich wysłańców, (emissaryuszów) sprawiła ruchy galicyjskie r. 1846, gotując przeciw swoim braciom cepy, noże, widły u chłopstwa galicyjskiego na wytępienie szlachty galicyjskiej, której to szlachty niecierpiała ta część emigracyi — a w jej duchu działał Szela ów okropny Szela. Jakich-że to emigrantów wyzionęła ta emigracya na ojczystą ziemię? Mierosławski i jego współnicy, oto są chluby tej emigracyi i zaszczyty. Ci bohaterowie zabili rzeczpospolitą krakowską, oni na prowincję Wielkopolską sprowadzili tyle nieszczęść, tyle klęsk bolesnych.

R z e z 1 8 4 6.

20 lutego chłopstwo wzburzone będąc od ducha ciemności w obwodach tarnowskim, bocheńskim i wadowickim, wywarło całą wściekłość swoją na panów swoich i ich ofycjalistów, nie oszczędzając nawet i sług ołtarza a pasterzy swoich, ci bowiem zaślepieni w wściekłości chłopci, pomiędzy którymi znajdowali się i urzędnicy i wojskowi przebrani, osobliwie ze straży gra-

nicznej, ci używali różnych mordów i pastwienia się nad chlebobdawcami swoimi, jednych zabijano cepami, innych widłami żelaznemi przebijano, innych na poły piłami rżnięto, innym ręce nogi obcinano i „membra pudica“, a tak mającym ręce, nogi obcięte o ściany opartym, membra te zamiast cygar do ust wsadzono, nie przepuszczając nawet ciężarnym, ale brzuchy takowym rozrzynano i nad płodem się pastwiono, słowem pióro ustaje w opisaniu tych okropności, jakie się działy w końcu miesiąca lutego 1846. Świadkiem tej sceny były miasta Bochnia i Tarnów, a prócz wyprawionej rzezi, największe zniszczenie czyniono w mieszkaniach, rabując, tłukąc i niszcząc a w końcu paląc domy mieszkalne, oficyny, stodoły i stajnie.

K l a s z t o r.

Klasztor w Zakliczynie został zrabowany do szczytu — drzwi powybijano, do mieszkań nie zajętych przez zakonników, spiżarnie i piwnice zrabowano ze szczytem, zakonników poturbowano, przełożonego ojca Wincentego Łatyńskiego związano i do Zakliczyna odprowadzono, braciszka (Rafała Słósarczyka) wracającego do domu zamordowano, z zakrystyi zabrano alby, ornaty, komże i obrusy, nawet takowe z ołtarzy zabrano, kielichy do kieszeń brano i chowano. Do cyboryum otworzono i puszkę zabrał chłop, wysypał komunikanty na ołtarz a tę dalejże pakować do torby u pasa wiszącej, ale kobieta będąc na ambonie a z niej czyniąc rozporządzenia co mają robić rabusie w kościele i klasztorze odezwała się, „wszystko jest nasze ale kielichy i puszki zostawmy“, — i tak nazad w puszkę zebrawszy komunikanty z ołtarza i gradusów zostawiono, lecz ołtarze ze wszystkiego złupione zostały.

W kościele jest nadgrobek ś. p. Zygmunta Tarła fundatora kościoła, na tym jest fundator pięknie odrobiony z marmuru w postaci rycerza w zbroji i z buławą w rękę, temu utracono buławę i nogi, i dziś świadkiem jest ów nadgrobek tego zniszczenia. Oprócz szkody pochodzącej od dzikiej chłopskiej tłuszczy, nie przepuszczono nawet wnętrzu grobów ko-

ścielnych; do tych prowadziły płyty marmurowe, takowe odwalono i w kawałki potłuczono, te płyty przykrywające wnijście do grobów, można widzieć na korytarzu idąc do refektarza za posadzkę służące. W grobach nie szanując szczątek nieboszczyków, rozbijano trumny i kości po różnych miejscach piwnie grobowych rozrzucano. Z korytarzy pozabierano obrazy mniejsze a większe niszczone. W obrazach świętych głowy wyrzynano, a świadkiem tego do obecnej chwili (1893 r.) jest obraz w furcie klasztoru przedstawiający Kalwaryę w górnym Szląsku pod berłem pruskim będącą, i klasztor nasz w początku jeszcze tego wieku do prowincyi naszej należący. Na tym obrazie w wizerunku ś. Franciszkowi i ś. Antoniemu głowy powycinano, również aniołkom, a obraz przecięto. Piszę to dla pamięci potomnym, a to co się działo, słyszałem od W. O. Łatyńskiego ówczesnego gwardyana, który po owej rabacyi i poturbowaniu, przybył słaby do naszego klasztoru w Krakowie i kilka tygodni w łóżku leżał, a któremu ja niżej podpisany jako kleryk byłem do posług od przełożonych przeznaczony. W czasie onej rabacyi naokoło Zakliczyna, ukrył się do klasztoru tutejszego jeden z oficyalistów (Antoni Pilecki), tego chłopstwo wyszedziwszy poturbowało, pokaleczyło a wywłókiwszy z klasztoru, okrutnie za bramą zamordowało. Obecnie w tym miejscu jest lipa i wizerunek Jezusa Nazareńskiego. Tem boleśniesz, że do tego rabunku należeli parafianie zakliczyńscy, ze wsi Kończyska, Bieśnik i Faściszowa, lecz też oczywiście potomków tych familii nie błogosławi Bóg ani w majątkach ani w rodzeństwie. Mieszkańcy Zakliczyna nie wdawali się do niczego.

W Pleśny zamordowany został ks. Wojciech Cieczkiewicz proboszcz, we wsi Wadowicach ks. Jakób Truty wikary.

Ze szlachty: 20 lutego we wsi Oleśnie pod Dąbrową w dobrach ś. p. Karola Kotarskiego zamordowano obok karczmy, gdzie obecnie krzyż misyjny stoi, Karola Kotarskiego dziedzica dóbr Breń, Olesno i Dyament i 19 ze szlachty. Tych poprzednio zamordowanych do karczmy w Oleśnie sprowadzono, ręce,

nogi ucinano, a spragnionym do zaspokojenia pragnienia, spirytus do gardła lano, a potem cepami zabito wobec ś. p. ks. Józefa Kaznowskiego proboszcza parafii Olesno. Tego chłopci związali i posadzili na półwoziu i tak go trzymali od godz. 10 przed południem do 4-ej po południu — w jego obecności mordowali jego kolatora i innych 19. Plebanią w Oleśnie zrabowali, stodoły spalili. Wiadomość ta od samego ś. p. proboszcza udzielona piszącemu w r. 1873, kiedy byłem u niego na spowiedzi wielkanocej.

W dekanacie wielopolskim w 9-iu parafiach zabili chłopci 99 osób, w Bruśniku zabili 6 osób. Rzeź w Bruśniku wywołał kmięć Antoni Jamka. Będąc w Bochni po sól, a widząc co się działo w Bochni i na okolicy, przybywszy do Bruśnika, podburzył drugich do rabunku dworu bruśnickiego i mordów. W Bruśniku spalili oficyny i kancelaryą aktów gminnych, czem sami sobie krzywdę wyrządzili. Najgłówniejszymi w Bruśniku zbójcami byli Hadała z Jamny i Czub, a pomocnikiem Polek z Jamny. Czub unarł w Bruśniku w r. 1847. Gdy tego zbója wieziono na cmentarz około karczmy w której mordował, po dwa razy na tem miejscu ożył i ryczał jak wół, oczyma strasznie przewracając. O tym Czubie ks. Jan Kanty Wańczyk administrator, również p. Dutkiewicz organista i obecni świadkowie zeznali przed ks. Kowalskim proboszczem bruśnickim, a zapisany jest fakt ten straszny w aktach parafialnych Bruśnika. Czytałem o tym wypadku będąc w Bruśniku w r. 1883 za ks. proboszcza Nowaka.

Ks. Korneli Strzelichowski, OO. Bernardynów.

Z a g ó r z.

W miejscowości tej pod Sanokiem położonej, rozpoczął podoficer pułku Mazzucheli wysłany na patrolowanie czynność swą od tego, że dom w Zagórzcu zrabował a właściciela Zagó-

rza p. Rylskiego związanego do Sanoka odstawił. Wypuszczony po ośmiu dniach Rylski, udał się do podoficera by mu pieniądze i kosztowności zabrane zwrócił. Ten odesłał go do kapitana Aurachera, któremu rzeczy zabrane oddał. Zdobywc wojenna przepadła, a w dodatku usłyszał p. Rylski wymówki.

Zakliczyn.

Własność do niedawna Kopfów, leży w Bocheńskim).

Opowiadanie zamieszczone u Tesarczyka świadczy o tem, że lud tam, gdzie agenci burzyciele nie rozwinęli dostatecznej gorliwości, nie był tak skorym do zbrodni i mordów.

Właściciel Zakliczyna dowiedziawszy się dnia 17 lutego o przygotowujących się zaburzeniach u sąsiada, którego odwiedził, przestrzeżony w drodze przez życzliwych mu poddanych, że tłumy chłopstwa z okolicy ściągają, by dom jego zrabować a jego zabić, odesłał konie do domu, a sam postanowił dostać się do wójta swego, by mu się oddać w opiekę. Chłopstwo tropiące już za nim, widząc bryczkę prózną i domyślając się podstępu, rozbiegło się szukać za nim po polach. Krzaki których dopadł i noc ciemna, ukryły go przed oczyma łaknącej krwi hordy, kilka razy omało że na niego nie wleźli, wreszcie znudzeni koło północy rozbiegli się, a on dostał się do domu zacnego wójta. Zwietrywszy go tu w tem jak mu się zdało bezpiecznem schronieniu, napadli na zagrodę wójta, domagając się by go wydał. Poczciwy wójt zagroził im sobą drogę do chałupy, mówiąc, że chyba po jego trupie do niego się dostaną, i radził w interesie p. Kopfa, by go pod strażą do cyrkularnego odstawili miasta. Staęło wreszcie na tem, jakkolwiek nie bez oporu, że postanowiono p. K. wieść do cyrkułu, a jak sobie wyobrażał do Bochni. W drodze, w której dla obrony towarzyszył mu wójt i czterech drabów, o mało że na pasie w karczmie nie został zabitym, karczmy bowiem pod-

ówczas roily się od pijanej, zbydlęconej krwi łaknącej zgrai, to też nie obeszło się bez silnego poszturchania i naigrawania. Zmorzonemu głodem, gdy się kieliszka wódki dopominał, podano brudnej wody. Wyjechawszy na bity gościniec i zostawiony dwom opiekunom, spotykał co chwilę wozy pełne pomordowanych lub srodze skatowanych. Wieziony przez aniołów stróżów jak się spostrzegł, nie do Bochni ale ku Wadowicom, przeczuwał coś niedobrego, w czym go utwierdził żyd na popasie gdzie nocowali, zasłyszawszy niezawodnie coś z planów jakie opryszki tu robili. Istotnie, kiedy w grube przy drodze położone wjechali lasy, wezwany by za opiekunami szedł w gęstwinię, pewny był że go życia pozbawią. Zabrali mu nie tając zamiaru pierścień, zegarek i 19 złr. cwancygierami, a tylko wzgląd ten, że zamało znaleźli gotówki i że im p. K. obiecał po 200 złr. wypłacić, jeżeli go nie zabiją, były powodem, że uszedł śmierci, którą mu opryszki te gotowały.

Z b o r c z y c e.

(*Hałdzińscy.*)

Te należały do Antoniego Hałdzińskiego i żony jego Maryi ze Strzyżowskich.

Napadnięty przez rabusiów Hałdziński, wyszedł do nich do sieni, nie mogąc zrozumieć czego by chcieli i uderzony kosą powalił się na ziemię. Żonę, która broniąc męża zakrywała go własnem ciałem, młócili jakoby snopek słomy cepami i co tylko pod ręką mieli, a obronił ją kancelista bocheński Wizthum, który dowodził bandami rozbojników i obojętnie patrzył jak mężczyzn mordowano.

Z g ó r s k o.

(*Teodor, Józef, Leon Broniewscy.*)

W Zgórsku zamordowano ordynata Teodora Broniewskiego i dwóch jego braci Józefa i Leona. W celu odstraszenia rabusiów strzelali czas jakiś, lecz kiedy zabrakło już amunicyi, zostali powiązani i wywleczeni na boisko do stodoły, i tu cepami na miazgę zbici. W Zgórsku wjechał chłop Maciej Pikut na koniu do kościoła, a za jego przykładem inni różnych dopuszczali się okropności, włązili na ambonę udając, że wygłaszają kazanie, deptali nogami naczynia święte, palili w kościele fajki.

Z a w a d k a.

(*Litwiński Stanisław i Kasper.*)

Zamordowanie Stanisława Litwińskiego, właściciela Zawadki i tegoż brata Kaspra Litwińskiego.

(Cyrkuł Jasielski).

Miłę od Dobrzechowa, lecz w tejże parafii, na szlaku rzeźunów z Wielopola ku Pstrągowej, legła wieś Zawadka, koło której krążyły wspomniane bandy zbójcekie Szeli, niosące zagładę dworom.

Właścicielem Zawadki w krwawym roku był Stanisław Litwiński, ożeniony z Apolonią, córką Ludwika Krzyszkowskiego i Franciszki z Gurbińskich — mąż w sile wieku, rzutny, gospodarny, prawy obywatel. Tenże powziąwszy wiadomość, że liczna czerń chłopska uzbrojona w kosy, cepy, widły, a niektórzy nawet w strzelby, ciągnie od Wielopola, a do niej przyłącza się z przyległych wiosek tłuszcza rozpasanego chłopstwa, umyślił ratować się ucieczką, umknął więc cichaczem z domu przed napadem na dwór jego. Nie uszedł atoli

śmierci, gdyż zapadając w rozmiękle już zasypane śnieżne, co opóźniało ucieczkę jego, nie zdołał się schronić do najbliższego miasteczka; napadnięty więc przez snującą się czerń chłopską, został zamordowany z strasznym okrucieństwem, a po obdarciu do naga, porzucony na pastwę zwierzętom. Gdzie się to jednakże stało i czy zwłoki jego spoczęły w wspólnym grobie, czy też przez zwierzęta rozniesione zostały, nie można dziś już dociec. W metryce śmierci kościoła parafialnego nie ma żadnej o tem wzmianki.

Kasper Litwiński, brat właściciela Zawadki, nie mogąc jako chromy (kulawy) upatrywać ocalenia swego przed napadem w ucieczce zwodniczej, szukał ukrycia w stodole między słomą; uprosił więc karbowego dworskiego, polegając na jego poczciwości, by go ukrył w okłocie długiej słomy żytniej, związawszy w sposób zwykły powróslami, a ustawionej szeregami w sąsiedku stodoły. I byłby zapewne ocalony, gdyby nie szatańska zdrada wrzekomo uczciwego karbowego, który wskazał hordzie, gdzie poszukiwany ukryty.

Rozbestwiona horda dłuższem szukaniem ofiary, wywlekała z sąsiedka ukrytego chromego za nogi, i na boisku z okrucieństwem niewysłowionem katowała ofiarę mordu. Młócono bowiem Kaspra Litwińskiego, rozłożonego na boisku, jak snopy cepami aż do zgonu. Ciało jego miało połamane ręce, zebra, nogi, słowem wszystkie niemal kości. A musiał być okropny widok tego męczennika, gdy urząd parafialny w Dobrzechowie zawiadomił urząd cyrkularny w Jasle o tej kainowej zbrodni, albowiem w metryce śmierci jest adnotacya: „Tumultante populo, trucidatus horribilem in modum Gasparus Litwiński 23 Februarii et in vim Circularis officii dno 26 Februarii 1846 sepultus. Liczył lat 45 i był uxoratus”.

Kobiety ocalały, bo czerń chłopska głosiła, że jeszcze nie nadszedł befeł na zabijanie bab, lecz że i one nie ujdą karze zasłużonej jako rebelantki.

Po zabiciu Kaspra Litwińskiego, którego obdarto do naga, rzucili się mordercy na rabunek dworu, spichlerza i sta-

jen, a wandalizm posunęli do tego stopnia, że rabując we dworze, niszczyli nawet posadzki, tłukli okna i lustra, rąbali drzwi i sprzęty, palili książki i papiery, darli obrazy, zabrali odzież tak, że kobiety pozostały w tem jedynie ubraniu, jakie miały na sobie.

Spizarniane zapasy złupili, spichlerz rozbili, zabrawszy z niego wszystko zboże, nie zostawiwszy ani ziarnka do siejby wiosennej. Bydło, konie i trzodę uprowadzili tak, że po tej inwazyi hajdamackiej istna zrobiła się pustka, gdyż nawet czełdź nie mając co jeść, rozbiegła się na wszystkie strony.

A że w owym rabunku brało udział także chłopstwo miejscowe, było ono przeto tak dalece zaślepione przez czas dłuższy, lubując się w życiu tem zbrodniczem, że zarzynano bydło i trzodę zabrane we dworze, nawet w dniach wielkiego postu i pożerało chciwie, zalewając się wódką w karczmie, w której przesiadywało całe dnie, zaniedbując zajęć domowych i własnego gospodarstwa, i zaledwo po świętach Zmartwychwstania ocknęło się z tego szatańskiego bezrobocia.

Z a r s z y n.

Proboszcza miejscowości tej w Sanockiem położonej, do Wiktorów należącej, odstawiono do Sanoka za to, że w kazaniach przemawiał do chłopów, by ich od mordów i rabunków powstrzymać. Oficer rzucił się na związanego i krzyżem, który mu z rąk wyrwał, tak go bił po głowie, że krzyż złamał.

Żochatyn.

Jakubowicz, Morze, Rybicki, Dydyński, Morelowski, Teofil Ostaszewski, Brześciński Stanisław, Wędyisz, Maryni, Bobczyński, Bukowski, Dwernicki, Bieleński.)

(W Sanockiem, własność Jakubowiczów.)

Do Jakubowicza niepodzielającego zapału agentów centralizacyi, i niepochwalałego myśli poruszenia masy ludu, przybył d. 21 lutego sąsiad p. Wincenty Morze z Jawornika i polecił, by zebrawszy pod karą śmierci służbę i domowników, broń i konie, stawił się w Jurowcach, zarazem polecił księdzu, by ludowi zniesienie pańszczyzny ogłosił. Wyruszył tedy p. Jak. choć nie miał wiary w to przedsięwzięcie, i po drodze wstąpił do pana naczelnika Morzego w Jaworniku. Zdziwił się niemało widząc p. Morzową zapłakaną, a pana Morzego skonfundowanego. Jak się niebawem dowiedział, były powodem tego wiadomości o rozruchach chłopskich w sąsiednich wsiach, o zamordowaniu mandataryusza w Ulczu, co przybyły kuzyn p. Morzowy p. Giebułtowski potwierdził, dodając, że drogę do Jurowic przez zbuntowane gminy przebywać trzeba. Wobec tego, że p. Morze stracił głowę pomimo że to był żołnierz z 31 r. ozdobiony krzyżem „Virtuti”, dał p. Jakubowicz radę, by się szlachta w którym murowanym dworze z żonami, dziećmi i mieniem zebrawszy, by łącniej było się bronić, zażądała pomocy i opieki kreishauptmana przeciw rozjuszonemu chłopsztwu, oświadczając gotowość udania się do cyrkułu, byle pod zasłoną eskorty. Pomimo, że dla zrealizowania projektu tego p. J. okolicę objechał, z niczem do domu wrócił i nazajutrz zrana o 9-ej dowiedział się o naciąganiu czerniawy chłopskiej. P. J. nie przyjął ofiary kilku włościan, Żuka, Kukułka i Pająka, którzy go przechować chcieli z obawy, by się na wsi rabusie nie mścili, i wyszedł naprzeciw tłoczącej się ku dziedzincowi czeready, dowiedział się na zapyta-

nie czego chcą i gdzie mają rozkaz na piśmie, że przybyli aresztować go na mocy ustnego polecenia starosty Oestermana.

Związany postronkami, widział jak banda rabusiów rzuciła się do rabunku, a pociechą dlań było to, że wymienieni powyżej włościanie i kilku innych otoczyli go, by od pokrzywdzenia bronić. Zajeżdżających w tej chwili na dziedziniec Józefa Rybickiego i Kajetana Dydyńskiego pochwycili w tejże chwili, a Dydyńskiego, który z pistoletu wystrzelił, tak pobili, że skutkiem tego do trzech miesięcy umarł.

Zrabowawszy dwór w Żohatynie i zabrawszy więźniów razem 14, t. j. Dydyńskiego, Rybickiego, Jakubowicza i tegoż służbę, ruszyli w drogę do Sanoka. Po drodze bili rabusie więźniów i tych co dla obrony szli p. J. tak, że gdy minęli Jawornik i Ulucz dwóch tylko Kukułka i Pająk przy p. J. pozostało. W Borownicy powalono p. J. na ziemię, obdzierano z odzieży, przyczem mu jedna z tych hyen ogryzła palce z ciałą, by pościągać pierścionki. Pojawiający się dopiero strażnicy skarbowi uratowali nieszczęśliwe ofiary, przypominając chłopom, że z rozkazu starosty żywych do cyrkułu dostawiać mają.

W dalszym do Sanoka pochodzie utrudnionym wielkimi zaspami, tak że pędzeni pieszo po pas zapadali, pałki dodawały sił i energii. Nie dostawszy szklanki wody we dworze w Łodzinie, gdzie właściciel pan Coppieters de Tergonde powiedział, że dla buntowników niema nic w tym dworze, chciał od żyda w karczmie dostać piwa, lecz gdy tenże pieniądze których p. J. nie miał zażądał, a rewersu przyjąć nie chciał, postanowił p. J. palony gorączką dać ostatnie ubranie, które na nim zostało żydowi, t. j. spodnie za szklankę piwa. Żyd zabrał spodnie a piwo nie doszło p. J., wydarli je bowiem rabusie, a ochoty do dalszej drogi udzielili hojnie w gradzie kijów, które się na plecy ofiar posypały.

Wybawieni z rąk rozwścieklonego chłopstwa przez znaczne mieszczaństwo mrzygłodzkie, uczejwie zostali przez nie do Sanoka odstawieni. Od godziny 10-ej do 1-ej wytrzymano biedaków pomęczonych i zziębniętych na mrozie, w którym to czasie

znęcały się patrole przechodzące nad tymi na poły tylko żywymi biedakami. Z polecenia wreszcie komisarza smutnej pamięci Schiffnera, ulokował jeńców pan koncepspraktykant Simmelmayer, okazując niekłamana ochęć, pomieszczenia w lokalnościach gościnnego starostwa, także zacnych Mrzygłodzian.

Więzienie takie samo jak w Sączu opisuje Gójski, obchodzenie podobne, bo system ówczesny rodził Piskozubów wstrętnych bez końca. Spotkali się tam nasi znajomi z p. Wełdyszem, którego jadącego we fraku na zabawę pochwyciono, z Morelowskim, dwoma Maryniami i Bobczyńskim, Teofilem Ostaszewskim, Stanisławem Brześciańskim, Bonawenturą Bukowskim, Wincentym Dwernickim, Bielińskim i jakimś księdzem (Bukowskim.)

*Zapiski Wgo Przecławia ze Stawna Sławińskiego, dotyczące
Barwałdu, Kleczy i Raciechowic.*

Przypominając, iż uwydatniałem gdzie należało, poczciwe zachowanie się gmin pojedynczych, że stanowczo twierdziłem, iż miejscowi włościanie nigdy by się nie byli dopuścili mordów na własnych panach, że też dla tego obce wysłało chłopstwo, z przyjemnością zamieszczam opowiadanie p. Sławińskiego, świadczące o stosunku normalnym pomiędzy włością a dworem o tem, że lud stawał się złym w ręku Breindłów i Wizthumów.

Ponieważ dziedzic Kleczy i Barwałdu p. Henryk Sławiński z żoną Wiktoryą z Bilińskich, poczciwie z włościanami się obchodzili i patryarchalnie z nimi żyli, przeto doniosły im gminy o wiadomościach jakie ich dochodziły, zasięgały rady co począć mają, i wzywali by ich nie opuszczał, ale bronił przed nadciągającymi Polakami. Tak upewniony o wierności poddanych, dotrwał z nimi do chwili, w której nietylko w powiatach sąsiednich wrzała w całej pełni pożoga mordów, lecz i w naj-

blizszych już wsiach dokonywano rabunków i zniszczenia, i wtenczas to przybyła do dworu w Kleczy deputacya najpoważniejszych w gminie ludzi, oświadczając p. Sławińskiemu, że nie będą w stanie obronić go przed sąsiednimi gminami, które mają rozkaz uderzyć na dwór, i dostawić p. Sł. żywego lub zabitego do cyrkułu. Tłómaczyli p. Sł., że chociażby zdołali obronić go przed sąsiednimi gminami, to nie zdołają oprzeć się wojsku, które idzie od Krakowa by pana uwięzić. Po radzie z gminą, kazał p. Sł. zaprządz i prosił swoich włościan, by z powodu, że na gościńcu roiły się tłumy chłopstwa, odprowadzili go do Wadowic. Wkrótce po odejździe p. Sł. wpadł na podwórze w Kleczy oddział szwoleżerów z dobytymi pałaszami, a dowiedziawszy się, że p. Sł. już niema, popędzili za nim i w tryumfie godnym bohaterów z pod Gdowa, poprowadzili go do Wadowic. W Kleczy we dworze pozostała pani Sławińska z trojgiem małych dzieci. Na godzinę może przed zachodem słońca, zaroilo się na dziedzińcu od chłopstwa z gmin sąsiednich, uzbrojonego w kosy, cepy i noże nabite na długie kije. Tłumy te dzikie i pijane zalały podwórze i otoczyły dom, w którym p. Sławińska przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej się modliła.

Słyszała p. Sł. wśród wrzawy i krzyków jak wołali: „jego już nie ma, dalejże na dwór”, lecz słyszała też, jak zacni poddani z Kleczy i Barwałdu, a pomiędzy nimi Zemta, Kleszcz, Tatar, Moskata, Załuszczyk, Jabłońscy, Kadele, Paczyński, Kozłowski do nich się ozwali: „Dziedzica nie ma, bo odstawiłmy go sami do Wadowic, a wara wam rabować jego dobytek, pójdziecie chyba po naszych trupach”. Kiedy im napastnicy odpowiedzieli, że jest ich więcej, odpowiedzieli zacni Kleczanie, że chociażby ich wybili, toć zostaną kobiety i dzieci, które im wsie ich podpalą zanim do domów powrócą. Stanowczość ta i dzielna postawa gmin Kleczy i Barwałdu podziałała na rabusiów tak, że zgodzili się na to, iż wyrzekając się rabunku, przeszukają dwór za Polakami i za bronią. Idąc na czele Kleczanie, prowadzili najeźdzców, by szukali za ukry-

tymi Polakami i bronią, co z całą dokładnością napastnicy robili, kopiąc w ogrodzie i przetrząsając budynki. Kiedy weszli do dworu, słyszeli Sławińscy jak pokój za pokojem otwierali i w końcu do drzwi pokoju się zbliżyli, w którym matka z dziećmi się modliła. Pomimo, że najezdźcy wejść i tam usiłowali, nie zezwolili na to Kleczanie. Pani Sławińska pojechała następnie za mężem, a szukając sprawiedliwości, była w Ołomuńcu i Wiedniu. Dworu w tym czasie strzegła gmina Kleczy, a kiedy zaczęła się wiosna, zajęli się za doradą proboszcza z Barwałdu robotami w polu, poobsiewali role i strzegli dobytku. Nie mogąc się wreszcie doczekać powrotu dziedzica, zanieśli prośbę do tronu, zapewniając o jego niewinności; powracającego zaś do domu witali, gromadnie na granicy jego włości i nabożeństwem dziękczynnem. Epilogiem wypadków 1846 roku był tyfus głodowy, lecz w Kleczy nikt nie umarł, wdzięczny bowiem p. Sławiński rozdawał zboże, sól, wódkę i tytoń, a karząca ręka sprawiedliwości bożej nie dotknęła gmin tych, w których nie przyjęła się zbrodnia Kainowa.

Rodzina Bilińskich.

Do opisu mordów w Raciechowicach własności Bilińskich, wziętego z Tessarczyka, dodaję jako uzupełnienie zapiski p. Przemysła Sławińskiego, urodzonego z córki p. Kaspra. Mieszkał p. Kasper w Raciechowicach w powiecie Myślenickim, i zapisał się w pamięci wnuka, któremu chrzestnym był ojcem i tem, że jako chrześniakowi tysiąc dukatów zapisał, i tegoż za każdym widzeniem hojnie obdarzał, a przywożeniem różnych przysmaków sobie ujmował. Dwór w Raciechowicach obszerny i dostatni, oprócz kaplicy miał i lamus, w którym w skrzyniach przechowane były srebra i klejnoty, obok bardzo znacznej gotówki. Właściciel p. Kasper zamożny obywatel, miał w roku 1846 lat blisko 80, i cieszył się poważaniem sąsiadów jak i miłością ludu wiejskiego. W dniach lutego leżał dotknięty puchliną w łóżku. Kiedy tłumy rabusiów napadły dwór, za-

częli od zrabowania lamusa, poczem szukając za skarbami zdzierali obicia ze ścian, w końcu wypróżniwszy kredense, potłukli szkło i porcelanę, poczem taczali wywleczonego z łoża boleści starca po podłodze zasłanej szkłem potłuczonym, bijąc go przy tem. Zbroczonego krwią i prawie nie dającego znaków życia, ciągli za długie białe włosy do pobliskiego stawu, by jak się wyrażali, nachleptał się wody i otrzeźwiał. Że pod działaniem zimnej a płytkiej wody istotnie przytomność odzyskał, zawieźli go okrutnicy do Myślenic, gdzie do paru dni męczennik ten umarł.

Na podwórzu w Raciechowicach mieszkał syn p. Kaspra a wuj p. Sławińskiego, w piętrowej oficynie były rotmistrz od szwoleżerów austryackich p. Kazimierz Biliński, człowiek lat trzydziestu. Kiedy tłumy dom ten obstały i dobywać się doń poczęły, zeszedł do nich p. Kazimierz w mundurze ufając, że jako oficera uszanują, aliści pomimo jego przedstawień ozwały się głosy: „dalej na niego, to nie oficer, to nie cesarski, to generał Polaków“. W tej krytycznej dla siebie chwili, poznaje p. Kazimierz w tłumie chłopstwa znanego sobie urzędnika ze starostwa Wizthuma, zaczęł wołać do niego „Wizthum ratuj mnie“. Po odpowiedzi „gdybyś mnie był nie poznał to może, ale teraz biada ci, bijcie bo to jeden z dowódców“ rzucił się tłum ku niemu, lecz uszedł ich tygrysyich pazurów, w ostatniej bowiem chwili wystrzałem z pistoletu odebrał sobie życie, nie chcąc by się nad nim pastwili. Opowiada w końcu pan Sławiński fakt, że u tych, którzy przetrwali tyfus głodowy, ozwał się z czasem sumienie. Tak mieszkająca w Kleczy pani Sł. spotkała w dwa lata po wypadkach lutego chłopca z Raciechowic, i na widok jego, przypominając sobie ojca i brata zemdląca. Przyszedłszy do siebie, musiała od tegoż chłopca wziąć obraz Ukrzyżowanego, który miał w ręku, który z rabunku w Raciechowicach pochodził, a który był powodem jak zapewniał ciągłych wyrzutów sumienia, których ofiarami na msze ś. nie mógł przygłuszyć, tak że go córce właściciela

odnosi. Obraz ten jest w rodzinie Śl. jako świadek chwil dla nich tak bolesnych.

Podobnie jak u tego chłopca ozwały się wyrzuty — ale nie sumienia, bo tego mieć nie mógł, jak mi to opowiadał p. major Konstanty Pawlikowski, i u potwora Breindla. Cienie pomordowanych w roku 1846 przeszkadzały umrzeć spokojnie tej hyenie, kiedy w Gracu miał iść po nagrodę czynów swych do Ojca, który jest w niebiesiech, to też czując, że dla takiego zbrodniarza wielkiego potrzebował przebaczenia, telegrafować kazał do Ojca ś. Piusa.

*Opowiadanie p. Konstantego Pilińskiego, właściciela Tarnowca,
w obwodzie Jasielskim położonego.*

Jak wiele ówczesnej młodzieży, byłem dla studyów na uniwersytecie we Wiedniu i miałem do pięćdziesięciu znajomych na różnych wydziałach. W grudniu r. 1845 przybył do Wiednia emissaryusz Mikołaj Kański, żyjący teraz jako adwokat w Krakowie, i od niego dowiedzieliśmy się o przygotowującym się w kraju powstaniu, które ma wybuchnąć dnia 20 lutego 1846 r. w Krakowie, zarazem zostaliśmy wezwani, byśmy się na ten czas do Krakowa stawili, a że zależało na tem, by dla obsługi artylerji mieć w tej gałęzi wyćwiczonych ludzi, chodziło o to, by będących w szkole bombardyerów we Wiedniu ośmiu Polaków pozyskać, i do przyłączenia się z nami nakłonić. Podjął się tego Leonard Żuk Skarzewski słuchacz medycyny, poczem gdy się termin wyruszania do kraju zbliżał, z własnych funduszów dla tychże artylerzystów kilkadziesiąt złr. na drogę zaliczyłem. Sobolewski, u którego wojskowi ci się przebrali, począł palić mundury, za moją wszakże radą z powodu swędu który powstał, i łatwo poszukiwania mógł był spowodować, zaniechał tego i pozostałe wyprawił do Pragi, by je rząd mógł odebrać. Część młodzieży, która nie

miała paszportów i poddostatkiem pieniędzy by jechać „eilwagenem”, a między nimi ośmiu bombardyerów, puścili się przez Węgry ku granicy Galicyi pod opieką Skarszewskiego, ja zaś z dwudziestoma innymi w towarzystwie p. Ludwikowej Gorajskiej jadącej z dwoma córkami, puściłem się koleją, a następnie pocztą. Jadące z nami panie, zabrały nam do swoich waliz kilka pałaszów, które wieźliśmy ze sobą. Że zbliżywszy się do Krakowa, zastaliśmy po pierwszej utarczce wojsk Kollina z powstańcami most od Podgórza do Krakowa częściowo zniszczony, i wojska austriackie przed Podgórzem obozujące, postanowiliśmy ruszyć do Tarnowa. Tu już idąc z poczty, zostałem przez sprzymierzeńców austriackich, uzbrojonych w kosy chłopów zatrzymany, lecz po wyjaśnieniu, że jestem podróżny i że rządowym wozem jadę, zostałem wolno puszczony. Na drodze ku Tarnowu spotykaliśmy wszędzie przy mostach posterunki uzbrojonego w kosy chłopstwa, a z Gierczyc do Bochni eskortowali nas szwoleżerzy z dobytymi szablami. Obawiając się rewizyi, oddałem pannie Helenie Gorajskiej dwa pistolety, które miałem przy sobie do przechowania. Paniom dozwolono wysiąść w zajezdzie, nas zaś wszystkich z szybkozami odprowadzono do cyrkułu, który wówczas już zajęty był przez wojsko, i tam zrobiono z nami protokół, badając jaki był powód naszego do kraju przyjazdu. Rozumie się, żeśmy się wykręcali sianem. Tu już dowiedziałem się od oficera Podleńskiego o krwawej w Tarnowskiem katastrofie, że w Tarnowie mnóstwo zabitych i rannych, pomiędzy którymi wielu moich znajomych było. Że mieliśmy paszporty, puszczono nas wolno, i pod eskortą policyantów puściliśmy się do zajazdu. Eskorcie tej zawdzięczamy, żeśmy uszli z życiem, na rynku bowiem bocheńskim pełno było chłopstwa, które się na nas rzucić było gotowe, od czego je dobyte policyi pałasze powstrzymały. Jadąc do Tarnowa, spotykaliśmy wozy wiozące więźniów do Bochni. Przybywszy do Tarnowa, odszukałem babkę moją p. Dyzmową Stojowską, która z córkami pod eskortą szwoleżerów wysła-

nych przez pułkownika Moltkego na prośbę uwięzionego syna Stanisława, z Dąbrowy do Tarnowa przybyła.

Pobył w Tarnowie, gdzie wujowie moi Emil i Stanisław Stojowscy byli uwięzieni, gdzie hotele i domy prywatne z piwnicami przemieniono w więzienia, gdzie czuć było w powietrzu woń trupa, a oko raziła krew ofiar na ulicach, nie był miłym, to też myślałem pójść do domu do Tarnowca; i że wszakże drogę na Pilzno i Jasło, na której tyle mordów popełniono, niepokoiły bandy chłopów, postanowiłem wrócić do Wiednia. Stosując się do istniejących przepisów, chciałem po legalizację paszportu udać się do p. starosty Breindla, czego nie dopuścił zacny p. Brzeżani komisarz cyrkularny, mówiąc: „nie pokazuj się pan na oczy temu potworowi“ i zabierając paszport, załatwiwszy sprawę, odniósł mi go sam do p. Stojowskiej.

Czekając w hotelu krakowskim obok którego była poczta na odejście wozu pocztowego, miałem sposobność przysłuchać się pogawędce oficerów, świadczącej jakie pustki były w głowach tych, skoro mogli wierzyć i powtarzać takie niedorzeczne: „ktoby się był spodziewał, że Kotarski tak ważną był osobistością, że zostać miał królem — wszak koronę i płaszcz królewski u niego znaleziono”, co powtórzył autor pamfletu: „Das Polen-Attentat” oficer jak pisze „der westgalizischen Armee”. (p. a.).

Nie czując się dość bezpiecznym w stroju cywilnym, wyjechałem z Tarnowa przebrany za kleryka, a za towarzysza podróży miałem okazałego mężczyznę otulonego w wielkie niedźwiedzie, którego miałem za jakiegoś szlachcica, tak sarmackie miał rysy i postawę. Był to jak się w drodze dowiedziałem hr. Scholten, Duńczyk, właściciel Ciekłina koło Jasła, który sprzedawszy majątek p. Nowotnemu, z ceną kupna w kieszeni wracał do Danii.

W Bochni ujrzałem rodzaj milicyi miejskiej pod bronią, i niemałe zakłopotanie na obliczach dzielnych synów indogermańskiego szczepu spowodowane wieścią, że powstańcy

zajawszy Wieliczkę, szli na Gdów. Przerażenie było nawet pomiędzy synami Marsa, komendant bowiem placu, na zapytanie moje czy komunikacya na gościńcu do Wiednia jest wolna? powiedział mi „Pan na gościńcu bezpieczniejszy niż ja z garnizonem w Bochni“. Po drodze do Gdowa spotykaliśmy wozy z rannymi i zabitemi, straszny był to widok, z wozów z pod słomy widać było ręce i nogi, znów głowy nieszczęsnych ofiar, a na nich siedziało chłopstwo krwią zbroczone, przerażające dzikim zezwierzęconym wyglądem. Wieziono jak się dowiedziałem pomiędzy innymi małżonków Kempnińskich z Pierzchowa. Jadąc patrzyłem na straszny obraz zniszczenia zrabowanych i opustoszałych dworów, ślady pochodu czerni austriackiego Tamerlana. W Gdowie zastaliśmy przed pocztą kilkuset chłopów uzbrojonych w kosy na sztorc nabite, którzy po wyprężeniu koni i odejściu konduktora obstąpiwszy wóz, poczęli nam się przyglądać. Dziwna, jak zbrodnie zeszkaradziły wyraz twarzy, jak nienawiścią i dzikością pałały krwią zabiegłe oczy. W stroju kłeryka nie zwracałem na siebie uwagi, za to towarzyszył mi hr. Scholten nie podobał się czerni, i nie bardzo miło było mu słyszeć mówiących: „Ciarach jakiś się wynosi, trzebaby się z nim zabawić“, już zabierali się do wyciągnięcia go z powozu, kiedy przypadł chłop jakiś i przeszkodził uplanowanej zabawie wołając: „Nie ważyć się, widzicie tu orła cesarskiego — toć to wóz cesarski“. (Jeszcze w czasie powstania w r. 1863 w czasie wart chłopskich, orzeł na czapeczce lub pieczęć cesarska na papierze wystarczały, by zapewnić nietykalność). Obrońcy ci monarchii rakuskiej poczęli się gromadzić, by wspierać nadciągającego Benedeka, gdyż nasi zajęli byli Wieliczkę, a że urząd pocztowy traktem myślenickim ku Wadowicom uciekał, nie mogąc pozostać sami w pośrodku rozjątrzonego chłopstwa, ani też spieszyć naprzeciw naszych, musieliśmy puścić się na Jordanów do Izdebnika. Za Gdowem po wsiach panował spokój, wieśniacy zwykle odbywali roboty, a jak mi tłumaczono, wpływała na to bliskość powstańców. Spotkawszy ciągnące z Izdebnika fury ze zbożem, spotkała

mnie bolesna deceptya, na zapytanie bowiem moje, kto jest w Izdebniku, odpowiedzieli mi „nasi“ co sobie tłómaczyłem jak tego serce me pragnęło, dopiero konduktor objaśnił mnie, że rozumieć należy w ustach chłopca wyraz ten jak „cesarcy“, co źródłem było dla mnie smutku, pociechy dla konduktora, wiózł bowiem ważne depesze. W Izdebniku spotkaliśmy tedy „naszych“ pod Kollinem uciekających w największym nieporządku ku Wadowicom, i za nimi podążyliśmy temi samemi końmi, bo poczta już się wyniosła, niechcąc by powstańcy cesarskiemi posługiwali się końmi. Pan generał, którego spotkaliśmy w zajeździe w Wadowicach przy kuflu gambrinusa, wolniej oddychał, a wiedząc że powstańcy tak rychło nie nadciągną, odgrażał się straszliwie im i Krakowowi, „Sollen nur die Kanonen (zarekwirowane z Ołomuńca) kommen, so werden wir Krakau dieses Rebellennest in einen Schutthaufen verwandeln“. Ochotę niekłamana miał p. Kollin, ale że na drodze do Krakowa można było spotkać powstańców, byłby chętnie Kraków ostrzeliwał z Wadowic. Na szczęście dla Krakowa, Rossyianie przeszkadzili Kollinowi, że nie mógł czułości swej dla Krakowa objawić. Białą zastaliśmy zaalarmowaną i pod bronią, rozpuszczono tu niepokojące wieści, że w poznańskim powstanie zwyciężyło, że 4000 ztamtąd nadciąga, by kontrrewolucyą chłopską stłumić, i że oddział na parę mil od Biały na Szląsku stoi. Wierząc pogłoskom tym, bo pragnąłem by to prawdą było, chciałem zostać w Biały by się połączyć z naszymi, i począłem żegnać się z hr. Scholtenem, a ten tłómacząc mi, że wiadomości te mogą być fałszywe, doradził jechać do Wiednia, gdyż mógłbym obudzić podejrzenie, i zamiast do oddziału, dostać się do kozy. Usłuchałem rady i wróciłem do Wiednia by ucześnieć na wykłady prawa.

Zamknięty niebawem, rok cały przesiedział p. Piliński z innymi w więzieniu, wypuszczony jak o tem w wstępnem słowie, rozkazem cesarza Ferdynanda.

Dalsze opowiadanie przerwała śmierć p. Pilińskiego.

Opowiadanie Wgo A. Wejdy z Niecwi pod Grybowem.

Będąc naówczas w Tarnowie, byłem naocznym świadkiem tych bolesnych i krwawych scen, i mógłbym sam z onego czasu o ile pamięć sięga skreślić tomy; ale przyznam się otwarcie, że do tej smutnej czynności nie mam serca ani usposobienia, albowiem jak sobie wspomnę owe czasy — czuję boleść i rozstrojenie całego jestestwa mego. Czas zatarł w pamięci mojej jako 70-letniego starca wiele nazwisk nieszczęśliwych rodzin, ale pomimo tego w żywej pamięci stoją mi owi mordercy krwią bratnią oblani, jak przed starostwem w Tarnowie, z rąk przekłętej pamięci Chomińskiego i Zgórskiego po 5 zł. za zabitego, a 3 zł. za żywego ale dobrze zranionego brali.

W tej krwawej robocie odegrali największą rolę przekłętą pamięć starosta Breindl, komisarze Chomiński, Zgórski i Żminkowski, praktykant conceptowy Wolfarth i kancelista Trojanowski. Ten ostatni z Chomińskim i Zgórskim na 8 dni poprzód jeździli po wsiach, i lud do bratobójczej rzezi przysposabiali, w czym nie mało w hrabstwie Tarnowskiem przyczynili się ówczesny mandataryusz Tadeusz Pulikowski, z swym aktuaryuszem Hubickim Józefem.

Za to, iż należałem do powstania aresztowano mnie, a po kilku miesiącach przedwstępного śledztwa wywieziono mnie do Lwowa, zasądzono na lat 12, a ze względu na słabość w jaką popadłem, nie wywieziono mnie do Spielbergu, ale pozostawiono aż do wyzdrowienia; tak szczęśliwie doczekałem się 19 marca 1848, gdzie nas aż do nadejścia ogólnej amnestyi na wolną stopę puszczono. Niemiałem zatem czasu jak to wówczas pragnąłem — spisać główne wydarzenia — na co patrzyłem własnymi oczyma; po wyjściu z więzienia zaś jako człowiekowi młodemu co innego świtało — a nareszcie klęski i niepowodzenia odebrały chęć do pióra, aż wreszcie nastął rok 1863, nowe śledztwa rewizye i koza.

Główne centra rzezi były w Dembicy, Dobrkowie, Brzezinach, Siedliskach, Pilźnie, Brzostku, Gumniskach Fox, Nie-

dźwiadzie, a już najstraszniejsza rzeź w Zgórsku, Wadowicach koło Mielca, Wiewiórcze, Jaswinach ad Zasów.

Podaję tu zarazem wypis z metryk kościoła w Lipnicy wielkiej na str. 46 zapisany p. d. 23/II. 1846:

1. Stanisław Zdzieński, właściciel górnej Lipnicy lat 26 z dopiskiem ermordet grausam.
2. tegoż dnia Grzegorz Głowacki, 18 lat, syn mandataryusza z tymże dopiskiem.
3. Wawrzyniec Skoczek ekonom, lat 28 — dopisek ten sam, z Jasienny w parafii Lipnickiej.
4. Jakób Kamiński, dzierżawca części Jasienny 30 lat z dopiskiem ermordet 24 lutego.
5. Jan Grabczyński, właściciel folwarku Jasienna 50 lat z dopiskiem ermordet.

Opowiadanie p. Aleksandra Miazgi z Czermnej.

W r. 1846 byłem w szkołach w Tarnowie, tam też przyjechała dnia 15 lutego matka moja wraz z moją siostrą, przywożąc ze sobą pakę, w której jak się dowiedziałem później broń była. Mieszkali razem ze mną moi cioteczni Jakubowscy, to też odwiedził nas w tym samym czasie wuj mój Jakubowski, przykazując nam przy wyjeździe, byśmy na miasto nie wychodzili, jeźlibyśmy strzały usłyszeli. Że się obawiano rozruchów, zajęcia miasta, a spodziewano wojska, przybycia pułku Deutschmeistrów, dla których przez dwa tygodnie niepotrzebnie gotowano obiady, rozpuszczono szkoły, mając oddać budynki szkolne na kasarnie. Było to hasłem dla mnie, by się wybrać do domu. O ile mi się zdaje dnia 19 lutego wybrałem się do domu, odprowadzony przez kolegów za miasto, z kądem spotkawszy wóz jadący w tę stronę wynająłem go do Pilzna. Furman z którym jechałem zatrzymał się w Pogorskiej Woli przy karczmie by popaść konie, a że było zimno wstąpiłem do niej. Zostałem w niej pełno chłopstwa i co ciekawa jeszcze,

nie pijanego, zaczęli dopiero pić i mnie też jeden uderzywszy drągiem w zęby, wezwał bym mu wódki kupić, com też i rychło zrobił, okupując sobie w ten sposób spokój na potem. Po godzinie nadeiagnęły wozy trzy od Pilzna, a że zatrzymały się przed karczmą, zrobiła się wrzawa, wśród której kazano mi siadać na jednym z wozów, zaledwie wdrapałem się na wóz, spadł na mnie grad pocisków, na szczęście pomimo że mnie cepami młócili, nie wiele mi się prócz uszkodzenia w nogę stało, bo byłem jak na zimę dobrze ubrany. Na wozie będąc dowiedziałem się, że na tych wozach wieziono ciała pomordowanych w okolicy Pilzna, siedli na też wozy i chłopi i tak cały konwój ruszył do Tarnowa, gdzie nas kilku szwoleżerów otoczyło. W Tarnowie przy kamienicy Kamienobrodzkiego kazano mi zleść i zaprowadzono do sali, która pusta do tej chwili, zapełniła się z przyległemi pokojami do paru godzin. Byli to ranni. Serce się krwawiło na widok tyłu nieszczęścia, na jęki, boleści, wołania o pomoc. Środkiem sali przechadzał się pułkownik Moltke, wokoło lekarze i chirurdzy zaopatrywali nieszczęśliwych, usuwali tych co skonali. Obraz pobojowiska pełen grozy. Mnie uwolnił z tego domu boleści znajomy mi wachmistrz, tak że wróciłem na stancję, którą opuściłem, ażeby być świadkiem jednej sceny tego krwawego dramatu.

Adam Wtyński,

obywatel z Rzeszowskiego, który w r. 1833 dał emissaryuszom Leopoldowi Białkowskiemu, Feliksowi Łubińskiemu i ks. Wincentemu Żaboklickiemu, wracającym z Kongresówki do Galicyi przez parę dni w domu swoim przytułek, nie wiedząc bynajmniej o ich zamiarach, posądzony o dopomaganie partyzantom, dla samych domysłów, osadzony w więzieniu Karmelitów we Lwowie, był dla przyznania się do winy bity kijami. Obchodzenie się sędziów kryminalnych Pressena prezesa, Witt-

mana konsyliarza i osławionego Zajączkowskiego sekretarza z obwinionymi, nie miało żadnych granic, stawianie naoczne szpiegów, morzenie głodem, odjęcie świeżego powietrza, zimno, kajdany, biczowanie, słowem najdziksza tyrania były ciągle praktykowane. Włyński napadnięty w lutym 1846 r. przez czerń chłopską w Tarnowskiem dla uniknięcia męczarów, strzałem sobie życie odebrał.

Adam Suski,

dzierżawca Kłysza majątności podówczas Andrzeja Spytek Jordana, żołnierz napoleoński zabrany pod Smoleńskiem do niewoli i zesłany na Sybir, uwolniony ze Sybiru w roku 1815, powróciwszy piechotą do kraju, walczył następnie w r. 1831 jako major w drugim pułku Krakusów pod Paszycem i był pod Stoczkiem, Boremlem i Iganiami. Ozdobiony krzyżem „Virtuti militari”, osiadł następnie na roli, używając wielkiego u włościan szacunku, tak że włościanie zawiadomiwszy go o rozkazie kreishauptmana, własnym jego ekwipażem do Tarnowa odstawić postanowili. Przejeżdżając przez Lisią górę, gdzie szlachtę mordowano, ukryli go na spodzie wozu okrywając sukmanami i tłómacząc gromadom, że jest zabity. Na przedmieściu dopiero tarnowskiem zwanem Grabówka, zadał mu oficer od szwolezerów Bzowski siedm cięć w głowę tak, że zbroczonego krwią i omdlałego dowieźli włościanie do starostwa. Odesłany ztąd do kostnicy, ocalał dzięki oficerowi Niemcowi, który dopatrzwszy się w nim życia, do szpitala wojskowego odwieść kazał, gdzie miesiąc wraz z synem Bonawenturą, właścicielem Konar przeleżał, nic o nim nie wiedząc. Żony dopiero odwiedzając rannych, powiedziały im, że są tak blisko siebie.

Jenerał austriacki Legedits w roku 1846.

Myliłby się srodze, ktoby sądził, że jeżeli knowania austriackie nie doprowadziły w r. 1846 w obwodzie Rzeszowskim do rzezi i rozboju, przypisać to należy ludzkości tamtejszych urzędników cyrkularnych, albowiem satrapi ci byli wszędzie jednacy, choć wielu z nich polskie nosiło nazwiska, wszędzie oni dyszeli nienawiścią do szlachty i inteligencji polskiej, cieszyli się z mordów, pożogi i rabunków, a nawet brali w nich udział czynny w przebraniu chłopskim, jak w Bocheńskim, Jasielskim i Tarnowskim, upatrując w tem sromotnem współdziałaniu zasługę wobec swego rządu, a drogę do orderów i awansu. Rzeszowski kreishauptman Lederer kazał wyrzucać z miasta szlachtę, która na wieść o rzezi w Tarnowskim uchodząc przed grozą wandalizmu, chroniła się do miasta pod wrzekomą opiekę władzy rządowej.

Dla tego to na tej czarnej karcie dziejów naszych, wypada nam zapisać ze czcią godne pamięci nazwisko jenerała Legeditsa. Jeszcze w roku 1846, gdy obalamucone chłopstwo rzucało się tłumami na dwory i wymordowawszy, a co najmniej skatowawszy i powiązawszy ich mieszkańców niszczyło wszystko, czego spożyć i wypić lub z sobą uprowadzić nie mogło, jenerał Legedits (Węgier) mając sobie powierzoną komendę w obwodzie Rzeszowskim, aby zapobiedz szerzącej się rzezi i rozbojom, obsadził granice obwodu Tarnowskiego wojskiem, i odpierał niem tłumy chłopstwa cisnące się z tego obwodu w obwód Rzeszowski, a nawet karząc doraźnie pojmany podlegaczy, nietylko ocalił obwód Rzeszowski od podobnych zdrożności, ale też utrzymał w całym okręgu swej komendy spokój, porządek i karność.

Gdy patrolującemu w okolicy Błazowy oddziałowi luzarów doniesiono, że liczna czerniawa chłopska ciągnie nawałem na miasto Dynów, aby w niem pohulać po hajdamacku, to bez względu na to, że miasto to należało do obwodu Sanockiego, wpadli luzarzy w cwał za czerniawą, a w sam czas jeszcze,

by ocalić życie księdza plebana, którego chłopstwo zamordować chciało i by ochronić miasto od rabunku i pożogi. Chłopstwo pokieroszone pałaszami dzielnych Madziarów, rozbiegło się i nie powróciło więcej.

Zajmując podobną posadę w r. 1848 w Tarnowie, zapobiegł generał Legedits zaburzeniu, które nieprzychylnie krajowi żywiły naprowadzając gwardyę do starcia się z wojskiem wywołać chciały, w podobny sposób, jakiego użyły przy sposobności, gdy niedawno przed tem pożar wśród dnia w Krakowie wybuchnął, i pewną część miasta w perzynę obrócił. Jak tu rozsiewacze podburzających wieści głosili, że ów pożar w Krakowie wojsko wzniciło, i między temże a występującą dla utrzymania porządku gwardyą usiłowali sprowadzić starcie, tak głoszono w Tarnowie, że wojsko zamierza uprowadzić z więzienia Langnera oberzystę z Dembicy, który zostawał pod strażą gwardyi, oddany w jej ręce jako obwiniony o podburzanie chłopów, do podobnej jak w r. 1846 rzezi. To wnięszanie się wojska w nie swoją sprawę, miało nastąpić właśnie w czasie, gdy gwardya po zebraniu odnośnych świadectw, Langnera w ręce sądu karnego w Rzeszowie oddać miała. Poruszona wieścią, że wojsko przemocy użyć zamyśla, zebrała się gwardya przed magistratem Tarnowskim, gdzie Langner uwięziony siedział, i gdzie się strażnica wojskowa znajdowała, gdy wtem ukryci w tłumie ludu wichrzyciele, na wojsko kamieniami rzucać poczęli.

Już było wojsko z jednej, a gwardya z drugiej strony nabiły swą broń, gdy generał Legedits, zawiadomiony o tem zajściu, w pośrodku zgiełku komendanta gwardyi adwokata Szwałkowskiego odszukał, i udawszy się z tymże na strażnicę wojskową, załodze z pozostawieniem stósownego oddziału na straży, do koszar cofnąć się rozkazał, i zapewniwszy komendanta gwardyi, że wojsko do sprawy Langnera mieszać się nie będzie, wpłynął, że gwardya po zaręczeniu komendanta swego, spokojnie się rozeszła. Tak za wpływem generała Legeditsa ocalony został Tarnów od klęski, która nie długo po tem zdarzeniu Lwów dotknęła.

Kiedy mowa o zacnych sercach, które choć pod austryackim mundurem i w niemieckiej były piersi, nie można pominąć nazwiska oficerów De Gratia Polignac, Offenheima i Zeydla, którzy mając odwagę wystąpić przeciw Szeli, własne narażali życia, gdy herszt ten groził im, że ich powiązać każe; Oficer Offenheim od władzy surową otrzymał nagane, aresztem karany, z pułku został przeniesiony.

Chomiński i S-ka.

(Wyjątek z Nr. 74 „Dziennika Narodowego” z d. 21 czerwca 1848).

Przytaczam wstęp ten jako charakteryzujący dostatecznie nie tylko Chomińskiego, ale całą ówczesną urzędniczykę:

Podczas okropnych dni lutego 1846, był między urzędnikami przy urzędzie obwodowym tarnowskim w randze komisarza obwodowego mąż, (prawdopodobnie Brzeżani) którego cały obwód znał, którego znał i p. Chomiński. Ten był w pamiętny nam wielki czwartek, t. j. dnia 19 lutego 1846 słabym, został w domu nie dopuszczany do szatańskich tajemnic, a nie wychodząc z domu, nie wiedział co się miało dziać i co się dzieje. Uwiadomiony o gwałtach, rabunkach i mordach w naszych oczach w mieście, w oczach władzy, w oczach do niczego nie użytej znacznej siły zbrojnej popełnianych, udał się lubo słaby do znanego już całemu światu naczelnika Breindla, i tam zastał tego satrapę otoczonego swymi poufnymi rajcami, Chomińskim, Żminkowskim, Wottawą i innemi. Przerażony zgrozą na zbrodnie już popełnione, których ślady po drodze sam widział, w enotliwej prostocie przystępuje wybladły do krwiożerczego naczelnika, i w te słowa do niego się odzywa (po niemiecku): „Przebóg panie starosto, tej krwawej kąpieli trzeba przecie raz tamę położyć, daj mi jedną kompanię wojska, a ja ci ręczę, że spokojność i porzą-

dek przywróć”. Jak zgłodniałe wilki, spoglądał morderczy senat na ucziwego urzędnika, a między tymi odezwał się najstarszy rajca p. Chomiński: „mój przyjacielu, jesteś niepolitycznym, dajesz się uczuciami ludzkości powodować”. Jeżeli p. Chomiński nazwisko tego enotliwego urzędnika zapomniał, niechaj powie, a ja mu przypomnę. Kto do podobnych uczuć jest zdolnym, ten jest wyższym od prostego rabusia lub mordercy, — on dla tych partaczy jest mistrzem.

Tarnów 15 czerwca 1848.

Klemens Rutowski

adwokat krajowy.

Umieszczając powyższy wypadek i mnie bardzo dobrze wiadomy, oświadczam dla uspokojenia p. Joachima Chomińskiego, że jeżeli potrafi fakt ten zbić w taki sposób, aby szanowny ów komisarz cyrkularny, któren przytoczoną odpowiedź otrzymał, w pismach publicznych oświadczył, iż powyższe oskarżenie przeciw p. Chomińskiemu jest fałszywe, natenczas nie omieszka ogłosić więcej czynów tegoż p. Chomińskiego, które go nierównie wyżej nad Szełę w opinii publicznej stawiają.

K. Wilczyński redaktor.

Opowiadanie Romana Prackiego.

*(Kempiński Henryk, Dembicki Mieczysław, Ryłski Antoni,
Kempiński Mieczysław, Niedzielski Antoni.)*

W nocy z dnia 25 lutego 1846 w Krakowie, odebrałem rozkaz wymaszerowania natychmiast z moim szwadronem do Galicyi, co spełniając, przybyłem tejże nocy jeszcze do Wieliczki, tam otrzymałem polecenie dnia 26 t. m. rano, wyruszyć z jednym tylko plutonem ku Bochni, dla przeszkodzenia w okolicznych Wieliczki wioskach rabunkom i mordom. Uszedł-

szy pół mili drogi, ujrzałem całe wzgórze okryte tłumami włościan.

Pod wsią Łazanami o milę odległości, spotkałem bandę najmniej z 500 pieszych i 150 konnych złożoną; pomiędzy ostatnimi 40 było szwoleżerów austryackich. Zbliżając się ku temu tłumowi, gdy przywitany zostałem gęstymi strzałami, uderzyłem na nich, nie dotrzymali placu, pierzchnęli po krótkiej obronie, 32 wziąłem do niewoli, pomiędzy nimi było ośmiu urlopników i żyd, osmnastu parobków i wyrobników i pięciu gospodarzy rolnych. Stanąwszy we wsi Łazanach, chciałem złożyć sąd wojenny, wy badać i jako prawie na rabunku ujętych powiesić. Ta indagacya dopełniona wobec wójta wsi Łazan Wawrzyńca Dymka i gospodarza najstarszego wiekiem z tejże wsi Jana Dymka, pod przysięgą słuchani, następujące dała wyjaśnienie:

Że rabunki i mordy, jakich się chłopci dopuszczali na szlachie, nie powstały z niechęci i zemsty ku tymże, ale z nakazu komisarza (Verwaltera) z Niepołomic i starosty z Bochni, którzy wydali piśmienne rozkazy wójtom, aby szlachtę do cyrkułu dostawiać żywych lub umarłych; że za każdą osobę zapłacone mieć będą po 12 reńskich srebrem, co też oni uskuteczniając, dostawiali zamordowanych: dziedzica z Nieznanowic, Kempnińskiego Henryka, jego żonę i dwoje dzieci, tudzież brata pani Kempnińskiej hrabiego Dembickiego Mieczysława, Rylskiego Antoniego *) z żoną z Gorzkowa, Kempnińskiego Mieczysława z Dobronowic i poranionego Niedzielskiego Antoniego i innych z pod Wieliczki i Bochni obywateli, że za każdego z nich przyrzeczona zapłata na ręce wyrobnika Marcina z wsi Borówka wypłaconą została w Bochni.

*) Zmarły w Krakowie w styczniu b. r. Edward Rylski w 74 roku życia, był bratem Antoniego. Jeszcze na wiosnę r. 1845 oskarżyli go chłopci z Gorzkowa (Stachura i Paździor) do starosty Berndta w Bochni, że przemawiał do włościan przeciw cesarzowi. Wysłany na rewizję do niego komisarz cyrkułowy Wangerman acz nie znalazł, aresztował go i odwiózł do Wieliczki. Wkrótce zjechał

Dalej wyznali, że przed kilku tygodniami zwołani do cyrkułu wójcia, otrzymali od komisarza ustną wiadomość, iż szlachta zjawia się na wyrznięcie chłopów, i że o tem ich rząd ostrzega, dozwalając im toż samo robić ze szlachtą; a kiedy wójcia nie mogli się odważyć na to i wymawiali się przed komisarzami, że swoich panów nie mogą zabijać, naówczas to on im kazał, aby każda gromada nie swojego ale sąsiedniego pana zamordowała, obiecując, że co w którym dworze zabiorą, to ich będzie. Również utrzymywali, że komisarz powiedział im, że przysze do każdej gminy dla zachęty po jednym lub dwóch żołnierzy, przebranych za chłopów i że oni im pokażą, jak to ze szlachtą trzeba się obchodzić, która chce ich i cesarza wymordować. Zeznanie powyższe, wójt wsi Łazan, obecny temu poświadczył, iż co ci zeznali, on na własne uszy od komisarza w Niepołomicach słyszał i świadectwo swoje przysięgą stwierdził.



tam Filaus, protokółista z sądu karnego z Wiśnicza i po trzechmiesięcznym śledztwie wywieziono Edwarda nocą do kryminalu. Tam jako więzień stanu osadzony, uniknął śmierci w krwawym roku 1846.

Wierny syn ojczyzny, a duszy gorącej, wziął Edward czynny udział w r. 1863 w walce o wolność, a dzielnością, poświęceniem i zdolnością, zdobył sobie rangę majora wojsk powstańczych.

S P I S

jakkolwiek niedokładny, ofiar rzezi roku 1846.

- A.**
1. Aczkiewicz Hipolit, dzierżawca Wadowic.
- B.**
2. Baltazińska z domu Płoszyńska
3. Baranowski Ludwik, dziedzic Świeżej
4. „ Franciszek, dzierżawca Niedźwiedzy
5. Baranowskich dwu młodych
6. Bartoszevska
7. Baruch, chłop z Niezaśna
8. Beldowski, oficyalista prywatny z Pstrągowej
9. Bernhard, mandataryusz w Wiewiórcie
10. Bętkowski, dzierżawca Siedlisk
11. Białobrzęski Piotr, pułkownik w Sierpawiu
12. Bielecki Tomasz
13. Bieliński Kasper, dziedzic Raciechowic
14. „ syn tegoż
15. Biliński Adolf, dzierżawca Żarówki
16. „ rotmistrz ułanów austryackich
17. „ kasyer w Lusławicach
18. Binduchowski, ekonom w Nizinach
19. Bobrowicz, dzierżawca Malej
20. Bobrownicki Józef, dziedzic Dobrkowa
21. Błażejowski, leśnik w Dulczy
22. Bobrowski Adolf, z Lęk
23. „ Antoni, dziedzic Brzązowic
24. Bogusiewicz, dzierżawca
25. Bogusz Stanisław ojciec, dziedzic Siedlisk
26. Bogusz Stanisław syn, z Rzędzianowic
27. „ Wiktor
28. „ Nikodem, ze Smarzowy
29. „ Włodzimierz
30. „ Tytus, z Lubasza
31. „ Krzysztof, z Olszowey
32. „ Feliks syn
33. Bogusławski, emigrant
34. Bojarski Jan, z Lichwina
35. Boniewski Feliks
36. Broniewski Teodor, ze Zgórska
37. „ Jan, z Partynia
38. „ Feliks, z Radgoszczy
39. „ z Przybysza
40. „ ze Zdziar
41. Bronikowski
42. Breliński, dzierżawca z Siedlisk
43. Brzeziński, rządca z Dąbrowy
44. Brześciński Franciszek, z Wojnarowey
45. Buziak Franciszek, kowal
46. Bullak, strażnik
47. Bystak Antoni, młynarz
48. Bzowski Włodzimierz, dziedzic Wiercan
49. „ Ludwik
50. „ dziedzic Gruszowa.
- C.**
51. Chłędowski Adolf
52. Chodziński

53. Chmiel, z Partynia
 54. Chrzanowski, dzierżawca ze Szkodny
 55. Chrzastowski Aleksander, ze Szczepanowic
 56. Chrzastowski Edward, ze Szczepanowic
 57. Cichowski
 58. Ciekliński
 59. Cieczkiewicz Wojciech, pleban z Pleśny
 60. Ciewlewski, aktuaryusz
 61. Cudak Franciszek, rolnik
 62. Cymbur Jan, wójt
 63. Czernikowski, dzierżawca Załęża
 64. Czyżewski, aktuaryusz.

D.

65. Dąbbski Dominik, dziedzic Drogini
 66. Dębicki Mieczysław, hrabia
 67. Dembiński Aleksander, dzierżawca Gromnika
 68. Dembiński Eljasz, dzierżawca Chojnika
 69. Denker ojciec i 2 synów
 70. „ Frydryk, z Gogolowa
 71. „ Erazm
 72. Dörner Adam, z Gogolowa
 73. Dreziński Tomasz, z Bruśnika
 74. Dulęba Józef, oficer wojsk polskich
 75. „ dzierżawca Nieczajny
 76. Durotek Józef, rolnik
 77. Dydyński, dziedzic Boczowa
 78. Dzieszewski
 79. Dzikowski
 80. Dziwulski Kajetan
 81. Dzwonkowski Ignacy, oficer wojsk polskich.

E.

82. i 83. Eisenbach i syn z Pleśny.

F.

84. Fadziński, ekonom z Wielopola
 85. Fik Ignacy

86. Filipowicz Aleksander, z Wiewiórki
 87. Fischer Gustaw, gorzelnik z Gogolowa
 88. Fox Władysław, dzierżawca Borowy
 89. Franczykowski, ekonom w Geldzie.
 90. Fuchs Józef, dzierżawca Kądzieny
 91. „ Jan, brat Józefa aktuaryusz.

G.

92. Golan Jan, rządca z Biskupic
 93. Garlicki Roman, dzierżawca z Rudy
 94. Gawlikowski, nadstrażnik
 95. Gawrzycki, mandataryusz w Zassowie
 96. Galecki, wikary z Dobrkowa
 97. Geppert Józef, dziedzic Ziempniowa
 98. Gołdynia Paweł, wójt w Wesolowie
 99. Gólkowski Ignacy
 100. 101. 102. Gołuchowski Ludwik, dziedzic Szczecina i z synów
 103. Góral Wincenty, z Przekopu
 104. Górski Jan, dzierżawca Partynia
 105. „ Kazimierz, dzierżawca Lichwina
 106. „ Leon, ekonom
 107. Goerz, ekonom z Glinnika
 108. Gostkowski, z Witowic
 109. Grabczyński Jan, dziedzic Jasienny
 110. Gruziński, ekonom w Zassowie
 111. Gruszczynski (ociemniały), w Broniszowie
 112. Grünfeld Ludwik, właściciel Suchego gruntu
 113. Grünwald, leśniczy
 114. Grzywiński, mandataryusz w Oleśnie
 115. i 116. Grzuchowski Stanisław i Edmund, w Dulczy
 117. Grzytowski
 118. 119. 120. Gutkowskich trzech, w Brzezinach
 121. Gumiński Feliks, dzierżawca w Górzejowy
 122. Gunia Józef, aktuaryusz

123. Guński
124. Gujski Leon, w Bruśniku.

H.

125. Halski, ekonom w Zgórsku
126. Hochorowski, ksiądz z Gwoźdzca
127. Hadyski
128. i 129. Harniewicz Józef i Wincenty
w Radgoszczy
130. Hasler Leopold, w Zassowie
131. Horodyński Antoni, dzierżawca We-
sołowa
132. Horzejski Jan
133. Horszowski Józef, dzierżawca w Pstrą-
gowy
134. Hrupek Ludwik, w Pilźnie
135. Hupczyc, leśniczy
136. Hupczyk, pisarz gorzelniany w Do-
moślavicach.

J.

137. Jackowski, w Szufnarowy
138. Jakubowski, ekonom
139. „ dzierżawca Zalasowy
140. Janta Antoni, mandataryusz w Sta-
niątkach
141. Janikowski, kotlarz w Pilźnie
142. Janowski, w Woli żyrakowskiej
143. Jastrzębski Bonawentura, właściciel
Uniszowy
144. Jaworski Karol, mandataryusz w Sie-
michowie
145. Jaworski Leon, mandataryusz w Ma-
chowy
146. Jaworski, ekonom w Parkoszu
147 i 148 Ichaz z żoną, dzierżawcy
149. Iskrowicz, ekonom.

K.

150. Kaczowski, kościelny w Oleśnie
151. Kaczkowski, ekonom w Potoku

152. Kalski, w Zgórsku
153. Kalita Adam, mandataryusz w Sie-
dliskach
154. Kamieński Jakób, dzierżawca w Ka-
mienicy
155. Kamiński, dziedzic Parkosza
156. „ Roman, dzierżawca Ołpin
157. Karpiński Feliks, dzierżawca Bracie-
jowej
158. Kempiański Henryk, właściciel Pierz-
chowca
159. Kempiańska Stefania, żona Henryka
160. Kempiański Mieczysław
161. Kern, dzierżawca Bezmichowy
162. Klein, dzierżawca w Siedliskach
163. Kleczkowski, mandataryusz w Szcze-
panowicach
164. Klenke Piotr
165. Kłobukowski Stanisław, dzierżawca
folwarku w Golezowie
166. Kicki
167. Kielarski Wojciech, organista
168. Kierwiński Józef, dzierżawca Górek
169. Kobla August, mandataryusz
170. Komorowski Władysław, w Woli mie-
leckiej
171. Konopka Prosper
172. Kosiński, mandataryusz w Zgórsku
173. Kosowski, leśniczy
174. Koszewski, mandataryusz
175. Kotarski Karol, właściciel Olesna
176. Kozakiewicz, ekonom w Oleśnie
177. Kozłowski Stanisław
178. Kozubski, ekonom w Łączkach
179. Kozydarski
180. Krajewski, mandataryusz w Skrzy-
szowie
181. Krzak Wojciech
182. Kruczkiewicz, w Siedliskach
183. Krupiński, mandataryusz w Tuszowie
184. Krzeczewski Jędrzej, w Lichwinie

185. Krulicki
 186. Krupski, leśniczy
 187. Krzyżanowski, geometra
 188. Kubart Jan, piwowar
 189. Kubaryk, mieszczanin w Pilźnie
 190. Kulczycki, ekonom w Dobrkowie
 191. Kunaszewski, pisarz w Oleśnie
 192. Kuta, mandataryusz w Borowy
 193. Kwiatkowski, mieszczanin
 194. Kwiatek Marcin, z Gogolowa.

L. i Ł.

195. Łączak, służący z Łączek
 196. Łaskiewicz, kowal
 197. Łazowski, były oficer wojsk polskich w Pstragowy
 198. 199. 200. Łazowscy Aleksander, Henryk i Józef, synowie
 201. Lebiński Mateusz, stolarz
 202. Leśniowski Antoni, w Luszowicach
 203. Lewicki, doktor w Zakliczynie
 204. Lichowicz Aleksander
 205. Linderski Jan
 206. i 207. Litwiński Stanisław i Kasper, z Zawadki
 208. i 209. Litwiński Aleksander i brat.
 210. Łoborzewski Maciej, z Rzegociny
 211. „ Leon, z Czermny
 212. i 213. Łoborzewscy Ludwik i Tomasz
 214. Lubieniecki Aleksander.

M.

215. Machnicki Feliks, gorzelnik w Brniu
 216. „ ekonom w Radgoszczy
 217. Magierski
 218. Makiera Szymon, z Przekopu
 219. Makarski, gorzelnik
 220. Maliszewski, leśniczy z Łączek
 221. Małecki Feliks, dziedzic Uścia
 222. Małecka, żona tegoż
 223. Marek Jan, aktuariusz w Zassowie

224. Marynowski Tadeusz, dziedzic Gumnisk
 225. Marynowski, syn
 226. Matner Jan, aktuariusz w Bobowy
 227. Merski, rządzca w Jodłowy
 228. Michlik, mieszczanin z Pilzna
 229. Mikłusiński
 230. Mika Józef, ogrodniczek
 231. „ murarz z Baranowa
 232. Miler, mandataryusz z Raciechowic
 233. Miske Piotr, ekonom z Wielopola
 234. Morski, właściciel Latoszyna
 235. Morska Pelagia, żona tegoż
 236. Morski Aleksy
 237. „ Stanisław; z Brzezin
 238. Moro Julian, pachciarz
 239. Mroczkowski, ekonom z Mędrzychowa
 240. Mrozowski Feliks
 241. Musz, szewc
 242. Monkulski.

N.

243. Nalepa Piotr, Siemichów
 244. Nemeski Floryan, właściciel Karwodży
 245. Nemeski Julian, syn
 246. Nidecki Ludwik, z Brzezin
 247. Nowak, dzierżawca Parkosza
 248. Niewiarowski M.
 249. Niesiołowski.

O.

250. Ochocki Józef
 251. Olszański, dzierżawca
 252. Olszewski, z Globikowy
 253. „ z Lęk
 254. i 255. Oraczewski Stanisław i syn
 256. Ostrowski Wincenty, mandataryusz z Nizin
 257. Ostrowski Michał, ekonom w Baranowie

258. Ostaszewski Ludwik, służący
 259. „ Jan, szewc
 260. Ostrowski z Radgoszczy
 261. „ czeladnik w Łączkach.

P.

262. Pankiewicz
 263. Piasecki Antoni, architekt
 264. Pieczętka, leśniczy w Chorzelowie
 265. Piekusiński, ojciec p. Aleks. Güntherowej z Dołęgi
 266. Pierzchała, dziedzic części w Gogolowie
 267. Pieściński, z Gorzejowy
 268. Pietrzycki Józef
 269. Piotrowski, ekonom
 270. Pilecki, rachmistrz w Zakliczynie
 271. Pohorecki Adam, z Gorzejowy
 272. Pędracki Kazimierz
 273. Pohorecki Antoni, nauczyciel
 274. i 275. Pomiankowski Józef i syn, z Siedliszowie
 276. Pomorski
 277. Promer, w Grodkowicach
 278. Przetocki Julian
 279. „ Edward
 280. „ Kryspin, dziedzic Kowalów
 281. Przyłęcki Stanisław
 282. Psarski Adam, leśniczy w Gruszowie.

R.

283. Rachlewicz, ekonom
 284. Rachwał Wincenty, policjant
 285. Ramult Samuel, dzierżawca
 286. Raczynski Franciszek, leśniczy
 287. Reczynski, dzierżawca Wróblowie
 288. Rej Dominik, hr. dziedzic Przeclawia
 289. Ring August, leśniczy w Rzemieniu
 290. Rotter Edward, nauczyciel
 291. Rozeń Włodzimierz
 292. „ Artur

293. Rozkoszny Henryk, dzierżawca
 294. i 295. Różycki Aleksander i Roman, w Burzynie
 296. Rożański, ekonom
 297. Rucki Aloizy (ciemny)
 298. 299. 300. 301. 302. 303. Rydlowie Antoni, Mikołaj, Feliks, Józef i dwu innych
 304. Rylski, w Gorzkowie
 305. Rymarski, malarz
 306. Rymanowicz, ekonom
 307. Rytkiewicz, ekonom
 308. Rzehak, leśniczy
 309. 310. 311. Rzuchowscy Stanisław, Edmund i Henryk.

S.

312. Sadowski, mandataryusz w Kąsny
 313. Sawicki Ignacy
 314. Sawicka
 315. Sęk Aleksander, dziedzic Słotowy
 316. Sękowska
 317. Sitkowska
 318. Schoepfner, leśniczy
 319. Serafiński, ekonom
 320. Siedlecki Antoni, dzierżawca
 321. Siedlikowski Karol
 322. Sieklowski
 323. Sikorski Maurycy
 324. Skalkowski Marcei, guwerner
 325. Skibiński
 326. Skupniewicz Kazimierz, ekonom
 327. Skulski
 328. Skowronski Konstanty
 329. Szlagurski, rządca w Dembicy
 330. Słotwiński Ludwik w Jastrzębce
 331. „ Konstanty, dziedzic w Głobikowy
 332. „ Józef, ekonom
 333. Smoliński, oficyalista w Mędrzychowie
 334. Sołtysik Seweryn

335. Sokulski, dzierżawca
 336. „ z Podegrodzia
 337. Sobolewski, ekonom z Rzędzianowic
 338. Stojowski Ksawery
 339. „ Aleksander, właściciel
 Brzezin
 340. Sozański Jan, ekonom z Jonin
 341. Średniawski Piotr, ekonom w Ma-
 chowy
 342. Sroczyński, właściciel Bolesława
 343. Stankiewicz, ekonom w Partyniu
 344. Starzyński Aleksander hr., właściciel
 Sieradzy
 345. Stański Stanisław, właściciel Chom-
 ranic
 346. Stetkiewicz
 347. Störer, dzierżawca
 348. Stokłosiński, ekonom z Siedliszowic
 349. Staryziński Bronisław
 350. Stradomski, ekonom w Siedliskach
 351. Strzelecki, pisarz w Siedliskach
 352. Strzyżewski Feliks, dzierżawca Woli
 szczucińskiej
 353. Strasiewicz Józef, ekonom w Wie-
 wiórze
 354. Strończak, dzierżawca
 355. Stańczykiewicz Ludwik, ekonom w Ry-
 glicach
 356. Stura Antoni, rolnik
 357. Strzebna Mateusz, stróż
 358. Sternalski Tomasz, leśniczy
 359. Stegorski, ekonom
 360. Stetkiewicz Feliks
 361. Stroga, stróż
 362. Stoner, nauczyciel
 363. Starowiejski, dziedzic Woli ro-
 gowskiej
 364. Strzempka, karbownik z Łączek
 365. Strecz Julian, rządca Nizin
 366. Stadnicki
 367. Surowy Wojciech, karbownik
 368. Świdorski, dzierżawca Pustkowa
 369. Świdorska, żona tegoż
 370. Szlosser Karol, mandataryusz
 371. Szlaski
 372. Szumański, dzierżawca
 373. Szybast
 374. Sztabs Wawrzyniec, polowy w Dąbiu
 375. Szymański Michał, polowy
 376. Szumański Szymon
 377. Szumski, ekonom
 378. Sztoga Błażej, stróż z Nizin
 379. Sznurowski Wojciech
 380. Szybalski Marcei, z Podegrodzia.
- T.**
381. Tabaczyński Filip, dzierżawca
 382. Talarek
 383. Tarasiewicz Eljasz, mandataryusz
 w Dobry
 384. i 385. Telesiński Antoni i syn
 386. 387. Terlecki Jędrzej i Jan
 388. Tetmayer Antoni
 389. Teleżyński Jan, gorzelnik w Domo-
 sławicach
 390. Tomczyński Erazm, mandataryusz
 w Strzegocicach
 391. Towarnicki Karol, ekonom
 392. Tomaszewski
 393. Traczewski, gorzelnik
 394. Trembecki, właściciel częś. Gwoźdźca
 395. Tranzer, leśniczy w Nagoszynie
 396. Truty, ksiądz
 397. Trompeter
 398. Turski
 399. Tutonik, furman
 400. Tymowski, z Pstrągowy.
- U.**
401. Uhma, z Paleśnicy
- W.**
402. Walkowski, ekonom
 403. Waal, ekonom

MIEJSCOWOŚCI:

	Str.		Str.
1. Bączal	45	40. Jaworsko	172
2. Bezmichowa	46	41. Jodłowa, Dembowa, Rzegocin	173
3. Brzana i Bobowa	47	42. Jodłownik	176
4. Brzeziny	49 i 85	43. Izdebki	179
5. Binarowa	49	44. Karwodża	352
6. Bocheńskie	51	45. Komorniki	180
7. Boczów	58	46. Koszary	181
8. Brzostek i okolica	59	47. Kisielówka	181
9. Bolesław i Dąbrowskie	69	48. Kwiatonowice	182
10. Bruśnik i okolica	75	49. Kosówka	190
11. Bruśnik	83	50. Łapanów	190
12. Burzyn	86	51. Łączki	192
13. Chochołów	92	52. Latoszyn	193
14. Chojnik	94	53. Laskowa	194
15. Czerмна	97	54. Łączki (Niedźwiada)	194
16. Czudec	98	55. Łęki dolne	198
17. Demblin	98	56. Lichwin	202
18. Dołęga	99	57. Limanowa	206
19. Dąbrowa	99	58. Lisia góra	208
20. Doly i Loniowy	107	59. Lososina	211
21. Dobra	108	60. Lusławiczki	212
22. Dobrków pod Pilznem	112	61. Luszowice	214
23. Droginia	118	62. Łużna	231
24. Gdów	119	63. Młynne niżne	232
25. Glinki	122	64. Młynne wyżne	232
26. Glichów	130	65. Mstów	232
27. Globikowa	141	66—70. Melsztyński klucz (Lusła-	
28. Głowaczowa	144	wice) Jurków, Domosławice	232
29. Gogółów	145	71. Makowica	235
30. Gromnik	150	72. Mordarka	236
31. Grybów	154	73. Mrzyglód	236
32. Grodkowice	155	74. Narajów	237
33. Gumńska i Wolica	160	75. Niziny nad Wisłą	239
34. Gwoździec	163	76. Parkosz	273
35. Haczów	165	77. Paszczyzna i Sepnica	274
36. Horożana	167	78. Padew	276
37. Jastrzębia	354	79. Pielnia	277
38. Januszkowice	169	80. Pilzno	278
39. Jasło	170		

	Str.		Str.
81. Piekielko	279	125. Trzciana	365
82. Porąbka uszewska	279	126. Wadowice górne	366
83. Polanka	280	127 i 128. Wadowice dolne i Ko-	
84. Pleśna	283	paliny	368
85. Podstolice	284	129. Wadowice	369
86. Potok	288	130. Walowa	369
87. Pstrągowa	289	131. Wesółw	370
88. Przybysz	291	132. Wróblowice	371
89 i 90. Przyborowo, Dembica	292	133. Wielopole skrzyńskie	372
91 i 92. Rybie nowe i stare	292	134. Witowice dolne	373
93. Ropa	295	135. Wolkowa	374
94. Rozdziele	299	136. Wola przemysłowa	375
95. Ruch w Sanockiem	299	137. Wola rogowska	377
96. Ryglce	302	138. Wojkówka	378
97. Rzepiennik marczewski	306	139. Wola żyrakowska	378
98. Siedliska Boguszów	311	140. Woytkowa	380
99. Siedliska pod Bobową	326	141. Wróblík	384
100. Stojowice	327	142. Zaduszniki	385
101. Słupia	328	143. Zagórzany	389
102—109. Strzelce, Szczucińska Wo-		144. Zakliczyn	396
la, Dąbrowica, Ostrówek, Zie-		145. Zagórz	400
lona, Annów, Wola przemysłow-		146. Zakliczyn (bocheńskie)	401
ska, Wielopole	333	147. Zborezyce	402
110. Szaflary	337	148. Zgórsko	403
111. Stróża	338	149. Zawadka	403
112. Szerzyny	339	150. Zarszyn	405
113. Szczyrzyc	338	151. Żochatyn	406
114. Skrzydlina	338	152—154. Barwałd, Klecza, Racie-	
115. Stopnica	339	chowice	408
116. Siemichów	343	155. Rodzina Bilińskich	410
117. Strzegocice	349	156. Opowiadanie Konst. Pilińskiego	412
118. Karwóża	352	157. Opowiadanie p. Wejdy	417
119. Jastrzębia	354	158. Opowiadanie p. Miazgi	418
120. Szczepanowice	355	159. Adam Włyński	419
121. Tarnawa	359	160. Adam Suski	420
122. Tarnów	362	161. Jenerał Legedits	421
123. Tymbark	364	162. Chomiński	423
124. Trzeźniów	364	163. Opowiadanie Prackiego	424

SPIS IMION:

A.

Aczkiewicz 291, 327, 366
Andrusikiewicz 81
Alth 281
Auracher 401

B.

Bal 301, 380
Baunhölzel 216
Baranowski 167, 194, 214
Bartman 71
Bauer 254
Benoe 120, 211
Beldowski 291
Benk 390
Berger 172
Berski 82
Berlichingen 211
Białobrzeski 59, 66, 132, 354
Bielikiewicz 99
Biczán ks. 338
Błaszczkiewicz 291, 366
Bielińscy 59, 66, 130, 191, 206, 216, 231,
234, 294, 406, 410
Bielak 391
Bielek 216
Bindychowski 239
Birkenfeld 211
Bobrowski 108, 247
Bobrownicki 59, 66, 112
Bobczyński 406
Bochniewicz 65
Boczkowski 185, 246
Bochenek 213
Bogdanowicz 380
Bogusze 59, 66, 127, 311, 330
Borowska 212
Brach 391
Brochowski 66
Broniewski 127, 291, 403
Bresiewicz ks. 396
Brelński 325
Bredermajer 167
Brodzki 239

Brzeski 192, 363
Brześciński 206, 300, 380, 406
Brzeżani 413
Bukowscy 179, 406
Bulharyn 300
Burzyński 182
Bzowski 99, 22, 420

C.

Chomiński 70, 119, 362, 417
Chelmecki hr. 373
Chrymiewicz 215, 355
Chrzastowscy 101, 202, 362
Chwałibóg 71
Cieczkiewicz ks. 202, 281, 399
Czapliccy 167
Czechowski 72, 281, 362
Czyżewski 71, 253

D.

Daizenberg 250
Dąbski 70, 130, 132, 362
Dąbrowski 389
Darowski 171, 186, 277
Danielewicz 208, 293
Dembicka hr. 179, 245, 424
Dembinińscy 94, 101, 150, 391
Dembowski 122, 132, 217, 245, 340
Deręgowski 171
Denker 59, 66, 118, 145
Derner 145
Dezefiwy 340
Dimmel ks. 171
Dobek 394
Dobrzański 76, 81
Dobrzyński 234, 271
Dominikowski 382
Dreziński 47, 75, 82, 167
Drzyzgiewicz 295
Dulemba 321
Dunikowski 279, 294
Duleba 99, 380
Dutka ks. 276
Dydyński 58, 236, 406

Dylong 340
 Dyszyński ks. 171
 Dwernicki 406
 Dworzak 244
 Działyński 120
 Dzieciołowska 181, 206, 230, 234
 Dziegielowski 97
 Dzwonkowski 94, 101, 150, 216, 267, 325

E.

Eigenfeld 120
 Ekielski 119
 Elzner 339
 Eminowicz 207, 380
 Eisenbach 202, 281

F.

Faliszewski 231
 Falkiewicz 59
 Fedorowicz 122
 Festenburg 268
 Feuermann 178
 Fihauser 82
 Fink 138, 179
 Fintowski 93
 Fiszer 145
 Foltyński 77
 Fronczek 340
 Flaszkiwicz 59
 Fleszyński 325
 Foksowa 211, 343
 Fredro 300
 Fuchs 192, 368

G.

Galan 232
 Gałęcki 113, 182, 278
 Gałkiewiczowa 182
 Garbaczyńscy 274
 Gąsior 293
 Gąsiorowski 232
 Gauher 352
 Geppert 127

Gere 192
 Giersz 360
 Głowacki 71, 73, 92, 373, 418
 Giebułtowski 375, 406
 Głód 201
 Głuszkiewicz ks. 384
 Głębocki 231, 373
 Goczałkowski 269
 Gójski 75, 374
 Gołaszewski 255
 Gołdynia 370
 Gołuchowski 127, 240, 333, 341
 Golecki ks. 374
 Gorecki 208
 Gorajski 311, 330, 413
 Górski 59, 65, 81, 94, 99, 202, 276
 Góral 385
 Goslar 69, 163, 380
 Gorzkowski 120
 Gostkowski 171, 373
 Goszczyński 359
 Grohmann 82
 Grocholski 359
 Gromadzki 97
 Grabczyński 418
 Grochowalski 238
 Grubner 396
 Gniewoszowa 247
 Gross 140
 Grosser 292
 Gruszczyński 194
 Gumiński 209, 325
 Guzkowski 244
 Grzywiński 253
 Gutkowski 47

H.

Hahn 120
 Haller 119
 Hałdziński 402
 Hejrowsky 222
 Hieckiewicz 65
 Hohorowski ks. 163
 Holubowicz 79
 Horodyński 370

Hosz 154, 340
 Hoszar 362
 Hoszowski 372
 Hubczyk 232, 380
 Hubicki 214, 417
 Humnicki 381
 Hupka 182

J.

Jablonowscy 247, 281
 Jagielski 380
 Jakubowicz 236
 Janiczak 92
 Janikiewicz 294
 Janikowski 208
 Janowicz 380
 Jarzymowski 65
 Jastrzębski 302
 Jaworski 94, 273, 304, 343
 Jawdziński 372
 Jhaz 194
 Jlnicki 217
 Jordan 339
 Józefczyk 99
 Iskrewicz 291
 Jurkiewiczowa 231
 Jurczak ks. 325, 331

K.

Kabat 179
 Kaczera 341
 Kaczowski 253
 Kaczkowski 59, 66, 288, 300
 Kalita 59, 66, 325
 Kamiński 238, 257, 266, 418
 Kański 92, 412
 Kanarski 372
 Kapuściński 65, 208, 293
 Kaznowski 255, 400
 Kątski 388
 Kempnińscy 251, 43, 360, 415, 424
 Kęszycki 293
 Kern 45, 380
 Kitrys ks. 101

Kierwiński 127, 240, 333
 Kinzel ks. 167
 Kieszkowski 244
 Klein 59, 65, 69, 325
 Kleczkowski 71, 355
 Klingenholtz 139
 Kłosiński 59, 97
 Klobassa 280, 380
 Kłobukowski 208, 209
 Kotarski 70, 99, 179, 253, 399, 414
 Konopka 71, 99
 Kołodziejska 78
 Kolasiński 366
 Kowalski 79
 Komorowski 369, 380
 Komarnicki 130, 136
 Komperda ks. 284
 Kochanowski 170, 247, 326, 339
 Konięcki 300
 Konarski 303
 Kosiarski 181
 Konopczyna 213
 Korczyński 244
 Kopestyński 244, 295
 Kopf 401
 Kosakiewicz 253
 Kopera 253
 Komar 51
 Kobuzowski 267
 Koszewski 291
 Kotowicz 396
 Krasuski 65, 327
 Kromkay 341
 Kropiwnicki 360
 Kruszewski 120
 Kraiński 171, 174, 280
 Kruczkiewicz 321
 Krzanowicz 171
 Kryspin 175
 Krupecki 276
 Kulaski 338
 Kulczycki 112, 113
 Kunaszowski 253
 Kusiak 295
 Kwiatkowski 99

Kwaśniewski 120
Kwiatek 145

L.

Lanckoroński 234, 271, 371
Laskiewicz 230
Legedits 421
Lozański hr. 376
Lemoch 186, 396
Lebowski 337, 363, 376
Lewarowski 338
Leśniowski 214
Leśniowicz 362
Leszczyński 380
Lederer 251, 421
Lenartowicz 389
Lipiński 255, 389
Lipowski 51
Litwiński 372, 403
Lisowski 71, 77
Liszka 337
Lubieniecki 150, 268

Ł.

Łagowski 167
Łaskiewicz 167
Łazowski 289
Łobarzewski 59, 67, 82, 173, 281
Łobeska 326
Łomżyński 167
Łonczak 192
Łopuszański 130
Łazowski 245, 249
Łubkowski 122
Łuszczkiewicz 120
Łukasiewicz 280
Łysakowski 120
Łusakowski 360

M.

Machnicki 71, 194
Machowicz 362

Maciejowski ks. 171
Majchrowiczowa 47
Majewski 78
Madejski 73
Malinowski 302, 360
Marynowski 160, 269, 359
Maliszewski 192
Małeccy 276
Małdziński 217
Małeccy 385
Marasse 234
Marszałkiewicz 373
Mazurkiewicz 244, 380
Matner 47
Mąkulski 47, 75, 85
Maryni 406
Małachowski hr. 100
Męciński 333
Merski 173
Michalski 59, 66, 208
Mikiewicz 75
Miler Maks. 167, 191
Mikłusiński 343
Miszewski 121
Mikiera 385
Miazga 45
Misky 372
Misiewicz 59
Mientuszeński 257
Mesingiewiczowa 290
Maliszewski 192
Michałowski 339
Modle ks. 249, 290
Morgenstern 293
Mościcki 65
Molitor 93
Morełowski 406
Morski 85, 112, 113, 116, 193
Motyczyński 295
Mohr 120
Morze 406
Moltke 211, 363
Morze 380, 406
Musel 303
Muskowski 360

N.

Nachlik 70, 91, 167
 Nalborczyk ks. 276
 Nawratil 81
 Najmanowski 185
 Nalepa 343
 Nawrocki 218
 Nidecki 57, 67, 86
 Nitribit 77
 Niedomański 178
 Niemyski 212, 270, 552, 354
 Niewiarowski 257
 Niedzielski 51, 424
 Nowiccy 140
 Nowak 160, 273
 Nowosielecki 244, 380
 Nowotny 295
 Nowański 253
 Nyczowie 251

O.

Oczkowski 303
 Olszański 39, 67
 Olszewski 194, 202, 293, 361
 Oraczewski 253
 Osiecka 213,
 Ossowski 217
 Ostrowski 239
 Ostaszewski 300, 406
 Oświecimski 303

P.

Patelski 119
 Palch ks. 389
 Pajęczkowski 224, 299
 Pawlikowski 380
 Paszkowski 255
 Paulin 295
 Pawłowski 257
 Perisch ks. 279
 Pierzchała 59, 66, 145
 Pieściński 66
 Pietrzycki 67

Piekusiński 99
 Piasecki 113, 360
 Pilecki 120, 232, 399
 Piliński 412
 Pieniążek 144, 181, 211, 378, 379
 Pieściórowski 380
 Piastusiński 176
 Piniński 244
 Płoński 182
 Płocki 107
 Poh 65
 Pol Wincenty 280, 340
 Pohorecki 59, 66, 312, 321
 Pomiankowski 98
 Podlewski 413
 Podoski 177
 Popiel 244, 300
 Pressen 419
 Potocka Art. 255
 Przestrzelski 382
 Przebięda 65
 Pruszyński 338
 Przyłęcki 389
 Pracki 122, 424
 Przeczkowski 280
 Przetocki 293, 303
 Promer 155
 Przytocki 380
 Psarski 99, 192
 Putalkiewicz ks. 300
 Pulikowski 417

R.

Rachlewicz 194
 Ramult 214
 Reczyński 270
 Rej hr. 193, 292, 378
 Ressel 207
 Rozkoszny 59, 66
 Rogaliński 69, 70, 247
 Rogaski 340
 Rożen 47, 75, 83
 Różycki 86, 101, 326
 Romer 130, 176, 198, 328, 338
 Romański 238

Rogawski 266
 Różański 285
 Rozner 311
 Rucki 59, 66, 86
 Ruczka ks. 100, 253
 Rybicki 236, 406
 Rydlowie 240, 333
 Rylscy 277, 401, 424
 Rymanowicz 253
 Rządcki ks. 340

S.

Sacher-Masoch 331
 Sadowski 47
 Sapada ks. 152
 Siffner 364
 Sękowski 333
 Serafiński 72, 253
 Scholten hr. 414
 Selig 82
 Serwoński ks. 326
 Siedliski 332
 Siedmiogrodzki 132
 Siekierski 293
 Silkiewicz 372
 Sikorski 167
 Sitowski 285
 Siuta 295
 Sirmay 340
 Skalkowski 86, 326
 Skrzyński 94, 171, 186, 187, 194, 215, 234,
 270, 281, 340 358, 389
 Skarzyński 120, 122
 Skarszewski 412
 Skorupka 120
 Ślęczkowski 289
 Skibicki 186
 Skoczek 418
 Słowikowski 339
 Słotwiński 59, 67, 141, 325
 Słowikowski 363
 Służewski 194
 Sławiński 408
 Smagłowski 70
 Smoliński 73
 Śmiałowski 98
 Smulski 341
 Sokolnicki 119
 Sobolewski 120, 325, 412
 Sozański 303
 Sroczyński 69, 71, 253
 Stadnicki 245, 293, 360
 Starowiejski 377
 Stradomski 59, 66, 325
 Stojowski 59, 67, 70, 86, 99, 171, 288, 413
 Stokłosiański 59
 Starzyński 71
 Strouczak 85
 Stummer 91
 Stawicka 112, 114
 Straus 119
 Strażyński 120, 198
 Stanczykiewicz 303
 Stański 51, 155
 Stetkiewicz 291
 Strzempka 192
 Strzelecki 325
 Stobnicki 206
 Struszkiewicz 328, 338
 Stokowski 237
 Sulowski ks. 193
 Suchorzewski 120
 Suski 201, 420
 Suchodolski 224
 Sucharkiewicz 235
 Świdorski 368
 Swolkien 80
 Szczuciński 150
 Szumański 160, 208
 Szymański 303
 Szecepanowski 171, 326, 340
 Szumańczowski 179
 Szunowski 333
 Szwabe 181
 Szwajkowski 422
 Szlosser 190
 Szybalski 202, 273
 Szeliski 206
 Szule 218
 Sztoga 239

Sztelzig 294
 Szczurowski 240
 Szela 328

T.

Tabaczyński 59, 67, 80
 Talarek 343
 Tarasiewicz 108
 Tekstors 364, 380
 Teleżyński 232, 343
 Terlecki 300, 325, 327, 366
 Tetmajer 94, 101, 152, 328
 Tergonde 407
 Towarnicki 59, 66
 Tomczyński 349
 Tomkowicz 122
 Topolnicki 380
 Tomaszewski 253
 Trojnarowski 150
 Trojanowski 362, 417
 Trembecki 163
 Trzeciecki 280
 Trutty ks. 192, 399
 Trompeter 47
 Tymowski 291
 Tyszkowski 244
 Tyssowski 119, 266

U.

Uhma 271
 Uniatycki 339
 Ujejski 369, 377
 Urbański 380

W.

Walczyk 303
 Wal 349
 Waligórski 167
 Wasilewski 248, 249
 Wąsowicz 59, 67
 Weber 365
 Wej hr. 222
 Wejda 417
 Wendorf 240, 333, 337, 375

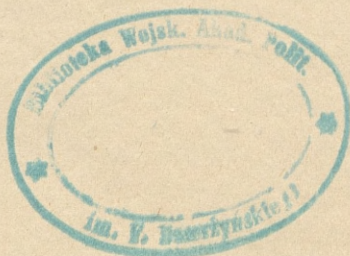
Witski 70
 Wiesiołowski 70, 82, 100, 208, 209, 245
 Winogrodzki 112, 113
 Winnicki ks. 380
 Wielogłowski 206, 236, 294
 Wiktor 378
 Wielochowski 218
 Wiewiórowski 291
 Wiśniewski 237, 321
 Witowski 293
 Włyński 67, 419
 Wittman 419
 Wojnarowicz 47, 332
 Wojtarowicz ks. 377
 Wojciechowski 71
 Wojtawski 333
 Wolf 120
 Wolfarth 417
 Wolski 144
 Woynarowski 171, 245, 340
 Wolański — a 171, 249, 217
 Woroniecki 311
 Woytowski 242
 Wrześniowski ks. 194
 Wścieklica 380
 Wszelaczyński 237
 Wyrostek 170
 Wysocki 238

Z.

Zabawski 299
 Zabierzowski 59, 66, 325, 332
 Zajączkowski 419
 Zaremba 80, 81
 Zamojski 120
 Zagórski 167
 Załęski 360
 Załuski ks. 215, 394
 Żabicki 239
 Zapłatałski 240, 332
 Zarzycki 375
 Zdzieński 75, 76, 145, 418
 Żeleński 51, 155
 Żelechowski 172

Żelazowski 253	Żminkowski 70, 417
Zembrzycki 276	Żurowscy 144, 378
Ziątkowski 292	Zubek 163
Ziemia 76, 303	Żuławski 231, 294
Zgórski 417	Zubrzycki 206, 373
Zieliński 45, 77, 154, 190	Żurowski 302, 384.







47438

/2